



# *Lekarstwo na żal*

EWA ZDUNEK

Wydawnictwo  
ab

Ewa Zdunek

# LEKARSTWO NA ŻAL



Copyright © by Ewa Zdunek, MMXVIII  
Wydanie I  
Warszawa, MMXVIII

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Lekarstwo na żal](#)

*Dla Sylwka*

Telefon odebrałam w biegu, jak zwykle. Niosłam pod pachą foldery biura podróży. Wydrukowane na błyszczącym papierze, co chwilę się wyslizgiwały. Torba zawieszona na ramieniu bardzo utrudniała sprawę. Komórkę wyszarpnęłam z kieszeni płaszcza razem z kluczykami do samochodu, kilkoma monetami i papierową chusteczką do nosa.

– Słucham?

– Natalia? – w słuchawce zabrzmiał kobiecy głos. Zupełnie mi obcy.

– Pomyłka – odpowiedziałam odruchowo, bo nie nazywam się tak. Przytrzymałam aparat w ręku i sięgnęłam do wysuwających się katalogów.

– To ja, poczekaj! – usłyszałam.

Moja rozmówczyni najwyraźniej się nie rozłączyła, a ja nie potrafiłam zrobić tego tą samą ręką, w której trzymałam aparat.

– To pomyłka, proszę pani – powiedziałam zniecierpliwiona, bo foldery znów zjechały.

Stałam na chodniku, w pobliżu sporej kałuży złożonej głównie z resztek błota pośniegowego. Brakowało mi ręki, żeby otworzyć drzwi wejściowe do budynku, w którym mieściło się nasze biuro. Prowadziłyśmy tam mediacje, Elżbieta – nazywana przez przyjaciół Betką – i ja. Śpieszyłam się, bo Betka chciała dziś wcześniej wyjść i czekała tylko na mnie. Zaraz po spotkaniu z klientami wybrałam się do biura podróży, w którym moja matka wykupiła dla mnie voucher bez oznaczenia kierunku podróży ani terminu wylotu. Był ważny jeszcze przez dwa tygodnie, zdecydowałam się więc jechać teraz, a właściwie za dwa dni, na Sycylię. Dopełniłam formalności, zabrałam pod pachę katalogi, które nie zmieściły mi się do torebki, i świńskim truchtem przemierzałam brudny, śliski chodnik.

– Jestem twoją matką – usłyszałam w słuchawce. – Wiem, że to brzmi dziwnie, ale musimy się spotkać, wszystko ci wytłumaczę.

Ktoś wychodził z budynku, przytrzymał mi drzwi. Przycisnęłam mocniej łokciem śliski papier i przyłożyłam telefon do twarzy.

– Pani mnie z kimś myli albo robi sobie obrzydliwe żarty. – Starłam się zachować spokojny ton. – Znam moją matkę. Proszę się rozłączyć, bo bardzo się śpieszę, do widzenia.



– Ona nie jest...

Rozłączyłam się, nie słuchając. Nacisnęłam klamkę drzwi prowadzących do biura. W tej samej chwili foldery runęły mi pod nogi.

– Załatwiłaś? – Betka nalewała wody do filiżanki z herbatą. – Tobie też zrobić?

– Tak – odpowiedziałam.

Zdjęłam płaszcz, kucnęłam i zaczęłam zbierać kolorowe katalogi.

– Po diabła ja to zabrałam, skoro już się zdecydowałam?

– Dokąd?

Przyjaciółka postawiła przede mną parującą filiżankę.

– Na Sycylię.

– Fajnie, zazdroszczę ci.

– Wiesz, nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł – usiadłam na krześle i zamieszałam płyn łyżeczką – zostawić wszystko na tydzień i ot tak, pojechać sobie na wakacje! Nie umiem tak.

– Po pierwsze, to tylko tydzień. – Betka wzruszyła ramionami i przysunęła sobie jeden z folderów, który zdążyłam położyć na biurku. Przyjaciółka należała do kobiet zdecydowanych, energicznych, takich, które szybko podejmują decyzję i później bronią jej niczym chorągwi. – Po drugie, świat się nie zawali. Dziewczynkami zaopiekują się twoi rodzice, teraz spływa mniej mediacji, więc sobie poradzę, a kiedy wrócisz, poszukamy razem nowego biura. Uważam, że powinnaś pojechać, odpocząć, opalić się, zrelaksować i wyzbyć poczucia winy, że przez tydzień przestaniesz pełnić funkcję matki Polki. Tobie także coś się od życia należy!

Przyznałam jej rację, choć w głębi duszy gromadził się we mnie dziwny żal. Chciałam pojechać i nie chciałam. Cieszyłam się tym wyjazdem i martwiłam zarazem. Lutowe słońce nieśmiało przebijało się przez ciężkie chmury i brudne od deszczu szyby, żeby od czasu do czasu pogłaskać nas po twarzach, jakby chciało wtrącić swoje zdanie na ten temat.

– Cały tydzień – marudziłam. – To głupie, żeby wyjeżdżać akurat teraz! Wakacje w lutym!

– Przestań marudzić, bo przyłożę ci tą filiżanką! – Betka

zamachnęła się na mnie. – Jedziesz i już! W wakacje nie masz wakacji, bo dzieci cię absorbują. No i szkoda, żeby się zmarnowało. Popatrz przez okno i od razu zachce ci się tego wyjazdu.

– Jeszcze kilka miesięcy temu gryzłam się tymi wszystkimi sprawami, a teraz siedzę, sącę herbatę z filiżanki i narzekam, że jadę na wakacje w zimie. Zwariowałam, prawda? – Objęłam ciepłe naczynie oburącz i popatrzyłam na brudne okno. – Chyba masz rację. Brakuje mi słońca i wyciszenia. Ciągłe obracam się wokół ludzi z problemami, a tam zażyję ciszy i relaksu. Uśmiechnięty kelner poda mi pięknie przyrządzone danie, będę się otaczać ludźmi, których jedynym zmartwieniem jest to, gdzie podziali olejek do opalania.

– Jednak musisz jechać, bo gadasz od rzeczy – podsumowała mnie Betka. – W lutym chyba nie jest tam jeszcze tak gorąco, żeby plażować?

– Ma być około dwudziestu stopni – poinformowałam ją. – Podobno czasem pada, ale mało. Zresztą mnie opalanie najmniej interesuje. Nareszcie porządnie się wyśpię i przez tydzień nie będę nikogo pocieszać, niczego analizować, o nic się martwić. Luksus.

– Prawda – przyznała Betka. – Twój były mąż, Cezary, nie zagraża już tobie ani dzieciom, bo siedzi w więzieniu i szybko go nie zobaczysz. Z rodzicami się pogodziłaś, dziewczynki zdrowo się chowają, prezes Gruszka dał nam spokój, na brak pracy nie narzekamy, jedziesz na zasłużony urlop za darmo. Czego można chcieć więcej?

– No właśnie, nie wiem – odpowiedziałam jej w zamyśleniu. Słońce zgasło przytłumione siną chmurą. – Może ja nie potrafię żyć bez zmartwień? Obezwładnia mnie jakieś niewytłumaczalne przeczucie, że to tylko cisza przed burzą, że dzieje się coś, o czym nie wiem, i dlatego nie powinnam nigdzie jechać. Przed chwilą dzwoniła do mnie...

– Jesteś przewrażliwiona, dlatego urlop bardzo ci się przyda – przerwała mi Betka i wstała. – Posiedzisz jeszcze w biurze? Ja mam coś do załatwienia na mieście, a dziś pustki. Mogę zostawić cię samą?

– Przestań się wygłupiać! – Roześmiałam się. – Nie zamierzam podcinać sobie żył!



– Mam nadzieję – mruknęła Betka. Zdjęła z wieszaka płaszcz i zaczęła się ubierać. – Podobno potem trzeba zrywać klepkę i tynk ze ścian, żeby bakterie się nie rozwijały.

– Nic się ze mnie nie rozwinię – obiecałam. – Możesz sobie iść, posiedzę do trzeciej i pojedę po dziewczynki do przedszkola.

Betka wyszła, a ja zapatrzyłam się w okno. Ciężkie chmury wisały nad miastem i tylko czekać, aż rozprują się pod naporem własnego ciężaru. Tęskniłam za słońcem, które teraz skryło się za siną pierzyną. Ono także nie miało ochoty wychodzić na dwór, na ten ziab.

„Chyba do reszty zwariowałam, skoro nie cieszę się, że pojedę w stronę słońca, na cały tydzień – powiedziałam do siebie. – Najwyższa pora pozbyć się tego smutku!”

Wstałam, pozmywałam filiżanki i spojrzałam na zegarek. Dochodziła czternasta. Za wcześnie, żeby odebrać dziewczynki z przedszkola. Moje dwie cudowne córeczki, czteroletnia Basia i pięcioletnia Laura, uczęszczały do tej placówki od niedawna. Odkąd je odzyskałam po długiej rozłące, kiedy to Cezary wywiózł dzieci za granicę, nasze życie, moje i ich, powoli się stabilizowało. Powtarzalność codziennych czynności i obowiązków wprowadziła poczucie bezpieczeństwa, którego brakowało nam od dawna. Betka miała rację, nasze sprawy poukładały się pomyślnie, dawne konflikty zdawały się należeć już do przeszłości i nigdy nie powrócić. Zaczęłam nowe życie.

Dlaczego nie umiałam cieszyć się tą sielanką? Czego mi zabrakło? Nie potrafiłam odpowiedzieć sobie na to pytanie. Coś wciąż mnie niepokoiło. Jakiś niewytłumaczalny lęk skradał się za mną niczym cień. Przeczynałam, że nie wszystko zostało domknięte, nie wszystkie sprawy załatwione do końca, coś zaniedbałam. Tygodniowy wyjazd, który otrzymałam w prezencie od matki, mógł stanowić jedynie moment ciszy przed burzą, która dopiero miała nadejść. I ten dziwny telefon... Od niechcienia spojrzałam na numer. Zaczynał się i kończył kilkoma szóstkami. Dlaczego wzbudził we mnie niepokój? Przecież omyłkowe połączenia nie należały do rzadkości, zapomina się o nich sekundę później, a tymczasem akurat ten incydent wżarł się w moją podświadomość jak kleszcz.

Zabrałam się do porządkowania dokumentów w szafie. Niech ta Betka ma przynajmniej porządek, gdy zostanie sama. Nasze biuro już dawno stało się dla nas za ciasne, w dodatku kłopotliwe sąsiedztwo firmy szkoleniowej utrudniało spokojne prowadzenie mediacji. Prawie codziennie ktoś zaglądał do nas i pytał o kursy. Gdy któraś z nas zostawała sama z klientami, takie ciągłe nagabywanie stało się zbyt uciążliwe. Podjęłyśmy więc decyzję o zmianie lokalu.

Zaczęłam układać chronologicznie dokumenty w segregatorach. Kiedy zamknęłam szafę, dochodziła piętnasta. W popłochu wybiegłam z biura, rozpychając się na korytarzu między kursantami oczekującymi na zajęcia.

– Panie wynoszą się niedługo? – zaczepił mnie w drzwiach wyjściowych właściciel firmy szkoleniowej.

Chwycił za kołnierz mojego płaszcza, przez co omal mnie nie udusił.

– Bardzo niedługo – warknęłam. – Koleżanka już szuka lokalu.

– To świetnie – ucieszył się szkoleniowiec. – Zajmiemy wasze pomieszczenia.

– Bardzo proszę – syknęłam przez ramię i uwolniłam kołnierz z jego uścisku. – Pozwoli pan, że pójdę?

– A czy ja panią trzymam? – Mężczyzna zdziwił się, wzruszył ramionami i wszedł na schody.

Otworzyłam drzwi. Owionął mnie lodowaty wiatr, za którym nadciągało złowieszczo ogromne sine chmursko. Nie wiedzieć dlaczego wydało mi się, że czeka ono na chwilę, kiedy wyjdę z budynku, żeby spuścić na mnie całe tony śniegu z deszczem.

– Jadę do tych Włoch – oświadczyłam chmursku odważnie. – Może sobie z ciebie padać!

Niebo nie czekało długo. W odpowiedzi chlusnęło zimną papką, która oblepiała twarz, rzęsy i włosy. Pochyliłam głowę i truchtem pobiegłam w stronę samochodu.

– Pani powiedziała dzisiaj, że musimy mieć przebrania na bal karnawałowy – powitała mnie Laura, gdy pojawiłam się w przedszkolu. – Na dziś.

– Na dziś to już chyba nie... – Uśmiechnęłam się.

– Musisz zapłacić na komitet – wybełkotała Basia, która zaplatała się w szalik.

Za każdym razem kolejność zakładania ubrań przez moją młodszą córkę była następująca: czapka, szalik, rękawiczki, następnie buty i na końcu kurtka. Wszelkie wysiłki, by zrobiła to inaczej, kończyły się na tym, że Basia wychodziła na dwór bez czapki lub w jednym bucie. Dlatego od pewnego czasu spokojnie czekałam, aż się ubierze, nie ingerując w kolejność zakładanych elementów odzieży. Szalik był długi i moja córka motała się w nim niczym kot w kłębku wełny.

– Basiu, pomoc ci? – zapytałam ostrożnie.

Basia kręciła się wokół własnej osi, wydając z siebie dziwne dźwięki. Parskała, warczała, sapała i jęczała zniecierpliwiona.

– Wypuść mnie! – krzyknęła wreszcie, co uznałam za odpowiedź twierdzącą. – Otwórz ten szalik!

– Nie kręć się tak, bo cię nie rozplączę. – Zaczęłam uwalniać dziecko z szalika, co było o tyle trudne, że ona, zamiast stać spokojnie wciąż się wierciła. – Robaki masz czy co?

– W przedszkolu są wszy – pochwaliła się Laura. – Nawet pani się drapała. I owsiki. Mamo, czy owsiki biorą się z owsianki? Stroje musimy mieć na dziś albo na jutro!

– Wszy i owsiki – jęknęłam. – Wspaniale!

Wyplątałam wreszcie Basię z szalika. Gdy obie dziewczynki były już gotowe do wyjścia, poczułam na plecach spływający pot.

– Opowiecie mi po drodze o tych owsikach i wszach, i balu karnawałowym. – Westchnęłam, otwierając drzwi wejściowe. – I jak ja mam was zostawić na tydzień w tej sytuacji!

Po drodze dowiedziałam się, że drapią się wszyscy, zatem kuracja jest niezbędna. Wstąpiłyśmy do apteki po stosowne środki. Pani farmaceutka, nadzwyczaj życzliwa, głośno i wyraźnie wyjaśniła mi działanie płynu na wszy oraz przeczytała na głos ulotkę wyjętą z opakowania leku na owsiki. Stojący w kolejce ludzie odsuwali się od nas jak od trędowatych. Z apteki udałyśmy się do domu moich rodziców. Odkąd między mną a nimi się poprawiło, widywaliśmy się codziennie. Zdarzało się, że przyprowadzałam dziewczynki do dziadków, a sama biegłam na spotkanie z klientami. W rodzinnym

domu wciąż jednak czułam się obco. Konieczność utrzymania poprawności w relacjach z rodzicami sprawiała, że doznawałam ogromnej ulgi, gdy wracałam do własnego mieszkania. Nic mnie tak nie męczyło jak nieustanne kontrolowanie samej siebie w ich obecności, zwłaszcza w obecności matki. Musiałam jednak przyznać, że oboje bardzo się zmienili. Czy na lepsze? Pod pewnymi względami – na pewno. Matka stała się bardziej powściągliwa, jeśli chodzi o komentarze pod moim adresem, choć nie wyzbyła się dawnej uszczypliwości.

Ojciec uciekał w pracę jeszcze częściej niż przedtem. Znikał na całe dni w swojej pracowni albo w biurze, robił się coraz bardziej markotny i trudny w kontaktach. Często bywał złośliwy lub zupełnie apatyczny.

– Ojciec prosił, żebyś przejrzała rachunki z tego roku.

Gdy usiadłam przy stole w pokoju, zamiast talerza z zupą matka postawiła przede mną ogromny karton wypełniony po brzegi papierami.

– Wzrok mu się pogorszył, a trzeba zrobić sprawozdanie dla zarządu. Najlepiej, jeśli wyrobisz się do poniedziałku. Dziś i jutro możesz nad tym posiedzieć, ja zajmę się dziećmi.

– Dlaczego księgowa tego nie robi? – zaprotestowałam energicznie, bo ilość skotłowanych w środku papierów przywodziła na myśl katorżniczą pracę przeznaczoną dla współczesnego Kopciuszka. – Jak mam to sprawdzać? Nie znam się na rachunkach! Z czym mam to porównać? Poza tym pojutrze wyjeżdżam. Byłam dziś w biurze podróży i załatwiłam do końca formalności. Dziewczynki mają wszy i owsiki.

– No tak, wyjeżdżasz – mruknęła niewyraźnie matka i wykonała taki gest, jakby chciała oprzeć się o powietrze. – To na razie posegreguj i zrób jakieś zestawienie. Dokończysz po powrocie. Trzeba ojca odciążyć. Księgowa robi swoje, ale te papiery należą do niego i sam musi się z tym uporać. Możesz przecież trochę pomóc.

Wyczułam w jej głosie napięcie. Dotychczas rodzice w żaden sposób nie angażowali mnie w firmowe sprawy. Spółką wcześniej zarządzał Cezary, który jak się później okazało, systematycznie

okradał przedsiębiorstwo. W niedługim czasie doprowadziłby je do całkowitego bankructwa. Moi rodzice ufali mu do tego stopnia, że gdy wszystko wyszło na jaw, ojciec zalecił przeniesienie obowiązków Cezarego na innego członka zarządu, a matka do końca występowała w obronie byłego zięcia. Dopiero po osadzeniu go w więzieniu przestali o nim mówić. Zupełnie. Jakby nigdy nie istniał.

Kiwnęłam jedynie głową na zgodę i rozłożyłam papiery na stole. Nie znałam się na księgowości. Nie przyjąłam żadnej konkretnej metody w segregowaniu dokumentów, więc prawie cały wieczór upłynął mi na układaniu ich na poszczególne stosiki, wedle dat wystawienia, nazwy kontrahenta lub sposobu płatności. Większość rachunków dotyczyła rozmaitych komponentów chemicznych o nazwach tak trudnych do przeczytania, że jeszcze trudniej było mi sobie wyobrazić, do czego służą. W krótkim czasie pokój pokrył się papierami, które rozkładałam na wszystkie strony.

– Zjesz coś? – Moja matka stanęła w progu pokoju. – Nie zabrałaś się jeszcze do pracy? Już wieczór!

– Jak to nie? Już prawie skończyłam! – Prezentując moje dzieło, energicznie zamachnęłam się nad kupą papierów, które z łagodnym szelestem rozpląły się na stole i podłodze.

– No tak, jak zwykle – podsumowała mnie matka. – Zrobiłam kanapki, dziewczynki już jadły, bawią się u siebie. To przynajmniej pozbieraj to jakoś. Może kogoś się poprosi...

Rachunki ponownie wylądowały w pudle. Byłam tak zmęczona, że nie pomyślałam nawet o zjedzeniu kolacji. Laura bąknęła coś o bajce, ale babcia zaproponowała im wieczorynkę w telewizji. Nie protestowałam. Gdy tylko program się zakończył, pojechałyśmy do domu. Położyłam dzieci spać, zapominając zupełnie o insektach i strojach na bal karnawałowy. Poszłam do swojego pokoju i położyłam się na łóżku w ubraniu. Zasnęłam natychmiast.

\*\*\*

– Zapomniałaś o strojach! – ofuknęła mnie rano Laura. – Nie mamy się w co przebrać.

– A kiedy ten bal? – zapytałam, ziewając. Nie wyspałam się, bo we śnie prześladowały mnie hordy owsików galopujących na ogromnych wszach. Uciekałam przed nimi w popłochu, potykając się o leżące na ziemi faktury i paragony. – Dzisiaj?

– Nie, za tydzień chyba – odpowiedziała Laura. – Dzisiaj mamy przynieść kostiumy.

– Skoro za tydzień, to nie ma pośpiechu. – Ziewnęłam szeroko. – Zdążymy coś przygotować. Dziś się tym zajmę. Pośpieszcie się, zaraz wychodzimy!

– Mamo, swędzi mnie – marudziła Basia. – Mam owsiki na głowie!

– Zapomniałam – powiedziałam, patrząc na córkę. – Dobrze, zrobimy tak: zostanieie dzisiaj w domu. Poproszę wujka Zbyszka, żeby z wami posiedział po południu, a teraz jazda do wanny, zrobimy kurację!

Dziewczynki z entuzjazmem pobiegły do łazienki. Ja tymczasem zatelefonowałam do Betki, aby ją uprzedzić, że nie przyjdę rano do biura. Potem wykonałam telefon do Zbyszka, ale nie odebrał. Laura i Basia piszczwały już w wannie, do której lała się woda. Zadzwoiłam szybko do przedszkola, żeby powiadomić o nieobecności dzieci.

– W przedszkolu panuje epidemia szkarlatyny – poinformowała mnie sucho przedszkolanka. – Proszę zatrzymać dzieci w domu dłużej.

Rozłączyłam się i przysiadłam na chwilę w fotelu. Następnego dnia leciałam na tydzień na Sycylię i ciążyło mi przekonanie, że powinnam się do tego jakoś przygotować. Może jednak pomóc rodzicom z tymi rachunkami? Postanowiłam jednak cały dzień zostać w domu z dziećmi, a wieczorem odwiedzić je do dziadków. Zadzwoiłam do matki, a ona wysłuchała tego, co miałam do powiedzenia, i po prostu się rozłączyła.

– Dobrze, dziewczynki – zawołałam nad ich głowami, wchodząc do łazienki. – Umyjemy łebki specjalnym szamponem, potem posiedzicie w ręcznikach na głowach, jeszcze potem wysuszymy się i wieczorem zawiozę was do dziadków. Nie pójdę dzisiaj do pracy.



Dziewczynki zaklaskały radośnie w rączki. Przeprowadziłam kurację przy użyciu specyfików z apteki, później zawiązałam im turbany z ręczników na głowach i wystawiłam dzieci z wanny. Laura włożyła piżamkę, a Basia spodnie i bluzkę. Pobiegły pobawić się do swojego pokoju. Wtedy zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, czy to Natalia? – usłyszałam ten sam, lekko drżący kobiecy głos, który zdenerwował mnie poprzedniego dnia. Poczułam na plecach nieprzyjemne ciarki.

– Czego pani ode mnie chce? – zaczęłam od razu, a mój głos był twardy jak orzech.

Kobieta oddychała niespokojnie i milczała przez dłuższą chwilę. Czekałam cierpliwie, sama nie wiem na co. Odczuwałam stres, ale nie potrafiłam się rozłączyć.

– To pani chciała ze mną rozmawiać, proszę więc mówić – przerwałam w końcu przedłużającą się ciszę.

Kobieta westchnęła głośno, odchrząknęła i powiedziała cicho:

– Jestem twoją matką, dziecko. Prawdziwą. Tą, która cię urodziła. Musisz poznać prawdę. Ja dowiedziałam się niedawno, że tak jest...

Zastygłam z telefonem w dłoni. Nie wiedziałam, co powiedzieć, jak zareagować.

– Kim pani jest? – zapytałam zupełnie bez sensu. – Po co pani do mnie dzwoni?

– Wiesz, że twoja matka, a raczej kobieta, która cię wychowała, nie jest twoją prawdziwą matką, prawda?

Zagryzłam wargi, usiadłam głębiej w fotelu, popatrzyłam niespokojnie w stronę drzwi do pokoju, ale głośna dyskusja dziewczynek sugerowała, że przynajmniej przez kilka minut do mnie nie przyjdą. Przyłożyłam telefon do drugiego ucha. Starłam się, żeby mój głos brzmiał zupełnie normalnie, ale przychodziło mi to z trudem.

– Proszę pani – zaczęłam powoli mówić – wiem, że jestem adoptowana. Moja matka powiedziała mi o tym. Wiem także, że personalia mojej biologicznej matki są nieznane, ponieważ mnie porzuciła. I oświadczam, że nie będę więcej na ten temat rozmawiać, więc proszę się rozłączyć i więcej nie telefonować, bo zawiadomię

policję, że pani mnie nęka!

– To nie jest prawda! – przerwała mi gwałtownie kobieta. – O Boże, nie znasz prawdy, nie wiesz, jak mi było ciężko! Ja...

– Nie interesuje mnie to – przerwałam jej brutalnie. – Ale nie zamierzam omawiać tego z panią przez telefon. W ogóle nie zamierzam tego z panią omawiać. To jest dla mnie temat zamknięty. Powtarzam, bardzo proszę nie telefonować więcej. Nie wiem, kim pani jest i czy robi to pani dla żartu, czy myli mnie z kimś innym. Nieważne. Proszę więcej nie dzwonić.

Nacisnęłam przycisk rozłączania i położyłam aparat na siedzeniu fotela. Wstałam i ruszyłam w kierunku pokoju dzieci. Zamknęłam za sobą drzwi, żeby nie słyszeć, że telefon znów dzwoni.

\*\*\*

– Mam do ciebie dwie prośby – powiedziała moja matka.

Wieczorem tego samego dnia obie stałyśmy w kuchni. Matka nad parującym garem z jakimś mięsiwem przygotowywała gulasz, a ja, oparta o blat, skubałam kromkę chleba.

– Po pierwsze, chciałabym, żebyś poszukała dobrego lekarza od guza mózgu. I dobrego szpitala. Może ten twój Robert kogoś poleci. Po drugie, chciałabym, żebyś kupiła mi nowy telefon. Z tym coś się dzieje, a ja się na tym nie znam. Musisz mi to załatwić. To jest ponad moje siły!

– Co się dzieje z ojcem?

Odwróciłam twarz, bo woń gulaszu zatykała mnie w nieprzyjemny sposób. Zachłystywałam się nielubianym zapachem. Informacja nie dotarła do mnie jeszcze, wciąż skubałam chleb.

– Ojciec jest chory, mówię przecież. Ma guza mózgu. – Matka wygłosiła ten komunikat takim tonem, jakby informowała mnie, że trzeba kupić pieczywo na kolację. – Telefon koniecznie muszę zmienić. Jak najszybciej. – Mieszała w garnku. – Lekarz, który badał ojca, twierdzi, że jeszcze można operować. Może nie powinnam prosić cię o to, ale ja się tym nie zajmę. Podaj mi łyżkę, spróbuję, czy dobre.

– Jak to, guza mózgu?! O czym ty mówisz?!

Zakrztusiłam się chlebem, który utknął mi w gardle, gdy wreszcie zarejestrowałam, co do mnie powiedziała. Wbiłam wzrok w matkę, tymczasem ona stuknęła łyżką o brzeg garnka.

– Lekarz uprzedzał, że ojciec może niedługo stracić wzrok i słuch. Nie dam sobie ze wszystkim rady. Dobre, tylko za mało pieprzne. Podaj mi pieprz.

Matka skupiła się na potrawie, a ja patrzyłam na nią, jakbym widziała ją pierwszy raz w życiu. Poczułam, jak robi mi się na zmianę gorąco i zimno. Trzęsłam się, gdy odkładałam skórkę chleba na blat. Matka znów zaczęła mieszać w garnku z gulaszem.

– Zostaw ten głupi garnek! – krzyknęłam na nią zniecierpliwiona. – Powiedz mi normalnie, co się dzieje. Skąd wiesz o raku?! Przestań mieszać to pieprzone mięso i porozmawiaj ze mną normalnie, słyszysz?!

Matka z ociąganiem oderwała się od gulaszu, wytarła ręce o spódnicę, podeszła do krzesła, usiadła i spojrzała na mnie. W jej oczach widziałam pustkę.

– On umiera – wychrypiała. – Źle się poczuł kilka tygodni temu, przewrócił się, stracił przytomność. Zabrało go pogotowie. Zrobili mu badania, bo narzekał, że boli go głowa. I okazało się, że ma raka mózgu. Ogromnego!

Nogi się pode mną ugięły. Oparłam się mocniej o blat, poczułam, jak cała krew odpływa mi z głowy. Matka zastygła na swoim krześle, a ja nie mogłam wydobyć głosu. Zagryzłam mocno wargi. Z salonu dobiegał odgłos wesołej kreskówki, świat wirował, gulasz zaczynał pachnieć przypalenizną, a my obie patrzyłyśmy gdzieś przed siebie.

– Trzeba znaleźć dobrego lekarza – słyszałam własny głos. Brzmiał dziwnie, obco. – Teraz można wszystko wyleczyć, przecież...

– Nie ma nadziei – przerwała mi matka. Wytarła twarz i nos w leżącą na stole ścierkę i wzruszyła ramionami. – To bardzo rozległy guz, lekarz powiedział mi, że stanie się cud, jeśli ktoś podejmie się operacji.

– To stanie się, kurwa, cud! – krzyknęłam na nią.

Chciałam podejść i uderzyć ją w twarz. Zawrzeć w tym całą moją rozpacz, złość i zaskoczenie. Wszystkie nagromadzone przez lata emocje. Patrzyłam na nią jak na winowajcę, który powinien wreszcie ponieść zasłużoną karę. Poczulałam w sobie siłę i moc, żeby ją uderzyć, oskarżyć o wszystkie przewinienia tego świata, opluć, zbluzgać, zabić. Zarazem ogarnął mnie żal. Gigantyczne, rozlewające się na wszystkie komórki mojego ciała rozgoryczenie pomieszane z litością. Patrzyłam na nią i współczułam jej, bo w jednej chwili przestała dla mnie istnieć. Przeistoczyła się w całkowicie bezbronną, pozbawioną swej raniącej natury kobietę, odartą z maski, makijażu, doskonałego kamuflażu, który czynił z niej mojego kata.

Matka starała się opanować, powstrzymać łzy i szloch, targając ją co chwilę. Wycierała nos w ścierkę, nie patrzyła na mnie. A ja stałam tak i przyglądałam się jej, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

– Co ja zrobię bez niego? – szeptała. – Co ze mną będzie? I jeszcze ten telefon!

– Ojciec wyzdrowieje, na pewno – mówiłam drewnianym głosem, chcąc samą siebie przekonać. – Znajdziemy pomoc, zobaczysz. Nie martw się.

Trwałyśmy tak jeszcze przez kilka minut. Nagle moja matka poderwała się jak oparzona. Dopadła garnka i z hurgotem zsunęła go z palnika.

– No i przypaliło się! – krzyknęła ze złością. – Gulaszu trzeba pilnować, a ty mnie rozpraszasz! Zamiast zająć się czymś... Wynocha! Idiotka!

Podeszłam do niej i próbowałam objąć, ale strzepnęła gniewnie moją rękę z ramienia.

– Dzieci kładź już, bo późno! Która to godzina, a tobie zbiera się na jakieś takie...

Odsunęłam się na kilka kroków, była już w swojej roli. Zawsze się tak zachowywała, gdy sprawy szły nie po jej myśli. Złością i agresją starała się przykryć zdenerwowanie, żal, pretensje. Frustrację rozładowywała pokrzykiwaniem na innych. Teraz dopiero to pojęłam. Po trzydziestu latach.

– Nie polecę jutro na Sycylię – postanowiłam. – Nie mogłabym w tej sytuacji. Robert jest w Kanadzie, ale może odbierze telefon. Polecą nam kogoś, coś doradzi.

– Zgłupiałaś chyba! – ofuknęła mnie matka, odwróciła się i zauważyłam w jej oczach iskry gniewu. – Przecież zapłacone! Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile ojciec musiał pracować, żebyś mogła urządzić sobie wakacje?! To nie kosztuje pięć złotych! Nic nie poradzę, że wybierasz się jak sójka za morze! Wszystko przepadnie, jeśli nie pojedziesz. Ojcu nie pomoże to, że zmarnujesz pieniądze. Sądzisz, że ucieszyłby się, wiedząc, że nie szanujesz jego pracy?! Prosiłam tylko, żebyś pomogła mi po powrocie, bo nie dam sobie rady ze wszystkim. Z nim i z firmą. Nie musisz od razu histeryzować!

– Nie zostawię teraz ciebie i ojca! – zaprotestowałam, ale matka z wściekłością machnęła ręką.

Zawadziła o pokrywkę od garnka. Ta spadła na podłogę, roztrzaskując się w drobny mak.

– Jedziesz na tydzień, nie na rok, poradzę sobie, jak zwykle –

syknęła matka i pochyliła się nad rozsypanym szkłem. – Myślałam, że to gruby plastik. Nietłukący się. Wrócisz, będzie co robić. Dzieci połów już.

Wycofałam się z kuchni. Przez chwilę zakręciło mi się w głowie. Może przeżyłam szok spowodowany informacją o śmiertelnej chorobie ojca, a może ta gwałtowna przemiana, która we mnie zaszła, gdy po raz pierwszy w życiu spojrzałam na matkę inaczej, sprawiła, że poczułam się nieswojo.

Stojąc w korytarzu, spojrzałam na drzwi prowadzące do pokoju ojca. Zawahałam się, zabrakło mi jednak odwagi, by pójść do niego. Weszłam do salonu i zawołałam dziewczynki, które oglądały bajkę w telewizji. Świat znów zawirował. To, co robiłam później, przypominało odgrywanie roli w jakiejś sztuce o życiu. Patrzyłam na siebie z boku, jakbym oglądała film, a nie grała w nim. Padła więc kwestia dotycząca mycia, następnie obiecałam przeczytać bajkę, pożegnalny buziak na dobranoc, mocny uścisk.

\*\*\*



Tej nocy nic mi się nie śniło. Nie pamiętam, o czym myślałam, pakując następnego dnia z samego rana walizkę. Dzieci jeszcze spały, gdy pojechałam do swojego mieszkania. Kiedy zadzwonił telefon, spojrzałam przelotnie na numer kończący się trzema szóstkami i pomyślałam, że wyjazd na Sycylię jest mi bardzo potrzebny.

– Bardzo was proszę, bądźcie dobre dla dziadka i babci – zwróciłam się do córeczek dokładnie godzinę później. – Wrócę za tydzień, przywiozę wam coś ładnego.

– Ja chcę kawałek księżycy – poinformowała mnie Basia. – Taki błyszczący.

– A ja chcę lody – dodała Laura.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Uśmiechnęłam się, obdarowałam każdą po kolei buziakiem i wyszłam, przymykając za sobą drzwi do salonu w domu moich rodziców.

Dziewczynki jadły śniadanie. W korytarzu, przed drzwiami do pokoju ojca, stała nieruchomo matka. Podeszłam do niej i gdy dotknęłyśmy się ramionami, zapytałam:

– Może zostanę?

W pierwszej chwili nie zareagowała. Potarłam dłonią czoło, zagryzłam wargi i dotknęłam jej. Po wczorajszym przeżyciu pozostała we mnie sztuczność w gestach. Zupełnie jakby dotychczasowe odruchy zdezaktualizowały się, a nowych jeszcze nie zaprogramowałam. Wzdrygnęła się, jakbym potraktowała ją prądem.

– Zostanę, mammo.

– Dałaś im coś na te owsiki? – zapytała mnie ostrym tonem, nie odwracając głowy.

Ten ton nie działał już na mnie tak jak poprzednio. Brzmiał raczej żałościwie niż groźnie.

– Tak – odpowiedziałam. – Za trzy tygodnie powtórka. Umyłam im głowy specjalnym szamponem na wszy, ale jutro zerknij przy dziennym świetle, czy coś się nie kluje.

– Na wszy najlepsza jest nafta – odpowiedziała moja matka, nie zmieniając pozycji. – Weź tę małą suszarkę, jest w łazience. Może się przydać.

– Dobrze. Pożegnaj się z ojcem.

– Nie budź go, przecież jedziesz tylko na tydzień.

Poczułam ukłucie w sercu, a zarazem wiedziałam, że matka ma rację. Ojciec ostatnio źle sypiał, narzekał na ból głowy. To, że wreszcie udało mu się przespać całą noc spokojnie, było nie do przecenienia i moja chęć uściskania go przed wyjazdem nie mogła stać się ważniejsza.

– Zadzwoń, jak wylądujesz, dzieci się ucieszą – dodała matka, gdy zapięłam płaszcz i chwyciłam walizkę. Otworzyła mi drzwi i patrzyła gdzieś ponad moją głowę.

– Tak zrobię. Do widzenia – odpowiedziałam.

Czułam, że powinnam zrobić lub powiedzieć coś więcej, ale w tamtej chwili nie umiałam się na to zdobyć. Po prostu wyszłam.

\*\*\*

Na lotnisku pomimo wczesnej pory kłębił się tłum podróżnych. Odnalazłam właściwe stanowisko odpraw i ustawiłam się w długiej kolejce. Tuż przede mną stał niemłody, krępy mężczyzna wyposażony w dwie duże granatowe walizy i jedną małą walizkę na długiej rączce. Rozglądał się niespokojnie i stale trzymał telefon przy uchu. Odprawa przebiegała wolno, przesuwaliśmy się w ślimaczym tempie. Zamyśliłam się tak bardzo, że musiał uszczypnąć mnie w ramię, żebym zareagowała.

– Czy może pani popilnować moich walizek, bo muszę iść do toalety? To te niebieskie.

Zawahałam się. Facet był bardzo zdenerwowany, prawdziwy kłębek nerwów. Zaatakował mnie tym pytaniem nagle i dość agresywnie. Właściwie nie była to prośba, lecz polecenie. I jeszcze to uszczypnięcie.

– Niechętnie – bąknęłam. – A co, jeśli będzie pana kolej, a pan nie przyjdzie?

Moje pytanie mogło wydać się bez sensu w sytuacji, gdy od stanowiska odpraw dzieliło nas jakieś trzysta osób. Mężczyzna spojrzał na mnie groźnie i powiedział do słuchawki coś o bardzo nieżyczliwych ludziach w tym mieście. Wtedy z pomocą przyszedł mi ktoś, kto stał w kolejce tuż za mną.

– Pan idzie, najwyżej zgłosimy, że ktoś porzucił bagaż i zdetonują go na poligonie.

Odwróciłam głowę. Słowa wypowiedział wysoki blondyn o cudownie granatowych oczach. Bardzo przystojny, elegancki, w średnim wieku. Uśmiechnęłam się do niego, a on mrugnął do mnie porozumiewawczo. Przyszło mi do głowy, że to on powinien stać się właścicielem tych niebieskich walizek, pasowałyby mu do oczu.

– No co pan?! Jaki poligon?! – zdenerwował się jeszcze bardziej facet z telefonem. – Tam są moje rzeczy osobiste!

– Idź pan już – ponaglił go właściciel niebieskich oczu. – Nie będą nas przecież odprawiać do rana.

Krępy mężczyzna oddalił się pośpiesznie, biorąc ze sobą telefon i małą walizkę. Kilka razy obejrzał się niespokojnie, ale kolejka ani drgnęła.

– Chętnie pomagam ludziom, ale opiekowanie się cudzym bagażem na lotnisku jest cokolwiek niekomfortowe – zagadałam do mężczyzny stojącego za mną.

Zauważyłam, że przesuwiał kolanem niedużą walizkę.

– To prawda – przytaknął. – Z drugiej strony nie możemy histeryzować. Jeśli gość nie wróci za kilkanaście minut, opowiemy o nim i jego bagażu tym dwóm z karabinami, którzy podpierają ścianę.

Kolejka nagle ruszyła. Uruchomione zostały dwa dodatkowe stanowiska odpraw i zaczęliśmy przesuwając się dość szybko. Blondyn pomógł mi przesunąć walizy krępego, ale zaniepokoiłam się mocno, gdy przede mną oczekiwały już tylko trzy osoby, a właściciela ekwipunku wciąż nie było.

– Zatrzasnął się w tym kiblu czy co? – mruknęłam pod nosem.

Blondyn roześmiał się, najwyraźniej usłyszał, co powiedziałam.

– Spokojnie. – Pochylił się w stronę mojego ucha i szepnął: – Przejmujemy kontrabandę?

Parsknęłam śmiechem, bo wyobraźnia podsunęła mi obraz półtuszy ukrytej starannie w walizach między koszulami krępego. Gdy nadeszła moja kolej do odprawy, facet nagle się pojawił.

– Wszędzie kolejki! – zwrócił się do mnie z pretensją. – Co to za miasto! Dzikie jakieś! U nas, w Katowicach, nie ma takich problemów!

Wzruszyłam ramionami. Krępy z wysiłkiem umieścił bagaż na wadze, posprzeczał się z odprawiającą, że urządzenie oszukuje, bo ważył wszystko w domu i było dobrze, a teraz jest nadbagaż, po czym odszedł wreszcie, ciągnąc za sobą małą walizkę. Niebieskooki pomógł mi z moją, która nie była wcale ciężka. Doceniłam jednak uprzejmy gest z jego strony, posyłając mu przyjemny uśmiech. Wciąż jeszcze czułam się sztuczna i nieszczerza, mimo to odeszłam, licząc na to, że jeszcze się spotkamy i porozmawiamy dłużej. Do odlotu pozostało niewiele czasu. Uznałam, że lepiej będzie przejść kontrolę osobistą i spokojnie poczekać w pobliżu wejścia do samolotu. Zamierzałam również zadzwonić do domu.

– No tak, tutaj znów stoję w kolejce do prześwietlenia! –

Skrzekliwy głos krępego właściciela waliz usłyszeli wszyscy pasażerowie oczekujący przed bramkami kontrolnymi.

Facet narzekał na smak kawy sprzedawanej w barze, na oświetlenie lotniska, na to, że sprzątaczkę są źle ubrane, bo trudno je rozpoznać z daleka, i na wiele innych rzeczy. Stał tuż za mną, co odczuwałam co chwila, gdy wpadał na mnie niechcący lub nadeptywał mi na pięty.

– Może pan się śpieszy? – zapytałam go w końcu. – Chętnie pana przepuszczę.

Facet kiwnął głową na zgodę i ruszył do przodu, jakby chciał przeze mnie przeniknąć. Zdążyłam się odsunąć, zanim mnie staranował, ale jego walizka przejechała mi po stopach.

– Jedna pani mnie przepuściła – krępy poinformował natychmiast kogoś przez telefon. – Tak, tylko jedna. No nie wiem, może się nie spóźnię. Tu wszystko wolno idzie. U nas szybciej to robią. Tak, nakleję. Napis jest na walizce. Dobrze. Zapytam. Czy pani widzi tę naklejkę? – ostatnie słowa były zwrócone do mnie.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co mu chodzi. Dopiero kiedy podniósł walizkę i zbliżył do mojej twarzy tak, że prawie mogłam ją polizać, domyśliłam się, że chodzi mu o tapetę złożoną z naklejek, którą udekorował całą powierzchnię bagażu. Były to nalepki, na których zwykle wpisuje się imię, nazwisko oraz adres właściciela. Na tych widniało jedno zdanie, powielone w kilku językach: „W razie katastrofy przekazać niezwłocznie mojej mamie, w Katowicach”.

– Owszem, nalepka jest widoczna – powiedziałam ostrożnie.

Mężczyzna przekazał moją odpowiedź przez telefon.

– Nie orientuje się pani, ile silników zapasowych posiada przeciętny samolot? – ponownie zwrócił się do mnie mężczyzna.

Pokręciłam głową przecząco.

– Z tego, co wiem, to ani jednego – usłyszałam głos zza pleców. – Wszystkie silniki są uruchamiane i pracują podczas całego lotu.

– Nie mają – rzucił do telefonu krępy facet. – Nie wiem, czy w takiej sytuacji powinienem lecieć.

– Statystycznie rzecz ujmując, samolot to najbezpieczniejszy środek transportu. – Głos należał do właściciela granatowych oczu. –

Oczywiście wyłączając konie.

– Jakie konie? – Zmarszczył brwi ten krępy. – Mechaniczne?

– Nie, prawdziwe – odpowiedział poważnie blondyn. – Mam na myśli zwierzęta. Najbezpieczniej podróżować furmanką. Zawsze może pan wyskoczyć.

– Aha – przyjął do wiadomości facet z telefonem. – Ale ja lecę na Sycylię.

– No tak – przyznał blondyn. – Zeszłoby się panu trochę, to jednak daleko.

– Co? – krzyknął tymczasem do telefonu krępy. – Nie z barmanką, tylko furmanką! Co?! Furmanką! Taki wóz ciągnięty przez konia! Nie! Nie zabieram konia! Mogę przyjechać furmanką! Tak. Konną. Co?! Jak to wziąć do samolotu? Konia z furmanką?!

Parsknęłam śmiechem. Blondyn także uśmiechał się nieznacznie, a pozostali pasażerowie przyglądali nam się z ciekawością. Kolejka przesuwała się dość szybko, zatem część konwersacji mi umknęła.

– Musi pan odłożyć telefon – pouczył krępego funkcjonariusz, gdy dotarliśmy do stanowiska prześwietlania bagażu podręcznego. – Proszę zdjąć pasek od spodni i przejść przez bramkę.

– Zaraz wracam! – krzyknął do aparatu krępy, uwolnił pasek ze spodni i trzymając opadającą odzież w garści, przeszedł przez bramkę.

Chwilę później znów krzyczał do telefonu, opisując rozmówcy, co widzi przed sobą.

– Pani brzeczy – zwrócił mi uwagę funkcjonariusz, gdy mijałam urządzenie czułe na metal. – Ma pani coś metalowego na sobie?

– Druty w biustonoszu – odpowiedziałam uczciwie.

Kątem oka zauważyłam, że blondyn uśmiechnął się szerzej na te słowa. On przeszedł bez przeszkód, odwrócił się tylko na chwilę, a następnie odszedł i zmieszał się z tłumem podróżnych. Zostałam przeszukana przez funkcjonariuszkę, która uznała, że nie stanowią zagrożenia. Miejsce oczekiwania na wejście do samolotu znajdowało się niedaleko. Ruszyłam w tamtą stronę.

W tej samej chwili zadzwonił mój telefon.

– Słuchaj, mam do ciebie ogromną prośbę, a właściwie dwie... –



W głosie Zbyszka wyczuwałam napięcie. – Chodzi o Ilonę. – Nie daje mi żyć. To dobra kobieta, ale okropnie zazdrosna. Stale mnie kontroluje, szpieguje, sprawdza. Doszło do tego, że nie mogę wyjść z kolegami na piwo, bo urządza naloty. Nie wiem już, co robić.

– Rozmawiałaś z nią?

Zbliżyłam się do krzesełek w poczekalni, na jednym z nich położyłam moją torbę.

– Tak, wielokrotnie – rozkręcał się Zbyszek. – Poprzedni mąż ją zdradzał i jest przewrażliwiona. Ale mówię ci, to jest nie do zniesienia. Z każdego kroku muszę się tłumaczyć, z każdej dłuższej rozmowy przez telefon. Jeśli to się nie zmieni, to odejdę od niej. Pomożesz?

– Jasne, Zbyszku. Umówię was na mediację, ale dopiero kiedy wrócę, czyli za tydzień. Jestem teraz na lotnisku, jadę na wakacje, które zafundowali mi rodzice. Ale wiesz, że będę musiała ujawnić fakt, że się znamy?

– Tak, nie szkodzi. Podam jej twój numer telefonu, prawdopodobnie będzie chciała z tobą porozmawiać przed spotkaniem. Wiesz, ona podejrzewa mnie o romans z każdą kobietą na tej planecie!

– Tak mocno cię kocha? – zażartowałam.

– Raczej bardzo się boi. Pomóż, kochana, bo zwariujemy! – Zbyszkowi najwyraźniej nie było do śmiechu.

– Dobrze, zrobię, co w mojej mocy!

– Kochana, zrób więcej, proszę cię – mówił coraz szybciej Zbyszek. – Właśnie skończyłem porządkować moje lampy. Wszystko już sobie zorganizowałem w piwnicy, tematycznie i chronologicznie, wpadnij kiedyś, to ci pokażę!

– A ta druga prośba?

– Aha, druga prośba to taka, żebyś nie mówiła Betce, że dzwoniłem do ciebie.

– Dobrze, odezwę się, gdy wrócę!

Usłyszałam komunikat, że mój samolot, czeka już na przyjęcie pasażerów. Pożegnałam Zbyszka i ruszyłam w stronę stanowiska *boardingu*. Niepokoila mnie myśl, że nie zdążę zadzwonić do domu,

a bardzo chciałam powiedzieć ojcu choć kilka słów.

– Poproszę pani paszport i kartę pokładową. – Stewardesa uśmiechnęła się do mnie.

W tym momencie zorientowałam się, że torbę z dokumentami zostawiłam na krześle w poczekalni. Chciałam się wycofać, zrobiłam krok do tyłu i wtedy z całą mocą nadepnęłam komuś na stopę. Ów ktoś zawył, podskoczył na drugiej nodze, upuszczając zarazem telefon trzymany w ręce.

– Bardzo pana przepraszam – bąknęłam speszona. Rozpoznałam w nadepniętym krępego. – To było niechcący.

– Wiedziałem, że nie powinienem był lecieć!

Sytuacja została opanowana dość szybko. Telefon nie był uszkodzony, a krępy natychmiast skonsultował się z głosem w słuchawce i pomimo ogromnych wątpliwości wkroczył do tunelu prowadzącego do samolotu. Zabrałam torebkę z krzesła i ustawiłam się w kolejce do kolejnej odprawy. Tym razem nie było przy mnie przystojnego blondyna. W samolocie z żalem zauważyłam, że zajął miejsce z przodu, podczas gdy mnie posadzono bliżej ogona. Krępy facet usiadł pośrodku maszyny, na środkowym siedzeniu, i przez dłuższy czas stanowczo odmawiał wyłączenia telefonu.

Kiedy samolot zaczął kołować na pas startowy, przestałam zwracać uwagę na to, co dzieje się wewnątrz. Kilkakrotnie wybierałam numer komórkowy ojca i matki, ale nikt nie odebrał. W końcu też musiałam wyłączyć telefon.

Zamyśliłam się. Wiadomość o chorobie ojca wwierciła się w moją świadomość i nie pozwalała o sobie zapomnieć. Wprawdzie powtarzałam sobie, że obecnie istniały metody leczenia najzłośliwszych odmian nowotworów, ale w sytuacji gdy choroba dotyczyła mojego ojca, było to marne pocieszenie.

Pomyślałam o Robercie, który wyjechał na staż naukowy do Kanady. On, jako lekarz, z całą pewnością umiałby mnie uspokoić, choćby tym, że wskaże najlepszego w kraju specjalistę od guzów mózgu. Guz mózgu. Jakie to straszne słowa. Podstępny intruz, który kryje się w czyjejs głowie i doprowadza do śmierci, czyniąc po drodze spustoszenie w postaci zaburzeń snu, pamięci, widzenia, słuchu,

węchu i wielu innych. Odbiera komuś życie po kawałku, nie przejmując się planami tej osoby, jej osiągnięciami, stanowiskiem czy zobowiązaniami. Złodziej czasu, którego życie zawsze nam skąpi.

Ogarniał mnie coraz większy lęk. Z ojcem nie byłam bardzo zżyta, niemniej jednak obawa, że być może niedługo go stracę, przeważała. Zrodziło się we mnie poczucie winy, że jadę na urlop, zostawiając rodziców w takiej sytuacji.

Moje rozmyślenia przerwała stewardesa. Pokręciłam przecząco głową, choć nie usłyszałam ani jednego słowa z tego, co do mnie powiedziała. Oparłam głowę o siedzenie i znów oddałam się refleksjom.

Ta kobieta. Wie, jak miałam kiedyś na imię. Kto to jest? Dlaczego nie mogę zapomnieć o tych telefonach?

– Bardzo proszę odłożyć kamizelkę ratunkową na miejsce. – Podniesiony głos stewardesy przedarł się do mojej świadomości. – Nie wolno mieć jej na sobie podczas lotu!

– Lecimy nad morzem! W każdej chwili samolot może runąć w dół!  
– Krępy najwyraźniej jeszcze się nie zrelaksował. – Pani sprawia, że nie czuję się bezpiecznie!

– A pan sprawia, że... – Kobieta nie dokończyła zdania.

Do rozmowy wtrącił się mężczyzna ubrany w mundur pilota.

– Szanowny panie, może zechce pan zamiast kamizelki zapiąć pas bezpieczeństwa. Zgodnie z procedurami zachowanie bezpieczeństwa na pokładzie tego wymaga. Zechce pan zapoznać się z instrukcją?

Na dłuższy czas zapadła cisza. Domyśliłam się, że krępy przyjął propozycję pilota.

Skąd mogła mieć mój numer? Znalazła w internecie. To nietrudne. Ale jak dowiedziała się, że ja to... Nie, wtedy skontaktowałyby się ze mną jakaś instytucja. Przecież dzieci adoptowane zmieniają tożsamość, przyjmują nazwisko przybranych rodziców, zmieniane są dokumenty. Jak ona to ustaliła? Nie. To niemożliwe. Zbieg okoliczności. To na pewno jakaś oszustka. Okradają ludzi metodą na wnuczka, a ona wymyśliła sobie własny patent. Na biologiczną matkę, która odnalazła się po latach. Po prostu trafiła, niechcący. Ślepy fart. Rozczaruje się biedaczka, bo u mnie nie ma co ukraść.

Krępy nie wytrzymał długo. Zaalarmował obsługę samolotu i prawie wszystkich pasażerów, że samolot spada, ponieważ przestał widzieć chmury. Krępy, nie samolot. Wyjaśnienie, że brak chmur oznacza po prostu piękną pogodę, bo zbliżamy się już do celu, nie zostało przyjęte bezkrytycznie. Krępy domagał się podania technicznych parametrów lotu, przyklejał nos do szyby znajdującej się przy jego siedzeniu, następnie porównywał widok z tym, co zobaczył po przeciwnej stronie, kładąc się prawie na kolanach rozbawionych pasażerów.

– Kto go wypuścił z wariatkowa? – mruknął siwy mężczyzna, który siedział obok mnie, pogrążony dotychczas w lekturze czasopisma. – Kontrolują, czy ktoś nie wnosi na pokład noża, a taki szalenciec jest stokroć gorszy!

– Myślę, że to stres – odpowiedziałam. – Ludzie różnie ludzie reagują w zamkniętej przestrzeni samolotu, który znajduje się w powietrzu. Sama świadomość, że nie można wysiąść, może wywołać panikę.

– Pani jest psychologiem? – zainteresował się mężczyzna i odłożył pismo. – Albo psychiatrą? Mogłaby mu pani pomóc. I nam wszystkim przy okazji. Należy okazywać więcej empatii i altruizmu!

– Jestem mediatorem. – Uśmiechnęłam się. – Pomagam w innych sytuacjach. A podczas urlopu mogę być mniej empatyczna.

– Mimo wszystko mogłaby pani wykorzystać swoje umiejętności, żeby uciszyć tego pana – nie ustępował pasażer. – To okropne, męczyć się z kimś takim.

– A pan kim jest z zawodu? – zaatakowałam go.

– Filozofem – oświadczył starszy pan. – Profesorem filozofii, już emerytowanym. Udaję się na Sycylię, żeby odpocząć. Czytam właśnie niezwykle interesujący artykuł na temat tej wyspy i czyjeś nieodpowiednie zachowanie mnie rozprasza i irytuje. Odczuwam ogromny dyskomfort.

– Ja też. – Uśmiech nie schodził mi z twarzy. – Wsiadając do tego samolotu, rozpoczęłam urlop. Liczyłam na to, że nie będę pamiętać o pracy co najmniej przez tydzień. A ten pan, wydaje mi się, jest tylko trochę przestraszony, w żadnym wypadku groźny.

Starszy pan chrząknął wymownie i nakrył się swoją gazetą. Krępy zajął miejsce i znów zapadła cisza, przerywana jedynie jego sporadycznymi stęknięciami. Samolot podchodził do lądowania.

Na lotnisku w Katanii blondyn mignął mi tylko przed oczami. Jego bagaż pojawił się na taśmie jako pierwszy. Mężczyzna zdjął go jednym sprawnym ruchem i nie oglądając się za siebie, szybko zniknął w drzwiach prowadzących do wyjścia. Krępy, który zaraz po wylądowaniu włączył telefon, stał z boku i referował komuś przebieg podróży. Słyszałam fragment tej rozmowy. Wynikało z niej, że lecieliśmy kilka centymetrów nad ziemią, miotani przez wichry i huragany, co sekundę ocierając się o śmierć. Krępy twierdził, że nie ustawał w uspokajaniu pasażerów, z narażeniem życia niósł pomoc najbardziej potrzebującym, przy czym o jaką pomoc chodziło – nie powiedział. Obecnie przebywa na lotnisku, które już wkrótce niechybnie zostanie wysadzone w powietrze, musi więc rozłączyć się na chwilę, żeby wynieść na własnych plecach niepełnosprawnych, starców, dzieci i kobiety w ciąży.

Zdjęłam z taśmy moją walizkę i udałam się do wyjścia. Na zewnątrz zaczynał padać deszcz. Kropelki kapały nieśmiało tu i ówdzie, ale ciemne chmury wiszące nad lotniskiem nie pozostawiały żadnych wątpliwości – będzie padać, i to mocno.

– Panią poproszę na bok – oznajmił dźwięcznym głosem rezydent, który oczekiwał na turystów przed wejściem na lotnisko. – Pani pojedzie taksówką.

– A skąd to wyróżnienie? – zdziwiłam się. – Jestem państwa milionowym klientem czy co?

– Nie, nie – powiadomił mnie rezydent z uśmiechem. – Wybrała pani hotel położony po drugiej stronie wyspy, z dala od tych, które zarezerwowali inni klienci. Bardziej opłaca nam się przewieźć panią taksówką niż wydłużyć trasę autobusu, który rozwozi turystów. Zapraszam.

Gestem wskazał mi taksówkę, która już na mnie czekała. Kierowca otworzył drzwi, walizkę umieścił w bagażniku. Gdy usiadł za kierownicą i zapuścił silnik, lunął deszcz. Obserwowałam przez szybę ludzi biegnących w popłochu do zaparkowanych dość daleko

autokarów. Między nimi dostrzegłam krępego, który ciągnął z wysiłkiem swoje granatowe walizy.

Hotel, w którym zostałam zakwaterowana, był położony nad przepiękną zatoką. Przydzielono mi pokój z widokiem na morze. Fakt, że lało jak z cebra, nie wzbudzał we mnie negatywnych emocji. Wilgotne, lecz ciepłe powietrze podziało usypiająco, zostawiłam więc nierozpakowaną walizkę, rozebrałam się i położyłam na łóżku. Chwilę później smacznie spałam.

\*\*\*

Zadzwonilo dokładnie w tym momencie, kiedy kelner zbliżal się do mnie z parującym daniem. Zatrzymał się jak rażony piorunem i utkwil wzrok w leżącym na stole widelcu, który najzwyczajniej w świecie dzwonił i wibrował. Zrezygnowana odebrałam ten widelec.

– Czy może mi pani odpowiedzieć na jedno pytanie? – Głos, który przerywał mi smakowity sen, należał do kobiety. – Chciałabym wiedzieć, dlaczego Zbigniew wczoraj mnie okłamał? Znowu! Ja jestem Ilona, jego partnerka, może pani wspominał. Powiedział mi wczoraj, że rozmawiał z panią i że pani ma do niego zaufanie. Nie wiem, jak może pani mu ufać, skoro to notoryczny kłamca!

– Pani Ilono... – wymamrotałam rozespana. Widocznie Zbyszek już udostępnił jej numer telefonu do mnie. – Bo ja...

– Okłamał mnie i to znowu, bo ja wiem, że on wciąż kłamie! – kontynuowała kobieta. – Twierdził, że wychodzi, żeby kupić bułki, a w siatce były też pomidory!

– No i co z tego?

Na parującym talerzu, zdaje się, też były pomidorki, suszone, podsmażane, smakowite...

– A to, że w piekarni nie sprzedają pomidorów! – uświadomiła mi pani Ilona. – To o czym to świadczy?!

– Że się niedługo zamkną, bo mają zbyt ubogi asortyment. – Staralam się nie ziewać do słuchawki. – Pani Ilonko, bardzo panią przepraszam...

– To nie pani powinna przepraszać, tylko ten kłamca! – przerwała mi pani Ilona. – Jak on chce ratować nasz związek, skoro ciągle kłamie! No, niech mi pani odpowie na to jedno pytanie!

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą. – Proszę się uspokoić, porozmawiamy w czwartek, za tydzień, kiedy wrócę.

– Przecież ja jestem spokojna – zdziwiła się pani Ilona. – To ten oszust niech się boi, bo jeśli znów złapię go na kłamstwie, to będziemy inaczej rozmawiać! Do widzenia!

Nie dociekałam już, czy pani Ilona będzie inaczej rozmawiać ze mną, czy ze Zbyszkiem. Odłożyłam telefon i zamknęłam oczy w nadziei, że wspaniałe danie jeszcze nie ostygło, ale przerwany sen jest jak niedopieczony ciasto, nie da się go już uratować.



Tego samego dnia wieczorem udałam się na kolację. Kuchnia włoska należy do najsmaczniejszych na świecie, nic dziwnego, że nie mogłam się zdecydować, co wybrać z bogatego menu restauracji hotelowej. Spędziłam tam trochę czasu, delektując się makaronem i owocami morza. Nasycona, wróciłam do pokoju. Godzina była jeszcze wczesna. Sięgnęłam szybko po telefon i od razu zaważyłam nieodebrane połączenie z numeru rozpoczynającego się od dwóch szóstek. Zignorowałam to i zadzwoniłam do dawnego przyjaciela.

– Robert? Bardzo potrzebuję twojej pomocy!

Robert, który jakiś czas temu stanowił część mojego życia, odszedł od tak, po prostu. Dlaczego to się rozpadło? Wybierał się na zagraniczny staż do znanej kliniki ortopedycznej, ale nawet w takich okolicznościach związki trwają. Wydawało mi się, że zamknęłam ten temat, pogodziłam z faktem, że Robert był, a teraz go już nie ma, tymczasem, gdy usłyszałam jego powitanie, zaszumiało mi w głowie.

\*\*\*

Nie dałam mu jednak dojść do słowa. Przedstawiłam sytuację ojca w najczarniejszych barwach, pomimo że dysponowałam niezwykle skromną wiedzą. Rak mózgu, ogromny, nie wiem, w jakim stadium. Ojciec umiera.

Robert uspokajał mnie, cierpliwie tłumacząc, że bez znajomości szczegółów niewiele może poradzić. Ostatecznie obiecał, że skontaktuje się z moją matką, wypyta ją o wszystko i znajdzie pomoc dla ojca. Byłam pełna nadziei i nie zwróciłam uwagi na to, że rozmawiał ze mną bardzo oficjalnie, jak z pacjentką, a nie z niedoszlą partnerką życiową. Przecież rozstaliśmy się w zgodzie?!

Kolejny telefon wykonałam do matki, zapominając, że w tej samej chwili Robert pewnie też usiłuje się z nią połączyć.

– Mamo, mamy do ciebie bardzo ważną sprawę! – powiedziała Laura, gdy po serii powitalnych okrzyków na krótką chwilę zapadła cisza. – Obiecuj, że się zgodzisz!

– Obiecuję, że nie powiem od razu „nie” – zaczęłam dyplomatycznie. – Czy ta sprawa nie może poczekać do mojego powrotu? Muszę porozmawiać z babcią.

– Babcia jest zajęta – padła zdecydowana odpowiedź. – Musisz obiecać teraz.

– Mów, o co chodzi – zarządziłam.

– Chcemy na wakacje pojechać nad morze, obiecujesz, że pojedziemy?

– Tylko tyle? – rozluźniłam się. – Dobrze, obiecuję. Co dziś robiliście?

– Nic specjalnego – rzuciła szybko Laura. – Baśka wylała na siebie cały garnek zupy. Babcia była zła.

– Nie poparzyła się?!

– Nie, bo to była taka zupa, która jeszcze się nie gotowała. Babcia ją dopiero robiła. Skrzyczała Baškę, że jest pokraka.

– A później, co robiliście? Wyszliście na dwór?

– Nie – odparło dziecko. – Nie mogliśmy, bo babcia by wtedy umarła.

– Co za głupstwa opowiadasz? Dlaczego miałyby umrzeć?

– Babcia pokłóciła się strasznie z jedną panią sąsiadką i aż się

popłakała. I powiedziała, że nie może już żyć, bo ma ściśnięte serce! – poinformowała mnie Laura.

– Dobrze, a Basia jest? Mogę z nią porozmawiać?

– Baśka paruje głowę – usłyszałam w słuchawce. – Babcia robi nam teraz kurację na wszy i na katar jednocześnie. Siedzimy pod ręcznikiem i oddychamy parą.

Wyobraziłam sobie córki, które moja matka trzyma przemocą nad parującym garnkiem wypełnionym naftą, i zrobiło mi się słabo.

– Daj mi babcię! – zażądałam od Laury. – Ty się nie parujesz?

– Ja już jestem odparowana! – krzyknęła dziewczynka. – Przywieź mi strój księżniczki!

– Dobrze, daj babcię do telefonu!

Chwilę trwało zanim moja matka przejęła aparat od wnuczki. Szybko powiedziałam jej o rozmowie z Robertem. Matka wydawała się być bardzo spokojna, stwierdziła, że ojciec był dziś rano w dobrej formie i postanowił pojechać na krótko do firmy. Zabrał ze sobą pudło z rachunkami, które segregowałam.

– Nie histeryzuj – zbeształa mnie. – Masz dziwne skłonności, żeby popadać w przesadę. Ojciec się leczy, ale to naturalne, że leczenie może potrwać. Oczywiście, jeśli Robert zechce jakoś pomóc, to będziemy wdzięczni, ale nie musisz wszystkich stawiać na nogi!

Przełknęłam tę gorzką pigułkę i zapytałam o szczegóły kontrowersyjnej terapii stosowanej na moich dzieciach. Usłyszałam, że wdychają napar z majeranku i pokrzywy, który podobno doskonale zabija także owsiki. Porozmawiałyśmy przez kilka minut o niczym. Gdyby tę rozmowę odsłuchiwał ktoś obcy, uznałby, że nic poważnego nas nie łączy, ot, dwie znajome rozmawiają sobie dla zabicia czasu. Nie drażyłam jednak tematu choroby ojca. Wiedziałam, że tą drogą i tak nic nie uzyskam, a jedynie zepsuję sobie urlop, gryząc się tym, że znów jesteśmy skłócone.

Gdy matka zapytała w pewnej chwili, czy spotkało mnie coś szczególnego, przez ułamek sekundy zamierzałam powiedzieć jej o dziwnych telefonach, ale przemilczałam to. Wewnętrzny głos natychmiast podpowiedział mi, że byłby to poważny błąd.

Po rozmowie odłożyłam telefon na stolik i znów poczułam

zmęczenie. Zamiast obserwować przepiękną burzę z piorunami nad sycylijskim morzem, zgasiałam światło i położyłam się spać.

Następnego dnia, z samego rana, otrzymałam SMS od Betki. Donosiła, że znalazła idealne biuro dla nas, przestronne, trzypokojowe, usytuowane niedaleko przedszkola dziewczynek i bardzo tanie. Wzięłam telefon do ręki i wybrałam właściwy numer.

– A to nie jest podejrzane, że takie tanie? – zaczęłam bez wstępów.

– Nie, już to sprawdziłam – uspokoiła mnie Betka. – Jest tanie, bo ma wyposażenie. Musimy je przyjąć, bez tego w ogóle nie da się wynająć. Myślę, że warto się nad tym zastanowić.

– No pewnie – krzyknęłam. – Biuro z wyposażeniem, a ty jeszcze się zastanawiasz? Pewnie właściciel nie ma dokąd wynieść. Nie szkodzi, my nie jesteśmy wybredne.

– Ale to jest inne wyposażenie, niż myślisz – mruknęła Betka. – Takie bardziej samodzielne.

– Mów normalnie! – zirytowałam się. – Chodzi samo czy co?

– No właśnie – podchwyciła przyjaciółka. – Chodzi. I nie tylko chodzi, także rozmawia i czasem się obraża.

Wstałam z łóżka i z telefonem przyklejonym do ucha podeszłam do okna. Odsunęłam zasłonę. Fala słońca zalała natychmiast cały pokój i mnie samą.

– Becia, zmiłuj się – zaczęłam ugodowo. – Powiedz jak człowiek, co to jest i nie bawmy się w zgadywanki.

– Raczej kto – zaczęła ostrożnie Betka. – To jest kobieta.

– Kobieta? – zdumiałam się. – Jak to? Żywa? Na wyposażeniu biura?! Jaka kobieta? Sprzątaczką, którą musimy zatrudnić?

– Sekretarka – poprawiła mnie przyjaciółka. – Niejaka Klementyna. Nie widziałam jej jeszcze, ale właściciel bardzo ją zachwalał. Nie wiem, czy przywiązana jest do pomieszczeń, czy do właściciela, ale bardzo prosił, żeby ją zostawić i dlatego obniżył czynsz. Co ty o tym myślisz?

Nie wiedziałam, co myślę o bliżej mi nieznannej Klementynie, ale oferta wciąż wydawała się atrakcyjna.

– To spotkaj się z nią, pogadaj i może sytuacja się wyklaruje – zaproponowałam. – Do kiedy trzeba podjąć decyzję?

– Do poniedziałku.  
– Ja wracam w środę. Musisz sama to załatwić.  
– Dobrze, to zadzwonię jeszcze i powiem ci co i jak – uprzedziła mnie Betka. – Tylko na tej Sycylii nikogo nie pocieszaj! Pamiętaj, że jesteś na urlopie!

Gdy się rozłączyła, odebrałam kolejne połączenie.

– Może mi pani powiedzieć, dlaczego Zbigniew spotkał się dziś ze swoją byłą? I po co? – grzmiała w słuchawce pani Ilona. – Mówił przecież, że między nimi wszystko skończone!

– A dlaczego nie zapytała pani o to Zbyszka?

Domyśliłam się, że ma na myśli Mariannę, współpracownicę Zbyszka, która związała się z jego podwładnym. Jakiś czas temu Marianna zaczęła współpracę z innym kominiarzem, ale po kilku miesiącach znów znalazła się w zespole Zbyszka.

– Bo go nie ma – wyrzuciła kobieta. – Poza tym, po co mam go pytać? Przecież i tak mnie okłamie!

– To skąd ja mogę znać odpowiedź na to pytanie? – Przyglądałam się stateczkom sunącym leniwie po morzu, gdzieś w oddali. – Dlaczego dzwoni pani do mnie?

– Bo pani się z nim przyjaźni! – odparowała Ilona.

– Pani Ilono, spotkajmy się za tydzień, kiedy wrócę z urlopu, dobrze? Teraz trudno się rozmawia, tak na odległość. Spotkamy się we trójkę i wyjaśnicie sobie państwo wszystko.

– No przecież on zełga, czy pani tego nie rozumie?! – emocjonowała się pani Ilona.

– To czego, w takim razie, pani ode mnie oczekuje? – zniecierpliwiłam się.

Stateczki odpłynęły. Morze falowało łagodnie, zapraszając do przywitania się z nim.

– Oczekuję, że Zbigniew będzie mi mówił prawdę! – oświadczyła pani Ilona takim tonem, jakby to, czy kominiarz kłamie, czy nie, zależało wyłącznie ode mnie.

– Porozmawiamy o tym za tydzień. Teraz muszę już kończyć – ucięłam rozmowę i się rozłączyłam.

Położyłam telefon na stoliku i zniknęłam w łazience. Postanowiłam

sobie w duchu, że wytrwam. Telefon, jako narzędzie pracy, pozostawię w pokoju. Pół godziny później wkroczyłam do hotelowej restauracji.

– Pani zdaniem to bezpieczne, jeść to wszystko? – zagadnął mnie zniecierpliwiony krępy turysta, na którego natknęłam się zaraz przy wejściu.

Zauważyłam go już wcześniej, wychodząc z pokoju. Szybko schodził po schodach prowadzących do głównego hallu. Zdziwiłam się, bo przecież rezydent utrzymywał, że tylko ja wybrałam ten hotel, ponadto widziałam na własne oczy, jak krępy biegł wczoraj w stronę jednego z autokarów rozwożących ludzi do hoteli. Od razu pożałowałam, że Opatrzność nie zesłała mi niespodzianki w osobie przystojnego blondyna.

– Myślę, że nie tylko bezpieczne, ale też smaczne i zdrowe – odpowiedziałam z uśmiechem i sięgnęłam po talerz. – Zwłaszcza jajka sadzone wyglądają apetycznie.

– Salmonella – szepnął mi do ucha krępy. – Mówię pani, niech pani tego nie je, bo się pani struje. Wczoraj wieczorem dałem się namówić na spaghetti i nie spałem całą noc. Żołądek wariował!

– Nie wydaje mi się, żeby struł się pan tym jedzeniem, bo ja też jadłam makaron – zaprotestowałam. – Proszę spojrzeć. Ładnie pachnie, wygląda na świeże, może zjadł pan coś niewłaściwego wcześniej?

– Nic nie jadłem! – oburzył się. – Jak pani chce! Żeby nie było, że nie ostrzegałem!

Mężczyzna prychnął wymownie, gdy nałożyłam sobie na talerz plasterki żółtego sera, po czym odszedł w przeciwną stronę. Wzruszyłam ramionami i sięgnęłam widelcem po więcej. Jajek jednak nie tknęłam.

Oferta biur podróży, które zorganizowało mi ten wyjazd, obejmowała kilka wycieczek fakultatywnych. Zapoznałam się ze szczegółowym programem w hotelowym lobby, w którym opis poszczególnych tras wisiał na tablicy ogłoszeń. Tam znów dopadł mnie krępy.

– Sycylia to wylegarnia członków mafii – syknął mi do ucha i porozumiewawczo mrugnął okiem, gdy obok nas zatrzymała się

jakaś para.

Oboje byli czarnoskórzy i zapoznawali się z ogłoszeniami pozostawionymi przez inne biuro. Spojrzałam wyczekująco na krępego, ale ten zrobił konspiracyjną minę, odciągnął mnie za ramię na bok i szepnął do ucha:

– Tych dwoje już tu widziałem.

– I co w tym dziwnego? – Nie rozumiałam. – Turyści, jak pan i ja.

– Nie sędzę – wycedził przez zęby krępy. – Ten gość zawsze chodzi w czapce, a ona jest bardzo dziwna. Stuka zębami.

– Co takiego?! – powiedziałam to dość głośno, czym zwróciłam na siebie uwagę czarnoskórej pary.

Na chwilę oderwali wzrok od tablicy i spojrzeli na nas. Krępy natychmiast odwrócił się tyłem do nich, a ja zrobiłam przepraszającą minę.

– Widziała pani? – wymamrotał prawie bezgłośnie. – Rozumieją, co mówimy.

– Niech pan przestanie. – Odsunęłam się od mężczyzny na sporą odległość. – Popatrzyli się, bo krzyknęłam. Zwróciłam na siebie uwagę, to wszystko. Czy pan trochę nie przesadza?

– Wspomni pani jeszcze moje słowa. – Pokiwał głową z politowaniem. – Ja wolę być ostrożny. Na razie!

Machnął ręką na pożegnanie i szybko odszedł, poruszając się bardzo blisko ściany.

Postanowiłam pojechać na wycieczkę. Szczególnie zainteresowała mnie ta do Taorminy oraz na Etnę. Zapiisałam numer telefonu do rezydenta i wróciłam do pokoju.

Telefon odezwał się, gdy tylko przekroczyłam próg.

– Czy dziewczynki są uczulone na kobalt? – dopytywała moja matka.

Skąd, na litość boską, miałabym to wiedzieć? Czy kobalt występuje w naturze w czystej postaci?

– Nie wiem – odpowiedziałam.

Dopiero wtedy dowiedziałam się, że matka zaprowadziła dziewczynki na zajęcia ceramiczne, a tam do gliny dodaje się roztwory soli kobaltu. Potrzebne było oświadczenie, że Laura i Basia



nie są uczulone na ten pierwiastek.

– To niech lepią ze zwykłej gliny, niebarwionej – zamknęłam temat. – Wszystko dobrze u was?

– Tak, zjedliśmy już i szykujemy się na basen. Jaką masz pogodę?

– Ciepło, słońce wyszło, ładnie – odpowiedziałam. – Wczoraj padał deszcz. To dobrze, że idziecie na basen, bawcie się dobrze.

– Zadzwoń później – poprosiła matka.

Potwierdziłam, że zadzwonię. Rozłączyłam się i zauważyłam pięć nieodebranych połączeń. Trzy od pani Ilony, jedno od Betki i jedno od tego szóstkowego rozmówcy.

– Więc tak – zaczęła relację Betka. – Z samego rana skontaktowałam się z właścicielem i on powiedział mi, że Klementyna to bardzo dobra sekretarka. Trochę egzotyczna, jak się wyraził, ale uczciwa, sumienna, pracowita i odpowiedzialna. Zależy jej na pracy w tym miejscu, bo ona mieszka w tym samym budynku. Podobno nie zgłasza wygórowanych oczekiwań co do wynagrodzenia, ale z nią porozmawiam jutro. Biuro możemy wynająć już od pierwszego marca.

– Świetnie, to we wtorek – ucieszyłam się. – Fajnie, bierzemy tę Klementynę, oby tylko istotnie nie była droga.

– No tak, przynajmniej zawsze ktoś będzie w biurze – przytaknęła Betka. – Jaką masz pogodę?

– Ciepło, słońce, ładnie – powtórzyłam. – Idę zaraz na spacer. Wczoraj lał deszcz.

– U nas pada śnieg. – Przyjaciółka westchnęła. – Zazdroszczę ci. Zbyszek do mnie dzwonił, ta jego kobieta daje mu popalić.

– Zaprosiłam ich na mediację. Za tydzień, kiedy wrócę.

– Naprawdę? – zdziwiła się Betka. – Mnie wczoraj zmusił do tego, żebym porozmawiała z nią w piątek, jutro. Nie wspominał, że jesteście umówieni.

– Nic straconego – pocieszyłam ją. – Ja spotykam się z obojgiem, ty tylko z nią. Może potrzebują dwóch mediatorów, żeby dojść do porozumienia.

Betka roześmiała się głośno, życzyła mi dobrego dnia, pouczyła, żebym zapomniała o pracy podczas urlopu i rozłączyła się.

Przeczytałam jeszcze najnowszy SMS od pani z przedszkola, że od poniedziałku przedszkole zacznie funkcjonować normalnie, po czym zadzwoniłam do rezydenta.

Ostatecznie przekonał mnie on do trzydniowego objazdu po wyspie oraz wycieczki na Etnę. Z Taorminy zrezygnowałam, mogłam wybrać się tam samodzielnie. Zagadnęłam również o krępego faceta.

– Ten pan odmówił zakwaterowania w hotelu, który wybrał przed opłaceniem podróży – wyznał szczerze rezydent. – Uznał, że pęknięcie na ścianie zwiastuje rychłe zawalenie się budynku. Zaakceptował dopiero czwartą propozycję, która została mu przedstawiona. Trudny gość.

– Na wycieczki pewnie nie pojedzie? Bo też będzie się czegoś obawiał.

– Przeciwnie! – krzyknął rezydent. – Zapisał się na wszystkie.

Po rozmowie odłożyłam telefon na stół. Odkąd tu przyjechałam, najwięcej czasu zajęły mi rozmowy telefoniczne. Postanowiłam wyjść w końcu na dwór, nacieszyć się słońcem i morskim powietrzem. Pogoda była wspaniała. Pomimo że dopiero kończył się luty, temperatura wzrosła do prawie dwudziestu stopni Celsjusza, wiał lekki, ciepły wiatr i jedynie pojedyncze chmury płynęły po niebie. Wyszłam z hotelu i ruszyłam przed siebie, kierując się w stronę plaży. Zachwycił mnie widok rozkwitających już kwiatów, soczystej zieleni i kamiennych balkonów. Drzewa pomarańczowe roztaczały dookoła cudowną woń, aż chciało się żyć.

– No, niech pani tylko popatrzy, jak te balkony powiesili! – usłyszałam znajomy głos.

Uliczki Katanii są wąskie, nie można szybko uciec i wtopić się w tłum. Zresztą, o tej godzinie prawie nikogo nie mijałam. Czas sjeisty był na Sycylii skrupulatnie przestrzegany, nawet w wówczas, gdy upał nikomu nie dokuczał.

– A co? – zapytałam zrezygnowana. – Niedobrze?

– Oczywiście! – odparł oburzony. – Wiszą na włosku. Wystarczy, żeby wulkan się uaktywnił, a wszystko spadnie! Natychmiast!

– Jeśli Etna się uaktywni, to balkony będą najmniejszym problemem – mruknęłam. – Te domy wyglądają na stare, więc chyba

nie jest tak źle.

– Tylko pozornie. – Krępy pokręcił głową. – Po prostu szczęście im dopisuje, bo gdy rozejrzeć się i ocenić jakość wykonania tych budynków, to aż strach tu przebywać. Wszystko to fuszerka.

– Pan jest architektem?

Zmierzaliśmy wąską uliczką w dół. Zamierzałam iść na plażę, ale najwidoczniej skręciliśmy w niewłaściwą stronę, bo droga prowadziła nas do miasta zamiast na wybrzeże. Machnęłam więc ręką na morze i spokojnie szłam przed siebie. Krępy trzymał się mnie, jak przyklejony.

– A skąd! – Sapnął. – Ja jestem, proszę pani, biegłym rewidentem w regionie katowickim. W zeszłym roku pełniłem funkcję delegata na Krajowy Zjazd Biegłych Rewidentów. Bardzo proszę, oto moja wizytówka.

Wydobył z kieszeni kartonik i wręczył mi z uszanowaniem. Dowiedziałam się w ten sposób, że nazywa się Konstanty Konopka. Przeprosiłam pana rewidenta, że nie mogę się odwzajemnić, ale ujawniłam swoje imię i nazwisko oraz wykonywany zawód.

– Mediator? – zamyślił się pan Konopka. – Nie znam.

– Spędza pan tu urlop? – zmieniłam temat.

Pan Konstanty pokręcił przecząco głową.

– Nie, przechodzę terapię – wyjaśnił.

Popatrzyłam na niego wyczekująco, lecz on zwrócił już uwagę na stragan z pomarańczami. Była to w istocie wypełniona po brzegi dwukółka, przy której stał chłop i sprzedawał owoce. Nie widziałam żadnej wagi, mężczyzna po prostu brał pomarańczę, ważył ją w ręku i określał wysokość należności, którą następnie chował do kieszeni. Krępy zatrzymał się przy nim, popatrzył z uwagą, a następnie powiedział na głos:

– Oszust! Widziała pani? Żadnej wagi, żadnego przyrządu pomiarowego, nawet kasy nie ma! Podatku pewnie też nie odprowadza! U nas wezwałbym natychmiast policję skarbową, a tutaj? Co mogę zrobić? Nic! Po prostu nic!

Minęli nas karabinierzy, którzy z uwagą zaczęli przyglądać się krępemu. Uznałam, że nie warto wdawać się w awantury z włoską

policją i pociągnęłam rewidenta delikatnie za ramię. Odeszliśmy, a ja podjęłam rozpoczęty wątek.

– Odbywa pan tu terapię? Można wiedzieć jaką? Zdrowie u pana szwankuje?

– Zdrowie mam, proszę pani, jak dzwon – pochwalił się Konopka. – Za to panicznie boję się wszelkich środków komunikacji. Samolotów, pociągów, autobusów, samochodów. Paraliżuje mnie taki strach, że zapominam, dokąd jadę. Terapeutka uznała, że terapia szokowa byłaby w moim przypadku najlepszym rozwiązaniem.

– Dlatego wybrał pan Sycylię? – upewniłam się. – Samolotem już pan podróżował, autokarem też.

– Sycylia to absolutny przypadek – wyjaśnił pan Konopka. – W biurze podróży, w którym przeprowadzałem audyt, pojawił się klient, który wrócił z Sycylii. Bardzo zachwalał to miejsce. Moim zdaniem trochę przesadzał, ale zdecydowałem się jednak przylecieć właśnie tu. Terapeutka zaleciła mi, w ramach ćwiczenia, wyjazd za granicę. Najlepiej na wyspę, żebym nie mógł szybko uciec. No i jestem.

Maszerowaliśmy przed siebie. Słońce ogrzewało nam twarze. Przekonałam się, że rewident bardzo zyskuje przy bliższym poznaniu i jego towarzystwo nie jest wcale przykre. Emanowała z niego ciepła energia człowieka uczciwego i sprawiedliwego, na którym można polegać. Piękna, troskliwa dusza, skrywana pod powłoką krępego nerwusa. Samotny spacer brzegiem morza mogłam odbyć równie dobrze wieczorem, po kolacji. Zasugerowałam, abyśmy usiedli na chwilę na ławce. Łagodny cień rzucały na nią rozłożyste oleandry. Mężczyzna, zanim usiadł, dokładnie zlustrował siedzisko, upewnił się, że konstrukcja ławki jest stabilna i nie grozi zawaleniem.

– Jutro wybieram się na wycieczkę na Etnę – zaczęłam ostrożnie, aby nie zorientował się, że wiem, że on też ma zamiar jechać. – Całe szczęście, że już nie pada, liczę na piękne widoki.

– Uspiony wulkan to tykająca bomba – ostrzegł mnie pan Konstanty. – Na pani miejscu podchodziłbym do tego z rezerwą. Nie wiemy, czy Włosi są wystarczająco skrupulatni, jeśli chodzi o badanie zmian, które w nim zachodzą. Obawiam się, że przypadek Pompejów

nie dał im wiele do myślenia.

– Obawia się pan, że wulkan wybuchnie, gdy my się tam pojawimy? – żartowałam.

Pan Konstanty jednak lekko zeszywniał.

– Myśli pani, że to możliwe? – zapytał drżącym głosem.

Od razu pożałowałam swoich słów. Nie każdy posiada poczucie humoru.

– Myślę, że wszystko jest możliwe – odpowiedziałam wymijająco. – Nikt z nas nie zna daty końca świata ani własnej śmierci. Nie można uniknąć wszystkich niebezpieczeństw ani przewidzieć wszystkiego, co nas spotka. Tysiące ludzi odwiedza Etnę, więc może nas ona także przyjmie łaskawie.

Pan Konstanty pozostał chyba nieprzekonany, bo rozejrzał się nerwowo dookoła, jakby spodziewał się, że te wszystkie przykrości tylko na to czekają, żeby go dopaść. Zaraz potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej swój telefon.

– Muszę zadzwonić do mojej terapeutki – powiedział i szybko wystukał numer. – Rozmowa z nią działa na mnie kojąco. Pani wybaczy, ale zdenerwowałam się trochę.

Kiwnęłam głową ze zrozumieniem i wstałam. Krępy rozpoczął relację z pieszego przemierzania uliczek Katanii, a ja ruszyłam w drogę powrotną do hotelu.

Ten dzień upłynął mi na samotnym kontemplowaniu morza z perspektywy mojego balkonu. Uparcie odsuwałam od siebie nawiedzające mnie mroczne myśli i starałam się nie zwracać uwagi na dzwoniącą wciąż komórkę.

Wieczorem wybrałam się na samotny spacer wzdłuż wybrzeża. Obserwowałam horyzont, który w dali rozpływał się w zapadającym zmierzchu. Gdy wróciłam do pokoju, było już zupełnie ciemno. Zerknęłam przelotnie na telefon. Błyskał niebieskim światłem, sygnalizując nieodebrane połączenia. Schowałam go do szuflady, tamto życie mogło poczekać. Pragnęłam choć przez jeden tydzień cieszyć się wolnością od trosk.

W piątek od rana słońce mocno przygrzewało. Stałam niezdecydowana przed łóżkiem, na którym leżała moja zimowa

kurtka i bluza z polaru. Zastanawiałam się, co zabrać ze sobą na Etnę. Jak wiadomo, na wysokości blisko trzech tysięcy metrów jest zimno. Z drugiej strony, zrobiło się bardzo ciepło, zimowa kurtka mogła być dla mnie obciążeniem w podróży. Ostatecznie postanowiłam zabrać jednak kurtkę, a gdy zamykałam za sobą drzwi, telefon zawibrował w szufladzie. Zignorowałam to, ale niepokój podążył za mną jak cień.

– Powinien się pan cieplej ubrać. Tam, dokąd jedziemy, jest zimno – zwrócił się do pana Konstantego rezydent, który przyjechał po nas minibusem.

W aucie siedzieli już inni turyści. Zauważyłam filozofa z samolotu. On udał, że mnie nie poznaje. Pan Konstanty założył ciepły sweter i grubsze spodnie.

– Jestem wytrzymały na zimno – oświadczył rezydent. – Ja, proszę pana, spędziłem dwa tygodnie na Grenlandii!

– Nago? – zainteresowała się jedna z turystek.

Krępy spojrzał na nią z oburzeniem.

– No co pani?! Jakie nago! Ale było zimno!

– Jasne – przerwał im rezydent, który dał znać kierowcy, że możemy jechać.

Usiadłam obok mężczyzny, który nieustannie pstrykał zdjęcia aparatem, a pan Konopka ulokował się tuż za kierowcą, zmuszając jedną z pasażerek, żeby się przesiadła. Oświadczył, że musi tam siedzieć, w przeciwnym wypadku dostanie torsji podczas jazdy. Zanotowałam w myślach, że krępy nie trzymał telefonu w rękę.

Ruszyliśmy. Z Katanii nie było daleko do miejsca, z którego wyruszają wycieczki na Etnę. Przez ten czas rezydent usiłował powiedzieć nam coś na temat wulkanu oraz samej wyspy, lecz rezydent skutecznie mu to uniemożliwiał.

– Czy posiada pan wiedzę na temat wysokości przychodu przypadającego na jednego mieszkańca Sycylii? – pytał. – Jaka jest inflacja na wyspie w stosunku do kontynentu? Czy Sycyljczycy rozliczają podatek dochodowy na tych samych zasadach co mieszkańcy Stromboli?

– To wprost oburzające – usłyszałam głos filozofa, który zajmował miejsce po prawej stronie. – Żeby nie powiedzieć, żenujące.



– Pan też może zadawać pytania! – zachęciłam go, na co profesor tylko wzruszył lekceważąco ramionami.

Kiedy busik zajechał na parking położony u stóp wulkanu, rezydent wysiadł jako pierwszy i gdzieś szybko poszedł, a pan Konopka wydobył telefon z kieszeni spodni i znów przykleił go do ucha, co jakiś czas wysyłając mi porozumiewawcze mrugnięcie.

– Mogłaby pani jednak coś z tym zrobić – zagadnął mnie filozof, gdy zbici w grupkę oczekiwaliśmy na powrót rezydenta. – Wygląda na to, że przyjaźnicie się państwo. Niechże pani wpłynie na niego, niech nie robi z siebie klauna, bo tubylcy będą nas poczytywać za dzikusów.

– Uważa pan, że tutaj wszyscy już porozumiewają się telepatycznie? – odgryzłam się. – Telefon to pana zdaniem przeżytek?

– Przecież pani dobrze rozumie, o czym mówię! – zdenerwował się filozof. – Pani ze mnie szydzi, a ja sobie na to nie pozwolę. Ja jestem bardzo poważanym członkiem Polskiej Akademii Nauk, proszę pani!

– W takim razie wybaczy mi pan kolejne grubiaństwo – odpowiedziałam oschle i odwróciłam się do niego plecami.

Najwidoczniej ten gest stanowił dla profesora coś więcej, ponieważ odszedł na kilka kroków i dołączył do pani, która zmieniła miejsce pod wpływem krępego. Zaczęli poufną konwersację, co jakiś czas patrząc znacząco to w stronę rezydenta, to w moją.

– Jeśli trafi mi się jeszcze jeden taki klient, zażądam podwyżki – oświadczył półgłosem rezydent, który zdążył już wrócić.

W ręku trzymał bilety wstępu dla nas wszystkich. Zauważyłam, że patrzy nieżyczliwie na krępego, postanowiłam więc zareagować.

– On nie jest wcale taki zły – powiedziałam ugodowo. – To stres jest wszystkiemu winien. Niech pan się tak bardzo nie przejmuje.

– W zeszłym tygodniu przyjechała pani, która miała pretensje o mewy. Że są za głośne – stwierdził rezydent cierpko. – Ale uparła się mieszkać w pokoju z widokiem na morze. Wcześniej małżeństwo z Katowic wsiadło do innego autokaru, niż powinni, i omal nie odlecieli do Argentyny. Wczoraj jeden pan zapytał mnie, dlaczego nie ma tu kaktusów. Mówię pani, mam już dość tej roboty, a to dopiero początek sezonu!



Uśmiechnęłam się blado do rezydenta i dołączyłam do grupy, która zdążyła już obfotografować cały parking i stojących na nim ludzi. Pan Konstanty kłócił się natomiast z Sycylijczykiem, stojącym przy straganie z owocami. Przyglądałam się temu niespokojnie. Odruchowo reagowałam, gdy przeczuwałam konflikt.

– Szanowni państwo – zwrócił się do nas rezydent. – Przejdziemy teraz w stronę krateru. Jeśli ktoś nie czuje się na siłach, by iść, może za opłatą skorzystać z transportu. Jeśli ktoś ubrał się za lekko, proponuję, by skorzystał z wypożyczalni kurtek. – Tu przedstawiciel biura podróży spojrział przeciągle na krępego, który wciąż dyskutował z Włochem. – Idziemy!

Obejrzałam się niespokojnie na rewidenta, bo grupa ruszyła przed siebie, a on pozostał. Dyskutowali z nim już czterej mężczyźni. Nie wyglądali na przyjaźnie usposobionych.

– Panie rewidencie! – zawołałam. – Idziemy już!

Krępy odwrócił głowę, po czym gestem pokazał mi, żebym szła. Machnął ręką tak niefortunnie, że uderzył jednego z Włochów w twarz. Mężczyzna od razu zareagował. Zbliżył się do Konopki i popchnął go lekko, ale niegrzecznie. Zatrzymałam się i z oddalenia obserwowałam zajście. Grupa z rezydentem na czele oddalała się coraz bardziej, ja jednak postanowiłam czekać, żeby w razie potrzeby wesprzeć rodaka.

Pan Konstanty wykonał krok w tył, nadeptując na stopę drugiemu ze stojących przy nim Włochów, który natychmiast coś krzyknął. Wówczas ten pierwszy znów popchnął krępego, tym razem mocniej. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiło się kilkunastu wykrzykujących coś głośno tubylców, wyraźnie nieprzychylnie nastawionych do turysty. Zaniepokoiłam się, bo sytuacja rozwijała się w niedobrym kierunku, i postanowiłam interweniować.

– No i po co pan się z nimi kłóci?! – warknęłam na krępego, gdy tylko udało mi się wepchnąć między rozsierdzonych mężczyzn i stanąć obok rewidenta. – Szuka pan guza czy co?!

– Nie kłóczę się! – powiedział oburzony. – Odniosłem się do niego życzliwie!

– No i proszę, co z tego wynikło! – denerwowałam się, bo Włosi

patrzyli na nas groźnie. – Musimy się stąd wydostać, robi się niebezpiecznie!

– Porozmawiam z nimi po włosku – pouczył mnie rewident. – Mam słowniczek. Niech pani poczeka...

Nie zamierzałam czekać. Otaczała nas gromada wrzeszczących mężczyzn. Nie liczyłam na wsparcie rezydenta, który przecież oddalił się z grupą, żeby oglądać kratery, ani na krępego, który kartkował niedużą książeczkę. Postanowiłam zadziałać przez zaskoczenie, żeby w ten sposób zyskać czas na ucieczkę. Krzyknęłam kilka słów po włosku. Zgodnie z oczekiwaniami, mężczyźni zamilkli i, jak na rozkaz, odstąpili od nas. Złapałam krępego za ramię i pociągnęłam za sobą. Szybko odeszliśmy. Zauważyłam stojącą nieopodal taksówkę. Ruszyliśmy w jej kierunku, tłum tymczasem lekko się ożywił. Mój towarzysz pozwalał się prowadzić, ale w pewnej chwili, gdy znaleźliśmy się niedaleko auta i dość daleko od agresywnych mężczyzn, odwrócił się nagle i krzyknął:

– Kretyni!

Nie trzeba było długo czekać na reakcję. Gawiedź ruszyła z błyskiem w oczach, a ja otworzyłam drzwi od taksówki z takim rozmachem, że omal nie wyrwałam ich z zawiasów.

– Wsiadaj pan! – rzuciłam w panice. – Uciekamy!

Kierowca, który do tej pory gmerał w schowku, zauważył nas dopiero, gdy zatrzasnęłam drzwi. Odwrócił głowę z uśmiechem i wtedy zapewne dostrzegł zbliżający się agresywny tłum oraz nasze przerażone twarze. Nie musiałam prosić go, żeby zareagował. Nacisnął pedał gazu z taką mocą, że asfalt prawie zwinął się pod kołami samochodu. Wbiło nas w siedzenie. Gdy krępy zaczął mamrotać coś o bezpiecznej jeździe, przyłożyłam mu pięść do nosa.

– Jeszcze jedno słowo, a nie ręczę za siebie – syknęłam.

W tej samej chwili kierowca spojrział w lusterko. Szepnął cicho:

– O Madonno! – Po czym jeszcze przyśpieszył.

Dotarliśmy bezpiecznie do Katanii. Przerażony taksówkarz gotów był nas zawieźć nawet na księżyc. Stanowczo odmówił przyjęcia zapłaty i odjechał równie szybko, jak przyjechał. Pan Konopka i ja wróciliśmy do hotelu.

– Czy pan zupełnie oszalał?! – zaatakowałam krępego, gdy znaleźliśmy się w hotelowym lobby. – To jest Sycylia! Ci ludzie obdarzeni są gwałtownym temperamentem! Dlaczego pan ich drażnił, na litość boską?!

– Wcale nie drażniłem – obraził się mężczyzna. – Tylko zapytałem po włosku, czy te figi są już dojrzałe?

– Co takiego?! – zatrzymałam się z wrażenia. – Jakie znowu figi?

– Owoce – wyjaśnił pan Konstanty. – Tam jeden gość miał stragan z owocami. Wydawało mi się, że sprzedaje figi.

– O tej porze roku?!

– No właśnie. Też się zdziwiłem, bo przecież mamy koniec lutego! Więc zapytałem, czy te figi są dojrzałe, a on tak nieuprzejmie się do mnie odniósł!

– A jak pan to powiedział? – zapytałam ostrożnie. – Pan zna dobrze włoski?

– W ogóle nie znam – przyznał się krępy. – Posłużyłem się słownikiem. Powiedziałem: „*Bondzorno sinnior, kome wa? Le fige pronte?*”. I co? Żle?

Mój radosny śmiech wypełnił całe hotelowe *lobby*. Śmiałam się do łez, aż złapała mnie kolka. Ludzie przyglądali mi się życzliwie, tylko pan Konopka stał obrażony.

– Co w tym śmiesznego? – burknął, gdy trochę się uspokoiliam.

– Pan nie zapytał o figi – odpowiedziałam, wciąż krztusząc się ze śmiechu. – Pan powiedział dosłownie: „Dzień dobry, grzeszniku, jak leci? Czy faceci gotowi?”. Tu używa się dialektu!

– E tam – odparł obrażony. – Mogli domyślić się, o co mi chodzi. Od razu taka awantura!

Umówiliśmy się na wspólną kolację w hotelowej restauracji i każde poszło w swoją stronę. W pokoju przypomniałam sobie o telefonie. Na ekranie wyświetliła się informacja, że nie odebrałam trzynastu połączeń. W SMS-ie pani Ilona powiadomiła mnie, że Zbyszek to podły oszust.

Trzy połączenia pochodziły od matki, więc do niej zadzwoniłam w pierwszej kolejności. Nie odebrała. Następny był rezydent.

– Pan Konopka i ja jesteśmy cali i zdrowi – przerwałam lawinę

wykrzykników. – Wróciliśmy do hotelu, nic się nie stało.

Rezydent wyraził ubolewanie, że nie dołączyliśmy później do grupy. Krajobraz księżycowy na Etnie to przecież bajka. Okazało się, że szanowny pan profesor zapewnił go, iż pan Konstanty i ja zrezygnowaliśmy z wycieczki. Uspokojony, aczkolwiek trochę zły, poszedł więc dalej. Gdy grupa wróciła na parking, kierowca powiadomił go o incydencie przed straganem, od czego biedakowi od razu pociemniało przed oczami.

– Pani rozumie – powtarzał – ja czuję się za państwa odpowiedzialny, a ci Sycylijczycy...

– Tak, wiem – przytaknęłam. – Bardzo pana przepraszam, zawiadomiłabym pana, ale mój telefon został w hotelu, a pan Konstanty...

– On jutro wybiera się na tę wycieczkę objazdową – przerwał mi rezydent. – Jeśli ja to przeżyję...

– Przeżyje pan – zapewniłam go. – Ja też jadę, więc panu pomogę.

– Bardzo pani dziękuję – powiedział to wręcz z uczuciem. – Pani przecież jest na urlopie, powinienem sam sobie poradzić. Niestety, nie potrafię. To jest jedyny mankament tej pracy, że nie umiem postępować w sytuacjach konfliktowych.

– Nie ma sprawy – uspokoiłam go. – Zaopiekuję się panem Konstantym, więc będzie panu lżej. Do jutra!

Matka wciąż nie odbierała, więc oddzwoniłam do Betki.

– Wybacz, że ci przeszkadzam – zaczęła przyjaciółka – ale w poniedziałek muszę się położyć do szpitala na parę dni.

– Becia, co się stało? – zapytałam z troską.

Betka roześmiała się w wymuszony sposób. Nawet przez telefon to odczułam.

– Mam w organizmie potworną ilość bakterii, dostałam skierowanie do szpitala. Od ginekologa, żeby było śmieszniej. Stwierdził, że w tym szpitalu zbadają mnie od ręki, a gdzie indziej musiałabym długo czekać – użyła frywolnego tonu, ale wyczuwałam, że się niepokoi. – Położą mnie z ciężarnymi. Śmiech na sali. W poniedziałek zwalnia się łóżko, czy coś takiego, więc muszę iść. Bakterie! Psia krew! Jak widzisz, nie tylko tobie spadły z nieba wakacje.

– No pewnie – też udawałam, że rozmawiamy o pogodzie. – Wyśpisz się, odpoczniesz. A jak z biurem? Powiedz właścicielowi, że ja będę w czwartek. Może przecież poczekać dwa dni!

– Tak – powiedziała Betka. – Umowę już podpisałam, sekretarka będzie na miejscu. Jutro zwiozą nam meble, więc przyjedziesz na gotowe. Jedyne kilka spraw ci zrzucę.

– Pewnie – podchwyciłam. – Co to za sprawy?

– Dwoje rozwodników, sprawa o cofnięcie darowizny i jedna młoda para. Jacyś dziwni, coś ukrywają. Nie wiem, o co chodzi, bo przyszli się dowiedzieć, jak to wygląda, wyszli bez słowa i tylko on wysłał mi SMS, że są zainteresowani. Ale czym, nie mam pojęcia.

– Świetna sprawa. – Roześmiałam się. – To wszystko?

– Jeszcze prezes Gruszka, który pragnie uszczęśliwić nas stażystami.

– Przecież my nie przyjmujemy stażystów!

– No tak, ale on coś wspominał o nowych wytycznych, czy coś takiego. – Betka wyrzucała z siebie słowa z prędkością światła. – Zaskoczył mnie. Zadzwoił, kiedy przyjmowałam do wiadomości, że muszę iść do szpitala. Ale to nie jest sprawa na już. To nie takie pilne, więc tylko chciałam, żebyś wiedziała.

– Dobrze – powiedziałam ugodowym tonem. – Skoro nie musimy teraz o tym myśleć, to zostawmy ten temat. Jutro jadę oglądać wyspę. Ładnie tu, więc jestem bardzo podekscytowana.

– A jak tubylcy? – zapytała ostrożnie Betka. – Wpadł ci ktoś w oko?

– Tak jakby – mruknęłam. – Ale to nie był tubylec, tylko nasz, i raczej go już nie spotkam. A miejscowi zbyt temperamentni jak na mój gust.

– Dlaczego? Pytam o tego swojaka? – drążyła Betka.

– Bo chwilę zagadaliśmy do siebie na lotnisku i to wszystko – odparłam. – Gdyby chciał mnie bliżej poznać, podałby przynajmniej swoje imię. Bacia, ktoś dzwoni, muszę kończyć – użyłam pretekstu, żeby zamknąć niewygodny temat.

Wiedziałam, że przyjaciółka zacznie ustalać szczegóły mojej wątpliwej znajomości z blondynem, a potem wytknie mi brak inicjatywy i wyczucia. Na koniec zakpi, że zamiast adonisa, przypadł mi

w udziale krępy pan Konopka. Nie lubiłam Betki od tej strony. Odkąd rozstała się z ostatnim fatygantem, Maciejem, gdy tylko pojawiał się temat relacji damsko-męskich, stawała się szydercza i złośliwa. Tak, jakby przyjemność sprawiało jej dokuczanie innym tylko dlatego, że znaleźli szczęście. Paradoksalnie takie właśnie podejście czyniło ją niezwykle wprost skuteczną podczas mediacji. Ludzie w pierwszej chwili przeżywali szok, ale później przyznawali jej rację, co szybko doprowadzało zwaśnione pary do zgody.

– Dobra, stara – ustąpiła Betka.

Poczułam ulgę. Chciałam, żeby niebieskooki przyjemnie mi się kojarzył.

– Odezwę się w niedzielę wieczorem. Baw się dobrze i korzystaj z okazji. Raz się żyje!

Rozłączyła się. Matka znów nie odbierała telefonu. Zaniepokoiłam się, bo dochodziła czternasta, pora obiadu. Odłożyłam telefon i wyszłam na balkon. Do kolacji nikt nie zadzwonił.

– Jutro wybieram się na wycieczkę objazdową dookoła wyspy – oznajmił pan Konstanty, gdy tylko spotkaliśmy się wieczorem przed wejściem do hotelowej restauracji.

Przyjrzałam mu się. Po trudnych doświadczeniach dzisiejszego dnia nie było śladu, aparat telefoniczny spoczywał spokojnie w kieszonce na piersi, a rewident ruszył dziarsko na rekonesans dań. Podreptałam za nim.

– Miło pana widzieć w tak dobrym nastroju – zaczęłam przy stoisku z sałatkami.

Pan Konstanty pogrzebał widelcem w zestawie ogórków z jabłkiem, następnie przyjrzał się nieufnie sałatce z chrzanem, wreszcie nałożył na talerz kilka plasterków pomidora.

– Odebrałem telefon z firmy – odpowiedział rewident. – Wyniki kontroli, która rozpoczęła się jeszcze przed moim wyjazdem, bezwzględnie i ponad wszelką wątpliwość potwierdzają moje wcześniejsze podejrzenia. Doszło do wyłudzeń i to na olbrzymią skalę. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie przerwać urlopu i jechać tam, żeby osobiście podpisać protokół.

Konstanty Konopka promieniał. Po pomidorach przyszła kolej na



jajka sadzone, które ostatnio tak skrytykował oraz spaghetti, przed którym mnie ostrzegał. Ja nałożyłam sobie sporą porcję makaronu z cukinią i rozejrzeliśmy się za wolnym stolikiem.

– Może tam? – Wskazałam widelcem dwuosobowe miejsce niedaleko okna.

Krępy się skrzywił.

– Będzie wiało – powiedział. – Zawieje mi nerki, a teraz nie mogę sobie pozwolić na zwolnienie lekarskie. Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze nie poszedłem na chorobowe i jestem z tego dumny!

Popatrzyłam w prawo. Dwa nieduże stoliczki zostały właśnie uprzątnięte i wręcz zapraszały, żeby na nich skosztować posiłek. Jednakże rewident znów przecząco pokręcił głową.

– Zbyt blisko kuchni – stwierdził. – Kelnerzy biegają w tę i z powrotem, jeszcze któryś mnie potrąci. Nie lubię jadać w takich warunkach. Można dostać od tego owrzodzenia żołądka.

– To sama nie wiem – poddałam się. – Będziemy jeść na stojąco?

Krępy zrobił taką minę, jakby ta propozycja najbardziej przypadła mu do gustu. W tej samej chwili zwolniły się dwa miejsca przy dużym stole, obok którego staliśmy.

– Tutaj – zarządził stanowczym tonem rewident. – Zjemy tutaj. Ten stół wydaje się bardziej stabilny niż pozostałe.

Usiadłam, nie protestując. Kolacja w towarzystwie pana Konopki stanowiła specyficzny rodzaj rozrywki, której trochę mi tu brakowało. Zdałam sobie sprawę, że tak mocno przywykłam do nieustannego pośpiechu i szybko dziejących się zdarzeń, że nadmiar wolnego czasu i brak jakichkolwiek obowiązków zaczynały mnie męczyć, choć odpoczywałam zaledwie od niecałych czterdziestu godzin. Rewident, zanim zaczął jeść, starannie wytarł sztućce w serwetkę, którą natychmiast odłożył na stos brudnych naczyń ustawionych na wózku znajdującym się pod ścianą. Kolejną serwetką wytarł szklanekę i nalał do niej trochę wody z karafki, która stała na stole. Spróbował, pokiwał głową, jakby właśnie degustował najlepsze wino, po czym napełnił szklanekę po brzegi. Dopiero wtedy spojrzął na swój talerz.

– W moim jajku coś jest – szepnął do mnie.

Natychmiast przestałam przeżuwać i pochyliłam twarz nad jego



talerzem. Jajko wyglądało zupełnie zwyczajnie. Żółtko pośrodku, ścięte białko, lekko podsmażone brzegi. Przyglądałam się i przyglądałam, ale nie mogłam dostrzec niczego podejrzanego.

– Co takiego? – zapytałam wreszcie.

– Kawałek pomidora znalazł się pod spodem – wyjaśnił rewident i z rezygnacją na twarzy odniósł talerz na wózek. – Muszę nałożyć sobie inne.

„No to rozrywek mi jutro ani pojutrze nie zabraknie” – powiedziałam do siebie, patrząc za krępy, który z nowym talerzem stał już przy bufecie.

Dlaczego skojarzył mi się z ojcem? Wyobraźnia podsunęła mi obraz z przeszłości. Podczas grillowania ojciec wylał całą butelkę rozpałki na węgiel drzewny, bo uznał, że jest za suchy. Buchnął snop ognia, który spalił mu brwi i rzęsy oraz cały zapas kiełbasy. A ojciec stał jak wmurowany i patrzył. W ruchach krępego odnajdywałam tę samą ciepłą nieporadność, którą zwykle prezentował mój ojciec. Nikt nie mógł się wtedy na niego gniewać.

– Niech pani sobie wyobrazi, że jedna taka chciała mi ukraść jajko – przerwał moje rozmyślenia pan Konstanty. – Przymierzałem się z widelcem, żeby właściwie uchwycić je od spodu, a ona nagle wsadziła mi łokieć pod brodę i sięgnęła po jajko!

– I co pan zrobił? – Uśmiechnęłam się.

Krępy wycierał sztucze kolejną serwetką.

– Naplułem – odparł i przystąpił do krojenia zdobyczej potrawy.

– Co takiego? – Nie zrozumiałam. – Na kogo pan napluł? Na nią?!

– Na jajko – odpowiedział spokojnie rewident. – Wtedy od razu się wycofała. Wie pani, ja nie znoszę chamstwa!

Odczuwałam coraz większą sympatię do niego. Pod tą nieatrakcyjną powłoką wyraźnie już dostrzegałam ciekawego człowieka, który niejednym mógłby mnie jeszcze zaskoczyć. Z każdą chwilą moje zadowolenie z tego powodu, że on także jedzie na wycieczkę objazdową, rosło. Wolałam takiego towarzysza od przemądrzałego profesora filozofii. Chociaż, gdyby towarzyszył mi niebieskooki blondyn, to kto wie, czy nie zmieniałabym zdania?

Po kolacji pan Konstanty odprowadził mnie pod drzwi mojego

pokoju, gdzie się pożegnaliśmy. Byłam w doskonałym humorze.

Sięgnęłam po telefon z lekkim wahaniem. Nikt nie dzwonił. Po chwili namysłu wybrałam palcem numer mojej matki. Nie odbierała. Odczułam lekki niepokój, wznowiłam połączenie, znów nic. Zadzwoiłam więc do Betki.

– Becia, czy możesz sprawdzić, co dzieje się u moich rodziców? – zaczęłam bez wstępów. – Dzwonię od rana do matki, ale nie odbiera.

– Jutro mam urwanie głowy w biurze, ale postaram się podjechać po południu – odpowiedziała przyjaciółka. – Dziś nie dam rady, bo jestem po winku. Zbyszek wpadł na chwilę i...

– Dobrze, nie ma sprawy – przerwałam jej niespokojnie. – Ktoś chyba dzwoni. Rozłączę się, bo może to matka. Dam ci znać, jeśli się odezwie, cześć.

W nieodebranych połączeniach znalazłam numer zaczynający się od dwóch szóstek. Rozczarowanie osłabiło mnie, nie łączyłam się już z Betką, a numer matki wciąż nie odpowiadał. Pęczniał we mnie niepokój, że dzieje się coś niedobrego, a ja jestem tak daleko od domu. Nie wiedziałam, skąd ten lęk, bo przecież matka zapewniała mnie, że ojciec czuje się lepiej i w ogóle wszystko było w porządku. Mimo to się niepokoiłam. Wolałam uzyskać kolejne podszyte złośliwością zapewnienie niż tak czekać. Do późnej godziny nie udało mi się połączyć z matką. Zasnęłam prawie nad ranem, zdenerwowana do granic.

\*\*\*

– Zawsze znajdzie się ktoś, na kogo trzeba będzie czekać – oświadczył pan filozof na mój widok.

Zaspałam. Sen zmorzył mnie, gdy świtało, tymczasem wycieczka objazdowa po wyspie rozpoczęła się punktualnie o ósmej rano. Obudził mnie dzwonek telefonu, natarczywy i nieprzyjemny. To pan rezydent. Przeprosiłam go i szybko przygotowałam się do wyjścia. Bezmyślnie wrzuciłam do plastikowej torby kilka rzeczy na zmianę oraz szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów. O paście zapomniałam. Wybiegłam z pokoju, nie zatrzymując dobrze drzwi. Dopiero w autokarze zorientowałam się, że na nogach mam klapki. Wymarzone wręcz obuwie do pieszych wycieczek.

Pan Konstanty tkwił na siedzeniu tuż za kierowcą i rozmawiał przez telefon. Usiadłam obok niego i po chwili ruszyliśmy. Rezydent przedstawił się, ponieważ w autokarze pojawili się nowi turyści. Z tych, którzy jechali wcześniej na Etnę, rozpoznałam – oprócz filozofa – dwie starsze panie, naburmuszonego nastolatka z rodzicami, którzy namiętnie wszystko fotografowali oraz młodą parę, stale trzymającą się za ręce.

– Szanowni państwo – ciągnął rezydent – Sycylia to największa wyspa na Morzu Śródziemnym. Najważniejszą atrakcją jest tutaj oczywiście wulkan Etna, który mieli już państwo okazję zobaczyć z bliska.

– Zobowiązał się pan do przedstawienia kilku legend związanych z Etną – przerwał mu filozof. – Mam zanotowane, żeby panu przypomnieć.

– Oczywiście, pamiętam i dziękuję – ucieszył się rezydent. – Na pewno będzie jeszcze okazja, żeby kilka takich legend przytoczyć, w końcu spędzimy ze sobą prawie trzy dni.

– Czy opowie nam pan o kuchni sycylijskiej? – dopytywała jedna ze starszych pań, które rozpoznałam. – Podobno podają tu najlepsze desery na świecie.

– Tak, wspomnę też o kuchni, proszę państwa – przytaknął rezydent, ale zanim zdążył ponownie otworzyć usta, odezwał się ktoś z dalszych siedzeń:

– Czy można włączyć jakąś muzykę?

– Ja w kwestii technicznej – zgłosił się pan, który siedział obok mnie, po prawej stronie autokaru. – Ile będzie czasu wolnego, bo planujemy z żoną zrobić zakupy?

– Szanowni państwo – przedarł się w końcu rezydent, ale tylko dlatego, że włączył mikrofon. – Będzie czas wolny, będzie możliwość zrobienia zakupów, będziemy włączać muzykę, nawet włączę państwu film. Teraz chciałbym opowiedzieć kilka słów o wyspie. Jak już wspominałem, największą atrakcją jest Etna, która...

– Proszę pamiętać o legendach, zostawiłem miejsce w notatkach – przypomniał znów filozof.

Rezydent popatrzył na niego dziwnym wzrokiem i w mgnieniu oka podjął decyzję.

– Dobrze. Zaczniemy od legend. Otóż powiada się, że Etna to kuźnia Hefajstosa. Oto jeden z synów Gai – Tyfon – został pokonany przez Zeusa i za karę przygnieciono go Sycylią. Niepokorny olbrzym usiłuje się co jakiś czas wydostać, wkładając w to tyle wysiłku, że ziemia drży, a z wulkanu wydobywa się wtedy ogień. Wedle mitologii, Hefajstos wykorzystywał ten ogień, żeby wykuwać pioruny dla Zeusa.

– To niewiele tych piorunów wykuł – zażartował pasażer od zakupów.

Kilka osób także się roześmiało.

– Przepraszam bardzo, ale to jest przecież mitologia grecka, a my jesteśmy we Włoszech – zaprotestowała starsza pani. – Może opowie pan coś związanego jednak z kulturą włoską!

– Dobrze – zgodził się rezydent. – Przytoczę zatem historię świętej Agaty Sycylijskiej, zwanej też Agatą z Katanii. Jej wspomnienie przypada na piątego lutego. Legenda głosi, że Agata spodobała się namiestnikowi Sycylii, niejakiemu Kwincjuszowi, który bardzo pragnął pojąć ją za żonę. Agata była neofitką i postanowiła pozostać dziewicą. Urażony Kwincjusz bardzo chciał postawić na swoim i gdy prośby i groźby nie przyniosły rezultatu, najpierw umieścił ją w domu publicznym, a gdy okazało się, że mimo to wciąż pozostała dziewicą, wtrącił biedaczkę do więzienia. Następnie nakazał obciąć jej obie piersi. Rany jątrzyły się, więc na pomoc przybył Święty Piotr wraz

z maścią uzdrawiającą. Agata odmówiła jej przyjęcia. Następnego dnia rozzłoszczony namiestnik nakazał spalić dziewczynę żywcem. Kiedy wszystko było już przygotowane, zatrzęsa się ziemia. Egzekucję jednak przeprowadzono. Rok później mieszkańcy Sycylii przeżyli wybuch wulkanu, ale Katania ocalała i przypisano ten cud właśnie męczennicze Agacie. Odtąd stała się ona patronką kominiarzy i pielęgniarek. Jej atrybutem jest dom w płomieniach, a modlitwa o wstawiennictwo chroni przed piorunami i ogniem.

– To dlaczego jest patronką kominiarzy, a nie strażaków? – zdziwił się któryś z turystów. – Tu się coś nie zgadza.

– A ten cały namiestnik żałował później, że ją tak potraktował? – zainteresowała się jedna ze starszych pań. – Zrozumiał, że była świętą?

– Niestety, nie – odpowiedział rezydent. – Nie dożył cudu związanego z ocaleniem Katanii, bo zmarł po tym, jak kopnął go koń.

– No masz, ona tak się nacierpiała, a tego koń kopnął i on od razu umarł! – zdenerwowała się druga staruszka. – To ogromnie niesprawiedliwe!

– Dlatego Agata została świętą męczennicą – wyjaśnił rezydent.

– Wszystkie kobiety to męczennice – odezwała się inna turystka. – Od urodzenia towarzyszy im ból i cierpienie, a mężczyźni jeszcze to wykorzystują!

– A opowie pan jeszcze jakąś legendę? – rzucił ktoś z tylnych siedzeń. – Tylko nie taką straszną.

– To może coś o kuchni włoskiej? – ponownie zaproponowała starsza pani.

Zamknęłam oczy i moje myśli popłynęły daleko poza Sycylię. Wciąż niepokoiłam się milczeniem matki, czekałam na wiadomość od Betki, martwiłam ojcem. Pomimo dystansu, który dzielił mnie od Warszawy, nie umiałam uciec od problemów. Dopadały mnie za każdym razem, gdy moja uwaga przestawała skupiać się na bieżących wydarzeniach. Dyskusja w autokarze znudziła mnie, więc natrętne myśli pojawiły się jak rój muszek nad zepsutym kompotem. Nagle przed oczami stanęły mi dwie szóstki. Dwie szóstki z przodu i trzy z tyłu. Ktoś wytrwale się do mnie dobijał. Nie ktoś, ta kobieta, która

nazwała mnie Natalią. Tak nazywałam się kiedyś, przed adopcją.

Gdy byłam nastolatką dowiedziałam się, że nie jestem biologicznym dzieckiem moich rodziców. Matka po prostu powiedziała mi o tym bez żadnej okazji ani przyczyny, a ja przyjąłam tę wiadomość też tak po prostu. Niczego to w moim życiu nie zmieniło. Nie poczułam się z tego powodu inna, niezwykła, bardziej wyróżniona przez los, naznaczona. Po prostu moi rodzice i ja nie byliśmy spokrewnieni ze sobą. To wszystko. Matka powiedziała mi wtedy, że kiedyś nazywałam się Natalia. Nie odczułam żalu z tego powodu. Imię Marta bardziej mi się podoba. Czy to możliwe, że teraz odnalazła mnie i postanowiła poznać moja prawdziwa matka? Takie rzeczy się zdarzają. Mogłam spodziewać się, że kiedyś podejdzie do mnie na ulicy mężczyzna i powie, że jest moim bratem. Nie znam przecież swojej przeszłości, nigdy o nią nie pytałam, a oni nie mówili. To po prostu nie istniało, nie było potrzebne. Teraz ktoś przemocą i brutalnie usiłował to na mnie wymusić. Po co? Czy każdy chce docierać do wszystkich tajemnic? Ja nie czułam takiej potrzeby.

– Czy sycylijska mafia jest najokrutniejsza na świecie? – Przedarło się do mojej świadomości. – Czy pojedziemy do Corleone?

– To japońska mafia jest najgorsza – padła odpowiedź z głębi autokaru. – Jak oni się nazywają? Jackie Chan mówił tę nazwę w jakimś filmie...

– Rуска mafia jest gorsza, bo oni obcinają ręce piłą łańcuchową i wiertarką robią...

– ...Yakuza!

– Włosi wysadzają w powietrze.

– To Arabowie wysadzają w powietrze!

– Włosi pierwsi zaczęli, no i strzelają z karabinów maszynowych.

Matka napisała mi w liście, że miałam wtedy rok. Jakie to ma znaczenie, ile miałam lat, kiedy mnie adoptowali. Gdybym była nastolatką, posiadałabym jakieś inne wspomnienia, a tak, co to za różnica. Po co matka napisała mi ten list? Czy to coś zmieniło między nami? Może odczuwam teraz współczucie wobec niej, choć znacznie poważniejszą przemianę w sobie zaobserwowałam, gdy powiedziała mi o chorobie ojca. Treść listu mną nie wstrząsnęła, bo śmierć dziecka



nie może usprawiedliwiać chłodu i braku miłości w stosunku do osoby bliskiej, zwłaszcza takiej, która w tamtym czasie też była dzieckiem. A może ja przesadzam?

Jako mała dziewczynka czułam się niekochana. Z pozoru niczego mi nie brakowało, nie chodziłam głodna ani obdarta. Jednak czułam niedosyt. Między mną a rodzicami nigdy nie pojawiła się bliska więź. Brakowało mi uczuć, okazywania emocji. Czy to dlatego, że byłam adoptowana? Chyba nie, obserwuję przecież to samo zjawisko u moich klientów, między żoną a mężem, bratem i siostrą, matką i synem. Pochodzenie nie ma takiego znaczenia, więź buduje się poprzez wzajemny kontakt, obcowanie z drugą osobą, wyczulenie na jej potrzeby i oczekiwania. Poprzez miłość. W moim domu rodzinnym nie było miłości. Nie tylko wobec mnie. W ogóle jej nie było. Gdy to zrozumiałam, poczułam ulgę.

– Pojedziemy do Palermo, stamtąd do Corleone jest niedaleko – usłyszałam głos rezydenta. – Chętni mogą się wybrać na krótką wycieczkę, na przykład wieczorem.

– Pan nam źle życzy – zapiszczała kokieteryjnie starsza pani. – Wieczorem, w takie niebezpieczne miejsce, samej...

– No właśnie, powinien nas pan poinstruować, jak powinniśmy się zachowywać wobec tubylców – zgłosiła postulat jej towarzyszka – żeby ich nie rozjuszyć.

– To nie są lwy na safari tylko normalni ludzie – mruknął mój sąsiad.

Obie panie popatrzyły na niego nieżyczliwie.

– Pan może się nie boi, ale my tak – oświadczyła z godnością jedna z nich. – To są jednak mężczyźni!

– W takim razie my – tu pan potoczył ramieniem dookoła siebie, tak jakby chciał objąć cały autokar – również stanowimy zagrożenie. Ależ panie są odważne!

– Wypraszam sobie – zdenerwowała się kobieta. – Pan jest impertynencki!

– Szanowni państwo – wtrącił szybko rezydent – porzućmy ten nieciekawy temat o mafii i przemocy i pozwólcie państwo, że opowiem wam o ...

– Ależ to jest bardzo ciekawe – odezwały się głosy sprzeciwu. – Sycylijska mafia to legenda. Niech pan opowie coś ciekawego na jej temat!

– Trochę później. – Uśmiechnął się rezydent. – Teraz proszę, żeby zwrócili państwo uwagę na...

– Pani się dobrze czuje? – odezwał się do mnie po raz pierwszy, odkąd wyruszyliśmy, pan Konstanty.

Przez cały czas mamrotał do telefonu, nie przeszkadzałam mu w tym.

– Tak, dlaczego pan pyta? – zdziwiłam się.

– Bo tak pani groźnie marszczy brwi – odpowiedział rezydent. – Moja zmarła żona robiła tak samo, kiedy brzuch ją bolał. Zawsze pytałem ją, czy dobrze się czuje, a ona tylko marszczyła groźnie brwi i mruzczała, żebym się odczepił. Później wypominała mi, że się o nią wcale nie troszczę. A gdy umierała, to wcale się nie zmarszczyła.

– Przykro mi, że pańska żona nie żyje – powiedziałam delikatnie.

Krępy wzdrygnął się, jakby coś paskudnego usiadło mu na ramieniu. Przełożył telefon z jednej ręki do drugiej, pociągnął głośno nosem i nie patrząc na mnie, powiedział:

– Nigdy jej nie lubiłem. To znaczy, kiedy jeszcze żyła. Bo kiedy umarła, nagle zrobiło mi się smutno. Rozumie pani, przez dwadzieścia lat codziennie zastanawiałem się, jak by to było, gdyby jej nie było, i nagle trach, nie ma jej i ja nie umiem znaleźć sobie miejsca.

Krępy odwrócił głowę do okna. Milczał, ja też się nie odzywałam. Rezydent opowiadał coś o krajobrazie Sycylii i pięknych plażach, których nie zobaczymy, bo nie starczy na to czasu.

– Pani ma męża? – zagadnął mnie znów rezydent.

– Miałam – odparłam. – Ale on żyje, rozwiedliśmy się.

– No tak. – Pokiwał głową pan Konstanty. – To zawsze może go pani zobaczyć i położyć się na niego. Ja na swoją żonę już nie.

– Dlaczego się pobraliście? – zapytałam, a wtedy krępy włożył telefon do kieszonki na piersi. – Nie kochał jej pan?

– Ona była jedyną kobietą w naszym zespole – zaczął pan Konopka.

– Pracowaliśmy w biurze rachunkowym, tam się poznaliśmy. Ja

kończyłem kurs na biegłego rewidenta, a ona pracowała w dziale faktur. Potem poszła na kurs księgowości i zatrudniono ją jako pomoc księgowego. W naszym zespole pracowało osiem osób i ona była jedyną kobietą. Nigdy nie miałem śmiałości do kobiet. Moi koledzy szybko się poženili, a mnie zawsze wydawało się, że na randki jeszcze przyjdzie czas. I pewnego dnia zauważyłem, że jeden z kolegów, był już wtedy po rozwodzie, zaczyna ją podrywać. Przygotowywałem się do egzaminu na biegłego rewidenta, to bardzo trudny egzamin, więc nie mogłem się rozpraszać. A jednak myśl, że oni mogą być razem i że to właśnie on... Ta myśl mnie dręczyła. Dręczyła mnie tak mocno, że na dzień przed egzaminem kupiłem czerwoną różę, przyszedłem do biura i oświadczyłem się. I zostałem przyjęty. Pobraliśmy się pół roku później, kiedy ona została główną księgową w pewnej firmie.

– Wspaniała historia – zachwyciłam się. – Zachował się pan jak średniowieczny rycerz.

– Od razu tego pożałowałem – ciągnął krępy. – Cicha, spokojna, jak mi się wtedy wydawało, dziewczyna, natychmiast po ślubie zamieniła się w bezwzględną heterę. Trzymała mnie krótko. Nigdy nie miałem ciągót do alkoholu, ale przy niej stałem się stuprocentowym abstynentem. Wszędzie chodziliśmy razem, a jeśli się zdarzyło, że gdzieś poszedłem sam, musiałem jej się spowiadać z każdego kroku. Zainstalowała mi telefon komórkowy niczym elektroniczną obroź. Trafiłem do najgorszego więzienia o zastrzonym rygorze. I to dożywotnio.

– Ale teraz tęskni pan za nią – przypomniałam mu.

Krępy wyjął telefon z kieszonki i popatrzył na niego.

– Nie potrafię funkcjonować, jeśli nie opowiadam komuś, gdzie jestem i co robię – przyznał się. – Ogarnia mnie wtedy paniczny lęk. Dzień przed jej śmiercią wyrzuciłem telefon przez okno w pociągu. Pokłóciliśmy się przedtem, jak nigdy. Zarzucała mi zdradę, a ja przecież nawet nie umiałem zagadać do kobiety. Dwadzieścia trzy godziny później już nie żyła.

Patrzyłam na niego w milczeniu. Nie wiedziałam, jakie słowa w takiej chwili byłyby odpowiednie, więc wołałam milczeć. Pan Konstanty westchnął, a następnie stuknął palcem w szybkę telefonu

i po chwili, odwrócony do szyby, mamrotał zawzięcie. Rezydent opowiadał o zaletach miasta Palermo, do którego powinniśmy dotrzeć wieczorem. Usłyszałam, że po drodze zatrzymamy się w miejscowości Cefalù.

Podobno nic nie dzieje się bez przyczyny, a światem nie rządzi przypadek. Każde zdarzenie, każdy gest czy słowo znajdują swoje uzasadnienie. W którym momencie życia szukać początku? Który z tych ważnych i mniej ważnych etapów stał się dla mnie przełomowy na tyle, że zainicjował pojawienie się kolejnych? Czy jestem świadoma tego, że uruchamiam jeden scenariusz zamiast innego? Historia Zbyszka, jakże podobna do historii pana Konstantego. A przecież każdemu z nas wydaje się, że jego życie jest zupełnie wyjątkowe. Jaka jest moja historia?

Matka wręczyła mi list wraz z voucherem na wycieczkę. Czy był to przypadek, czy zamierzone działanie? Wtedy odebrałam to jako gest pojednania, ale może kryło się za tym coś jeszcze. Usiłowałam przywołać w pamięci zdania, które brzmiały wówczas egzotycznie, obco, jakbym czytała fragment jakiejś taniej powieści.

*Twoja biologiczna matka porzuciła cię w szpitalu zaraz po urodzeniu. Szybko udało się załatwić formalności i stałaś się naszą upragnioną córką. Niespełna miesiąc później jedna ciotka twojego ojca zmarła w bardzo podeszłym wieku i pozostawiła mu w spadku dom, w którym teraz mieszkamy. Nic już nie brakowało nam do szczęścia. Wówczas okazało się, że jestem w ciąży. Niespodzianka. Dziewięć miesięcy później urodził się twój brat, Gabryś. Zrezygnowałam z pracy na uczelni, żeby zająć się wami. Twój ojciec obronił doktorat i objął katedrę chemii przemysłowej. Rozpoczął wówczas pracę nad swoim pierwszym wynalazkiem, co szybko przełożyło się na dodatkowe zlecenia. Idealna rodzina, zakochani w sobie młodzi ludzie, inteligentni i zaradni, z pasją, dwoje ślicznych dzieci, piękny dom.*

Oddałam cię do żłobka, potem pod opiekę opiekunek. Twój brat wychowywał się w domu, ze mną. Tłumaczyłam to tym, że jest młodszy, mniej odporny, wymaga mojej bezpośredniej troski.

Gdy Gabryś skończył dwa lata, zdiagnozowano u niego złośliwego raka mózgu. Do dziś czuję ból odgnieień od twardego krzesła, na którym

wysiedziałam tysiące godzin, błagając w myślach Boga o łaskę dla mojego syna. Nie wychodziłam ze szpitala, bo w każdym westchnieniu, każdym spojrzeniu lekarzy i pielęgniarek doszukiwałam się nadziei. Bałam się, że jeśli odejdę od synka choć na chwilę, to ucieknie mi ta maleńka okazja, ta maciupęńka szansa, to mrugnięcie powieką, zwiastujące polepszenie. Trwożyłam się, że ktoś inny przeoczy, nie zauważy, zlekceważy i spisze mojego syna na straty. Kilka miesięcy później odszedł od nas. Byłaś zbyt mała, żeby to zrozumieć, ale może wystarczająco duża, żeby odczuć, że cienka, niewidzialna granica zamieniła się w mur otoczony cierniami. Nie mogłam na ciebie patrzeć, nie mogłam znieść myśli, że mój rodzony, tak wyczekiwany syn nie żyje, a ty wciąż jesteś. Cała i zdrowa. Uznałam, że to niesprawiedliwe, okrutne.

Mówi się, że czas goi rany, ale moje rany nie zamknęły się nigdy. W każdym nastolatku, młodym mężczyźnie doszukiwałam się mojego Gabrysia. Jaki byłby teraz? Jak brzmiałby jego głos? Czy podzielałby zainteresowania ojca? Ta wieczna, nieugaszona tęsknota trawi moje serce dzień i noc i sprawia, że z utęsknieniem czekam na śmierć, by móc odnaleźć moje dziecko gdzieś tam, w wieczności. Nie mogłaś mi go zastąpić, nic nie mogło, a świadomość, że wyrządzam ci krzywdę, bo nie umiem okazać ci miłości, potęgowała jeszcze uczucie rozgoryczenia i złości.

Cezary przyniósł mi chwilowe ukojenie. Mógł być moim Gabrysiem. Stał się nim. Nie chciałam widzieć jego wad, nie chciałam nic słyszeć ani wiedzieć. Poświęciłam twoje dzieci, by nie wracać do tego bólu z tęsknoty. Poświęciłam siebie, wszystko...

– Pani nie idzie z nami? – Miły głos rezydenta zabrzmiał niczym wystrzał armatni.

Dojechaliśmy do Cefalù. Nawet tego nie zauważyłam, pogrążona w rozmyślaniach.

– Idę, oczywiście. – Uśmiechnęłam się słabo.

Pan Konstanty patrzył na mnie z uwagą.

– Panią też coś dręczy, pani Marto – powiedział, kiedy wysiadaliśmy z autokaru jako ostatni. – Wszystkim nam się zdaje się, że gdy spełni się to, czego chcemy najbardziej, to wtedy otworzą się drzwi do raju. A jeśli wyjedziemy daleko, to kłopoty i zmartwienia

zostaną tam, skąd odjechaliśmy. Tak jakby nasze myśli nie mogły podróżować razem z nami.

– Czy państwu się wydaje, że są sami na tej wycieczce? – rozległ się nagle nad moją głową głos filozofa.

Starszy pan stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi i jedną nogą wysuniętą mocno do przodu i patrzył na nas bardzo nieprzychylnie.

– Cała grupa czeka, aż łaskawie zechcecie państwo wysiąść. Proszę uprzejmie pomyśleć czasem także o innych, nie tylko o sobie!

Zbyłam to milczeniem, pan Konstanty nie oderwał się od telefonu.

– Zapraszam, przejdziemy się kawałek – szybko załagodził sprawę rezydent.

Rodzinka z aparatami fotograficznymi w pośpiechu kończyła dokumentowanie tej sceny. Ruszyliśmy. Pan Konstanty zdawał przez telefon dokładną relację, którądy idziemy, a ja starałam się skupić myśli na przepięknych zabytkach rybackiego miasteczka. Zdumiewające, że na tak małej przestrzeni zmieściły się ślady żyjących tu przed wiekami ludzi, którzy pochodzili z różnych kultur i prezentowali odmienne spojrzenie na świat. Walczyli ze sobą, wypierali się nawzajem, a jednak wiedza o tym, że tu byli, przetrwała. Od czasów prehistorycznych do teraz, Cefalù – niczym żywe muzeum – gromadziło świadectwa ich wszystkich. Wskazują na to zachowane w jaskiniach ślady ludów prymitywnych czy też przepiękna katedra łącząca w sobie wpływy arabskie, bizantyjskie i normandzkie. Magia wieków zamknięta w niewielkim miasteczku Cefalù.

Warto było zobaczyć wspaniałą bibliotekę i niezwykle zbiory archeologiczne Muzeum Fundacji Mandralisca. Pan filozof zagłuszał przewodnika, informując wszystkich, że słynny *Portret nieznanego mężczyzny* autorstwa Antonella da Messiny to wprost uderzająca podobizna jednego z jego synów. Zauważyłam, że pan Konstanty znów wsunął telefon do kieszonki na piersi i z ogromną uwagą przyglądał się zbiorom.

– Podobało się panu? – zagadnęłam go, gdy wyszliśmy z budynku.

Grupka gromadziła się wokół rezydenta, który cierpliwie tłumaczył jednej ze starszej pani, że nie ma pojęcia, jak przyrządza się tofu.



– Tak tak, ładne zbiory – potwierdził rewident. – Ale gdy pomyślałem, ile pracy kosztowało zinwentaryzowanie tego wszystkiego, to zrobiło mi się gorąco.

– Na pewno korzystają z komputerów – wyrwało mi się.

Pan Konstanty wzruszył na to ramionami.

– Człowieka maszyna we wszystkim nie zastąpi! – powiedział wręcz z pretensją. – Człowiek, droga pani, to jednak jest wynalazek nie do podrobienia.

– Teraz zapraszam państwa na wspinaczkę – zażartował rezydent. – Przejdziemy się na szczyt skały La Rocca, skąd rozpościera się przepiękny widok na całą Sycylię. Chwilę nam to zajmie, ale myślę, że warto. Później pójdziemy coś zjeść i pojedziemy już do Palermo.

– Czy wszyscy muszą iść? – zapytał naburmuszony nastolatek z aparatem fotograficznym w ręku i aparatem ortodontycznym na zębach takim tonem, jakby rezydent nieustannie ganiał nas po górach albo proponował pieszą przechadzkę na Kilimandżaro. – Ja nie chcę!

– Uspokój się, bo nigdzie więcej nie pojedziesz! – zganił go ojciec. – Zrobimy tam kilka zdjęć!

– Czy w programie jest marsz na jakąś skałę? – chciał wiedzieć pan filozof.

Od razu wyciągnął z kieszeni folder biura podróży.

– Jak to się nazywa? La co?

– La Rocca – powtórzył rezydent. – Kto nie chce iść, może zostać. Spotykamy się za około dwie i pół godziny przy katedrze.

– Tak długo będziecie tam siedzieć? – zdziwił się mój sąsiad z autokaru. – Na tej kupie gruzu?

– Spacer zajmie nam chwilkę, przecież nie będziemy biec na czas – odparł rezydent, lekko już poirytowany. – Poza tym obiad mamy zamówiony na siedemnastą, więc nie ma sensu się śpieszyć.

– Chodź, zrobimy zakupy. – Pani w ogromnych przeciwsłonecznych okularach pociągnęła tego pana za ramię. – Muszę kupić sobie klapki.

– Kto idzie? – zapytał głośno rezydent.

Zgłosiło się osiem osób. Wśród nich pan Konstanty, ja, rodzina z aparatami fotograficznymi, dwie starsze panie i jeden młody człowiek, który do tej pory milczał jak zaklęty. Teraz mruknął coś

niewyraźnie.

– Dobrze, zatem do zobaczenia o szesnastej trzydzieści przy wejściu do katedry – zwrócił się do pozostałych rezydent. – A my idziemy!

Marsz na La Roccę zajął nam blisko godzinę. Małżeństwo z aparatami dzielnie fotografowało niemal każdy nasz krok, ich syn patrzył z pogardą i tylko wzruszał ramionami. Rezydent początkowo coś opowiadał, ale potem zamilkł i szliśmy w ciszy. Wyciągnęłam z torby telefon, ale poza SMS-em od pani Ilony, w którym donosiła, że Zbyszek zdradza ją z jakąś kobietą, nic się nie wyświetliło. Numer matki wciąż nie odpowiadał. Gdy zadzwoniłam do Betki, odpowiedziała mi automatyczna sekretarka. Zacisnęłam zęby i zawzięcie szłam w górę. Przypomniałam sobie, że kiedy pewnego razu nie mogłam doczekać się urodzin, ojciec posadził mnie na krześle przed sobą i powiedział: „Jeśli jakieś rzeczy się nie dzieją, to znaczy, że nie przyszedł jeszcze na nie czas. Możesz zmusić czas, by szybciej płynął, ale wtedy może okazać się, że dostaniesz nie to, czego pragniesz, tylko to, co wymusiłaś od losu. Naprawdę tego chcesz?”.

– Piękny widok – oceniła jedna z kobiet, kiedy dotarliśmy na szczyt. U naszych stóp znajdowało się piaszczyste wybrzeże Sycylii, dachy Cefalù oraz fragmenty ruin po bizantyjskim zamku. – A dlaczego tam się pali?

Ponad dachami domów unosił dym, jakby coś intensywnie płonęło. Nie słyszeliśmy wycia syren strażackich, nie było widać wielkiego poruszenia w miasteczku, mimo że ogień niewątpliwie wybuchł między budynkami. Rezydent wyraźnie się zdenerwował i nagle zaczął nas poganiać. Ominęliśmy ruiny i biegiem prawie udaliśmy się w drogę powrotną. Schodzenie w dół zajęło nam w związku z tym mniej czasu. Pan Konstanty i dwie starsze panie zostali nieco w tyle, gdzieś w połowie drogi zmieszała się z nami inna wycieczka. I właśnie wtedy zadzwoniła Betka.

– Słuchaj – zaczęła bez wstępów. – Byłam u twojej matki w domu, ale nikogo nie zastałam. Zamknięte na głucho. Sąsiadka powiedziała mi, że gdzieś wyjechali.

– Oszalałaś?! – wrzasnęłam do telefonu tak głośno, że aż ludzie się obejrzel. – Ojciec jest ciężko chory, matka nigdy sama nie

wyjeżdżała. No i dzieci. Co ty opowiadasz?!

– Mówię, co ustaliłam – powiedziała Betka. – Podobno wyjechali wczoraj. Jeśli chcesz, to jeszcze dziś wieczorem i jutro przejdę się tam. Poza tym nic więcej nie wiem. Zbyszek był dziś znowu u mnie. Koszmarna sprawa z tą jego Iloną, na pewno wybiorą się do ciebie razem, więc nie chcę cię nastawiać, ale mnie się ten cały układ nie podoba. On jest cieniem samego siebie, po prostu dramat.

Betka mówiła więcej na temat stanu emocjonalnego Zbyszka, ale ja byłam skupiona tylko na jednym: co stało się z moją rodziną?

– Zostawię ci listę klientów, większość spraw jest dokończona, więc przejmiesz samych świeżaków – kontynuowała Betka. – Do niedzieli przeniosę wszystko do nowego biura, ten właściciel zgodził się, żebyśmy objęły je nieco wcześniej, a policzy nam od pierwszego. Słuchaj, nie martw się. Może pojechali do rodziny, zrobili sobie kilka dni wolnego.

– Becia, my nie mamy bliskiej rodziny – mówiłam wciąż podniesionym głosem. – Poza tym, to nie w stylu mojej matki. Ona nigdzie nie lubi jeździć, zwłaszcza w zimie, z małymi dziećmi i chorym ojcem na karku. Coś musiało się stać. Sprawdzę połączenia lotnicze, może uda mi się wrócić wcześniej.

– Nie wygłupiaj się – studziła mnie Betka. – Nawet jeśli miałybyś wrócić w poniedziałek, to może do tego czasu sytuacja się wyjaśni. Pojadę tam dziś wieczorem, może tej sąsiadce coś się przywidziało?

Niepokój, który do tej pory towarzyszył mi niczym mała, ciemna chmurka na niebie, rozrósł się do rozmiarów gigantycznego cienia. Pragnęłam w jednej chwili znaleźć się w samolocie zmierzającym do Warszawy, a jeszcze chętniej teleportować się tu i teraz do domu rodziców. Trzymałam kurczowo telefon w dłoni, jakby w nadziei, że coś mi podpowie, zareaguje, prześle wiadomość. Moje prośby zostały wysłuchane. Zadzwoił.

– Zbyszek spotkał się dziś rano z jakąś kobietą – wykrzyczała pani Ilona na jednym oddechu. Nie takiej wiadomości się spodziewałam. – Nic mi o tym nie powiedział, a to oznacza, że mają romans.

– Zbyszek spotkał się dziś rano z moją znajomą, która jest mediatorem – odpowiedziałam drewnianym głosem. – Zastanawiał się

nad skorzystaniem z pomocy mediatora w państwa sprawie, o czym pani wie.

– Przecież pani jest mediatorem, to po co ona? – zapytała nieufnie pani Ilona.

– Współpracujemy – odparłam. – Gdyby nie fakt, że koleżanka idzie w poniedziałek do szpitala, to ona prowadziłaby tę mediację. Zbyszek spotkał się z nią informacyjnie, na pewno nie w celach rozrywkowych, mogę panią zapewnić.

– To dlaczego mi o tym nie powiedział? – dociekała pani Ilona.

– Nie wiem, może uznał, że nie musi pani o wszystkim wiedzieć.

– Żona powinna wszystko wiedzieć!

– Pani nie jest jeszcze jego żoną – wypluwałam z siebie szybko słowa, lękając się, że w chwili gdy wysłuchuję narzekań pani Ilony, ktoś może dzwonić w sprawie moich dzieci lub rodziców.

Nie mogłam już opanować nerwów, a szybkie schodzenie spłycało oddech.

– Prawie jestem – obraziła się pani Ilona. – Mieszkamy razem, więc powinnam wszystko wiedzieć. Co on jej powiedział?

– Rozmowy z mediatorem są objęte ścisłą tajemnicą – warknęłam głośnie. – Przepraszam, ale muszę kończyć. Do widzenia!

Rozłączyłam się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Szybko spojrzałam na ekran telefonu. Nic. Żadnych nieodebranych połączeń ani nieprzeczytanych wiadomości. Teraz, gdy wystukiwałam numer telefonu matki, odzywał się głos informujący, że połączenie nie może być zrealizowane. Co tam się mogło wydarzyć, do diabła?! A może celowo wysłała mnie na wakacje, żeby... Nie, to niemożliwe. Przecież Cezary siedział w więzieniu, ojciec chorował... O co tu chodzi?

– A gdzie oni są? – zwrócił się do mnie rezydent, gdy byliśmy już u podnóża skały.

– No właśnie nie wiem, bo nie odbiera telefonu – zareagowałam automatycznie.

Przewodnik spojrzał na mnie z uwagą, po chwili spojrzał na swój aparat.

– Ja też zadzwonię – powiedział raczej do siebie.

Odszedł na kilka kroków i przyłożył telefon do ucha. Postać tak

chwilę, znów spojrzął na telefon, znów coś na nim nacisnął.

Dopiero w tym momencie zauważyłam, że brakuje trzech osób: pana Konstantego i dwóch starszych pań.

– Może idą wolniej i zaraz przyjdą – odezwał się milczący dotąd mężczyzna. – Dość szybko schodziliśmy.

– Poczekamy na nich, do zbiórki pozostało ponad pół godziny. – Rezydent wyraźnie usiłował ukryć oznaki potężnego zdenerwowania.

Rozglądał się na wszystkie strony, zerkał co chwilę na telefon, przypatrywał się przechodzącym turystom. Po zaginionej trójce nie było śladu.

– Dobrze – powiedział po upływie zaledwie kilku minut. – Ja pójdę ich poszukać, a państwa bardzo proszę o pozostanie w tym miejscu. Można ewentualnie gdzieś przysiąść, ale nie rozdzielajcie się, na litość boską!

– Ja pójdę z panem – zaofiarował się milczek. – Nie jestem zmęczony.

Rodzina z aparatami fotograficznymi natychmiast uwieczniła moment, w którym obaj panowie rozpoczęli ponowną wspinaczkę. Obrażony nastolatek nawet się uśmiechnął.

– Co za dzień – mruknęłam do siebie i przysiadłam na dużym kamieniu. – Od rana coś wisiało w powietrzu.

– Przepiękne widoki – oznajmiła pani z aparatem. – To my sobie pójdziemy tam, żeby porobić kilka zdjęć...

– Może nie rozdzielajmy się – zaproponowałam szybko. – Mała ta wyspa, ale za chwilę będziemy się szukać wszyscy nawzajem.

– To niech pani idzie z nami. – Mąż kobiety wzruszył ramionami. – Tu nie ma już co fotografować.

Odeszliśmy, wydawało się, niedaleko. Małe rybackie miasteczko wiodło swój codzienny leniwy żywot. Nawet ptaki przechadzały się na murkach bez pośpiechu. Małżeństwo fotograficzne oddawało się z zapalem swojej pasji, ich syn rozpoczął narzekania od stwierdzenia, że nogi go bolą, choć nic nie stało na przeszkodzie, żeby gdzieś usiadł, skoro rodzice zawzięcie uwieczniają pejzaż, stojąc w jednym miejscu. A ja znów zatopiłam się w rozmyślaniach. Może poprosić o pomoc zaprzyjaźnionego detektywa? On na pewno dowiedziałby się więcej

niż Betka. Z drugiej strony jeśli przesadzam – a oni pojechali na przykład na zakupy i dlatego sąsiadka uznała, że dłużej ich nie będzie – wyjdę na rozhisteryzowaną idiotkę. Ale zakupy w towarzystwie chorego, gderliwego ojca i dwóch małych dziewczynek? Niedaleko domu znajdował się świetnie zaopatrzonej sklep, nie musiałyby ich zabierać ze sobą...

Moje rozmyślenia przerwało brutalne uderzenie. Ktoś wpadł na mnie z taką siłą, że mój telefon wystrzelił w górę, przeleciał kilka metrów i runął na ziemię, rozpadając się na kawałki. Jęknęłam rozdzierająco, poderwałam na równe nogi, by kawałek dalej upaść na kolana przy szczytkach urządzenia.

– Żyje pani?! – Pan Konstanty szarpał mnie za ramię. – No! Nic się pani nie stało?!

Podniosłam na niego wzrok. Patrzyłam przez chwilę w milczeniu, a potem wybuchnęłam płaczem. Łzy ściekały mi po policzkach, a przejmujący szloch przerwał sielankową ciszę. W ciągu zaledwie kilku minut otoczył mnie tłum ciekawskich. Jedni mnie dotykali, inni machali mi rękami przed nosem, jeszcze inni krzyczeli coś do mnie, robiąc jakieś dziwne gesty, których nie rozumiałam. Siedziałam nad rozbitym telefonem i płakałam, a tłum gęstniał.

– Gdzie się pan podziewał?!

– O Boże, niechcący dołączyłem do innej wycieczki – tłumaczył się zmieszany pan Konstanty. – To dlatego pani płacze? Przeze mnie?!

– Nie!!! Nie przez pana! – ryczałam w głos.

Nieprzychylne pomruki tłumu były wymierzone w krępego, który niezdarnie pochylał się nade mną.

– Co tu się dzieje?! – rozległ się nagle basowy głos włoskiego policjanta. – Co to za historia?! Kto ucierpiał?

Gapie pokazali palcem na mnie. Policjant w mundurze ukucnął przy mnie, zdjął czapkę i zapytał po włosku:

– Co się pani stało? Dlaczego pani płacze? Ten mężczyzna panią napastuje?

– Nie, telefon mi się rozbił – wyszlochałam, patrząc na niego oczami pełnymi łez.

Nie ma chyba na świecie mężczyzny, któremu w takiej sytuacji nie



zmiękłoby serce. Nawet jeśli jest to włoski karabinier na służbie i nawet jeśli moje słowa nie miały żadnego sensu.

– No już, spokojnie – powiedział miękko, a po włosku brzmiało to niezwykle przyjemnie. – Nic się nie stało. Kupi pani sobie nowy...

Zanim zdążyłam cokolwiek pomyśleć, opowiedziałam policjantowi i wszystkim, którzy nas otaczali, swoją historię. O matce, która mnie adoptowała, a później odrzuciła, o Cezarym, który mnie oszukał i potem trafił do więzienia, o moich dzieciach, które znów przebywały nie wiadomo gdzie, o całym żalu, który mnie przepełniał, o Zbyszku i pani Ilonie, o nowym biurze, które przecież trzeba będzie urządzić, a Betka idzie do szpitala i nie wiadomo, czy to coś poważnego, o ojcu, o którego bardzo się martwiłam, i całej tej niesprawiedliwości, która mnie spotyka.

– I teraz jeszcze to – zakończyłam przeciągłym chlipnięciem. – Jeśli ktoś zadzwoni z jakąś wiadomością, to jak ja teraz odbiorę to połączenie!

Pan Konstanty, który niczego nie rozumiał, stał nieporadny i przestraszony. Nawet nie sięgnął do kieszonki na piersiach.

Tłum zaszemrał. Niektórzy zaczęli się wycofywać, rozczarowani, że nie było większej sensacji, inni komentowali to, co powiedziałam. Policjant wyprostował się i sięgnął po swój telefon. Przez chwilę rozmawiał, a potem pochylił się nade mną.

– Mogę odwieźć panią do hotelu. Dziś jest niespokojnie w mieście – powiedział, ocierając czoło. – Gdzie pani mieszka?

– Dorośli ludzie, a trzeba ich pilnować, jak dzieci! – Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, usłyszałam głos rezydenta, który przedarł się przez tłum i stanął przy mnie, następując nogą na resztki po telefonie. – Przecież prosiłem, żeby tam poczekać! Tam! Cały program nam się posypał! Pozostali już pewnie czekają, a my wciąż tu! Co pani wyprawia?!

Z ostatnim pytaniem zwrócił się do mnie, najwyraźniej we mnie znajdując przyczynę wszystkich swoich kłopotów.

– Ktoś na mnie wpadł – odparłam z pretensją w głosie. – Wybił mi telefon. To dla mnie ogromna strata, bo muszę skontaktować się z domem.

– I dlatego urządziła pani taką scenę?! – nie wytrzymał rezydent. Nagromadzony stres znalazł wreszcie swoje ujście. – Zawsze musi trafić się jakaś osoba, która wywraca wszystko do góry nogami! Pani jest okropna! Na Etnie też panią już poznali. Co za ludzie, jak rany!

– Niech się pan odczepi – warknęłam.

Policjant stał z boku i przyglądał się z niemym zapytaniem na twarzy. Patrzył z wyraźną niechęcią na rezydenta, uznałam więc, że należy przejść na język włoski.

– Nie jestem dzieckiem, żeby pan tak na mnie krzyczał. I nawet jeśli wygłupiłam się z tym płaczem, to nie powinien pan mnie tak traktować! – powiedziałam to z iście włoskim temperamentem, o czym przekonał mnie błysk w oku policjanta.

Na koniec tupnęłam nogą.

Gapie z zaciekawieniem przyglądali się scenie. Coś wreszcie zaczęło się dziać. Rezydent spurpurowiał i już miał otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, ale spojrzał na policjanta. W tym drugim obudził się Sycylińczyk. Jedno jego spojrzenie wystarczyło, żeby przewodnik ustąpił.

– Jak pani chce – wycedził. – Ja nikogo nie trzymam na smyczy. Oficjalnie informuję, że kolację mamy zarezerwowaną w restauracji La Tosca. Później, czyli około godziny dwudziestej, pojedziemy do Palermo, gdzie przenocujemy w hotelu Nina. Jutro rano wyruszamy na zwiedzanie miasta. Tylko tyle. Jest pani dorosła, więc może pani robić, co zechce.

– Dziękuję, zapamiętam – odparłam. – Dołączę do grupy później.

Rezydent odwrócił się na pięcie i odszedł. Za nim podążyły dwie starsze panie, ogromnie wystraszone, małżeństwo z aparatami fotograficznymi, które na wszelki wypadek zrobiło mi przedtem kilka zdjęć, nastolatek, który patrzył na mnie z podziwem, oraz milczący mężczyzna, który tylko pokiwał głową. Pan Konstanty pozostał niezdecydowany.

– Niech pan idzie – powiedziałam cicho. – Ja muszę ochłonać. Naprawdę do was dołączę. Nie mam apetytu, więc strata obiadu mnie nie martwi.

– Niech pani weźmie mój telefon – powiedział krępy i drżącą ręką

podał mi aparat. – Numer rezydenta jest zapisany pod literą „r”. Do zobaczenia.

Przyjęłam telefon i patrzyłam, jak mężczyzna szybko odchodzi. Policjant przyglądał się temu w milczeniu, ale widać było lekkie zniecierpliwienie.

– To jak będzie? Gdzie panią odwieźć?

– Nigdzie. Trochę pospaceruję po mieście i dołączę do nich w restauracji Tosca – powiedziałam.

Przyszło mi jeszcze do głowy, żeby wyłuskać z kawałków telefonu kartę SIM. Pochyliłam się nad kupką plastiku, a telefon krępego schowałam do kieszeni spodni.

– A może wskaże mi pan sklep, gdzie mogłabym kupić nowy aparat. Telefon jest mi potrzebny.

– Tosca? – zdziwił się policjant i również zaczął grzebać w ziemi. – Przecież Tosca spłonęła dziś rano! Nieszczęśliwy wypadek. Nie powinna pani tam jechać, dlaczego wasz przewodnik w ogóle chce was tam zabrać?!

Ochłonęłam już na tyle, żeby zauważyć, że zdziwienie w jego oczach było prawdziwe. Przestraszyłam się. Moja bujna wyobraźnia podsunęła mi obraz zwęglonych zwłok polskich turystów, z panem Konstantym na czele. Nielogiczne ze względu na to, że Tosca już spłonęła. Mimo to poczułam nieprzyjemny skurcz w żołądku. Po kilku minutach wyłuskaliśmy kartę SIM, która wyglądała na niezniszczoną. Policjant podniósł coś jeszcze, ale nie dostrzegłam co. Szybko schował to do kieszeni munduru. Nieliczni obserwatorzy, którzy wciąż stali, zaczęli coś szemrać. Policjant nakazał im, by się rozeszli, ale oni odeszli tylko na odległość kilku kroków i wciąż szeptali.

– Nawet nie wiem, co dokładnie się stało – stęknęłam, wyprostowując kolana.

Na chwilę straciłam równowagę i przewróciłam się na krzaki, które rosły wszędzie dookoła.

– Ktoś wpadł na mnie z impetem, ale nie wiem, dlaczego. Nawet płci nie rozpoznałam.

– Nieważne – uciał policjant i pociągnął mnie za ramię. – Powinna pani dołączyć do grupy. Natychmiast.

– Powiedziałam rezydentowi, że zamierzam trochę pospacerować. No i chciałabym nabyć nowy telefon, bo z tego niewiele zostało. Dołączę do nich później...

– W żadnym wypadku! – krzyknął niespodziewanie policjant. – Natychmiast ma pani to zrobić, zrozumiano?! Nie będę pani cały czas pilnował!

– A dlaczego ma mnie pan pilnować? – zdziwiłam się.

Policjant odchrząknął, rozejrzał się czujnie i przyciągnął mnie do siebie za ramię.

– Ten, co wpadł na panią, to pewnie jakiś kieszonkowiec. Okradł kogoś i uciekał z łupem. Może podstawiła mu pani nogę, a może się zagapił. Nieważne. Dopadną go i wymierzą karę, bo nikt bez ich zgody nie może okradać turystów. Wtedy rodzina chłopaka będzie musiała się zemścić. Oby nie na pani!

– Kto wydaje zgodę na okradanie ludzi?! – zdziwiłam się jeszcze bardziej.

Policjant popatrzył na mnie jak na idiotkę i powiedział głośno:

– Musi pani dołączyć do grupy. Takie jest prawo. Nie można wałęsać się bezmyślnie po mieście!

– Ale gdzie ja ich teraz znajdę? – zapytałam w popłochu.

Policjant nie żartował. Spojrzałam na zegarek: był kwadrans po siedemnastej.

– Może zbierają się jeszcze pod tą katedrą!

Policjant szybko wskazał mi radiowóz. Wsiadłam do środka bez głosu sprzeciwu, a on ruszył z piskiem opon. Nic mi nie wyjaśnił, nagle zaczął się bardzo śpieszyć. Po drodze minęliśmy piękny, czerwony sportowy samochód. Policjant pomknął krętymi uliczkami. Wydawało mi się, że na piechotę pokonywaliśmy krótszy odcinek, ale w Cefalù wiele uliczek było jednokierunkowych. Do katedry dojechaliśmy w niecałe dziesięć minut. Autokaru nie było.

– Zapytam, czy ktoś ich widział, proszę poczekać w wozie – zaproponował policjant.

Gdy wysiadł i odszedł, ja wyjęłam z kieszeni kartę SIM. Na pierwszy rzut oka wyglądała zupełnie normalnie, niepokoiły lekkie zadrapania po stronie styków. Policjant wrócił po dwóch, może trzech

minutach.

– Odjechali niedawno, w stronę autostrady. Nie kierowali się więc do restauracji – powiedział, patrząc na mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Chyba że pojechali dalej, do La Florentina, to spory lokal, tam też mogliby ich ugościć.

– To daleko stąd? – zatroskałam się.

– Nie bardzo – odpowiedział wolno policjant. – Problem w tym, że ja jestem na służbie i nie mogę tak jeździć po mieście. Z drugiej strony...

Wolno przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył z miejsca. Czekałam, co powie.

– Teraz nie jest bezpiecznie na wyspie – zaczął bardzo wolno mówić. – Może się pani znaleźć w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, rozumie pani, co mam na myśli?

Pokiwałam głową, że rozumiem. Policjant jechał dalej w milczeniu, ja patrzyłam przed siebie.

– A może... – zaczęłam, kiedy nagle wyrósł przed nami autokar.

Wymusił pierwszeństwo, wyjeżdżając z nienacką z podporządkowanej ulicy i gnał przed siebie z prędkością zbyt dużą jak na taki pojazd. Policjant wytrzeszczył oczy, a ja przysunęłam głowę do szyby. Mogłabym przysiąc, że to ten sam autokar, którym dzisiaj jechałam.

– Niech pan go zatrzyma! – krzyknęłam tak, że policjant aż podskoczył.

Kierownica wypadła mu z rąk i zaliczyliśmy mały slalom na drodze.

– Natychmiast! To oni!!!

– Stać! – wydarł się policjant, co było o tyle bez sensu, że nikt w autokarze nie mógł go usłyszeć. – Zajadę mu drogę!

– Szybciej! On ucieka! – krzyczałam i jednocześnie popychałam przednią część samochodu, jakby dzięki temu mógł on się szybciej przemieszczać. – Ja muszę ich dogonić!

Policjant wbił stopę w pedał gazu i wyskoczył na środek jezdni. Ulica była dwupasmowa, autokar poruszał się na prawym pasie, z lewej strony jechało kilka aut. Policjant machał ręką przez okno,

sugerując im, żeby zjechały z drogi. Zaniepokojeni kierowcy zwalniali, co również zmuszało radiowóz do wolniejszej jazdy. Tymczasem autokar pruł przed siebie coraz szybciej.

– Niech pan włączy jakieś syreny – domagałam się gorączkowo, macając jednocześnie wyposażenie.

Dostrzegłam mały, czerwony guzik, na którym było wymalowane kilka kropek. Uznałam, że to włącznik sygnału alarmowego. Zanim policjant zdążył zareagować, nacisnęłam go. W tej samej chwili szarpnęło wozem, następnie auto zwolniło i spokojnie się zatrzymało.

– Dlaczego pan się zatrzymał?! Niech pan ich goni! – zaprotestowałam.

Policjant popatrzył na mnie niewidzącym wzrokiem.

– To po jaką jasną cholere podniosła pani podwozie?! – wycedził przez zęby. – Samochód nie pojedzie w takim stanie, bo nam, kurwa, koła poobrywa!

– A to przepraszam, myślałam, że to syrena. – Uśmiechnęłam się szeroko.

Zrobiło mi się na przemian zimno i gorąco. Przestraszyłam się, że policjant gotów zostawić mnie na środku ulicy. On jednak przycisnął czerwony guzik ponownie. Istotnie, auto obniżyło się lekko i po chwili ruszyliśmy.

– Mogli pojechać na autostradę albo zjechali gdzieś na nocleg – odezwał się po paru minutach.

Wcale na mnie nie patrzył. Trzymałam ręce złożone między nogami, wołałam go nie drażnić.

– Pojedziemy główną ulicą, zobaczymy.

Pokiwałam tylko głową i przesiedziałam w niezmienionej pozycji przez następny kwadrans. Radiowóz jechał teraz wolniej, a policjant rozglądał się na wszystkie strony. W pewnej chwili zauważył coś lub kogoś, bo nagle zwolnił, zatrzymał samochód krzywo na chodniku, wysiadł i gdzieś poszedł. Siedziałam na miejscu i czekałam, wtedy zadzwonił telefon. Odezwała się komórka krępego, którą włożyłam do kieszeni spodni i zupełnie o niej zapomniałam. Odebrałam połączenie.

– Gdzie pani jest? – rozpoznałam głos rezydenta.

– W radiowozie – powiedziałam bez namysłu.



– Zatrzymali panią? – zaniepokoił się rezydent. – Za co? Trzeba wezwać konsula!

– Nikogo nie trzeba wzywać – przerwałam mu. – Ścigamy wasz autokar.

– Dlaczego? – zdziwił się rezydent. – Jesteśmy przed restauracją Il Circo, poczekamy na panią!

– Dobrze, dziękuję – powiedziałam i rozłączyłam się.

Wyrzalam przez szybę. Policjant rozmawiał z jakimś mężczyzną, postanowiłam więc wysiąść i poprosić go, by zawiózł mnie do Il Circo. Gdy podeszłam bliżej, panowie zamilkli.

– Przypomniałam sobie, że mam telefon jednego pasażera. Właśnie do mnie zadzwonił i powiedział, że reszta wycieczki jest w Il Circo.

Zarówno policjant, jak i mężczyzna, z którym rozmawiał, spojrzeli na mnie, jakbym miała dwie dymiące głowy. Wydawało się, że gdybym powiedziała im, że właśnie urodziłam żyrafę, byłiby mniej zdziwieni.

– Są... w cyrku? – upewnił się policjant, a jego ton był dość dziwny. – Tu nie ma cyrku. Na całej pieprzonej wyspie nie ma cyrku! W ogóle nigdy nikt nie widział tu żadnego cyrku, a ty mi mówisz, że oni pojechali do cyrku?!

– Ja miałam na myśli restaurację – wyszeptałam.

Kolana się pode mną ugięły. Policjant zdenerwował się nie na żarty, a stojący obok mężczyzna przyglądał mi się w milczeniu i ze zmarszczonymi brwiami.

– To ja sama pójdę – wymamrotałam.

W tej samej chwili poczułam na plecach podmuch powietrza. Odwróciłam głowę i zobaczyłam, jak przemknął przepiękny, czerwony sportowy samochód. Wydawało mi się, przez ułamek sekundy, że za kierownicą siedział niebieskooki blondyn.

– Ależ skąd! – zareagował stojący dotąd w milczeniu mężczyzna. – Nie ma mowy! Ja przecież mogę panią odwieźć. Pan policjant jest na służbie, to ja chętnie pomogę! Zapraszam!

Stałam jak wmurowana. Czyżby nagła zmiana zachowania tego mężczyzny miała coś wspólnego z czerwonym samochodem? Policjant bez słowa ruszył do radiowozu, wsiadł i odjechał. Tymczasem

mężczyzna wyprowadzał z garażu przedpotopowy motocykl z koszem. Widywałam takie na filmach o tematyce wojennej. Już po piątej próbie silnik zaskoczył, rozległ się głośny ryk, huk i mężczyzna gestem zachęcił mnie, żebym wsiadła do kosza. Skorzystałam z zaproszenia, choć ilość kurzu i pajęczyn świadczyła o tym, że pojazd był ostatnio używany jakieś sto lat temu. Mężczyzna dał więcej gazu i pojechaliśmy, żegnani przez chmurę spalin.

Restauracja Il Circo mieściła się niedaleko. Z ulgą wysiadłam z motoru i mężczyzna szybko odjechał, nawet nie zdążyłam mu podziękować. Weszłam do restauracji. W środku powitało mnie grono znajomych turystów, z panem Konstantym i rezydentem na czele. Ten ostatni był wyjątkowo troskliwy i wylewny.

– Bardzo proszę spocząć. – Złapał mnie pod ramię, jak wiekową staruszkę i poprowadził do stolika. – Pani jest na pewno głodna. Zaraz kelner przyniesie jedzenie.

Usiadłam i dyskretnie się rozejrzałam. Pan Konstanty zajął miejsce obok. Pozostałe osoby przyglądały mi się z zaciekawieniem. Zaczęłam podejrzewać, że wyglądam dziwnie. Musiałam być nie tylko brudna albo rozczochrana.

– Czy może pani mi zwrócić mój telefon? – zapytał nieśmiało rewident.

Natychmiast sięgnęłam do kieszeni, wyjęłam aparat i położyłam na stoliku.

– Bardzo dziękuję, przydał się – powiedziałam.

Krępy bez zwłoki umieścił cenny przedmiot w kieszonce na piersi i zaczął mi się przyglądać jak pozostali.

– Przepraszam pana, ale dlaczego wszyscy tak na mnie patrzą? – zapytałam go, pochylając ku niemu lekko głowę. – Dziwnie wyglądam?

– Tak – odpowiedział krępy. – Ma pani niecodzienną fryzurę.

Podniosłam się wolno z krzesła i nadepnęłam na stopę kelnerowi, który właśnie podszedł z talerzem wypełnionym parującym makaronem. Chłopak syknął, zachwiał się i część dania wylądowała na jego białej koszuli.

– Przepraszam – miauknęłam, odwróciłam się na pięcie i ruszyłam

na poszukiwanie toalety.

Zanim do niej dotarłam, w lustrze zawieszonym na ścianie zobaczyłam, jak wyglądam. Miałam na głowie kołtuny, w które zaplątało się kilka niewielkich szyszek. Z trzech stron sterczały małe, suche patyczki, a nad prawym uchem zwisał smętnie zwiędły liść. Od razu zachciało mi się śmiać. Nic dziwnego, że widok baby, która ma taką dekorację na łbie, jest w brudnych spodniach i klapkach na nogach i życzy sobie być zawieziona do cyrku, wzbudził niepokój u właściciela motoru. Ani chybi wariatka, jeszcze dostanie jakiegoś ataku. Nieźle zaprezentowałam się na wyspie, nie ma co. W toalecie doprowadziłam głowę do porządku.

Posiłek zjadłam w doskonałym humorze, dopiero widok pana Konstantego z telefonem przyklejonym do ucha przypomniał mi, że ja także powinnam gdzieś zadzwonić. Karta SIM przetrwała w kieszeni spodni, ale nie dysponowałam aparatem. Nie mogłam przypomnieć sobie numeru ani do matki, ani do Betki, bo oba miałam wpisane do telefonu, aby nie obciążać niepotrzebnie pamięci cyframi. Musiałam poczekać do następnego dnia.

Po kolacji wsiadłam razem z innymi do autokaru i pojechaliśmy do Palermo. Tam, w samym centrum miasta, oczekiwano na nas z noclegiem w hotelu Nina. Był to niezbyt ładny budynek, przerobiony na hotel z dawnego domu uciech, o czym świadczyły zachowane gdzieśgdzie na ścianach dekoracje. Gdy tylko znalazłam się w przydzielonym mi pokoju, szybko wzięłam prysznic i położyłam się do łóżka. Po krótkiej chwili odpoczynku natrętne myśli powróciły: „Muszę koniecznie zdobyć jakiś aparat telefoniczny, żeby zadzwonić do domu. Być może teraz Betka zachodzi w głowę, co się ze mną stało, dlaczego nie odbieram połączeń. Palermo to duże miasto, na pewno kupię tu jakąś komórkę, wszystko jedno jaką”. Zanim zdążyłam zaplanować coś więcej, zasnęłam snem sprawiedliwego.

Obudził mnie potężny huk, jakby cały stos metalowych pokrywek runął na kamienną podłogę. Podskoczyłam na łóżku. Nie zdążyłam jeszcze ochłonąć, gdy odezwała się trąba jerychońska. Ktoś grał na instrumencie dętym z taką mocą, że nietrudno było sobie wyobrazić, jak zabrzmiało to w starożytnym Jerychu. Po chwili do trąby

dołączyły bębny i skrzypce. Zerwałam się na równe nogi i wybiegłam z pokoju na korytarz. Czyżby zaczął się koniec świata i zastępy aniołów wzywają nas na sąd ostateczny?

– Co to jest, na litość boską?! – usłyszałam krzyk jednej z turystek.

Na korytarzu gromadzili się zdezorientowani ludzie. Po kilku minutach pojawił się rezydent.

– Proszę się uspokoić. – Krążył między nami, ubrany w piżamę w paski, która wyglądała jak więzienny pasiak. – Nie zdążyłem wczoraj państwa uprzedzić. Hotel wynajmuje pomieszczenia piwniczne muzykom z orkiestry symfonicznej. Panowie muszą trochę poćwiczyć przed koncertem.

– Trochę?! – zdenerwował się pan filozof. Na korytarz wyszedł w samych slipach i skarpetach. – Panie! Ja jestem bardzo spokojnym człowiekiem, ale takie coś może wpędzić w nerwicę! Zawału można dostać! Ja stanowczo protestuję!

– Czy oni muszą ćwiczyć o tej porze? – wtrąciła się starsza pani. – Jest piąta rano!

– W piwnicy pod nami? To dlatego tak się niesie – podsumował mężczyzna w czerwonej koszulce.

Tymczasem muzycy, po chwilowej rozgrzewce, rozpoczęli regularną próbę. *Cztery pory roku* Vivaldiego wybrzmiały tak, że mury się zatrzęsły. Uśmiechnięty rezydent coś tłumaczył, ale jego słowa utonęły w powodzi dźwięków. Nikt nie był w stanie zagłuszyć melodii, która w tej chwili dosłownie przytłaczała swoją mocą.

Pan w czerwonej koszulce pierwszy dał sygnał do odwrotu. Pozostali zaczęli sukcesywnie znikać w swoich pokojach, ja także wróciłam do siebie. O najkrótszej drzemce nie było już mowy, postanowiłam więc ubrać się i wynieść na zewnątrz. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że z zapasowych rzeczy zabrałam jedynie ciepły sweter i długą sukienkę bez pleców. Ponieważ sobota witała nas bezchmurnym niebem, wybrałam drugi wariant. Wzięłam torbę i udałam się do recepcji. Spotkałam tam sporą grupę ziewających turystów. Muzycy nie żalowali instrumentów, więc nikt się nie odzywał. Rezydent też tam był. Śmiesznie wyglądało, gdy poruszał ustami, najprawdopodobniej wydobywając z siebie jakiś komunikat.

W końcu dał nam sygnał, żebyśmy podążali za nim. Wyprowadził wszystkich na ulicę, która biegła przed hotelem. O tej porze dnia zupełnie pustą.

– Śniadanie podają o siódmej! – wrzasnął na całe gardło, aż kobieta stojąca najbliżej niego podskoczyła. – O ósmej zbiórka przy autokarze!

– A o której te szarpidruty przestaną hałasować? – odkrzyknął pan w bluzce polo założonej tył na przód. – Ja tam nie wracam dopóki oni nie skończą!

– Ja też nie! – Pan profesor przedarł się, dźwigając w ręku pękata torbę, z której wystawał kawałek kraciastej koszuli. – W moim pokoju śmierdziało papierosami! Ja zgłaszam sprzeciw!

– U nas wisały kable ze ściany! – poskarżyła się starsza pani. – To bardzo niebezpieczne. Nie mogłyśmy spać całą noc!

Lawina skarg wylała się na głowę biednego rezydenta, który początkowo usiłował coś tłumaczyć, później już tylko machał rękami, wreszcie zasłonił uszy i oczy i wydał z siebie przeciągły skowyt.

– Cisza!!! – wychrypiał na koniec. – Ma być cisza! Jak rany, uspokójcie się wreszcie!

– Pan to powie tym grajkom, że ma być cisza – zareagował natychmiast człowiek w źle założonej koszulce. – Ja tu nie przyjechałem po to, żeby za własne pieniądze się denerwować!

– Dlaczego pan na nas krzyczy? – poskarżyła się starsza pani. – My przecież do pana zwracamy się grzecznie.

– Pan zachował się nieprofesjonalnie – podsumował profesor. – Mamy prawo zgłaszać zastrzeżenia, a pan powinien...

– Tu jest Sycylia! – przerwał niegrzecznie rezydent. Po jego służbowym uśmiechu nie było już śladu. Patrzył na nas zmęczony, sfrustrowany mężczyzna, który najwyraźniej źle się czuł w roli, którą przyszło mu odegrać. – Ja nic nie mogę i wy też nie. I to jest w tym wszystkim najzabawniejsze.

– Pana to bawi? – zirytował się mężczyzna w koszulce. – Żebym to ja pana zaraz nie rozbawił!

– Panowie, spokojnie – wtrącił się mój sąsiad z autokaru. – Jest wcześnie, mamy za sobą trudny początek dnia, trzeba nad tym

zapanować. Proponuję udać się gdzieś na śniadanie, ochłonać i przekonać się, że życie jest piękne, mimo wszystko. Nawet na Sycylii i nawet o tej godzinie.

Ta przemowa wywołała falę entuzjazmu. Turyści jednomyślnie postanowili, że należy oddalić się od niegościnnego hotelu i poszukać przyjemnej kawiarenki. Większość powróciła do swoich pokoi, żeby zabrać rzeczy, a tym, że dochodziła szósta rano, nikt się nie przejmował. Kwadrans później, objuczeni bagażami ruszyliśmy na poszukiwanie odpowiedniego miejsca. Dopiero po kilku minutach zwróciłam uwagę, że nigdzie nie ma krępego.

– Sprawdził pan, czy są wszyscy? – zapytałam rezydenta, który dreptał ze zwieszoną głową.

Grupę prowadził człowiek, który złożył propozycję, by znaleźć jakiś lokal. Tuż za nim kroczyli dumnie profesor i mężczyzna w koszulce założonej tył na przód.

– Wydaje mi się, że nie ma pana Konopki!

– Nie wiem – odburknął od niechcienia rezydent. – Ja już mam tego wszystkiego dość. To mnie przerosło. Ja nie mam na nic wpływu, a ciągle ktoś czegoś ode mnie chce. Mam dość. Ja, proszę pani, nie po to ukończyłem italianistykę z wyróżnieniem, żeby teraz wszystkim usługiwać. Ja jestem profesjonalnym tłumaczem, a nie kamerdynerem!

– Jak to, ma pan dość?! – zdenerwowałam się. – Pan jest za nas odpowiedzialny. Nie może pan się obrażać, bo to pan zna Sycylię, a nie my! Przyjął pan tę pracę, więc proszę się nad sobą nie użalać!

– Proszę pani – zaśmiał się szyderczo rezydent. – Ja was tylko wożę z miejsca na miejsce. Tam, gdzie mi każą. Nie widziałem nic więcej poza tym, co jest w programie. W tym pięknym kraju krąży między podrzędnymi hotelami i opowiadam o spaghetti i ciasteczkach owsianych. Na początku sam zgłaszałem zastrzeżenia do jakości usług w hotelach i restauracjach. Pytałem, dlaczego nie mogę zakwaterować grupy w pensjonacie, który jest położony po drugiej stronie ulicy. Czystym, zadbanym, eleganckim. Dlaczego musimy gnieździć się w jakiś obskurnych dziurach? Dlaczego nie możemy zatrzymać się tam, gdzie są piękne widoki, których nie zasłaniają



żadne stragany? Dlaczego turyści, których prowadzę, muszą zrobić zakupy w określonych sklepach, a nie tam, gdzie sobie tego życzą? Teraz już nie zadaję takich pytań. Wykonuję swoją pracę, jak koń na roli. Również dlatego, że większość osób, która tu przyjeżdża, ma w nosie bogatą historię wyspy, jej najcenniejsze skarby w postaci przyrody i zabytków. Ludzie interesują się mafią i zakupami na straganach! Przypomina pani sobie ten dym widziany ze skały La Rocca? Wszystkich tylko to ciekawiło, tylko to zauważyli. Spłonęła restauracja, do której powinniśmy pojechać na obiad. Porachunki mafijne. Co ja mam z tym wspólnego? Zupełnie nic. Tej nie ma, przychodzi SMS, że mamy zjeść w innej. Ale zamiast udać się tam, gdzie dobrze karmią, muszę jechać tam, gdzie mi każą. A kazali do tego hotelu. I co ja mogę? No! Niech mi pani powie, co ja mogę?!

– Może pan sprawdzić, czy ktoś nie został w tej budzie – odpowiedziałam mu szorstko. – Skoro doskonale wie pan, jak to działa, to mógłby pan przynajmniej zadbać, żeby nikt z grona nieświadomych turystów na tym nie ucierpiał. Nawet jeśli jest to prymityw niezainteresowany bogatą historią wyspy. Na tyle chyba pana jeszcze stać? Panu Konopce może ten hałas nie przeszkadzał. Wstanie rano, uda się do recepcji i nikogo nie zastanie. Zdenerwuje się, a przyjechał tu, żeby odpocząć, zrelaksować się. O tym pan nie pomyślał? Każdy ma jakiś żal, który chce zaleczyć. Ale nie może Pan szukać lekarstwa dla siebie, obarczając swoimi troskami innych!

– Autokar podjedzie o ósmej, więc i tak musimy wrócić pod hotel – odburknął rezydent. – Najwyżej pomartwi się przez godzinę. Jest dorosły.

– Pan też – powiedziałam to bardzo ostrym tonem. – Już mi pana nie żal. Jest pan w pracy, świadomy przyjętych na siebie obowiązków. Obrażanie się w takiej sytuacji to brak profesjonalizmu i zwyczajne wygodnictwo.

Rezydent wzruszył tylko ramionami i odsunął się ode mnie. Tymczasem dotarliśmy do dużego skrzyżowania. Miasto wciąż wyglądało na wymarłe, nieliczne osoby pojawiały się od czasu do czasu, prawie wszystkie sklepy były zamknięte, wyglądało na to, że urządzenie biesiady śniadaniowej o tej godzinie graniczy z cudem.

– To dokąd idziemy? – zapytał przewodnik grupy. – W prawo czy w lewo?

Głosy były podzielone. Rezydent stał z boku naburmuszony i odmawiał współpracy. Nagle gdzieś niedaleko rozległ się hurkot podnoszonych żaluzji. Wszyscy, jak na komendę, skierowali wzrok w tamtą stronę. Hałas spowodował niski mężczyzna, który otwierał właśnie swój nieduży sklepik. Szyld informował, że była to piekarnia.

– Tam! – wydał krótką komendę samozwańczy lider grupy.

Mężczyzna złapał swoją torbę i prawie biegiem ruszył w kierunku sklepiku. Za nim podążyli pozostali. W ciągu zaledwie minuty przed maleńką witryną ustawiła się grupka zdeterminowanych turystów wyposażonych w swoje bagaże. Przypadkowy obserwator mógłby przyjąć, że nowa fala imigrantów zaatakowała wyspę. Właściciel piekarni uznał zapewne, że tak właśnie się dzieje, bo krzyknął coś głośno, na chwilę znikł w swoim sklepiku, a następnie wyskoczył stamtąd, dzierżąc w dłoniach pogrzebacz. Wygulgotał jakiś komunikat i zamachnął się kilka razy. Stojący najbliżej witryny turyści odruchowo wycofali się, nadeptując na tych, którzy znajdowali się za nimi. Bagaże plątały się między nogami i zamieszanie robiło się coraz większe. Kilka osób przewróciło się, ktoś kogoś popchnął, a właściciel sklepiku uparcie bronił dostępu do swojego interesu. Wreszcie zdezorientowana grupa zamarła na środku ulicy.

– Co robimy? – zapytał samozwańczy przywódca.

Znów posypały się głosy z kilku stron, każdy proponował coś innego. Żeby pertraktować ze sprzedawcą, który ponownie zakrył witrynę piekarni metalową żaluzją, żeby wezwać policję, żeby udać się do innego sklepu, żeby wracać do hotelu, żeby zadzwonić do właścicieli biura podróży, by coś zrobili. Spojrzałam na rezydenta. Siedział na krawężniku i przeglądał coś w swoim telefonie. Od razu przypomniałam sobie, że powinnam zadzwonić do domu.

– Może pan coś doradzi? – zwróciłam się do niego.

Moje pytanie sprawiło, że grupa przypominała sobie o jego istnieniu.

– Dlaczego pan nas gdzieś nie zaprowadzi? – zaatakował go profesor. – Przecież pan jest tu za wszystko odpowiedzialny!

– Właśnie! To jego wina! – rozległ się głos tłumu.

Zdenerwowani turyści patrzyli wrogo na rezydenta, który wciąż wbijał wzrok w swój telefon.

– O tej porze restauracje są nieczynne – odezwał się wreszcie. – Możemy poszukać małych kafejek, gdzie podają kawę. Ale cała grupa nie może iść, bo się przestraszą. Trzeba się podzielić.

Jego słowa zostały przekazane dalej. Niektórzy zgłosili sprzeciw, inni zaoferowali, że pójdą jako pierwsi. Rezydent wstał, otrzepał spodnie, rozejrzał się i wskazał palcem ulicę, która biegła po prawej stronie.

– Tędy – nakazał. – Jakies trzysta metrów stąd jest nieduża kawiarnia. Jeśli podzielimy się na grupy, każdy napije się kawy.

Ruszyliśmy za nim. Całą grupą. Bo niby jak mielibyśmy się podzielić? Alfabetycznie? Wedle wzrostu, wieku, płci? Po drodze mijaliśmy coraz więcej ludzi, którzy przyglądali nam się nieufnie. Na szczęście kawiarnia istotnie znajdowała się niedaleko. Rezydent wszedł do środka sam, po kilku minutach wyszedł i oznajmił:

– Za chwilę będzie kawa. Każdy dostanie po ciastku, bo na razie nie mają nic więcej. Proszę przygotować po trzy euro.

– Dlaczego mamy płacić? – oburzył się profesor, a kilka osób go poparło. – Ja mam śniadanie wliczone w cenę!

– To zapraszam pana do hotelu – ostro zareagował rezydent. – Tutaj trzeba zapłacić!

Profesor poburczał jeszcze coś na temat wyłudzenia pieniędzy, ale już nikt go nie słuchał. Wszyscy rzucili się zachłannie na małe kruche ciasteczka i kawę, którą rozdawano w plastikowych kubeczkach. Nikomu nie przeszkadzało, że grupa się nie podzieliła.

– Ciekawe, czy to owsiane, czy z mąki – rozgadała się jedna ze starszych pań. – Bardzo smaczne, choć nie wyglądają na takie. Kiedyś kupiłam ładne ciasteczka w sklepie z herbatą, zjadłam i potem przez kilka dni nie mogłam wyjść z toalety. A wyglądały tak ślicznie. Małe krążki, posypane makiem i migdałami, z kolorowym lukrem na wierzchu. Do dziś zachodzę w głowę, co mi wtedy zaszkodziło? Ten lukier czy ten mak? Czy może pan poprosić o przepis? – zwróciła się do rezydenta.

Każdy siadał, gdzie tylko miał miejsce. Jedni na swoich walizkach, inni na krawężniku. Tylko kilka osób zajęło nieliczne, plastikowe krzesła. Sytuacja wyglądała na opanowaną. Właściciel kawiarni rozmawiał półgłosem z rezydentem, zapanował spokój. Usiadłam na skraju wielkiej donicy z oleandrem. Długa sukienka bardzo utrudniała mi poruszanie się, a brak materiału na plecach zniechęcał do opierania się o cokolwiek. Donica chybotwała się lekko. Kiedy zbliżyłam kubeczek do ust, żeby się napić, błogą ciszę przerwał dźwięk klaksonu. Podskoczyłam w miejscu, wylewając na siebie cały płyn. Kwiatek przewrócił się, nasypując mi w dekolt na plecach wilgotnej ziemi. Zakląłam siarczyście. I wtedy rezydent zaczął się śmiać. Z początku tylko trochę, a po chwili rechotał, aż mu łzy leciały z oczu. Nie rozumiałam, co było aż tak śmiesznego w tym, że upadłam i obsypałam się ziemią, ale radosny nastrój przewodnika udzielił się grupie. Wszyscy śmiali się do rozpuku. Mnie także poprawił się humor. Otrzepałam ziemię i popatrzyłam na schnącą szybko plamę na sukience. Tworzyła barwny wzór, zadziwiająco dobrze komponujący się z motywem na materiale.

– Mógłby nam pan coś opowiedzieć o modzie na wyspie – zaproponowałam. – Skoro tyle różnych kultur tu zawitało, to z pewnością będzie to ciekawe.

– Postaram się. No dobrze, wracamy do hotelu, pora wyruszyć dalej – wydał komendę rezydent.

Grupa ospale ruszyła za nim, ciągnąc lub niosąc swoje bagaże. Sięgnęłam po torbę, kiedy nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Wyprostowałam się. Za moimi plecami stał młody, może szesnastoletni chłopak, który trzymał w wyciągniętej ręce telefon komórkowy.

– To dla pani – powiedział z silnym akcentem sycylijskim.

– Dla mnie? – zdziwiłam się. – Aha. A ile kosztuje?

– Nic, to prezent – odparł chłopak. – Pani weźmie.

– Od kogo?

– Nie wiem. – Chłopak zmarszczył brwi i odłożył aparat na pobliski stolik. – Ja nic nie wiem. Miałem tylko to pani dać i powiedzieć, że to prezent. Do widzenia!

Szybko odbiegł. Sięgnęłam po aparat. Nowiutki samsung. W srebrnej obudowie. Patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę i się zawahałam. W końcu nie powinno się przyjmować tego typu prezentów, wizytując kolebkę włoskiej mafii. A może coś się za tym kryje. Nie wiedziałam, co zrobić, a rezydent się oddalał. Z pomocą przyszedł mi właściciel knajpki.

– Pani to schowa – powiedział cicho i wepchnął komórkę do kieszonki w mojej torbie. – Ktoś pani zniszczył telefon, to i ktoś odkupił. Rachunki wyrównane, proszę nas źle nie wspominać. I niech pani uważa na siebie.

Zaraz potem odwrócił się, udał, że wyciera stół ściereczką i szybko zniknął we wnętrzu lokalu. Złapałam torbę i truchtem pobiegłam za grupą.

\*\*\*

Autokar stał już przed hotelem. Część osób zajęła miejsca, pozostali krążyli wokół pojazdu. Okazało się, że nie tylko pan Konstanty pozostał w pokoju. Także rodzina fotografów oraz starsze małżeństwo byli w hotelu. Usłyszałam, jak mówili, że śniadanie przebiegło dość sprawnie, choć podano niewiele do jedzenia. Starsza pani bardzo narzekała, że nie zrobiła sobie kanapek na drogę, bo zabrakło chleba, a małżeństwo z aparatami uwieczniło – na wszelki wypadek – opróżnione koszyki na pieczywo. Dowiedzieliśmy się też, że muzycy zakończyli próbę o siódmej.

Około godziny ósmej byliśmy gotowi do drogi. Pan Konstanty pojawił się punktualnie, trzymając swoją komórkę w ręku. Przywitał się ze wszystkimi skinieniem głowy, po czym usiadł i zapatrzył się w przestrzeń za szybą. Zerknęłam z ciekawości. Zobaczyłam nieduży skwerek, a na nim kosz na odpady, w którym ktoś grzebał. Był to mężczyzna w średnim wieku, ubrany dość przyzwoicie, w ogóle nie przypominał włóczęgi lub bezdomnego, dlatego zdziwiłam się, że przebierał w śmieciach. Obserwowałam go z uwagą, kiedy rezydent zaczął do nas mówić. Autokar ruszył, facet wytrwale przeszukiwał zawartość kosza, a ja odkręcałam szybę, żeby zobaczyć jak najwięcej. Pojawiło się we mnie niewytłumaczalne przeczucie, że za chwilę coś się wydarzy.

– Witam wszystkich w Palermo, stolicy wyspy.

Słowom rezydenta towarzyszył przeciągły wizg, który zagłuszał większość sylab. Przewodnik usiłował coś z tym zrobić, więc co jakiś czas pukał mikrofonem o oparcie fotela, dmuchał na niego, gwizdał i pstrykał w niego palcem. W rezultacie został grzecznie poproszony o wyłączenie urządzenia.

– Nazwa miasta wywodzi się od Panormus, starożytnej kolonii fenickiej – kontynuował rezydent bez mikrofonu. – Jak już wspominałem, na wyspie gościli na przestrzeni lat przedstawiciele wielu kultur, pozostawiając po sobie ślady w architekturze, sztuce czy kuchni. Oto przed nami Fontanna Wstydu. Wedle legendy nosi taką nazwę, ponieważ gorszyła miejscowe zakonnice, które usiłując zniszczyć wstydlive rzeźby, uszkodziły posągom nosy. Inni uważają, że fontanna, ufundowana przez bogaczy, przypomina mieszkańcom



o niechlubnej sławie najbardziej skorumpowanego miasta we Włoszech. Dziś zwiedzimy co ciekawsze miejsca i udamy się w dalszą drogę.

Krępy mamrotał do telefonu. Za oknem wolno przewijały się obrazy sycylijskiej stolicy, a ja przestałam przyglądać się dziwnemu mężczyźnie, buszującemu w śmietniku. Znów pograżyłam się w rozmyślaniach. Mam telefon. Sprawny i naładowany aparat, do którego z całą pewnością pasuje moja ładowarka. Ktoś mi go sprezentował, nie będę się zastanawiała kto i dlaczego. To nieważne. Teraz muszę włożyć kartę i zadzwonić do domu. Ostatnie wrażenia przyćmiły nieco niepokój o to, co dzieje się z rodziną. Teraz strach powrócił.

Moje rozważania przerwał wybuch. Autokarem miotnęło tak solidnie, że część bagażu umieszczonego nad głowami pasażerów pospadała na podłogę. Rezydent, który przemawiał do nas na stojąco, zwrócony tyłem do kierowcy, uderzył głową o sufit i upadł na schodki. Kierowca wykonał nagły manewr zatrzymywania się połączony z gwałtownym skrętem w lewo, więc większość osób siedzących po lewej stronie przesunęła się na tych, którzy siedzieli po prawej. Wszystko to trwało kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund, po czym autokar osiadł jednym kołem na krawężniku i sapnął. Silnik zgasł. Wśród pasażerów zapanowała panika. Mniej poszkodowani usiłowali szybko wydostać się z pojazdu, tratując tych, którzy powoli wstawali ze swoich miejsc. Rezydenta kilkakrotnie przewrócono, gdy usiłował się podnieść. W końcu zrezygnował, usiadł na schodkach i trzymał się za głowę. Kierowca wyskoczył z kabiny i po prostu uciekł.

Spojrzałam na krępego. Siedział z otwartymi szeroko oczami i ustami, jakby chciał krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jego gardła. Trzymał kurczowo telefon przy uchu, z którego ciekła krew. Usiłowałam wstać, ale na kolana spadła mi czyjaś torba, która zaklinowała się między podłokietnikiem a ścianą od kabiny. Usłyszałam krzyki ludzi, zarówno pasażerów autokaru, jak i przechodniów. Rozległ się sygnał syreny alarmowej. Znów spojrzałam na krępego, ale on trwał w niezminionej pozycji, tylko

krwawość z jego ucha zaczęła już zastygać. Mocowałam się z upartą torbą, ślizgając nogami po podłodze, przez co zgubiłam jeden kłapek. Wyślizgnął się gdzieś na bok, nie zdołałam go już znaleźć.

– Czy coś wam się stało? – krzyknął ktoś po włosku tuż nad moją głową.

Nie byłam w stanie się odwrócić, więc rzuciłam przed siebie:

– Mnie nie, ale ten pan krwawi!

Nagle pojawiło się więcej osób mówiących po włosku. Szybko mnie oswobodzili i wyprowadzili z autokaru. Krępego widziałam tylko przez chwilę. Wynieśli go w takiej samej pozycji, jak siedział. Wyglądał jak wypchane zwierzę.

Kiedy okazało się, że jedyna strata, jaką poniosłam, to kłapek, zostawiono mnie w spokoju. Ostatecznie, poza niewielkimi obrażeniami, nikomu nic się nie stało. Nikogo, poza biednym rewidentem, nie odwieziono do szpitala. Rezydent z opatrzoną głową krążył między turystami i zagadywał do nich. Usłyszałam, że pojazdem wstrząsnął wybuch. Najprawdopodobniej w pobliżu hotelu Nina podłożono ładunek, który eksplodował zaledwie kilka minut po naszym odjeździe. Od razu na myśl przyszedł mi mężczyzna grzebiący w śmieciach, ale nie mogłam zupełnie przypomnieć sobie, jak on wyglądał. Chyba jakoś tak zwyczajnie. Bardziej skupiałam się na jego rękach niż twarzy, bo byłam ciekawa, czego szuka. Tymczasem on nie szukał, lecz ukrywał. Mogliśmy zginąć. Zaraz, patrzyłam na jego ręce. Coś na nich było... Nie mogłam sobie przypomnieć co.

Przybyła na miejsce policja szybko ustaliła, że nikt nic nie widział ani nie słyszał i pozwolono nam odjechać. Gdy wsiedliśmy do autokaru, okazało się, że kierowcy wciąż nie ma.

– Czy może nas pan dostarczyć do hotelu? – zapytał cicho profesor.

Turyści zajęli swoje miejsca, pozbierali rozrzucony bagaż. Nikt nie patrzył przez szybę, za którą wciąż migwały światła policyjnych radiowozów. Panowała cisza.

– Postaram się, ale – wychrypiął rezydent – nie mamy kierowcy. Biuro nam szybko nie pomoże, nie wiem, co robić.

– Ja umiem to pudło prowadzić – zgłosił się ktoś z ostatnich siedzeń. – Jedźmy stąd w cholere, bo wszystkich nas pozabijają! Co za

naród, jak pragnę zdrowia!

Barczysty mężczyzna, na którego wcześniej nie zwracałam uwagi, zajął miejsce za kierownicą. Na szczęście kierowca nie zabrał kluczyków i po chwili usłyszeliśmy zgrzyt uruchamianego silnika. Rezydent jechał na stojąco, oparty biodrem o siedzenie. Tym razem patrzył w przednią szybę i instruował mężczyznę, dokąd jechać.

– A co z panem Konopką? – zatroskałam się. – On tam zostanie?

– Lekarz uznał, że musi trafić do szpitala – odpowiedział rezydent.

– Doznał ciężkiego szoku. Jestem z nim w kontakcie, proszę się nie martwić.

– Dokąd jedziemy? – odezwała się jedna z dwóch nierozłącznych starszych pań.

Obie kobiety wydawały się zupełnie nieporuszone tym, co się wydarzyło. Pytanie zostało zadane takim tonem, jakbyśmy właśnie zakończyli zwiedzanie katedry.

– Darujemy sobie zwiedzanie miasta i pojedziemy dalej – oznajmił głośno rezydent. – Palermo jest niebezpieczne, w innych rejonach mafia bardziej dba o turystów, bo zarabia na nich.

– Dlaczego my w ogóle jedziemy tam, gdzie jest mafia? – zapytała druga. – Nie możemy pojechać gdzie indziej?

– A gdzie szanowna pani by chciała? – zwrócił się do niej w niegrzeczny sposób pan profesor. – Może na Księżyc? Tam chyba jeszcze nie dotarli.

– To były porachunki mafijne? – zainteresował się mój sąsiad z podróży, który teraz usiadł na miejscu rezydenta. – Kogoś chcieli wysadzić w powietrze?

– Obawiam się, że nas – mruknął profesor. – Za to, że nie doceniliśmy kunsztu muzyków. Miejscowa ludność uznała nas za niedouczonego imigrantów i poprosili mafię o pomoc w usunięciu intruzów. Szybko i skutecznie.

– Co pan opowiada! – przestraszyła się starsza kobieta. – Ja się boję! Niech pan przestanie!

– Myślę, że akurat trafiliśmy na jakąś rozmowę rodzin – przyznał rezydent i pomasażował głowę. – No cóż, to się nie zdarza często i raczej nie przy turystach. Ale tak bywa. Postarajcie się państwo

zapomnieć o tym, w końcu jesteście na urlopie.

– Łatwo panu powiedzieć – poskarżyła się turystka. – Ja mam słabe nerwy!

– Któreśdy, szefie? – wtrącił się mężczyzna kierujący autokarem.

– Do Erice! – zarządził rezydent. – Program musi być zrealizowany.

\*\*\*

Niespełna pół godziny później wybuchowy incydent był już tylko niezwykłą atrakcją turystyczną. Pasażerowie wymieniali się doświadczeniami, kto w co się uderzył i co na kogo spadło. Kilka osób zadzwoniło do rodzin lub znajomych, dzieląc się wrażeniami. Moja torba znalazła się pod siedzeniem. Położyłam ją na miejscu pana Konopki. Wypukłość bocznej kieszonki przypomniła mi o prezencie. Wyjęłam telefon i nacisnęłam przycisk z boku. Aparat był naładowany, posiadał kartę SIM. Może powinnam oddać go policji? Weszłam w jego posiadanie w dziwnych okolicznościach, może te sprawy były powiązane. Z drugiej strony, co mógł mieć wspólnego zwykły telefon z podłożoną bombą? Nikt do mnie nie zadzwonił z ostrzeżeniem ani z pogrózkami. Z ciekawości zerknęłam na historię połączeń. Tylko włoskie numery, czyli telefon do kogoś należał. Zawahałam się. Dopóki jechaliśmy, nie mogłam umieścić w nim swojej karty, bo za bardzo trzęsło. Bałam się, że niechcący ją upuszczę, a numeru do domu nie pamiętałam. Policja w pierwszej kolejności sprawdziłaby, z kim rozmawiano z tego aparatu.

Autokar mknął przed siebie, rezydent konwersował z kierowcą, a ja patrzyłam na nowiutkiego samsunga w srebrnej obudowie. Prawie bezwiednie przesunęłam palcem na ikonkę z napisem wiadomości. Tylko kilka. Odczytałam jedną z nich.

Jesteś dla mnie wyjątkowa. Bez względu na to, czy to wszystko potrwa dzień czy resztę mojego życia, już zawsze będę wdzięczny za te chwile, w których czułem się tak niesamowicie jak dzisiaj. Chcę wierzyć, że nie jestem przypadkiem i że na moim miejscu nie mógł być dzisiaj nikt inny.

Na tę wiadomość nikt nie odpowiedział. Wiedziałam, że robię źle, że nie powinnam czytać cudzej korespondencji, jednak nie mogłam się powstrzymać.

Przeczytałam kolejną.

Nikt nigdy nie rozumiał mojej potrzeby. Tego, że

z jednej strony jestem skrajnym romantykiem, wybitnie oddanym, z drugiej kocham jakąś formę perwersji, mroku... Rzeczy, o których rozmawialiśmy, pobudzają mnie mocno.

To ciekawe – głupota jest na wyciągnięcie ręki, a prawdziwa wartość nie potrafi zidentyfikować samej siebie... i robi sobie ołtarzyk z własnych obaw. Wiele kobiet próbowało zdobyć moją samotnię, ale broniłem się dzielnie – bo nie toleruję niczego poniżej poziomu, na którym sam jestem. Bywam wyniosły, złośliwy i wredny – i nie poczytuję tego za wadę, bo z niektórymi ludźmi nie da się inaczej. I taki niby nieugięty byłem, a tu proszę – pojawił się potok słów, któremu pozwoliłem wedrzeć się do swojego wnętrza, jakby to miejsce właśnie na niego czekało...

Dużo czasu zajęło mi nauczenie się tolerowania innych ludzi. Ich głupoty i zniszczeń, jakie czynią przy jej pomocy. Świat nigdy nie dostosowałby się do mnie, więc pewnego dnia postanowiłem, że to ja dostosuję się do niego – przynajmniej do pewnego stopnia. I nie po to, by innym było lepiej, albo jako wynik kapitulacji własnej odmierności. Chodzi o wyciąganie dla siebie korzyści. Nie wykorzystywanie, a korzystanie z tego, co może przynieść przynależność do jakiejś grupy. Czasem męczę się sam ze sobą. Z jednej strony mam głęboką potrzebę dzielenia z kimś przeżyć i uczuć, z drugiej – wydaje mi się, że powinienem unikać sytuacji, które prowadzą do bliskości, bo... kilka razy w życiu musiałem poskładać swoje serce z drobnych kawałków i chyba nie funkcjonuję już tak jak kiedyś. Bo zostałem tak skrzywdzony, że na



dobrą sprawę do końca życia powinienem być sam. Bo jedyne, co potrafię, to krzywdzić...

A tak naprawdę to «nie potrafię kochać» oznacza «Ty nie będziesz potrafić kochać mnie». W związku biorę na siebie odpowiedzialność nawet za rzeczy, które ode mnie nie zależą. A dużo ode mnie nie zależy, wiesz o tym doskonale. Jeśli coś jest nie tak, we własnej ocenie to ja jestem winny. Założyłem sobie kiedyś, że już nigdy nic. Najwyraźniej czas wiele zmienia, bo teraz jesteś Ty.

Czy dwa dni wystarczą, by całkowicie zawładnąć czyimś życiem? To pytanie retoryczne... Czy to normalne, że marzę o tym, żebyś mnie kochała i upokarzała? Czym w ogóle jest normalność? Mogę być Twoją dziwką, kochankiem, kim tylko chcesz... Ale jednocześnie musisz liczyć się z tym, że czasami zamienimy się rolami – i będziesz robiła, co Ci rozkażę. I prosiła o litość...

Żyję Tobą. Karmię się Tobą. Chciałbym rzucić wszystko i biec do Ciebie, być Twoim Panem albo leżeć u stóp i lizać Twoje buty. Dwa dni, a ja naprawdę nie potrafię wyobrazić sobie, że mogłoby Cię zabraknąć. Będę czekał tyle, ile trzeba. I tak czekałem na Ciebie latami, wytrzymam jeszcze trochę. Nie daje mi spokoju myśl, że nie wiem, czy nie jest Ci teraz zimno, czy nie jesteś głodna... że nie mogę czuć nad Twoim spokojnym snem. Smakujmy stopniowo swoje ciała, ta cisza przed burzą jest taka ekscytująca... Chcę tulić się do Ciebie w ciemności i badać palcami każdy centymetr Twojego ciała.

Ale... to jest nic. Wiem, że powinienem Ci to mówić, patrzeć w Twoje oczy, nadać ciężar słowom... ale chcę, żebyś wiedziała coś już teraz. Nie wiem, ile to potrwa. My. Może całe życie. Może tydzień. Ale bez względu na to, jak potoczy się nasza historia, bez względu na to, że to dwa dni, musisz wiedzieć, że ja Cię pokocham i już zawsze będziesz ze mną. Dopóki będę oddychał, będziesz mi towarzyszyć. Jestem bardzo świadomy i wiem, co mówię. Zmierzamy w tym kierunku. I to będzie jak wybuch gwiazdy...

Mów mi wszystko. Jeśli zachowam się jak kretyn, chcę to usłyszeć. Jeśli zrobię coś złe, zwróć mi uwagę. Nie chcę udawania, ukrywania prawdziwych uczuć i emocji. Nawet, gdybyś miała powiedzieć coś bolesnego – lepsze to niż udawana harmonia. Tak, po tych rozmowach powinniśmy móc się przytulić... Potrzebuję teraz tego, jakby to miało być ukojenie na poparzoną skórę. Ręce mi się trzęsą..

Wyprosiłem sobie Ciebie. Mówię śmiertelnie poważnie. Bardzo dokładnie określiłem, jaka masz być. I czekałem. Nie szukałem już jak kiedyś, wierzyłem, że to przyjdzie do mnie samo we właściwym momencie. Ale od pewnego czasu powtarzałem sobie – przyjdź, jestem na Ciebie gotowy. Jesteś dokładnie taka, jaka powinnaś być, dlatego wciąż myślę, że to sen – bo przecież moja wymarzona konfiguracja to jakiś kosmos. Cudownie popieprzony kosmos.

Jesteś wewnątrznie najpiękniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałem. Nie przestajesz mnie zadziwiać tym, co robisz i jaka jesteś. Czuję, że

mógłbym siedzieć gdzieś z boku i po prostu patrzeć na Ciebie – jak pracujesz, wykonujesz codzienne czynności, mówisz... Chciałbym Ci podziękować. Za to, że jesteś, jeszcze wiele razy będę. Ale też za to, że wpuściłaś mnie do swojego świata i pozwalasz mi się po nim poruszać. Że otworzyłaś się na mnie i pokazujesz, jaka naprawdę jesteś. Że dzielisz się ze mną swoim strachem i bólem. I wreszcie – że wyrwałaś mnie z beznadziei, w jakiej trwałem przez tyle lat...

Pojawiłaś się Ty. Teraz to Ty jesteś moją siłą. Może wydaje Ci się momentami, że jesteś słaba, a prawda jest taka, że swoją obecnością dajesz mi ogromne wsparcie. Za jakiś czas wróci mi równowaga. Bez Ciebie wpadłbym w jakąś otchłań odrętwienia, niemocy, braku wiary w cokolwiek. A wiara jest najważniejsza i nie mówię o Bogu. Trzeba wierzyć, żeby życie miało sens – i ja dzięki Tobie uwierzyłem – że może mnie jeszcze spotkać w życiu coś dobrego, że warto się budzić każdego ranka. 4 października będzie dla mnie już zawsze wyjątkowy. Podanie tego numeru telefonu. Jeśli kiedykolwiek miałbym uwierzyć w Boga – wtedy miał swoją szansę. I skubany wykorzystał ją po mistrzowsku – bo podobno jest miłością, prawda?

Budujemy swój świat przy użyciu bardzo ostrych narzędzi, które wciąż kaleczą nam dłonie, ale nie przestajemy się do siebie uśmiechać. Bo to, co nas łączy, jest tego warte, bo w sobie nawzajem mamy oparcie.

– Erice to średniowieczne, kamienne miasteczko położone na szczycie góry z pięknym widokiem na Wyspy Egadzkie – dobiegł mnie

głos rezydenta. – Nazwa miasta pochodzi od imienia *Eryks*. Był to mityczny król Elymów, którzy przybyli na Sycylię około tysiąc sto lat przed narodzinami Chrystusa. Istnieje teoria, że Elymowie byli uciekinierami ze starożytnej Troi. W każdym razie Eryks, syn Wenus i Bute, był półbogiem, który zdobył panowanie na wyspie po tym, jak zwyciężył samego Herkulesa!

– Uciekali, tak jak my – wtrąciła jedna ze starszych pań. – Na tę wyspę wszyscy po prostu przyjeżdżali i odjeżdżali. Jak na dworzec. To jak tu może być bezpiecznie?

– Tu chodzi o położenie, strategiczne, proszę pani – odpowiedział jej pan profesor. – Starożytni nie zajmowali ziem, żeby sadzić pelargonie na balkonach. Jedni drugich wypierali z co lepszych miejsc.

– No właśnie, zamiast się pogodzić i żyć razem, to ciągle muszą się wysadzać w powietrze! – powiedziała z pretensją druga z kobiet. – Kiedy pojechałyśmy do Kolumbii, to też ciągle nas ostrzegano przed bandytami. Ale tam nikt nas nie napadł. Tylko raz widziałyśmy taką ciężarówkę, na której siedzieli mężczyźni uzbrojeni w karabiny maszynowe. Ale my sobie szłyśmy spokojnie poboczem, to nas zostawili w spokoju, prawda Jadziu?

– Tak – potwierdziła zapytana kobieta. – Nikt nie podkładał bomb. Najwyżej strzelali do siebie, ale turystów zostawiali w spokoju.

– Tu też turystów zostawiają w spokoju – dołączył do rozmowy pan w koszulce w paski. – To był przypadek, że usłyszeliśmy wybuch. Oni prawdopodobnie czekali z eksplozją, aż odjedziemy.

– Przecież odjechaliśmy o czasie, to dlaczego wysadzili hotel tak szybko? – wtrącił się pasażer, który usiadł na miejscu rezydenta. – Podobno Włosi wcale się nie śpieszą, a tym było bardzo śpieszno!

– Włosi nie przywiązują wagi do punktualności – poprawił pan filozof. – Widocznie działa to w obie strony.

– Niedługo zatrzymamy się na obiad. Myślę, że wszystkim nam należy się lampka wina – powiedział rezydent. – Mamy sporo czasu, bo nie zwiedzaliśmy Palermo. Jeśli ktoś ma ochotę spokojnie zrobić zakupy, to bardzo proszę. Erice to miasto turystyczne, więc tu nie spodziewam się porachunków mafijnych.

W autokarze zapanowała radosna atmosfera. Rezydent powiedział jeszcze parę słów na temat miasteczka, do którego zbliżaliśmy się dość szybko. Zainteresował turystów historią zamku Castello di Venere, zbudowanego w miejscu, gdzie niegdyś mieściła się świątynia Wenus Erycyńskiej. Legenda głosi, że gdy narodził się Chrystus, świątynia runęła wskutek silnego trzęsienia ziemi, a z pozostałego po niej kamienia zbudowano zamek.

Spojrzałam na ekran telefonu. W odebranych wiadomościach widniała tylko jedna.

Bardzo staram się nie pisać już do Ciebie. Bardzo. Nie chcę Cię dręczyć, bo wciąż jesteś mi bliski. Wybacz mi proszę, że nie umiem dotrzymać tej obietnicy, ale będę się starać. Będę się bardzo starać, żeby już o Tobie nie myśleć. I chronić Cię w ten sposób.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie parę młodych, zakochanych w sobie ludzi, którzy wymieniali ze sobą takie piękne wiadomości. Być może po tej ostatniej właściciel telefonu, mężczyzna, usunął wszystkie poprzednie. Co się wydarzyło? Dlaczego zerwali? Nasuwał się wniosek, że to on się wycofał, jednakże lektura wysłanych SMS-ów kazała wierzyć, że kochał dziewczynę mocno i szczerze oraz że była ona dla niego bardzo ważna. Jaki dramat odegrał się za pośrednictwem tego telefonu? Dlaczego aparat trafił w moje ręce – czy to był przypadek?

– Czy z zamkiem wiążą się jakieś romantyczne legendy? – zapytała żona mężczyzny, który usiadł na miejscu rezydenta. – Skoro w tym miejscu oddawano cześć bogini Wenus...

– Rzymianie uważali, że miasteczko Erice założył Eneasz – ciągnął rezydent. – Budowniczym murów miejskich i świątyń był zaś sam Dedal. O Erice mówi się, że jest to miasto ciszy, utkane z westchnień boskiej Wenus. Turyści i mieszkańcy odnajdują tu spokój i wyciszenie.

– Nam się one bardzo przydadzą – mruknął mężczyzna, który

zazwyczaj milczał. – Ciągłe ktoś gada...

Dysponowałam jedynie numerem telefonu dziewczyny. Jedna odebrana wiadomość dawała mi niewielkie pole do manewru. Myślałam, co powinnam zrobić. Wreszcie zdecydowałam, że bezpośrednia rozmowa będzie najlepszym rozwiązaniem. W końcu SMS byłby odczytany jako wiadomość od niego.

– *Pronto* – usłyszałam młody, ciepły głos.

Zrobiło mi się gorąco, choć klimatyzacja w autokarze działała bez zarzutu.

– Dzień dobry – mówiłam prawie szeptem. – Proszę mnie posłuchać. Ja ten telefon dostałam od kogoś, przeczytałam wiadomość pani i dzwonię, żeby...

– Kim pani jest? – przerwała mi rozmówczyni ostrym tonem.

– Zupełnie przypadkową osobą – odparłam szybko, bo nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co jej powiedzieć. Jak wytłumaczyć tej kobiecie w dwóch słowach, że zamiast jej ukochanego, odzywam się ja. – Proszę mnie posłuchać, bo to skomplikowane...

– Nie mam ochoty – przerwała znów kobieta. – Jeśli on panią nastął, to niech mu pani powie, że to jest żalosne. Miałam nadzieję, że stać go na więcej!

– To nie tak, proszę mnie wysłuchać! – krzyknęłam tak głośno, że prawie wszyscy pasażerowie zwrócili na mnie uwagę. – Ja chciałam...

Połączenie zostało zerwane. Zepsułam to. Oczywiście, postąpiłam zupełnie bez sensu. Nie przygotowałam się do tej rozmowy, ona miała prawo tak zareagować.

Tymczasem rezydent zarządził postój. Od Erice dzieliło nas niespełna trzydzieści kilometrów. Zatrzymaliśmy się przy przydrożnej restauracji, żeby zjeść wczesny obiad, pożądanym przez wszystkich po skromnym śniadaniu. Właściciel lokalu nie był przygotowany na przyjęcie tak dużej grupy, potrwało więc chwilę, zanim ulokował nas przy zsuniętych stołach i skonsultował z kucharzem, co mogą nam szybko zaserwować. Postanowiłam wykorzystać ten czas, żeby poszukać mojej karty SIM. Wydobyłam torbę z bagażnika, zanurzyłam ręce w jej wnętrzu i w tej samej chwili przypomniałam sobie, że



spodnie wraz z kieszenią, w której umieściłam kartę, zostały w hotelu Nina. Zapomniałam zabrać je z łazienki.

– Ja muszę wrócić do tego hotelu w Palermo – zaatakowałam rezydenta, który właśnie nalewał sobie wino do kieliszka.

Wino znalazło się na stołach jako pierwsze. Właściciel lokalu oznajmił, że jeśli wypijemy je całe, nie doliczy go do rachunku, więc wszyscy sięgali już po trunek.

– Coś tam zostawiłam.

– Pani żartuje – odpowiedział rezydent i popatrzył na mnie w taki sposób, jak patrzy się na niegrzeczne dzieci. – Jak pani to sobie wyobraża? Poza tym, hotel spłonął, odczuła pani siłę eksplozji, więc myślę, że to, co pani tam zostawiła, już przepadło.

– Ja muszę tam wrócić – nie ustępowałam. – Może jednak znajde...

– A co takiego, jeśli można spytać? – Uśmiechnął się rezydent.

– Kartę SIM – palnęłam, zanim zdążyłam pomyśleć.

Rezydent wypił spory łyk wina, oblizał wargi, wstał i wzięwszy mnie pod ramię, poprowadził na bok.

– Proszę pani – zaczął bardzo wolno mówić. – Pani chyba mocno oberwała tą torbą, co to na panią spadła. Naprawdę zamierza pani szukać w ruinach karty SIM? Naprawdę chce pani, żebym zaproponował grupie powrót do Palermo, bo pani musi odzyskać coś, co jest mniejsze od paznokcia?! Bardzo przepraszam, ale chyba pani upadła na głowę!

– Muszę zadzwonić do domu, to dla mnie ważne – upierałam się. Pot ściekał mi po plecach, mimo że w restauracji panował przyjemny chłód. – Nie wiem, co się tam dzieje, i się martwię.

– Pani kochana. – Ton rezydenta zmienił się w zniecierpliwiony. – Nigdzie nie pojedziemy. Jest pani daleko od domu, rozumiem, martwi się pani. Ale nawet jeśli tam się coś dzieje, nie wsiądzie pani do rakiety i nie teleportuje się w ułamku sekundy, prawda? Dziś mamy sobotę, w środę wraca pani do Polski. Zawsze istnieje możliwość zakupienia tu, na miejscu, nowej karty SIM, nowego telefonu. Można wysłać maila, można skontaktować się przez biuro. Niech pani nie będzie dzieckiem, bardzo proszę. Ja i tak mam już tego wszystkiego serdecznie dość!

Rezydent miał rację. Odzyskanie karty SIM z zapisanymi na niej numerami telefonów w obecnej sytuacji graniczyło z cudem. Wewnętrzny głos podpowiadał mi, że gdyby stało się coś złego, zawiadomiliby mnie za pośrednictwem biura i rezydenta, więc nie powinnam się martwić.

– W poniedziałek jadę do Palermo, żeby odwiedzić pana Konopkę, może pani zabrać się ze mną – dodał rezydent, gdy podchodziliśmy do stołu. – A teraz błagam panią, zapomnijmy na chwilę o kłopotach, bo ja zwariuję!

Usiadłam przy stole, popatrzyłam na roześmianych ludzi, którzy pochylali się nad talerzami z parującym makaronem. Nie mogłam złapać dystansu. Dlaczego? Dlatego, że problemy pojechały ze mną na urlop. Los dał mi prezent w postaci kilku dni bez telefonu, na który patrzyłam ostatnio z jawną wrogością. Nieustannie przychodzące wiadomości od pani Ilony, cisza w komórce mojej matki, Betka i jej relacje o nowej sekretarce. Po co nam sekretarka? Czy ja w ogóle jestem na urlopie? Przecież mój umysł cały czas skupiony jest na tym, co dzieje się w Polsce. Nie pamiętam nawet, co widziałam po drodze. Moim klientom wciąż zalecam dystans jako najlepsze lekarstwo na żal, a sama nie potrafię tego zastosować. A może mój żal nie jest jeszcze wystarczająco dokuczliwy?

– Napije się pani z nami? – zagadnął mnie pan w czerwonej koszulce. Kiwnęłam potakująco głową, więc nalał mi czerwonego płynu do kieliszka. – Doskonałe wino. Na zdrowie!

Kolejne etapy podróży przebiegały już zgodnie z programem. Zanim dokończyliśmy posiłek, dotarł nowy kierowca, skierowany do nas przez włoskiego operatora. Turyści usadowili się na swoich miejscach, ruszyliśmy do Erice.

– Czy polecą nam pan jakieś sklepy? – zwróciła się do rezydenta starsza turystka. – Może sprzedają tu coś niezwykłego?

– Na pewno polecam wino – roześmiał się rezydent. – Najlepsze na Sycylii wypijemy dziś wieczorem w Marsali!

– Szkoda, że nie mają tu dobrej wódki – odezwał się podróżny w czerwonej koszulce. – Od razu wszyscy by się dobrze zrelaksowali.

– Niech pan mówi za siebie – obraziła się druga ze starszych pań. –

Ja nie biorę alkoholu do ust.

– A ja biorę! – odciął się mężczyzna. – I moja żona też bierze. Ona bardzo dobrze bierze, lepiej niż ja.

– Myślę, że trunek o nazwie Fuoco dell’Etna byłby w porządku. – Rezydent mrugnął porozumiewawczo okiem. – Prawdziwy wulkan.

– A z pamiętek? Co jest tu najbardziej charakterystyczne?

– Ceramika i... – rezydent zawiesił na chwilę głos – instrumenty muzyczne!

Gdy autokar trząśł się od śmiechu, mój telefon nagle zawibrował. Spojrzałam na ekran. Przyszła wiadomość od dziewczyny.

Wierzę, że to, co wcześniej napisałeś lub powiedziałaś, było prawdą, lecz skierowaną nie do mnie. Nie ja jestem tą osobą, o której myślałeś, budząc się rano, marząc w ciągu dnia czy projektując w głowie portret. Nie ja powinnam służyć Twoich wyznań, nie ja powinnam sprawiać, że Twoje serce bije szybciej. Przekonałeś się o tym, gdy się spotkaliśmy. Te dwadzieścia minut zamknęło cały rozdział. Wiedziałeś już, że TO NIE JA.

Po chwili kolejna.

Zawsze prosiłam Cię o prawdę, nawet najbardziej okrutną. Zamiast ciszy, która rani najmocniej. Jesteś najpiękniejszym i zarazem najgorszym doświadczeniem w moim życiu. Nie cierpię dlatego, że mnie odrzuciłeś tak brutalnie, bo niejednokrotnie już tego doświadczałam. Może wypadam w Twoich oczach żałośnie, histerycznie. Pewnie tak jest. Nie potrafię tego wytłumaczyć, zwykle pogodzenie się z kolejną porażką przychodziło mi łatwiej. Czy tym razem uwierzyłam w te słowa? Zamiast wybudować granicę, której zwykle się trzymam w kontaktach z ludźmi,

pozwoiliłam sobie na luksus wiary, że i do mnie ktoś może tak mówić. To głupota, bo przecież powinnam była zachować odrobinę zdrowego rozsądku.

Ja mimo wszystko z żalem przyjmuję, że już mi nie będzie tak dobrze. Ale się z tym pogodziłam. Kolejne dni i tak mijają bez większego sensu.

Trzymałam telefon w dłoni, kiedy dotarliśmy do Erice i rezydent zaproponował spacer. Wsiadłam z wypiekami na twarzy. Zwróciłam na siebie uwagę pana profesora.

– Czy pani się dobrze czuje? – zapytał z troską.

Szybko ukryłam dłoń z telefonem za siebie, jakby sam widok aparatu zdradzał, że cierpię na chorobę zakaźną.

– Bardzo dobrze – odpowiedziałam. – Nigdy nie czułam się lepiej. Dlaczego pan pyta?

– Ma pani takie czerwone wykwity na twarzy – stwierdził filozof i zrobił krok do tyłu. – I dziwnie się pani zachowuje. Może nie powinna pani jechać z nami w jednym autokarze?

– Nic mi nie jest! – powtórzyłam dobitnie i odeszłam na bok.

Starszy pan przyglądał mi się podejrzliwie, więc odwróciłam się do niego plecami. Telefon parzył mnie w dłoń. Tymczasem rezydent sprawdził, czy są wszyscy, po czym zaproponował zwiedzanie miasteczka. Grupa ruszyła. Pozwoiliłam, by większość osób mnie minęła i dołączyłam do nich na końcu. Rozmyślałam nad treścią ostatnich SMS-ów.

– Ciągłe musimy gdzieś chodzić – usłyszałam pretensje nastolatka, który towarzyszył rodzicom fotografom.

Zaważyłam, że tylko ojciec wciąż robił zdjęcia, matka miała wolne ręce.

– Jak na pielgrzymce!

– Nie dyskutuj, tylko obserwuj! – skarcił go ojciec. – W domu tego nie masz!

– To jest poronione miasto – marudził chłopak. – Ulice takie wąskie i wszystko z kamieni. Nie stać ich na beton?

– Przestań, bo... – zaczęła matka, ale urwała w pół słowa.

Przysłuchiwałam się tej dyskusji ciekawa, jakiego argumentu użyje wobec wyrośniętego nastolatka. Kobieta zamrugła niespokojnie i powtórzyła:

– Bo, bo....

– ...bo naplują ci na buty – dokończyłam za nią.

Rodzice i nastolatek stanęli jak wryci.

– Co pani robi? – upewniła się matka.

– Nie ja, lecz pani. – Uśmiechnęłam się. – Może mu pani napluć na buty, jeśli będzie niegrzeczny. Bo na klapsa to już jest za duży.

Na chwilę zapanowała cisza. Fotograficzna para nie miała poczucia humoru, bo popatrzyli na siebie z dziwnym wyrazem twarzy i odeszli trochę szybciej, ciągnąc syna za rękę. Nagle coś przyszło mi do głowy.

– Czy mogę zobaczyć zrobione przez was zdjęcia? – Podbiegłam do nich. – Te z Palermo i Cefalù?

Rodzinka początkowo maszerowała w milczeniu, ale po kilku minutach, gdy grupa zatrzymała się, żeby podziwiać ruiny starożytnych murów miasta, mężczyzna zwrócił się do mnie:

– Jeden aparat jest uszkodzony. Upadł na ziemię podczas eksplozji i nie można robić nim zdjęć. Mam nadzieję, że karta pamięci nie jest uszkodzona. A dlaczego chce je pani oglądać?

– Sama nie wiem – przyznałam. – Ale może coś zauważę i wtedy zrozumiem, co się wokół mnie dzieje.

Mężczyzna popatrzył na mnie tak, jakby wiedział, co mam na myśli. Jego żona przyglądała się nam nieufnie.

– Myślę, że najlepiej będzie usiąść gdzieś na chwilę po zwiedzaniu i spokojnie popatrzeć – zaproponował mężczyzna. – W wolnym czasie.

– Jak to? – zareagowała natychmiast jego żona. – Przecież planowaliśmy...

– To pożyczymy pani ten zepsuty aparat – uciął jej mąż. – Pochodzimy ze sprawnym.

Przeszliśmy kawałek główną ulicą, która miała zaprowadzić nas do słynnych ogrodów, a stamtąd do zamku. Wówczas powiadomiłam przewodnika, że nie będę zwiedzać miasteczka. Wskazałam przy tym

na moje bosa stopy. Dopiero wtedy każdy zwrócił uwagę, że biegam na bosaka. Jedyne ocalałe kłapek pozostawiłam jeszcze w Palermo. Zapasowych butów nie zabrałam ze sobą, a nie było dotąd okazji, żeby zaopatrzyć się w nowe. Dwie panie natychmiast zatroszczyły się o mnie i zaproponowały, że pożyczą mi własne obuwie.

– Kupię sobie tutaj – odparłam z uśmiechem. – Nie musicie na mnie czekać. Usiądę przed katedrą i poczekam na was.

Kilka osób namawiało mnie jeszcze, żebym nie rezygnowała ze spaceru po jednym z najpiękniejszych sycylijskich miast, ale uwaga pana filozofa, że powinnam odpocząć, bo przez cały czas dziwnie stękam, zamknęła temat. Pozostawiono mnie w spokoju, z telefonem i aparatem fotograficznym w ręku.

– Jeśli coś się stanie, to niech pani dzwoni – pouczył mnie rezydent.

Grupa ruszyła, a ja skryłam się w cieniu drzew, siadając na pobliskiej ławeczce. Najpierw sięgnęłam po telefon. Po chwili namysłu napisałam:

Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazłam się w posiadaniu telefonu, który należy do Pani przyjaciela. Może spotkamy się w poniedziałek w pobliżu dawnego hotelu Nina?

Wysłałam wiadomość, odłożyłam telefon na bok i zaczęłam przeglądać zdjęcia zapisane na karcie pamięci aparatu. Były ich setki. Przedstawiały domy, samochody, ludzi, zwierzęta, chmury, potrawy, rośliny, bliżej niezidentyfikowane obiekty. Po kilkunastu minutach byłam znużona i poirytowana. Jak można fotografować wszystko napotkane na swojej drodze? Przesuwałam palcem po ekranie aparatu, nie przyglądając się zbyt temu, co widzę, aż wreszcie coś przykuło moją uwagę. Zdjęcie zostało zrobione na Etnie. Przedstawiało grupę turystów oraz rezydenta, który rozmawiał przez telefon. Przybliżyłam aparat do twarzy, żeby lepiej się przyjrzeć, pożałowałam, że nie mam przy sobie lupy. Wydawało mi się, że przewodnik trzyma w ręku srebrny telefon. Na kolejnych zdjęciach



mężczyzna tylko stał i coś pokazywał. Zaczęłam z uwagą przesuwać kolejne klatki. Wreszcie znalazłam fotki z Cefalù. Fotografia wykonana na skale La Rocca obejmowała rezydenta, który przyglądał się swojej ręce. Znowu nie mogłam się dopatrzyć szczegółów, ale padający promień słońca odbił się od metalicznej obudowy. Na kolejnym zdjęciu widziałam siebie klęczącą nad rozbitym aparatem. Następne klatki przesunęłam szybko. Para fotografów uwieczniła przewodnika w Palermo, tam trzymał on w ręku zupełnie inny telefon, czarny.

Znalazłam jeszcze jedno interesujące zdjęcie. Przedstawiało ono mężczyznę, który grzebał w śmietniku przed hotelem w Palermo. Można było wyraźnie dostrzec, że facet wkłada do środka jakieś zawiniątko. Zapamiętałam numer zdjęcia, trzy siódemki, i zerknęłam na telefon, który położyłam na ławce. Czyżby należał do rezydenta? A może to zbieg okoliczności. Dziewczyna nie odpowiedziała na wiadomość. Jeśli to rezydent był autorem tych SMS-ów, to mógłby mieć mi za złe, że je przeczytałam. Z drugiej strony, skąd mogłam wiedzieć?

Popatrzyłam przed siebie. Miasto istotnie kojarzyło się z błogą ciszą i spokojem. Wąskie uliczki zdawały się zamykać przed hałaśliwym tłumem, a kamienny budulec zapewniał orzeźwiający chłód i bezpieczną barierę przed światem. Nawet stąpanie boso po bruku było tu przyjemne. Wstałam i nieśpiesznie ruszyłam przed siebie. Gdy minęłam placyk przy katedrze, ukazał mi się nieduży sklepik z pamiątkami, w którym – o dziwo – kupiłam także całkiem ładne sandały.

Wróciłam na swoją ławkę i oddałam się rozmyśleniom. Rezydent zakochał się w pięknej Włoszce, wyznał jej miłość, ona ją odwzajemniła i nagle wydarzyło się coś, co brutalnie przekreśliło ich plany. Tylko dlaczego pozbył się telefonu, który ktoś mi później ofiarował? To było dziwne, jak cały pobyt tutaj. Zdałam sobie sprawę, że zamiast błogo się nudzić na tej pięknej wyspie, spędzam czas niezwykle pracowicie.

Grupa pojawiła się około drugiej po południu. Wykorzystałam swój czas na relaks w promieniach sycylijskiego słońca. Nie schowałam

telefonu do torby i rezydent omiół go wzrokiem, lecz nic nie powiedział. Zarządził czas wolny i usiadł ciężko obok mnie. Zdążyłam oddać aparat fotograficzny właścicielom, zanim przemówił:

– Pani już zrobiła zakupy? – zagadnął niby od niechcena.

Pokiwałam głową potakująco. Turyści rozbiegli się po miasteczku, jakby ktoś ich poganiał. Gdy z pola widzenia znikła ostatnia osoba, rezydent popatrzył na mnie uważniej. Zanim zdążył coś powiedzieć, w telefonie piknęło, że pojawiła się nowa wiadomość.

Nie ruszyłam się z miejsca. Rezydent oparł głowę o zaplecione ramiona i dopiero po kilku minutach powiedział gdzieś w przestrzeń:

– Nie odczyta pani? Wcześniej tak pani zależało, żeby mieć telefon.

– To pana telefon – powiedziałam to tonem miękkim jak aksamit. – Domyśliłam się dziś rano. Ktoś wręczył mi go w Palermo, ale moja karta i tak przepadła.

– Mogę? – rezydent wciąż siedział z głową opartą o ramiona, ale domyśliłam się, że chce przeczytać wiadomość. – Chyba, że to do pani.

– Raczej do mnie, ale pana dotyczy – zawahałam się – w pewnym sensie.

Rezydent wyprostował się i popatrzył mi w oczy.

– Co pani wie?

Streściłam mu, co wiedziałam i myślałam na temat telefonicznej korespondencji. Rezydent wysłuchał mnie w milczeniu, po czym wyciągnął rękę. Również bez słowa podałam mu telefon. Przeczytał w skupieniu i odłożył aparat na bok.

– Zgodziła się na spotkanie. Co zamierzała jej pani powiedzieć?

– Sama nie wiem – przyznałam się. – Chyba to samo, co teraz panu. Myślę, że to pan powinien zdecydować, co dalej. Zresztą, proszę zabrać telefon. Mnie on niepotrzebny, bo bez karty nie zadzwonię do domu. Miał pan rację, postanowiłam skorzystać z ostatnich dni urlopu i przestać się martwić.

Rezydent pokiwał głową, wziął ponownie telefon do ręki, popatrzył na niego i ciężko westchnął.

– To nie jest takie proste – powiedział. – Spotkanie może tylko pogorszyć sprawę. Sam nie wiem, co robić, ale myślę, że milczenie

jest jedynym wyjściem.

Poczekalam, az ominie nas grupa hałasliwych, hiszpańskich turystów, przysunęłam się bliżej do rezydenta i powiedziałam:

– Czy jest tu jakieś spokojne miejsce? Takie, gdzie usiądziemy i po prostu porozmawiamy?

\*\*\*

Wczesnym wieczorem ruszyliśmy do Marsali, miasta słynącego z produkcji doskonałego wina. Degustacja w winiarni przebiegła wedle programu, jedni wypili trochę więcej, inni trochę mniej, za to autokar został obciążony litrami wspaniałego trunku. Zadowoleni turyści zapewniali pojazd, dzieląc się wrażeniami, tak jakby zupełnie zapomnieli, co wydarzyło się tego dnia rano. Rozpoczął się trzygodzinny przejazd do Agrigento, gdzie oczekiwano na nas z noclegiem. Rezydent włączył film i opadł na swoje siedzenie. Byłam ciekawa, jakie wnioski wyciągnął z naszej rozmowy, ale czekałam, aż sam zacznie mówić. Dotychczas moi klienci przeżywali to w zaciszu własnego domu lub gabinetu terapeuty, a ten człowiek musiał zmierzyć się ze swoim życiowym problemem, obserwowany przez grupę obcych mu osób, które miały prawo cały czas się czegoś od niego domagać. Dwie panie, które wciąż przypominały o obiecanych przepisach na desery, pan filozof, który czuł niedosyt, jeśli chodzi o mitologię, pan w czerwonej koszulce, który pragnął wrażeń, obrażony nastolatek i jego rodzice oraz pozostali – każdy z innymi oczekiwaniami.

Gdy dojechaliśmy do małego rodzinnego pensjonatu na obrzeżach Agrigento, rezydent z wymuszonym uśmiechem na ustach rozdzielał klucze do pokoi. Jako ostatnia powiedziałam mu dobranoc.

– Postawiła mnie pani w roli kata – powiedział, wręczając mi klucz.  
– Moje myślenie nie było wówczas skomplikowane. Wszystko zadziało się tak szybko... Głód, łaknienie szczęścia sprawiły, że przedobrzyłem. Za bardzo chciałem...

– A może teraz za bardzo pan chce? – Skrzywiłam się. – Za bardzo pan chce się usprawiedliwić?

– To nie jest usprawiedliwianie się – obruszył się rezydent. – Cała ta historia była przecież iluzją, nieprawdą. Nikt tak nie postępuje! Nigdy jej nie odrzuciłem. Po prostu okoliczności są takie, jakie są.

– To nie jest żadne wytłumaczenie tego, co pan zrobił – zrugłam go. – Należy ważyć słowa. Brać za nie odpowiedzialność, bo druga osoba mogła wziąć pańskie deklaracje za prawdę. Igrał pan więc z jej uczuciami, a to jest zawsze niewybaczalne. Skrzywdził ją pan i uważam, że takie błędy należy naprawiać. Oczywiście decyzja, jak

postąpić, należy do pana. Dobranoc.

Rezydent skinął mi głową. Poszłam do pokoju. Tej nocy poczułam się, jakbym była w domu. Jakbym znów była w pracy. Byłam sobą.

\*\*\*

Niedziela. Ostatni etap naszej podróży. Agrigento i Syrakuzy. Członkowie naszej grupy, odświeżeni i weseli, pojawili się na śniadaniu. Rezydent wyglądał natomiast jak śmierć. Miał podkrążone oczy i niestarannie uczesane włosy.

– To co nam pan dziś pokaże? – zagadnęła go żona turysty w czerwonej koszulce, który dziś był panem w koszulce niebieskiej. – Na co mamy być przygotowani?

– Na zabytki! – wrzasnął jej mąż i zaraz sam zaczął się śmiać z własnego żartu. – Z tyłu liceum, a z przodu muzeum!

– Opowiem państwu w autokarze – zbył ich rezydent. – Życzę smacznego.

Usiadłam obok niego. Pił tylko kawę. Wczoraj zabrał ze sobą telefon, ale nie zaczynałam rozmowy na ten temat.

– Pan Konopka czuje się już dobrze, więc jutro pojedę po niego – powiedział cicho rezydent między jednym łykiem kawy a drugim. – Może pani jechać ze mną.

– Chętnie – powiedziałam to moim mediacyjnym głosem.

Czułam, że przewodnik zamierza mi coś powiedzieć, ale czeka na odpowiedni moment.

– Do Katanii wrócimy dziś wieczorem. Jeśli to pani nie przeszkadza, wyruszylibyśmy w poniedziałek rano, po śniadaniu.

– Dobrze.

– Coś pani pokażę. – Rezydent sięgnął po telefon, który trzymał w kieszeni. Wyjął najpierw ten czarny, później srebrnego samsunga. – Napisała mi to wczoraj w nocy.

Wzięłam do ręki komórkę i przeczytałam wiadomość.

Moje łzy ciągle płyną, bo wreszcie znalazły ujście. Gdy w marzeniach wyobrażałam sobie ten moment, zawsze widziałam siebie uśmiechniętą i radosną. Teraz czuję, że muszę tymi potokami łez zmyć z siebie brud smutku. Utrudnia mi to funkcjonowanie. Chciałabym móc zamknąć się z Tobą w jakiejś głuszy i przetrwać ten stan. To jest niezwykle trudne. Kocham Cię. To nie są tylko



słowa, których używam, żeby zaspokoić potrzebę przynależenia do kogoś. Naprawdę Cię Kocham. Jeśli znikniesz, to będzie koniec najgłębszych pragnień... i chęci. Nie, nic sobie nie zrobię, ten etap mam już za sobą, po prostu, co to będzie za życie...

– Każda historia potrzebuje własnego zakończenia – powiedziałam, odkładając telefon. – W chwili, gdy wprowadził pan do niej Izabelę, przestała być ona tylko pana udziałem. To było ogromnie samolubne z pana strony tak po prostu zerwać kontakt, bo przestraszył się pan konsekwencji, trudności. Skrzywdził pan ją i siebie. Myślę, że należy coś z tym zrobić.

– U mnie podłożem wielu problemów i lęków jest to, że w wieku dorastania nie miałem przewodnika. Osoby, która nauczyłaby mnie, jak sobie radzić w wielu sytuacjach, czego powinienem się obawiać, a co mogę olewać, bo nigdy nie będzie dla mnie zagrożeniem – bronił się rezydent. – Inni ludzie w trudnych sytuacjach po prostu wyciągają gotowe rozwiązania z worka mądrości, jakie zostały im wpojone, i je stosują, bo ktoś im kiedyś powiedział, że to zadziała. Ja zawsze musiałem szukać rozwiązań na własną rękę, a nawet jak je już znajdowałem, nie było nikogo, kto utwierdziłby mnie w przekonaniu, że są słuszne. Więc to zawsze było błędzenie po omacku. I zawsze była niepewność. Również dzisiaj. Inni po prostu coś robią, bo mają wpojone schematy zachowań. Ja bez przerwy wszystko analizuję, bo nie mam schematów, na których mógłbym się oprzeć.

– Rozczuła się pan nad sobą – podsumowałam go. – Wygodnie jest doszukiwać się przyczyny swoich niepowodzeń w przeszłości i innych obarczać winą za własne niedoskonałości. Taki przywilej mają tylko osoby bardzo młode, które nie uzbierały jeszcze własnych doświadczeń, bo nie było ku temu okazji. Ktoś, kto jest w pana wieku, powinien już umieć wyciągać wnioski i ponosić odpowiedzialność za własne czyny.

– Kiedyś powiedziałem jej, że mam bardzo smutny dzień. Zapytała dlaczego, a ja jej na to, że nie wiem, czym jest to spowodowane.

Trochę nie wiem, a jak już przychodzi mi do głowy powód, to nie analizuję bardziej, bo się tego boję. Myślę dzisiaj o szczęściu i jego definiowaniu. Tak mi się wydaje, że szczęście jest gdzieś w każdym z nas, ale ma dwa oblicza. Niby wiesz, co w tobie drzemie, co sprawia, że unosisz się lekko nad ziemią, a jest tak kruche, że wpadasz w przerażenie na myśl, że *to* mogłoby się skończyć.

– W takim razie pan bardziej bał się siebie, własnego zaangażowania niż zewnętrznych konsekwencji. Gdzie w tym wszystkim była Izabela? Zdaje się, że tak mocno skupił się pan na odczuwaniu własnego szczęścia, że zgubił ją po drodze i nawet tego nie zauważył.

– Brakuje mi jej – westchnął rezydent. – Odgadywała moje pragnienia bez najmniejszych wskazówek. Nawet, gdyby mi nie mówiła, że jestem ważny, tak właśnie bym się czuł, bo pokazywały to jej gesty. Nawet gdyby mnie biła, czułbym się bezpiecznie. To było piękne, w jaki sposób otulała mnie swoją troską, nie tylko w tych momentach. Była niesamowicie czuła w jednej chwili, a niemal brutalna w drugiej i ta mieszanka mnie obezwładniała. Stała się bardzo wyczulona na sygnały płynące z mojej strony, obojętnie w jakie formie byłyby podane. To się rzadko zdarza. A dowodziło, jak dużo znaczyły dla niej moje odczucia, jak bardzo jej zależało, żeby było mi dobrze. Nigdy by mnie do niczego nie zmusiła, nigdy nie zrobiłaby niczego, czego bym nie chciał, nawet, gdyby tego bardzo potrzebowała. Z drugiej strony nie wiem czy to wrażenie, ale czułem, że byłaby w stanie zgodzić się na coś, czego sama mogłaby nie chcieć, jeśli miałbym taką fantazję. Nigdy tego nie wykorzystałem, ale wiedziałem, że był to wyraz tego, że otwierała się na mnie. I jeszcze jedno. Czułem się przy niej prawdziwym mężczyzną. Naprawdę uważa pani, że zrezygnowałbym z tego z tak prostej przyczyny jak lęk? Jeśli tak, to nie rozumie mnie pani na podstawowym poziomie.

– Nie jest ważne, czy ja pana rozumiem – odpowiedziałam. – Ważne jest, czy ona zrozumiała.

– Szefie, o której ruszamy? – przerwał nam rozmowę turysta w niebieskiej koszulce. – Bo wszyscy już zjedli.

– Za dziesięć minut – odparł rezydent i wstał. – Zapraszam

wszystkich z bagażami do autobusu. Może później porozmawiamy – zwrócił się do mnie.

Zanim zdążyłam zareagować, oddalił się szybko.

Również wstałam, poszłam do pokoju po torbę i niedługo potem razem z innymi jechałam na spotkanie greckich świątyń w Agrigento.

– Zmierzamy teraz do Doliny Świątyń – zawiadomił nas rezydent. – A zaraz potem na Schody Turków.

– Czy my naprawdę musimy oglądać tych imigrantów z bliska? – Żona pana w niebieskiej koszulce skrzywiła się.

– Nie bądź rasistką! – skarcił ją mąż. – Są, to trzeba to uszanować i ich zobaczyć.

– Ale dlaczego musimy oglądać, jak siedzą na schodach? – denerwowała się kobieta. – Ja nie chcę! Ty pójdziesz ich oglądać, a ja zrobię zakupy.

– Od twoich zakupów cały autokar osiadł. Znowu nakupujesz jakiegoś paskudztwa!

– Chciałam kupić kilka wazoników.

– Kolejne skorupy do zbierania kurzu!

– Spokojnie, nie będziemy oglądać żadnych imigrantów – wtrącił się rezydent. – To nazwa wapiennych klifów, na których onegdaj skryli się tureccy uciekinierzy. Piękna atrakcja przyrodnicza, myślę, że warto zobaczyć.

– Będzie można robić zdjęcia? – zainteresował się przedstawiciel rodziny fotografów.

– Oczywiście, wyjdą piękne fotografie. Gdy będziemy jechać później z Syrakuz do Katanii, być może Etna dla nas zadymi.

Gdy rezydent wspomniał Etnę, coś przyszło mi do głowy. Wstałam z miejsca i podeszłam do rodziny z aparatami fotograficznymi. Poprosiłam, by na chwilę pożyczyci mi jeden z nich. Zgodzili się. Gdy usiadłam na swoim miejscu, skupiłam się na przeglądaniu fotografii z Etny. Pamięć mnie nie zawiodła. Na jednym ze zdjęć widniała grupa Sycylijczyków, którzy kłócili się z panem Konstantym. Przyjrzałam się dokładniej. Jednym z napastników był facet, który podłożył ładunek wybuchowy przed hotelem Nina.

– Niech pan popatrzy – syknęłam na rezydenta – na tego gościa po

prawej na tym zdjęciu. – Pokazałam mu fotografię z Etny. – A teraz jeszcze jedno, to kosz na śmieci przed hotelem Nina.

Rezydent zerknął, popatrzył jeszcze raz i nagle zbladł. Opadł na swoje siedzenie i wystraszony patrzył na mnie, jakby włosy mi się zapaliły.

– Pan go zna? – zapytałam. – Rozpoznał go pan?

– Tak – wymamrotał prawie bezgłośnie rezydent. – To brat Izabeli.

– Czy w Agrigento coś zjemy? – Nagle pojawiła się głowa starszej pani. – Obiecał nam pan miejscowy specyfik. Coś z rybami.

– Zjemy kuskus z rybami – wymamrotał rezydent. – Oni lubią ryby.

Zanim dotarliśmy do świątyń, które objawiły się na wzgórzu, rezydent zdążył powiedzieć mi, że nigdzie jutro nie pojedzie, bo się boi. Poczulałam narastający gniew i zniecierpliwienie. Obecność innych pasażerów powstrzymała mnie przed powiedzeniem mu paru gorzkich słów.

– I to jest ta atrakcja? – Podróżny w niebieskiej koszulce skrzywił się, gdy autokar zatrzymał się na parkingu kwadrans później. – Te szkielety na górze? A miała być dolina świątyń!

– Parking cały wypełniony – zmartwił się profesor. – Na górze pewnie tyle ludu, że nigdzie się nie dopchamy. Trzeba było wcześniej wyjechać, a nie tak na ostatnią chwilę!

– Tak daleko będziemy iść? Znowu?! – powiedział z pretensją nastolatek.

Jego rodzice oddawali się fotograficznej pasji, uwieczniając świątynie i wypełniony parking.

– Kto nie czuje się na siłach, może skorzystać z podwózki – poinformował nas rezydent. – Tam stoi busik!

Połowa turystów wyprysnęła od razu, nie czekając na dalsze wskazówki. Kierowca busika drzemiący w fotelu przeżył szok, widząc nacierający tłum. Podeszłam do rezydenta. Założył na nos okulary przeciwsłoneczne i wskazał kierunek marszu. Pojazd ruszył chwilę po nas, po kilku minutach zniknął nam z oczu. Kilka osób, które również zdecydowały się na spacer, dreptało w pobliżu.

– Czego pan się teraz boi? – zapytałam, być może trochę zbyt ostro, bo rezydent aż fuknął.

– Niech pani ze mnie nie drwi – zażądał. – Historie o włoskiej mafii wcale nie są przesadzone. O wendecie także nie. Skoro brat Izabeli podłożył ładunek, to znaczy, że miał pozwolenie mafii. Być może były to również jakieś porachunki mafijne, bo nie sądzę, że chodziło wyłącznie o mnie, ale i tak sytuacja się skomplikowała. W Palermo oni mieszkają, ale na Etnie, akurat wtedy, gdy byłem tam z wycieczką, to już nie jest przypadek.

– Myśli pan, że on na pana poluje? – dociekałam. – Wynika z tego, że na Etnie pan Konstanty wyświadczył panu przysługę.

– Tak, odwrócił ich uwagę – przyznał rezydent. – W Palermo ucierpiał bardziej. Sądzę, że nie powinienem tam jechać. W ogóle zaraz, kiedy wrócimy, zgłoszę w biurze rezygnację i wrócę do domu.

– Zostawi pan tego biednego człowieka na pastwę losu? – zdenerwowałam się. – On nie zna języka, boi się środków transportu, przeżył szok, a pan chce tak po prostu wyjechać?! – Aż się zatrzymałam.

Rezydent splunął na bok, wzruszył ramionami, wyminął mnie i szedł dalej przed siebie.

– A co z Izabelą? – Dogoniłam go i szarpnęłam za ramię. – Widział pan, co odpisała Izabela? Przecież pan przeczytał tę ostatnią wiadomość! Tak chce pan to zostawić?!

Rezydent nie reagował na moje szarpanie. Szedł dalej posepny i milczący. W końcu dałam mu spokój. Nie każdemu można pomóc. Postanowiłam, że sama wybiorę się do Palermo w poniedziałek, żeby pomóc krępemu. Byłam okropnie zła na rezydenta, który wydał mi się infantylny i mało męski. Co ta Izabela w nim widziała?!

Obszar, na którym znajdują się greckie świątynie, jest ogromny. Nie udałoby nam się zwiedzić ich pieszo, więc rezydent zarządził, że z bliska popatrzymy na dwie z nich. Świątynię Zgody i świątynię Hery. Pierwsza zachowana tak dobrze, jakby wybudowano ją niedawno. Druga, położona między drzewami, zachwycała krajobrazem.

Para fotografów wykonała dokumentację za pomocą aparatu, a milczący zwykle mężczyzna zastygł przed świątynią Hery w niemym zachwycie. Rezydent stał z boku i przyglądał się swoim

podeszwom.

– No dobrze, to poświęcimy tym świątyniom jeszcze jakieś pół godzinki, później jedziemy dalej – oświadczył nagle.

Sam usiadł na kamieniu i zaczął kontemplować żwir pod stopami. Uznałam, że nie chce rozmawiać, więc pokręciłam się trochę między ruinami. Poza naszą małą grupką nie dostrzegłam żywej duszy. Do kogo należały te zaparkowane auta?

– Wracamy! – krzyknął rezydent, kiedy zaczynałam drugą rundę spaceru. – Pozostali pewnie już na nas czekają!

Atmosfera przy świątyniach zgęstniała, nikt się nie odzywał, nikt nic nie robił, a jednak czuło się jakieś dziwne napięcie.

Gdy dotarliśmy na parking, grupa, która skorzystała z płatnego podwiezienia, częściowo oblegała miejscową restaurację, a co poniektórzy przysiedli tu i tam. Z ich komentarzy i kwaśnych min wywnioskowałam, że kierowca busa wykonał szybki objazd po okolicy, nie zatrzymując się nigdzie, przez co jedyne, co zobaczyli dokładnie, to był właśnie ten parking. Kilkoro zde gustowanych, którzy poprosili o powtórny kurs, pokonało dokładnie taką samą trasę w dokładnie takim samym czasie i znów wysiadło dopiero na parkingu. Kierowca pozostał nieugięty, aczkolwiek zadowolony z zarobku.

– Są wszyscy? – upewnił się rezydent i zaprosił nas do autokaru. – W takim razie jedziemy zobaczyć schody, a później obieramy kurs na Syrakuzy. Ostatni punkt naszego programu.

Schody Tureckie istotnie warte są obejrzenia. Przepiękne klify układały się w regularne stopnie i wyglądały tak, jakby sam Posejdon wybudował tu wejście na ląd. Wysiadłam z autokaru, lecz poprzestałam na podziwianiu krajobrazu z daleka. Rezydent rozmawiał z kierowcą. Nie chciałam im przeszkadzać, więc odeszłam na bok. Ku mojemu zaskoczeniu, turysta fotograf stał sam.

– Gdzie pan zgubił resztę rodziny? – zagadnęłam go.

Popatrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami, przygryzł wargi i dopiero po chwili odpowiedział.

– Zepsuła nam pani urlop – oświadczył.

Zamarłam. Kolejny, któremu zaszko dziłam.



– Co pan ma na myśli? – zapytałam ostrożnie.

Mężczyzna założył ręce na piersi, milczał przez dłuższą chwilę, po czym odpowiedział:

– Zastanowiło mnie, dlaczego chce pani przeglądać nasze zdjęcia. Więc podczas podróży zrobiłem to samo. Że też mi ręka nie uschła, kiedy dotykałem aparatu!

– Co pan tam zobaczył? – ponagliłam go, gdy zrobił kolejną długą pauzę. – Ducha?

– Gorzej – odburknął mężczyzna. – Własną żonę.

– Nie rozumiem...

– Na zdjęciach zobaczyłem moją żonę, która dotyka innego mężczyzny!

– Ależ skąd pan może...

– Fotografowałem zamek, nie zauważyli mnie – wyjaśnił. – Ja, szczerze mówiąc, też nic nie zauważyłem. Skupiłem się na murach. Dopiero na zdjęciu widać, że ten osioł i moja żona się dotykają.

– Jak? – ugryzłam się w język, ale było już za późno.

– On trzyma rękę na jej pośladkach, a ona opiera się o jego ramię – usłyszałam w odpowiedzi.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy oboje. Mężczyzna pierwszy przerwał ciszę, bo właśnie zaczęli się schodzić turyści.

– Ona nie wie, że ja wiem – syknął mi do ucha. – Niech jej pani nic nie mówi.

– Oczywiście, nie miałam takiego zamiaru! – zapewniłam go z mocą.

Mężczyzna tylko wzruszył ramionami, bo właśnie nadeszła jego żona z naburmuszonym synem. Mimochodem przyjrzałam się milczącemu zwykle mężczyźnie, który pojawił się chwilę później. Czy o niego chodziło? Teraz przypomniałam sobie, że zawsze towarzyszył fotografom, pomimo że sam nie zrobił ani jednego zdjęcia. Kobieta wsiadała do autokaru bardzo uśmiechnięta, jej mąż wyglądał, jakby go ktoś przejechał walcem drogowym, zaś nastolatek narzekał jak zwykle. Milczący mężczyzna przyjrzał mi się z uwagą. Przestraszyłam się, że wyczytał z mojej twarzy, że wiem o sekretnym romansie. Również wsiadłam i odwróciłam głowę do okna. Rezydent sprawdził,

czy są wszyscy, a następnie ogłosił:

– Teraz pojedziemy do Syrakuz. Po drodze zatrzymamy się na krótki lunch. Z Syrakuz wrócimy już do Katanii, powinniśmy zdążyć na kolację.

– Ile czasu zajmie nam podróż do Syrakuz? – chciał wiedzieć profesor.

– Około dwie i pół godziny – odpowiedział rezydent. – Przez ten czas powiem państwu kilka słów na temat tego pięknego miasta. Ale wcześniej pragnę podzielić się dobrą nowiną. Pan Konopka czuje się już dobrze i jutro wróci do hotelu w Katanii.

– A kto to jest pan Konopka? – zapytała jedna ze starszych pań.

– To ten dziwak od telefonu – wyręczył rezydenta mężczyzna w niebieskiej koszulce. – No i dobrze, że mu dobrze. Czy w Syrakuzach będzie czas wolny?

– Zobaczymy – odparł wymijająco rezydent. – Tam jest sporo miejsc do zwiedzania, więc nic nie obiecuję.

– Obiecał pan nam kuskus z rybą – przypomniała druga ze starszych kobiet. – I przepis na tofu.

– Syrakuzy zostały założone w siedemset trzydziestym trzecim roku przed narodzinami Chrystusa, jako jedna z greckich kolonii – zaczął rezydent. – Początkowo osada zajmowała jedynie przybrzeżną wysepkę Ortygię, ale z czasem, i to dość szybko, zaczęła rozrastać się także na lądzie. Syrakuzy stały się jednym z najbardziej liczących się miast na Sycylii, a w pewnym momencie rywalizowały nawet z Atenami o miano najważniejszego centrum kultury greckiej. To właśnie w tym mieście Archimedes wykrzyknął swoje słynne „Eureka!”. Wedle starej homeryckiej legendy na wyspie Ortygia bogini Leto urodziła bliźnięta: Artemidę i Apolla.

– Dlaczego ciągle opowiada nam pan greckie mity? – przerwała mu żona pana w niebieskiej koszulce. – Przecież geograficznie jesteśmy we Włoszech!

– Kultura antyczna opiera się przede wszystkim na mitologii greckiej, droga pani – pouczył ją profesor. – Rzymianie byli barbarzyńcami, którzy najechali i zbezczęścili wspaniałą grecką kulturę. A Sycylia jest tego doskonałym przykładem!

– Chodzi panu o to, że Włosi wysadzają się w powietrze? – wtrącił się pasażer siedzący gdzieś z tyłu.

Kilka osób się roześmiało.

– Chodzi mi o to, że bez znajomości mitologii greckiej, nie zrozumie się całej kultury starożytnej – odciął się filozof. – Rzymianie nie wymyślili nic nowego, a Arabowie zasłużyli się jedynie piękną architekturą. Syrakuzy to kolebka greckiego antyku!

– Znowu będziemy tylko zwiedzać, a ja chciałam kupić sobie klapki na korku – pożaliła się turystka.

– A zatrzymamy się w jakiejś dobrej restauracji? – dopytała starsza pani.

Rezydent popatrzył na ludzi siedzących w autokarze, jakby pierwszy raz ich widział. Jedni rozmawiali, inni coś jedli lub pili, jeszcze inni ucięli sobie małą drzemkę. Popatrzył, skrzywił się lekko i powiedział:

– W Syrakuzach mamy zamówiony obiad za dwie godziny. Później, kto chce może iść ze mną, żeby zwiedzić miasto. Najpóźniej o osiemnastej musimy wyruszyć do Katanii, więc mogą państwo sami postanowić, jak spożytkować ten czas.

Gdy to powiedział, usiadł ciężko na swoim miejscu.

– Banda ignorantów – mruknął do siebie.

Chyba tylko ja to usłyszałam, a może tylko wydawało mi się, że to powiedział. Poprosił kierowcę, żeby ten włączył radio, przez które nadawano akurat wiązanek włoskich przebojów. Pojazd zamienił się wkrótce w wesoły, rozśpiewany autobus, pełen beztroskich ludzi spędzających miło urlop. I tylko uważny obserwator wyłapałby tych, którym w danej chwili nie było śmiechu.

\*\*\*

– Kochani. – Rezydent podniósł rękę, gdy syci ustawiliśmy się wokół niego. – W tej chwili jest godzina czternasta trzydzieści. O osiemnastej spotykamy się dokładnie w tym samym miejscu. Kto ma ochotę, zapraszam na zwiedzanie ze mną. Kto idzie sam, proszę zapisać sobie, że zbiórka o osiemnastej przy teatrze greckim!

Zaledwie dwie minuty później z całej grupy pozostałam ja, pan profesor i dwie starsze panie. Rezydent popatrzył na nas z lekkim obrzydzeniem.

– W takim razie, zapraszam – mruknął.

Zaczelśmy zwiedzanie od teatru, który został wybudowany w piątym stuleciu przed narodzinami Chrystusa, wedle projektu Damokoposa. Stamtąd udaliśmy się do parku archeologicznego, żeby zobaczyć słynną jaskinię zwaną Uchem Dionizosa.

– W starożytności wykorzystywano to miejsce jako więzienie – opowiadał rezydent. – Panuje tu fantastyczna akustyka, stąd nazwa jaskini. Podobno podsłuchiwano tu więźniów.

– A po co? – zdziwiła się starsza pani. – Skoro już ich ukarali, to po co chcieli wiedzieć, co mówią?

– Niektórych wtrącano do więzienia tylko po to, żeby sprowokować ich do mówienia, do zdradzenia się z czymś – wyjaśnił profesor. – Człowiek, gdy czuje się bezpiecznie, przestaje się kontrolować. Ujawnia zwłaszcza to, co go dręczy, co starannie skrywał. Wtedy też łatwiej sprowokować go do zwierzeń.

– To okropne miejsce – wzdrygnęła się kobieta. – Po co pan nas tu przyprowadził? Chodźmy gdzieś, gdzie jest przyjemniej!

Poszliśmy więc zwiedzać katakumby. Syrakuzy były jedną z pierwszych gmin chrześcijańskich, więc i katakumby należały do największych. Zwiedzającym udostępniono jedynie niewielki fragment zabytku, mimo to jedna ze starszych pań zgubiła się w archeologicznym labiryncie i musieliśmy poczekać, aż ochrona ją wyprowadzi, wystraszoną i bliską płaczu. Tłumaczyła się, że zmyliły ją tabliczki z napisami. Sądziła, że wskazują wejście do toalet.

– Teraz zwiedzimy sanktuarium Madonny delle Lacrime. – Rezydent zatrzymał się przed okazałą budowlą, która przypominała złożony parasol. – Zapraszam do środka.

Spacerowaliśmy po mieście już ponad godzinę i przyjemny chłód monumentalnego wnętrza zrekompensował wysiłek.

– To chyba zabytek z czasów kosmicznych – zażartowałam półgłosem, ponieważ wewnątrz świątyni kojarzyło się raczej z modernizmem niż starożytnością.

– Wybudowano go w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia – odpowiedział na to rezydent. – Znajdujemy się w tej chwili w dolnej części kościoła. Może uda nam się zobaczyć górną.

Podążyliśmy za przewodnikiem, który ruszył zdecydowanym krokiem. Nagle nieprzebrany tłum otoczył nas i rozdzielił. Straciłam rezydenta z pola widzenia. Ludzka fala przeniosła mnie schodami na piętro, a tam w głąb obszernej sali. Przestraszyłam się, bo zniknęli również profesor i dwie starsze panie. Gdy ludzie się zatrzymali, stanęłam na palcach i dzięki temu dostrzegłam fragmenty ołtarza. Znajdowałam się w górnej sali, która była równie obszerna, jak dolna. Pomyślałam z przerażeniem, że trafiliśmy na porę odprawiania mszy i będę musiała odstać tak przynajmniej godzinę. Postanowiłam przesunąć się do tyłu, żeby dyskretnie opuścić kościół. Gdy wydawało mi się, że jestem blisko wyjścia, odwróciłam się i zobaczyłam prześwit między zgromadzonymi ludźmi. Przepchnęłam się w tamtą stronę. Było to przejście pozostawione w nawie głównej. Ludzie siedzieli w ławkach lub stali po obu jej stronach. Uznałam, że nic się nie stanie, jeśli szybko przejdę tą drogą do wyjścia. Wprowadziłam swój zamiar w czyn. W tej samej chwili zabrzmiała muzyka. Słodkie *Ave Maria* niczym dzwoneczki anielskie wypełniło kościół. Odwróciłam się i zobaczyłam starszego mężczyznę, który podszedł do mnie i złapał energicznie pod ramię. Oszołomiona, nie protestowałam. I tak dotarliśmy razem do ołtarza, przed którym czekał pan młody. Na jego pryszczatej, pokrytej rudą szczeciną twarzy malowało się niebotyczne zdumienie.

– Co jest? – wyjąkał.

Obok niego stał blondyn o niebieskich oczach, którego poznałam na lotnisku. Przyglądał mi się z lekką drwiną.

– Przeprowadziłem ci narzeczoną – oświadczył godnie starszy pan i wycofał się w poczuciu doskonale spełnionego obowiązku.

Stałam jak wryta, pan młody wytrzeszczał na mnie oczy, blondyn powstrzymywał śmiech, a pozostali goście szemrali za naszymi plecami. Pieśń została wyśpiewana i powinna zacząć się ceremonia, jednakże ksiądz również się zorientował, że coś jest nie w porządku, bo stał i bezradnie przerzucał wzrok to na mnie, to na pana młodego.

– Ja chciałam... – wydukałam po polsku – bo moja grupa...

I wtedy wszystkim objawiła się panna młoda. Ta prawdziwa. Wskoczyła skądś niczym uosobienie furii i stanęła między mną a panem młodym.

– To z nią mnie zdradziłeś?! – krzyknęła tak głośno, aż echo poszło.  
– Jak mogłeś!

Zanim przerażony pan młody zdążył cokolwiek powiedzieć, na scenę znów wkroczył starszy mężczyzna, który doprowadził mnie do ołtarza.

– Dlaczego się nie żenicie? – zapytał takim szeptem, że ci z ostatnich krzeseł na pewno usłyszeli. – Ksiądz czeka!

– Bo to nie jest moja narzeczona, dziadku. – Pan młody sapnął. – Nie wiem, kto to jest!

– Co ty mówisz? – zdenerwował się dziadek. – Przecież ma niebieską sukienkę!

Istotnie. Panna młoda i ja wyglądałyśmy podobnie. Obie byłyśmy ubrane w długie suknie bez pleców, w jasnobłękitnym kolorze, i obie nosiłyśmy włosy związane na karku w węzeł. Na tym podobieństwa się kończyły. Dziewczyna była bardzo młodą brunetką o niebieskich oczach.

– Przepraszam za zakłócenie uroczystości – odezwałam się w końcu. – Życzę młodej parze dużo szczęścia!

Odwróciłam się na pięcie i przytrzymując sukienkę na wysokości uda, wybiegłam truchtem z sali. Gdzieś w przelocie dostrzegłam błysk w granatowym oku. Nikt mnie nie gonił, ale czułam na sobie wzrok wszystkich.

Wypadłam z kościoła w takim tempie, jakby pędziło za mną stado diabłów. Na szczęście blisko wejścia czekali na mnie rezydent, profesor i dwie starsze panie.

– Gdzie się pani podziewała? – zaatakował mnie filozof. – Czekamy



już ponad kwadrans!

– Wciągnęli mnie na ślub – rzuciłam szybko, bo wciąż łapałam oddech. – Przez pomyłkę zostałam panną młodą.

– Przed kościołem była straszna awantura – powiadomiła mnie jedna z kobiet. – Młoda dziewczyna krzyczała, że nie wyjdzie za mąż, bo narzeczony ją zdradza. Długo ją namawiali, żeby się zgodziła. Pan przewodnik nam przetłumaczył, co mówili.

– Młodzi ludzie nie szanują prawdziwego uczucia – dorzucił profesor. – Miłość zdarza się raz w życiu człowieka. Jeśli ktoś jej nie doceni, potem będzie czuł wieczny niedosyt. Już do końca swoich dni będzie się zastanawiał, dlaczego tak głupio postąpił, dlaczego pozwolił odejść tej jednej, jedynej, dlaczego jej nie zatrzymał. Gdy człowiek młody, to głupi – powtórzył w zamyśleniu. – Bardzo głupi... Potem spędza życie samotnie i nawet nie ma z kim się podzielić radosnym doświadczeniem. Ech... A pani zmusza nas do bezproduktywnego czekania! Zupełnie, jakby czasu było w nadmiarze!

– Ale przecież ona weszła do kościoła. – Uśmiechnęła się druga z moich towarzyszek. – Czyli wszystko dobrze się skończyło.

– Miejmy nadzieję – mruknęłam.

Rezydent nie odzywał się wcale, ale patrzył na mnie dziwnie. Zastanawiał się nad czymś.

– Dochodzi siedemnasta – powiedział wreszcie. – Zapraszam na Ortygię, na starówkę. Stamtąd wrócimy na miejsce zbiórki.

Podążyłam za zniesmaczonym profesorem i podekscytowanymi paniami. Dlaczego wciąż mnie to spotyka? Jak to jest, że inni ludzie przechodzą przez życie znudzeni, a ja ciągle wpadam w jakieś kłopoty? Może czegoś mi brakuje? Piątej klepki na przykład?

– Pani posiada zaskakującą zdolność do wywoływania nieoczekiwanych zdarzeń – wdarł się w moje myśli profesor.

Przechadzaliśmy się po pięknej starówce wyspy, czego ja w ogóle nie zauważyłam, tak mocno byłam zamyślona. Rezydent coś opowiadał, ale starszy pan i ja nie słuchaliśmy go.

– Co pan ma na myśli? – spytałam ostrożnie.

Profesor zwolnił, ja także. Pozostali skupili się na oglądaniu

dwunastowiecznej architektury kolumn.

– Obserwuję panią od początku naszego pobytu tutaj – przyznał profesor. – Już na lotnisku wyróżniała się pani z tłumu. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale bije od pani sprzeczna energia. Z jednej strony wydaje się, że jest pani bardzo zimna i niedostępna, wręcz oschła, z drugiej – po tym, gdy zamieni się z panią kilka słów, człowiek odnosi wrażenie, że zalewa go fala światła i ciepła. Niezwykle zjawisko. Dlatego uważam, że posiada pani moc wywoływania zdarzeń.

– Zabrzmiało to jak opowieść o magii. – Uśmiechnęłam się. – To chyba dlatego, że wciąż o czymś rozmyślałam, nie potrafię się od tego uwolnić.

– Pani myśli w zagadkowy sposób przekładają się na zachowania innych ludzi – kontynuował profesor. – Nawet jeśli robi to pani nieświadomie, to tak czy inaczej dochodzi do manipulacji. Ludzie dość łatwo ulegają wpływom, nawet jeśli się im wydaje, że to niemożliwe. A pani ma w sobie coś takiego, że człowiek staje się ufny.

– Czyżby dawał mi pan jakieś ostrzeżenia? – zapytałam zaczepnie.

Profesor uśmiechnął się krzywo, popatrzył na mnie z ukosa i po dłuższej chwili powiedział.

– Nawet nie zdaje sobie pani sprawy, jak łatwo uzależnić się od kogoś takiego jak pani. W świecie, w którym trzeba nieustannie kontrolować swoje emocje, gdzie człowiek stale jest poddawany ocenie, pani energia stanowi lep. Przyciąga, obezwładnia, przeraża. Nie lubię takich ludzi jak pani. Nie lubię tracić kontroli.

Profesor nagle przyśpieszył kroku i zrównał się z rezydentem. Mnie tymczasem otoczyły dwie starsze panie.

– Pan rezydent powiedział, że pani doskonale włada włoskim – zaczęła ta z prawej. – Byłybyśmy ogromnie wdzięczne, moja siostra i ja, gdyby zechciała nam pani pomóc, prawda, Jadziu?

– Oczywiście. W czym? – zwróciłam się do niej, ale wciąż obracałam w myślach słowa profesora.

Ja mam dar manipulowania ludźmi? Owszem, znam techniki przekonywania, ale przecież zawsze zostawiam każdemu przestrzeń do samodzielnego podejmowania decyzji. Nie wywieram na nikim

presji. Podczas mediacji jedynie prezentuję opcje. Jestem neutralna.

– Chciałybyśmy nabyć antyk – wyjaśniła szybko ta z lewej, nazwana Jadzią. – Chodzi o szafę dużych rozmiarów, którą widziałyśmy w sklepie w Katanii. Zależy nam bardzo na tym zakupie, a sprzedawca był mało kontaktowy. Chodzi nam o to, żeby mu wytłumaczyć, że powinien mebel dostarczyć do Polski.

– Dobrze, pomogę paniom – obiecałam bezmyślnie. – Myślę, że we wtorek możemy to załatwić.

– Dlaczego dopiero we wtorek? – zdziwiła się siostra pani Jadzi. – Dziś chcemy sfinalizować transakcję.

– Do Katanii dojedziemy przed kolacją, mamy długą drogę przed sobą – zaczęłam, ale obie panie równocześnie wzięły mnie pod ramiona i mocno przycisnęły.

Poczułam się jak więzień prowadzony na szafot. Profesor się mylił. Przykład tych kobiet wskazywał, że to one mną rządziły.

– Te hotelowe kolacje są nic nie warte – przekonywała jedna. – Pójdziemy później na fantastyczną rybkę w restauracji.

– Pani jest młoda, więc o żadnym zmęczeniu nie może być mowy – dodała pośpiesznie druga. – Taki młody organizm szybko się regeneruje. Nie to, co my, stare baby.

– Zobaczymy. – Usiłowałam oswobodzić rękę, ale siostry przywarły do mnie niczym pijawki.

– Będziemy się pani trzymać, pani jest taka uprzejma – teraz mówiły obie równocześnie. – Pan rezydent miał rację, pani bardzo nam pomoże.

Dotarliśmy na miejsce zbiórki, gdzie czekała już spora grupka turystów. Pan w niebieskiej koszulce i jego żona dźwigali gigantyczne torby wypełnione zakupami. Rodzina fotografów stała razem, mąż, żona i naburmuszony syn, a milczący zawsze mężczyzna przysiadł na krawężniku i kontemplował kupkę śmieci zmiecionych do narożnika. Rezydent upewnił się, czy wszyscy przyszli, dochodziła osiemnasta. Okazało się, że brakuje jednej osoby.

– Zawsze trzeba na kogoś czekać! – wyraził głośno swoje niezadowolenie filozof. – Spóźnimy się na kolację!

– Kogo nie ma? – dopytywał się rezydent. – Czy ktoś z państwa

kojarzy, kogo brakuje?

– Mojego męża – oświadczyła niewysoka pani w loczkach. – Poszedł kupić coś do zjedzenia, zaraz przyjdzie.

– Wszyscy jesteśmy głodni, proszę pani – zwrócił się do niej profesor. – Zamierzaliśmy zjeść kolację w hotelu. Z winy pani męża może do tego nie dojść!

– On musi więcej jeść, bo taki ma żołądek – odparła pani w loczkach. – Poszedł kupić hot doga.

– Dlaczego nie zrobił tego od razu? – odezwał się ktoś z grupy. – Mógł pójść od razu, a nie spóźnić się na zbiórkę!

– Wcześniej nie był głody – odparła pani w loczkach. – A teraz poczuł, że jest.

– Dobrze, zrobimy tak – zaproponował rezydent – że pani poczeka tu na męża i gdy przyjdzie, poczekacie państwo na mnie. A my – tu zwrócił się do pozostałych – udamy się do autokaru. Później wrócę po państwa.

– Dlaczego mam sama zostać? – zaprotestowała pani w loczkach. – Ja też idę!

– Czy pani mąż ma przy sobie telefon? – odpowiedział jej na to rezydent.

Pani w loczkach przecząco pokręciła głową i przyznała:

– Ja go mam.

– W takim razie ktoś musi zostać, żeby pani mąż wiedział, co się dzieje.

– A dlaczego to mam być ja? – dociekała pani w loczkach.

– Bo pani wie dobrze, jak pani mąż wygląda! – wtrącił się profesor.

– Ja, na przykład, nie mam zielonego pojęcia. Mógłbym jedynie wypatrywać faceta z hot dogiem w dłoni.

– O ile nie zjadł tego hot doga wcześniej – zarechotał pan w niebieskiej koszulce. – Dobra, dosyć tego gadania. Idziemy do autokaru, a żona ma czekać na męża.

Pani w loczkach była bliska płaczu. Zaofiarowałam się, że z nią zostanę. Dzięki temu mogłabym uwolnić się od sióstr, które niczym wrony obsiadły mnie i dziobały, wypluwając z siebie słowa. Rezydent tylko skinął na to głową i dał znak grupie, że ruszają. Obie panie

niechętnie podążyły za nimi. Gdy odeszli, okazało się, że pozostał też milczący mężczyzna.

– Orientuje się pani, dokąd mąż poszedł? – zapytałam kobietę. – Już długo go nie ma?

– Kupić hot doga – wyjaśniła pani w loczkach. – Gdzieś tam. – Pokazała ręką na Syrakuzy.

Zaprzestałam wypytywania jej. Pozostawało tylko czekać. Być może turysta utknął w długiej kolejce i niebawem przyjdzie.

Milczący dotąd mężczyzna nagle wstał, otrzepał spodnie i podszedł do nas.

– Nie widziałem w pobliżu żadnej budki z hot dogami – powiedział.

Głos miał przyjemny, foniczny. Dopiero teraz dokładniej mu się przyjrzałam. Był dość wysoki, szczupły, nosił zarost na całej twarzy. Jego włosy raz przybierały barwę miedzi, a raz ciepłej czekolady. Patrzył na świat zielonymi, przypominającymi szklane paciorki oczami. Bez wątplenia był przystojny.

– Rezydent ma już nas dość – dodał bez związku. – Gdyby nie brakowało mu odwagi, już dawno porzuciłby naszą grupę gdzieś po drodze.

Pani w loczkach zamrugła oczami, a ja spojrzałam na niego z rozbawieniem.

– Myśli pan, że aż tak mu dokuczyliśmy?

– Tak – zmarszczył brwi mężczyzna. – Przypadkowe grono osób, zupełnie sobie nieznanych. Teoretycznie łączy nas wspólny cel, ale w praktyce każdy oczekiwał czegoś innego.

– To chyba normalne – zdziwiłam się. – Nikt nie robi castingów przed wysłaniem turystów na urlop. W pewnym sensie dobiera się gości pod względem indywidualnych oczekiwań, bo wszyscy wybraliśmy Sycylię, ale każdy z nas jest inny.

– Ludzie zawsze twierdzą, że wiedzą, czego chcą – mruknął mężczyzna. – Dopóki nie przekonają się, że to, czego chcieli, to nie było to.

Wyczułam, że mężczyzna ma na myśli coś innego niż brak zgodności w grupie i trud rezydenta. Obecność pani w loczkach uniemożliwiała szczerą rozmowę.

– Każdy z nas wiele razy weryfikuje swoje oczekiwania – odpowiedziałam wymijająco. – Żyjemy marzeniami, pragnieniami, a one zawsze są piękniejsze niż rzeczywistość. Dlatego gdy marzenie się ziści, pojawia się rozczarowanie. To częsty paradoks.

– Czy pani byłaby gotowa na romans z nieznajomym? – zapytał nagle mężczyzna i spojrzał mi prosto w oczy. – Przygodę życia, bez ograniczeń, bez tabu? Taki impuls, który pojawia się, trwa i szybko znika? Bez oglądania się na innych?

– Do tego potrzeba odwagi – szepnęłam.

Pani w loczkach nie słuchała nas. Rozglądała się niespokojnie. Jej mąż wciąż nie nadchodził.

– Do tego potrzeba otwartości – poprawił mnie mężczyzna. – Ludzie tak bardzo przejmują się tym, co inni o nich pomyślą, jakie wyrobią sobie zdanie na ich temat. Czy w oczach męża jestem piękna, co myśli na mój temat mój szef, jak postrzega mnie mój sąsiad? A jakie to ma znaczenie, skoro co dzień myślimy i czujemy coś innego? Należy żyć tu i teraz, cieszyć się chwilą i być gotowym na największe szaleństwo, jeśli tylko ma się na nie ochotę. Bez przejmowania się innymi ludźmi, tłumem, gapiami. Teraz nie rozmawiamy ze sobą szczerze, bo ktoś mógłby podsłuchać. Czy nie uważa pani, że to idiotyczne? Co nas obchodzi, że ktoś słucha! Mógłbym w tej chwili powiedzieć pani, że zachwyca mnie pani tyłeczek, że mam ochotę go dotykać, smakować. Jak pani na to zareaguje? Wstydem! Nawet jeśli moje słowa sprawiają pani przyjemność, to wypada okazać wstyd. Czyż to nie idiotyzm?!

– O, mój mąż wraca! – krzyknęła radośnie pani w loczkach. – Możemy iść!

Z prawej strony nieśpiesznie zbliżał się wysoki i postawny mężczyzna, ubrany w szorty, pasiastą koszulę i sandały typu rzymianki. Stawiał kroki pewnie, jego wielki brzuch kołysał się na boki. Od razu poczułam do niego sympatię, bo wybawił mnie z kłopotliwej sytuacji. Nie byłam przygotowana na tego typu konwersację z milczącym dotąd mężczyzną.

– Nie ma jeszcze nikogo? – zawołał z odległości kilku metrów – To ja jeszcze sobie...



– Nic pan sobie, bo czekamy tylko na pana! – krzyknęłam równie głośno.

Pani w loczkach dopadła męża i czule przytuliła się do niego.

– Grupa poszła już do autokaru. Chodźmy!

– Nie było hot dogów, więc poszedłem na obiad – opowiadał żonie pan w szortach. – Zamówiłem stek, ale kucharz idiota podał mi surowy i musiał poprawiać. Nie potrafią tu dobrze gotować!

– Idziemy? – zapytałam zniecierpliwiona. – Rezydent nie wraca, ale autokar zatrzymał się chyba tam? – Ręką wskazałam kierunek.

Mężczyzna o zielonych oczach bez słowa ruszył przed siebie, lecz jego mina wyrażała pogardę. Para podążyła za nim, a ja zamykałam ten osobliwy pochód.

– Chciałem napić się wina – kontynuował pan w szortach – ale podali mi takiego sikacza, że ja bym się wstydził przyznać, że mam coś takiego. Jednak wiocha to wiocha, nie to co u nas.

Autokar zobaczyliśmy z daleka. Dochodziły stamtąd płaczliwe, kobiece krzyki oraz pokrzykiwania mężczyzn, które zlewały się w jeden wrzask.

– Co tam się dzieje? – zainteresował się pan w szortach. – Nie mogli spokojnie poczekać?

Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyłam małżeństwo fotografów, które rozdzielał rezydent, filozofa oraz pana w niebieskiej koszulce. Wszyscy stali na chodniku, widać było, że mają do siebie pretensje. Reszta grupy z nosami przyklejonymi do szyb przyglądała się przedstawieniu. Tylko włoski kierowca stał oparty o samochód, palił papierosa i wydawał się niezainteresowany tym, co się właśnie dzieje.

– Dwadzieścia lat jesteśmy razem! – krzyczał mąż fotograf. – Zawsze wszystko razem! Czego było ci brak?!

– Nic nie rozumiesz! – chlpała jego żona. – Jesteś taki bezduszny! Taki samolubny!

– Niech się państwo uspokoją! – powtarzał jak katarzynka rezydent. – Spokojnie!

– To przechodzi ludzkie pojęcie! – wykrzykiwał profesor. – Ludzie ciężko pracują na to, żeby sprawić sobie urlop, a później tacy osobnicy wszystko psują! Ja zażądam zwrotu kosztów! Ja podam

biuro do sądu! Ja złożę reklamację na pana!

– Panie, tego kwiatu pół świata – rechotał pan w niebieskiej koszulce. – Kobietom zawsze odbija, prędzej czy później.

Zbliżyliśmy się do autokaru. Milczący mężczyzna wsiadł po prostu do środka i zajął swoje miejsce. Pan w szortach zapytał rezydenta, czy zdążymy na kolację, ale nie uzyskał odpowiedzi. Jego żona skrytykowała rezydenta, że powiększa opóźnienie. Podeszłam do mężczyzny w niebieskiej koszulce i zapytałam, co się dzieje.

– A co ma się dziać? – odpowiedział wesoło. – Mąż przyłapał żonę na tym, jak obściskuje się z innym, i zareagował prawidłowo. Podobno to ten milczek z naszej grupy, taka cicha woda.

– Ale jak, obściskuje?! – Skrzywiłam się. – Przecież ten pan był teraz cały czas ze mną!

– O! – podniósł głos pan w niebieskiej koszulce. – To pani też się z nim obściskuje? No, no! Uszanowanie dla kolegi milczka za osiągnięcia na tym polu!

Mimochodem spojrzałam w okno autokaru i zobaczyłam, że milczący facet zajął swoje miejsce i pogрузzył się w lekturze książki.

– Musimy jechać – zwróciłam się do płaczącej kobiety. – Nie możemy tu tak stać. Proszę wsiąść do autokaru.

– Ja nie będę siedziała obok tego potwora! – załkała żona fotografa. – Za nic!

– To usiądzie pani obok mnie – pociągnęłam ją za rękę i wepchnęłam lekko na schodki. – Za kierowcą, przy oknie.

Kobieta po krótkiej chwili wahania posłusznie wsiadła. Jej mąż, wciąż utyskując, również wsiadł. Pan w niebieskiej koszulce i profesor zderzyli się przy wejściu do autokaru. Rezydent wszedł na końcu i ciężko opadł na siedzenie.

– Jedziemy! – krzyknęłam do kierowcy, który bez pośpiechu zgasił papierosa butem i wszedł do szoferki.

– Polacy też mają gorącą krew. – Uśmiechnął się do mnie. – Tak jak Sycylijczycy. Od dziś was szanuję!

Autokar ruszył. Jechaliśmy do Katanii, by za godzinę zakończyć pełną wrażeń podróż po Sycylii. Popatrzyłam na pochlipującą kobietę. Wciąż była ładna, choć czas i brak zainteresowania swoją urodą

zrobiły swoje. Miała długie, przetykane wieloma siwymi pasmami ciemnobrązowe włosy, które spinała w staromodny kok na czubku głowy. Fryzura i kolor włosów mocno ją postarzały. Pokryta widocznymi choć nielicznymi zmarszczkami twarz mogła należeć do około czterdziestoletniej kobiety.

– Chce pani porozmawiać? – zaczęłam cicho, ale nie było to konieczne, bo rezydent włączył film. – Może mogłabym w czymś pomóc?

Kobieta pokręciła przecząco głową, ale po chwili powiedziała.

– Ja nic złego nie zrobiłam. On mnie obwinia, że romansuję z tym rudym mężczyzną, ale my tylko rozmawialiśmy. Nic się nie wydarzyło!

– Może chodzi o to, jak to wyglądało – zaczęłam ostrożnie. – Czasem jeden gest może wiele powiedzieć.

– On mnie na chwilę dotknął – podkreśliła kobieta. – Tylko raz. Przyznaję, że mi się przyglądał i czułam się wtedy bardzo dobrze. Taka atrakcyjna i kobieca. Mój mąż nie lubi sztuczności, dlatego nie maluję się i nie farbuję włosów. A ten mężczyzna patrzył na mnie w taki sposób, jakbym wyszła od fryzjera. Pani to rozumie? Jakbym znów miała dwadzieścia lat!

Rozumiałam ją doskonale. Gdy Cezary zmieniał kolejne kochanki, nie chciałam przyjąć do wiadomości, że robi to także dlatego, że ja przestałam być dla niego atrakcyjną kobietą. Później usprawiedliwiałam się obowiązkami, trudami codziennego życia. Brakiem czasu, by zajmować się sobą. Uznałam, że nie muszę o siebie dbać. Po co? Dla kogo? Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że powinnam zrobić to dla samej siebie. W momentach słabości każdy szuka najpierw akceptacji u innych.

– Nie ma nic złego w potwierdzaniu własnej atrakcyjności, jeśli nie posuwamy się w tym za daleko – powiedziałam miękko. – Jeśli nie sprawia to nikomu krzywdy. Nawet gdy w ten sposób wystawiamy kogoś na próbę. W końcu zaufanie to główny filar związku.

– Mój mąż pokazał, że nie ma do mnie zaufania po dwudziestu latach wspólnego życia! – zachlipała ponownie kobieta. – Postanowiłam, że odejdę od niego. On ma rację, trzeba iść za

impulsem!

– Chwilowe zauroczenia są piękne, ale niebezpieczne – studziłam jej zapał. – Przecież nie zna pani tego mężczyzny!

– To nie jest zauroczenie ani chwilowy zachwyt kimś nowym – oświadczyła z mocą kobieta. – Wiem, znamy się zaledwie kilka dni, ale umiem rozpoznać prawdziwą miłość i postanowiłam, że pójdę za tym wołaniem. Kocham go i nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że to ON. Na pewno dowiem się o nim jeszcze wielu rzeczy, które mogą mi się nie spodobać. I bardzo dobrze. Nie oczekuję, że będzie wyłącznie dobrze. Oczekuję, że jeśli będzie źle, damy sobie radę. Że razem przetrwamy.

Odsunęłam się nieznacznie od kobiety. Mówiła z pasją, przekonaniem. Wiedziałam, że osób, które tak mocno popierają własne pomysły, nie należy od nich odwodzić. To nic nie da, wręcz przeciwnie, może sprawić, że przekonanie ugruntuje się na beton. Lepiej to przeczekać. Czy można przekonać kogoś, kto tak bardzo chce wierzyć w iluzję? Czy należy wkładać wysiłek w tłumaczenia, że w emocjach także potrzebna jest rozważa? Czy warto ostrzegać, że lekarstwem na żal nie może być mit? To nie ma sensu, przekonałam się o tym nie raz.

– Proszę to przemyśleć – powiedziałam cicho. – Bo los zawsze jest konsekwentny i żąda od nas, abyśmy ponosili odpowiedzialność za swoje decyzje.

– Ja już zdecydowałam – powtórzyła kobieta. – Niech się pani nie wtrąca!

Odwróciła głowę do okna i resztę drogi przejechałyśmy, nie zamieniając już ani jednego słowa.

Do Katanii dojechaliśmy po dziewiętnastej. Zatrzymując się przy poszczególnych hotelach, zegnaliśmy kolejnych pasażerów. Pan w szortach i jego zaloczkowana żona truchtem pobiegli, żeby zdążyć na kolację. Pan profesor wylewnie podziękował rezydentowi w imieniu całej grupy za doskonałą współpracę. Pan w niebieskiej koszulce i jego żona musieli poprosić o pomoc w wyniesieniu z autobusu wszystkich zakupów, para fotografów wysiadała w milczeniu, z marsowymi minami, i tylko ich syn był tym razem

uśmiechnięty. Milczący mężczyzna był gościem innego hotelu, co wyszło na jaw dopiero wtedy, gdy autokar odjechał. Żona fotografa patrzyła za nim zdziwiona.

– Pani wysiadzie z nami – oświadczyły jednocześnie siostry i popatrzyły na mnie groźnie, gdy autokar wjechał na podest przed pensjonatem, w którym się zameldowały.

– Nie – zaprotestowałam. – Ja mieszkam daleko stąd.

– Ależ pani ma młode nogi. – Uśmiechnęła się nieszczercze jedna z nich. – Taki ładny wieczór, przejdzie się pani.

– Nie – powtórzyłam. – Przykro mi, ale mogę pomóc we wtorek.

– Jacy ci ludzie teraz są nieuprzejmi – mruknęła druga.

– I leniwi – dodała ta pierwsza. – My nie jesteśmy zamożne. Musimy polegać na ludzkiej życzliwości.

Zanim wysiadły, oglądały się jeszcze kilka razy i cmokały na mnie wymownie. Pozostałam nieugięta. Ostatni etap podróży zmęczył mnie najbardziej. Czasem chciałabym pozostać niewidoczna.

W autokarze zostałam sama z kierowcą i rezydentem. Włoch pogwizdywał, a rezydent zapytał:

– Chce pani jechać jutro ze mną do Palermo?

– Oczywiście – potwierdziłam. – O której pan wyruszy?

– O dziewiątej. Przyjadę po panią.

– Dobrze.

Zajechaliśmy pod hotel. Rezydent szybko podał mi rękę i zniknął we wnętrzu autobusu. Kierowca wysiadł razem ze mną, wyjął z bagażnika moją torbę i zamiast mi ją podać uśmiechnął się szeroko i zaproponował:

– Możemy ten wieczór spędzić razem, jeśli chcesz, słoneczko!

– Nie skorzystam – odparłam i sięgnęłam po torbę.

Kierowca nie rezygnował.

– Odwiozę tego osła do hotelu i przyjadę po ciebie. Mam własne auto. I mam coś jeszcze, czym lubię się chwalić przed kobietami!

– Gratuluje – mruknęłam i ponownie sięgnęłam po torbę.

Mężczyzna znów ją przytrzymał.

– Bardzo lubię takie temperamentne kobiety jak ty – rozmarzył się.  
– Ostre kobietki...– To jedna taka właśnie idzie – rzuciłam i gdy

odwrócił głowę, żeby spojrzeć, wyszarpnęłam mu bagaż z ręki.

Rzuciłam szybkie: „ciao” i pobiegłam do hotelu.

Pokój wydał mi się obcy, po zaledwie trzech dniach nieobecności. Zdjęłam z siebie sukienkę i wskoczyłam pod prysznic. Mokre włosy zaczesalam do tyłu i ubrana w dżinsy i białą bluzkę udałam się na kolację.

Widok makaronu pobudził mój apetyt. Wzięłam do ręki talerz i zbliżyłam się do lady, żeby nałożyć sobie solidną porcję. Wtedy ktoś złapał mnie za łokieć.

– Nie byłem pewien, czy to pani, przez te włosy – powiedział pan Konopka. – Sądziłem, że wróćcie wcześniej. Jak ja się denerwowałem!

Nie upuściłam talerza z makaronem na podłogę. Nagłe objawienie się rewidenta, który powinien teraz zasypiać w szpitalnym łóżku, zrobiło na mnie mniejsze wrażenie, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Odwróciłam się wolno i popatrzyłam na niego.

– Myślałam, że pan jest w szpitalu, w Palermo. Bardzo przepraszam, ale umieram z głodu. Czy pozwoli pan, że coś sobie nałożę i porozmawiamy przy stoliku?

Było to w zasadzie pytanie retoryczne, ponieważ po chwilowym szoku i tak ominęłabym krępego i zajęła się nakładaniem sobie jedzenia na talerz – bez względu na to, co by mi odpowiedział. Taka byłam głodna! Pan Konopka pokiwał potakująco głową, ale nie przeszkodziło mu to w okazywaniu zniecierpliwienia, gdy odeszłam od makaronu i zbliżyłam się do sałatek.

– Musi pani tyle jeść? – zapytał mnie, kiedy na drugim talerzu położyłam plasterek szynki. – Chodźmy.

Trzeci kolejny stolik okazał się właściwy. Pan Konopka serwetką usunął włos, który zalegał na krześle, następnie usiadł i zaczął bębnić palcami o stół.

– Dobrze, niech pan mówi, a ja zjem za chwilę – skapitulowałam.

Nie potrafiłabym nic spokojnie przełknąć, gdy on tak pukał.

– Ja się bardzo zdenerwowałem – rozpoczął rewident. – Pani to przecież rozumie. Moja żona zginęła w wypadku samochodowym i tu nagle coś takiego. Przyszło mi wtedy do głowy, że może to ja miałem



zginąć zamiast niej.

– Przecież to nie pan wtedy podróżował, tylko pana żona – mruknęłam, zerkając dyskretnie na talerz pełen jedzenia. – Jaka to pomyłka?

– No właśnie, nie wiem – przyznał krępy. – Może to jest jakieś ostrzeżenie od losu?

– Ale jakie? – zniecierpliwiałam się. Burczało mi w brzuchu. – Że czego ma pan nie robić? Nie korzystać z środków komunikacji?

– Nie wiem – powtórzył krępy. – Dziwne rzeczy dzieją się wokół mnie. Gdy przywieźli mnie do szpitala, to od razu zabrali mi komórkę. I wie pani co? Gdy zażądałem później zwrotu, bo konfiskata nastąpiła bez żadnego pokwitowania, to mi ją natychmiast odnieśli!

– I co w tym dziwnego?

– Bo od tamtej pory nie mogę połączyć się z terapeutką! – podniósł głos i palec wskazujący rewident. – Nie odbiera telefonu! Może jej też coś się stało?

– Myśli pan, że wpadła pod samochód?

Nie wytrzymałam i zanim rewident zdążył podetknąć mi aparat pod nos, pierwsze porcje makaronu i szynki zalegały już w moim żołądku.

Proces trawienia się rozpoczął, więc ogarnęło mnie rozleniwienie. Bardzo chciałam dokończyć posiłek, wrócić do pokoju i położyć się spać. Rozwiązywanie zagadek nie mieściło się w tym planie.

– Niech pani wypluje to słowo! – zareagował natychmiast rewident. – Boże uchwaj!

– Może zrobiła sobie wolne – poprawiłam się. – Pan się rozłączył, to pomyślała, że chciał pan zrobić przerwę.

– No właśnie, nie wiem. – Krępy zmarszczył brwi. – Ustaliliśmy, że będziemy w kontakcie. A teraz nie mogę się do niej dodzwonić.

– A po co to panu? – Zaczęłam jeść sałatkę. – Nie musi pan chyba relacjonować każdej minuty swojego życia?

Mina pana Konopki powiedziała mi, że musiał. Że kontakt telefoniczny z terapeutką stanowił dla niego swoistą pępowinę, która łączyła go z tą kobietą, takie koło ratunkowe, którego trzymał się kurczowo, płynąc po oceanie życia. Teraz został sam i to go

przerazało.

– Niech pan zawiadomi rezydenta, że pan jest, bo biedak będzie jechał jutro z rana do Palermo na darmo. – Zakończyłam konsumpcję i oparłam brodę na rękach. – Zobaczymy się przy śniadaniu? Przepraszam, ale jestem bardzo zmęczona.

– Tak, tak – wymamrotał krępy, trzymając już aparat przy uchu. – Właśnie do niego dzwonię.

Wstałam i pokiwałam głową na pożegnanie. Zrobiłam jednak zaledwie kilka kroków, kiedy pan Konopka mnie dogonił. Zgrzyt moich zębów usłyszeli wszyscy hotelowi goście.

– Dlaczego on mówi do mnie po włosku? – powiedział rewident i wręczył mi aparat. – Niech pani posłucha. To jakiś automat się włączył czy co?

Przyłożyłam komórkę do ucha. W aparacie gulgotał męski głos, który wykrzykiwał niezbyt wyraźnie wiele zdań w sycylijskim dialekcie.

– Bardzo przepraszam, ale to chyba pomyłka – powiedziałam pośpiesznie i nacisnęłam przycisk rozłączenia.

Popatrzyłam nieufnie na telefon, jakby niegrzeczny rozmówca miał z niego zaraz wyskoczyć.

– Wybrał pan niewłaściwy numer – wyjaśniłam krępemu. – Nie umiem rozeznaczyć się w tym telefonie.

Rewident wziął do ręki aparat i stuknął palcem w ikonkę, pod którą kryły się wszystkie numery.

– Bo tu jakoś dziwnie jest... – powiedział. I nagle znieruchomiał. – To nie jest mój telefon!

\*\*\*

Następnego dnia zmierzaliśmy autostradą do Palermo. Pan Konopka, rezydent i ja. Jechaliśmy wynajętym samochodem, w którym nie działała klimatyzacja. Pomimo że kończył się luty, temperatura powietrza osiągała już ponad dwadzieścia stopni. Rewident jednak stanowczo przeciwstawiał się otwieraniu okien podczas jazdy. Zanim ruszyliśmy, bardzo dokładnie obejrzał pojazd, wyraził swoje obawy co do wytrzymałości karoserii oraz kategorycznie odmówił podróżowania na przednim siedzeniu. Zajął miejsce pasażera tuż za fotelem kierowcy i jechał wczepiony palcami w zagłówek.

– Wydaje mi się, że tu obowiązuje ograniczenie do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a pan jedzie znacznie szybciej. – Krępy pochylił się nad rezydentem, który prowadził.

Ja usiadłam obok kierowcy. Obecność rewidenta uniemożliwiała prowadzenie jakichkolwiek bardziej intymnych rozmów, jednakże liczyłam na to, że uda nam się zamienić parę słów na osobności. Zastanawiałam się, dlaczego rezydent zgodził się pokonać tę trasę, bo z całą pewnością nie chodziło wyłącznie o telefon pana Konopki. A już tym bardziej o moje spodnie i kartę SIM. Na razie pozostawało to dla mnie tajemnicą, choć domyślałam się, że chodzi o Izabelę.

– Wcześniej był znak, że można jechać szybciej – odparł rezydent. – Na autostradzie tak jest.

– Nie widziałem takiego znaku, a jestem bardzo uważnym obserwatorem – upierał się rezydent. – O! Teraz znów było sześćdziesiąt, a pan osiągnął dziewięćdziesiąt osiem!

– Kontrolka prędkości jest popsuta. – Rezydent zgrzytał nieznacznie zębami. – Cały czas pokazuje tyle samo, a przecież jedziemy wolniej.

– Nie jestem przekonany – oświadczył krępy i na chwilę opadł na swoje siedzenie.

Nie na długo. Po kilku minutach znów zbliżył twarz do głowy przewodnika.

– Pan przejechał linię ciągłą! – zwrócił uwagę pan Konopka. – Widziałem! Dwukrotnie pan to zrobił!

– Czy może pan nie chuchać mi na kark? – zniecierpliwił się rezydent. – Jest gorąco i jeszcze pan mi dmucha!

– Bo pan jedzie niezgodnie z przepisami! – denerwował się

rewident. – To niebezpieczne!

– Panie Konstanty – wtrąciłam się. – Proszę zapiąć pas bezpieczeństwa. Nie może pan podróżować, wisząc nad kierownicą!

Krępy opadł na siedzenie, oplątał się pasem, po czym znów zbliżył usta do głowy rezydenta.

– Niech pan nie wyprzedza przed zasygnalizowaniem manewru, bo inny kierowca może mylnie odczytać pana zachowanie na drodze i nieszczęście gotowe! Czy możemy się zatrzymać na chwilę?

– Zrobimy małą przerwę – postanowił rezydent.

Zjechał gwałtownie z autostrady i zatrzymał się na poboczu.

– Muszę się przewietrzyć.

Gdy przewodnik wysiadł, odwróciłam się do krępego, który ani drgnął.

– Czy naprawdę nie może pan jechać w ciszy? – zaatakowałam go.

– Ciągle coś panu przeszkadza. Pan rezydent nie musiał wcale jechać z panem po ten telefon!

– Ależ ja mu pomagam! – oburzył się rewident. – On łamie przepisy!

– Jeśli się pan nie uspokoi, to resztę trasy pokonamy pieszo – krzyknęłam na niego. – Niech pan zamknie oczy i się zdrzemnie. Za dwie godziny będziemy na miejscu.

– W takim razie jedziemy za szybko – oświadczył krępy. – Z prawidłową prędkością powinniśmy dotrzeć za cztery!

Podróż z osobą, która cierpi na fobię lokomocyjną stanowiła nie lada wyzwanie. Pozbawiony swojego koła ratunkowego w postaci telefonu, pan Konopka nieustannie wykrzykiwał, że powinniśmy zwolnić, zatrzymać się, skrócić lub zawrócić. Rezydent z początku reagował dość nerwowo, lecz później chyba ogłuchł na pokrzykiwania rewidenta. Ja jechałam w pozycji półodwróconej z szyją mocno skreconą w lewo i gasiłam zapaly niesfornego pasażera. Pot ze mnie ściekał strumieniami.

Do Palermo dojechaliśmy po godzinie dwunastej w południe. Pan Konstanty i ja wysiedliśmy przed szpitalem, rezydent odjechał, żeby załatwić ważną dla siebie sprawę.

W szpitalu dość szybko udało się wymienić telefony. Nikt, poza

krępy, nie przejął się zamianą, ot, zwykła pomyłka, zdarza się. Aparat rewidenta rozładował się. Ładowarka pozostała w hotelu w Katanii. Zauważyłam przestach w jego oczach, zaproponowałam więc, że przejdziemy się wzdłuż ulicy i poszukamy odpowiedniego sklepu, żeby zakupić nową.

– Proszę mi wybaczyć dociekliwość – zaczęłam ostrożnie – ale nie wydaje się panu, że zbyt mocno obciąża pan swoją terapeutkę? Bez przerwy ją pan absorbuje swoimi sprawami. Rozumiem, że tak się umówiliście, ale jednak musi to być dla niej męczące.

– Nie sędzę – zaprotestował krępy. – Zawsze mi powtarzała, że mogę dzwonić, kiedy tylko czuję taką potrzebę. Myślę, że dałaby mi znać, że jest mną zmęczona.

– O ile dał jej pan w ogóle dojść do słowa – mruknęłam do siebie, a na głos powiedziałam: – Może liczyła na pańskie wyczucie i teraz niezręcznie jej zmieniać obecny stan rzeczy. Proszę sobie wyobrazić, że któryś z pana klientów telefonowałby co piętnaście minut z pytaniem, jak wystawić rachunek. I tak przez, dajmy na to, miesiąc.

– Powiedziałbym mu, że musi ograniczyć telefonowanie do minimum – odparł rewident. – Nie rozumiem, o co pani chodzi. To moja sprawa, z kim rozmawiam i jak często.

– Ma pan rację.

Westchnęłam. A w duchu zganiłam się za to, że znów zapominam, że nie muszę pomagać każdemu i w każdej sytuacji. Nawet jeśli jest to terapeutka, którą pan Konopka informuje o każdym głębszym oddechu w swoim życiu.

Umówiliśmy się z rezydentem, że przyjedzie po nas około czternastej i zorientujemy się, jakie są szanse na odzyskanie spodni i mojej karty SIM. Chętnie wykorzystałabym też czas na spacer po Palermo, zwłaszcza że wcześniej nie udało nam się go zwiedzić. Niestety, krępy stanowczo odmówił błędzenia ulicami, dość szybko wypatrzył sklep z telefonami komórkowymi i na ponad pół godziny znikł w jego wnętrzu. Nie narzucałam się ze swoją pomocą. Gdy wyjął z kieszeni podręczne minirozmówki polsko-włoskie, zasugerowałam, że poczekam na zewnątrz. Dziarsko wszedł do środka, a ja przysiadłam na brzegu niewysokiego ogrodzenia, otaczającego klomb

z kwiatami.

Odchyliłam głowę i zamknęłam oczy. Ciepłe sycylijskie słońce ogrzało moją twarz. Nie słyszałam już gwaru ulicy, szumu przejeżdżających samochodów ani rozmów przechodniów. Ogarnęło mnie cudownie beztroskie rozleniwienie, myśli sunęły wolno. Pojutrze wracam do Warszawy. Dziś Betka powinna stawić się w szpitalu. Na miejscu czekać na mnie będzie bliżej mi nieznana sekretarka oraz kilka spraw mediacyjnych. Trzeba będzie skuteczniej poszukać lekarza dla ojca. Zbyszek i pani Ilona nawiedzą mnie ze swoimi problemami. Nie dowiem się, jak zakończyli swoją historię rezydent i Izabela oraz para fotografów. Pan Konopka oddali się wraz ze swoimi bagażami i telefonem przy uchu. Spotkam być może w swoim życiu innych panów profesorów i milczących, rudych mężczyzn, ale będzie to już zupełnie inna historia.

Przylatując tu, spodziewałam się nudnych, wolno płynących dni urlopu, przetykanych wieściami z domu. Jakże los lubi nam wszystko poplątać, aby po raz kolejny dowieść, że nigdy nie można być niczego pewnym. Może te ostatnie dni będą właśnie takie: spokojne, nudne i bez pośpiechu?

– Oni zupełnie nie znają włoskiego! – przerwał moje rozmyślenia krępy. – Tłumaczyłem temu panu, że potrzebuję kabel do komórki, a ten tylko oczy wybałuszał!

– A co mu pan powiedział? – mruknęłam, pozostając w niezmienionej pozycji.

Na korzystanie ze słońca także dotąd nie miałam czasu.

– No powiedziałem, że chcę kabel do komórki – powtórzył pan Konstanty.

– Ale po włosku jak pan to powiedział?

– *Volare kawe della cella mijo* – wydukał krępy.

Przygryzłam wargi, żeby nie parsknąć śmiechem, powoli otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

– Oświadczył mu pan, że leci do komórkowych kamieniołomów – wyjaśniłam. – Pewnie się zdziwił.

– Wybałuszył oczy, jakbym rzeczywiście zaczął latać – pokiwał głową krępy. – Przecież użyłem włoskich słów, mam rozmówki.



– *Cave* znaczy „jaskinie”, „kamieniołomy” – wyjaśniłam spokojnie.  
– Chodziło panu o kabel, czyli *cavo*. A *cella* znaczy „cela”, czyli komórka jako więzienie.

– Oj tam. – Rewident machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Taki skrupulatny! Wszystkie literki wymawiać! A sam seplenił!

Wstałam i wyciągnęłam rękę w stronę krępego.

– Niech pan mi da telefon i pieniądze. Kupię panu tę ładowarkę – zaproponowałam.

Krępy z wahaniem podał mi komórkę oraz wysupłał banknot z wewnętrznej kieszeni. Weszłam do sklepu i dość szybko nabyłam, co trzeba. Sprzedawca przyglądał mi się podejrzliwie, ale nie powiedział nic ponadto, co musiał. Zapłaciłam, podziękowałam, wyszłam na zewnątrz. Krępego nigdzie nie było. Przeszłam ulicę wzdłuż i wszerz, nic.

– Że też mi mózg nie stanął, kiedy myślałam o tym spokoju! – krzyknęłam głośno do siebie. – W złą godzinę człowiek pomyśli i potem musi uganiać się za takimi krępymi!

Pół godziny później dołączył do mnie rezydent. Przez ten czas przepytalam wszystkich wkoło na okoliczność zaginięcia rewidenta. Nikt go nie widział, nikt nic nie wiedział. Zapadł się jak kamień w wodę. Szpital mieścił się niedaleko, więc rezydent bez problemu wypatrzył mnie biegnącą wzdłuż ulicy. Nie był rozradowany, gdy powiedziałam mu, co się stało.

– Przeklął mnie ktoś czy co! – warknął. – Co za grupa! Cholery można dostać!

Spojrzał na mnie i się zreflektował.

– Przepraszam, to nie do pani. Tak ogólnie się wyraziłem.

– Rozumiem pana – przyznałam. – Ale co teraz zrobimy? Nie mam pojęcia, gdzie on się podział!

– Może wsiadł do taksówki i pojechał do hotelu? – wyraził przypuszczenie rezydent.

– No co pan! Z jego fobią? – skrzywiłam się. – Musiałby jechać na osiołku! A to na pewno wszyscy by zauważyli. W sklepie spędziłam najwyżej dziesięć minut, nie mógł wyparować!

– Ja już nic nie wiem – poddał się rezydent. – Nic już nie chcę,

tylko żeby to się skończyło. Ja mam słabe nerwy. To mnie przerasta.

– Niech pan przestanie, bo kopnę pana w kostkę – zagroziłam. – Nie pora na uzalanie się nad sobą. Trzeba znaleźć pana Konopkę. Może po tym szoku coś mu się stało w głowę. Niech pan pomyśli, co możemy zrobić?

Rezydent podrapał się po potylicy, jakby sam ten gest uruchamiał jego szare komórki, po czym poparzył na mnie bezradnie.

– Nie wiem – westchnął. – Może zawiadomimy policję? Pytała pani ludzi?

– Tak, nikt nic nie widział – powiedziałam z naciskiem. – Policja nas wyśmiej, powiedzą, że za krótko go nie ma.

– Ma pani rację – przytaknął rezydent. – Nie wiem, co robić.

Postaliśmy bezradnie przez kolejny kwadrans. Rozglądanie się na boki nie przyniosło żadnego rezultatu poza tym, że oboje byliśmy już mocno spoceni. Czułam, że czerwienieją mi policzki i czoło. Skorzystałam ze słońca, psia krew! W końcu rezydent gestem zaprosił mnie do samochodu. Uruchomił silnik i pytająco na mnie popatrzył.

– Jedźmy tak jakoś wolniej i dookoła, może go wypatrzymy – zaproponowałam. – Jeśli nie, to wracamy do Katanii – powiedziałam na głos to, o czym oboje pomyśleliśmy.

Krępy był przecież dorosły, nikt z nas za niego nie ponosił odpowiedzialności. Fakt, że przepadł tak nagle, był oczywiście niepokojący, ale nie mógł zatrzymać nas w Palermo.

– Jeśli do wieczora się nie pojawi w hotelu, to zawiadomię tutejszą policję i biuro podróży – powiedział rezydent.

Pokiwałam głową potakująco. Przejechaliśmy kilka ulic, rozglądając się uważnie. Krępego nigdzie nie było. Gdy rezydent wjechał na główną ulicę, milcząco skinęłam głową. Ruszyliśmy z powrotem do Katanii. Dochodziła piętnasta trzydzieści.

– Załatwił pan swoje sprawy pomyślnie? – zagadnęłam rezydenta pół godziny później.

Mknęliśmy wygodnie autostradą, która – o dziwo – nie była wcale zatłoczona o tej porze. Nawet brak klimatyzacji nie był tak dokuczliwy, gdy z tylnego siedzenia nikt nie krzyczał. Rezydent zrobił dziwną minę i dopiero po dłuższej chwili odpowiedział.

– Rozmawiałem z nią. Jest w ciąży. W ósmym miesiącu. To moje dziecko.

– Jest pan pewien?

– Sam nie wiem – odparł rezydent – sam nie wiem, co robić. Ona jest bardzo porządną dziewczyną, z dobrej rodziny, bardzo konserwatywnej. Przez tę ciążę ma kłopoty, musiała wyjść za mąż, bo rodzina nie zniosłaby takiego wstydu.

– Skoro wyszła za mąż, to historia jest zakończona – skwitowałam.

– Nie będzie pan przecież teraz tego odkręcał. Dlaczego nie powiedziała panu o dziecku wcześniej?

– Sam nie wiem, co robić – powtórzył rezydent. – To skomplikowane, bo ja też mam żonę.

Zaskoczył mnie zupełnie. Ciężarna dziewczyna, którą rodzina zmusiła do zamążpójścia, była usprawiedliwiona, ale skąd ta żona?!

– Nie chcę być wścibska, ale nie rozumiem – oświadczyłam. – To chyba jest bardzo skomplikowane.

– Izabela i ja poznaliśmy się ponad dwa lata temu – zaczął swą opowieść rezydent. – Przyjechałem z wycieczką, jej rodzina posiada winnice w Marsali, to bardzo zamożni ludzie. Zaiskrzyło między nami. Tamtego dnia prowadziłem bardzo trudną, marudną grupę, byłem nieziemsko zmęczony. Spodziewałem się, że po winnicy oprowadzi nas jej brat, który miał zwyczaj bardzo skrupulatnie wszystko wyjaśniać, długo opowiadać historię wyrobu win, więc szedłem tam bez entuzjazmu. Ale pojawiła się ona. Piękna, delikatna blondynka, na widok której przeszył mnie piorun. Zakochałem się w niej bez pamięci i od pierwszego wejrzenia. To głupie, wiem, ale wtedy nikt inny dla mnie nie istniał. Tylko Izabela. Jak już wspominałem, ukończyłem italianistykę, jestem z zawodu tłumaczem – ciągnął rezydent. – Moja żona, którą poznałem na studiach, także jest tłumaczem. Przez jakiś czas pracowaliśmy razem, ale stanowiliśmy dla siebie konkurencję. Nie łączyła nas wielka miłość, a nasze małżeństwo było raczej ukoronowaniem długoletniej znajomości. Oboje pochodzimy ze wsi, w mieście wynajmowaliśmy razem mieszkanie, potem wzięliśmy ślub. Zaczęliśmy razem pracować. Nasz związek polegał na tym, że jej było dobrze, a mnie...

po prostu się na to godziłem. A ja potrzebowałem fascynacji, miłości tak wszechogarniającej, że jak byłbym z moją kobietą, przeżywałbym ekstazę i umierałbym jednocześnie, a wiersze same pisałyby się na ścianach. Nasze małżeństwo to była męka. Czułem się, jakbym za każdym razem odgrywał rolę w przedstawieniu, które nazywa się związkim. Było we mnie tyle goryczy... W którymś momencie pomyślałem, że zrobiłem sobie wielką krzywdę, ale nie umiałem odejść od niej. Zrodził się pomysł wyjazdu do pracy za granicę. Na Sycylię.

Słuchałam opowieści z uwagą.

– W pierwszej chwili przeraziłem się – opowiadał rezydent. – Ona i ja? Niemożliwe! Przecież jestem żonaty. Ona... Nie mogłem przestać o niej myśleć. Każdego dnia, podczas każdej czynności krzychałem w myślach jej imię. Pragnąłem jeździć do Marsali codziennie, zwłaszcza gdy przekonałem się, że nie jestem jej obojętny. Koniec sezonu i konieczność powrotu do Polski to był dla mnie dramat. Nie potrafiłem znaleźć odpowiedniego pretekstu, żeby zostać tu dłużej, nie wracać. Bałem się, że ona o mnie zapomni, że ktoś inny ją zdobędzie. Dlatego w zeszłym roku wyznałem jej miłość. Powiedziałem jej, że jeśli odejdzie, nikt nie zajmie jej miejsca. Nikt jej nie dorówna. Wiedziałem już, jak potrafi smakować szczęście – choć to tak naprawdę ledwie ułamek tego, co mogliśmy mieć. Całe życie błądziłem, wchodziłem w relacje, o których wiedziałem, że są dla mnie złe. Po raz pierwszy nie miałem absolutnie żadnych wątpliwości. Byłem tam, gdzie powinienem być, i robiłem to, co powinienem. Wszystko, co działo się w moim życiu, nabrało dzięki niej nowego znaczenia. Przy niej mogłem być sobą, nie musiałem niczego udawać, mogłem być wolny... a jednocześnie tak bardzo jej oddany. Chciałem dać jej to, czego zawsze mi brakowało – miłość. I wiedziałem już, jak to zrobić. Obiecowałem jej, że pozwolę jej prowadzić się za rękę, kiedy będzie chciała. A kiedy będzie trzeba, schowam ją przed światem, żeby była bezpieczna, a ja powalczę za nas oboje. Zamierzałem oświadczyć się w obecności jej ojca – ciągnął po chwili milczenia. – Zapewnić, że jestem godzien Izabeli. Pojechałem do Polski, żeby zamknąć swoje sprawy, rozwieść się

z żoną i przenieść na stałe na Sycylię. Nawet znalazłem pracę.

– Co się wydarzyło? – zapytałam, ponieważ znów zamilkł.

Rezydent przygryzł wargi, odchrząknął. Zbliżaliśmy się do Katanii i do końca jego opowieści.

– Moja żona oświadczyła, że jest w ciąży i choruje na raka – powiedział drewnianym głosem. – Lekarze zaproponowali jej aborcję, ale odmówiła. Miała przed sobą kilka miesięcy życia. Nie odważyłem się powiedzieć jej o moich planach. Czas płynął. Izabela pisała do mnie SMS-y, rozmawialiśmy przez telefon. Jej też nie potrafiłem powiedzieć prawdy, mogłem tylko zapewniać o swojej miłości do niej. Czekałem na cud, na cokolwiek, znak, sygnał, wiadomość, coś, co pomoże mi wybrnąć z tej sytuacji. Dziecko przyszło na świat martwe, a u mojej żony rozpoczął się regres – zakończył opowiadanie rezydent. – Wyjechałem dopiero wtedy, gdy było już jasne, że zdrowieje. W tym samym czasie Izabela napisała mi, że to koniec, odchodzi. Że nie chce już dłużej czekać.

– Nie powiedziała panu o ciąży – westchnęłam. – Być może wtedy inaczej by pan postąpił.

– Nie wiem, jakbym postąpił. – Rezydent zmarszczył brwi. – Niedługo moja żona będzie zdrowa. Czy wtedy powinienem jej powiedzieć, że mam dziecko z inną? Nic złego mi nie zrobiła, po prostu jej nie kochałem.

– Wspomniał pan, że Izabela wyszła za męża...

– Tak, trzy miesiące temu. Rodzina ją zmusiła, ciąża pozamałżeńska to wielki wstyd.

– O czym rozmawialiście dziś?

– Powiedziała mi o dziecku. Wiem, że jest moje, jestem tego pewien. Wydali ją za bardzo szanowanego człowieka, jest członkiem rady miejskiej w Marsali, posiada własną winnicę. Ale ona go nie kocha.

– Los nie załatwił tej sprawy, jak należy.

– Teraz myślę – powiedział rezydent – że gdybym powiedział żonie od razu, że zakochałem się w Izabeli, może byłoby inaczej. Sam nie wiem. Może gdybym powiedział Izabeli, że moja żona jest chora...

– Pana zdaniem chciałaby, żeby w imię miłości do niej porzucił pan

ciężko chorą żonę?

– Nie, ale może byłoby jej łatwiej.

– A teraz? Jaka jest? Gdy zna już prawdę.

– Powiedziała mi, że wolałaby nie wiedzieć. – Oczy rezydenta zaszyły mgłą.

Dojechaliśmy do mojego hotelu w Katanii. Rezydent zaparkował przed wejściem i spojrzał na mnie.

– Było jej łatwiej, gdy myślała, że jestem łobuzem, który ją wykorzystał i uciekł. Nie kocha swojego męża, ale przywykła do życia z nim. Teraz jest znów rozdarta, nieszczęśliwa. Nie tak miało być.

Położyłam mu rękę na ramieniu. Schował twarz w dłoniach. W milczeniu wysiadłam z samochodu i się oddaliłam. Moje spodnie i karta SIM odeszły w zapomnienie, razem z panem Konopką.

\*\*\*



– No i kto miał rację? – Krępy zaskoczył mnie przy ladzie z bułkami.

Tym razem podskoczyłam i pieczywo upadło na podłogę.

– Terapeutka bardzo się martwiła, że nie dzwonię! Powiedziała, że mogę telefonować o każdej porze dnia i nocy!

– Panie Konopka – zaczęłam zaczepnie. – Czy może mnie pan tak nie zaskakiwać? Bułki zgubiłam! A w ogóle, to dlaczego pan wczoraj uciekł? Z rezydentem szukaliśmy pana jak te, nie przymierzając, głupki!

– Wcale nie uciekłem – obraził się krępy.

Pozbierałam pieczywo, odłożyłam je na bok i nałożyłam sobie nowe kromki. Rewident prezentował się doskonale. Był uśmiechnięty i rozluźniony.

– Odwiózł mnie ten sam bardzo miły pan.

– Usiądźmy – zaproponowałam.

Nałożyłam na talerz dwa plasterki sera i szybko wskazałam ten stolik, przy którym siedzieliśmy ostatnio.

– Wszystko mi pan opowie.

– Ten stolik jest niedobry – orzekł rewident, a ja zazgrzytałam zębami. – Na podłodze leżą okruchy!

– Wszędzie leżą okruchy! – warknęłam. – Niech pan siada albo nie zawraca mi głowy!

– Jest pani dziś bardzo nerwowa – zauważył rewident. – Powinna się pani trochę odprężyć, w końcu jesteśmy tu na urlopie, nieprawdaż?

– Prawdaż – warknęłam. – Siada pan czy nie?!

Pan Konstanty usiadł z ociąganiem. Sięgnął też do kieszonki na piersi, skontrolował ekran telefonu i popatrzył na mnie z wyczekiwaniem. Wyraźnie życzył sobie, abym to ja zaczęła mówić pierwsza.

– Gdy weszłam do sklepu, to gdzie pan się podział? – zaczęłam więc, przygotowując równocześnie kanapkę. – I dlaczego pan odszedł, skoro umawialiśmy się, że pan tam poczeka?

– Bo przyjechał kurier z wiadomością – oświadczył uroczyście rewident.

Odgryzłam spory kęs chleba, więc gestem pokazałam mu, żeby

kontynuował.

– Ja już wszystko wiem – dodał krępy. – Wszystko się wyjaśniło.

Rewident zamilkł i z zadowoloną miną opadł na oparcie. Zaraz potem zreflektował się i znów uniósł plecy. Przełknęłam spory kawał pieczywa z serem, o picciu tym razem zapomniałam, więc suche jedzenie przepychało się z trudem przez przełyk. Pan Konopka jednakże najwyraźniej powiedział już wszystko, bo spokojnie przyglądał się, jak jem.

– Pomalutku – wychrypiałam, próbując przepchnąć suchą gulę do żołądka siłą woli. – Weszłam do sklepu. Pan został na zewnątrz. Co się wtedy wydarzyło?

– No mówię przecież – zniecierpliwiał się krępy. – Podjechał samochód z kurierem.

– Pan go znał? Tego kuriera?

– Nie.

– To skąd pan wiedział, że to kurier?

– Bo tak mi powiedział.

– W jakim języku?

– Po włosku.

– Pan nie zna włoskiego.

– Miałem rozmówki przy sobie!

– I czego ten kurier od pana chciał?

– Niczego.

– To dlaczego pan z nim pojechał?

– Bo zaproponował, że naładuje mój telefon.

Chleb dotarł do żołądka. Poczułam ulgę. Wzięłam głęboki wdech i kontynuowałam przesłuchanie.

– Naprawdę zrozumiał pan, gdy ktoś powiedział do pana po włosku, że naładuje panu telefon? Poza tym, skąd on wiedział, że pański telefon jest rozładowany?

– Nie wiem – przyznał z rozbrajającą szczerością krępy. – Myślałem, że pani mu powiedziała.

Powiedział to, zanim zdążyłam odgryźć kolejny kawałek. Całe szczęście, bo z pewnością bym się zadławiła.

– Ja?! Ale w jaki sposób? Przecież widział pan, że weszłam do

sklepu, żeby kupić ładowarkę!

– No tak – przyznał krępy. – Ale mnie tak zależało, żeby ten telefon uruchomić, że nie pomyślałem o tym. On był taki miły. No to wsiadłem, wyjąłem telefon z kieszeni, a on pokiwał głową i podłączył go do kabla w samochodzie. Pojechaliśmy i zanim się obejrzałem, to już byliśmy w hotelu w Katanii. I telefon się naładował, i ja szczęśliwie dojechałem.

– A nie bał się pan jechać? – zdziwiłam się.

Rewident nagle zastygł.

– A wie pani, że wcale – powiedział wolno. – Dopiero teraz sobie to uprzytomniłem. Ja wcale nie bałem się jechać. Nawet nie zauważyłem, że jadę. Ten człowiek cały czas coś do mnie mówił i to odwróciło moją uwagę. Szkoda, że nie mam numeru telefonu do niego.

Krępy wyraźnie się zmartwił, a ja poczułam, że ilość dziwnych zdarzeń i zagadek, z jakimi mam tu do czynienia, przerasta moje możliwości pojmowania. Zaczęłam konsumować kanapkę. Krępy siedział skupiony. Gdy przełykałam ostatni kęs, poderwał się nagle, przez co połknęłam chleb przed pogryzieniem. Gula utknęła mi w przełyku.

– On mi coś dał! – wykrzyknął podekscytowany rewident. – Dał mi swoją wizytówkę! Na niej na pewno jest numer telefonu!

Zanim zdążyłam się odezwać, pobiegł, wymachując rękami. Wstałam, podeszłam do lady z napojami nalałam sobie wodę do szklanki. Wypiłam duszkiem dwie, jedna po drugiej.

– Pani towarzysz jest bardzo niecierpliwy – syknął mi do ucha jeden z kelnerów. – Nie dziwię mu się, że już pobiegł do pokoju. Ja też nie mógłbym się doczekać, gdyby taka kobieta ze mną była!

Tego dnia nie zobaczyłam się już z krępym. Do wieczora pozostałam w swoim pokoju, zażywając kąpieli słonecznych na balkonie i narażając mężczyznę mieszkającego po sąsiedzku na upadek z drugiego piętra. Biedak wychylał się, żeby mnie podglądać i dwukrotnie omal nie wypadł na zewnątrz. Na kolację poszłam jako ostatnia, zjadłam w pośpiechu, od czego później bolał mnie brzuch. Ogromnie cieszyłam się, że nazajutrz wracam wreszcie do domu.

W środę rano pojawiłam się w recepcji kwadrans przed przybyciem rezydenta. Krępy już czekał. Gdy mnie zobaczył, wstał szybko z kanapy, na której siedział i ciągnąc za sobą walizy, stanął przy blacie.

– Dzwoniłem do niego wczoraj, ale nie odebrał – poinformował mnie, kiedy oddawałam klucz. – Teraz też dzwoniłem, ale zajęte. Chciałem z nim porozmawiać przed podróżą, żebym nie musiał się denerwować.

Domyśliłam się, że mówi o tajemniczym kurierze, który wczoraj przywiózł go do hotelu.

– Niech pan dalej próbuje – poradziłam mu. – Skoro zajęte, to znaczy, że rozmawia. Zaraz pewnie skończy i wtedy pan się połączy.

– Dobrze – ucieszył się rezydent i odszedł na bok, ciągnąc walizy.

Telefon trzymał w ręku. Kilka minut później przyjechała taksówka, którą udaliśmy się na lotnisko.

– Dzień dobry – powitał nas rezydent. Podkrążone oczy świadczyły o tym, że noc nie upłynęła mu na błogim odpoczynku. – Mam nadzieję, że mimo wszystko urlop się państwu udał.

– Niezapomniany czas. – Uśmiechnęłam się. – Nigdy bym nie przewidziała, że spotka mnie tu tyle atrakcji.

– Pan Konopka ze swoim telefonem. – Uśmiechnął się krzywo rezydent. – Nawet nie pytam, jak znalazł się w Katanii. Pani pewnie wie, ale ja już nie jestem ciekaw. Choć muszę przyznać, że będzie mi go brakowało!

– Oby pan w złą godzinę nie powiedział – ostrzegłam go. – Wiem tylko tyle, że przywiózł go tajemniczy mężczyzna, do którego właśnie teraz dzwoni. Ten pan ma cudowne właściwości albo doskonałe umiejętności terapeutyczne, bo pan Konopka przestał się bać jeździć samochodem!

– To ciekawe! – W oczach rezydenta zobaczyłam rozbawienie. – Sycylijszyk?

– Raczej tak – odpowiedziałam. – Możemy go zapytać.

Rewident prowadził rozmowę przez telefon. Podeszłam do niego i szeptem poprosiłam o wizytówkę tajemniczego terapeuty. Krępy wyjął ją z kieszeni i dalej mówił. Spojrzałam na kartonik. Po jednej

stronie było napisane imię i nazwisko, po drugiej ktoś dopisał odręcznie numer telefonu oraz następujące słowa po włosku: *Skończę z tobą szybciej, niż myślisz.*

Podeszłam do rezydenta i pokazałam mu wizytówkę. Przeczytał i pobrał.

– To była wiadomość dla pana, prawda? – zapytałam bez wstępów. Pokiwał potakująco głową.

– W takim razie los jednak dokończył, co zaczął.

Oboje popatrzyliśmy na rozmawiającego przez telefon krępego. Jego rozmówca mówił po włosku, a on cierpliwie słuchał, powtarzając co pewien czas:

– Tak, rozumiem, tak, bardzo mi to pomaga.

– Znów będziemy się męczyć z tym gamoniem! – usłyszałam za plecami głos profesora. Stał wyprostowany, elegancki, w garniturze z muszką. – Dobrze, że nie wracamy z Argentyny!

– O Boże! – krzyknęłam nagle w popłochu. – Zapomniałam kupić prezenty dla córek!

– A w jakim wieku są dziewczynki? – Podeszedł do mnie od razu pan w niebieskiej koszulce, który tym razem był panem w białej koszuli i skórzanej kurtce. – Mamy coś na zbyciu.

– Obiecałam im gwiazdkę z nieba i strój księżniczki na bal – wyjęczałam. – Zupełnie wyleciało mi to z głowy! Pięć i cztery lata.

– No proszę, ale innym zawracać głowę to miała pani czas! – wytknęła mi żona fotografa.

Ona, jej mąż i znów naburmuszony nastolatek stali z boku. Tym razem aparaty były schowane.

– Tak to już jest, gdy człowiek wtrąca się w cudze życie, zamiast pamiętać o swoim!

– Pani kochana, u mnie nie ma „nie mogę”, u mnie nie ma „niemożliwe”. – Pan w białej koszuli roześmiał się w głos. – Wszystko mam. I gwiazdkę, i księżniczkę. Pani pozwoli.

Odeszliśmy na bok. Otworzył jedną ze swoich przepastnych waliz i wydobyl na wierzch duże pudło czekoladek w kształcie rozgwiazdy.

– Pasuje?

Pokiwałam głową, że tak. Wówczas pogmerał głębiej i wydobyl

z wnętrza prześliczną, jasnoróżową sukienkę, składającą się głównie z falbanek i koronek. Po chwili wyciągnął drugą, bardzo podobną do pierwszej, lecz w błękitnym kolorze.

– Prześliczne. – Westchnęłam. – Ile pan za nie chce?

Mężczyzna się obejrzał. Jego żona rozmawiała z rezydentem, odwrócona do nas tyłem. Pan w koszuli szybko zwinął w kłębek obie sukienki, włożył je do torby i wręczył mi, porozumiewawczo mrugając.

– Prezent od firmy – szepnął mi na ucho. – Jakby co, to panią znajdę i pani mi pomoże.

Ponieważ nic nie odpowiedziałam, pochylił się jeszcze bardziej i zupełnie cicho powiedział:

– Mam na oku fajną babkę, ale firma jest na żonę. Trzeba będzie pokombinować, jak to rozegrać. Pani ma sprawną makówkę, ja się do pani odezwę... A czekoladki to za pięć euro sprzedam, po kosztach! – dodał głośniej.

Dwie starsze panie minęły mnie, demonstracyjnie odwracając wzrok, z kolei milczący rudym mężczyzna zatrzymał się w pobliżu i gdy nadszedł moment odprawy, zaproponował:

– Może usiądziemy obok siebie w samolocie? Fajnie nam się gadało.

Podeszłam do rezydenta i podałam mu rękę.

– Życzę panu spokoju i wyciszenia – powiedziałam. – Życie stale nas zaskakuje. Może pana zaskoczy czymś przyjemnym.

– Może. – Rezydent pokiwał głową. – Może...

Podróż do Warszawy przebiegła spokojnie. Rewident zasnął zaraz po starcie i nie zakłócał porządku, a na lotnisku oddalił się szybko, ciągnąc za sobą walizy. Telefonu nawet nie włączył. Sąsiad przez cały lot raczył mnie argumentami przemawiającymi na korzyść seksu tantrycznego. Profesor przeglądał katalog biura podróży i z zasłyszanego fragmentu rozmowy dowiedziałam się, że za dwa tygodnie wybiera się na Teneryfę. Innych uczestników wycieczki straciłam z pola widzenia zaraz po wylądowaniu. Pożegnałam się z rudym i taksówką pojechałam do domu moich rodziców.



\*\*\*

Dochodziła jedenasta. W domu zastałam moją matkę, która szykowała się do wyjścia.

– O, już wróciłaś? – zapytała zdziwiona. – Myślałam, że to jutro.

– Mamo, dlaczego nie odbierałaś telefonu?

Rozmawialiśmy w progę. Zimny wiatr wiał mi w plecy, ale nie zwracałam na to uwagi. Moja matka miała na sobie płaszcz zimowy i czapkę. Początek marca nie zwiastował nadchodzącej wiosny.

– Bo się zepsuł – odpowiedziała. – Nie działa. Muszę kupić nowy. Mówiłam ci już.

Wyczuwałam, że nie chce rozmawiać. Coś wydarzyło się podczas mojej nieobecności, ale ten moment nie nadawał się zupełnie, by bardziej otwarcie porozmawiać.

– Wybierasz się dokądś? – zapytałam.

Matka sięgnęła po torebkę.

– Tak, jadę do ojca. Jest w szpitalu.

Przestawiłam mój bagaż w kąt przedpokoju i założyłam rękawiczki.

– Pojadę z tobą – powiedziałam.

Przed dom podjechała taksówka. Wsiadliśmy do niej, nie odzywając się do siebie.

– Byłam u tego profesora w poniedziałek – zaczęła matka, gdy samochód ruszył. – Robert zadzwonił i polecił dobrego specjalistę. Przyjął mnie w gabinecie dyrektora szpitala. Wysłuchał spokojnie oraz w skupieniu przejrzał dokumentację medyczną ojca. Kilkakrotnie przeglądał to samo zdjęcie, ten sam wykres, zakładał okulary i zdejmował. Powiedział później, że ojciec i tak nie ma już nic do stracenia, ponieważ guz wkrótce zagrozi jego życiu. Ojciec mógłby nie dożyć do wakacji. Przyjęli go na oddział.

Słuchałam jej relacji w milczeniu. Z ogromną mocą wdzierał się do mojej głowy ten prozaiczny, najeżony problemami świat, który zostawiłam za sobą na tydzień, lecąc na Sycylię. Z oddalenia wszystko wydawało się mniej poważne, mniej okrutne. Teraz musiałam w trybie pilnym znów przestawić się na doświadczanie tego, przed czym na chwilę uciekłam. Ogarnął mnie lęk. A przecież powinnam odczuć ulgę, bo to, co wydawało się bardzo trudne i skomplikowane, w dużej mierze miałam już za sobą.

W szpitalu udałyśmy się prosto do gabinetu dyrektora, gdzie urzędował profesor. Był to mężczyzna słusznej postury, dobrze po sześćdziesiątce, łysy, z dziwnym grymasem na twarzy. Często spoglądał zza swoich okularów, podnosząc przy tym bardzo krzaczaste, siwe brwi.

– Proszę przywołać do mnie doktora Studziennego – wydał krótką komendę sekretarce, która wpuściła nas do gabinetu.

Moja matka przywitała się z nim pierwsza. Nie przedstawiła mnie, zrobiłam to sama.

– Jak już rozmawialiśmy, zoperujemy pacjenta niezwłocznie, czyli jeszcze w tym tygodniu – mówił, patrząc raz na matkę, raz na mnie. – W tym przypadku rokowania są bardzo słabe, ale są. Guz jest olbrzymi. Spodziewam się, że zaatakował już w dużej części czołowy płat mózgu, przez co pacjent gorzej widzi i słyszy oraz utracił zmysł powonienia. Możliwe, że wkrótce przestanie chodzić. Nie umiem powiedzieć, czy po operacji będzie sprawny i w jakim zakresie. Trzeba liczyć się z tym, że może wymagać całodobowej opieki. Ale w tym przypadku walczymy o życie, prawda?

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak! – powiedział głośniejszym głosem profesor.

Do gabinetu wszedł mężczyzna, bardzo tęgi, ubrany w zielony strój chirurga.

– Doktor Studzienny – przedstawił nam przybyłego profesor i wskazał mu siedzenie.

Grubas z trudem zmieścił się w wąskim fotelu. Nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat, brunet.

– Panie doktorze, pacjent, którego przyjęliśmy w poniedziałek z rozpoznaniem bardzo zaawansowanego stadium oponiaka. Panie są z rodziny. Poinformowałem, że chcemy operować w tym tygodniu.

– Piątek – Doktor Studzienny sapnął. Mówił tak, jakby miał muchy w nosie. Całe roje. – W piątek robimy tylko dwie przepukliny, ale mogą spaść, jakby co.

– Tak myślałem. To przekładamy – zakomenderował profesor. – Ta robótka zajmie nam przynajmniej sześć godzin. Proszę załatwić z panią formalności, zapisuję już na pewno piątek.

– Kogo wziąć jeszcze do asysty? – Ponownie sapnął doktor Studzienny. – Brzeczkowski jest na urlopie.

– To niech go pan odwoła. To trudny zabieg, muszę mieć dodatkowe oczy. I doktor Malinowską.

– Dobrze, zaraz się tym zajmę.

– Dziękuję. Dziś i jutro wykonamy wszystkie badania, trzeba dopełnić formalności. Doktor Studzienny panią poinstruuje. – Profesor wstał i podszedł do mojej matki, która wciąż siedziała. – Niestety, nie mogę powiedzieć: proszę być dobrej myśli. Ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Czy możemy się z nim zobaczyć? – zapytała matka.

Profesor spojrział na doktora Studziennego.

– Pacjent był dziś rano trochę pobudzony, ale myślę, że można – wysapał lekarz. – Pójdziemy razem.

Podziękowałyśmy profesorowi i w towarzystwie okrągłego lekarza wyszłyśmy z gabinetu. Zaprowadził nas na oddział neurologiczny, gdzie spłoszona pielęgniarka poderwała się zza swojego kantorka.

– Panie doktorze – wyszczebiotała bardzo piskliwym głosem. – Rzucił się, był agresywny, musiałyśmy go przypiąć!

Lekarz spojrział na nas w przelocie, ale nic nie powiedział. Sapiąc, doprowadził nas do sali, w której ojciec leżał na łóżku na wznak. Ręce i nogi miał unieruchomione pasami. Zakreśliły mi się łzy w oczach na jego widok. Po raz pierwszy widziałam ojca tak bezradnego.

– Czy te pasy są konieczne? – zapytałam lekarza, który podszedł do ojca i pochylił się nad nim.

Studzienny pokiwał głową, posapał, po czym spojrział na mnie.

– Pani tata nie kontroluje swoich odruchów – powiedział. – Dziś rano zaatakował pielęgniarkę, która przyniosła mu leki. Rozumiem, że to dla pań przykry widok, ale siostry nie mogą czuwać przy nim nieustannie. To dla jego bezpieczeństwa.

Usiadłam na brzegu łóżka i pogładziłam ojca po dłoni. W pierwszej chwili nie zareagował, ale po kilku minutach spojrział na mnie i powiedział:

– Rozwiąż mnie.

Odwróciłam się szybko, ale lekarz już odszedł. Moja matka także

wyszła. W sali byliśmy tylko we dwoje.

– Nie mogę, tato – powiedziałam bardzo cicho. – Wiesz, że nie mogę.

– Rozwiąż mnie – powtórzył ojciec i nagle zaczął płakać. Olbrzymie łzy spływały po jego policzkach. – Nie będę już sikał do łóżka. Rozwiąż mnie!

Ponownie spojrzałam na drzwi. Przygryzłam wargi i powstrzymując łzy, odpięłam pasy na przegubach ojca. Oswobodził ręce i zaczął masować nadgarstki. Nagle zerwał się z łóżka, jakby chciał szybko dokądś iść. Nie oswobodziłam jego nóg, więc upadł głową w dół, uderzając czołem o podłogę. Zaczął głośno krzyczeć. Ze skroni ciekła mu krew. Usiłowałam podnieść go na łóżko, lecz jego ciało stawiało opór, ważyło co najmniej kilka ton. Ojciec wyrывał się, był niczym ryba wyrzucona na brzeg, która wydaje z siebie głośny, zwierzęcy skowyt.

Do sali wpadły dwie pielęgniarki. Jedna odepchnęła mnie mocno, druga weszła na łóżko i wisząc nad ojcem, szarpnęła go silnie za ramiona. Po trwającej zaledwie kilka minut szarpaninie, ponownie unieruchomiły ojca w pasach. Stałam z boku, ocierałam łzy i przyglądałam się bezradnie, jak starają się uspokoić wijącego się niczym w konwulsjach ojca. Wtedy do gabinetu wkroczył lekarz. Trzymał w ręku strzykawkę. Po zastrzyku ojciec naprężył się, po czym spokojnie opadł na poduszkę i zasnął.

– Rozumiem, że to przykry widok, ale pani tata nie panuje już nad sobą – wysapał doktor. – Miejmy nadzieję, że operacja mu pomoże.

Odwróciłam się i wyszłam z sali, w której pozostały jeszcze pielęgniarki i lekarz. Moja matka stała na korytarzu. Podeszłam do niej, ale odwróciła się i zaczęła kierować się do wyjścia. Odruchowo udałam się za nią. Na dworze uderzył w nas lodowaty wiatr. Matka rozejrzała się za taksówką. Wciąż czułam, że nie jest to właściwy moment na rozmowę, więc powiedziałam:

– Muszę pojechać na chwilę do biura, Betka od poniedziałku jest w szpitalu. Odbiorę dziewczynki po drodze, będą miały niespodziankę.

– Jak uważasz – odpowiedziała matka, nie patrząc na mnie. – Ja

wracam do domu, nigdzie się nie wybieram.

Rozstałyśmy się przed wejściem do szpitala. Ja poszłam w prawo, ona w lewo.

Nasze nowe biuro moje i Betki, znajdowało się na drugim piętrze w przyjemnie wyglądającej kamiennicy, zlokalizowanej dokładnie w połowie drogi między przedszkolem a moim domem. Składało się z trzech pokoi: dwóch oddzielnych i przechodniego, który Betka i Klementyna zaaranżowały na sekretariat i poczekalnię w jednym. W lokalu pomieszczono nasze stare meble, które na tle ciemnobezowej ściany prezentowały się wyjątkowo korzystnie. Ogromny fikus ozdobił okno balkonowe, a dwie rozłożyste paprocie nadawały wewnątrz ciepła i radości. Na podłodze leżała wiśniowa wykładzina. Rozejrzałam się po pomieszczeniach. Pokój Betki, usytuowany z prawej strony od wejścia, zaaranżowano w kolorach ciepłej jesieni. Na ścianach odnalazłam zrobione przez nią fotografie, a na parapecie – nieduży posążek kota, który dostała w prezencie od jednego z klientów. Mój pokój posiadał błękitne ściany i ciemnobrązowe meble. Duża ilość zieleni dopełniała całości. Podobało mi się.

– Pani pija kawę – zagadnęła mnie sekretarka, raczej stwierdzając fakt niż pytając. – Mogę pani zrobić. Niechętnie.

– Skoro niechętnie, to dziękuję – odparłam i przyjrzałam się jej ukradkiem.

Była to kobieta średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Krótko ostrzyżona brunetka o jasnych oczach, w bliżej nieokreślonym wieku. Mogłaby mieć zarówno trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat.

– Ależ zrobię – naciskała sekretarka.

– Nie, dziękuję, nie pijam kawy – odparłam. – Ale chętnie napiję się herbaty. Mogę prosić? Pani ma na imię Klementyna?

– Nie sądzę – odpowiedziała sekretarka.

Z początku nie rozumiałam tego komunikatu. Cóż mógł on oznaczać? Że nie będzie mi dane pić więcej herbat? Że popełniłam gafę, prosząc ją o to? A może ona nie nazywa się Klementyna? Potem przyzwyczałam się, że Klementyna na większość pytań odpowiada tak samo. I zupełnie bez sensu. Usiadłam przy stole w swoim pokoju



i się zamyśliłam. Powinnam przecież odzyskać kontakt telefoniczny ze światem, powinnam zobaczyć się z Betką... Po niedługiej chwili sekretarka postawiła przede mną kubek z herbatą.

– Nazywam się Klementyna i pracuję od wczoraj dla pań – oświadczyła kobieta. – Pani Elżbieta jest w szpitalu. Zostawiła listę klientów dla pani. Mam przynieść?

– Tak, poproszę. – Uśmiechnęłam się do niej, ale nie zareagowała na to.

Herbata pachniała jakoś dziwnie.

– Co to jest? Ziemniak?

– *Galangal* – wyjaśniła Klementyna takim tonem, jakby *galangal* był używany na co dzień w każdej kuchni zamiast soli. – Jeśli pani chce, to mogę wszystko wytłumaczyć.

– Pachnie ziemią. Co wytłumaczyć? A po co mi pani zaparzyła ten *galangal*? Prosiłam o zwykłą herbatę.

– Bo działa lepiej niż imbir. Na zatoki i odporność, tak ogólnie. Wszystko, ale niechętnie.

– Nie rozumiem – zdenerwowałam się. – Będzie mi pani tłumaczyć coś niechętnie? To może wcale?

– Może – zgodziła się sekretarka. – To mówić czy nie? A *galangal* pomaga też na wrzody i nudności. Mogę dodać imbiru, ale niechętnie.

Klementyna była nie do przegadania, dość szybko się o tym przekonałam. Pogodziłam się z myślą, że zwyczajnej herbaty teraz nie dostanę, więc kiwnęłam głową na znak, że wypiję ten parzony *galangal*, bez imbiru, i że oczekuję informacji od niej. Gdy wyszła na chwilę, zasiliłam wywarem kwiatek, który stał na oknie.

– Pani Elżbieta umówiła klientów, którzy są zgodnym, przykładowym małżeństwem, oboje pracują jako lekarze i bardzo potrzebują pomocy mediatora w celu uzyskania świadczenia rodzinnego. Niechętnie przyznam, że należy im pomóc – zaczęła referować Klementyna. – Druga para jest zupełnie inna. Ona wydra, a on kretyn, ale takim też się pomaga, więc nie wnikam. Trzecia sprawa dotyczy darowizny, ale trudno wyczuć, kto kogo oszukuje i dlaczego.

– Skąd pani to wie? – wyrwało mi się.

Z tego, co powiedziała Betka, wynikało, że klienci dopiero rozpoczynają mediację, akt sprawy sądy już od dawna nam nie wysyłały, więc jakim cudem ta kobieta mogła wiedzieć tyle o klientach? Jasnowidz?

Sekretarka popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Pracowałam przedtem dla jednego detektywa i on mnie wszystkiego nauczył – oświadczyła z dumą. – Człowiek zawsze musi wiedzieć, z kim ma do czynienia. Powinien to wiedzieć przed, a nie po, niestety.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, zostawiając mnie z listą nazwisk i numerów telefonów oraz otwartymi ustami. Pochyliłam się nad kartką. Przy nazwiskach widniały daty i godziny, co oznaczało, że Betka umówiła już spotkania. Pierwsze zostało zaplanowane na jutro.

– Pani Klementyno – krzyknęłam zza stołu, ale ponieważ sekretarka nie zareagowała, wstałam i przeszłam do sekretariatu.

Kobieta stała na głowie przy ścianie.

– Co pani robi? – zapytałam dość głupio, bo widać było, że stoi na głowie. – Nieważne. Czy może Betka zostawiła pani swój numer telefonu?

– Tak – usłyszałam w odpowiedzi.

– A może mi pani go udostępnić?

– Tak.

– Teraz?

– Nie.

– A kiedy?

– Za chwilę.

Wycofałam się do pokoju. Betka wspominała, że ta kobieta jest dziwna, ale na coś takiego chyba mnie nie przygotowała. Trzy sprawy mediacyjne mnie nie przerażały. Jedna wypadła w piątek, na ten dzień zaplanowano operację ojca. Pocięczałam się w duchu, że to pierwsze spotkanie, więc będzie mi wybaczone jeśli okażę lekkie rozkojarzenie. Na tę chwilę bardziej doskwierał mi brak telefonu. Postanowiłam pójść do sklepu, żeby kupić nowy aparat i uzyskać duplikat karty.

– Wychodzę – oznajmiłam stojącej wciąż na głowie sekretarce. –

Gdyby była pani uprzejma dać mi ten numer, bo dziś już nie wrócę do biura...

Sekretarka odczekała jeszcze kilka minut, po czym opadła na kolana, podniosła się nieśpiesznie i podeszła do biurka. Napisała na kartce cyfry.

– Bardzo prosty numer – powiedziała mi, wręczając kartkę. – Gdyby pani potrenowała stawanie na głowie, też by go pani pamiętała.

Wyszłam z biura i zamknęłam za sobą drzwi. Nie umiałabym powiedzieć wtedy, czy polubiłam nową współpracownicę. Może potrzebowałam bardziej kogoś, kto dałby mi poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa? Kogoś nudnego, skrupulatnego, kto czasem będzie myślał za mnie? Dlaczego takie sekretarki pojawiają się tylko w filmach?

Na drzwiach po drugiej stronie korytarza wisiała mosiężna tabliczka informująca, że mieści się tam kancelaria adwokacka. Zarejestrowałam fakt w pamięci i zeszłam po schodach. Mocne uderzenie zimna otrzeźwiło mnie od razu. Wiatr wiał ze wszystkich kierunków równocześnie. Padał deszcz, śnieg, deszcz ze śniegiem. Kapryśny marzec wprowadzał mnie w dawną rzeczywistość dość brutalnie, nie pozwalając na najmniejsze złudzenie, że wciąż jestem na urlopie.

\*\*\*

– Cześć. To ja, Robert. Nie poznajesz mnie?

– Poznaję – powiedziałam słabo. – Oczywiście, po prostu nie spodziewałam się...

– No właśnie – przerwał mi Robert. – Betka dała mi znać. Wiem, że profesor podejmie się przeprowadzenia operacji. To naprawdę bardzo dobry specjalista, może nawet najlepszy w Europie.

– Bardzo ci dziękuję – Nie potrafiłam zdobyć się na nic więcej poza jakieś zdawkowe odpowiedzi i byłam z tego powodu zła na siebie. – Chciałam jeszcze raz zadzwonić, ale tak jakoś...

– Tak, wiem, urlop.

Gdy to powiedział, zapłonęły mi uszy. Wyglądało na to, że pojechałam sobie na wakacje, obarczając innych koniecznością szukania lekarzy dla umierającego ojca.

– Trafiłaś z pogodą?

– Robert, ja naprawdę musiałam – zaczęłam bardziej zdecydowanym tonem. – To było już opłacone, rodzice się wykosztowali. Tam na Sycylii straciłam telefon i dlatego...

– Nie ma sprawy – przerwał mi Robert. – Odezwij się, jak będzie już operacji. Na razie!

Rozłączył się, a ja stałam w bezruchu na środku chodnika i patrzyłam na nowy aparat telefoniczny. Poślaniec tylko złych wieści. Po chwili zamigotał i zadzwonił ponownie. Zaczęłam energicznie iść, trzymając telefon przy uchu.

– No nareszcie! – usłyszałam głos Betki. – Nawet nie wiesz, jak ja się zdenerwowałam! Myślałam już, że to jakaś epidemia u was w rodzinie, z tymi zaginięciami. Zbyszek był u twojej matki w poniedziałek i dowiedział się, że wszystko w porządku. Podobno siedzieli w domu i nie słyszeli dzwonka, bo się zepsuł. Dlaczego wyłączyłaś telefon?

– Betka, posłuchaj – wtrąciłam się, gdy zrobiła pauzę na oddech. – Rozbił mi się telefon i kartę SIM szlag trafił. Opowiem ci przy okazji. W którym szpitalu jesteś?

– Położniczym, mówiłam ci. Widziałaś listę klientów?

– Tak. Klementynę także. Jutro do ciebie przyjadę, to pogadamy, dobrze? Idę teraz po dzieci i wracam do domu. Ojciec jest w szpitalu

i w piątek będzie operowany. Bacia – dodałam z uczuciem. –  
Dziękuję, że jesteś!

Przyjaciółka tylko zamruczała do telefonu. Nie zdążyłam się rozłączyć, kiedy przyszedł SMS. To pani Ilona przypominała o sobie krótką informacją, że Zbyszek i ona najprawdopodobniej się rozstaną. Odpisałam jej, że decyzję podejmują wyłącznie oni i nikt więcej. Wówczas zadzwoniła.

– Ja naprawdę dużo zainwestowałam w ten związek – zaczęła bez wstępów. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Zbyszek nie chce tego zrozumieć i nie chce się zmienić.

– Może dlatego, że nie widzi takiej potrzeby – odpowiedziałam.

Stałam przed drzwiami do przedszkola. Pomimo dość wczesnej pory, bo dochodziła piętnasta, sporo osób wymijało mnie i wchodziło do środka.

– Pani Ilono, może zobaczymy się jutro, tak jak to było ustalone, i porozmawiamy o tym spokojnie, w biurze.

– Nie wiem, czy to ma sens – upierała się pani Ilona. – On wczoraj znów gdzieś przepadł i nie powiedział mi prawdy.

– Z czego to pani wnioskuje? – zapytałam, ustępując miejsca kolejnym osobom wchodzącym do przedszkola.

– Bo powiedział, że idzie do pracy, a ja sprawdziłam i nie było go tam, gdzie miał być – usłyszałam.

– Znowu go pani szpieguje? – zaatakowałam panią Ilonę. – W ten sposób do niczego nie dojdziecie!

– Ja go nie szpieguję, tylko sprawuję kontrolę – wyjaśniła mi pani Ilona. – Czy to taka tajemnica, dokąd on chodzi? Przecież osoby w związku nie powinny mieć między sobą takich tajemnic! Chyba że odwiedza kobiety!

– Tego nie wiem – odparłam zniecierpliwiona. – Proszę pani, jutro o tym porozmawiamy, dobrze?

– Tak – zgodziła się pani Ilona. – Teraz jeszcze go nie ma. Powiedział, że idzie wykonać jakiś przegląd kominów, ale powinien wrócić już dawno. Pod tym adresem jest tylko jeden dom, nie wierzę, że przegląd kominów w jednym domu może tyle trwać!

Nie skomentowałam tego. Rozłączyłam się i weszłam do

przedszkola. W środku grała wesoła muzyka i było dość tłoczno. Pod sufitem i na ścianach wisiały kolorowe dekoracje. Do szatni i na korytarz przemykały najmłodsze dzieci poprzebierane w różne stroje.

– Mama! – krzyknęła Basia na mój widok.

Uściskałam pociechę, która po euforycznym powitaniu zaprezentowała naburmuszoną minę.

– Dziś jest bal dla naszej grupy – powiedziała smutnym tonem. – Wszyscy mają przebrania, tylko ja nie mam!

Przytuliłam córkę mocniej do siebie i powiedziałam jej na ucho, że przywiozłam strój, ale nie zdążyłam przynieść go na czas do przedszkola.

– Jutro będzie bal u starszaków. – Uśmiechnęła się szeroko Basia. – Zapytaj panią, czy mogę przyjść.

Wstałam i trzymając Basię za rękę, ruszyłam na piętro, gdzie znajdowała się sala starszaków. Otworzyłam drzwi i wiele par oczu spojrzało prosto na mnie.

– Zapraszam – odezwała się przedszkolanka. – Dopiero zaczęliśmy.

Zorientowałam się, że trafiłam na zebranie rodziców. Nic o nim nie wiedziałam. Usiadłam z boku, Basię posadziłam sobie na kolana.

– Jak już powiedziałam, oczekujemy od państwa tylko wsparcia i współpracy. – Głos przedszkolanki brzmiał słodko i podstępnie. – Lista zadań zostanie państwu zaraz rozdana, proszę wpisywać się po prawej stronie, kto do czego się zobowiązuje.

– A jeśli ktoś nie może się zobowiązać, bo pracuje? – odezwał się ktoś z sali.

Pozostali ucieszyli się, że to pytanie padło i że to nie oni je wypowiedzieli. Po ostatniej przykrej dyskusji z wychowawczynią na temat zasadności uczenia dzieci donosicielstwa, w postaci informowania o każdym przypadku schowania przez dziecko jedzenia za pazuchę, teraz postanowiłam, że nie będę się odzywać. Najwyżej powiem jej coś w cztery oczy.

– Przypominam, że chodzi o państwa pociechy! – Nie przypuszczałam, że można się tak szeroko uśmiechać. – Kto nie może się zaangażować osobiście, powinien to zrekompensować w inny sposób, proszę się deklarować!



- A można zadeklarować później?
- Nie! Bardzo proszę teraz, bo nie zakończymy zebrania!
- To ja chętnie pomogę przy zakupie nasionek rzeżuchy – podniosłam rękę.

Uznałam, że lepiej zgłosić się teraz, kiedy jeszcze jest jakiś wybór.

- To już jest zajęte przez inną mamę.
- A co nie jest zajęte?
- Mycie okien w sali.
- A może dołączę do wycieczki na zamek królewski?
- Nie, nie trzeba. Dwie mamy, które zwykle nam towarzyszą, pójdą.

– To po co ta lista, skoro wszystko jest zajęte?

– Wyjścia na basen są nie obsadzone!

– To ja się zgłaszam na basen w maju – znów podniosłam rękę.

Pozostali rodzice przyglądali mi się podejrzliwie.

– Dobrze, to pani bierze basen w maju i czerwcu.

Pani wychowawczyni wpisała coś do swojego notesu.

– Dlaczego w maju i czerwcu? – zaprotestowałam. – Zgłosiłam się na maj!

– Pani ma u nas dwoje dzieci, prawda?

– Prawda, ale tylko starszaki chodzą na basen!

– W pierwszym półroczu się pani nie deklarowała. Zapisuję: maj i czerwiec. Kto następny?

– Ja nie wiem, czy... – zaczęłam protestować, ale wtedy odwróciła się jedna z kobiet i powiedziała głośno:

– Pani powinna bardziej się zaangażować, bo pani nie pracuje na etacie, jak większość z nas. Dysponuje pani czasem w dowolny sposób. Pani jest łatwiej!

Rozległy się nieliczne oklaski.

– A co to ma do rzeczy? – zdenerwowałam się. – Fakt, że mam nienormowany czas pracy, nie oznacza, że siedzę i się nudzę. Przeciwnie, dużo trudniej jest mi się zobowiązać do czegoś z dużym wyprzedzeniem. Dużo trudniej niż komuś, kto pracuje codziennie w tych samych godzinach!

– Proszę się nie przekomarzać – przerwała nam przedszkolanka. –

Każdy musi się poświęcić. Nie może być tak, że tylko przedszkole zajmuje się państwami dziećmi. Należy znaleźć w sobie więcej poczucia odpowiedzialności!

– Mamo, zapytaj o ten bal – przypomniała mi Basia.

Uciszyłam ją, kładąc palec wskazujący na ustach. Córka skrzywiła się lekko, ale zamilkła.

– Może poszukasz Laury? – szepnęłam jej do ucha. – To zebranie jeszcze chwilę potrwa.

– Ona jest w sali obok – poinformowała mnie mama siedząca po prawej stronie. – Razem z moją Wiktoria.

Wymieniłyśmy uprzejme ukłony, za co przedszkolanka natychmiast zwróciła nam uwagę, że przeszkadzamy.

– Problem wszy został opanowany – kontynuowała wychowawczyni. – Muszą być państwo bardziej czujni. Przy najmniejszych objawach należy natychmiast działać.

– Ale skąd te wszy się wzięły? – chciał wiedzieć jakiś pan. – I owsiki? Ktoś z domu specjalnie przyniósł?

Rozległ się śmiech, ale przedszkolance nie było wesoło.

– Niech pan nie kpi – skarciła rodzica. – Proszę pomyśleć, że ja też jestem narażona na zakażenie, a z całą pewnością nie przyniosłam wszy!

– A kto przyniósł? – dociekał inny tata. – Trzeba zrobić dochodzenie i napiętnować taką osobę. Brudasów trzeba uczyć porządku!

– Nikogo nie będziemy piętnować – oświadczyła stanowczo nauczycielka. – Musicie państwo sprawdzać głowy pociech codziennie. Kolejna sprawa: dzieci przeklinają.

– To też przynoszą z domu – mruknął jakiś tata, który siedział niedaleko. – Sugeruje pani, że nagle ni z tego, ni z owego zaczynamy z żoną przeklinać, na czym świat stoi, i jeszcze w dodatku robimy to tak często, żeby dziecku utrwaliło się słownictwo?

Sala znów wybuchła śmiechem, ale tym razem przedszkolanka nie skomentowała tej wypowiedzi.

– Państwa dzieci bardzo brzydko mówią – kontynuowała. – Używają obraźliwych określeń wobec siebie. Sądzimy, że ten rodzaj

komunikowania się wynoszą jednak z domu – ostatnie słowa powiedziała głośniej. – Gdy dziewczynki bawią się w dom, nieodłącznym elementem takiej zabawy jest ślub, dziecko i szybki rozwód. Potem ustalają się grupki rozwiedzionych, samotnych mamuś, które w niewybredny sposób wyrażają się o swoich partnerach. Chłopcy natomiast poddają się przemocy dziewczynek i nawet jeśli nie chcą być mężami, to z płaczem godzą się na taką rolę. Gdy powstają grupki rozwiedzionych, na twarzach chłopców gości uśmiech. Moim zdaniem trzeba wyciągnąć wnioski z takiej postawy dzieci. Przecież odzwierciedla ona sytuację w domu.

– Mojej córki to nie dotyczy, bo oboje z mężem się nie rozwodzimy – oświadczyła jedna z mam. – Proszę zwracać się do tych rodziców, których dzieci tak się bawią.

– Właśnie to robię – powiedziała z naciskiem przedszkolanka. – A pani córka akurat bardzo chętnie straszy wszystkich rychłym końcem świata!

Mama zaczerwieniła się po same uszy i do końca zebrania nie powiedziała już ani słowa. Po omówieniu jeszcze kilku kwestii dotyczących obiadów, zebranie zostało zakończone. Podeszłam do przedszkolanki i wyjaśniłam jej przyczynę, dla której Basia nie mogła wystąpić dziś w stroju balowym. Zapytałam, czy może ona dołączyć do starszych dzieci jutro.

– Dobrze – nauczycielka pogłaskała Basię po głowie. – Basiu, idź zawołaj siostrę!

Gdy Basia pobiegła rozradowana, kobieta zwróciła się do mnie.

– Chciałabym pomówić z panią w cztery oczy. Czy możemy spotkać się jutro rano na chwilę?

– Oczywiście – zgodziłam się, ale lekki niepokój zagościł w moim sercu. – Czy coś się stało?

– Nie chciałabym przy dziewczynkach – opowiedziała przedszkolanka. – To delikatna kwestia.

– Oczywiście – powtórzyłam. – Jutro przyjdziemy trochę wcześniej.

Z przedszkola pomknęłyśmy do domu moich rodziców. Z daleka dom wydawał się posępny i ciemny. Nie świeciło się światło, zaczęłam nawet podejrzewać, że moja matka nie wróciła jeszcze do

domu. Ale ona stanęła w progu, gdy tylko weszliśmy na schody. Nic dziwnego, że sąsiadka uznała, że wszyscy wyjechali.

– Dlaczego nie zapaliłaś światła? – zapytałam, ale pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Zjecie coś? – wybełkotała.

Domyśliłam się, że spała, gdy przyjechaaliśmy.

– Jest ser, szynka, ogórki.

– Tak – potwierdziłam. – Zrobimy sobie szybką kolację i pojedziemy do domu.

– Dobrze – mruknęła moja matka, objęła się ramionami i zniknęła na piętrze.

Przygotowałam skromną kolację dla dziewczynek i dla siebie. One były zajęte przymierzaniem sukienek, które pasowały na nie idealnie. Również czekoladowa rozgwiazda bardzo przypadła im do gustu.

– Babcia rozwaliła telefon – powiedziała nagle Laura, kiedy przyglądałam im się, siedząc przy stole.

Obie tańczyły na palcach do niesłyszalnej muzyki. Obserwowałam moje córki i zastanawiałam się, dlaczego człowiek nie może pozostać taki beztroski na zawsze.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

Bo jedna baba zadzwoniła i babcia się zdenerwowała – powiedziało dziecko.

Skarciłam ją za brzydkie określenie kobiety i delikatnie wypytywałam dalej.

– Może po prostu aparat się zawiesił. Babcia nie zna się na tym, mogła nie wiedzieć, że trzeba wyjąć baterię.

– Nie! – zaprotestowała Basia. – Babcia rzuciła nim o ścianę. Potłukł się w drobny mak! Na macipenieczkie kawałeczki.

– Maciupęńkie – poprawiłam ją odruchowo.

– Maciupenienieczkie – upierała się Basia i żeby obrazowo przedstawić jakie, zaczęła przebierać w powietrzu palcami. – Nic z niego nie zostało.

– I babcia jeszcze powiedziała, że jeśli ta stara krowa tu przyjdzie, to jej łeb utnie – dodała Laura. – I powiedziała jeszcze, że tych dwoje to się i tak nawzajem pozagryza, bo to hieny i łajzy. Mamo, co to jest

łajza?

– Ktoś, kto brzydko się zachowuje – wyjaśniłam i szybko zmieniłam temat. – Zdejmijcie sukienki, zabierzemy je do domu. Pora jechać.

Wyszłam na korytarz i spojrzałam w czeluść schodów prowadzących na górę. Zamierzałam krzyknąć coś w rodzaju „idziemy już!”, ale się powstrzymałam. Niewytłumaczalne przecucie powstrzymywało mnie przed bardzo bezpośrednim kontaktem z matką, jakby w ciągu ostatnich dni wyrósł między nami niewidzialny mur. Mur, którego lepiej było teraz nie dotykać, nie ruszać.

Dziewczynki spełniły moje polecenie i niecałe pół godziny później wkroczyłyśmy do naszego mieszkania. Upiorny dzień kończył się mocnym, nerwowym akcentem. Czy te wszystkie rozmowy wydarzyły się jednego dnia? Jeszcze krótka wizyta w łazience, potępieńczy jęk dzieci, gdy zgaszę im światło, i wreszcie zawitam do portu, na te kilkanaście godzin wyciszenia, bo od jutra żegluga po oceanie życia rozpocznie się od nowa. Zacznie się dokładnie za dziesięć, pięć, dwie, jedną minutę. Teraz. Przeklęty budzik! Zapomniałam go wyłączyć!

Nerwowe zerkanie na zegarek jest bardziej wyczerpujące niż zarwana noc. Czuwam z otwartym jednym okiem w strachu, że zaśpimy. Powinnam nastawić budzik w telefonie, ale jeszcze bardziej boję się dźwięku alertu. Jest okropny, podrywa mnie na równe nogi, często telefon wypada z ręki, kiedy nerwowo usiłuję przesunąć po nim palcem, żeby wyłączyć alarm. Nienawidzę tego. I teraz leżę i wyczekuję w napięciu, kiedy nadejdzie właściwa godzina, żeby wstać.

– Dziewczyny! Wstawać! Do przedszkola! – wydawałam z siebie gromkie okrzyki, udając wesołość z samego rana.

Ciemność, która prześwitywała przez zaciągnięte rolety zniechęcała do życia, nie tylko do ранego wstawania. Córki wierciły się w pościeli. Pochyliłam się nad Basią, która zacisnęła szczelnie powieki udając, głęboki sen.

– Baśkę zaniosę do przedszkola, bo wciąż śpi – powiedziałam przesadnie głośno.

Laura od razu podchwyciła wątek.

– W piżamie? Na golasa?

– Nie na golasa, tylko w piżamce – przyjęłam bardzo surowy ton. – Nie będę jej budzić. Zawinę w kocyk i potem zostawię w sali.

Podziałało. Basiuńka zerwała się, złapała rajstopki, które leżały na krześle obok jej łóżka i zaczęła je szybko wkładać.

Wycofałam się do kuchni. Nastawiłam mleko, pokroiłam chleb, posmarowałam kromki masłem, wsypałam kakao do mleka, przelałam płyn do kubeczków, pokroiłam jabłko na cztery części. Gdy dziewczynki usiadły przy stole, poszłam się ubrać.

– Mamo, czy od mleka można schamieć? – chciała wiedzieć Laura, gdy dołączyłam do nich przy stole.

– Nie sędzę – odparłam, sięgając po kromkę. – Dlaczego pytasz?

– Bo Wojtuś Baliński był taki grzeczny i potem zrobił się niegrzeczny, a on pije dużo mleka i pani powiedziała, że schamiał. To było od mleka?

– Raczej od czegoś innego – odparłam wymijająco. – Pij kakao, od tego się nie chamieje.

– Mamo, a zakonnica to taki ksiądz samiczka? – dopytywała się Basia. – Tak jak krówka i byczek?

– Nie, to kobieta i mężczyzna, tylko inaczej ubrani – wyjaśniłam cierpliwie.

Córce nie spodobała się ta odpowiedź, bo pokręciła głowę i powiedziała stanowczo:

– To dlaczego mają taką samą skórę?!

– Jak to, taką samą?

– No, czarną!

– Zjadać i jedziemy!

Ułomność rodzica polega chyba na tym, że z wiekiem głupieje i nie jest w stanie myśleć równie trzeźwo, jak jego własne dziecko.

Wieczny pośpiech, wieczna gonitwa za tym, żeby zadowolić innych. Nieustające starania, żeby było dobrze. Co to znaczy dobrze? Zawsze przecież znajdzie się ten, któremu nie będzie dobrze! Ktoś, kto odbierze nadzieję, wypracowywaną codziennymi posunięciami, że wreszcie osiągnę ten stan błogiej sielanki, złudnego szczęścia, że najgorsze mam już za sobą. Że teraz życie będzie toczyć się



spokojniej, bez napięć, bez zgrzytów, wolniej...

Do przedszkola dotarliśmy przed ósmą. Dziewczynki pobiegły do sali uszczęśliwione, że mogą pochwalić się nowymi sukienkami, a do mnie podeszła wychowawczyni. Wskazała pokój pedagoga, dokąd się udałyśmy. Szybko zorientowałam się, że nie będzie to miła pogawędka, kobieta wyraźnie trzymała dystans.

– Proszę pani – zaczęła. – Sąd zwrócił się do nas z prośbą o wydanie opinii na temat dziewczynek. Chciałam z panią o tym porozmawiać.

– Słucham – odparłam, być może trochę zbyt ostro, bo kobieta usztywniła się jeszcze bardziej.

– Laura jest ostatnio niespokojna, a Basia zrobiła się agresywna – zaczęła cedzić słowa przedszkolanka. – Nie sugeruję oczywiście nic złego, ale wolałabym zapytać panią, z czego to wynika, bo sąd oczekuje ode mnie prawdy.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Nie zaobserwowałam żadnych niepokojących sygnałów w domu. Dziewczyny są dość żywe, może to kwestia rozwoju. Dlaczego uważa pani, że Basia jest agresywna?

Kobieta skrzyżowała ręce na piersi. Wyraźnie odczuwała dyskomfort z powodu naszej rozmowy.

– Bije dzieci. Wczoraj nazwała jedną dziewczynkę starą krową, a dziś wypchnęła chłopca z samochodzika na pedały i oświadczyła, że on już jeździł, teraz jej kolej. Kilka dni temu uderzyła w twarz innego chłopca, który zadarł jej spódniczkę!

– Skoro zadarł jej spódniczkę, to trudno się dziwić – mruknęłam. – Porozmawiam z nią.

– Obawiam się, że to nie wystarczy. Obie dziewczynki powtarzają jakieś dziwne komunikaty. To wysoce niepokojące. Używają brzydkich słów. Nie posądzam pani o takie słownictwo, ale my musimy interweniować!

– Jakie to słowa?

Byłam przygotowana na najgorsze.

– Na przykład: żałosna plazma albo łysy knur – powiedziała przyciszonym głosem przedszkolanka, z trudem wypluwając z siebie

te wulgaryzmy. – I jeszcze określenie: przygłupiasty przygłup. Dzieci nie mogą się tak wyrażać!

– Ma pani rację – zgodziłam się. – Przyjrzę się temu, porozmawiam z dziewczynami. Czy coś jeszcze?

– Mogłaby się pani mocniej zaangażować w życie przedszkola. – Wychowawczynie odzyskała już pewność siebie. – Może jakieś wyjścia albo pomoc podczas zajęć. Inni rodzice aktywnie się włączają.

– Postaram się – uciełam. – Mam teraz bardzo dużo pracy, to nie jest takie łatwe.

– To są pani dzieci – podkreśliła przedszkolanka w dziwny sposób. – Praca powinna być na drugim miejscu, nie na pierwszym! Zresztą, czeka panią jeszcze rozmowa z psychologiem.

– Oczywiście, ale one jakoś tak codziennie chcą jeść, a jedzenie kosztuje, niestety...

Naszą konwersację przerwało pojawienie się pani pedagog, która prowadziła małego chłopca za rękę. Wychowawczynie dała mi do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona, i pożegnała się chłodno. Gdy zbliżałam się do drzwi wyjściowych, podbiegła do mnie Basia i wzięła mnie za rękę.

– Coś ci to babsko nagadało? – zapytała córeczka. – Nie przejmuj się tą paniusią, babcia mówi o niej stara krowa!

– Aha, babcia... – mruknełam pod nosem. – Mogłam się domyślić. Wracaj do sali.

Basia po chwili wahania odeszła, oglądając się kilkakrotnie. Pomachałam jej na pożegnanie i wyszłam z placówki.

Moja matka nie należała do osób łatwych. Z ogromnym dystansem podchodziła do otaczającego ją świata, przyjmując do wiadomości tylko to, co osobiście ją interesowało. Posiadała niezwykłą umiejętność wprowadzania rozmówcy w stan niepokoju, kwestionując absolutnie każde wypowiedziane przez niego słowo. Nie znosiła polemiki, sprzeciwu ani słowa „kompromis”. Ktoś lub coś albo jej się podobało, albo tego nie cierpiała. Dla mojej matki nie istniały stany pośrednie.

Zdawałam sobie sprawę, że moje córki, obcując z nią, przenikają do pewnego stopnia specyficznym słownictwem oraz poprzez obserwację

uczają się, że to konflikt jest stanem częściej spotykanym u ludzi niż zgoda. Moja matka zwykle bez skrupowania dzieliła się na głos swoimi spostrzeżeniami na temat osób czy zdarzeń, nie przejmując się tym, że często jedynym odbiorcą są Laura i Basia. Jednakże w obecnej sytuacji niewiele mogłam zmienić. Połączenie wielu spraw naraz wymagało ode mnie godzenia się na trudne kompromisy, a takim właśnie było utrzymywanie częstych kontaktów z rodzicami. Przymykałam więc oczy na to, że dziewczynki czasem naśladowały babcię w zabawie lub opowiadały o nowych incydentach z jej udziałem. Uwaga przedszkolanki zaniepokoiła mnie jednak, postanowiłam przy okazji porozmawiać o tym z matką.

Z przedszkola pojechałam prosto do szpitala, aby odwiedzić ojca. Weszłam do sali, w której oprócz niego znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden miał obandażowaną głowę, leżał na łóżku w piżamie i szlafroku i czytał gazetę. Drugi siedział na krześle pod ścianą, ubrany był tylko w szpitalny fartuch. Trzymał się za brzuch i bardzo głośno jęczał. W drzwiach do sali minęłam salową. Uśmiechnęłam się do niej, ale kobieta przeszła obok mnie, jakbyśmy się nie znały. Podeszłam do łóżka, na którym spoczywał mój ojciec. Właśnie tak, spoczywał, ponieważ leżał nieruchomo, z oczami utkwionymi w suficie.

– Tato? – pochyliłam się nad nim, ale nie odpowiedział. – Tato? Jestem.

– On tak leży i już – poinformował mnie pacjent znad gazety. – Jak go położyli, tak leży. Gęby do nikogo nie otworzy. Tylko leży.

– O matko, o matko! – zawył ten z krzesła. – O Jezusie, o Boże, o matuchno!

– Ojciec jest ciężko chory – powiedziałam na to. – Jutro mu wytną oponiaka z mózgu.

– Oponiaka? – zainteresował się ten od gazety. – Mój szwagier miał oponiaka. Jak mu wycieli, to dostał przerzutów na trzustkę i umarł na raka trzustki.

– O Chryste, o Matko Boska, o Zeusie!

– Zamknij się pan! – ryknął ten w piżamie do tego na krześle. – Zaczyna się litania do wszystkich świętych!

- Kiedy boli, boli, o mateczko, o aniołki kochane!
- Jak ja pana w ryj trzasnę, to dopiero pana zaboli! – nie wytrzymał ten od gazety i zerwał się z łóżka.
- Gazeta rozłożyła się ze świstem na podłodze. Facet w szlafroku dopadł siedzącego i mocno nim potrząsnął.
- Co ma cię boleć, lebiego jedna! Zamknij mordę, bo zaraz twoja matka będzie miała syna bez jedynek!
- Przyglądałam się tej scenie w milczeniu. Może to ja wyzwalam w ludziach tyle agresji?
- Dlaczego pan krzyczy na tego pana? – starałam się być bardzo uprzejma i spokojna. – Skoro jęczy, to może go boli. Skąd pan może wiedzieć!
- Wrastający paznokieć mu usunęli – warknął na to ten w szlafroku. – Tylko żona pojechała do domu i zabrała jego ubranie! Dlatego tu siedzi, mamlak jeden. Niech ja skonam, jeśli ten mięczak znowu zacznie jęczeć, to mu przywalę taboret w ten głupi łeb i wtedy naprawdę będzie miał powód do płaczu!
- Stękający mężczyzna zamilkł. Nie na długo, bo gdy wychodziłam znów pojękiwał, narażając się na gniew pacjenta w szlafroku.
- Jest w marynarce – odezwał się nagle mój ojciec. – Patrzyłaś?
- Tato! Jestem, jak się czujesz? – Dopadłam do łóżka w ułamku sekundy.
- Ojciec nie zmienił pozycji, wciąż patrzył w sufit.
- Masz marynarkę? – powtórzył.
- Usiadłam blisko niego, pochyliłam się, żeby obaj pacjenci, znów zajęci sobą, nie słyszeli, o czym rozmawiamy.
- Mam, ale nie przeglądałam jej jeszcze – powiedziałam ojcu na ucho. – Co w niej jest?
- Schowaj – wymamrotał ojciec. – Ona cię oszuka. Pamiętaj, że ona cię oszuka.
- Tato, mam marynarkę, przejrzę zawartość, ale nie rozumiem o czym mówisz – szeptałam bliska płaczu. – Nie nadwerężaj się.
- Ona cię oszuka – powtórzył ojciec. – Nie wierz jej. Matce.
- Kto? Tato, odpoczywaj. Jutro masz operację.
- Ja umrę – odpowiedział na to ojciec. – Umrę. W marynarce

znajdź i trzymaj. To ważne.

Rozpłakałam się. Pacjent w szlafroku nie wytrzymał i popchnął tego drugiego, który spadł z krzesła i uderzył głową o kant łóżka. Polała się krew. Okazało się, że rozcięcie wymaga szycia.

– Proszę się nie martwić na zapas – uspokajał mnie kwadrans później doktor Studzienny w gabinecie ordynatora. – Pan profesor jest świetnym specjalistą od oponiaków, będzie dobrze. Czekamy jeszcze na wyniki badań.

– Panie doktorze, proszę mi szczerze powiedzieć, jakie są rokowania. – Uspokoiliam się już.

W sali, gdzie leżał ojciec, wszyscy uznali, że doznałam szoku na widok walczących pacjentów. Na szczęście żaden z nich nie usłyszał naszej rozmowy.

– Proszę pani. – Doktor Studzienny oparł się mocniej w fotelu. – Oponiak to niezwykle zdradliwy nowotwór, niestety. W przypadku pani taty guz umiejscowił się w przedniej części czaszki i uciska nerwy wzrokowe, słuchowe, percepcji i zbliża się do części odpowiedzialnej za motorykę. Każdy oponiak posiada główny korzeń, z którego wyrastają takie jakby macki, które oplatają nerwy i niszczą je. Usunięcie guza polega na wycięciu przede wszystkim korzenia, co wiąże się z ogromnym ryzykiem pojawienia się krwotoku. Krwotok w mózgu, sama pani rozumie, to śmierć. Nie można tego wykluczyć. Z drugiej strony pani tata z tak rozległym nowotworem pożyje najwyżej dwa do trzech miesięcy.

– A jeśli operacja się powiedzie? Czego można się spodziewać?

– W najlepszym wypadku powrotu do w miarę normalnego życia. Człowiek jest oczywiście słabszy, nie może pracować jak dawniej, może mieć kłopoty z widzeniem, ze słuchem, z zapamiętywaniem, mogą pojawiać się omamy i halucynacje, może mieć zwiększony poziom agresji, może mieć kłopoty z kontrolowaniem potrzeb fizjologicznych. Nowotwór zawsze czyni jakieś spustoszenie w organizmie. Ale pacjent funkcjonuje w miarę samodzielnie.

– A w najgorszym?

– Śmierć w ciągu kilku miesięcy, paraliż części lub całego ciała, ewentualnie brak kontroli nad sobą, czyli człowiek wymaga

całodobowej opieki.

– Muszę się z tym liczyć?

– Tak. Nie umiem pani odpowiedzieć teraz na pytanie, co będzie po operacji. Nikt nie potrafi. Zobaczymy jutro, proszę być dobrej myśli.

– Tak, dziękuję.

Wyszłam z gabinetu z nadzieją, że los podaruje mi ten najbardziej optymistyczny wariant. Na korytarzu zaczepiła mnie salowa.

– Pani to weźmie – zażądała stanowczo, wpychając mi do ręki plastikową torbę. W środku coś było. – Pani to weźmie, bo ojciec zapomniał zdać i wala mi się po oddziale.

Zajrzałam do torby. Znajdowała się w niej marynarka, którą ojciec miał na sobie, gdy przyjechał do szpitala. Kiwnęłam tylko głową na zgodę i odeszłam. Torbę z zawartością wrzuciłam do bagażnika i pomimo zaleceń ojca zupełnie o niej zapomniałam. Zanim zdążyłam odjechać, zadzwonił telefon. Okazało się, że to doktor Studzienny.

– Obawiam się, że będziemy musieli przełożyć operację. – Sapnął do aparatu. – Wyniki nie są dobre, niestety. Jutro pan profesor podejmie ostateczną decyzję, ale ja słabo to widzę.

– Panie doktorze, to mój ojciec – powiedziałam. – Pan profesor twierdził, że nie wolno zwlekać. Jeśli jutro operacja się nie odbędzie, to kiedy?

– Nie wiem – odparł krótko lekarz. – Na tę chwilę nie możemy operować pani ojca, bo umarłby na stole. Nikt nie weźmie na siebie takiej odpowiedzialności. Chciałem, żeby pani to wiedziała.

– To co nam pozostaje? – wyszeptałam.

– Modlić się – odparł i rozłączył się.

Stałam przy samochodzie w rozpiętym płaszczu, sama nie wiem jak długo. Zdumiewające, ojciec, który był mi bliską osobą, mógł umrzeć w każdej chwili, lekarz nie chciał podjąć się operacji ratującej mu życie, a ja po prostu stałam i nie myślałam o niczym. Przez moją głowę nie przedarła się ani jedna, najmniejsza nawet, iskierka emocji. Uruchomił się tryb zdystansowanego mediatora. Po dłuższej chwili po prostu wsiadłam do samochodu i ruszyłam przed siebie. Musiałam się czymś zająć. Czymś, co pochłonie mnie tak mocno, że nie będę mogła myśleć.



Zrzeszenie Mediatorów, do którego znów należałyśmy ja i Betka, mieściło się w przeciwległej części miasta, niedaleko sądów. Dotarłam na miejsce stosunkowo szybko, lecz znalezienie miejsca do zaparkowania graniczyło z cudem. Jeździłam w kółko w nadziei, że może ktoś odjedzie i uda mi się zatrzymać w miarę blisko. Gdy rozpoczynałam piąte okrążenie, na jezdnię wtargnął nagle mężczyzna z teczką. Zdołałam się zatrzymać tylko dlatego, że jechałam dość wolno. Facet oparł się lekko o maskę, uśmiechnął przeprasząco i pośpiesznie odszedł.

Było w jego uśmiechu coś zniewalającego, odwracającego uwagę tak skutecznie, że zapatrzyłam się w przestrzeń przed sobą.

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk klaksonu, tarasowałam ulicę. Popatrzyłam przed siebie, ruszyłam lekko, w tej samej chwili ktoś podszedł do samochodu zaparkowanego po prawej stronie. Gestem zapytałam, czy odjeżdża. Potwierdził, więc włączyłam kierunkowskaz i poczekałam. Idealne miejsce, bardzo blisko wejścia, facet z teczką najwyraźniej stanowił dla mnie dobry omen.

– Czy pan nie rozumie, że Betka jest tylko czasowo wyłączona z pracy? Nie zrezygnowała – tłumaczyłam z lekką irytacją w głosie prezesowi Gruszce.

Od pamiętnej mediacji z udziałem jego syna upłynęło najwidoczniej wystarczająco dużo czasu, żeby uznał, że dług wobec mnie został spłacony. Teraz domagał się, żeby Betka wypełniała swoje zadania przydzielone jej jako członkowi zarządu zrzeszenia, i nie chciał słyszeć, że to niemożliwe. Siedzieliśmy w jego gabinecie, ja w fotelu, on na kanapie, przy mikroskopijnym stolyczku. Na biurku piętrzył się stos papierów i gazet, na krześle obok biurka leżała pognieciona marynarka.

– Betka jest w szpitalu, ale za jakiś czas z niego wyjdzie i znów będzie pracować. Nie robi tego specjalnie!

– Ja wszystko rozumiem, droga koleżanko, ale zrzeszenie nie może zawiesić swojej działalności nie wiadomo, na jak długo, przecież pani to rozumie. Pani Elżbieta zobowiązała się do czegoś i najwyższa pora, żeby postanowiła, co z tym zrobić.

– Przecież tłumaczę panu, że ona nie wycofuje się z zobowiązań,

tylko czasowo jest niezdolna do jakiegokolwiek pracy.

– Oczywiście, rozumiem, ale co ja mam w tej sytuacji zrobić. Ona obiecała!

– Kiedy obiecywała, nie była jeszcze chora. Nie przewidywała, że zachoruje i zmusi ją to do leżenia w szpitalu.

– My nie możemy czekać!

– To co pan proponuje?

– Ja? Dlaczego ja mam coś proponować? To ona zawiodła i to ja oczekuję propozycji.

Zamilkłam, bo dalsze przekomarzanie się z prezesem było pozbawione sensu. Nawet jeśli chciał skorzystać z okazji, żeby wyrzucić Betkę z zarządu, zamierzał zrobić to jej rękami. W zarządzie pracowało osiem osób, brak jednej przez jakiś czas nie stanowił katastrofy, tym bardziej, że Betka odpowiedzialna była tylko za kontakt z nowymi mediatorami. Organizowała dla nich spotkania integracyjne i szkolenia oraz pomagała przy trudniejszych sprawach. Z mojej wiedzy wynikało, że zrzeszenie od początku roku nie zorganizowało żadnego nowego szkolenia dla kandydatów.

– Dobrze, ja przejmę to na siebie do czasu, aż Betka wróci do pracy – oświadczyłam.

Prezes tylko na to czekał. Od razu się rozpogodził, a szeroki uśmiech przeciął jego twarz.

– Doskonale. Proponuję zająć się w pierwszej kolejności przydziałami na staże.

– Jakie staże? Czy ktoś zgłasza te staże? – zapytałam z niepokojem.

Stażyści stanowili kulę u nogi dla pracującego mediatora. Prawdziwe staże zdarzały się więc rzadko, a symulacje stanowiły rodzaj szkolenia, za który należało zapłacić. Mediatorzy niechętnie takie symulacje prowadzili, a stażyści niechętnie godzili się na kolejne koszty.

– Są chętni? A pójdzie za tym przydział dodatkowych spraw?

– To wszystko zależy już od pani. – Prezes Gruszka potarł ręce. – Może pani sama znaleźć im staże, sprawy też może pani otrzymać. No, bardzo się cieszę, że doszliśmy do porozumienia, koleżanko. Mediatorzy to jednak zgodne środowisko! Proszę spodziewać się

wieści wkrótce!

Doskonały humor prezesa utwierdził mnie w przekonaniu, że zobowiązałam się do czegoś niekorzystnego dla siebie.

Klementyna stała już na posterunku, gdy pojawiłam się w biurze.

– Klienci na panią czekają – usłyszałam zamiast zwyczajnego powitania. – Jak dla mnie, zero szans na powodzenie, niestety.

Nic nie odpowiedziałam, szybko zdjęłam płaszcz i weszłam do pokoju. Przy stole siedzieli pani Ilona i Zbyszek. Przywitałam się z nimi dość oficjalnie i zgodnie z etyką przypomniałam pani Ilonie, że przyjaźnimy się z kominiarzem. Machnęła na to ręką i od razu zaczęła mówić.

Piątkowe spotkanie z Betką zakończyło się, zdaniem pani Ilony, niczym. Oboje ze Zbyszkiem mówili wówczas zgodnie, że chcą się pojednać, oboje też deklarowali chęć współpracy. Pani Ilona stanowczo domagała się, żeby Zbyszek ujawnił przed nią wszystkie swoje tajemnice, on zaś równie stanowczo wypierał się jakichkolwiek sekretów. Ostatecznie stanęło na tym, że mój przyjaciel nie będzie łągał jak świnia, a pani Ilona nie będzie przeszukiwać jego portfela. Zdaniem pani Ilony, musiała złamać obietnicę, bo Zbyszek skłamał.

Najtrudniej prowadzi się mediacje z przyjaciółmi. Zbyszka znałam od lat. Nigdy mnie nie zawiódł, co nie znaczyło, że zawsze i przy każdej okazji mówił prawdę. Znałam dobrze jego słabość do kobiet, ale nie wierzyłam, że chciałby prowadzić podwójne życie, o które stale posądzała go partnerka.

Kobieta miała za sobą dwa nieudane związki. Jeden zakończył się dość szybko, a mężczyzna wkrótce potem zmarł. Druga relacja trwała ponad pięć lat i kosztowała panią Ilonę wrzody na żołądku, nerwicę i dziwny tik nerwowy w prawym oku. Kobieta zajmowała piętrowy dom o sporej powierzchni, w którym od ostatniego rozstania mieszkała sama. Na parterze prowadziła nieduży zakład fryzjerski, który przynosił umiarkowany dochód, dlatego też zdecydowała się wynająć część mieszkania. W charakterze lokatora chętniej widziała mężczyznę, licząc na dodatkową pomoc w różnych domowych pracach. Zbyszek zrobił na niej bardzo dobre wrażenie, dlatego nie zwlekała zbyt długo z podjęciem decyzji.

Zbyszek także się ucieszył. Po opuszczeniu poprzedniego mieszkania błąkał się przez jakiś czas, pomieszkując u różnych znajomych, a jego wspanała kolekcja lamp naftowych dodatkowo utrudniała znalezienie stałego lokum. Pani Ilona nie tylko przyjęła Zbyszka pod swój dach, w zamian za bardzo niewielki czynsz, ale przede wszystkim pozwoliła zagospodarować nieużywaną część piwnicy, w której Zbyszek pięknie wyeksponował swoje zbiory. W niedługim czasie właścicielka domu i nowy lokator zbliżyli się do siebie, małżeństwo wisiało w powietrzu, kiedy nagle coś zaczęło się psuć.

Pani Ilona zaprezentowała bowiem wręcz chorobliwą zazdrość i podejrzliwość posuniętą do granic możliwości. Zbyszek skarżył się, że wylicza go z każdej minuty spędzonej poza domem, a gdy są sami, przepytuje z kim rozmawiał, dlaczego i o czym. Biedny kominiarz, coraz częściej przebąkiwał, że przyszła pora znaleźć sobie nowy dom. Mediacja miała być ostatnią szansą. Podjęłam się tego zadania, choć zdawałam sobie sprawę, że czasem oznacza to koniec przyjaźni. W roli mediatora muszę bowiem zachować całkowitą i bezwzględną neutralność, a swojego przyjaciela postawić w roli strony. Zdarzało się, że wieloletnie znajomości nie przechodziły tej próby.

Ostatnio i ja męczyłam się z nieustannie skarżącą się przez telefon panią Iloną, która nie stosowała żadnych ograniczeń, dzwoniła o każdej porze dnia i nocy. Ze względu na Zbyszka, nie protestowałam. A może po prostu brakowało mi już sił, by zdobyć się na tak wysoką asertywność?

– Wydaje mi się, że w tej sprawie porozumienie powinno zmierzać do ustalenia złotego środka – zaczęłam, gdy pani Ilona skończyła.

Zbyszek tylko wzruszył ramionami.

– Pani powinna zrozumieć, że relacja dwojga ludzi opiera się przede wszystkim na zaufaniu, a nie na kontrolowaniu. Jeśli skupia się pani wyłącznie na tym, żeby Zbyszka przyłapać na zdradzie, to jest to udręka, a nie związek. Z kolei Zbyszek mógłby mówić więcej, żeby zaspokoić pani ciekawość.

– Ja przecież nie robię tego z czystej złośliwości – upierała się pani Ilona. – Czy Zbyszek nie może tego zrozumieć?

– Proszę zwracać się do niego, nie do mnie – zwróciłam jej uwagę.

– To wy powinniście ustalać zasady komunikacji i współżycia.

– Zbyszek nie powinien mieć przede mną tajemnic – oświadczyła pani Ilona. – Jeśli przekonam się, że mogę mu ufać, to przestanę go sprawdzać.

– To nie może tak być. – Pokręciłam głową.

Zbyszek wciąż trwał w milczeniu.

– Dlaczego przyjmuje pani na siebie rolę osoby dominującej, takiej, która wyznacza zasady i stanowi wyrocznie, czy są one przestrzegane? W związku oboje macie równe prawa.

– Ja jestem w porządku – podniosła głos pani Ilona. – To on oszukuje, więc on musi się zmienić, nie ja!

– Oboje musicie się zmienić – poprawiłam ją. – Pani powinna wykazać więcej zaufania, a Zbyszek...

– Zbyszek musi mnie przekonać, że warto mu ufać – przerwała mi pani Ilona. – Jeśli obieca teraz i tutaj, że nie będzie mnie zdradzał, to będzie dobrze.

– Obiecuję, że nie będę cię zdradzał – odezwał się wreszcie Zbyszek. – Zadowolona?

– Tu nie chodzi o moje zadowolenie, zrozum to – oburzyła się pani Ilona. – Robię to dla twojego dobra. Jeśli przestaniesz kłamać, będzie między nami wspaniale.

– Dobrze – mruknął Zbyszek. – Przestaniesz mnie śledzić?

– To mów mi, dokąd idziesz – odpowiedziała pani Ilona.

– Dobrze – zgodził się kominiarz. – Przestaniesz robić mi naloty w pracy?

– Odrobina kontroli musi być, bo ... – zaczęła pani Ilona, ale przerwałam jej gestem.

– Pani Ilono, żeby się powiodło, każdy musi z czegoś ustąpić – powiedziałam stanowczym tonem.

Kobieta założyła ręce na piersi i ściągnęła usta.

– Tak – powiedziała po chwili zastanowienia. – Dam ci jeszcze jedną szansę, ale mnie nie zawieź!

Zbyszek wstał, dając mi nieznacznie do zrozumienia, że chciałby już zakończyć to spotkanie. Spojrzałam na panią Ilonę. Pozostały

ściągnięte usta i zmarszczone brwi. Nie powiedziała już nic i także się podniosła. Gdy wyszliśmy do sekretariatu, Zbyszek podszedł do mnie i powiedział:

– Powinnaś porozmawiać z matką. Dziwnie się zachowuje. W czwartek interweniowała u niej policja. Betka nie chciała cię denerwować podczas urlopu, ale z nią naprawdę coś się dzieje.

– Dobrze, dziękuję ci, Zbyszku – powiedziałam ciepło i poklepałam go po ramieniu. Zauważyłam kątem oka, że pani Ilonie to się nie spodobało. Wyszła bez pożegnania.

– Czy pani mecenas będzie piła kawę, bo zrobiłam – oznajmiła donośnym głosem Klementyna.

Odpowiedziałam jej przeczącym ruchem głowy. Chwilę potem pojawili się klienci Betki.

– My jesteśmy zgodną parą i potrzebujemy tego dokumentu, żeby uzyskać zasiłek – oświadczył młody, wysoki mężczyzna w okularach.

Towarzyszyła mu równie młoda kobieta, która trzymała na ręku niemowlę. Posadziłam klientów i poprosiłam, by w skrócie opisali, z czym przyszli.

– Nie jesteśmy małżeństwem – zaczął mówić mężczyzna. – To nasza córka, Krysia. Ja jestem lekarzem i pracuję jako rezydent w szpitalu, a moja żona, to jest, chciałem powiedzieć konkubina, nie pracuje teraz, ale z wykształcenia jest pielęgniarką. Pobraliśmy się dwa lata temu, ale wczoraj uprawomocnił się wyrok rozwodowy. Chcemy zawrzeć ugode w sprawie wychowania dziecka. Czy można zrobić to od ręki?

Przyglądałam się przybyłym. Ona troskliwie zajmowała się dzieckiem, on patrzył na obie czule. Stanowili zgodną, udaną parę. Jaki rozwód? Jaka ugoda?

– Przepraszam, ale nie rozumiem – zaczęłam ostrożnie. – Przyszli państwo do mediatora. Jak widzę, nie jesteście skonfliktowani, chociaż pan wspomniał o rozwodzie. Czy sąd nie orzekł sposobu sprawowania opieki nad dzieckiem?

– Rozwiedliśmy się na jednej rozprawie, za porozumieniem stron, bez orzekania o winie i z pozostawieniem władzy rodzicielskiej obojgu rodzicom – wydeklamował jednym tchem młody lekarz. –



Potrzebujemy jeszcze ugody. Ja mam przy sobie wstępnie ustalony tekst i jeśli można też na jednym spotkaniu...

Podsunał mi nieśmiało kartkę. Widniało na niej, że rodzice postanowili, iż wyłączną opiekę nad dzieckiem sprawuje matka, a ojciec zobowiązuje się do regularnego płacenia alimentów.

– Czy możecie mi państwo wyjaśnić, po co to wszystko? – zapytałam ponownie, trochę ostrzejszym tonem. – To jakaś mistyfikacja!

– Pani mecenas to od razu takimi trudnymi wyrazami straszy! – wtrąciła się nagle Klementyna, która po prostu wtargnęła do pokoju. – Zaparzyłam kardamon, na poprawę nastroju, bo od rana pani taka nie w sosie!

Sekretarka postawiła na stoliku filiżanki wypełnione napojem, który pięknie pachniał.

– Mediacja nie może służyć obejściu prawa ani jakimś innym celom niż te, do których została powołana – odparłam.

Mimo wszystko wtrącanie się sekretarki do spraw moich klientów to rzecz niezupełnie zwyczajna ani oczywista.

– Niech się pani napije wywaru, to humor się pani poprawi – pouczyła mnie Klementyna. – Klienci są grzeczni, zgodni, to w czym problem? Woli pani tych krzykaczy?

Uznałam, że nie należy wdawać się w niepotrzebne dyskusje z Klementyną i spojrzałam wyczekująco na młodych rodziców. Teraz tata zajmował się córeczką, a mama utkwiała we mnie wzrok pełen nadziei i rozpacz.

– Proszę pani – zaczęła łamiącym się głosem. – My się kochamy, kochamy naszą córkę i nikogo nie chcemy oszukiwać. Przeciwnie, to nas się oszukuje. Pobraliśmy się, kiedy mąż rozpoczął staż w szpitalu. Otrzymał wtedy pensję w takiej wysokości, że wystarczyło na wynajęcie kawalerki. Nic się do tej pory nie zmieniło. Oboje pochodzimy ze wsi. Ja przerwałam pracę, bo mała wymaga karmienia piersią. Nie jesteśmy w stanie utrzymać się z tej jednej, głodowej pensji. Jako małżeństwu nie przysługują nam żadne zasiłki, bo pensja męża jest zbyt wysoka w stosunku do wymaganych progów. Dlatego postanowiliśmy się rozwieść. Złożyłam w urzędzie gminy informacje,

że jestem matką samotnie wychowującą dziecko. Ale potrzebne jest jeszcze orzeczenie sądu w sprawie ustalenia wysokości alimentów i kwestii opieki. W wyroku rozwodowym sąd pozostawił władzę rodzicielską nam obojgu, a o opiece nie wspomniał. A alimenty są bardzo niskie, bo mąż mało zarabia. Doradzono nam, żeby zawrzeć ugodę, w której mąż zobowiąże się do płacenia wyższej kwoty, a opiekę przejmę ja. Wówczas otrzymam od państwa zasiłek i pieniądze z funduszu alimentacyjnego.

– Żeby dostać pieniądze z funduszu, pan musi być niewypłacalny, a przecież pan pracuje – zdziwiłam się.

Kobieta od razu zaprzeczyła.

– To prawda, ale gdy komornik sprawdzi, ile on zarabia, to wystawi zaświadczenie, że nie może ściągnąć całej należności. Poza tym mamy szansę otrzymać zasiłek i inne dodatki. Łącznie, uzbiera się druga jego pensja. Wystarczy, że przetrwamy tak rok, może dwa. Potem dziecko podrośnie, ja wrócę do pracy i pewnie będzie lepiej.

Argumentacja klientki brzmiała rozsądnie. Odzywało się we mnie jeszcze sumienie, które nakazuje zawsze działać zgodnie z zasadami, w tym wypadku zgodnie z prawem. Lecz co to za prawo, które zmusza uczciwych ludzi do szukania takich pokrętnych rozwiązań, żeby przeżyć!

– Dobrze – westchnęłam. – Umówmy się, że ja nie znam szczegółów tej sprawy. Zawieracie państwo ugodę, jako pogodzeni ze sobą rodzice, ja nie muszę więcej wiedzieć.

– Może zaparzyć coś na amnestię? – wtrąciła się znów Klementyna.

Zgromiłam ją wzrokiem. Wyszła tryumfująca, a ja szybko usiadłam do komputera i wystukałam właściwą treść. Klienci podpisali dokument i sobie poszli. Dochodziła trzynasta. Zanim zdążyłam o czymkolwiek pomyśleć, odezwała się Klementyna:

– Pani mecenas, ci z trzeciej się spóźnią! – wykrzyczała. – Jak ma pani coś do załatwienia, to śmiało! Ja posiedzę, chociaż niechętnie.

Przemknęło mi przez głowę, że musiała nauczyć się na pamięć listy od Betki, ale nie rozważałam tego dłużej, poczułam nagły impuls do działania. Postanowiłam odwiedzić jeszcze Betkę, żeby później nie śpieszyć się po dziewczynki do przedszkola. W dalszym ciągu

staralam się nie myśleć o ojcu.

Na schodach minęłam mężczyznę, którego usiłowałam wcześniej przejechać samochodem. Ukłonił mi się dyskretnie. Pomyślałam, że skoro widuję go na schodach budynku, w którym mieści się moje biuro, to może on też tam pracuje. Od jutra będę spokojniej wychodzić na klatkę schodową, muszę mu się przyjrzeć, bo nie warto zaprzętać sobie pamięci jakimś nieciekawym osobnikiem.

– Jak sobie radzisz? – stęknęła prawie pół godziny później Betka, przekręcając się z prawego boku na lewy. – Jak sprawy?

– Dam radę. – Uśmiechnęłam się kwaśno. – Pani Klementyna dzielnie mi pomaga.

Betka ponownie zmieniła pozycję. Przytrzymałam jej poduszkę za plecami, kiedy wykonywała swoje gimnastyczne figury w łóżku.

– No to pięknie – stęknęła. – Ja jestem do niczego, jak widzisz.

– Co ci dolega, tak konkretnie? Rozpoznali te bakterie? – zagadnęłam ją.

Staralam się, żeby mój głos brzmiał naturalnie wesoło. Betka skrzywiła się szpetnie i znów zmieniła pozycję.

– Czy ty masz robaki? – zapytałam z irytacją. – Nie możesz usiedzieć w miejscu. Lekarz, zdaje się, kazał ci leżeć spokojnie!

– No właśnie! – wtrąciła się nagle pacjentka z łóżka stojącego pod oknem. – Ta pani bez przerwy się tak kotłuje, a w nocy szeleści papierami!

– Bo mnie coś kłuje w tyłek! – pożałowała się Betka. – Okropnie niewygodne to łóżko.

– Ja jestem tu siedemnasty raz – kontynuowała pacjentka spod okna, wyraźnie zachęcona tym, że po jej słowach spojrzałam na Betkę surowo. – Może tym razem donoszę. Zawsze ronię w trzynastym tygodniu, zawsze!

– A który to tydzień teraz? – palnęłam i chwilę potem ugryzłam się w język.

Jednakże pacjentka spod okna najwidoczniej była już przygotowana na to pytanie, bo z dumą oświadczyła:

– Ósmy. Lekarz twierdzi, że tym razem donoszę!

– Na pewno! – Uśmiechnęłam się do niej i chwilę potem usiadłam

bliżej Betki, która leżała na prawym boku, lekko wypięta. – Niezłe towarzystwo tu masz! No! Co ci jest?

– Daj spokój, zwariować można! – syknęła Betka i zaraz dodała przyciszonym głosem: – Sami nie wiedzą. Zrobili mi nowe badania, z których wynika, że nie mam nawet pół bakterii, więc kazali mi się położyć, żeby zobaczyć, ki diabeł we mnie siedzi. Ta spod okna to wszystkim mówi o swoich poronieniach, chyba nic innego nie przeżyła. Ta, co leży z drugiej strony, chrapie jak parowóz. Odchrapała już pół tynku na suficie. Tamta naprzeciwko ciągle płacze, ale nikt nie wie dlaczego, a do tej obok to przychodzi taki łysy facet, chyba mąż, i stale się dopytuje, na co ona ma ochotę. Mówię ci, prawdziwy koncert życzeń. Gość biega z obłędem w oczach, bo ta gangrena wciąż mu coś nowego wymyśla. Wczoraj biegał po całym mieście i szukał kawioru z jesiotra, a dziś z samego rana wysłała go po poziomki. Jeszcze nie wrócił.

Popatrzyłam z zaciekawieniem na sąsiadkę Betki. Była to kobieta w średnim wieku, bardzo pulchna, z dołeczkami w policzkach. Leżała oparta na dwóch przepięknych, haftowanych poduchach i czytała kolorowe pismo. Jej szafka przypominała mi obrazek z bajki *Stoliczku, nakryj się*, gdy wypowiedano słynne życzenie. Czego tam nie było! Pączki, rogaliki francuskie, wafelki, czekolada, ptasie mleczko, winogrona, pomarańcze, jabłka, gruszki, truskawki, kompot w słoiku, butelka z wodą, kanapki z szynką i wielki pomidor.

– A ty masz jakieś zachcianki? – zwróciłam się do Betki.

Koleżanka stęknęła po raz setny.

– Możesz mnie podrapać w tyłek? Takie mam zachcianki!

– Odczep się! – Wzruszyłam ramionami. – Niech cię jakiś chłop drapie, gdzie tam chcesz. Co mówi lekarz? Badali cię już?

– Wszystkim to samo – skrzywiła się Betka. – Sama mogę być takim lekarzem. Przychodzi, popatrzy, jak na powietrze, pyta, jak się miewam, ja mu na to, że dobrze, to mówi, że dobrze i idzie do następnej. I tak samo pyta, tak samo odpowiada. Jak robot. Nudzę się tu jak mops.

– Jutro przyniosę ci coś do poczytania. – Poprawiłam jej poduszkę, którą znowu wciągnęła pod odwłok, wierząc się niemożliwie. –

A może chcesz taką podkładkę pod pupę, skoro tak ci niewygodnie.

– A możesz przynieść mi kilka rzeczy z domu? – Betka sięgnęła po kartkę, która leżała na stoliku. – Taka podkładka może być. Ty, a jak z ojcem? – rzuciła nagle. – Lepiej?

– Trudno powiedzieć. – Westchnęłam. – Przed moim wyjazdem był markotny, bywał nieprzyjemny, ale teraz jest kimś zupełnie innym. Zrobił się agresywny, nikogo nie poznaje. Dziś dowiedziałam się, że przekładają operację, bo ma złe wyniki badań. Okropnie się martwię. – Przygryzłam dolną wargę.

Nagle pojawienie się pielęgniarki, która wtargnęła do sali pacjentek niczym tornado, zręcznie zamaskowało moje zmieszanie.

– Dlaczego pani siedzi, a nie leży, a pani leży, a nie chodzi! – zaczęła gniewnie siostrzyczka. – Doktor wyraźnie powiedział, co która ma robić. Później będą pretensje, że ciąża nie tak przebiega, jak powinna!

– Ja leżę! – pochwaliła się pacjentka spod okna. – Może tym razem donoszę, jak siostra uważa?

– Ja tu nie jestem od uważania! – odburknęła pielęgniarka. – Jak ma się urodzić, to się urodzi.

– Ona jest straszna – wyszeptala mi do ucha Betka. – Jakaś przechowana esesmanka. Ta druga, co będzie dziś wieczorem, to chodzący anioł.

– No to macie równowagę – zażartowałam.

Pielęgniarka zakotłowała się jeszcze przy łóżku drugiej pacjentki pod oknem, której spod koca wypadły papierosy, po czym znikła równie szybko, jak się pojawiła. Nie chciałam kontynuować tematu stanu ojca. Przyjaciółka przyglądała mi się z troską.

– Idę, bo jeszcze mam dziś klientów, pamiętasz? – Uśmiechnęłam się bardzo sztucznie.

Betka odpowiedziała też uśmiechem. Pożegnałam się z pozostałymi paniami i wycofałam z sali. W wejściu do szpitala zauważyłam niewysokiego, bardzo chudego, łysego mężczyznę, który niósł na talerzu poziomki.

Klienci „z trzeciej” przyjechali punktualnie, prawie zderzyłam się z nimi w drzwiach. Spojrzałam z wyrzutem na Klementynę, która

tylko wzruszyła ramionami. Była to para małżonków.

Kiedy poprosiłam oboje do pokoju, kobieta stanowczo odmówiła.

– Bardzo panią proszę – powiedziała stanowczo. – Przyszłam, ale szczerze będę rozmawiać tylko na osobności.

Zawahałam się. To było nasze pierwsze spotkanie. Nie wiedziałam jeszcze, jaka to sprawa, jacy ludzie. Gdyby w biurze była Betka, mogłaby porozmawiać z mężem w czasie, kiedy ja słuchałabym wynurzeń jego żony. W tej sytuacji, któreś z nich musiało czekać.

– Ja poczekam – odezwał się nagle mężczyzna. – Nigdzie się nie śpieszę.

Poprosiłam więc klientkę do pokoju i zamknęłam za nią drzwi. Nie chciała żadnego poczęstunku, więc szybko przystąpiłyśmy do rzeczy.

– Proszę nie mówić mi o wszystkich tych zasadach, bo znam to na pamięć – zaczęła. – Byliśmy już na mediacji trzy razy. Nie rozumiem, po co sąd nas tak dręczy. Chcę się rozwieść i nic tego nie zmieni. Mój mąż jest uparty, ciągle robi mi na złość. Proszę go przekonać i wszyscy będziemy mieli to wreszcie z głowy.

Przypomniał mi się fragment szkolenia pana Nieznalskiego, eksperta w dziedzinie mediacji z ramienia zrzeszenia. Obie z Betką musiałyśmy skorzystać z przymusowego kursu, który prowadził. Przekonywał, że skoro dorośli ludzie chcą się rozwieść i wydają się pewni i świadomi swojej decyzji, to nie należy im tego utrudniać. Tylko nie powiedział, jak rozpoznać, że ktoś jest pewny i świadomy tego, co robi. Większość moich klientów wyrażała pewne zawahanie. Ta klientka mówiła stanowczym tonem. Czy to mogło oznaczać, że naprawdę wiedziała, czego chce?

– Dobrze – powiedziałam spokojnie. – Nie będę wywierać na pani presji, skoro wszystko ma pani przemyślane. Proszę jednak zrozumieć, że chciałabym zachować się profesjonalnie, dlatego będę wdzięczna, jeśli opowie mi pani, co ją do tego skłoniło. Tak w kilku zdaniach.

Klientka pokiwała z aprobatą głową, zapatrzyła się w okno i rozpoczęła swoją opowieść. Trwało to dość krótko, suche fakty, kolejne zdarzenia w ich wspólnym życiu. Monolog, który zupełnie nic nie wnosił do sprawy.

Niespełna godzinę później poprosiłam o to samo jej męża. Kobieta



tymczasem wyszła. Mężczyzna był bardzo zdenerwowany, usiłował ukryć to przede mną za wszelką cenę. Głos mu się jednak łamał, język plątał, słowa myliły. Przerwałam mu w połowie i bardzo spokojnym głosem powiedziałam:

– Panie Norbercie, nie jestem od tego, żeby dawać panu jakieś rady czy coś sugerować, ale jeśli pan pozwoli, to zrobię to. Proszę cofnąć się w czasie. Do momentu, kiedy pierwszy raz zobaczył pan swoją żonę. Czy pamięta pan, co pana najbardziej w niej zachwyciło?

– Magdalena była najpiękniejszą dziewczyną na zabawie w remizie. To była ostatnia potańcówka, bo kończyło się lato, a ona przyjechała z rodzicami na wieś – rozmarzył się klient po chwili zastanowienia. – Nie spotkałem jej wcześniej, dopiero w tej remizie. Piękna dziewczyna, z długimi do pasa włosami jak pszenica, niebieskimi oczami jak niebo i wspaniałymi ustami jak czereśnie. Wszyscy chcieli z nią tańczyć, więc szybko wywiązała się kłótnia i doszło do rękoczynów. Sztachety z płotu fruwały w powietrzu, krew się lała, a ona stała pod ścianą i patrzyła, jak inni się bawią. Może nawet nie wiedziała, że to o nią ta cała awantura. Podszedłem do niej i zapytałem, czy chciałyby się przejść. Zgodziła się. Poszliśmy przez wieś. Poprosiła, żebym odprowadził ją do domu, w którym ona i jej rodzice się zatrzymali. Księżyc był w nowiu i pomyliłem chałupy. Weszliśmy do domu sąsiadów, którzy wzięli nas za włamywaczy. Sąsiad był już dwukrotnie napadnięty i spał z siekierą pod poduszką. Cud, że nam łbów nie obciął! Ale Magdę to rozbawiło. Dała mi swój adres, pojechałem ją odwiedzić, a w następnym roku zacząłem studia w tym mieście i zamieszkałem na stacji niedaleko jej domu. Zawsze chciałem być weterynarzem, ale wydział weterynarii mieścił się za daleko od Magdy. Więc zacząłem studiować architekturę. Magda zdała maturę rok później i dostała się na chemię, jej wydział znajdował się w tym samym budynku. Wszyscy nam zazdrościli. Nazywali nas Tristan i Izolda. Zakochałem się po uszy, to była moja pierwsza dziewczyna, a ja byłem jej pierwszym chłopakiem. Ustaliliśmy, że pobierzemy się po studiach, ale Magda zaszła w ciążę na drugim roku i nigdy już nie zrobiła dyplomu. Jej rodzice zawsze mieli o to do mnie pretensje. Urodził się Stefanek, a rok później

Marysia. Pracowałem i studiowałem, Magda zajmowała się dziećmi. Gdy robiłem dyplom, koleżanka Magdy, Aneta, namówiła nas na wspólny biznes. Chodziło o sprowadzanie z Chin sztucznych kwiatów z jedwabiu. Ta Aneta znalazła bardzo dobry kontakt, my mieliśmy zająć się sprzedażą w Polsce. Udało się. Interes kwitł. Założyliśmy spółkę, która bardzo dobrze prosperuje do dziś. Ja zostałem prezesem, Aneta – wiceprezesem, a Magda – dyrektorem. Zajmuje się księgowością, administracją, organizacją biura. Dzięki temu może wcześniej wracać do domu i opiekować się dziećmi. Wydawało mi się, że jest szczęśliwa. Ja harowałem od świtu do nocy, jeździłem do Chin i Szwajcarii, gdzie też otworzyliśmy biuro. Teraz dowodzi nim Aneta, przeprowadziła się tam. Interes w Polsce jest wyłącznie nasz, ale wymaga dużo pracy, ciągłego doglądania, nieustannych kontaktów z klientami, dostawcami. Miesiąc temu Magda oświadczyła, że odchodzi. Myślałem, że ma na myśli firmę, ale ona chce rozvodu ze mną, nie z interesem. Twierdzi, że ją przytłaczam, hamuję rozwój, że dusi się przy mnie. Nie rozumiem tego. Mamy pieniądze, dzieci są już starsze, za rok syn pójdzie do przedszkola. Magda nie jest uwięziona w domu, kiedy pracuje, korzystamy z pomocy niani. Nie wiem, co jej się stało. Firma prosperuje dobrze, nic nie rozumiem, nie chcę rozvodu! Kocham ją, jest kobietą mojego życia, niech pani coś zrobi! Niech ją pani przekona!

– Dlaczego uważa pan, że miałyby mi się to udać? – zapytałam bez ogródek. – Ja nie dysponuję żadnym sensownym argumentem, poza tym, że małżeństwo to wartość, że szkoda tracić dorobek wspólnych lat, niszczyć spokój dzieci. Czy pana zdaniem pani Magda zmieni zdanie, gdy jej to powiem? Czy dla niej to jest ważne?

– Nie, ja jej już to powtarzam od dawna. – Pan Norbert posmutniał. – Ona twierdzi, że to wytarte frazesy. Gdy wspomniałem o dzieciach, to tylko mnie wyśmiała. Podobno w przedszkolu co drugie dziecko pochodzi z rozbitej rodziny. A gdy zarzuciłem jej, że myśli wyłącznie o sobie, to zapytała bezczelnie, dlaczego nie miałyby tego robić, skoro przez ostatnie pięć lat troszczyła się wyłącznie o mnie i rodzinę.

– Nie ma racji?

Z każdym kolejnym zdaniem przekonywałam się, że nie dowiem się

od niego niczego ponad to, co już powiedziała mi pani Magda. Fakty z historii ich związku zgadzały się, argumentacja przywoływana podczas zakomunikowania decyzji o rozstaniu była ta sama. Gdybym przytoczyła mu słowo w słowo wszystko, co powiedziała mi jego żona, nie dowiedziałby się niczego nowego. Jak doprowadzić ich do porozumienia, skoro to samo pojmowali w różny sposób? Czy to w ogóle jest możliwe? Jaka ma być moja rola? Od dawna już nie pozwalałam, by klienci traktowali mnie jak ekspresowego terapeuty, który posiada plik gotowych uniwersalnych porad, dobrych na wszystko.

– Może i ma, ale przecież jest matką, wychowuje nasze dzieci, pracuje w firmie, czego jeszcze jej brakuje?

Pan Norbert naprawdę nie rozumiał, co dzieje się z jego żoną. Wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– A może wprowadzicie państwo jakieś zmiany w swoim życiu, tak na próbę, na jakiś czas, ale zmiany zaproponuje pańska żona, a pan się dostosuje, zgoda?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się szeroko. – Choć jestem pewien, że Magda nie zgodzi się na taki pomysł.

– Zobaczymy. – Ja też się uśmiechnęłam. – Zobaczymy. Ustalę szczegóły z pana żoną i dam znać.

Mężczyzna kiwnął potakująco głową. Pożegnałam się z nim i wróciłam do swojego pokoju. Klementyna znów podsłuchiwała, bo – stawiając przede mną kubek z jakimś czerwonym naparem – zapytała z miejsca:

– Chce ich pani wsadzić na minę? Żeby było szybciej?

– Może, sama nie wiem – odparłam. – Ot, po prostu, przyszło mi to do głowy w trakcie rozmowy. Zadzwoń później do pani Magdy i zapytam, co ona na to i jak to widzi.

– Nie zgodzi się, a nawet jeśli, to niechętnie – orzekła Klementyna. – Ja znam się na kobietach, ona jest dumna i nie weźmie udziału w żadnych gierkach. I będzie miała rację! Kto to widział, żeby w dwudziestym pierwszym wieku kobiety wciąż musiały podporządkowywać się dawnym stereotypom! Rodzić i wychowywać dzieci, podczas gdy małżonek realizuje się zawodowo. Kobieta to też

człowiek, pani mecenas!

– Nie da się zaprzeczyć. – Pokiwałam głową. – Ale jakoś nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, jak zrównoważyć role kobiety i mężczyzny w rodzeniu. A to przecież jawna dyskryminacja, nie uważa pani?

– Niech pani ze mnie nie kpi! – obraziła się Klementyna. – Emancypacja przeobraziła się w wypaczony feminizm polegający na tym, że pozwolono kobietom publicznie przeklinać! W najważniejszych sprawach nie osiągnęliśmy więcej niż nasze prababki, a nawet uważam, że nastąpił regres. Podziwiam panią, że z takim spokojem wysłuchuje lamentów tych podłych szowinistów! Kobiety powinny się zachęcać, by upominały się o swoje! Walczyły o prawdziwe równouprawnienie, a nie pozory!

– Nie wszyscy mężczyźni są tacy źli – powiedziałam trochę bez przekonania, bo przed oczami stanęli mi wszyscy mężczyźni, z którymi miałam ostatnio do czynienia. – Wierzę, że istnieją tacy, którzy potrafią dostrzec w kobiecie partnera.

– Partnera do łóżka, to jasne! – docięła mi Klementyna. – Ale gdy kobieta wyciągnie rękę po jego stanowisko, portfel, stopień naukowy czy bodaj wędkę, to już jest wściekłą feministką bez jajników!

– Wychodzę – oznajmiłam, żeby zakończyć tę dyskusję.

Dochodziła szesnasta.

– Będę jutro. Pani też może już iść, na dziś nam wystarczy. Jutro mam kogoś o jedenastej chyba.

– Tak, sprawa darowizny – potwierdziła pani Klementyna. – Oszustwo, jak nic.

– No właśnie.

Wróciłam do pokoju po torbę.

– Uwielbiam takie sprawy.

– Naparzę pani jutro meliski – powiedziała na pożegnanie pani Klementyna.

Zbiegałam ze schodów. Na parterze wpadłam na kogoś z impetem.

– Przepraszam, nie zauważyłam pana! – krzyknęłam w stronę zaskoczonego mężczyzny, który upuścił teczkę.

Szybko ją podniósł, uśmiechnął się porozumiewawczo i odszedł.

W przedszkolu zastałam tylko moje dzieci i przedszkolankę.

– Proszę pani, mnie nikt nie płaci za te nadgodziny – denerwowała się nauczycielka. – Chyba może pani sobie tak zorganizować pracę, żeby odbierać dziewczynki na czas!

– Staram się – odburknęłam, popychając Laurę i Basię do szatni. – Moi klienci zjawiają się czasem po południu, są korki. Postaram się nie spóźnić. Ale jest przecież dopiero kwadrans po czwartej!

– Dzieci powinny być ważniejsze od klientów – strofowała mnie dalej kobieta, której nikt nie płacił za dłuższe przebywanie w pracy. – Jak pani widzi, wszyscy już poszli. Niektórzy przed szesnastą. Ja także chciałabym mieć trochę prywatnego życia!

Laura guzdrała się z butami, a mnie rosła gęła w gardle. Pomogłam córce ubrać się do końca i wyprostowana popatrzyłam na przedszkolankę, która cały czas nam asystowała.

– Rozumiem, że to dla pani dyskomfort, czekać tylko z dwójką dzieci. Aczkolwiek, z tego, co wiem, przedszkole powinno pracować do siedemnastej. Proszę mi wierzyć, że staram się tak organizować czas pracy, żeby ze wszystkim zdążyć, ale czasem mi się to nie udaje. Nie ze złej woli. Mam sporo obowiązków i bywa, że mnie one przerastają. Dołożę wszelkich starań, żeby odbierać dziewczynki najpóźniej o szesnastej.

– Przecież może pani zaangażować dziadka, babcię, ciocię, nianię, kogokolwiek! Inni ludzie umieją sobie z tym radzić! – nie ustępowała nauczycielka.

Miałam ochotę uderzyć ją w twarz, zepchnąć ze schodów, oblać czymś żrącym, wyrwać jej wszystkie włosy z głowy! W myślach widziałam ją rozjechaną na miazgę na torach kolejowych, rozszarpaną przez wrony, zmiażdżoną przez walec drogowy.

– Oczywiście, pomyślę o tym.

Uśmiechnęłam się sztucznie i ruszyłam do wyjścia, popychając latorośle przed sobą. Wstrętna baba coś tam jeszcze burczała na odchodne.

– Na jutro potrzebuję fioletowej krepiny – oznajmiła Laura, gdy parkowałam pod blokiem.

Deszcz znów zaciął, wiało, zrobiło się ciemno. Sklep papierniczy

był czynny do osiemnastej, został kwadrans. Pociągnęłam dziewczyny za sobą, poszłyśmy kupić krepinę.

– Ja muszę przynieść czerwoną i zieloną – stwierdziła Basia, gdy oddaliśmy się od sklepu na kilkaset metrów, chroniąc ostatnią rolkę fioletowej krepiny przed deszczem.

Zazgrzytałam zębami, ale bez słowa zawróciłam do papierniczego. Cierpliwy sprzedawca przetrzymał nasze dywagacje, czy kupić jeszcze na zapas papier kolorowy, kredki, farby, pędzle, klej i kolorową bibułę. Zmierzałam do domu objuczona zakupami wrażliwymi na wilgoć i starając się ich nie zamoczyć, wysłuchiwałam wieści z przedszkola.

– Wiesz, ten Karolek, wiesz który, ten, który nosił okulary, ale teraz nie nosi, to przeszedł mi dziś pod kolankiem!

– Monisia z młodszej grupy zasikała cały leżak i pani powiedziała, że następnym razem wystawi ją na dwór, to przynajmniej deszcz upierze!

– A w mojej zupie był włos! Taki siwy, tłusty i ruszał się!

– A pani powiedziała, że miałam najładniejszą sukienkę na balu!

– Będę mogła ponosić sukienkę w domu?

W mieszkaniu, gdy dzieci zajęły się sobą, sięgnęłam po telefon. Wprowadziłam już większość numerów, które wcześniej przezornie wpisywałam do notatnika. Zadzwoiłam do matki. Po kilku sygnałach telefon rozłączył się. Odłożyłam aparat na bok. Do końca dnia przyglądałam mu się z daleka, ale – sama nie wiem dlaczego – nie telefonowałam już do niej. Postanowiłam, że zobaczę się z nią jutro i – bez względu na to, czy ojca będą operować, czy nie – nakłonię do szczerzej rozmowy.

\*\*\*



Rechoczący dzwonek telefonu zabrzmiał dokładnie o drugiej trzydziści. Skrawkiem oka rozpoznałam znajomy początek numeru.

– Czy pani może odpowiedzieć mi na pytanie, dlaczego Zbyszek nie wrócił dziś do domu od razu po pracy, tylko gdzieś się włóczył?

Moje powieki nie chciały się rozkleić. Usta także nie. Pani Ilona sypała z telefonu pytaniami, a ja walczyłam z własną twarzą.

– Pani Ilono... środek... nocy... – wybełkotałam wreszcie.

– No tak, to ja wiem, bo nie mogę zasnąć, bo nie wiem, gdzie on się włóczył!

– To niech go... pani za... pyta...

– Nie chce powiedzieć!

– To jutro... rano... powie pani... na pewno...

– Nie, on jutro znów zełga! Ja to wiem!

– Pani Ilono, bardzo proszę dać mi już spokój – odzyskałam czucie w szczęce. Oparłam się na łokciu, dzięki czemu moje powieki nie opadały tak szybko. – Jestem w domu i śpię. Proszę zadzwonić rano. Dobranoc.

Zakończyłam połączenie i odłożyłam telefon na szafkę obok łóżka.

O, losie! Daj mi sześć godzin nieprzerwanego snu! Przynajmniej raz na jakiś czas.

Obudziłam się o siódmej ze świadomością, że w ogóle nie spałam. Zdążyłam zaledwie przyłożyć głowę do poduszki. Po bardzo krótkiej chwili, kiedy przez myśl przechodziły, a wręcz przebiegały mi różne pomysły z ucieczką na Sycylię włącznie, wstałam z łóżka i włączyłam mój niezawodny tryb osoby świetnie zorganizowanej, wykonującej poszczególne zadania bez cienia emocji, na zimno i z precyzją. Wyszukowałam więc dzieci do przedszkola, zawiozłam je na czas, następnie udałam się do szpitala, w którym przebywał mój ojciec. Energicznie wkroczyłam do gabinetu dyrektora, w którym tego dnia urzędował dyrektor. Dowiedziałam się, że profesora spotkam na oddziale neurologicznym, gdzie niezwłocznie poszłam. W drzwiach natknęłam się na doktora Studziennego, który sapał coś do pielęgniarki.

– Jeszcze nie było obchodu – zaczął pierwszy, zanim zdążyłam otworzyć usta. – Pan profesor jeszcze nic nie postanowił!

– To ja poczekam – oświadczyłam spokojnym tonem i usiadłam na jedynym krześle, które stało przy wejściu na oddział.

Nie pomyślałam wtedy, że powinnam zajrzeć do ojca, że należałoby zapytać pielęgniarki, jak spędził noc. Uruchomił się we mnie tryb mechanicznego robota. Stan doskonały, ponieważ całkowicie blokujący emocje. Wielokrotnie sprawdzał się przy najtrudniejszych mediacjach. Nie dopuszczałam do siebie ani jednej myśli, po prostu siedziałam i cierpliwie czekałam.

– Zapraszam panią.

Profesor wyglądał na zmęczonego. Usiedliśmy w pokoju dla lekarzy. Nie powiedziałam ani słowa, a doktor przez chwilę przyglądał mi się z uwagą.

– Pani ojciec ma bardzo osłabione serce – zaczął spokojnie mówić. – Obawiamy się, że nie wytrzyma ono tak długiej i ciężkiej operacji. Dziś po południu skonsultuję się jeszcze z kardiologiem, ale sytuacja jest patowa. Proszę zrozumieć, ja nie mogę narażać pacjenta na pewną śmierć.

– On i tak umrze – odpowiedziałam na to zupełnie spokojnie – prawda? Nowotwór w takim stadium nie zatrzyma się i nie zniknie. Ojciec zmienił się bardzo w ciągu ostatnich dni. Jak mamy sobie z tym poradzić?

– Wiem, że to trudne, dla mnie także. – Profesor pochylił głowę. – Niestety, czasem jesteśmy zupełnie bezradni. No cóż, nadzieja umiera ostatnia. Kardiolog dziś zadecyduje, co zrobimy. W każdym razie dzisiejszą operację musimy odwołać. Przykro mi.

Wstałam, podałam mu rękę i zupełnie spokojnie wyszłam na ulicę. Wciąż nie dopuszczałam do siebie żadnej myśli, żadnej, która byłaby związana z emocjami. Znowu nie pomyślałam, że powinnam zajrzeć do ojca. Może obawiałam się, że gdy to zrobię, mój cudowny tryb nie zadziała? Nie mogłam sobie przecież pozwolić na chwilę słabości. Dochodziła dziewiąta. Postanowiłam odwiedzić Betkę. Wcześniej pojechałam do jej mieszkania, w którym zaskoczył mnie widok walających się wszędzie brudnych naczyń i wilgotnych ręczników. Zupełnie nie pasowało mi to do Betki, ale nie było czasu ani na porządkowanie, ani na rozważanie, dlaczego zostawiła swój dom w takim

stanie. Mimo wszystko nie pojechała do szpitala na sygnale. Skompletowałam zamówienie i wyszłam, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

– Jaki dziś dzień, bo straciłam rachubę? – stęknęła Betka.

Znów mościła się niemożliwie na swoim łóżku, przekręcając z prawej strony na lewą od chwili, gdy przyszłam. Torbę z rzeczami postawiłam na stołku.

– Piątek – westchnęłam. – Wpadłam na chwilę, bo zaraz mam klientów.

– Już piątek? – zdziwiła się pacjentka spod ściany. – A dopiero był poniedziałek. Zakładali mi klamry. Jak ten czas leci.

– Co w domu? – znów stęknęła Betka. – Tyłek mnie boli od leżenia. Nie wytrzymam dłużej.

– Przestań, jeszcze tylko trochę, zleci jak w pysk strzelił. – Uśmiechnęłam się krzywo. – W domu, jak to w domu, sporo kurzu. Przyniosłam ci to, co chciałaś, i kilka książek.

– Kilka książek! Przewidujesz, że spędzę tu długie tygodnie? Niedoczekanie twoje!

– Wystarczy mi na razie Klementyna i jej dziwactwa – zażartowałam.

– A u ciebie jak? – zapytała Betka.

– Dziewczyny rozrabiają w przedszkolu, Laura nie ma dwóch jedynek, a Basia jednej dwójki. Obie strasznie seplenią. Wczoraj Laurka chciała napić się soku z butelki i biedaczka zalała sobie całą bluzę. Cieszą się sukienkami, które przywiozłam z Włoch. W biurze spokojnie, Klementyna to rzeczywiście dziwaczka, ale chyba ją polubię.

– Ona ma coś w sobie – przyznała Betka. – Jest ekscentryczna, ale trzeźwo myśli. Co z ojcem?

Zrobiłam lekką pauzę, bo rozmowa na jego temat wyciskała mi łzy z oczu. Nie chciałam rozklejać się w szpitalu i przed kolejną mediacją.

– Odłożyli operację, bo ma za słabe serce.

– To kiepsko. Widziałas go? – wypytywała przyjaciółka.

– Nie – odparłam. – Śpieszyłam się. Chcesz coś? Coś ci przynieść?

– A możesz przynieść mi kruche ciasto ze śliwką?

– Ja to chyba poproszę, żeby przenieśli cię do innej sali, najlepiej tam, gdzie baby są na diecie!

Pożegnałam się z przyjaciółką, przelotnie rejestrując, że pacjentka tak mocno doglądana przez swojego męża raczyła się obecnie sporym kawałkiem tortu. Natychmiast poczułam głód. Na dole, przy szatni znajdował się bufet. Pomyślałam, że zdążę jeszcze zjeść coś na szybko, później może nie starczyć mi czasu. Ustawiłam się w kolejce. W witrynie lodówki wystawiono sałatki, rybę w galarecie, dwa rodzaje pierogów i krostki. Przyglądałam się jedzeniu, rozważając spokojnie, co wybrać. W pewnej chwili do kolejki dołączyła para mieszana. Ona głośno wyrażała swoje preferencje kulinarne.

– Mam ochotę na tego pstrąga – oświadczyła dziewczyna. – Dawno nie jadłam ryby. Albo sałatkę? Może tę z jajkiem? Albo krostki. Jak myślisz?

– Nie wygląda to apetycznie – skrzywił się jej towarzysz. – Ta galareta jakaś taka sina... Na twoim miejscu nie jadłbym tego. Ta sałatka też nie wiadomo, kiedy robiona. A w krostkach to będzie cały przegląd tygodnia!

– No, a pierogi?

– Stare. Stare i mrożone. Zawsze mają mrożone, bo taniej kupić w hurtowni sto kilo, a stare, bo kto im zje tyle pierogów!

– No, a te pączki?

– Smażone na starym smalcu. I tanim, bo muszą zarobić. Wątroba ci po tym wysiadzie!

– A te kulki kukurydziane?

– Wyglądają, jakby je lepili z woskowiny. Ktoś dłubał w uchu i lepił kulki...

Nie wiem, co w końcu wybrali, bo zrezygnowałam z jedzenia w bufecie. W samochodzie telefonicznie dopadła mnie Klementyna.

– Ci ludzie, co są umówieni na osiemnastą, chcą przyjść o siedemnastej.

– Nie da rady – warknęłam do aparatu. – Niech im pani powie, że muszę odebrać dzieci z przedszkola i nie zdążę. Poza tym, nie pamiętam, żeby na liście był ktoś wpisany na osiemnastą!

– Dobrze, ale niechętnie – oświadczyła pani Klementyna. – Będą się

ciskać.

– To niech się ciskają – oburzyłam się. – To chyba oczywiste, że w ostatniej chwili nie jestem w stanie zmienić wszystkich swoich planów!

– A może na siedemnastą trzydzieści? – pertraktowała Klementyna.  
– Bo im zależy.

– Pani Klementyno – byłam już zniecierpliwiona. – Czy oni w ogóle byli umówieni?

– W ogóle to tak – odpowiedziała sekretarka. – Zadzwonili dziś rano i umówiłam ich na osiemnastą, bo po tej darowiźnie nikogo nie ma.

– Dlaczego nie zapytała pani mnie, czy mam czas? – warknęłam. – Musi pani mnie pytać!

– Nie sędzę – mruknęła Klementyna przed rozłączeniem się. – To siedemnasta trzydzieści. Potwierdzone!

Przejechałam do biura dość szybko.

Kilka minut przed jedenastą wkroczyłam do środka. W sekretariacie siedziała tylko Klementyna.

– Chyba ktoś miał być o tej godzinie? – spojrzałam na sekretarkę.

Ta tylko wzruszyła ramionami.

– Dzwonili ci z jedenastej, że nie przyjdą?

– Nie sędzę – odparła sekretarka i odwróciła się do mnie przodem.

Dobrze znałam tę postawę – wstęp do pogłębionej dyskusji na tematy filozoficzne.

– A może pani do nich zadzwonić? – wtrąciłam szybko

– Niechętnie – rozpędzała się już Klementyna. – Swoją drogą, pani to ma parszywą pracę. Ciągłe wysłuchiwać tych...

– Dobrze, to proszę zrobić to niechętnie – ucięłam.

Klementyna poburczała coś pod nosem, ale jej nie słuchałam.

Zdjęłam płaszcz i weszłam do pokoju. W środku siedzieli klienci.

Kobieta zajęła krzesło ustawione pod ścianą, a mężczyzna usadowił się przy stole. Po krótkim namyśle dołączyłam do niego, siadając z drugiej strony stołu, naprzeciw podpierającej ścianę kobiety. Oboje milczeli. Rozpoczęłam od ustalenia, czy mam do czynienia ze stronami postępowania. Przytaknęli, więc przeszłam do standardowej

formułki mediatorów, a następnie zawiesiłam w powietrzu pytanie, czego dotyczy konflikt. Z krótkiego sądowego zlecenia wynikało, że chodzi o cofnięcie darowizny uczynionej przez matkę na rzecz syna. Mediator stara się nie oceniać ludzi po wyglądzie. Więc i ja starałam się nie przyglądać zbyt nachalnie klientce, która z całą pewnością nie mogła być matką siedzącego obok mężczyzny. Nawet gdyby od urodzenia korzystała z usług zakładów kosmetycznych i chirurgów plastycznych. Musieliby przeszczepić jej całą twarz. I większą część ciała.

– Czy zechcą mi państwo powiedzieć, o co chodzi? – zapytałam ponownie, bo oboje milczeli jak zakłęci.

Pani spojrzała na pana, pan wręcz wbijał wzrok w kobietę. Co to za tajemnica się za tym kryje?

– Proszę państwa, nie rozpoczniemy, dopóki czegoś nie powiecie.

To była z mojej strony desperacja, przyznaję. W takich momentach chciałoby się powiedzieć: „A milczcie sobie, ja mam czas”, lecz ja właśnie dziś miałam go zbyt mało.

– Rysiek niech powie – odezwała się w końcu siedząca pod ścianą kobieta.

Odruchowo spojrzałam na mężczyznę, który pokiwał potakująco głową. Ponieważ znów zapadła cisza, pochyliłam się w jego stronę i powiedziałam pogodnie:

– No, panie Rysiu, śmiało. Niech pan mówi.

Facet w pierwszej chwili nie zareagował, potem spojrzał na mnie jakoś dziwnie, rozejrzał się, popatrzył znów na kobietę, znów na mnie i odparł:

– Ja nie jestem Rysiek.

Ciekawa jestem, czy przedstawiciele innych zawodów również często ćwiczą się w cierpliwości. Zawodowy uśmiech nie schodził mi z twarzy. Zerknęłam szybko na zlecenie, widniało w nim, że moimi klientami są: Zdzisława Bąkowska i Jaromir Bąkowski. Żadnego Rysia tam nie wymienili.

– To kim jest Ryszard? – zapytałam z rezygnacją.

– Ryszard to świnia – objaśnił mi mężczyzna i potwierdził swoje słowa energicznym ruchem głowy.



Kobieta pod ścianą też przytaknęła. No to wszystko się już wyjaśniło. Usiadłam głębiej na krześle, odliczyłam w myślach do trzech i zaczęłam jeszcze raz.

– Proszę państwa, sąd nie przesyła mi szczegółowych informacji na temat sprawy. Jeśli jest ona bardzo drażliwa i nieprzyjemna, a opowiadanie o niej sprawi państwu trudność, to możemy umówić się, że ja pojedę do sądu, za państwa zgodą zapoznam się z aktami i spotkamy się jeszcze raz. Co państwo na to?

– Nonsens – odezwała się wreszcie kobieta. – Strata czasu.

W myślach przyznałam jej rację. Oby tylko powiedziała coś więcej!

– Mam rację? – zwróciła się mężczyzny.

Przytaknął ruchem głowy.

– Dobrze – powiedziałam stanowczo. – Rysiek wie wszystko, pan nie jest Ryśkiem, pani – zakładam, ale jeśli się mylę, to proszę mnie poprawić – także nim nie jest. Gdzie zatem jest Rysiek, bo bez niego chyba nie ruszymy?

– Rysiek dręczy mamusię – wycedził facet i znów zamilkł.

Moja cierpliwość właśnie się skończyła.

– A pan, kim pan jest? Jak się pan nazywa i co ma pan wspólnego z tą sprawą? – przybrałam niezwykle urzędowy ton, zimny, stanowczy i dość ostry.

Podziałało. Siedząca pod ścianą kobieta poderwała się na równe nogi i w postawie na baczność wyrecytowała:

– To jest mój mąż, Jaromir Bąkowski, bo ja jestem jego żoną, Katarzyna. Chodzi o moją teściową, Zdzisławę, która zapisała wszystko Ryśkowi, swojemu najmłodszemu synowi, ale to jest święństwo, bo Rysiek ma gdzie mieszkać i kolejny dom nie jest mu potrzebny, a my mieszkamy w dwóch pokojach z ciemną kuchnią. I chcemy, żeby mamusia odwołała darowiznę i przepisała dom nam, a teraz Rysiek dręczy mamusię, że kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera!

No, teraz poczułam się pewniej. Sprawa, można powiedzieć, typowa. Klasyka gatunku. Rodzina nie wtrąca się w stan majątkowy starszego członka rodu, pozornie szanując wszystkie jego decyzje. Ale wystarczy, że ów starszy członek rodu dokona jakiegokolwiek

przesunięcia w stanie swojego majątku, zaczyna się wojna. Niektórzy dopiero wówczas przekonują się, jak liczną posiadają rodzinę.

– Proszę państwa – utrzymałam urzędowy ton, a pani Katarzyna wciąż stała. – W takim razie przykro mi, ale musimy zakończyć to spotkanie. Pani Zdzisławy nie ma, a mediacja przebiega, wedle pisma z sądu, pomiędzy panią Zdzisławą i panem Jaromirem. Czy to Pan?

– To ja – zgłosił się siedzący przy stole mężczyzna. On także wstał.  
– Bąkowski Jaromir.

– Ale nie będzie pan przecież mediował ze swoją żoną! – zniecierpliwiłam się. – Potrzebna jest pana matka!

– Moja matka nie zgodzi się na zamianę – przerwał mi pan Bąkowski. – Ona jest zawzięta!

– Nawet wówczas pana żona nie może jej zastąpić.

– Przecież teściowa jest już wiekowa, ma osiemdziesiąt lat. – Pani Bąkowska na stałe opuściła swoje miejsce pod ścianą i wisiała teraz nade mną, opierając się co i raz ciężko o stół. – Trzeba napisać jej, że ma nam przekazać ten dom i już.

– A dlaczego miałyby tak zrobić? – odpierałam jej atak.

– Bo Rysiek to świnia! – oświadczyła pani Bąkowska.

Uznałam, że wdawanie się w dyskusję na ten temat przekracza moje możliwości. Nie dysponowałam żadnymi argumentami, które mogłyby obalić lub podtrzymać stawianą tezę, zresztą, nie to było przecież przedmiotem mediacji, a darowizna. Nawet jeśli rzeczony Ryszard postąpił nieuczciwie, to nie moim zadaniem było to oceniać.

– Ja nie zastąpię sądu – powiedziałam dobitnie. – Muszę porozmawiać z panią Zdzisławą. Być może gdy poznam więcej szczegółów tej sprawy, będę w stanie zaproponować państwu jakieś rozwiązanie, które przybliży wszystkich do kompromisu, ale w tej chwili jest to niemożliwe. Może w poniedziałek państwo przyjdą?

Obecni przytaknęli. Ruszyliśmy do wyjścia.

– Proszę państwa – powiedziałam ostrzej niż dotychczas. – Wysłałam zaproszenie do pani Zdzisławy i pana Jaromira, dlatego bez pani Bąkowskiej nie będzie mediacji.

Po klientach w ułamku sekundy nie było śladu. Pani Klementyna narysowała kółko na czole, sama nie wiem, czy skwitowała w ten

sposób mnie czy tych dwoje, ale nie powiedziała nic.

– Pani Klementyno – zaczęłam bardzo spokojnie mówić. – Czy komunikacja między nami musi być taka utrudniona? Przecież ja niewiele wymagam..

– Jeden pan pani szukał – przerwała mi sekretarka. – Dzwonił rano.

– No i? – popędziłam ją, bo zrobiła pauzę.

Klementyna wydeła usta i odwróciła do swojego biurka.

– No i nic – odparła. – Powiedział, że koniecznie musi z panią porozmawiać, bo zmarnowała mu pani życie.

Naszą miłą pogawędkę przerwało intensywne pukanie do drzwi. Do biura wkroczyła pani Ilona. Postanowiłam wrócić do rozmowy z sekretarką później.

– Zastanawiałam się ostatnio, czy Zbyszek byłby zdolny mnie zdradzić – zaczęła pani Ilona bez wstępów. Usiadła ciężko na krześle, rzucając niedbale swoją wielką torbę na drugie krzesło. – Tak dziwnie się ostatnio zachowuje...

– Pani Ilono, czy my byłyśmy umówione?

Bardzo chciałam, żeby mój głos zabrzmiał ostro i zdecydowanie. W końcu nieasertywny mediator, to nie mediator.

– Moim zdaniem on spotyka się z kobietami – ciągnęła pani Ilona, ignorując moje słowa. – Albo i co gorszego!

– Spotyka się z mężczyznami?!

– Tak, ale to zrozumiałe. – Pani Ilona machnęła ręką. – Mnie chodzi o kobiety. I seks.

W tej samej chwili zarechotał mój telefon. Przepraszającym gestem zatrzymałam panią Ilonę na krześle, gdy wstała razem ze mną. Odebrałam połączenie.

– Halo, słucham?

– Pani mnie poznaje? Jestem... – usłyszałam znajomy głos rezydenta. – Koniecznie muszę z panią porozmawiać.

– Może w poniedziałek? – zaproponowałam.

W telefonie przez chwilę brzmiała cisza, wreszcie rezydent odpowiedział:

– A dziś? Za piętnaście minut?

Spojrzałam na panią Ilonę i podjęłam błyskawiczną decyzję.

– Dobrze, skoro to takie pilne – odpowiedziałam. – Moje biuro mieści się...

– Wiem gdzie – przerwał mi rezydent. – Zaraz u pani będę.

Rozłączył się, w tej samej chwili wkroczyła Klementyna i podała mi szklanę z wodą, w której coś pływało na wierzchu.

– Co to jest? – zapytałam nieufnie. – W tym coś pływa!

– To kłaczce – odparła Klementyna – pięciornika.

Od razu skojarzyło mi się z paciorkowcami, pałeczkami czegoś tam i innymi drobnoustrojami, które wypijamy razem z wodą. Ale ten kłykieć, to jest kłaczec, był duży i paskudny!

– Nie będę piła żadnego kłacka pięciorkcia! – Odstawiłam z obrzydzeniem szklanę. – Zaraz przyjedzie klient, ma bardzo pilną sprawę! – ostatnie słowa wypowiedziałam bardzo wyraźnie, zerkając na panią Ilonę.

Ona siedziała niewzruszona.

– Pięciornik pomaga przy biegunkach. Tych na tle nerwowym także – poinformowała mnie Klementyna.

Zanim zdążyłam zareagować, szybko wyszła z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi.

– Pani Ilono... – zaczęłam zdecydowanie, ale klientka przerwała mi zniecierpliwiona.

– Niech mi pani łaskawie wytłumaczy jedno. – Jej głos brzmiał jak dzwon.

Stałam przy stole, celowo nie usiadłam, żeby dać jej do zrozumienia, że nasze spotkanie powinno już się zakończyć. Niestety, wszelkie subtelne sygnały wysyłane przez moje ciało nie potrafiły przebić się przez ciężki pancerz bezwzględności, który pani Ilona nosiła na co dzień. Słuchałam więc, a grunt palił mi się pod nogami.

– Niech mi pani powie, co to znaczy, jeśli nie zamiar zdrady. Zbyszek wstał dziś rano, wszedł pod prysznic i dokładnie się umył. A gdy chciałam do niego dołączyć, to odmówił, wymawiając się pracą. Więc ja dotknęłam jego przyrodzenia i wie pani, co się wtedy stało?

Wiedziałam, że zaraz się dowiem.

– Nic się nie stało – oznajmiła pani Ilona i popatrzyła na mnie

takim wzrokiem, że z miejsca powinnam paść przed nią na kolana i przeproszać, że to z mojego powodu Zbyszek nie miał erekcji pod prysznicem.

A może po to ona tutaj przyszła? Oskarżyć mnie o wyeksploatowanie erotyczne kominiarza?!

– Pani ode mnie oczekuje odpowiedzi? Obawiam się, że nie pomogę. Nie jestem seksuologiem, poza tym nie znam Zbyszka od tej strony. Nie wiem, doprawdy...

– Przecież to oczywiste! – Pani Ilona uderzyła pięścią w stół. – On mnie zdradza! Do tej pory zawsze reagował, gdy go tam dotykałam, a teraz nagle nic nie poczuł! Akurat! A później jeszcze się wyperfumował i przyczesał włosy! To pewne, że szedł do kochanki, a nie do pracy!

– Być może, ale...

– Więc pani jednak coś wie! Wiedziała! Wiedziała, że wszyscy już wiedzą, tylko ja jak taka głupia krowa błędzę po ciemku po boisku! Ile on ma tych kochanek? Jedną? Dwie?

W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się ostrzyżona głowa Klementyny.

– Przepraszam, ale przyszedł jeden pan.

– Dobrze, dziękuję, pani Klementyno.

Głowa dołączyła do korpusu za drzwiami, a ja wstałam. Spodziewałam się zobaczyć rezydenta.

– Bardzo panią przepraszam, ale muszę pilnie wyjść, dokończymy innym razem – powiedziałam, otwierając szeroko drzwi.

– Pani nie powiedziała mi, ile Zbyszek ma kochanek! – Pani Ilona ani drgnęła.

– Pani Ilono – starałam się zachować spokój, ale grunt pod moimi stopami już nie tylko płonął, on się już spalał na popiół. – Nie wiem, może żadnej. Porozmawiamy o tym przy innej okazji, dobrze?

– Musi mieć jakąś, bo na mój widok już mu nie staje, to co to oznacza, jeśli nie kochankę? Na pewno ma, tylko pytanie brzmi, ile ich jest!

– Cały harem! Jedna wychodzi, druga już się kładzie! Obsłużył już całą prawobrzeżną Warszawę, teraz weźmie się za te z lewej! Czy

pani oszalała?! – Podłoga zwęgliła się doszczętnie. Nie wytrzymałam i podniosłam głos na klientkę.

Kiedy ostatni raz to mi się przytrafiło? Nie pamiętam. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek wcześniej straciłam w pracy panowanie nad sobą. Ale nie żałowałam własnych emocji ani przez chwilę.

– Co się z panią dzieje?! Skoro jest pani przekonana, że Zbyszek to dziwkarz, to niech go pani przegoni na cztery wiatry i będzie spokój! Po co się pani tak zadrecza i mnie przy okazji?! – krzyknęłam z mocą.

Pani Ilona wreszcie wstała, spojrzała na mnie z godnością i odparła:

– Przegonić? Też coś! Z powodu głupiego romansu mam zrezygnować z takiego mężczyzny! Pani jest cokolwiek nerwowa. Przyjdę innym razem, do widzenia.

Wyszłam tuż za nią. W sekretariacie nie było nikogo.

– I gdzie ten chłop się podział? – warknęłam na Klementynę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ruszyłam do pokoju Betki. Otworzyłam drzwi z rozmachem, ale w środku nie było nikogo.

– Nie wiem – odparła sekretarka.

– Ale był tu?!

– Tak. Stał, stał i chyba poszedł. Nie wiem, bo nie patrzyłam. Byłam zajęta!

– Wychodzę – powiadomiłam sekretarkę i sięgnęłam po płaszcz.

Wcześniejsza chęć, by z nią szczerze i otwarcie porozmawiać, szczyła we mnie w ułamku sekundy. Skoro rezydent zrezygnował z rozmowy, trudno. Przyjdzie innym razem.

– Przyjadę na siedemnastą trzydzieści. Do zobaczenia.

Klementyna pomachała mi brodą, bo ręce miała zajęte stukaniem w klawiaturę komputera. Wybiegłam na klatkę schodową, nie mogłam usiedzieć w miejscu. Czy była to wina biura, może sekretarki, nie wiedziałam. Gnało mnie gdzieś, wciąż przed czymś uciekałam. Natrętne myśli, że mój ojciec leży w szpitalu, a ja nie mam odwagi go odwiedzić, nawiedzały mnie falami. Odpychałam od siebie również przekonanie, że muszę porozmawiać z matką. Coś przykrego zaciążyło nad naszą rodziną i jak chmura gradowa zwiastowało nieuchronną nawałnicę. Tylko nikt z nas nie wiedział, kiedy to się rozpocznie. Stałam dłuższą chwilę na klatce, a następnie zesłam po



schodach.

Wsiadłam do samochodu i mimowolnie przekręciłam kluczyk w stacyjce. Po kilku minutach zrobiło się ciepło, radio cicho grało. Przyglądałam się przechodniom, którzy mnie mijali i pośród nich wypatrzyłam rezydenta. Szedł pochylony, z rękami w kieszeniach. Zbliżył się do kamienicy, w której mieściło się moje biuro, i znikł za drzwiami. Patrzyłam w ciemny otwór, jakby w oczekiwaniu, że szybko się znów pojawi. Nie umiałabym powiedzieć w tej chwili, na co czekałam. Zamiast niego, pojawił się facet z teczką. Ponieważ zatrzymał się bardzo blisko maski mojego samochodu, mogłam mu się przyjrzeć.

Był to mężczyzna około czterdziestu lat, bardzo przystojny, przywodzący na myśl przedwojennych dżentelmenów, którzy nawet w poprutych gaciach prezentują się jak we fraku. Ubrany był w ciemny płaszcz i szalik zawiązany pod szyją w węzeł. Spod płaszcza wystawały ciemne spodnie, uprasowane w kant, oraz nieskazitelnie czyste czarne buty. Nie nosił czapki, jego ciemne włosy przetkane były gdzieś siwymi pasmami. Mężczyzna powstał kilka minut, a następnie sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyjął z niej telefon komórkowy, połączył się z kimś i zamienił kilka słów. Następnie zawrócił i zniknął w bramie.

Wpadłam na pomysł, żeby zadzwonić pod numer, z którego łączył się rezydent, ale linia była zajęta. Ponowiłam próbę. Tym razem abonent był poza zasięgiem. Włączyłam bieg wsteczny i ruszyłam. Nagle przyszło mi do głowy, że warto pojechać do domu Betki. Nie miałam czasu zastanowić się, czy bałagan, który tam ostatnio zastałam, wynikał stąd, że przyjaciółka wystawnie świętowała planowany pobyt w szpitalu. Mieszkała sama, nie wiedziałam nic na temat ewentualnego nowego przyjaciela, który mógłby się tam wprowadzić, więc taki bałagan ogromnie mnie dziwił.

Dojechałam do domu Betki dość szybko. Koleżanka mieszkała w dwunastopiętrowym bloku, na ósmym piętrze. Wsiadłam z windy i podeszłam do drzwi z wycelowanym kluczem. Drzwi otworzyły się same. Weszłam ostrożnie do środka. Nie zawołałam „hop, hop!” ani „czy jest tu kto?”, lecz starając się zachowywać jak najciszej,

zajrzałam do pokoju. Zastłony były częściowo zaciągnięte i w pokoju panował półmrok. Potrąciłam niechcący jedną z pustych butelek, leżących na podłodze. Coś poruszyło się po prawej stronie, pod ścianą, gdzie znajdował się narożnik. Wymacałam na komodzie przy drzwiach duży, mosiężny świecznik i trzymając go oburącz, podeszłam ostrożnie do źródła pomruku. Na narożniku ktoś leżał i chrapał. Osoba była odwrócona do mnie tyłem, ale bez trudu mogłam zorientować się, że jest to mężczyzna. Świadczyły o tym obnażone do połowy wielkie, owłosione pośladki, które wystawały dumnie spod koca. Mężczyzna przyjął pozycję embrionalną i ściskając koc pod pachą, smacznie spał.

Podeszłam bliżej i pochyliłam się nad śpiącym. Odór alkoholu sprawiał, że nie mogłam tkwić tak zbyt długo. Podjęłam męską decyzję i klepnęłam faceta energicznie w ramię, trzymając świecznik w pogotowiu.

– Zbyszek?!

Omam nie przyłożyłam mu tym świecznikiem, kiedy nagle szarpnął się i gwałtownie odwrócił. Bez wątpienia był to znajomy kominiarz. Obudzony, przez chwilę coś mamrotał, następnie usiadł i potarł twarz rękoma.

– Co jest? – wymamrotał.

– Co ty tu robisz, na litość boską?! – krzyknęłam. – Myślałam, że to jakiś złodziej idiota, który urznął się podczas włamu. Dlaczego tu śpisz?!

Zbyszek ziewnął szeroko, opuścił nogi na podłogę i tym razem potarł rękami po głowie, mierzwiąc włosy.

– Powiedziałem Ilonie, że wyjeżdżam na kilka dni – wymamrotał. – Musiałem odpocząć.

– Betka wie o tym, że mieszkasz u niej?

Odłożyłam świecznik i podeszłam do okna. Odciągnęłam zastłony i otworzyłam jedno, duże skrzydło. Zbyszek drapał się po szyi.

– Chyba nie... nie wiem... – przyznał. – Mam jej klucze, bo podlewałem kwiatki. Dała mi je... bo wyjechałaś...

– Zbyszku. – Przysiadłam na brzegu narożnika. Intensywna mieszanka woni wczorajszego Zbyszka i alkoholu stanowiła dla mnie

silną barierę. – Ona się słusznie czepia. Oszukujesz ją, to nie w porządku.

– Wiem – przyznał Zbyszek. – To wszystko jest chore i nienormalne. Ale nie umiem tego zmienić. Nie mam gdzie mieszkać, u Ilony jest dużo miejsca. Ale ona jest chorobliwie zazdrosna. Nawet gdybym co minutę poświadczał u notariusza, gdzie jestem, ona i tak będzie mnie śledzić.

– Ja wam nie pomogę, wiesz o tym – dodałam. – Muszę wziąć kilka rzeczy dla Betki. Ogarnij trochę to mieszkanie.

– Betka już wraca? – przestraszył się Zbyszek i potoczył niespokojnym wzrokiem dookoła. – Cholerka...

– Nie, jeszcze nie – uspokoiłam go. – Ale może w przyszłym tygodniu ją wypiszą. Nie chciałyby widzieć mieszkania w takim stanie, uwierz mi.

Zbyszek wciąż siedział na narożniku. Podeszłam do niego i lekko poklepałam go po ramieniu. Gdy skompletowałam już zamówienie, dalej siedział w tym samym miejscu.

– Muszę iść, zrób coś z tym, Zbyszku – rzuciłam na odchodnym i wyszłam.

Z mieszkania Betki pojechałam prosto do przedszkola. Dochodziła piętnasta.

– Dzieci nie ma – oświadczyła zdziwiona przedszkolanka. – Babcia je odebrała.

Nie wdając się w dyskusję, pojechałam do domu matki. Byłam zła, że nie powiadomiła mnie, że wybiera się do przedszkola. Moja matka przywitała mnie litanią skarg i pretensji.

– Nie przejmujesz się w ogóle tym, co dzieje się w domu. Nie obchodzą cię ojciec ani jego zdrowie. Nie interesujesz się tym, co się z nami dzieje. Pojawiasz się tylko wtedy, gdy czegoś chcesz, jesteś bezwzględna i pozbawiona uczuć!

– Staram się – odparowałam. – Przecież muszę chodzić do pracy! Ty nie powiedziałaś mi, że odbierasz dzieci. Pojechałam na darmo. Ten czas mogłabym wykorzystać na wizytę u ojca!

– Dzieci też cię nie obchodzą! – krzyczała matka. – Zabawa, a nie praca! Miałaś znaleźć ojcu lekarza, nic nie zrobiłaś! Teraz też nie

obchodzi cię, co z nim będzie! Nie wspomnę już o sobie. Mną nigdy nikt się nie przejmował. Wszystko zawsze było na mojej głowie, ja musiałam zadbać o wszystkie sprawy. I jaka nagroda mnie za to spotyka? Wyzysk i pretensje! Nie mam czasu odpocząć, wciąż się martwię. Zapomniałaś, zdaje się, że ja nie mam już dwudziestu lat. Nie możesz ode mnie oczekiwać, że nieustannie będę w gotowości, żeby cię we wszystkim wyręczać. Twoje lenistwo przechodzi ludzkie pojęcie!

– O co ci chodzi?! – wyparowałam. – Co się z tobą dzieje? Dlaczego mnie atakujesz? To nie moja wina, że ojciec zachorował! Odkąd wróciłam z Sycylii, unikasz mnie. Dlaczego zniszczyłaś telefon? Co tu się dzieje?!

Matka nagle zamilkła. Odwróciła się ode mnie i pobiegła do swojego pokoju. Usłyszałam głośne trzaśnięcie drzwi. Nie poszłam za nią. Stłumiłam w sobie złość i żal.

Dziewczynki siedziały w kuchni i wykrajały ciasteczka z rozwałkowanej na stolnicy masy. Zdawały się nie zauważać niczego poza swoją pracą.

– Mamo, a dlaczego ty jesz po ciemku? – zapytała mnie nagle Basia.

Sięgnęłam po jabłko. Było bardzo soczyste, więc odruchowo przymykałam oczy.

– Sok pryska mi w oczy – odpowiedziałam wymijająco.

Na piętrze rozległ się trzask tłuczonego szkła. Wtedy podjęłam szybką decyzję.

– Dziewczyny, a może pograbimy ogródek? Wiosna przyjdzie już niedługo, byłoby jej przykro, gdyby zastała bałagan! – zaproponowałam.

Wciąż tkwiłam w przekonaniu, że powinnam porozmawiać z matką. Przyszło mi do głowy, że ona potrzebuje czasu, żeby ochłonać, że za godzinę, może dwie, uda nam się zamienić kilka szczerych zdań.

– A zima już się pakuje? – zagadnęła Basia. – Do takich wielkich, szklanych walizek na kółkach?

– Nie na kółkach, tylko na płozach – poprawiła ją Laura. – Zima

przecież przyjeżdża na sankach!

– Ale teraz nie ma śniegu. – Basia otworzyła szeroko oczy z udawanym zdumieniem i rozłożyła ramiona na boki.

Wyglądało to tak komicznie, że wybuchnęliśmy głośnym śmiechem. Dziewczynki otrzepały ręce z mąki i chętnie ubierały się do wyjścia. Na dworze towarzyszył im dobry nastrój.

– Ciszej tam! – odezwała się nagle moja matka. Otworzyła szeroko okno salonu wychodzące na ogród i wystawiła głowę. – W tym domu ma być cisza! To jest mój dom i masz być cicho, kretynko!

– Dziewczynki, trochę ciszej będziemy się śmiać, dobrze? – zwróciłam się do córek. – Babcia jest zmęczona.

– Mamo, dlaczego babcia cię tak nazywa? – zasmuciła się Laura. – Jest zła na ciebie?

– Nie, babcia jest zmęczona – starałam się uspokoić dziecko. – Wiesz, że dziadek choruje, babcia to bardzo przeżywa i czasem nie panuje nad sobą.

– Ale ty jej nie dokuczysz przecież!

– Nie trzeba komuś dokuczać, żeby było ciężko – odparłam. – Babcia się martwi, smuci całymi dniami i to napięcie, które jej towarzyszy, sprawia, że jest trudna. Trzeba jej wybaczyć. Ludzie często nie potrafią poradzić sobie ze stresem, smutkiem i są przykryzy dla najbliższych.

– Dla nas jest przyjemna, to my nie jesteśmy jej bliskie? – wysnuła wniosek Laura.

Uśmiechnęłam się krzywo i ruszyłam w stronę komórki po grabie.

– Oczywiście, że jesteście babci bliskie. Po prostu łatwiej zrzucić swój żal na dorosłego. Gdy go przyjmie, to tak, jakby podawał tej osobie lekarstwo, ona poczuje się lepiej.

– Lekarstwo na żal? – upewniła się Basia. – To jak mnie będzie żal i nakrzyczę na ciebie, to ty mi podasz takie lekarstwo?

– Tak, skarbie – przytuliłam dziecko. – To, że cię wysłucham, zrozumiem, pomogę przezwyciężyć ten żal, to będzie moje lekarstwo dla ciebie.

– To samo robisz w pracy? – dodała Laura. – Podajesz ludziom takie lekarstwa?

– Tak, poniekąd tak. – Uśmiechnęłam się. – Po to do mnie przychodzą. Po lekarstwo na swój żal. Po takiej wizycie wychodzą spokojniejsi, czasem zmęczeni, ale jest im dużo łatwiej.

– To dlaczego babcia wciąż na ciebie krzyczy? Na nią to lekarstwo nie działa?

– Niektórzy potrzebują go bardzo dużo. – Westchnęłam. – Tak dużo, że do końca życia nie są w stanie wyleczyć swojego żalu.

– Babcia też jest chora? – zaniepokoiła się Laura. – Na co?!

– Babcia jest chora na to, na co cierpi wielu ludzi. Na smutek. Ale od tego się nie umiera. No jazda, bierzemy się za grabienie!

Wręczyłam dziewczynkom lżejsze grabie i wskazałam, gdzie mają pracować. Sama zaczęłam od zarośniętej części płotu. Spośród przegniłych, opadłych liści, wystawały już nieśmiało z ziemi maleńkie skraweczki pierwszych kwiatów. Staralam się nie uszkodzić ich grabiami. To zajęcie ogromnie mnie wyciszyło. Praca na świeżym powietrzu, pod nadzorem prawie wiosennego słońca, przyniosła upragnione odprężenie umysłu. Przestałam zastanawiać się nad Betką, Zbyszkiem, Iloną, moją matką i całą resztą spraw. Po prostu grabiłam liście. Dziewczynki zabawnie posapywały, rywalizując, która z nich ugrabi większą kupkę. Ogród stopniowo przybierał schludny wygląd, a odkryta ziemia zachęcała, by w niej wzrastać. Zanim zapadł zmrok, dokonałyśmy dzieła.

– Poprzeziębicie się tylko – skwitowała naszą pracę matka.

Zastałyśmy ją w kuchni, gdy kładła ciastka na blachę.

– Dziewczyny, trzeba dokończyć, co zaczęłyście. Jazda, myć ręce i do roboty!

– Muszę wyjść, mam dziś jeszcze klientów – powiedziałam, nie patrząc na nią.

Moja matka wytarła ręce w ścierkę i odpowiedziała spokojnie:

– Skoro masz pracę, to jedź. Dzieciom krzywda się tu nie stanie.

Podeszłam do niej i spojrzałam w oczy. Wyraźnie unikała mojego wzroku, ale uznałam, że nadeszła odpowiednia pora.

– Mamo, musimy porozmawiać – powiedziałam miękko i łagodnie, jak do najtrudniejszego klienta. – Coś cię dręczy i nie chodzi wyłącznie o ojca. Musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Przyjadę



wieczorem, usiądziemy przy herbacie...

Matka opuściła nisko brodę, potarła rękami po biodrach i wyszeptwała.

– Mamy kłopoty. Twoja prawdziwa matka się pojawiła. Chce mi wszystko odebrać. Jedź już.

\*\*\*

Do biura dotarłam po siedemnastej. Klementyna zostawiła dymiące kadzidełko. Zalałam świństwo wodą i otworzyłam szeroko okno. Na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno, mimo to dostrzegłam w świetle latarni mężczyznę, tego od teczki. Wsiadał do samochodu. Prawdopodobnie skończył pracę i wracał do domu. Gdzie jednak podział teczkę? Może zdążył włożyć ją do bagażnika. Jego ruchy były dość energiczne, choć nie nerwowe, kolory ubioru stonowane. Może to agent nieruchomości? Chyba nie, bo oni zwykle chodzą w kurtkach, a on nosił wełniany płaszcz. Księgowy? Zbyt swobodnie się poruszał. Księgowi zwykle chodzą przygarbieni i powłóczą nogami, a ten posiada w sobie dość dużo wigoru. Chyba że doradca podatkowy. Oni są bardzo rzutcy. Ale w takim razie jego samochód nie pasuje. Taki przeciętny, mało efektowny. Na dyrektora czy prezesa, a nawet ewentualnie pracownika korporacji też bym nie stawiała, bo mężczyzna wychodził o różnych porach. No i ta teczka. Widywałam podobne teczki. Może ten facet jest wykładowcą? Dlaczego wciąż go spotykam?

Pukanie do drzwi przerwało moje rozmyślenia. Zresztą facet wsiadł do samochodu i odjechał. Zamknęłam okno i zwróciłam się przodem do wchodzących.

„Znowu para i pewnie znów się rozwodzą” – pomyślałam. – „Wszyscy się teraz rozwodzą. Moi rekordziści złożyli pozew w tydzień po ślubie”.

– Witam, zapraszam, proszę usiąść. – Wskazałam im drzwi do pokoju.

Kobieta weszła pierwsza, mężczyzna przepuścił mnie i zajęliśmy miejsca. Oboje pozostali w płaszczach, choć w pokoju było ciepło.

– Rozwodzimy się – zaczęła bez zbędnych wstępów kobieta. – Potrzebujemy pani pomocy w dwóch kwestiach: opieki nad córką oraz podziału majątku.

– Czy sprawa rozwodu jest już przesądzona? – przerwałam jej szybko. – Może od tego zaczniemy?

– Nie. To jest już postanowione – odparła kategorycznie klientka.

– A pan co sądzi? – zwróciłam się do mężczyzny.

Ten oparł się mocniej, położył ręce na stole i po dłuższej chwili

powiedział:

- Ja jestem przeciwny.
- Czemu się pan sprzeciwia? Rozwodowi?
- Wszystkiemu jestem przeciwny.
- Mediacji także?
- Niech pani go nie słucha, bo to jest człowiek niepoważny – wtrącała się kobieta. – Rozwód jest kwestią czasu. Niestety długiego, bo nie możemy dojść do porozumienia w sprawie opieki nad Matyldą i nie możemy podzielić majątku.
- Dobrze, zacznijmy więc od Matyldy. Opowiedzcie mi o niej trochę.
- Matylda ma jedenaście lat... – zaczął mężczyzna, ale jego żona natychmiast mu przerwała.
- Głupstwa opowiadasz. Ona ma dziesięć lat.
- Jedenaście, przecież niedawno miała urodziny.
- Dziesiąte, głupku.
- Bardzo proszę, bez inwektyw – interweniowałam. – Nieważne, dziesięć czy jedenaście. Jak Matylda wygląda?
- Ma ciemne włosy i niebieskie oczy – znów podjął pan.
- Nawet nie zdążyłam mrugnąć, kiedy pani wymierzyła mu cios w potylicę.
- Jej oczy są zielone, palancie – wysyczała ze złością. – Ty nie potrafisz nawet zapamiętać, jakie oczy ma twoja córka!
- Są niebieskie...
- Sam jesteś niebieski, idioto! Matylda ma zielone oczy, zapamiętaj to sobie! – klientka warczała na mężczyznę, który nie reagował.
- Co jakiś czas usiłowała go uszczypnąć.
- Proszę pani, czy może pani przestać bić męża? – Zabrzmiało to strasznie głupio, bo facet mógłby spokojnie zastąpić Władimira Kliczkę na ringu. – I nie zwracać się do niego w ten sposób? To poniżające!
- Ja nie poniżam przecież pani, a on to lubi! – zaprotestowała kobieta.
- To prawda, ja to lubię – potwierdził atakowany mężczyzna.
- Oniemiałam. Może powinnam przerwać mediację, bo osoby

upośledzone umysłowo nie mogą podejmować świadomych decyzji?

– Pan lubi, gdy pani go szczypie i mu ubliża? – upewniłam się.

Klient pokiwał potakująco głową.

– Aha. No dobrze, w takim razie powiedzcie mi państwo sami, w czym mogę pomóc, bo jestem trochę zdezorientowana

– Przecież mówię, pani nie słucha? Ma pani problem z percepcją? – zwróciła się do mnie klientka. – Chcemy ustalić zasady opieki nad Matyldą i podzielić majątek.

– Ja się sprzeciwiam – dodał pan.

– Albo ja zwariowałam, albo oni – mruknęłam pod nosem, a głośno powiedziałam: – To już wiem, a może podadzą mi państwo jakieś szczegóły?

– To chyba pani od tego jest – zwróciła mi uwagę klientka. – Nie dysponuje pani jakimś szablonem, wzorem?

– Raczej nie. – Pokręciłam głową. – Mediację, jak dobry garnitur, zawsze szyje się na miarę. Ale jeśli państwo sobie życzą, mogę zaproponować kilka rozwiązań.

– Życzymy sobie – zgodziła się klientka.

– Ja się sprzeciwiam – natychmiast dodał jej mąż i oberwał za to kuksańca w bok.

Udałam, że tego nie dostrzegłam. Przeniosłam się na fotel przy biurku, uruchomiłam komputer i wyszukałam jedną z bardziej obszernych ugód, które dotyczyły podobnych zagadnień. Usunęłam osobiste dane i wydrukowałam pozostałą treść.

– W tej ugodzie rodzice ustalili opiekę naprzemienną, która wygląda w ten sposób, że w co drugi weekend tata zabiera córkę do siebie, w poniedziałek rano zawozi ją do przedszkola, następnie przejmuje opiekę w środę do czwartku. Później przypada weekend mamy, która zajmuje się dzieckiem do wtorku, w środę przez dwie godziny mała przebywa u ojca, potem wraca do mamy na noc i cały czwartek. Od piątku znów jest weekend taty i cały szablon się powtarza. Święta i wakacje ustalone zostały naprzemiennie, w lata parzyste i nieparzyste.

– Dobrze, niech tak u nas też będzie – zgodziła się klientka.

Jej mąż, który naturalnie się sprzeciwił, otrzymał cios w nos.

– To teraz majątek. Posiadamy dom i działkę oraz samochód i sto osiemdziesiąt tysięcy złotych oszczędności. Ja zatrzymam dom, działkę i samochód, a mąż zabierze pieniądze. Proszę to napisać.

– A pan, co pan na to? – zwróciłam się do klienta, choć zdaje się, nie było to potrzebne, bo oczywiście wyraził on swój sprzeciw.

– Pani mąż nie zgadza się na takie rozwiązanie.

– Oczywiście, że się zgadza. To kretyn, na wszystko się zgadza!

– Przecież powiedział, że jest przeciwny, dla mnie to wiążące! – zaprotestowałam. Mężczyzna cały czas siedział na krześle, mocno oparty. Kobieta uderzyła go kilka razy w ramię.

– Niech go pani teraz zapyta – zwróciła się do mnie.

Spojrzałam na niego, a on tylko kiwnął potakująco głową.

– W takim razie proszę poczekać, wpiszę dane do ugody.

Usiadłam przy komputerze i zaczęłam pisać. Kątem oka obserwowałam dziwną parę. On wciąż siedział, a ona wbijała mu paznokcie w skórę. Dlaczego do mnie trafiają tacy klienci? Przecież normalni ludzie też istnieją i też korzystają z pomocy mediatorów. Zegar wybił połowę godziny.

– Gotowe, proszę przeczytać i jeśli wszystko się zgadza, to proszę podpisać w wyznaczonym miejscu.

Podaliśmy im egzemplarze ugody. Oboje przeczucili kartki aż do ostatniej i od razu podpisali, bez czytania.

– Ile jestem winna? – zapytała klientka i wyciągnęła portfel.

– Trzysta złotych – rzuciłam z przyzwyczajenia.

Zwykle tyle kosztuje jedno spotkanie, może powinnam powiedzieć mniej, bo przecież się nie napracowałam.

– Dlaczego tak mało? – zdziwiła się klientka. – Nie można zapłacić więcej?

– Można – zgodziłam się – ale takie są stawki.

– Za mało – orzekła kobieta i położyła przede mną tysiąc złotych. – Idziemy. Do widzenia pani.

– Do widzenia – odprowadziłam parę do drzwi.

Kobieta wyszła na klatkę schodową, a mężczyzna zatrzymał się w progu, cofnął o krok i szepnął mi do ucha.

– Bardzo pani dziękuję. Wreszcie pozbędę się tej wściekłej baby. –

Mrugnął do mnie porozumiewawczo i tyle ich widziałam.

Schowałam pieniądze, zgasłam światło i wyszłam z biura. Dochodziła dwudziesta. Nie udało mi się porozmawiać z matką tego wieczora. Gdy dotarłam do domu rodziców, moje córki, ubrane w płaszczyki, siedziały w kuchni i czekały na mnie. Babcia, wedle ich relacji, pochorowała się na głowę, położyła spać i zakazała, aby jej przeszkadzać.

\*\*\*



Weekend rozpoczął się od awantury. Obudziły mnie krzyki, mocne uderzenia w drzwi do mojego mieszkania i ogólny rozgardiasz na klatce schodowej. Wyjrzałam przez wizjer. Zobaczyłam kilka kotłujących się osób, po głosie poznałam dwie: Zbyszka i panią Ilonę. Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się, czy w ogóle się odzywać. Może lepiej udać, że nie ma nas w domu? Nie, skąd! Przecież zapraszałam Zbyszka w sobotę do siebie.

– Jesteś podłym kłamcą i dziwkarzem! – grzmiała tymczasem pani Ilona. – Na dziwki chodzisz! I nic mi o tym nie mówisz! A obiecałeś!

– Nie obiecywałem ci, że będę cię informował, kiedy idę na dziwki – denerwował się Zbyszek.

– Więc jednak się przyznajesz! – zatryumfowała pani Ilona. – Potwierdzasz, że chodzisz na dziwki, tylko w sekrecie przede mną!

– Nie chodzę na żadne dziwki! – upierał się Zbyszek. – Odczep się pan!

Ta ostatnia uwaga skierowana była do mojego sąsiada, który usiłował uplasować się pomiędzy Zbyszkiem a panią Iloną. Zapewne obawiał się czynnej konfrontacji i na wszelki wypadek postanowił parę rozdzielić. Okazało się to trudne, bo Zbyszek przylegał do moich drzwi, a pani Ilona napierała na niego, szarpiąc za poły jego kurtki. Sąsiad wetknął swoje ramię między ręce pani Ilony a kurtkę, zachwiał się i odruchowo drugą rękę oparł o ramię Zbyszka. Wyglądało to tak, jakby wszyscy troje tańczyli tango argentyńskie, przy czym kobieta znajdowała się na zewnątrz.

– Dlaczego ciągle kłamiesz? – nie ustępowała pani Ilona. – Dlaczego nie mówisz mi prawdy?

– Bo nie dajesz mi żyć! – wystękał Zbyszek.

Sąsiad stracił równowagę i przygniótł go swoim ciężarem, ładując łokieć pod szyję. Moje drzwi zatrzeszczały.

– Ja ci nie daję żyć?! – oburzyła się pani Ilona. – Ależ robisz, co chcesz, chodzisz, gdzie chcesz, spotykasz się, z kim chcesz! Ja tylko chcę wiedzieć z kim!

– Nie mogę ci nic powiedzieć, bo stale węszysz! Zabierz pan ten łeb, jak rany! – sapał zdenerwowany Zbyszek. – Nagabujesz ludzi, śledzisz mnie... Panie! Jak pragnę zdrowia, odczep się pan wreszcie!

Pomocny sąsiad usiłował uwolnić swoje ramię, które utknęło między moimi drzwiami a plecami Zbyszka. Drugą rękę wciąż trzymał na jego kurtce, z prawej strony, czyli tam, gdzie niczym przyspawana stała pani Ilona. Próbował pomóc sobie głową i uderzał teraz miarowo w szczękę biednego kominiarza. Najciekawsze było to, że wcale się nie odzywał. Prowadził swoją interwencję w całkowitym milczeniu.

– Skąd się tu wzięłaś? – przystąpił do ataku Zbyszek. – Miałaś być u matki!

– I byłam! – zawyła pani Ilona. – Mamusia mi powiedziała, że powinnam być na miejscu, przy tobie! I ja, głupia, wróciłam!

– A skąd wiedziałaś, gdzie jestem?! Śledziłaś mnie!

– Nie! Sprawdziłam w aplikacji!

– Jakiej aplikacji?!

– Takiej, która lokalizuje obiekt. Nie mogę ci ufać, więc zainstalowałam ci w telefonie taką aplikację, która pomaga znaleźć zaginione dzieci. Zbyszku, dlaczego ty mnie nie kochasz?!

W chwili jakże dramatycznego wyznania nieszczęsny sąsiad odwrócił głowę i cały okrzyk wybrzmiał w jego uchu. Musiało go to niezłe ogłuszyć, bo nagle przestał się szarpać i zaczął dyszeć.

– A temu co się stało? – przestraszył się Zbyszek. – Zawał ma czy co?

Natychmiast otworzyłam drzwi, więc cała trójka wpadła mi do mieszkania. Sąsiad wciąż wydawał z siebie niepokojące dźwięki, więc jego dopadłam w pierwszej kolejności.

– Źle się pan czuje? – zatroskałam się. – Coś trzeba panu podać? Jakieś leki?

Sąsiad przecząco potrząsnął głową, nagle wstał i odszedł szybko, gubiąc jeden kapeć. Gdy znalazł się w swoim mieszkaniu, usłyszeliśmy głos jego żony:

– Franiu, gdzie ty poszedłeś bez zębów?

Pani Ilona i Zbyszek także się podnieśli. Staliśmy teraz w otwartych drzwiach, oni czerwoni na twarzach, potargani, ja w piżamie. Z pokoju wyjrzały ciekawskie dzieci, które na widok Zbyszka bardzo się ucieszyły. Obie panny dopadły go i zawisły mu na szyi. Pani Ilona

patrzyła na nich oczami bazyliuszka.

– Zbyszek i ja przyjaźnimy się od dawna – powiedziałam szybko. – Moje córki uwielbiają wujka kominiarza.

– Nic mi o tym... – zaczęła znanym mi już tonem pani Ilona.

Uznałam za stosowne przerwać zbliżającą się litanie skarg, że ona znów o czymś nie wiedziała.

– Wejdźcie. – Gestem wskazałam wewnątrz mieszkania. – Zrobię kawę i spokojnie porozmawiamy.

Zbyszek objuczony dziewczynami po chwili zniknął w pokoju. Pani Ilona wciąż stała w progu.

– Coś nie tak? – zapytałam najspokojniej na świecie. – Coś się stało?

– Ja wiem, że on tu przyszedł, żeby spotkać się z kobietą – syknęła pani Ilona. – Wiem to na pewno. Sprawdzona wróżka mi to powiedziała!

– I miała rację. – Uśmiechnęłam się. – Zbyszek był umówiony ze mną!

Czy praca mediatora rozciąga się na cały dostępny czas? Nie, skądże. Mediatorzy także posiadają rodziny, własne zainteresowania, potrzebują odpoczynku. Klienci są tego świadomi, ale zwykle nie podczas trwania ich sprawy. Dlatego od czas do czasu należy im o tym przypomnieć, na przykład – odrzucając połączenie telefoniczne, które przychodzi w sobotę o dwudziestej trzeciej. Jaki błąd popełniłam? Taki, że zgodziłam się pomóc przyjacielowi, a to oznacza, że nie ma żadnych granic.

– Pani Ilono, to się musi skończyć! – zaczęłam, gdy wreszcie para zajęła miejsca, a dziewczyny odkleiły się od Zbyszka. – Tak dalej być nie może! Pan chorobliwa zazdrość zatruwa życie nie tylko Zbyszkowi, ale teraz także i mnie. Żadna relacja tego nie wytrzyma na dłuższą metę. Albo mu pani ufa, albo trzeba pomyśleć o rozstaniu!

– Żadnego rozstania nie będzie! – zaprotestowali natychmiast oboje.

– Ja tylko proszę, żeby on nie kłamał – dodała pani Ilona szybko.

– Ale pani stale skupia się tylko na tym, żeby złapać Zbyszka na kłamstwie, zamiast zastanowić się, czy istotnie nie mówi on prawdy!

– zirytowałam się. – Przypuszczam, że gdyby siedział nieruchomo przy pani przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zaczęłyby pani podejrzewać, że dokonuje zdrady telepatycznie! Żyjemy w społeczeństwie złożonym z kobiet i mężczyzn i musi się pani pogodzić z tym, że Zbyszek, jako kominiarz, będzie miał kontakt z jednymi i drugimi. Nie oznacza to wcale, że za każdym razem planuje zdradę, przecież to absurd! Znam Zbyszka od lat i wiem, że można mu ufać!

– Moja mamusia przestrzegła mnie przed mężczyznami – powiedziała pani Ilona bardzo stanowczym tonem. – Ona miała czterech mężów i wszyscy ją zdradzali. Mężczyźni już tacy są, muszą zdradzać, bo taka ich natura.

– Skoro tak, to dlaczego pani z tym walczy?!

– Bo nie chcę być zdradzana! – Pani Ilona się rozpląkała. – Mamusia mi powiedziała, że Zbyszek i tak mnie porzuci, bo mężczyźni zawsze porzucają swoje żony dla kochanek!

– To się nie pobierajcie. – Wzruszyłam ramionami. – Wtedy zawsze będzie pani kochanką i Zbyszek pani nie porzuci.

– Ale ja chcę być żoną!!! – zawyła jeszcze rozpaczliwiej pani Ilona. – Bo mamusia mi powiedziała, że Zbyszek się ze mną nie ożeni, bo mężczyznom tylko jedno w głowie!!!

– Ja oszaleję – nagle oświadczył milczący dotąd Zbyszek. – Zaraz odwiozę mnie do Tworek. Nogami do przodu.

– Raczej rękami do tyłu – poprawiłam go. – Dobrze. Zrobimy tak: pani wróci do domu. Zbyszek zostanie tu, u mnie, a ja pojedę do moich rodziców. Wszyscy troje zastanowimy się, co dalej, bo coś trzeba postanowić i raz na zawsze zamknąć ten dom wariatów. W poniedziałek spotkamy się i podejmiemy decyzję.

– Ja w poniedziałek nie mogę. – W Zbyszku coś się już przełamało, było to widać gołym okiem, ale nie chciałam pytać go w obecności pani Ilony. Uznałam, że znajdzie się lepszy moment. – Mam zlecenie w Grójcu. Mogę w piątek.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem?! – zareagowała natychmiast pani Ilona.

Zbyszek sychnął iskrami z oczu i zazgrzytał zębami. Szybko

podjęłam decyzję, bo zwłoka w takiej sytuacji mogłaby się dla wszystkich źle skończyć.

– Nieważne! – krzyknęłam i wstałam gwałtownie. – Rozchodzimy się i porozmawiamy kiedy indziej! W moim biurze! – dodałam z naciskiem.

Pani Ilona niechętnie wyszła z mojego mieszkania. Gdy zamykałam za nią drzwi, zauważyłam na wycieracze porzucony but sąsiada. Zabrałam go stamtąd, położyłam na szafce w przedpokoju i natychmiast o nim zapomniałam. W tamtej chwili pukanie do drzwi sąsiadów w piżamie wydawało mi się niestosowne. Tymczasem należało tak zrobić. Należało oddać ten przekłety kapeć i nie przejmować się drobiazgami.

– Mogę zatrzymać się u ciebie przez weekend? – zapytał Zbyszek. – Nie wytrzymam z nią. Znalazłem przejściowe lokum, później może coś na dłużej. Oddałem klucze Elce, wiesz, nie chcę, żeby miała do mnie pretensje.

– Zbyszku, oczywiście, że możesz – poklepałam go po ramieniu. – Zaraz dam ci moje klucze. My pojedziemy do matki, więc masz całe dwa dni dla siebie.

Zbyszek zdobył się na słaby uśmiech. Wychodziliśmy z domu razem. Zapowiedział, że przyjedzie wieczorem. Niespełna godzinę później witałyśmy się już z moją matką.

\*\*\*

– Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? – pytałam ją, gdy dziewczynki położyły się spać. – Kto to jest? Ta moja prawdziwa matka? Do tej pory nie interesowałam się tym, uznałam, że nie potrzebuję wiedzieć. Dla mnie matką jest ta kobieta, która mnie wychowała, a nie ta, która urodziła. Mimo wszystko – dodałam z naciskiem. – Ale ona często dzwoni. Wdziera się w nasze życie z takim uporem, że muszę wiedzieć.

Matka ostrożnie postawiła kubek z kawą na stoliku i odsunęła krzesło. Usiadła na nim ciężko, zaplotła ręce na blacie i popatrzyła na mnie w milczeniu.

– To bardzo zła kobieta – oświadczyła po chwili. – Bardzo podła. Zostawiła cię i wyjechała za granicę, bo poznała jakiegoś bogatego mężczyznę. Nic więcej nie wiem, nie kontaktowała się z nami wcześniej.

– W liście pisałaś mi, że porzuciła mnie zaraz po urodzeniu – przerwałam. – Wnioskowałam z treści, że nie znaliście jej.

– Ojciec ją znał – przyznała moja matka. – Byli dobrymi przyjaciółmi. Ona zostawiła cię u nas i po prostu zniknęła. Potem przeprowadziliśmy postępowanie adopcyjne, żebyś mogła z nami pozostać. Uzналиśmy, że tak będzie najlepiej.

– Ale jak to jest możliwe, że ktoś tak po prostu porzuca swoje dziecko?! – oburzyłam się. – I czego ona teraz chce?! Nie domyślasz się?

– Pieniądzy, majątku – wyjaśniła mi matka. – Wróciła, bo dowiedziała się, że ojciec jest ciężko chory. Była nawet tutaj, ale wyrzuciłam ją. Wezwałam policję, bo się awanturowała. Musisz trzymać się od niej z daleka!

– Dzwoniła do mnie kilka razy, ale nie chciałam z nią rozmawiać – przyznałam się. – Nazywa mnie Natalią.

– W ogóle nie odbieraj połączeń! – zareagowała ostrym tonem moja matka. – Musimy się jakoś przed nią bronić! Pamiętaj!

– Mamo – zmieniłam temat – byłaś dziś u ojca?

Matka sięgnęła po kubek i upiła łyk. Pokręciła przecząco głową.

– Nie miałam odwagi – wyszeptała. – Nie dzwoniли, boję się najgorszego.



– Nie dzwoniли, bo operacja się nie odbyła.

Słowa matki bardzo mnie zaskoczyły. Wcześniej nie poruszałam tematu ojca w przekonaniu, że matka zamartwia się jego stanem. Nie czułam się na siłach, żeby znów przeżywać z nią żal i lęk. To, że nie zainteresowała się tym, co się z nim dzieje, bardzo mnie zaskoczyło. Myślałam, że tylko ja jestem słaba.

– Ojciec ma złe wyniki badań – dodałam. – Nie mogą go operować, bo obawiają się, że serce tego nie wytrzyma.

– To straszne – wyszeptała moja matka i znów pochyliła się nad kubkiem.

– Jeśli on umrze, nasze życie bardzo się zmieni – usłyszałam zmieniony głos mojej matki. – Nie przygotowałam się na to.

– Mamo, nie mów tak. – Podeszłam do niej i objęłam ją ramieniem.  
– Masz nas, poza tym jeszcze nic nie jest przesądzone. Lekarz ostrzegał, że mogą być takie momenty jak ten.

– Moje życie się odmieni – powtórzyła matka. – Boję się tego.

Przygarnęłam ją mocniej do siebie, a wtedy moja matka wyszeptała mi do ucha.

– Nie przekreślaj mnie.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – wyszeptałam. – Jesteś trudna, ale w końcu matki się nie wybiera.

– Nie jestem twoją matką – wychrypiała, a łzy ciekły jej po policzkach.

– Wiem. – Otarłam jej łzy. – Ale dla mnie nie jest ważne to, kto mnie urodził. Ty mnie wychowałaś i mimo wszystkich nieporozumień, które były między nami, jesteś mi bliska. Nie opuszczę cię.

– Jestem złym człowiekiem – oznajmiła moja matka i po raz pierwszy od dawna spojrzała mi prosto w oczy. – Zrobiłam w życiu wiele złego. Nic mnie nie usprawiedliwia. Ale są inni, których podłość przewyższa moją. Musisz być silna dla dziewczynek, nie wolno ci z nich zrezygnować.

– Mamo, o czym ty mówisz? – Zmarszczyłam brwi i starałam się nadać mojemu głosowi lekki ton. – Nigdy nie zrezygnuję z dzieci!

– Ja mu powiedziałam – ciągnęła matka. – Powiedziałam mu o niej.

Dlatego cię odnalazła. Musisz wytrwać, przetrwać. Wybacz mi. Powiedziałam Cezaremu...

– Mamo – powiedziałam cicho. Czułam, że znów ogarnia mnie ten nie wytłumaczalny lęk, który odczuwałam od pewnego czasu. – Powiedz mi, co się dzieje? Co nam zagraża? Dość tych zagadek! Na co mam się przygotować? Nie wytrzymam dłużej tego napięcia, tych tajemnic. Powiedz mi prawdę!

– Nie wiem – wyszeptała. – Sama nie wiem...

Ani tego wieczora, ani następnego dnia nie wracałyśmy już do tej rozmowy. W sobotę pojechałam odwiedzić ojca w szpitalu, matka nie chciała mi towarzyszyć. Nie dowiedziałam się niczego nowego. W niedzielę obie zostałyśmy w domu, ojciec wciąż był nieprzytomny. Matka wyraźnie mnie unikała, wymienialiśmy ze sobą zdawkowe komunikaty. Nie potrafiłam nakłonić jej do rozmowy, nie chciała tego. Na moim sercu kładł się ogromny ciężar, zwiększany budzącym się przeświadczeniem, że znów jestem tylko elementem, pionkiem w jakiejś grze, że znów się nie liczę. Ale nie pozostawało mi nic innego, jak czekać na rozwój wypadków.

\*\*\*

– Ja uważam, że ona umarła – w poniedziałek rano oświadczył jeden duży kamień do drugiego. Oba uciskały moją klatkę piersiową. – Zobacz, leży i się nie rusza. Tylko tak charcze, jak ten trup w filmie.

– No właśnie, głupia jesteś, skoro charcze, to jeszcze żyje – skwitował drugi kamień.

Oba ciężary prawdopodobnie pochyliły się nade mną, żeby sprawdzić, czy mają do czynienia ze zwłokami, bo na dłuższą chwilę zabrakło mi tchu.

– O, teraz naprawdę nie oddycha! – tryumfował pierwszy. – Będzie pogrzeb, jak u tych z naprzeciwka!

– Głupia jesteś – powtórzył drugi tym samym tonem. – Jak mama umrze, to nas oddadzą do sierocińca!

– Ja nie chcę do sierocińca! – skrzywił się pierwszy kamień i chyba opadł trochę niżej. – Ja chcę zobaczyć pogrzeb!

– Może mama pozwoli nam zobaczyć pogrzeb tych, co się niedługo pozabijają – uspokoił go drugi. – Słyszałam, jak mama mówiła do cioci Beci, że ma takich jednych, którym niewiele brakuje. Ciekawe, jak to zrobią?

– Poderżną sobie gardła i będzie sikała krew, jak na filmie! – zapiszczał z radości pierwszy. – A potem wszyscy się przewracają, o tak!

Tu kamień raczył zademonstrować, jak to będzie wyglądało, uderzając mnie mocno w brzuch. Następnie sturlał się na podłogę i na koniec wydał z siebie przedśmiertne stęknienie.

– Głupia jesteś – znów podsumował drugi głos. – Jak komuś podrzynają gardło, to łapie się za szyję, żeby mocniej sikało i tak charczy, jak mama, a potem przewraca się na twarz.

Uznałam, że kolejnej demonstracji mogę nie wytrzymać, otworzyłam więc oczy i zerwałam się nagle, szczerząc zęby i rozcapierzając palce.

– A wiecie, jak się wygląda, gdy zbyt wcześnie obudzona mama wpadnie w szal i dopadnie takiego delikwenta?! – Mojemu kotłowaniu się w łóżku towarzyszył głośny pisk obu dziewczynek. – Właśnie tak!

Złapałam Laurę w pasie, przewróciłam ją do góry nogami

i oprychnęłam wystającą spod piżamki fałdkę skóry przy brzuchu. Córeczka wiła się jak piskorz, a Basia na zmianę a to okładała mnie lekko pięściami, a to skakała dookoła, bucząc na cały głos.

Szamotałam się od jednej do drugiej, wszystkie trzy byłyśmy okropnie rozczochrane, czerwone na twarzach i bardzo szczęśliwe. Moje córki przynosiły mi te krótkie chwile wytchnienia od zmartwień i wyczerpującej pracy. Mogłam zapomnieć o wszystkim. O tym, że moje osobiste sprawy nie były jeszcze zakończone, o chorobie ojca, o niezwykle trudnej relacji z matką, która ostatnimi czasy stała mi się bliższa, a teraz znów oddalałyśmy się od siebie za sprawą tajemniczej kobiety.

Od czasu, gdy mój były mąż trafił do więzienia za liczne oszustwa, a ja i moja matka zakopałyśmy topór wojenny, wszystko się zmieniło. Rozpoczęliśmy nowy etap w życiu. Poznawałyśmy siebie na nowo, z dystansem, ostrożnie i bez wylewności, ale wyraźne ocieplenie wzajemnych stosunków służyło moim dzieciom. Nie chciałam tego zniszczyć, lecz osłabiało mnie przekonanie, że posiadam niewielki wpływ na to, co się wokół mnie dzieje. Najwyraźniej los uznał bowiem, że nie udzielił nam jeszcze wszystkich życiowych lekcji. Po krótkiej chwili wytchnienia zesłał na nas nowe doświadczenia, które – chcąc nie chcąc – musiałyśmy przechodzić razem. Gdy okazało się, że mój ojciec jest nieuleczalnie chory i rak postępuje, a nieubłagany koniec straszył nas niczym zapowiedź rzezi w dobrym horrorze, moje życie znów ciasno splotło się z tajemniczą osobą, od której jeszcze nie tak dawno chciałam odciąć się, uciec, o której pragnęłam nie wiedzieć, zapomnieć. Zaczynałam wątpić, czy to, co uznawałam za prawdę, istotnie jest prawdą, a to, o czym chciałam zapomnieć, rzeczywiście powinno pójść w zapomnienie. Jakże brakowało mi kogoś, kto wskazałby, gdzie jest początek mojej zawilej historii. Zapewniłby jakiś punkt odniesienia. Czy zachwiane poczucie własnej tożsamości wystarczy, by zburzyć w sobie przekonanie, że wiem, co jest dobre, a co złe, i co powinnam, a czego nie? Nieubłagane przeznaczenie dokonywało się niejako wbrew mojej woli. Teraz desperacko wręcz chciałam rozumieć sens tego przesłania.

\*\*\*

– Napije się pani naparu z kardamonu przed spotkaniem z tymi od tej babci? – zagadnęła mnie z rana pani Klementyna.

Właśnie wertowałam kalendarz. Szukałam numeru telefonu do mecenasa Piwowara, który kiedyś reprezentował przed sądem mojego byłego męża. Działał też na rzecz mojej matki, postanowiłam więc, w porozumieniu z nią, że właśnie tego prawnika poproszę o pomoc.

– A na co to? – spytałam nieufnie.

– Obniża ciśnienie – poinformowała mnie sekretarka. – Chyba zaparzę cały dzbanek, bo może być gorąco. Dziś ciąg dalszy oszukańczej darowizny.

Puściłam mimo uszu jej uwagę, ponieważ inna sprawa zaprzętała moją głowę. Odkąd matka uczyniła swoje wyznanie, nie mogłam spokojnie skupić się na niczym innym. Ogromnie potrzebowałam rady prawnika.

Państwo Bąkowscy tym razem stawili się w komplecie. Młody mężczyzna, pan Ryszard, prowadził pod rękę starszą panią – Zdzisławę Bąkowską, tuż za nią wkroczyli do pokoju pan Jaromir i jego żona, Katarzyna, oraz dwie nowe osoby, jak się okazało – pełnomocnik pana Jaromira, mecenas Kapustka, i przyjaciółka pani Zdzisławy, Marcelina Zamojska.

– Szanowni państwo – starałam się przekrzyczeć dość głośno zachowujące się grono. – Podczas mediacji obecni są tylko sami zainteresowani i mediator. Pozostałe osoby bardzo proszę o rozgoszczenie się w sąsiednim pokoju.

– Na pewno nie! – natychmiast zaprotestowała pani Katarzyna. – Nic o nas bez nas!

– Ja nigdzie nie idę! – poparł ją mąż.

– Pan nie musi, bo pan jest stroną mediacji – potwierdziłam. – Pan Jaromir zostaje.

– Jak on zostaje, to ja też! – wtrącił się pan Ryszard. – Matka nie może zostać tu sama!

– Słusznie – dodała przyjaciółka starszej pani.

– Nie zostanie sama, ja jestem – sprzeciwiłam się. – Proszę państwa, tak nie można mediować. Proszę zaczekać obok.

– Czy może mi pani przytoczyć przepis, który zabrania przebywać



w tym pomieszczeniu? – zabrał głos mecenas. – Który to, który?

– Bury – odpowiedział mu pan Ryszard. – Pan się nie wtrąca, bo do sądu napiszę.

– Cóż takiego pan napisze? – roześmiał się mecenas Kapustka. – No cóż, cóż?

– Pani Zdzisława i pan Jaromir zajmą miejsca, a pozostałych proszę o to, by wyszli – podjęłam kolejną próbę.

– To niech Rysiek też wyjdzie. Jak on wyjdzie, to i ja wyjdę – zaproponował pan Jaromir.

Pan Ryszard na te słowa pokazał bardzo wulgarny gest palcem.

– O, takiego! Ja wyjdę, a twój mecenasik zostanie? I wyrolujecie mnie na sucho! Nie jestem takim kretynem!

– Słusznie – podsumowała pani Zamojska.

– Nie zaczniemy mediacji – zagroziłam.

– No to nie. – Pan Ryszard wzruszył ramionami. – Mnie to do niczego niepotrzebne. Chodź, matka, idziemy!

Pociągnął za ramię staruszkę, która stała przy stole zupełnie zdezorientowana. Uznałam, że należy przyjąć inną strategię.

– Dobrze – powiedziałam spokojnie. – Niech wszyscy zostaną. Ustalimy wspólnie, o co chodzi, i później najwyżej zorganizuję spotkania indywidualne.

– Ja się z Ryśkiem nie będę spotykał sam na sam! Chcę mieć świadków! – zaprotestował stanowczo pan Jaromir.

Prawnik podszedł do niego i coś mu intensywnie szeptał do ucha. Pani Katarzyna także się zbliżyła, co wyglądało już na naradę wojenną. Pozostali, żeby nie być gorszymi, także zbili się w grupkę i coś szemrali między sobą.

– Zrobimy tak – zaczęłam. – Teraz wspólnie ustalimy dane. Później porozmawiam oddzielnie z panią Zdzisławą i panem Jaromirem i zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Dlaczego tylko z nimi? – chciał wiedzieć pan Ryszard.

– Bo pani Zdzisława i pan Jaromir są stronami mediacji – wyjaśniłam.

– Ale ja jestem żoną, więc też poniekąd jestem stroną! – zwróciła się z pretensją pani Katarzyna.

– Słusznie – dodała pani Marcelina.

– No właśnie niesłusznie, bo w sądzie stoją naprzeciw siebie tylko te dwie osoby: pan Jaromir i pani Zdzisława. Nikt więcej.

– W sądzie był jeszcze sąsiad – dodał pan Ryszard. – Jak on się nazywa?

– Borowicz, Borowski... Jakoś tak – odpowiedział pan Jaromir. – Sąsiad był świadkiem, potwierdził, że Rysiek to świnia.

– Słusznie – skomentowała pani Zamojska.

Obecni zajęli miejsca, co wcale nie było takie łatwe. Pokój do mediacji miał niewielki metraż, stołu pilnowały cztery krzesła, bo rzadko zdarzało się, żeby prowadzić spotkanie w liczniejszym gronie. W tej sytuacji posiłkowaliśmy się dodatkowymi siedzeniami z drugiego pokoju. Pani Zdzisława zajęła miejsce pośrodku. Z jej prawej strony usiadł pan Ryszard, z lewej pani Katarzyna, zaraz obok niej pan Jaromir, a tuż za nim mecenas Kapustka. Pani Zamojska przycupnęła na skraweczku krzesła ustawionego najbliżej okna. Ja usadowiłam się pod ścianą, naprzeciw większości przybyłych.

– Bardzo proszę, aby przestrzegali państwo pewnych zasad – rozpoczęłam tę grupową mediację. – Po pierwsze, nie przekrzykujemy się, każdy mówi po kolei, ale też nie za długo, żeby inni mogli się wypowiedzieć. Po drugie, nie obrażamy się, nie używamy brzydkich wyrazów ani z nikogo nie szydzimy. Po trzecie, trzymamy się tematu, czyli sprawy o darowiznę. Wszelkie inne wątki będą dusić w zarodku. Jakież pytania?

– Gdzie jest toaleta?

Żeby pan Ryszard mógł wyjść, trzy osoby musiały wstać. Gdy ponownie usiadły, okazało się, że jedno z krzesel nie mieści się i trzeba znów wstać i usiąść. Kiedy już siedzieliśmy, wrócił pan Ryszard i znów trzy osoby musiały podnieść się z siedzeń. Z blisko godzinnym opóźnieniem rozpoczęła się mediacja.

– Moja matka przepisała na mnie dom – rozpoczął referowanie pan Ryszard. – Jest osobą dorosłą, w pełni świadomą, zrobiła, co chciała.

– Zrobiła to, do czego ją zmusiłeś! Świnio! – wtrącił się pan Jaromir.

Uciszyłam go gestem. Wprawdzie to właśnie on powinien zabrać

głos jako pierwszy, ale – gdy to zaproponowałam – po krótkiej naradzie z pełnomocnikiem stanowczo odmówił.

– Matka zrobiła darowiznę na moją rzecz i to jest cała sprawa. A ten knur i moja bratowa, knurzyca, chcą zmusić matkę, żeby odwołała darowiznę. Dręczą ją od tygodni. To nieludzkie, co oni robią!

– Słusznie – podkreśliła pani Zamojska.

Jako następny zabrał głos pan Jaromir.

– Dom należy się mnie, bo jestem najstarszy. Rysiek ma swoje mieszkanie, więc ma gdzie mieszkać i po co mu dom, ja się pytam? Na handel, oczywiście. Jak sprawa przyschnie, to dom sprzeda, a matkę nam postawi na progu!

– Co za brednie i oszustwa! – poderwał się pan Ryszard. – Sam zarobiłem na mieszkanie i nic wam do tego! Wy też macie gdzie mieszkać!

– Słusznie – podsumowała pani Marcelina.

– Pani Zdzisławo, jak to było z tą darowizną? – zapytałam dotąd milczącą starszą panią. – Jak chciałaby pani tę sprawę załatwić?

Staruszka zamrugała oczami, popatrzyła gdzieś obok i po chwili zwróciła się do syna:

– Gdzie podpisać?

Ponowiłam pytanie, przekonana, że pani Bąkowska nie usłyszała mnie dobrze. Prawie położyłam się na stole, żeby zbliżyć twarz do twarzy starszej pani. Ona znów zamrugała i popatrzyła na syna.

– Ja nie mam dowodu. Został na stole, w kuchni.

Ta krótka scenka uruchomiła lawinę komentarzy. Pan Ryszard tłumaczył, że matka zapomniała włożyć aparat słuchowy i po prostu nie słyszy, pani Katarzyna i pan Jaromir na zmianę pluli oskarżeniami o spowodowanie demencji u matki, mecenas Kapustka domagał się natychmiastowego powołania biegłych, którzy ustalą, czy w dniu sporządzenia aktu darowizny pani Bąkowska była w pełni świadoma tego, co podpisuje, a pani Marcelina – dla odmiany – milczała.

– Pani Zdzisławo, czy możemy porozmawiać na osobności? – zwróciłam się do staruszki.

Mój instynkt coś mi podpowiedział. O dziwo, to pytanie klientka

nie tylko bez problemu dosłyszała, lecz także doskonale zrozumiała. Pomogłam jej wstać i spokojnie, niezatrzymywane przez nikogo, przeszliśmy do sąsiedniego pokoju.

– Podać kardamon? – zwróciła się do mnie pani Klementyna.

– Tak, tym pozostałym. – Uśmiechnęłam się.

Zamknęłam drzwi. Pani Bąkowska usiadła i popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– Pani widzi, jacy oni są – zaczęła bez wstępów. – Udaję ślepa i głucha, bo nie mam już do nich siły. Pięć lat temu, kiedy zmarł mój mąż, chodziłam od jednego do drugiego i pytałam, czy któryś przejmie na siebie dom. Żaden nie chciał, bo dom był zadłużony. Mąż przed śmiercią wyremontował dach i zmienił instalację w łazience – kontynuowała. – Nie było nas stać, więc zaciągnęliśmy kredyt. Rok temu kredyt udało się spłacić, ponieważ sąsiadka sprowadziła taką firmę, co stawia duże reklamy na posesji. Mój dom mieści się przy ruchliwej ulicy, więc im się spodobało. A co mnie przeszkadza, że mam reklamę butów przed oknem? Zapłacili i kredyt zniknął. Wtedy moje dzieci zgłosiły się po dom. A ja powiedziałam im tak: weźmie ten, co się mną zajmie. No to znów zapadła cisza. Starszy syn powiedział, że ma za małe mieszkanie, w końcu zgodził się młodszy – to przepisałam dom na niego. Ale tylko dom, bo ta część działki, na której stoi reklama należy do sąsiadki, Marceliny. Przepisałam ją na nią i to dawno. Wiele firm zabiega o to miejsce, ponieważ reklamy są dobrze widoczne z daleka. Marcelina nie ma dzieci i w testamencie zawarła takie postanowienie, że jak umrze, to działka ma przypaść właścicielowi domu. I tak nagle wszystkim dom zaczął się podobać.

– To dlaczego nie atakują pani Marceliny? – zdziwiłam się. – Przecież najprościej byłoby namówić ją na zmianę testamentu!

– Bo nie chcą czekać! – Pani Zdzisława się roześmiała. – Ona ma już dziewięćdziesiąt siedem lat i jak się trzyma! Oni chcą pozbyć się domu, a dom bez tej działki jest niewiele wart.

– Ale co będzie z panią? – zatroszczyłam się. – Jeśli mediacja się nie powiedzie, sąd coś postanowi i co wtedy?

– Wtedy to już może nie będę żyła! – Kobieta znów się roześmiała.  
– A póki się kłóca, mam świetną opiekę. Ryszard zagląda do mnie

codziennie, bo boi się, że dam się namówić Jaromirowi i zmienię zdanie. A Katarzyna przyjeżdża po pracy i sprząta, bo nie chce, żeby dom niszczał. A nuż będzie należał do nich i szkoda byłoby go zaniedbać. Mam lepiej, niż miałam dotychczas. Jak udaję ślepa i głuchą staruchę, to mam święty spokój.

Moja intuicja mnie nie zawiodła. Postanowiłam sprzyjać pani Zdzisławie w realizacji jej chytrego planu. Od biedy mediację można rozciągnąć na kilka miesięcy, postawić kilka warunków. Potem sprawa wróci do sądu, gdzie można równie łatwo grać na zwłokę, chociażby ze względu na wiek starszej pani.

– No dobrze, w takim razie ustalę kolejne spotkania, z każdym z osobą – powiedziałam wesoło.

Staruszka uścisnęła mnie, a gdy otworzyłam drzwi, spochmurniała i się zgarbiła. Prawie biłam jej brawo za tę grę aktorską.

Towarzystwo tymczasem dyskutowało, czy polscy piłkarze należą do światowej czołówki, czy wręcz przeciwnie.

– Pan chyba nie wie, co mówi! – przebijał się głos mecenasa. – Ten bramkarz, co grał ostatnio, to ma zeza rozbieżnego! Upadał dokładnie w przeciwną stronę, niż należało!

– Bo ten napastnik robił takie zmyłki! No ten z tym czołem, jak mu tam... no ten, co mu się but rozwiązał!

– Tego to oni dawno sprzedali za grosze do jakiegoś Paragwaju! W ataku to grał ten, co ostatnio był w obronie i udawał, że go łokieć boli.

– Ale co pan opowiada! Lewy łokieć tenisisty mu się odezwał, jak ten łysy go popchnął specjalnie na tego z włosami!

– Jakiego tenisisty, skoro on gra na prawym skrzydle!

Uznałam, że przepychanie się w kierunku zajmowanego wcześniej miejsca nie ma sensu, krótki komunikat mogę wygłosić z progu.

– Proszę państwa, na dziś skończymy. Proponuję spotkać się w przyszłym tygodniu, ale w węższym gronie. Chciałabym porozmawiać z panem Jaromirem. Potem dam znać, co dalej.

– Co jej mama nagadała? – pochylił się pan Jaromir nad panią Bąkowską. – Jakieś kłamstwa pewnie?

– Będzie pan miał okazję przedstawić swój punkt widzenia –

wtrącałam się. – Może być w piątek?

– Ja w piątek nie mogę! – zaprotestował mecenas Kapustka – Nie ma mnie.

– A w inny dzień? – zapytała pani Katarzyna.

Zmarszczyłam brwi i sięgnęłam po kalendarz, który leżał na biurku.

– Niestety, wolny termin mam dopiero w czwartek. – Pokręciłam głową nad pustymi kartkami. – Bardzo nam się wszystko przeciągnie.

– Dobrze, niech będzie w piątek – skapitulował pan Jaromir. – Najwyżej nic nie powiem.

Goście zaczęli się rozchodzić. Pani Zdzisława nawet przy pożegnaniu nie wyszła ze swej roli. Gdy zamknęli za sobą drzwi, zegar wybił jedenastą.

Dokładnie wtedy zadzwonił mój telefon.

– Proszę przyjechać, stan pani ojca bardzo się pogorszył – usłyszałam znajome sapanie doktora.

Rzuciłam krótką informację Klementynie i złapałam płaszcz. Gnałam po schodach w dół, ubierając się i znów prawie tratując mężczyznę z teczką. Przez głowę przemknęło mi, że skądś go znam, a raczej – jego teczka wydała mi się bardzo znajoma, swojska. Lecz na dworze wszystkie teczki świata razem z ich właścicielami wywietrzały mi z głowy. Prułam przed siebie, żeby jak najszybciej dotrzeć do szpitala.

Na miejscu czekała już moja matka, blada jak ściana. Zaprowadzono nas do ojca, który leżał nieprzytomny i ciężko oddychał.

– Jest źle – wysapał doktor Studzienny. – Dlatego pozwoliłem sobie wezwać panie. Serce odmawia posłuszeństwa, a guz szerzy spustoszenie. Bardzo mi przykro.

Lekarz sprawdził jeszcze coś przy urządzeniach i się wycofał. Usiadłyśmy po obu stronach łóżka chorego. Pogładziłam ojca po ręce, ale nie zareagował. Matka siedziała blada i wyprostowana niczym posąg.

– Zostanę z nim – powiedziała cicho. – Jedź, jeśli musisz.

– Nic nie muszę – odpowiedziałam jej. – Też zostanę. Dopóki nie przyjdzie pora, żeby odebrać dziewczynki.



\*\*\*

Ojciec odszedł w ciszy, następnego dnia. Moja matka towarzyszyła mu do końca. Odwiozłam dzieci do przedszkola i pojechałam po nią do szpitala. Siedziała w poczekalni wyprostowana, blada i milcząca. Przepływający wokół niej ludzki potok zdawał się nie mieć żadnego znaczenia, stanowił tło. Ludzie rozmawiali, płakali, śmiali się, krzyczeli na siebie. Ktoś gdzieś biegł, ktoś czegoś szukał. Szpitalne krzesła dzielnie dźwigały ciężar ludzkich ciał, co i raz skrzypiąc z lekka. Ściany zdawały się w milczeniu przyglądać tym, którzy przychodzili tu z nadzieją i wychodzili z radością. Konglomerat różnorodnych elementów, ludzi, przedmiotów, urządzeń. Każdy odgrywał w nim swoją rolę, nie zdając sobie sprawy z tego, że jedna z częściek wypadła z tego systemu na zawsze.

– Zawiozę cię do domu – powiedziałam, siadając obok matki.

Tuż obok rodzina otaczała młodą kobietę, która lamentowała z powodu zerwanego paznokcia.

– Nie mam już domu – jej wargi poruszały się prawie bezgłośnie. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, a może widziała coś, czego nikt inny w tej chwili nie mógłby dostrzec?

– Przestań. – Westchnęłam. – Musisz odpocząć. Zajmę się wszystkim.

Poszkodowana z zerwanym paznokciem pozwoliła się zaprowadzić do gabinetu zabiegowego. Towarzyszyło jej pięcioro ludzi. Delikatnie wsunęłam rękę pod ramię matki i pociągnęłam ją do góry. Wstała i posłusznie poszła za mną, chwiejąc się z lekka.

Tego dnia wyrzało słońce, jakby w pośpiechu i z żalem, że nie zdążyło pojawić się wcześniej. Wsiadłyśmy do samochodu i pojechałyśmy. Dom wydawał się taki cichy. Mimo że ojciec od tygodnia leżał w szpitalu, dopiero teraz zrobiło się naprawdę pusto i mrocznie. Odprowadziłam matkę do jej pokoju. Położyła się w ubraniu na łóżku. Zostawiłam ją samą ze swoim smutkiem.

W salonie sięgnęłam po telefon. Po krótkim podziękowaniu za wyrazy współczucia umówiłam się z mecenasem Piwowarem na przyszły tydzień. Sprawy do tej pory nie tak ważne, teraz stały się pilne.

\*\*\*

– Ten pomysł z zamianą ról to nie był *dobry* pomysł – z pretensją w głosie oświadczył pan Norbert podczas spotkania w piątek, dokładnie tydzień po pogrzebie ojca.

Nie było czasu na długą żalobę. Klienci domagali się, aby zająć się ich sprawami, ja znów uciekałam w pracę, żeby nie pozwolić własnym emocjom na ujawnienie się. Wszystkim zalecałam pozbywać się stresu poprzez rozwiązywanie problemów, a sama gromadziłam ogromne pokłady żalu w sobie.

Pan Norbert odsunął jedno krzesło, usiadł na drugim. Zamierzałam otworzyć na chwilę okno, ponieważ z dnia na dzień robiło się coraz cieplej, oraz być może przekąsić szybko coś słodkiego, co na pewno znajdowało się w szufladzie biurka, ale zrezygnowałam z tego. Pan Norbert był zdenerwowany.

– Do bani, w ogóle bez sensu.

– Dlaczego? – Usiadłam naprzeciw niego, a ponieważ burczało mi w brzuchu, nachyliłam się w kierunku stołu, żeby ścisnąć żołądek.

Mężczyzna położył zaplecione ciasno ręce na blacie, chwilę potem je schował, popatrzył w okno, znów wyjął splecione dłonie, ponownie je schował i usiadł mocniej w krześle. Wreszcie wstał i zrobił kilka kroków.

– To nie mogło się udać! Przecież w ogóle nie o to chodzi! Ona chce wszystko rozwalić, nie mam pojęcia dlaczego, i teraz jeszcze te gry i zabawy w zamianę miejsc. To nie tak miało wyglądać!

– Niech pan usiądzie i spokojnie opowie mi, co się wydarzyło – zaproponowałam.

Zachowanie pana Norberta wskazywało na to, że sprawy potoczyły się niezgodnie z jego oczekiwaniami, czegoś nie przewidział i teraz zastanawiał się intensywnie, jak zniechęcić mnie do kontynuowania mediacji w takim wydaniu. Domyślałam się już, że pani Magdalena poradziła sobie bardzo dobrze w roli szefowej firmy, a nie o to jej mężowi najwyraźniej chodziło. W drodze do mojego biura obmyślał więc, co mi powiedzieć, a co przemilczeć, żebym postąpiła tak, jak sobie tego życzył. Stąd to spóźnienie. Czekałam cierpliwie. Nie mógł otwarcie kłamać, bo tego samego dnia, po południu, spotykałam się z jego żoną.

– Musimy to wszystko odkręcić – zaczął pan Norbert ostrożnie. – Dzieci na tym cierpią, to dla nich za duży szok.

– A może pan to rozwinąć? Proszę opowiedzieć, jak wyglądała zamiana ról, co się działo i dlaczego dzieci, pana zdaniem, na tym ucierpiały – Miałam ogromną nadzieję, że pan Norbert nie odnajdzie w moim głosie lekkiej ironii.

Klienci obu płci stale zaskakiwali mnie poziomem własnej kreatywności w wymyślaniu usprawiedliwień dla samych siebie. Jeśli jakaś koncepcja godziła w prawdziwe intencje umawiających się stron, największy wysiłek wkładali oni zawsze w to, jak tę ideę storpedować. Pomysłowość w sabotowaniu współpracy była tak duża, że gdyby wykorzystali oni ułamek tych umiejętności do poszukania właściwych rozwiązań, mediacja trwałaby dziesięć minut.

– Tak, jak pani казаła, ja zostałem w domu, a żona zaczęła pojawiać się w firmie, żeby rządzić – rozpoczął pan Norbert. Brzmiało to jak akt oskarżenia skierowany w moją stronę. – Oczywiście, niczym więcej się nie zajęła. Śniadanie musiałem przygotować sam, wcześniej poszedłem do sklepu, bo w lodówce znalazłem tylko światło. Ubranka dla dzieci leżały nieuprasowane, więc zanim znalazłem coś, w co mogłem je ubrać, to zrobiła się dziesiąta. W domu w ogóle zostawiła straszny chlew, żadnych czystych naczyń, szczotki nie znalazłem wcale, zakupy na obiad zamówiłem przez internet, ale okazało się, że dowiozą dopiero następnego dnia, więc musiałem zamawiać pizzę – kontynuował zdenerwowany mężczyzna. – Przyjechał kurier i wtedy zorientowałem się, że nie mam gotówki, a on nie przyjmuje karty. Żona wróciła do domu późnym wieczorem i nawet nie zainteresowała się, czy dzieci żyją. A one na nią czekały. Zrobiła awanturę, że nie ma kolacji i po prostu wyszła sobie. Rozumie pani? Tak, jak stała, odkręciła się na pięcie i wyszła. Nawet nie wiem, kiedy wróciła, bo zasnąłem na kanapie. A rano po prostu wstała, oświadczyła, że idzie do pracy i też wyszła. Chciałem iść pobiegać, bo ja zawsze rano biegam, ale zasnąłem, dzieci mnie obudziły. Pytam, gdzie jest mama, a one wzruszają ramionami, że nie wiedzą. To jest normalne, pani zdaniem?

– Proszę mówić dalej – zachęciłam go.

Pan Norbert denerwował się coraz bardziej i zapominał powoli, co sobie wcześniej zaplanował.

– Wyszedłem z dziećmi na spacer. Było fajnie, pochodziliśmy trochę, poszliśmy na huśtawki, na plac zabaw. Teraz jest mokro, więc Stefanek zamoczył buciki. Gdy wróciliśmy do domu, zapomniałem je postawić na grzejniku i żona wieczorem zrobiła mi awanturę, że buty są mokre. Zapomniałem, zdarza się. Kurtki też były brudne, ale to przecież jest marzec! Żona się piekliła, że zniszczę dzieciom ubrania. No i potem obrałem kartofle i usmażyłem kiełbasę. Ja nie umiem gotować, przecież Magda o tym wiedziała – ciągnął klient. – Wieczorem poprosiłem ją, żeby wykąpała i położyła dzieci spać, bo był mecz w telewizji, a ona mi powiedziała, że to jest mój obowiązek i zamknęła się w pokoju. Proszę pani, dzieci od tygodnia jej nie widują! To nie może tak wyglądać, bo one na tym cierpią!

– Słusznie – przytaknęłam.

Mężczyzna kontynuował opowieść.

– W środę przyszła sprzątaczką. Nie znam baby, więc jej nie wpuściłem, dzwoniła do żony, a ta znów do mnie, z awanturą, że będę sam sprzątał. Bardzo proszę, mogę sprzątać, jeśli mi powie, gdzie schowała szczotkę. Ta sprzątaczką to jakaś oszustka! Pozamiatała byle jak, włączyła pralkę i zaraz uciekła. Potem pojawił się jakiś facet, mówił, że jest ogrodnikiem. Jaki ogrodnik w środku marca? Znowu zadzwoniłem do żony, to mi odpowiedziała, proszę pani, że zablokuje mój numer! Bo ja do niej z głupotami wydzwaniam! Skoro tak, to pogoniłem gościa. A zaraz znowu pojawił się hydraulik, listonosz, jakaś rehabilitantka, bo rzekomo Marysia potrzebuje gimnastyki korekcyjnej, obłąd jakiś! Ruch jak na dworcu! Czekałem, kiedy pod drzwiami stanie baba z cielęcina i kominiarz. Nie wiedziałem, że moja żona ma takie rozrywki, nic dziwnego, że ciągle była zmęczona. I tyle pieniędzy wydawała. Większość tych rzeczy mógłbym zrobić sam!

– To dlaczego pan nie zrobił? – zapytałam.

– Bo pracowałem! – obruszył się pan Norbert. – W firmie zarabiałem na tych wszystkich ludzi, jak się okazuje.

– No dobrze, ale żona także pracowała dotychczas w firmie i oprócz



tego zajmowała się domem. Nadzorowała tych wszystkich ludzi, dbała, żeby było co jeść, żeby ubranka dzieci były czyste i suche, żeby w domu było ładnie. Pan zobowiązał się przejąć jej obowiązki na jakiś czas, prawda? Skoro już pan je poznał, to może warto zaproponować jakieś ulepszenia? Co by pan zmienił?

– Wyrzuciłbym tych wszystkich pomocników. Po co nam ogrodnik czy sprzątaczkę? Ich pracę można wykonać samemu. Magda pojawiała się w firmie rzadko, bo większość zadań można było wykonać zdalnie. Co to za filozofia zrobić zamówienie materiałów biurowych przez internet? Tak samo powinna zorganizować się w domu. Pozamawiać co się da, niech przywiozą, a resztę zrobić sama. Wtedy dzieci cały czas pozostają w kontakcie z mamą.

– A nie uważa pan, że siedzenie całymi dniami w domu i ograniczenie się wyłącznie do kontaktów z dostawcami i własnymi dziećmi może być przytłaczające? Codziennie to samo, jak w kieracie?

– Bzdura – oświadczył stanowczo mężczyzna. – Opieka nad własnymi dziećmi to jest przecież przyjemność, a nie obowiązek. Poza tym siedzenie w domu to nie kierat. To ja miałem kierat, kiedy musiałem co rano wstawać, jechać do pracy i użerać się z klientami. Jej życie to sielanka.

– W takim razie, niech pan korzysta z tej sielanki, jak długo się da – roześmiałam się. – Lepszej okazji nie będzie!

– Pani jest niepoważna – podsumował mnie pan Norbert.

Znów usztywnił swoją postawę. Nie podobała mu się moja reakcja, powinnam przecież kajać się, przeproszać, że zachęciłam małżeństwo do zamiany ról. To doświadczenie wyraźnie go pogrążyło, bo chcąc nie chcąc jawił się on jako nieudolny i leniwy. Dlaczego ja, taka dobra mediatorka, nie rozumiałam, że to fałsz?

– Dlaczego pani tego nie rozumie? – obnażył się w końcu pan Norbert. – Dlaczego pani nie rozumie, że ta cała sytuacja sprawi, że moja żona poczuje się jeszcze gorzej i zacznie naginać rzeczywistość do swoich wyobrażeń? Będzie chciała za wszelką cenę udowodnić, że coś potrafi, i tak namiesza mi w firmie, że się nie pozbieram!

– Tego się pan obawia?

– Oczywiście! Kto potem posprząta ten bałagan? Pani?!

– Eksperyment można zakończyć w każdym momencie – uspokoiliam go. – Pan wie, że dziś po południu spotkam się z panią Magdą. Myślę, że warto byłoby zobaczyć się jeszcze raz, razem, może w przyszłym tygodniu, i zrobić podsumowanie. Co pan na to?

– Ja uważam, że nie ma sensu tego odwlekać – pan Norbert nie krył już swojej irytacji. – Spotkajmy się jutro. Albo jeszcze dziś.

– Dzisiaj się nie uda, ale jutro chętnie.

– Dobrze, to czekam na wiadomość od pani.

Odprowadziłam go do drzwi. Klementyna już warczała:

– Takich typków kastrowałabym zaraz po urodzeniu! – Ściskany w rękę kubek także odczuł jej wzburzenie. – Co za łobuz! Powinien otworzyć agencję pracy niewolniczej, tylko dla kobiet.

– Podśluchiwała pani – powiedziałam raczej dla zasady niż z pretensją.

Klementyna wiedziała, co działo się za drzwiami pokoju, nawet jeśli nie było jej wtedy w biurze. Przymykałam na to oko, bo intuicja podpowiadała mi, że mimo to mogę być spokojna o dyskrecję ze strony sekretarki.

– Nie sędzę – odparowała natychmiast Klementyna. Tym razem coś poruszyło ją bardziej niż zwykle, ponieważ zazwyczaj reagowała wzruszeniem ramion. – Drzwi są nieszczelne. Nie będę sobie specjalnie zatykać uszu, choć może powinnam, kiedy przyjmuje pani taki element u siebie!

Żołądek dopominał się swego. Spojrzałam przelotnie na wiszący na ścianie zegar. Zdążę chyba coś zjeść, zanim przyjdą następni klienci. Zerknęłam na biurko Klementyny, na którym stał talerzyk z sałatką warzywną i leżały dwie grahamki.

– Muszę coś zjeść – przerwałam sekretarce. – Idę do sklepu, zaraz wracam. Następni są za niecałą godzinę.

– Może chce pani trochę sałatki? – zaproponowała Klementyna. – Mam jej sporo, zrobiłam wczoraj ze trzy litry.

– A co to jest? – Mój żołądek reagował wcześniej niż ja.

– Trochę otrębów, warzywa strączkowe, purée z soi, olej balsamiczny i wiórki kokosowe. – Klementyna pogmerała łyżką w beżowej masie.

Sałatka budziła dość skrajne skojarzenia i najprawdopodobniej odmówiłabym konsumpcji tej dziwnej mazi, gdybym nie była tak potwornie głodna. Ostatnio jadałam bardzo nieregularnie i – co tu dużo mówić – byle jak. Ciągły pośpiech i stres zabijały we mnie ochotę na przygotowywanie wyszukanych potraw, zresztą na gotowanie niewyszukanych – także. Dziewczynki przyzwoicie jadały w przedszkolu, ja mogłam przełknąć cokolwiek i kiedykolwiek (czyli wtedy, gdy był na to czas). Dość szybko przyzwyczałam więc organizm do długich przerw między posiłkami i – zamiast ciepłych dań – spożywałam przeważnie pieczywo z jakimś dodatkiem. Pojawiające się od czasu do czasu intensywne napady głodu zjadałam przeważnie słodyczami. Czasem skusiłam się na coś, czego wcześniej nie wzięłabym do ust. Teraz sałatka Klementyny wydała mi się smaczna. Złapałam za łyżeczkę, nabrałam sporą porcję i wpakowałam sobie do buzi.

– O Boże, co za świństwo! – wyrwało mi się od razu.

Maż smakowała tak, jak wyglądała, w dodatku osadzała się na zębach niczym szybko schnący klej.

– Ale bardzo zdrowe – obraziła się Klementyna. – Czyści jelita i wypłukuje wypustki. Jeśli będzie pani to jadła przez miesiąc, nie zachoruje pani w przyszłości na raka jelita grubego.

– Jeśli miałabym jeść to przez miesiąc, to wolałabym umrzeć z głodu – oświadczyłam i odłożyłam łyżkę z obrzydzeniem. – Idę do sklepu. Kupić pani coś?

– Nie, dziękuję. – Klementyna obraziła się na dobre. – Nie zamierzam faszerować się chemią. Wystarczy, że muszę wdychać ją na ulicach.

Ubrałam się i wyszłam z biura. Na klatce schodowej facet od teczki zbierał rozsypane dokumenty. Odruchowo kucnęłam, żeby mu pomóc. Mężczyzna uśmiechnął się w podziękowaniu, ale nie powiedział ani słowa. Ja za to pomyślałam, że wyjątkowo pięknie się uśmiecha, tak ciepło i radośnie. Mnie ostatnio towarzyszyły wyłącznie smutek i zgryzota. Moja matka zamknęła się w swoim pokoju w dniu śmierci ojca i odmawiała wyjścia na zewnątrz. Podejrzewałam też, że przestała jeść, ponieważ coraz częściej taca z jedzeniem dla niej

pozostawała nietknięta. Prowadzenie biura, zajmowanie się dziećmi i matką stanowiło to dla mnie ogromne obciążenie. W dodatku mecenas Piwowar nie pozostawił złudzeń, że jej sytuacja prawna nie prezentowała się najlepiej.

Wręczyłam mężczyźnie ostatnią kartkę. Skinął mi raz jeszcze, wyprostował się i po chwili zniknął za drzwiami sąsiedniej kancelarii prawnej. Pewnie ich klient. To dlatego czasem go tu widywałam i dlatego też spotkaliśmy się w pobliżu sądów. No cóż, nawet najprzystojniejsi mężczyźni niekiedy muszą pojawić się w sądzie.

Ja również się wyprostowałam. Nie stałam tam długo, zeszłam po schodach i odwiedziłam pobliski sklep.

– Dzwonił prezes Gruszka – oznajmiła Klementyna, gdy wróciłam po kwadransie.

W sklepie kupiłam paczkę herbatników i sok pomarańczowy.

– Prosił, żeby przekazać pani, że zgodnie z ustaleniami przysyła tych dwoje we wtorek.

– Te dwie – poprawiłam ją i wyłożyłam herbatniki na talerz. – Dwie sprawy, tak? Mówił, że coś mi wyśle.

– Nie, wyraźnie powiedział, że tych dwoje – upierała się Klementyna. – Naprawdę chce pani to wypić? – zapytała, gdy nalałam sobie soku do szklanki. – Pani zdaje sobie sprawę, co w tym pływa?!

– Nie i nie chcę sobie zdawać – powiedziałam bardzo ostro.

W sklepie zastanawiałam się przez chwilę, co wybrać: porcję naleśników z serem czy kawałek paczkowanej kiełbasy. Zrezygnowałam z obu, bo przed oczami stanął mi obraz oburzonej Klementyny.

– Lubię ten sok, a żyć będę i tak tylko do samej śmierci. Niech mi go pani nie obrzydza, umieram z głodu.

– Mam jeszcze pierożki na zimno – zawsze, gdy mówiła o jedzeniu, brzmiało to tak, jakby prezentowała wyjątkowo dorodne odciski. – Jarmuż i brokuły z dodatkiem świeżego buraka, ma pani ochotę?

Sekretarka wzięła moje milczenie za aprobatę. Sięgnęła do torby umieszczonej obok biurka i wyjęła z niej szklany pojemnik wypełniony czymś czerwonosinym. Gdy zdjęła wieczko, zobaczyłam w środku zmasakrowane ślimaki. Tak to wyglądało. Klementyna

podetknęła mi swój przysmak pod nos. Chwyciłam kawałek tego czegoś w dwa palce, podziękowałam i szybko poszłam do swojego pokoju. Podejrzany pierożek wylądował w koszu. O herbatnikach oczywiście zapomniałam.

Zanim zdążyłam cokolwiek zjeść, odezwał się mój telefon.

– Nie wiem, czy pani mnie pamięta – odezwał się damski głos. – Spędziłyśmy razem trzy dni na Sycylii. Pani oglądała nasze zdjęcia...

Od razu stanęła mi przed oczami żona fotografa. Jak ona mnie odnalazła?

– Pani numer udostępnił mi pan rezydent – ciągnęła kobieta. – Mam nadzieję, że pani się nie gniewa? Chciałam panią przeprosić. Wtedy to pani miała rację. Ten człowiek, ten który tak mi zawrócił w głowie i omal nie doprowadził do rozwodu, on okazał się zwykłym bawidamkiem i dziwkarzem. Ja go też odnalazłam i okazało się, że on zmusza kobiety do takich rzeczy...

Kobieta chlipnęła do telefonu, a ja słuchałam w milczeniu. Nie odczuwałam satysfakcji z tego, że ktoś przyznawał mi rację. Żałowałam, że ona musiała tak brutalnie przekonać się, że życie bywa niezwykle okrutne. Gdy marzenie z iluzji zmienia się w rzeczywistość, boli bardziej, niż gdy nadzieje nie spełniają się wcale.

– Przykro mi – odezwałam się, bo kobieta wciąż chlipała. – Ale dobrze, że pani małżeństwo się nie rozpadło.

– Nie jest już jak dawniej – poskarżyła się kobieta. – Nic już takie nie będzie. Jak on mógł mi to zrobić?! Jak mógł!

– Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jaką krzywdę potrafią wyrządzić drugiemu człowiekowi brakiem odpowiedzialności za słowa lub czyny – odparłam. – Bezmyślność, która im towarzyszy, to lekceważenie uczuć innej osoby, to potworny grzech. Żałuję, że coraz powszechniejszy.

– A te nasze zdjęcia to się przydały – zmieniła nagle temat kobieta. – Policja do nas przyszła. Okazało się, że dzięki nim zidentyfikowali tego bombiarza.

– Cieszę się – przyznałam. – Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Nie – zaprzeczyła kobieta i mocno pociągnęła nosem. – Tak tylko chciałam zadzwonić i powiedzieć. Dziękuję.

Gdy się rozłączyła, poczułam w sobie spokój i smutek zarazem. Chciałam jej pomóc, a ona tak źle mnie potraktowała i los ją ukarał. Nie byłam zadowolona. Odczuwałam smutną satysfakcję, że znów się nie pomyliłam.

– Pani prezes, klienci przyszli – zaanonsowała Klementyna kwadrans później.

Do pokoju wkroczyła okropnie gruba kobieta i równie tęgi mężczyzna. Oboje mocno sapali, widocznie wspinaczka na pierwsze piętro stanowiła dla nich nie lada wysiłek. Odmówili jednak przyjęcia napitku zarówno zimnego, jak i ciepłego. Pani usadowiła się pod oknem, pan po przeciwległej stronie. Usiadłam więc tak, żeby móc swobodnie zwracać się do obojga, co oznaczało, że wysunęłam się z krzesłem prawie pod ścianę. Z tego, co wiedziałam, spór dotyczył wygłaszania przez pana obraźliwych opinii na temat pani.

Po przekazaniu najważniejszych informacji na temat mediacji, spojrzałam wyczekująco na klientów. Teraz to oni powinni zabrać głos. Tymczasem zapanowała cisza.

– Sąd napisał mi, że chodzi o ochronę dóbr osobistych – zaczęłam ostrożnie. – Pan jest powodem, prawda?

– Nieprawda! – zaprotestował mężczyzna i cały aż poczerwieniał na twarzy.

– W takim razie przepraszam – zawahałam się i zerknęłam do leżącego przede mną pismka z sądu. – Mam tu napisane, że pan jako powód...

– To ta pani jest przyczyną całego zamieszania! Ja nie chadzam do sądów dla przyjemności! – denerwował się pan i czerwieniał coraz bardziej. – Ja nigdy nikomu nie dałem powodu, żeby mnie obrażać, a ta paniusia właśnie to robi! To ona jest powodem!

Wywołana paniusia aż zasapała z oburzenia.

– Ja sobie wypraszam! – wysyczała ze złością. – Ja nie jestem dla tego osobnika żadna „ona”! Świń razem nie pasaliśmy!

– To pani jest świnia! – rozkręcał się czerwony ze złości klient. – Tłusta, paskudna maciora!

– Moi państwo! – przerwałam tę miłą konwersację. – Bardzo proszę nie przekraczać pewnych granic. Rozumiem, że tego typu sprawa



wywołuje duże emocje, ale utrzymajmy jakiś poziom naszej rozmowy. Proponuję, żeby pan spokojnie opowiedział, co zaszło, a gdy pan skończy, pani się do tego ustosunkuje. Zaraz potem zastanowimy się, jak ten konflikt zakończyć, zgoda?

– Ja z tym podłym knurem nie mam zamiaru się godzić – oświadczyła klientka i na poparcie swoich słów odwróciła się do stołu bokiem.

Mężczyzna tylko parsknął, szyderczo się zaśmiał i wykonał taki ruch, jakby chciał zagarnąć wszystko, co ma przed sobą, łącznie ze stołem.

– Sama pani widzi – zwrócił się do mnie. – Z k i m ś takim nie można normalnie rozmawiać. Ta pani nie trzyma żadnego poziomu.

– Odezwał się ten, co sika po klatkach – odgryzła się klientka. – A może porozmawiamy o tym, jaki poziom, przepraszam, pozycję, przybiera pan podczas sikania, co?

– A co to panią obchodzi, jak ja sikam?! – zdenerwował się na dobre klient. – Sikam, jak mi się podoba, i żadnej wrednej wampirzycy nic do tego!

– A właśnie, że to moja sprawa, bo szczysz mi na balkon, łajzo jedna!

– To powinnaś mi podziękować, że zabijam ten fetor, który stamtąd dochodzi! Przyznaj się, kogo zabiłaś i zakopałaś w tych skrzynkach? Cuchnie tak, że w promieniu kilometra wszystkie szczury zdechły, a ta mi będzie wypominać sikanie!

– Muszę dezynfekować balkon, bo ten półmózg wszystko mi zaszczął – zwróciła się pani na odmianę do mnie. – Co to za hołota się teraz do miasta nasprawdzała! Zaległo się tego tyle i nawet nie wiedzą, co to jest kanalizacja. U siebie w lepiance to lał, gdzie chciał, i nie wie taki, że po to wynaleziono klozet, żeby z niego korzystać!

– Mam remont w mieszkaniu, głupia krowo! – poinformował mężczyzna. – A przez ten smród będę musiał znów odnawiać, bo w ściany weszło!

Wysłuchałam spokojnie niezwykle interesującej wymiany zdań.

„Czy powinnam to przerwać? Owszem, ale nie od razu. Niech spuszczą z siebie trochę powietrza, niech się zmęczą, niech wyrzucą

z siebie nagromadzone emocje. Gdzie, jeśli nie tu” – pomyślałam.

W sądzie oberwaliby za to sporą grzywnę, adwokata takie szczegóły nie interesują, psycholog zamknąłby im usta po pierwszej wymianie zdań, a ksiądz nie udzielił rozgrzeszenia. Taka rozmowa w obecności rodziny, znajomych, sąsiadów czy nawet przypadkowych osób przerodziłaby się w potężną awanturę, a przecież emocje z tym związane muszą znaleźć ujście, nie należy ich tłumić. Przywykłam więc do wysłuchiwania pretensji, narzekań, oskarżeń prawdziwych i fałszywych, zwierzeń – często bardzo intymnych, przemyśleń filozoficzno-egzystencjalnych oraz pytań retorycznych z gatunku „dlaczego ja?”.

– No dobrze, to z grubsza wiem już, o co chodzi – włączyłam się, gdy energiczna para nieco się zmęczyła i pomiędzy wypowiedziami robili dłuższe przerwy. – A czy mogą mi państwo powiedzieć, co wie sąd?

I znów zapadła cisza. Doświadczony mediator powiedziałaby: „Tu was mam”. Ponieważ prawdziwe przyczyny konfliktu są zwykle błahe, ludzie wstydzą się mówić otwarcie, co zaszło. Często boją się odpowiedzialności lub posądzenia o infantylność, kłótniowość, małostkowość. „Niezgodność charakterów” lepiej brzmi niż „nie mogę na nią patrzeć, bo się roztyła”, „nie wywiązał się z postanowień umowy” to zwykle „jest mi winien tylko sto złotych, ale nie odpuszczę, bo rodzina uzna, że jestem mięczak”, z kolei sformułowanie „zostały naruszone moje dobra osobiste” może oznaczać zarówno „niech mi udowodni, że jestem złodziejem”, jak i „wcale nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam, a poza tym od dawna szukałam okazji, żeby mu dokuczyć”.

To właśnie taka swobodna wymiana zdań, szczerą rozmową w cztery oczy ujawnia, o co tak naprawdę chodzi.

– Ta osoba, o ile kogoś takiego można nazywać osobą – zaczął mężczyzna – publicznie nazwała mnie osłem, głupkiem i obszcymurkiem. Dlatego pozwałam ją do sądu.

– To prawda? – zwróciłam się do klientki. – Zrobiła to pani? Publicznie, to znaczy gdzie? Wobec kogo?

– Nazwałam go tak, bo to jest osioł, głupek i obszcymurek –

poświadczyła. – Powiedziałam to, kiedy znów obszczał mój balkon. Kilku przechodniów się roześmiało, bo trzeba być ostatnim osłem, żeby sikać na oczach ludzi.

– No! – zatryumfował klient. – Przyznała się! Przyznała się!

– Osioł – skwitowała kobieta.

– No dobrze, a czego pan oczekuje od pani? – zwróciłam się do klienta. – Przeprosin w obecności tych samych osób? Będzie trudno, skoro to byli przypadkowi ludzie.

– To niech przeprosza publicznie!

– Czyli jak? Z ambony w kościele? W telewizji, w radiu?

– Może tak być.

– Osioł – powtórzyła kobieta. – Już się rozpędziłam!

– Niech ta baba przestanie mnie obrażać!

– Niech ten osobnik przestanie wygadywać głupoty, bo szkoda czasu. Stale udowadnia, że jest osłem i głupkiem, i ja tylko stwierdzam fakt.

– Czyli pan oczekuje publicznych przeprosin – podsumowałam. – A jakiej treści?

– No, niech odwoła to, co powiedziała!

– Co pani na to?

– Mam odwołać, że jest osłem, głupkiem i obszczyturkiem?

Spojrzałam na pana, kiwnął potakująco głową. Posuwaliśmy się do przodu.

– A w jakiej formie? – znów zwróciłam się do pana.

– Ustnie i pisemnie – wyparował klient.

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Skoro obraziła pana ustnie, to sprawiedliwie będzie, jeśli przeprosiny będą w tej samej formie, nie uważa pan?

– Może i tak – zgodził się mężczyzna.

– A pani jak to widzi?

Spojrzałam na kobietę. Siedziała rozluźniona, widocznie spodziewała się, że sprawy przybiorą mniej łagodny obrót.

– Nie ma sprawy – oświadczyła pewnym siebie głosem. – Mogę stanąć na balkonie i powiedzieć głośno, że ten pan nie jest głupkiem, osłem i obszczyturkiem.

– Czy to pana satysfakcjonuje?

Tym razem spojrzałam na klienta. On także się rozluźnił i potakująco skinął głową.

– Wspaniale. – Uśmiechnęłam się. – W takim razie proszę poczekać, sporządzę ugode, którą państwo podpiszą, i dziś zamkniemy tę sprawę.

Przesiadłam się na krzesło przy biurku i szybko napisałam, co trzeba. Oboje bez sprzeciwu to podpisali, po czym się pożegnaliśmy. Zauważyłam, że z budynku wyszli razem, zatrzymali się przy zaparkowanym niedaleko oplotu, a następnie mężczyzna otworzył drzwi przed panią, a sam zajął siedzenie kierowcy. Po chwili odjechali.

– A po co on sikał na jej balkon? – zapytała nagle Klementyna, kiedy obie stałyśmy w oknie, przyglądając się oddalającej się parze.

– Wspominał coś o remoncie – mruknęłam. – Może chodziło o remont łazienki i tymczasowo korzystał ze swojego balkonu, a na jej balkon leciało? Co mnie to obchodzi? Grunt, że tak łatwo udało się znaleźć lekarstwo na jego żal!

– Myśli pani, że się pogodzą? – Klementyna wciąż patrzyła przez okno, a ja rozglądałam się za pozostawionym talerzem z herbatnikami.

– Myślę, że ona z mściwą satysfakcją wykona ugode, możliwe, że zrobi to nawet kilka razy, w czasie największego natężenia ruchu pieszego w tym miejscu. – Talerza nigdzie nie było. – Gdzie moja ciastka?

– To pewnie wróca? – Klementyna odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Raczej nie – odchrząknęłam. – Bo ten pan wkrótce zrozumie, że dla niego byłoby lepiej, gdyby przeprosiny zostały wygłoszone w bardziej kameralnym gronie. To gdzie one są?

– W pokoju obok – powiedziała Klementyna. – Ma pani gościa.

Życie zaskakuje nas na każdym kroku. Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie wizyty rudego mężczyzny, z którym przemierzałam Sycylię. Jak on mnie tu odnalazł?

– Dzień dobry. Wiem, że przyszedłem nieumówiony, ale przecież

znamy się dobrze. Mam ogromny problem i musiałem się nim z kimś podzielić – zaczął bez wstępów, gdy weszłam do pokoju. Nawet nie wstał, żeby się ze mną przywitać, lecz od razu zaczął mówić.

Poczułam, jak wzbiera we mnie niechęć do niego, z każdą chwilą coraz większa.

– Spotykałem się z pewną dziewczyną i niedawno dowiedziałem się, że pozwalała sobie ona na różne ryzykowne zachowania – mówił, a ja zastanawiałam się, czy sięgnąć po herbatnik leżący na talerzu. – Mój kolega pochwalił się bardzo odważnymi zdjęciami, na których spora grupa osób, w tym on, uprawia zbiorowo seks. Zrobiło mi się gorąco, gdy zobaczyłem ją w niedwuznacznej pozie. Wiem na pewno, że jest stałą bywalczynią różnych klubów swingerskich i ogłasza się w internecie. Normalnie, zważyło mnie z nóg i nie wiem, co robić.

Sięgnęłam po herbatnik. Krótka opowieść sprawiła, że zebrało mi się na wymioty. Nie wiedzieć dlaczego, mężczyzna wzbudził we mnie wstęt. Przyjrzałam się gościowi dokładniej. Był dość szczupły, o bardzo jasnej karnacji, rudych włosach, zielonych oczach, regularnych rysach i niezliczonej ilości piegów na twarzy. W jego ustach błyskały białe i zadbane zęby. On sam prezentował się czysto i elegancko. Z całą pewnością mogłabym powiedzieć o nim, że jest przystojny. Mimo to z każdą chwilą wydawał mi się coraz bardziej odpychający. Było to o tyle zaskakujące, że podczas wycieczki oceniałam go zupełnie inaczej.

– Ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie? – Trochę okruszków posypało się na stół. Zgarnęłam je ręką na podłogę. Starłam się nie patrzeć mu w oczy. – W czym ja mogłabym ci pomóc?

– Nie wiem – powiedział to w lekceważący sposób. Przyglądał mi się świdrującym na wylot wzrokiem. Niczym drapieżnik, który za chwilę dopadnie i rozszarpie swoją ofiarę. – Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś porozmawiać z nią, umówić się. Taki jestem zagubiony, źle mi z tym.

– W jakim celu? – kolejna partia okruszków poleciała na podłogę. – Wciąż nie rozumiem, z czym do mnie przyszedłeś. Do czego mam ją przekonać? Do przebadania się?

Mój gość zastygł na chwilę, ogromnie zaskoczony. Pomrugał

oczami, po czym roześmiał się szeroko. Istotnie, ten uśmiech mógł powalić, ale we mnie uruchamiał agresję.

– Przebadać? A po co? Nie! – Śmiał się coraz głośniej. – Chciałbym, żebyś ją przekonała, żeby przestała swingować. Nie lubię tego. Wolałbym, żeby pozostała mi wierna.

Tym razem wyplułam z siebie pół herbatnika.

– Możesz powtórzyć? – zapytałam z niedowierzaniem. – Bardzo cię przepraszam, ale ja chyba źle zrozumiałam. Oczekujesz ode mnie, że namówię dziewczynę, która sypia z połową miasta, żeby zaprzestała tego procederu i skupiła się wyłącznie na tobie, bo przeszkadza ci tłum w sypialni, tak? Po tych wszystkich wyznaniach, które czyniłeś wobec mnie, i nie tylko mnie, na Sycylii?!

– No, mniej więcej o to chodzi – ucieszył się rudzielec.

Pozostał w pozycji wyczekującej. Takiego spokojnego, rozluźnionego i bezczelnego wyczekiwania.

– Słuchaj no, kolego kochany – cedziłam słowa, jak sitkiem, ręce mi się trzęsły. – Zabieraj się stąd, póki jestem wyrozumiała. I żebyś więcej cię tu nie widziała, rozumiesz? A jeśli jeszcze kiedykolwiek twoja noga postanie w najbliższej okolicy, to znajdę cię i do końca życia będziesz kulał. Precz!

– No co ty? – Jego spojrzenie przeszywało mnie na wylot. – Zgrywasz się? Przecież to twoja praca! Nie możesz mnie wyrzucić!

– Liczę do jednego – wysyczałam przez zęby. – Zjeżdżaj stąd, bo nie ręczę za siebie!

Wstałam z impetem. Krzesło, na którym siedziałam, przewróciło się z hukiem. Otworzyłam drzwi z takim rozmachem, że omal nie wypadły z zawiasów. Klementyna spojrzała zaskoczona. W sekretariacie rozbierali się z płaszczy Ilona i Zbyszek, którzy także spojrzeli zdziwieni. Ja tymczasem równie zamasyście otworzyłam drzwi prowadzące na klatkę schodową i krzyknęłam na całe gardło.

– Jazda stąd, bydlaku jeden! Łobuzie! Ciesz się, że mamusia mnie dobrze wychowała, bo inaczej bym cię nazwała, kanalio! Już cię tu nie ma!

Rudy wyszedł spokojnie z pokoju, stanął przy biurku Klementyny i patrzył z uwagą na nią i przybyłą parę. Oparł się jednym biodrem



o kant mebla, a dłonie schował w kieszeniach, pozostawiając jedynie kciuki na wierzchu. W jego oczach malowała się bezgraniczna pogarda i pewność siebie. Spojrzał na Zbyszka i najwyraźniej licząc na męską solidarność, zwrócił się do niego.

– Zwariowała czy co? – Wzruszył ramionami, przywołując na twarz ironiczny uśmieszek. – Przychodzę z normalną sprawą, a ta się zachowuje jak wariatka. Czy wszystkie mediatorki są popieprzone?

– Tego nie wiem – odpowiedział spokojnie Zbyszek. – Ale wiem, że jeśli kobieta grzecznie prosi, żeby wyjść, to trzeba wyjść. Mam ci pomóc?

Rudzielec, który o głowę przewyższał Zbyszka, mógłby tylko roześmiać się na taką propozycję złożoną przez niewysokiego, krępego kominiarza. A jednak się wycofał. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi, ale w samym progu odwrócił się jeszcze i rzucił:

– Głupie krowy! Ją przeleciałem z litości – rzucił, pokazując na mnie palcem – ale żadnej z was nawet kijem bym nie dotknął. Idiotki!

– Pani mecenas, jeśli walnę tego palanta pięścią w nos, to pójdę siedzieć? – zapytała bardzo głośno Klementyna.

– Nie sądzę – odpowiedziałam natychmiast. – Bo przecież nie ma świadków.

Klementyna nie czekała nawet sekundę dłużej. Ruszyła w kierunku rudego, który wciąż stał w otwartych drzwiach, a w rękę trzymała dziurkacz. Zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, przyłożyła mu tym dziurkaczem w twarz. Polała się krew. Z oczu znikła bezczelność, jej miejsce zastąpiło zaskoczenie. Zaczął bełkotać coś niezrozumiale. Klementyna zamachnęła się ponownie, ale wtedy ja gwałtownie zamknęłam drzwi i dziurkacz przejechał ze zgrzytem po drewnie. Zatrzaszkując drzwi, kątem oka przez ułamek sekundy dostrzegłam kogoś wychodzącego z sąsiedniego biura.

– Co to było? – przerwała ciszę pani Ilona.

Wszyscy staliśmy jak wryci.

– Mało układny klient – podsumował Zbyszek i jako pierwszy odzyskał równowagę. Ominął swoją partnerkę oraz mnie i Klementynę i ruszył do pokoju. – Jeśli do kogoś nie dociera siła słownych argumentów, to dotrze argument siły. Brawo.

Wzięłam głęboki oddech i dołączyłam do przyjaciela, po chwili zrobiła to także pani Ilona. Sekretarka przyniosła nam herbatę – o dziwo – zwyczajną, czarną, bez dodatków. Ten incydent musiał nieźle nią wstrząsnąć.

– I co powiecie? – zapytałam, a oddech miałam jeszcze niespokojny.

Czułam w sobie niezwykłą lekkość połączoną z odczuciem, jakie pojawia się w człowieku, gdy przeżyje coś trudnego. Zupełnie jakby wyrzucenie rudzielca stanowiło symboliczny akt oczyszczenia z czegoś, co do tej pory mnie dręczyło.

– Zbyszek nie dotrzymuje obietnic – zaczęła pani Ilona. – W dalszym ciągu nic mi nie mówi, dokąd chodzi i w ogóle. Czy pani wie, że przez kilka dni nie było go w domu, mówił, że wyjechał do Grudziądza, ale ja wiem, że to nieprawda! Stale coś ukrywa, ja nie wiem, z kim on się widuje, może z jakimiś kobietami...

– Nie widuję się z żadnymi kobietami – mruknął Zbyszek. – Pracuję z ludźmi, czasem są nimi kobiety.

– Czyli jednak się widujesz! – upierała się pani Ilona.

– Po ulicy też chodzą kobiety! Sprzedają w sklepach, korzystają z metra! – zdenerwował się Zbyszek.

Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Zauważyłam, że nie dowcipkował już, jak dawniej. Stał się milczący, zamknięty w sobie. Gdzie te czasy, kiedy namawiał mnie i Betkę na wspólne wyjścia i prosił nas o porady sercowe?

– Dobrze wiesz, że nie o takie kobiety mi chodzi. – Pani Ilona położyła szczególny nacisk na słowo „takie”. – Inaczej. Ja nie wiem, czy ty nie chodzisz do jakichś bab, żeby z nimi robić różne rzeczy.

– Nie chodzę – westchnął Zbyszek.

– Skąd mam to wiedzieć? – Kobieta wzruszyła ramionami. – Stale okazuje się, że kłamiesz, nie mówisz mi prawdy. Nie mogę ci ufać!

– Kiedy nie powiedziałem prawdy? – zainteresował się Zbyszek. Był wyraźnie poirytowany.

Obserwowałam tę parę w milczeniu i zastanawiałam się, czy oni choć przez chwilę czerpią radość z bycia razem.

– Wczoraj – uniosła się pani Ilona. – Powiedziałeś, że jesteś

w pracy, a potem kolega wysłał ci SMS, że ta dziewczyna, którą razem oglądaliście, była wystrzałowa!

– Czytałaś moje SMS-y?! – Zbyszek nie krył już oburzenia. – Jakim prawem?!

– Jesteśmy razem, to mam prawo – oświadczyła sucho pani Ilona. – Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic.

– Nie mam!

– A ta wystrzałowa dziewczyna? Dlaczego mi o niej nie powiedziałaś?

– Bo zrobiłabyś scenę zazdrości!

– Bo okazuje się, że jednak spotykasz się z dziewczynami!

– Nie! – powtórzył Zbyszek.

Czekałam na moment, kiedy uderzy pięścią w stół, podziękuję pani Ilonie za wspólne życie i po prostu wyjdzie. Dawny Zbyszek by tak zrobił. Ten nowy jednak stłumił w sobie gniew i dokończył:

– Chodziło o dziewczynę, którą Mirek podglądał z komina. Kapała się w wannie, nie zasłoniła okna i mógł sobie wszystko dobrze obejrzeć.

– A ty nie patrzyłeś? – zapytała pani Ilona. Drwiny w jej głosie było tyle, że mogłaby sprzedawać ją na wagę.

– Nie, nie patrzyłem.

– Dlaczego? Coś z tobą nie tak?

– Chyba – mruknął Zbyszek.

Wciąż siedziałam w milczeniu i przysłuchiwałam się tej wymianie zdań. Jakże często słyszałam takie dyskusje. Zazdrosne partnerki zdarzały się równie często, jak zazdrośni partnerzy. One jednak były zwykle bardziej dociekliwe. Drażniły temat niczym dłutkiem, zbierały potrzebne informacje, żeby w odpowiedniej chwili zaatakować znieścacka i dopaść swoją ofiarę, nokautując ją w narożniku. Wówczas wspaniałomyślnie okazywały swą łaskę, dając do zrozumienia, że gotowe są wszystko wybaczyć. Ale nigdy nie wybaczały.

Mężczyźni, którzy przyłapali swoje partnerki na zdradzie, załatwiali sprawę prościej. Padała konkretna propozycja finansowa, ustalali z kim zostaną dzieci. Wybaczenia w tym przypadku nie było. Choć zdarzało się, że kochanek otrzymał zapłatę za uwiedzenie żony

w postaci potężnego ciosu w nos.

Spośród wszystkich zmagających się ze zdradą par, z którymi dotychczas miałam do czynienia, tylko w jednej nastąpiło prawdziwe wybaczenie. Może dlatego, że para ta zaprosiła do swojego małżeństwa zarówno kochankę, jak i kochanka.

– Inaczej – ciągnęła pani Ilona. – Powiedz mi szczerze, że podglądałeś tę dziewczynę, bo chciałeś się z nią później przespać. Wtedy ci wybaczę i zapomnimy o sprawie.

– Nie chciałem! I nie podglądałem jej! – zdenerwował się Zbyszek.

Zrobiło mi się go żal. Ktoś patrzący z boku mógłby mieć pretensje, dlaczego mediator na to pozwala, dlaczego nie interweniuje! Dlatego, że każdy z klientów powinien sam podjąć decyzję, co dalej. Mediator nie jest obrońcą uciśnionych, który weźmie w obronę każdego, kto został źle potraktowany. Wtrącałam się dopiero wówczas, gdy ludzie dokuczali sobie w sposób urągający ich godności, usiłowali się pastwić, dręczyć, przenieść arenę konfliktu do mojego biura. Lecz w sytuacji, gdy wylewali wzajemne żale, nie interweniowałam. W końcu kiedyś te słowa powinny być paść. I to, że Zbyszek był moim przyjacielem, nie zmieniało postaci rzeczy. Wykonywałam swoją pracę.

– Twój kolega podglądał, a ty nie? – nie ustępowała pani Ilona. – To była brzydka dziewczyna? Inaczej. Nie chciałeś jej podglądać, bo ci się nie podobała, czy dlatego, że już spotykasz się z inną?

– Spotykam się tylko z tobą – Zbyszek słabł w tej rozgrywce. – Nie sypiam z innymi kobietami.

– Ja nie mówię o sypianiu. Ja mówię o podglądaniu.

– Nie podglądałem jej, bo nie wszedłem na dach – uciął Zbyszek. – Przyszliśmy tu, żeby mówić o jakiejś gołej dziewczynie?

– Gdybyś mówił prawdę, to nie musielibyśmy w ogóle tu przychodzić – zaatakowała znów pani Ilona. – Nie mówiłeś, że była goła. Czyli jednak ją widziałeś!

– Nie widziałem! Była w wannie! Nie kąpała się przecież w ubraniu!

– Skąd wiesz, że się kąpała?

– Bo Mirek mi powiedział! Jak rany, odczep się od tej dziewczyny!

– Dlaczego? Zależy ci na niej? Wolałbyś kapać się z nią, a nie ze mną?

– Nie wolałbym, bo jej nie znam!

– Czyli, jeśli poznałbyś ją, to byś wolał?

– Nie!

– Inaczej. Jeśli zamiast Mirka, ty byś wszedł na dach i zobaczył tę dziewczynę, to chciałbyś się z nią kapać?

– Mam dość. – Zbyszek w końcu nie wytrzymał.

Wstał i zrobił gest, jakby chciał wyjść. Ponieważ nie zareagowałam, obserwując, co robi pani Ilona, Zbyszek też zastygł w miejscu. Tymczasem jego partnerka upiła łyk herbaty i lekko skłęsa w sobie. Dotarło do niej, że znalazła się bardzo blisko pewnej cienkiej, niedostrzegalnej granicy, której przekroczenie mogłoby być niebezpieczne. Oboje odgrywali swoisty teatr. On udawał, że wychodzi, ona udawała, że nic sobie z tego nie robi. Wszystko trwało może kilkanaście sekund. Zerknięcie obojga w moją stronę to była wyraźna informacja dla mnie, że pora wejść w rolę.

– Zbyszku, spokojnie – powiedziałam ugodowym tonem. – Pani Ilonie po prostu bardzo na tobie zależy. Odrobina zazdrości jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Pani Ilono, wydaje mi się niewłaściwe, że pani przegląda korespondencję Zbyszka, tym bardziej, że jej treść wcale nie sugeruje zdrady. Umówiliśmy się ostatecznie, że będzie pani więcej mu ufać, a Zbyszek postara się nie trzymać wszystkich swoich spraw w tajemnicy. Tylko taka postawa zapewni wam zgodne współzycie. W przeciwnym wypadku będzie to koszmar.

– Zgadzam się – poświadczyła pani Ilona.

Zbyszek pokiwał głową.

– Jeśli on będzie mi wszystko mówił, to ja nie będę miała powodu, żeby mu nie wierzyć!

– Mówię ci wszystko – westchnął Zbyszek. – Nigdzie nie chodzę, nikogo nie widuję, nie patrzę na żadne kobiety...

– Patrzyłeś wczoraj na ekspedientkę w obuwniczym!

– Bo pytała mnie o rozmiar buta! Miałem patrzeć w sufit, gdy do mnie mówiła?!

– Mogłeś patrzeć bardziej bezosobowo.

– Ja zwariuję – oświadczył Zbyszek, po czym usiadł.

– Inaczej. Mogłeś potraktować ją bardziej obojętnie, a ty się na nią gapieś, zupełnie, jakby cię interesowała.

– Pani Ilono, domniemanie to nie pewność, a podejrzenia to nie dowód – wtrąciłam się. – Czy dysponuje pani materiałem, który ponad wszelką wątpliwość potwierdza, że Zbyszek panią zdradza?

Kobieta założyła gwałtownie nogę na nogę, co świadczyło o tym, że czuje się mniej pewnie. Jej postawa zapowiadała przystąpienie do kontrofensywy, bo dotknęłam czułego punktu.

– Gdybym miała pewność, że mnie zdradza, to już byśmy się rozstali. Natychmiast – oświadczyła, marszcząc brwi. – Nie mam żadnego konkretnego dowodu, ale przecucie zwykle mnie nie myli.

– Przecucie czego? – dopytywałam się.

Pani Ilona skrzyżowała ręce na piersi.

– Przecucie, że chce to zrobić.

– Czyli pani zdaniem to jest tylko kwestią czasu, kiedy Zbyszek panią zdradzi?

– Raczej tak – odparła partnerka kominiarza. Nie patrzyła ani na mnie, ani na Zbyszka. W chwili, gdy to powiedziała, skuliła się w sobie. – Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Inaczej. Ja zawsze spotykam mężczyzn, którzy mnie zdradzają.

Zdiagnozowanie problemu to więcej niż połowa sukcesu. Ludzie wstydzą się swoich oczekiwań i potrzeb. Zapominają, że samych siebie nie są w stanie oszukać, a wieczne usprawiedliwianie własnych błędów wyimaginowanymi przyczynami sprawia, że problemy się nawarstwiają. Wtedy pozostaje już tylko poszukać innego winowajcy.

– A może przyczyna tkwi w pani, nie w tych mężczyznach? – Ostatni cios był śmiertelny, wiedziałam o tym.

W takiej chwili wszystko się rozstrzyga. Albo nastąpi przełamanie, czyli rozprawienie się z problemem, albo osoba pozostawi go w sobie na zawsze.

– Dlaczego we mnie? – zdziwiła się pani Ilona. – Czy ja robię coś złego? To, że wymagam szczerości, jest naganne? Inaczej. Uważam, że każdy mężczyzna ma skłonność do zdrady i jeśli stworzy mu się dogodną okazję, to ją wykorzysta. Inaczej. Mężczyzna, który nie czuje



na sobie oddechu swojej kobiety, zawsze może zbłądzić.

– A nie wydaje się pani, że mężczyzna, który wiecznie czuje na sobie pani oddech, ma ochotę od tego uciec? Właśnie w ramiona innej kobiety?

– To znaczy, że Zbyszek mnie zdradza – zatryumfowała pani Ilona. W jej oczach dostrzegłam iskierki radości. – Pani coś wie!

– Wiem tyle, że każda przesada może być zabójcza. Co proponujecie?

Popatrzyłam na Zbyszka, który zrozumiał mnie bez słów. Pochylił nisko głowę. Wiedziałam, że podjął już decyzję. Podczas pogrzebu ojca oddał mi klucze. Znów chwilowo pomieszkiwał u Betki, później wracał do Ilony.

Pani Ilona opuściła ramiona i założyła nogę na nogę w taki sposób, że czubek jej buta dotykał kolana Zbyszka.

– Ja chcę, żeby Zbigniew jeszcze raz zainstalował sobie w telefonie aplikację, dzięki której będę wiedziała, gdzie on jest.

– Znowu chce go pani śledzić?

– Nie, chcę wiedzieć, gdzie jest.

– Dobrze – mruknął Zbyszek tak cicho, że ledwo go usłyszałam. – Dobrze.

– Skoro tak, to sędzę, że sprawa jest zamknięta.

Wstałam, dając sygnał, że spotkanie zakończone. Wiedziałam, że Zbyszek potrzebuje czasu na znalezienie nowego lokum dla siebie i swoich lamp. Aplikacja utrudni zachowanie w tajemnicy tych poszukiwań. Najwidoczniej uznał on jednak, że zgoda zapewni mu odrobinę spokoju w domu. Pani Ilona wstała z ociąganiem. Dopija herbatę, po czym, niby od niechcienia, powiedziała:

– Jutro wieczorem jadę do mamy, wrócę w niedzielę. Chciałabym, żebyś nie wychodził z domu pod moją nieobecność.

– Przecież muszę iść do pracy! – zaprotestował Zbyszek.

– W sobotę i niedzielę możesz zostać w domu. Jak mam ci wierzyć, skoro chcesz sobie stwarzać okazje do zdrady?

Otworzyłam już drzwi od pokoju, w sekretariacie oczekiwała na spotkanie pani Magda.

– To sobie ustalcie już sami – poleciłam parze prawie niegrzecznie.

– Przepraszam, ale klientka czeka.

Zbyszek i Ilona wyszli, a ja gestem zaprosiłam panią Kwiatkowską do pokoju. Kobieta zmieniała się nie do poznania. Poprzednio słuchałam narzekań zgaszonej i dość nijakiej osoby. Teraz do pokoju wkraczała pewna siebie, efektowna brunetka, przy której wydałam się sobie przeciętna, zaniedbana, brzydka. Od razu pożałowałam, że nie założyłam dziś butów na obcasach.

– Wygląda pani na zmęczoną – zaczęła pani Magda. Nawet jej głos brzmiał inaczej. Bardziej dźwięcznie, głośniej.

Klientka przyjęła od Klementyny kubeczek z naparem z rumianku w taki sposób, że sekretarka wycofała się na paluszkach.

– Tak, mam dziś sporo pracy. – Uśmiechnęłam się blado.

Od rana nie znalazłam chwili na przerwę, a za niecałą godzinę powinnam pędzić do przedszkola po dziewczynki.

– Popełnia pani ten sam błąd, co ja. – Pani Magda odwzajemniła uśmiech. – Ja też pozwoliłam, żeby mąż zaprzął mnie w kierat. Na szczęście, dzięki pani, jestem teraz kobietą wyzwoloną i wreszcie mogę cieszyć się życiem.

– Co to znaczy? – Spojrzałam na nią z politowaniem.

Jeszcze niedawno płakała, że mąż ogranicza ją w rozwoju, a teraz raptem stała się kobietą wyzwoloną, która podbija świat. Dlatego, że odwiedziła fryzjera i kosmetyczkę?

– Mój mąż, niebawem były, mam nadzieję – zaczęła pani Magda, popijając herbatę z kubka. – Otóż on uważał, że najlepszym dla mnie miejscem będzie dom, a szczytem marzeń – wychowywanie dzieci. Dlaczego? Bo jestem kobietą i mój wrodzony instynkt macierzyński o tym przesądza. Nie przeczę, dzieci to najpiękniejsze wyzwanie, które spotyka kobietę w życiu, ale nie jedyne. Dlaczego kobieta, która postanawia urodzić dziecko, wydaje na siebie wyrok dogorywania w domu, przy garach? Dlaczego ustalony porządek nie miałby ulegać zmianie co pewien czas? Na przykład, gdy skończy się okres karmienia, to ojciec zostaje w domu, przy nocnikach, a matka realizuje się zawodowo? Dlaczego musimy być skazane na tę przeklętą powtarzalność zdarzeń: śniadanko, przedszkole, sprzątanie, pranie, gotowanie, obiadki, odebranie z przedszkola, zabawa, kolacja,

wieczorne mycie, dobranocka, spanie. Codziennie to samo. Każda chwila wyliczona, czas wolny po dwudziestej drugiej, o ile nie czeka cerowanie.

– Sporo kobiet godzi pracę w domu z pracą zawodową – przerwałam jej.

– Tak, godzi jedno z drugim, bo nie może zrezygnować, prawda? – Pani Magda znów się roześmiała. – Jeśli ojciec wróci po północy podпиты, ze służbowej kolacji na mieście, to wszystko gra, ale jeśli to samo zrobi kobieta, matka dzieciom, to już grozi jej zarzut, że zaniedbuje dzieci.

– Często jest to wybór samych kobiet – sprzeciwiłam się.

– Owszem, to prawda – przytaknęła pani Kwiatkowska. – Ale na ile świadomy? A na ile wymuszony przez okoliczności? Na przykład przez oskarżycielskie spojrzenia teściowej, bo gdy kobieta wychodzi wieczorem z domu, zwykle raz od wielkiego dzwonu, to tatuś woła swoją mamusię na pomoc. Jakoś nie działa to w drugą stronę. Gdy tatusia nie ma, kobieta nie dzwoni po swoją mamusię, tylko sama panuje nad sytuacją.

– No cóż. – Wzruszyłam ramionami. – Żyjemy w społeczeństwie patriarchalnym. Kobiety wbrew pozorom wcale z tym nie walczą. Gdy przychodzi do podziału opieki nad dziećmi w sądzie, to najchętniej przyjąłby na siebie obie role, ojca i matki. Niezwykle rzadko zabiegają to, żeby mężczyzna w równym stopniu uczestniczył w wychowaniu dzieci. Problemem staje się dla nich rozszerzenie kontaktów o jedno popołudnie, mimo że narzekają, że są przepracowane. To utrwala stereotyp, o którym pani mówi.

– Zgadza się. – Pokiwała głową pani Magda. – Głupi paradoks. Ale ja nie chcę tak żyć. Wiem, że mój przyszły były mąż protestuje, bo teraz okazało się, że ja świetnie radzę sobie w prowadzeniu firmy, a on nie może zapanować nad dwójką dzieci. Przekonał mnie, że nie byłam mu żoną, partnerką, osobą ukochaną, ale pracownicą na etacie opiekunki do dzieci i gosposi, która trochę pomagała w firmie. Jest zły, bo dobry pracownik się zbiesił i musi szukać za mnie zastępstwa. On nie stara się zatrzymać mnie, lecz moje ręce.

– Trafnie powiedziane – przytaknęłam. – Ale ja upomnę się

o dzieci. Pani chce spełniać swoje marzenia, a co z nimi?

Pani Magda odstawiła kubek i milczała przez chwilę.

– Ma pani rację – powiedziała poważnie. – Powinnam zrobić to wszystko, zanim się urodziły. Ustalić z mężem, kto, w jakim czasie i zakresie będzie pracował, kto zajmie się dziećmi. Mimo to uważam, że jeśli zostawiłabym wszystko po staremu, tylko po to, żeby zachować wobec nich pozory, wyrządziłabym im większą krzywdę. Wolę, żeby widziały mnie szczęśliwą.

– Tylko, że teraz widzą, że ich ojciec jest nieszczęśliwy – podsumowałam. – Co pani zamierza? Wyprowadzić się?

– Ja? Dlaczego ja? – jej zdziwienie było tak naturalne, że ja się zdziwiłam.

– Bo to pani chce wprowadzać zmiany w swoim życiu – odparłam.

– Wykluczone – powiedziała stanowczo pani Magda. – Norbert będzie musiał znaleźć sobie mieszkanie. Nie porzucę dzieci! Jestem dobrą i odpowiedzialną matką. Wiem, co dla moich dzieci jest najlepsze.

– Czyli wyznaczy mu pani rolę opiekunki na godziny? Będzie pojawiał się o określonych porach, żeby zająć się dziećmi? Wtedy gdy pani zechce realizować się zawodowo? Myślę, że powinna pani być konsekwentna. Skoro zależy pani na zyskaniu większej swobody, proponuję wyprowadzić się i ustalić harmonogram widzeń z dziećmi. Dla was obojga. Jako dobra matka zdaje pani sobie sprawę, że dzieci powinny w najmniejszym stopniu odczuć te zmiany.

Pani Magda zupełnie przestała się uśmiechać. Wstała, popatrzyła na mnie chłodno, odwróciła się i wyszła z pokoju. Tuż przed drzwiami zatrzymała się i powiedziała:

– Pani powinna bardziej o siebie zadbać. Chyba przepracowuje się pani, bo widać zmarszczki i cienie pod oczami. Odezwę się w przyszłym tygodniu i powiem, jakie są moje oczekiwania. Żegnam.

– Ma baba tupet! – podsumowała ją Klementyna.

Ja tymczasem spojrzałam na zegarek. Dochodziła czwarta.

– Pani Klementyno, proszę pozamykać, pędzę do przedszkola, znów jestem spóźniona! – wyrzucałam z siebie komunikaty i w pośpiechu zbierałam się do wyjścia.

Wbiegłam do pokoju po torbę, zamotałam się w szaliku, omal nie zabrałam ze sobą krzesła, które zaplątało się w poję płaszcz. Klementyna przyglądała mi się z politowaniem.

– Ta ostatnia to wariatka, ale jedno trzeba jej przyznać – powiedziała sekretarka. – Każdy musi znaleźć czas dla siebie, żeby odpocząć, rozerwać się, zabawić. A jeśli tego nie potrafi, to jest skończonym głupkiem.

– Łatwo powiedzieć – stęknęłam, pozbywając się upartego krzesła.  
– Z czego powinnam zrezygnować, żeby mieć czas na fryzjera i paznokcie? Z dzieci? Z pracy? Z opieki nad matką? Tak to już jest i trzeba umieć sobie radzić.

– Nie sądzę – cmoknęła Klementyna. – Trzeba umieć stawiać granice, żeby życie nie wlaźło człowiekowi na głowę!

– Dobrze, dobrze. – Otwierałam już drzwi. – W poniedziałek będę rano, do widzenia.

\*\*\*

Wybiegłam z biura w pośpiechu, o włos minęłam znajomego mężczyznę z teczką, który odruchowo zrobił unik, gdy mnie zobaczył. Dlaczego zawsze się spotykamy, gdy ja się tak śpieszę? Gotów uznać, że jestem nerwowa! Zresztą, co mnie obchodzi jego opinia! Muszę wymyślić coś dla tej okropnej baby z przedszkola. Jest pięć po czwartej, na miejsce dotrę najwcześniej za piętnaście minut!

– Pani poszła już do domu – powitała mnie Laura. Obie z siostrą siedziały w szatni, w towarzystwie woźnego. Gdy przyszedłam, mężczyzna wstał i odszedł bez słowa. – Wszyscy poszli już do domu, dlaczego my ciągle tu sterczymy?

– Wcale nie sterczycie – odparłam, podając Basi kurtkę. – Nie rozumiem, dlaczego w tym przedszkolu tak szybko kończą pracę, gdzie indziej jest czynne nawet do osiemnastej. Ja też pracuję.

– To przenieś nas do gdzie indziej – zaproponowała ochoczo Basia.  
– A gdzie to jest?

– W nosie – odpowiedziała jej natychmiast Laura, za co ją ofuknęłam.

Wyszłyśmy na dwór. Przypomniałam sobie, że w domu niewiele jest do jedzenia, ruszyłam więc w kierunku pobliskiego sklepu.

– Mamo, dlaczego my nie mamy taty? – zapytała nagle Basia, gdy zastanawiałam się, czy kupić żółty ser, czy szynkę w plastrach.

Pytanie padło nagle i tak mnie zaskoczyło, że przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Stojąca obok kobieta popatrzyła na mnie wymownie.

– Ależ macie tatę, tylko że on wyjechał – odpowiedziałam. Bardzo starałam się, żeby mój głos zabrzmiał spokojnie.

Ser i szynka wylądowały w koszyku.

– A dokąd? – dociekało dziecko.

Ruszyłam w stronę stoiska ze słodyczami.

– Daleko, bardzo daleko. Może kupimy czekoladę?

– Do gdzie indziej? Czy dalej? Kup mleczną. I tę z orzechami. I tamtą zieloną.

– Jeszcze dalej niż do gdzie indziej. Proszę wybrać po jednej.

– Mamo, a dlaczego tata pojechał? Porzucił nas?

– Nie, skądże. Po prostu musiał wyjechać. Po jednej oznacza, Basiu,



że bierzesz do rączki jedną tabliczkę i wrzucasz ją do koszyka. Tę drugą czekoladę proszę odłożyć.

– A kiedy wróci?

– Za jakiś czas, ale jeszcze nie teraz. Nie, nie kupimy tych batonów, bo kupujemy czekoladę, proszę odłożyć to na półkę.

– Później?

– Tak, później. Idziemy do kasy.

Przy kasie okazało się, że zupełnie przypadkowo w naszym koszyku znalazła się jeszcze torba cukierków i guma do żucia. Przez chwilę się zawahałam. Wtedy Laura zapytała:

– Mamo, a to prawda, że tata cię porzucił? Pani w przedszkolu pytała, czy jesteśmy smutne z tego powodu.

Okropne babsko, które słyszało wstęp do naszej rozmowy, nagle wyrosło tuż za moimi plecami. Machnęłam ręką na słodycze, byle prędzej wyjść ze sklepu.

– Nikt nikogo nie porzucił – powiedziałam trochę za głośno, bo teraz przyglądało mi się już kilka osób. – Co za głupstwa wygadujesz! Idziemy!

– Babcia też tak mówiła – wtrąciła się Basia. – Że wszyscy cię porzucą, bo jesteś odpychająca. Co to znaczy odpychająca?

– To znaczy, że jeśli zaraz nie wyjdziemy z tego sklepu, to zacznę was obie popychać!

Roześmiałam się sztucznie i udałam, że pcham własne dzieci w stronę drzwi. Laura zagapiła się, pod wpływem mojego ruchu straciła równowagę i się przewróciła. Czułam na sobie świdrujący wzrok klientów i obsługi sklepu. Szybko postawiłam córkę na nogi i pociągnęłam ją za sobą. Basia, trochę przestraszona, ruszyła za nami. Dotarliśmy do samochodu, posadziłam dziewczynki na miejscach i ruszyłam. Głowa pulsowała mi tak mocno, jakby miała za chwilę eksplodować. Oczywiście, dokładnie w tej chwili zadzwonił telefon.

– Zbyszek nie był tam, gdzie miał być – kwiczała pani Ilona. – Mówił, że jedzie do klienta na Belwederską, a był na Chmielnej. On mnie jednak zdradza!

– Pani Ilono, prowadzę auto, proszę zadzwonić jutro!

– On ciągle kłamie i mnie zdradza! Wiedziałam! Jadę do mamy i zostanę tam tak długo, aż on się nie zmieni!

– Dobrze, niech pani jedzie, do widzenia.

Telefon upadł pod siedzenie. Do końca jazdy dzwonił jak wściekły, moja głowa pękała w szwach, miałam ochotę uderzyć w najbliższe drzewo.

Dziewczynki zjadły kolację same, przed telewizorem. Tłumiąc w sobie poczucie winy solenną obietnicą, że to tylko dziś, wyjątkowo, posadziłam je z kanapkami na talerzach i włączyłam kreskówkę. Przeczekałam kwadrans w kuchni, w samotności, po czym wróciłam do dzieci.

– Mamo, czy babcia pójdzie do piekła? – zapytała Basia, gdy kładłam je spać po kąpieli.

– Oczywiście, że nie! Co ci przyszło do głowy! – Postukałam palcem w jej małe czółko.

Basia mościła się już w swoim łóżku, a Laura przeglądała książki z bajkami. Co wieczór wybierały lekturę. Ich księgozbiór składał się z ponad trzydziestu pozycji, one jednak zawsze wybierały to samo. Lecz kiedy postanowiłam usunąć pozostałe książki, jako zbyt cenne, stanowczo zaprotestowały.

– Tym razem poczytamy to – oświadczyła Laura.

Bajka o Różowej Księżniczce. Wszystkie trzy znałyśmy ją na pamięć, mimo to musiałam przeczytać wszystko, pokazać każdy obrazek i wysłuchać komentarzy, które zawsze były takie same.

– Pewnego razu, w pewnym królestwie żyła sobie pewna królewna... – zaczęłam. – Ponieważ zawsze ubierała się na różowo, poddani nazywali ją Różową Księżniczką.

– Pokaż obrazek – zażądała Basia. Wykonałam polecenie, prezentując obu dziewczynkom podobiznę królewny. – Ona ma zęza.

– To nie zez, tylko takie ma oczy – zwróciła jej uwagę siostra. – Nie można się z nikogo wyśmiewać.

– Słuchajcie dalej. Księżniczka uwielbiała różowe landrynki i różowe gumy do żucia i całe dni spędzała na robieniu różowych balonów...

– Pokaż obrazek! Ona jest gruba.

- Ona nie jest gruba, tylko taka się urodziła.
- Pewnego dnia księżniczka postanowiła zrobić największy balon na świecie. Włożyła do buzi cały zapas gumy do żucia i zaczęła żuć. Żuła i żuła, i żuła, a potem dmuchała i dmuchała, i dmuchała. Balon urósł tak wielki, że uniósł księżniczkę w powietrze.
- Pokaż obrazek. Ona nie ma jednej nogi.
- Ma nogę, tylko schowaną.
- Nie ma, bo nie widać na obrazku!
- Ma, ale jest schowana!
- Cicho! Słuchajcie dalej. Księżniczka wznosiła się coraz wyżej i wyżej, a ziemia pod jej stopami robiła się coraz mniejsza i mniejsza. Nieszczęsna księżniczka była przerażona, ale bała się oderwać od balonu.
- Pokaż obrazek.
- Balon unosił ją coraz dalej i dalej od jej królestwa. Przelatujące ptaki potrącały ją skrzydłami, a chmury patrzyły ze zdziwieniem na wielką, różową chmurę, która płynęła wraz z nimi po oceanie nieba.
- Mamo, kiedy ją zabiją sekatorem?
- Dlaczego sekatorem?
- Bo tak jest pokazane na obrazku.
- To nie jest sekator, tylko wstążeczka, która powiewa przywiązana do jej szyi.
- Wygląda jak sekator babci.
- Babcia zgubiła sekator. Mówiła, że ta głupia baba z sąsiedztwa jej ukradła.
- Dziewczyny, przestańcie. Chcecie słuchać dalej czy nie?
- Chcemy.
- Księżniczka doleciała do królestwa, które z dołu wyglądało jak ogromna układanka z papieru. Balon na chwilę zawisł w powietrzu, więc Różowa Księżniczka postanowiła skorzystać z okazji i oderwała się od niego. Spadła w papierowe fiołki, które rosły na papierowym polu.
- Pokaż obrazek. Robiłam takie kwiatki z krepiny, w przedszkolu. Pani powiedziała, że ładnie.
- Ja też robiłam, ale taki chłopak z trzeciej grupy mi je zniszczył.

- Dlaczego? Powiedziałaś pani?
- Tak, a pani powiedziała, żebym nie była histeryczką, bo to tylko kwiatek. A on mi ładnie wyszedł i było mi szkoda.
- Przykro mi, zrobiłaś następny?
- Tak, ale już nie był taki ładny.
- A mój pani powiesiła na ścianie!
- Gratuluję, kochanie. Laruś, nie martw się, jeszcze niejeden piękny kwiatek zrobisz, jestem pewna. Czytam dalej...

Zanim doszłam do końca skomplikowanych losów Różowej Księżniczki, obie córeczki smacznie spały. Czasem zastanawiam się, czy kiedykolwiek dowiedzą się, jak skończyła się ta historia. Ja już wiem, z ciekawości przeczytałam ją całą pewnego wieczora, gdy dziewczynki już zasnęły.

\*\*\*

Poniedziałek rozpoczął się od śpięcia w przedszkolu. Okazało się bowiem, że – ze względu na awarię instalacji wodno-kanalizacyjnej – dzieci trzeba odebrać do południa. Żegnałyśmy się z marsowymi minami. Tego dnia zamierzałam dużo działać. Kilka spotkań, w tym długo odkładane z mecenasem Piwowarem.

Tuż przed wejściem do budynku, w którym mieściło się moje biuro, ulicę tarasował samochód osobowy oraz stojący przy nim facet, który krzyczał do kobiety, stojącej nieco dalej, po drugiej stronie.

– Dlaczego idziesz w przeciwnym kierunku? – wrzeszczał mężczyzna. – To nie tam!

– Będę chodziła, gdzie mi się podoba! – odkrzyknęła kobieta. – Nic nikomu do tego, którą chodzę!

– Zadzwoń! – wrzeszczał mężczyzna. – Zadzwoń do mnie do pracy! Przejżdżający samochód zagłuszył część wypowiedzi.

– Dobrze! Ale o której?

– Co?

– O której?

– Co o której?

– O której zadzwonić?!

– Zaraz! Zaraz tam będę!

– O której?

– Zaraz!!!

Ich krzyki co chwilę były zagłuszane klaksonami i szumem przejeżdżających samochodów, które ostrożnie mijały parę slalomem. Nie zwracali na to uwagi i w dalszym ciągu się wydzielali:

– Czego ty chcesz?!

– Zejdź już z ulicy!

– Ja teraz idę do mediatora!

– Nic nie słyszę! Co ty chcesz?! Idź do tej mediatorki!

– Do mediatora idę!

– To zadzwoń!

Udało mi się bezpiecznie zaparkować. Wyszłam z samochodu i niepochlebnie skomentowałam krzyczących. Mężczyzna powiedział coś, co zagłuszył hałas ulicy.

W biurze Klementyna powiadomiła mnie, że musi dziś wyjść trochę

wcześniej, bo przygotowuje się do wykonania próby skoku ze spadochronem i stosowne zajęcia rozpoczynają się o piętnastej. Kiwnęłam głową na zgodę i rozejrzałam się nerwowo po pokoju. Zegar wskazywał dziesięć po dziewiątej.

– Czy klienci z dziewiątej uprzedzali, że nie przyjdą? – zwróciłam się do sekretarki.

– Nie wiem – odparła. Leżała na plecach w pozycji z uniesionymi wysoko nogami – Nikt nie dzwonił.

– To niech pani zadzwoni. – zarządziłam. – Muszę przywieźć dziś dzieci tutaj, w przedszkolu awaria.

– Dzieci w pracy? – skrzywiła się Klementyna. – Zwłaszcza takiej pracy?

Słowo „takiej” zaakcentowała mocnej. No tak, moje biuro to przecież dom schadzek!

– Jakiej „takiej”? – zdenerwowałam się. – W przedszkolu awaria, moja matka nie może się nimi zająć, to będą tutaj. Nic strasznego się tu nie dzieje.

Klementyna podciągnęła wyżej nogi, ominęłam ją i weszłam do pokoju. Na blacie znalazłam zaadresowaną do mnie, zaklejoną kopertę bez znaczka. W środku znajdowała się wyrwana z zeszytu kartka, na której ktoś napisał niezgrabnie:

*Muszę pilnie spotkać się z Panią. To ważne.*

*Być może już więcej się nie zobaczymy. Pozdrowienia z Sycylii.*

Brakowało podpisu. Mogłam jedynie domyślać się, że napisał to rezydent. Bo kto inny?

Tymczasem pojawili się klienci. W mężczyźnie od razu rozpoznałam tego, który wrzeszczał na dole. Przywitał się równie głośno i powiedział z pretensją, że nie miał gdzie zaparkować. Kobieta, która weszła razem z nim, się nie odzywała. Była to postawna brunetka o surowym wyrazie twarzy, przywodząca na myśl bardzo wymagającą nauczycielkę. Weszliśmy do mojego pokoju.

– Poprosiłbym o interwencję w sprawie naszego związku – oświadczył mężczyzna, gdy wygłosiłam swój monolog.



Przyjrzałam się mu. Idealnie przeciętny facet, mógłby dokonać napadu na bank i prawdopodobnie nikt nie potrafiłby dokładnie opisać, jak wyglądał napastnik. Średniego wzrostu, średniej budowy ciała, włosy takie mysie i rzadkie, oczy wyblakłe, twarz bez wyrazu, żadnych znaków szczególnych. Facet widmo. Może dlatego tak wrzeszczał?

– A co się dzieje? – zapytałam z troską.

Nie wyglądali mi na rozwodników. Do siebie odnosili się z wyraźnym szacunkiem. Gdyby nie krótka scenka przed budynkiem, opisałabym ich jako raczej grzecznych – choć mężczyzna był dość głośny.

– Mój mąż posiada interesującą skłonność do przebierania się za kobietę – wyjaśniła klientka.

Kiwnęłam głową ze zrozumieniem i – przyjmując to oświadczenie za wyczerpujące temat – zapytałam, jakie warunki rozwodu ich interesują. Oboje spojrzeli na mnie zdziwieni.

– My nie chcemy się rozwieść, w tym rzecz – powiedział mężczyzna.

Jego żona przytaknęła.

Zapadła cisza. Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się, co mi umknęło.

– To na czym ma polegać moja interwencja? – zapytałam ostrożnie.

– Ta skłonność pani nie przeszkadza?

– Nie, zupełnie nie. – Jej zdziwienie było autentyczne.

Jak mogłam przypuszczać, że przebieranie się męża za kobietę może stanowić przyczynek do rozwodu!

– Każdy ma jakąś słabość, a Paweł po prostu lubi damskie ubrania, to wszystko. Nie w tym problem – ciągnęła żona. – On postanowił, że będzie się tak pokazywał publicznie!

– Rozumiem – powiedziałam. – Nasze społeczeństwo jest dość konserwatywne i uważa pani, że tego typu demonstracja to wyraźna przesada. Co innego ubierać się w sukienki w domu, a co innego paradować w nich na ulicy.

– Nic pani nie rozumie! – zirytowała się kobieta. – Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby on chodził w sukienkach po mieście! Co mnie

to obchodzi? Czy ja z nim chodzę? Nie!

– To gdzie leży sedno? – zapytałam bezradnie.

Para popatrzyła na siebie w taki sposób, jakby nawzajem pytali się, czy aby na pewno trafili do odpowiedniego mediatora. Może należało skorzystać z pomocy kogoś obdarzonego inteligencją.

– Mój mąż, Paweł, ma taką skłonność od dawna i wcale się z tym nie kryje – zaczęła mówić kobieta. Wolno i spokojnie, jak do idiotki. – Wielu naszych znajomych o tym wie, bo Paweł często ubiera się w sukienki i wówczas nazywamy go Natałką. Sprawy się skomplikowały, gdy w jednym z klubów poznał Samantę. To też jest mężczyzna podający się za kobietę, ale Samanta nie ma żony, więc problem nie istnieje. Oboje z Samantą robią zakupy, spędzają na tym bardzo dużo czasu i w tym cały problem. Czy teraz pani rozumie?

Kiwnęłam głową potakująco. Zrobiłam to tak energicznie, że coś strzyknęło mi w szyi. Oczywiście wciąż byłam ciemna jak tabaka w rogu. O co, do diabła, mogło im chodzić? Z tonu tej baby wywnioskowałam, że spotkania jej męża z jakąś Samantą też nie są powodem pojawienia się u mnie. Czego nie mogłam dostrzec?!

– Samanta też nie chce tyle czasu na to poświęcać! – wtrącił się nagle pan Paweł. – Dla niej to też jest uciążliwe, a ja potrzebuję rady, dobrze to wiesz!

– Gdy ja ci doradzam, jesteś niezadowolony!

– Bo ty mi tak doradzasz, że jest niedobrze!

– Proszę państwa. – Uznałam, że w desperacji najlepsza jest szczerść. – Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem. W czym właściwie tkwi problem? W tej Samancie? W ciuchach? O co tu chodzi?

– Paweł ubiera się w damskie ciuchy – zaczęła pani z westchnieniem. – Chodzi w nich po domu i chce też, tak jak Samanta, wychodzić w nich na zewnątrz. Problem w tym, że ubiera się bez gustu. No niech pani sama spojrzy. Czy ten sweter pasuje do tych spodni? A te buty?

Dopiero teraz przyjrzałam się dokładnie. Mężczyzna ubrany był w damski sweter w zgniózielonym kolorze, do tego założył zielone sztruksy i damskie botki na obcasie. Wszystko utrzymane było

w jednolitej tonacji, ale istotnie nie pasowało do siebie. Każda część garderoby samodzielnie prezentowała się ładnie, całość wypadła tanio i mało elegancko.

– Tak, ma pani rację – potwierdziłam. – Do tych spodni bardziej pasowałby sweter w kolorze granatowym lub czarnym.

– Otóż to! – ucieszyła się kobieta. – On i Samanta chodzą razem na zakupy. Biorą wszystko, począwszy od bielizny, a na dodatkach skończywszy. Po czym ona wygląda pięknie, a on paskudnie!

– Nie wciągaj Samanty w nasze sprawy! – odciął się klient. – Sam się ubieram i nic ci do tego! Ja tobie nie mówię, co masz założyć.

– Jeszcze tego brakuje, żebyś mnie tak ubierał! – nastroszyła się kobieta.

Po spokojnej, wyważonej rozmowie nie było już śladu. Pluli na siebie jadem jak każda inna rozwodząca się para.

– Nie mam w tobie wsparcia! – żalił się mąż. – Samanta jest sama i lepiej ma w życiu niż ja!

– To ty też zaraz możesz być sam! Proszę pani, my się nie dogadamy!

– To prawda. Nie dogadamy się, bo moja żona ma za ciasne horyzonty!

– Sam masz wszystko za ciasne! I od moich rzeczy bardzo proszę: wara!

Zastanawiające, ale gdy zaczęli się kłócić, poczułam grunt pod nogami. W tej chwili cała sytuacja wydała mi się bardziej zrozumiała, bliższa. Szczegóły nie były istotne. W ciągu kolejnej godziny ustaliłam, że pierwszy kryzys pojawił się wówczas, gdy pan Paweł, bez porozumienia z żoną, oddał do przeróbki jedną z jej sukienek. I w ogóle nie miało wówczas dla nikogo znaczenia, że kobieta nie nosiła tej sukienki od lat. Nie zapytał i koniec. Potem skorzystał z biustonosza, w którym wyregulował „pod siebie” ramiączka. Czare goryczy przelały owe wypominane zakupy. Mężczyzna, chcąc zażegnać pęczniący konflikt, udał się do sklepu i nakupował ubrań i bielizny. Niestety – tylko dla siebie. Usprawiedliwiał się tym, że chciał skompletować własny zestaw, żeby nie pozbawiać żony jej garderoby. Kobieta tego nie zniosła. Wcale jej się nie dziwię.

Zagroziła rozwodem, o ile mąż nie wręczy jej natychmiast kwoty dwukrotnie wyższej od tej, którą sam wydał. W tym momencie pan Paweł zaczął stawiać opór, bo frank szwajcarski zdrożał, państwo spłacali kredyt hipoteczny w obcej walucie i domowy budżet takiego obciążenia by nie wytrzymał. Sprawa stanęła na ostrzu noża. Całości dopełnił fakt, że mężczyzna nie potrafił ubrać się gustownie i wszystko, na co wydał pieniądze, wyglądało na nim jak stara szmata. To jego żonę bolało chyba najbardziej.

No cóż, ludzi należy akceptować takimi, jakimi są, skoro nikomu krzywdy to nie wyrządza. Uzgodniliśmy, że pan Paweł zwróci do sklepów część rzeczy, jego żona zagospodaruje odzyskaną gotówkę, a w przyszłości na zakupy tekstylne będą chodzić razem, choć każde będzie wybierać ubrania dla siebie. W ten sposób wyeliminują niepożądany efekt braku dopasowania poszczególnych elementów. Umówiłam się z klientami na podpisanie ugody w przyszłym tygodniu.

Gdy wyszli, Klementyna podeszła do mnie i położyła mi rękę na ramieniu.

– Pani jest niesamowita – oświadczyła. – Spodziewałabym się, że po tak dramatycznych przeżyciach pani się załamie, nie będzie w stanie prowadzić spotkań, tymczasem zachowuje pani godny podziwu dystans. Gratuluję!

– To moja praca, pani Klementyno – ostudziłam ją. – Przywykłam. Nie odczuwam już emocji podczas mediacji.

– Mimo wszystko – upierała się Klementyna. – Mój poprzedni szef to też tak mówił, ale gdy przyszło mu śledzić jednego niewiernego męża i okazało się, że facet zdradza żonę nie z kobietą, lecz z drugim facetem, to musiał pojechać na dwa tygodnie na urlop. Tak to nim wstrząsnęło.

– To, że mąż zdradza żonę z mężczyzną – zdziwiłam się – było dla niego takie niezwykle?

– To też – przyznała Klementyna. – Ale on ich zobaczył razem i po tym nie mógł dojść do siebie. Jeszcze zdjęcia musiał zrobić. Wyraźne.

– Rozumiem. – Uśmiechnęłam się. – Wstrząs przeżył. Taki bardziej estetyczny.

– A jak czuje się pani mama? – zagadnęła mnie Klementyna.

– Sama nie wiem. – Westchnęłam. – Od ponad tygodnia nie wychodzi z domu, nie chce jeść. Martwię się o nią. W sobotę odwiedzi nas znajoma, są zaprzyjaźnione, może to coś pomoże.

– Proponuję parzyć mamie ziółka i podawać buraczki – poradziła Klementyna. – Mają działanie kojące. Zestaw ziół mogę przygotować.

– Dziękuję, przyda się. Czy ktoś się jeszcze na dziś zapowiadał?

Sekretarka pokręciła przecząco głową.

– Druga para rozwodników umówiona na dziś wysłała mi wiadomość, że nie będzie się godzić, więc mediacja nie ma sensu – dodała. – A pozostali nie potwierdzili spotkań.

– Skoro tak, to zamykamy interes – zarządziłam. – Idziemy na wagary!

– Niechętnie – mruknęła pani Klementyna.

W tej samej chwili drzwi do biura otworzyły się i stanął w nich umundurowany policjant.

– Pani zna tych ludzi z trzeciego piętra? – rzeczowo zapytał od progu.

Zaprzeczyłam. Nie znałam tu nikogo, może poza enigmatycznym panem z teczką, ale to też tylko z widzenia. Spojrzałam na Klementynę, ale ona też zaprzeczyła. Zdziwiło mnie to trochę, bo przecież mieszkała w tym samym budynku.

Policjant postął jeszcze przez chwilę, pokiwał się na piętach, wyraźnie nad czymś się zastanawiał.

– Na pewno nikogo pani nie zna? – upewnił się.

Wzruszyłam ramionami w odpowiedzi.

– No trudno. – Policjant wciąż stał w progu. – Ale i tak poproszę pani dowód, bo muszę spisać dane.

– A po co? – zapytałam niezbyt mądrze.

Przypomniałam sobie rudego i incydent z dziurkaczem. Prawdopodobnie zgłosił policji, że został pobity, i wytoczy mi sprawę.

– A bo taki jeden się zabił – powiedział nagle policjant, jakby od niechcenia. – I napisał, że to przez panią...

Spojrzałam na Klementynę. Sprawiała w tej chwili wrażenie kogoś, kto nie jest zaskoczony, lecz raczej zmartwiony.

\*\*\*



Powiązanie z tajemniczym nieboszczykiem zmroziło mi krew w żyłach. Policja, która urzędowała w mieszkaniu na trzecim piętrze, nie udzieliła mi żadnych informacji, spisali tylko moje dane i zalecili nie wyjeżdżać z kraju. Wciąż nie wiedziałam, jaki dokładnie miałam udział w tej sprawie ani o kogo chodziło. Na szczęście byłam umówiona na spotkanie z mecenasem Piwowarem.

Do adwokata pojechałam z córeczkami odebranymi wcześniej z przedszkola. Mecenas chciał nas jak najlepiej ugościć w swojej kancelarii, niestety zupełnie nie wiedział, gdzie co jest. A sekretarki nie było, może w poniedziałki ma wolne. Podanie zwykłej herbaty okazało się więc zadaniem trudniejszym niż wyciągnięcie skazanego z aresztu. We wszystkich szafkach, które z racji położenia i wyglądu powinny zawierać w sobie naczynia, sztucce, kawę czy herbatę, znajdowały się nieoczekiwane przedmioty. Na przykład w szufladzie obok czajnika znaleźliśmy papier ścierny i gwoździe. W szafce nad zlewem tkwiła kompletnie ubrana choinka, a na suszarce do naczyń stał samotnie kubeczek do połowy wypełniony gliną.

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby przeszukiwać kolejne meble, bo byłam ogromnie ciekawa, co znajdziemy na przykład w szafie na ubrania. Mecenas jednak czuł się w tej sytuacji nieswojo. Moje kochane dzieci dodatkowo miały pretensje, że nie ma nic do jedzenia, bo ja także zapomniałam, przejęta niespodziewaną sytuacją, o jakimkolwiek posiłku dla nich. Dochodziło południe, a w przedszkolu zjadły tylko śniadanie.

Mecenas szybko zaofiarował swoją pomoc i wyszedł do sklepu kupić prowiant i herbatę. Usiadłam więc na krzeselku w sekretariacie i cierpliwie czekałam. Dziewczynki skupiły się na rybkach w olbrzymim akwarium, które znajdowało się pod ścianą, niedaleko wejścia.

– Popatrz, ten grubas kradnie paprochy temu chudemu. – Laura postukała palcem w szybę. – Złodziej!

– Widocznie już nakradł, bo taki gruby – poświadczyła Basia. – Ten chudy powinien go zastrzelić jak psa!

– Jakiego psa, skoro to jest ryba! – skwitowała ją starsza siostra. – Nie, powinien wypruć mu flaki z olejem!

- Albo ukatrupić na śmierć!
- Albo zatłuc jak pluskwę!
- Albo rozkwasić na kwaśne jabłko!
- Albo...

Wymownym spojrzeniem przerwałam te deliberacje nad losem żarłocznej rybki. Chwilę później w biurze mecenasa pojawił się jakiś klient. Od drzwi rozpoczął przemowę, informując, po co przyszedł, i wyciągając równocześnie różne papierzyska. Usiłowałam go powstrzymać, przekonując, że mecenas przyjdzie za parę minut, jednak walizka mężczyzny posiadała najwidoczniej przymioty puszeki Pandory. Raz otwarta wypluwała z siebie nieprzebraną zawartość.

Biurko, przy którym siedziałam, przyległy stoliczek, obie szafki i kawałek podłogi były już pokryte stosami papierów, których wciąż przybywało. Facet nawet nie próbował nad tym zapanować, tylko udrażniał kolejne przegródki swojej diabelskiej teczki. Nagle przy wejściu coś zachrobotać. Odetchnęłam z ulgą, że to mecenas wraca.

Niestety, moje nadzieje okazały się płonne. To nie był mecenas. Pojawił się kolejny klient, też z teczką. Łzy napłynęły mi do oczu. Krzyknęłam rozpaczliwie: „Nie!!!”, gdy mężczyzna sięgnął ręką do klamerki, aby otworzyć potwora.

- Proszę nic nie wyjmować!

Wtedy pierwszy z napastników obejrzał się i z niesmakiem zlustrował konkurenta.

- Musi pan poczekać na zewnątrz – powiedział stanowczym tonem.
- Sam pan widzi, że tu nie ma miejsca! No już, niech pan sobie idzie! Nie wolno robić tłoku, proszę pana!

Przez chwilę się przekomarzali, w końcu obaj zniknęli za drzwiami, bo ten pierwszy postanowił odprowadzić tego drugiego.

Mecenas przyszedł niedługo potem. Uraczył nas herbatą, sokiem, mlekiem, ciastem, herbatnikami, jogurtami i zielonym ogórkiem. Pozostawiłam ucztowanie dziewczynkom, a sama streściłam mecenasowi, z czym przychodzę.

- Powiada pani, że policja uznaje, że to z pani winy ten człowiek się zabił? – Mecenas zmarszczył brwi. – Ale go pani nie zna? A może jednak?

– Panie mecenasie – starałam się mówić spokojnie. – Nazwiska denata nie znam, gęby nie widziałam, czego nie żałuję, bo nieboszczyk prawdopodobnie tuż po śmierci nie prezentował się najlepiej. Nic mi nie powiedzieli konkretnego. Nie mam pojęcia, o co chodzi, z nikim z tej kamiennicy nie utrzymuję kontaktów. Poza administratorem, oczywiście, ale to chyba nie on. Przecież płacę czynsz w terminie. Po prostu wiążą mnie z nim, bo napisał, że umiera przeze mnie, tyle wiem.

Mecenas Piwowar się zamyślił. Od naszego ostatniego spotkania upłynęło dużo czasu. Nie myślałam już o tym, że kiedyś reprezentował w sądzie mojego byłego męża oraz usiłował pozbawić mnie opieki nad dziećmi. Działał wówczas na zlecenie i nie mogłam mieć mu za złe, że starał się dobrze wykonywać swoją pracę. Był przecież jednym z najlepszych adwokatów w mieście.

– No cóż – mruknął. – Ciekawa sprawa. Proszę się nie denerwować, nie została pani zatrzymana, więc na pewno pani udział jest tylko poszlakowy. Skontaktuję się z policją i spróbuję ustalić, co zaszło. Natomiast co do tej drugiej kwestii, to trzeba będzie mocno pogłówkować. – Przyniosłam ten list, o którym panu mówiłam – powiedziałam i sięgnęłam do torby. – Napisała go moja matka. Może jego lektura panu pomoże.

– Tak, proszę mi go dać. – Mecenas sięgnął po okulary i zaczął czytać.

*Marto!*

*Jak rozpocząć list, który ma stanowić wyznanie na miarę spowiedzi życia? Może od tego, że nie mam odwagi, by powiedzieć ci to bezpośrednio. Nie umiem zmierzyć się z tymi wydarzeniami inaczej, jak tylko na piśmie, choć upłynęło tyle czasu.*

*Istnieją rany, które nigdy się nie goją, i doświadczenia, które niosą wiedzę dopiero po latach. Patrząc wstecz, ujrzałam, że przez większość mojego świadomego życia nie rozumiałam siebie ani ludzi, którzy mnie otaczali. Dopatrywałam się ratunku w tym, co stanowiło moją zgubę, pragnęłam tego, czego los mi skąpił dla mojego własnego dobra. Nie starałam się dociec, dlaczego morze życia wciąż wyrzuca mnie na brzeg,*

i w niedoświadczeniu swoim uparcie starałam się obalić fale przeciwności losu. To straszne, że człowiek został obdarzony wolną wolą. Częściej pożytkuje się ją, by udowodnić światu swoją wyższość zamiast zrozumieć sens istnienia. Bo żadna kara na tym świecie nie spada na nas niezastąpienie. Tylko my nie chcemy dostrzec tej przyczyny.

Twój ojciec i ja długo staraliśmy się o dziecko, bezskutecznie. Zawiodły wszystkie dostępne metody leczenia i stanęliśmy w obliczu pogodzenia się ze smutną prawdą, że nigdy nie zostaniemy rodzicami. A ja bardzo chciałam mieć dziecko. Mieć. Zadziwiające, jaką karierę zrobiło to słowo współcześnie. Wszyscy chcą coś mieć, posiadać, nabyć, otrzymać, uzyskać, zdobyć. Mieć odmieniane na wszystkie sposoby. I ja także chciałam mieć dziecko, a nie być rodzicem.

Jedynym rozwiązaniem okazała się adopcja. I tu nam się poszczęściło. Twoja biologiczna matka porzuciła cię w szpitalu zaraz po urodzeniu. Szybko udało się załatwić formalności i stałaś się naszą upragnioną córką. Niespełna miesiąc później jedna ciotka twojego ojca zmarła w bardzo podeszłym wieku i pozostawiła mu w spadku dom, w którym teraz mieszkamy. Nic już nie brakowało nam do szczęścia. Wówczas okazało się, że jestem w ciąży. Niespodzianka. Dziewięć miesięcy później urodził się twój brat, Gabryś. Zrezygnowałam z pracy na uczelni, żeby zająć się wami. Twój ojciec obronił doktorat i objął katedrę chemii przemysłowej. Rozpoczął wówczas pracę nad swoim pierwszym wynalazkiem, co szybko przełożyło się na dodatkowe zlecenia. Idealna rodzina, zakochani w sobie młodzi ludzie, inteligentni i zaradni, z pasją, dwoje ślicznych dzieci, piękny dom.

Człowiek oszołomiony sukcesami uważa się za istotę niezdolną do pomyłek. Nawet gdy czyni zło, zawsze ma na podorędziu argumenty, za pomocą których może udowodnić, że jest inaczej. Kształtują nas przeciwności losu, trudności, rozterki, wtedy stajemy się dobrzy, szlachetni, uczciwi. Pod warunkiem jednak, że zrozumiemy, jakie grzechy popełniliśmy wcześniej.

Gabryś szybko stał się oczkiem w głowie całej rodziny. Pojawiła się cienka, prawie niewidzialna nić, która z każdym dniem bardziej separowała mnie od ciebie. Stawałaś się obca, czyjaś, podczas gdy Gabryś był nasz, swój.

Oddałam cię do żłobka, potem pod opiekę opiekunek. Twój brat wychowywał się w domu, ze mną. Tłumaczyłam to tym, że jest młodszy, mniej odporny, wymaga mojej bezpośredniej troski.

Gdy Gabryś skończył dwa lata, zdiagnozowano u niego złośliwego raka mózgu. Do dziś czuję ból odgniecień od twardego krzesła, na którym wysiedziałam tysiące godzin, błagając w myślach Boga o łaskę dla mojego syna. Nie wychodziłam ze szpitala, bo w każdym westchnieniu, każdym spojrzeniu lekarzy i pielęgniarek doszukiwałam się nadziei. Bałam się, że jeśli odejdę od synka choć na chwilę, to ucieknie mi ta maleńka okazja, ta maciupeńka szansa, to mrugnięcie powieką, zwiastujące polepszenie. Trwożyłam się, że ktoś inny przeoczy, nie zauważy, zlekceważy i spisze mojego syna na straty. Kilka miesięcy później odszedł od nas. Byłaś zbyt mała, żeby to zrozumieć, ale może wystarczająco duża, żeby odczuć, że cienka, niewidzialna granica zamieniła się w mur otoczony cierniami. Nie mogłam na ciebie patrzeć, nie mogłam znieść myśli, że mój rodzony, tak wyczekiwany syn nie żyje, a ty wciąż jesteś. Cała i zdrowa. Uznałam, że to niesprawiedliwe, okrutne.

Mówi się, że czas goi rany, ale moje rany nie zamknęły się nigdy. W każdym nastolatku, młodym mężczyźnie doszukiwałam się mojego Gabrysia. Jaki byłby teraz? Jak brzmiałby jego głos? Czy podzielałby zainteresowania ojca? Ta wieczna, nieugaszona tęsknota trawi moje serce dzień i noc i sprawia, że z utęsknieniem czekam na śmierć, by móc odnaleźć moje dziecko tam gdzieś, w wieczności. Nie mogłaś mi go zastąpić, nic nie mogło, a świadomość, że wyrządzam ci krzywdę, bo nie umiem okazać ci miłości, potęgowała jeszcze uczucie rozgoryczenia i złości.

Cezary przyniósł mi chwilowe ukojenie. Mógł być moim Gabrysiem. Stał się nim. Nie chciałam widzieć jego wad, nie chciałam nic słyszeć ani wiedzieć. Poświęciłam twoje dzieci, by nie wracać do tego bólu z tęsknoty. Poświęciłam siebie, wszystko.

Masz prawo mnie potępić. Masz prawo mnie nienawidzić. Masz prawo mnie osądzać. I tego chyba życzyłabym sobie najbardziej. Milczące wybaczenie, które mi okazałaś, nie znając całej prawdy, boli bardziej niż przykre słowa. Jest najwyższą torturą, bo przepala sumienie. Bo nawet w najbardziej zatwardziałym sumieniu, w którym nie gości nic, prócz zła,



*istnieje minimalny zakątek, w którym ukryty jest zalążek dobra.*

Mecenas odłożył list i zdjął z nosa okulary.

– No tak – mruknął. – Smutna historia. Aczkolwiek nic nie usprawiedliwia okrucieństwa wobec dziecka, nawet jeśli to okrucieństwo wynika z braku miłości. Współczuję pani i pani matce. Natomiast od strony prawnej nie widzę zagrożenia. Matka biologiczna zrzekła się praw, więc nie może niczego od pani żądać.

– Jedno jednak mnie niepokoi – zauważyłam. – Moja matka nie napisała tu całej prawdy. Po pierwsze, powiedziała mi, że znali osobę, która mnie urodziła. Po drugie, ona zostawiła mnie u nich, a nie w szpitalu. Może to drobiazg, ale cały czas o tym myślę. Wreszcie, dowiedziałam się, że moja matka nie była formalnie żoną mojego ojca. Mówiąc szczerze, przy tylu nieścisłościach obawiam się, że również sprawa odebrania praw rodzicielskich nie została przeprowadzona do końca.

– Gdyby tak było, mogłaby starać się o alimenty od pani – potwierdził mecenas. – Ale przecież została pani adoptowana?

– Nie mam żadnych dokumentów, które to potwierdzają – powiedziałam. – Tylko oświadczenie moich rodziców. Mojej matki, w zasadzie.

– Nie martwmy się na zapas – uspokoił mnie mecenas. – Poczekamy. Jeśli ta kobieta czymś dysponuje, ujawni to prędzej czy później. Wtedy będziemy się zastanawiać. A mamę proszę poprosić o jakieś dokumenty.

– Jeszcze jedno – przypomniałam sobie. – W przedszkolu powiedziano mi, że sąd zwrócił się do nich o wydanie opinii na temat dziewczynek. W jakim celu?

Mecenas popatrzył na mnie z uwagą.

Sąd robi to tylko wówczas, gdy trzeba zbadać, czy dzieci mają właściwe warunki do wychowania i rozwoju – wyjaśnił. – Najczęściej na wniosek. Skoro sąd zwrócił się do przedszkola, to znaczy, że ktoś taki wniosek złożył.

– Kto? – zdziwiłam się. – Moja matka na pewno nie!

– Ktoś, komu takie prawo przysługuje – powiedział mecenas.



– Cezary! – przestraszyłam się.

Spojrzałam na dzieci. Laura była zajęta wydłubywaniem rodzynek z ciasta, a Basia umazała całą buzię jogurtem, który wylizywała językiem z kubeczka.

– Panie mecenasie – przypomniałam sobie. – Zanim pan przyszedł, pojawiło się takich dwóch, z teczkami. Jeden porozkładał wszędzie swoje papiery, jeszcze tam leżą, a drugi chciał zrobić to samo, ale go powstrzymałam. Potem obaj wyszli.

– Wiem, wiem. – Mecenas przymknął oczy. – Jeszcze wrócą, zawsze wracają.

Podziękowałam adwokatowi i wstałam, przywołując dzieci. Wyszły obdarowane słodyczami.

Z kancelarii pojechaliśmy do domu mojej matki. Znow znalazłam tace z nietkniętym jedzeniem. Matka nie odzywała się, ale słyszałam, że przemieszcza się po pokoju. Przez drzwi przekazałam jej informacje od mecenasa Piwowara i poprosiłam o potrzebne dokumenty. Ponieważ znow usłyszałam ciszę, przygotowałam matce kolację i zabrałam dzieci do domu.

Wieczór. Wyczekiwany czas odpoczynku od zmartwień, kiedy noc przysłania wszystkie problemy. Nawet nie zauważyłam, kiedy dzień się skończył. Przypomniałam sobie słowa pani Magdy i zastanowiłam się, gdzie popełniam błąd. W którym momencie zapominam o sobie i swoich potrzebach, kiedy zatracam się w obowiązkach tak mocno, że wszystko inne przestaje istnieć.

Z czego powinnam zrezygnować, skoro los wciąż dosypuje mi nowych wrażeń? A może to nie zależy ode mnie? Może to nie ja jestem kowalem swojego losu, lecz pewne decyzje podjęte dawno temu determinują to, co dzieje się teraz wokół mnie? Gdzie zatem jest ten kluczowy moment, w którym zwrotnica mojego życia została ustawiona? Dlaczego muszę wciąż za czymś gonić, coś nadrabiać, nad czymś pracować?

Ześlij mi, Boże, jakieś ułatwienie, pomoc, fart czy jak to tam nazywasz! Nie czyń ze mnie prymuski, która odpracuje zajęcia nadprogramowe, bo w imię czego mam to robić? Ześlij mi chociaż małą odpowiedź, jakiś znak, sugestię, wskazówkę, żebym wiedziała,

w którą stronę podążam. Chciałabym wierzyć, że życie nie składa się wyłącznie z małych żalów, wypłakiwanych w ciszy nocy. Chciałabym ufać, że istnieje cudowny lek, który wszystkie te żale uleczy. Lek, który uleczy przede wszystkim mój żal.

\*\*\*

Następnego dnia odwiozłam dzieci do przedszkola i pognałam do biura. Betka zadzwoniła do mnie, że najprawdopodobniej jutro wypiszą ją ze szpitala. Ustaliłyśmy wstępnie, że przyjadę po nią, gdy informacja się potwierdzi. Przyjaciółka nie wiedziała jeszcze, że mój ojciec zmarł. Nie chciałam jej martwić, a może po prostu sama nie byłam gotowa na taką rozmowę?

– Pani mecenas, czy pani będzie w biurze? – zaatakowała mnie w progu Klementyna.

– Tak. Dziś mam trochę pracy. Klienci już się pojawili? – odpowiedziałam.

Dochodziła ósma trzydzieści, a pracę zaczynałam od dziewiątej.

– Nie, klientów nie umawialiśmy – odpowiedziała rzeczowo Klementyna. – Tylko tych dwoje.

– Jakich dwoje? – nie zrozumiałam. – O czym pani mówi?

– No, tych dwoje praktykantów – wyjaśniła Klementyna. – Czekają już od rana. Mam ich przegonić?

Ostatnio wiele spraw absorbowało mnie do tego stopnia, że zapominałam o najbardziej oczywistych obowiązkach. Ale praktykanci? Jacy, u licha, praktykanci?

– Gdzie oni są? – zainteresowałam się.

Rozmawiałam z sekretarką, ciągle stojąc w progu biura. Gdy Klementyna powiedziała mi o tajemniczych dwóch osobach, które na mnie czekają, szybko zamknęłam drzwi, nie zauważając nawet, że o mały włos przycięłabym rękę komuś, kto zamierzał przez nie wejść.

– U mnie?

– Tak. Siedzą od rana.

Szybkim krokiem wpadłam do swojego pokoju. Nie spojrzałam nawet, kto za mną szedł. Przy stole siedziała para: młoda kobieta i mężczyzna w wieku mojego ojca. Na pierwszy rzut oka wyglądali na klientów, którzy oczekują na mediację.

– Państwo w jakiej sprawie? – zapytałam i ubrana w płaszcz usiadłam przy stole.

– Pani się śpieszy? – odpowiedział na to mężczyzna. – Jeśli tak, to my poczekamy.

– Nigdzie się nie śpieszę – odparłam. – No, to w jakiej sprawie?

– W sprawie praktyk – wyjaśniła dziewczyna.  
– Nie rozumiem. – Zmarszczyłam brwi. Krzesło gryzło mnie w tyłek. – Ja nie prowadzę żadnych praktyk, zaszła pomyłka.

– Wykluczone. Prezes Gruszka wysłał nas do pani na praktyki. Mamy zostać tu przez trzy miesiące.

Nie rozumiałam, co do mnie mówią. Będą siedzieć tu przez trzy miesiące?! W moim biurze? Ach, już wiem! To ci stażyści! Ale ja się wcale nie zgodziłam!

– Proszę państwa. – Lekka irytacja była już wyczuwalna w moim głosie. – Zaszło nieporozumienie. Prezes Gruszka wspominał mi o pomysłach szkolenia nowych adeptów sztuki mediacyjnej poprzez dołączanie ich do praktykujących mediatorów, ale ja na nic się nie zgodziłam. Tylko sprawy zgodziłam się przyjmować, osób – nie.

– My jesteśmy w pakiecie. – Uśmiechnęła się dziewczyna. – Razem z nami idą zlecenia, a gdy nas nie ma, zleceń też nie ma.

Tykający zegar nie pozwalał mi się skupić. Jednakże od zawsze umiałam podejmować szybkie decyzje.

– Dobrze.

Wstałam, oni także się podnieśli.

– W takim razie, w ramach szkolenia jedziemy do sądu. Na dyżur. To jest element pracy mediatora.

Para popatrzyła na siebie zdziwiona. Widocznie spodziewali się, że od razu przystąpią do prowadzenia mediacji. Wyszliśmy z pokoju. Oni zaczęli się ubierać, a mnie zaatakowała Klementyna.

– Prawie rozkwaśła mu pani nos – powiedziała teatralnym szeptem. – To jakiś adwokat, chyba będzie zły. Oby tylko się nie zabił jak tamten.

– A pani coś wie w tej sprawie? – zaatakowałam ją.

Klementyna od razu wycofała się za biurko.

– Pani wie, kim był ten facet, który się zabił?

– Nie mam pojęcia – odparła sekretarka. – Ja nie wtykam nosa w nieswoje sprawy. Nauczyłam się tego, gdy pracowałam u detektywa. Ale nie wydaje mi się, żeby ten nieboszczyk tu mieszkał. Na trzecim piętrze jeden lokal zajmuje głucha staruszka, a drugi należy do jednego architekta, który wyjechał do pracy za granicą.

Chyba komuś go wynajął, ale ja nic nie wiem.

– Pani Klementyno, jestem w to zamieszana i chciałabym przynajmniej wiedzieć, o co chodzi. Kto to był?!

– Ja nic nie wiem – sekretarka odwróciła się do mnie plecami. – Im mniej człowiek wie, tym spokojniej żyje. Nie wiem, dlaczego napisał, że to przez panią – dodała po chwili ciszej.

Położyłam już rękę na klamce, ale powstrzymałam się przed jej naciśnięciem.

– Pani wie, kto tam umarł, prawda?

Gdy to mówiłam, Klementyna pochylała się nad biurkiem i udawała, że porządkuje dokumenty. Ręce jej się trzęsły, była bardzo zdenerwowana.

– Niechący... zupełnie przez przypadek – poprawiła się – usłyszałam fragment rozmowy prokuratora. Telefonował do kogoś i podał kilka szczegółów.

– No i? – popędziłam ją, bo zrobiła dłuższą pauzę.

Klementyna zagryzła wargi, porzuciła papiery i odwróciła się w moją stronę. Stażyści oczekiwali w milczeniu, przenosząc wzrok to na mnie, to na nią.

– Wydaje mi się... ale pewności nie mam – zaczęła mówić wolno.

Trwałam w niemym wyczekiwaniu.

– Wydaje mi się, że chodziło o pani męża. To on się tam zabił. Cezary Drewnicki, prawda?

Nie mogła mnie bardziej zaskoczyć. Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Informacja, że mój były mąż, skazany prawomocnym wyrokiem za oszustwa, odsiadujący obecnie ten wyrok w zakładzie karnym, z nieznanymi mi bliżej powodów pojawił się w budynku, w którym mieści się moje biuro, i zrobił to tylko po to, żeby odebrać sobie życie? I jeszcze napisał, że to przeze mnie?

– Pani mediator, ten adwokat czeka – szepnęła sekretarka.

Zawahałam się. Stażyści zamienili się w dwa milczące posągi, więc bez słowa odwróciłam się i weszłam do pokoju Betki. Tam czekał na mnie facet od teczki, tym razem bez teczki.

– Przepraszam, że uderzyłam pana drzwiami – zaczęłam.

Mój głos brzmiał tak, jakby był z drewna. Bardzo suchego drewna.

– Mój nos ma się całkiem nieźle. – Mężczyzna wstał i podał mi rękę. – Ale istotnie, omal mnie pani nie uszkodziła tymi drzwiami. Nazywam się Maciej Mikulski.

– Bardzo przepraszam, to było niechcący.

Mężczyzna z bliska prezentował się smakowicie. Zauważyłam, że miał piękne, niebieskie oczy. Czy sami niebieskoocy chodzą po tym świecie? Tym razem ciemny szatyn.

– Co pana do mnie sprowadza?

– Reprezentuję panią Annę Kołodziej – wyjaśnił mężczyzna i ponownie usiadł.

Wciąż zastanawiałam się nad Cezarym i dręczyło mnie to, że nie mogłam znaleźć dla siebie żadnego punktu zaczepienia, czegoś, co mogłoby pomóc mi zrozumieć, co się stało.

– Pani Kołodziej chciałaby spotkać się z panią celem omówienia pewnych spraw – kontynuował adwokat. – Kiedy dysponowałaby pani czasem?

– Ależ ja nie znam żadnej pani Kołodziej – zareagowałam być może odrobinę zbyt gwałtownie, bo adwokat spojrzał zdziwiony. – Nie rozumiem, o co chodzi! To znaczy, poza sobą samą!

– Już wyjaśniam. – Uśmiechnął się Mikulski. – Pani Kołodziej bardzo pragnie poznać panią i oczywiście pani córki oraz nawiązać z nimi więź emocjonalną. Pragnęłaby spotkać się, żeby na spokojnie o tym porozmawiać. Pani sama świetnie rozumie, że w tak delikatnych sprawach interwencja sądu to bardzo drastyczne rozwiązanie. Moja klientka wolałaby tego unikać.

– A może mi pan jeszcze wyjaśnić, dlaczego pani Kołodziej tak zależy na nawiązaniu relacji z moimi córkami?

Serce zaczęło walić mi w piersi, zagłuszając moje własne słowa. Znałam odpowiedź, zanim ją wypowiedział. Burza z piorunami, której się spodziewałam, właśnie przetaczała się nad moją głową.

– To pani matka – poinformował mnie adwokat. – Biologiczna matka. Nigdy nie zrzekła się praw rodzicielskich do pani, więc więź z wnuczkami została zachowana. Z panią także. Oczywiście rozumiem, że to dla pani może być zaskakujące i trudne, ale...

– Niech będzie czwartek – przerwałam mu.



Mecenas tylko kiwnął głową na zgodę.

– Zapraszam do mnie – powiedział po chwili. – Moje biuro mieści się po sąsiedzku. To te drzwi naprzeciwko.

– Tak, kancelaria prawna, widziałam – odparłam. – Może być o trzynastej?

– Oczywiście.

Wstał od razu, jakby nie chciał kontynuować rozmowy. Może w obawie, że się rozmyślę. Gdy podałam mu rękę, pocałował mnie w dłoń.

– Do zobaczenia, dziękuję za spotkanie.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, ruszyłam przed siebie. Teraz myśli w mojej głowie tłoczyły się jak ludzie w pekińskim metrze. Nie chciałam nad niczym się zastanawiać. Nie chciałam analizować, przemyślać, wyciągać wniosków. Nie chciałam pytać, jak to możliwe, że więź nie została zerwana, skoro moja matka powiedziała...

Stażyści zbiegali za mną po schodach, gubiąc buty. Wsiadliśmy do samochodu i niecałe pół godziny później dopadłam mojej ławeczki w sądzie.

– Myślałam, że pani już tu nie pracuje – ucieszył się na mój widok znajomy ochroniarz. Wskazałam stażystom, gdzie mogą usiąść, i krótko wyjaśniłam:

– Dyżur to okazja, żeby pokazać się ludziom. Porozmawiać z nimi, wyjaśnić, na czym polega mediacja, czasem coś doradzić. Tutaj nie mediujemy, w konkretnej sprawie zapraszamy do biura.

– Jaką opłatę pobieramy za poradę? – zapytał stażysta.

W drodze do sądu ustaliłam, że nazywa się Stanisław Polecki, z „tych” Poleckich, ukończył archeologię z wyróżnieniem i ekonomię bez wyróżnienia. Dwukrotnie żonaty i dwukrotnie rozwiedziony, obecnie zafascynowany mediacją jako zjawiskiem społecznym. Na wstępie wyraził swoje oczekiwania, które sprowadzały się do pokazania mu prawdziwej, krwistej mediacji bez tajemnic, bez retuszu. Takiej, jaką była naprawdę.

– Nie pobieram opłat za porady podczas dyżuru – wyjaśniłam. – Traktujemy to jako formę reklamy naszych usług.

– To bardzo źle – ocenił Polecki. – Ludzie nie będą nas szanować.  
– Szacunek budujemy w inny sposób – podkreśliłam.  
– Ludzie szanują tylko tych, którym muszą zapłacić – nie ustępował Polecki.  
– Nie zgadzam się – zaprotestowałam. – Panie Stanisławie, skoro jest pan u mnie na stażu, proszę stosować się do moich zasad i zaleceń.  
– Oczywiście, ale postępuje pani niewłaściwie, żeby nie rzec, głupio – podsumował mnie Polecki. – Mediator powinien się cenić!  
Nie skomentowałam ostatniego zdania, bo Monika, stażystka, wdała się w rozmowę z jakąś kobietą.  
– Tak, proszę pani, chętnie pomożemy, proszę przynieść wszystkie dokumenty, przejrzymy je i zobaczymy, jak tę sprawę ugryźć.  
– A ile to będzie kosztowało? – zapytała kobieta.  
– Nic, zupełnie nic. – Uśmiechnęła się stażystka.  
Kobieta ucieszyła się niezmiernie, obiecała wrócić za pół godziny, po czym szybko odeszła.  
– Pani Moniko, co pani robi? – zapytałam niespokojnie.  
Stażystka usiadła przy biurku uśmiechnięta od ucha do ucha.  
– Ta pani ma trudną sprawę o zasiedzenie. Przegrała w pierwszej instancji i nie wiedziała, jak napisać odwołanie. Zaraz wróci. Mieszka niedaleko, poszła po dokumenty.  
– Przecież nie będzie jej pani pisać tego tutaj! – złapałam się za głowę. – Podczas dyżuru udzielamy porad i pomocy, ale w zakresie mediacji! Nie porad prawnych!  
– Ja mogę! – obraziła się Monika. – Jestem po prawie!  
Monika Górecka, dwudziestoośmioletnia absolwentka wydziału prawa, która – jak się później okazało – bardzo pragnęła zbawić cały świat. Najchętniej od razu, natychmiast, od ręki.  
– To proszę umawiać się po pracy, w ramach wolontariatu – zgasiałam ją. – Dyżur to nie darmowa kancelaria prawna.  
Oboje, lekko obrażeni, usiedli za biurkiem.  
– Ile czasu będzie trwał nasz dyżur? – zapytał sucho Polecki. – Uważam, że należałoby zracjonalizować nasz wysiłek i podzielić się na zmiany. Na przykład przez godzinę ja, później pani i koleżanka

Górecka.

– Bardzo dobra koncepcja – poderwałam się nagle. – Dyżur to nic trudnego. Zgłoszę w sekretariacie prezesa sądu, że od dziś wy mnie zastąpicie. Siedzimy do piętnastej, więc możecie ustalić zmiany między sobą. Widzimy się w biurze jutro, o dziesiątej.

Zanim zdążyli zaprotestować, wstałam i szybko odeszłam. Załatwiłam w sądzie, co trzeba, i wróciłam do biura.

– Pani Klementyno – rzuciłam od progu. – Stażystów zostawiłam w sądzie na dyżurze, niech sobie radzą. Czy klienci już przyszli?

– Czy mogę wyjść wcześniej? – przerwała mój monolog sekretarka.  
– Mam dziś próbny skok ze spadochronem.

– Jak to „próbny”? – zatrzymałam się w półotwartych drzwiach. – To będzie pani skakać na niby?

– Będę skakać w pianki – wyjaśniła Klementyna. – To mogę iść?

– Tak – odpowiedziałam szybko. – Może pani. Co z klientami?

– Odwołali. Dziś już nikogo nie będzie.

– W takim razie zamykamy – orzekłam. – Przyda się chwila odpoczynku.

\*\*\*

Z biura pognałam do szpitala, do Betki. Na szpitalnym korytarzu wpadłam na Roberta. Na jego widok stanęłam jak wryta. Byłam przekonana, że wciąż jest w Kanadzie. W paru słowach, które ze sobą zamieniliśmy, uświadomił mi, że wkrótce zostanie ojcem. Jakie to niesłychane. Ten człowiek jeszcze nie tak dawno był uosobieniem absolutnego niezdecydowania, a teraz w jego życiu zaszło tyle zmian. Jedyne, co pozostało z dawnego Roberta, to jego wrodzona niezdarność. Podczas kilkuminutowej rozmowy potrącił trzy osoby, przewrócił krzesło i omal nie wybił łokciem szyby w drzwiach. Poczułam ukłucie w sercu. Zatem nie chodziło o lęk przed zaangażowaniem, ale o mnie.

– Moja żona trafiła na salę Betki, wiesz? – Uśmiechnął się i jednocześnie zahaczył połą fartucha o klamkę.

Drzwi od pokoju pielęgniarek otworzyły się, ukazując na pół rozebraną siostrę, która właśnie przymierzała nową sukienkę.

– Fajnie. – Też się uśmiechnęłam.

Co miałabym mu powiedzieć? Że się strasznie cieszę?

– Fajnie – powtórzyłam. – Betka narzeka, że nie ma z kim pogadać. Ale jutro już wychodzi.

– No tak, Krystynka jest bardzo miła.

Zabrzmiało to tak, jakby mówił o pokojówce w hotelu. Postaliśmy jeszcze chwilę, rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Robert nie pojawił się na pogrzebie ojca. Od tamtego telefonu zamieniliśmy tylko kilka zdawkowych zdań. On mi współczuł, ja dziękowałam. Frazesy.

Telefon komórkowy wybawił nas oboje.

– Muszę iść. – Znów uśmiechnął się Robert. – Łękotka czeka.

– To idź, nie pozwól jej czekać długo zbyt długo – zażartowałam, ale wypadło to raczej głupio.

Robert skinął mi głową, po czym odszedł, zdzierając obrazek ze ściany. Weszłam do sali Betki. Przyjaciółki nie zastałam. Pacjentki powiedziały mi, że zabrali ją na badania, więc postanowiłam chwilę poczekać.

– Ten mężczyzna, który przychodzi do pani koleżanki, to mąż? – zagadnęła mnie kobieta spod okna.

Odpowiedziałam jej wzruszeniem ramion. Też pomyśl, żeby mnie

o to wypytywać!

– Bo ten drugi, taki czarny, to może nieprzystojny, ale taki bardziej do rzeczy – ciągnęła wścibska pacjentka. – I jedzenie przyniósł i rzeczy jakieś. A ten wysoki to taki wymoczkowaty jakiś. No i te włosy!

– Przystojny chłop, co pani gada! – wtrąciła się ta od troskliwego męża.

Pacnęła przy okazji swojego małżonka, który przysiadł był na stołeczku tuż obok i przysnął sobie. Uderzony poderwał się na równe nogi i zaczął w popłochu ubierać małżonkę w szlafrok. Ta wyrywała się i obijała go gazetą.

– Gamoniu jeden, przestań mnie szarpać! Jeszcze nie rodzę! Pić chciałam!

– Bo ty znowu się pośpieszysz i ja nie zdążę! – wybełkotał mężulek, ale już sięgał do szafki po termos.

Nalał żonie kompotu do szklanki i stał w pozycji wyczekiwania.

– Czego tak sterczysz? – warknęła na niego kobieta. – Siadaj i nie denerwuj mnie!

– Nie denerwuj się kochanie, bo to ci szkodzi – wymamrotał mężczyzna.

Posłusznie usiadł i natychmiast zasnął.

– Gamoń – podsumowała go żona i zagłębiła się w lekturze kobiecego pisma.

– Nie wymoczkowaty, tylko za chudy – wychrypiała sąsiadka Betki. – Jak mężczyzna jest za chudy, to się do niczego nie nadaje.

– Do czegoś każdy się nadaje – zarechotała pacjentka spod okna. – Znałam jednego takiego Bułgara. Miał dwie lewe ręce, zeza i wodogłowie, ale zrobił pięcioro dzieci. Na każdej przerwie w pracy biegł do domu i męczył żonę.

– Dzieciorób – skwitowała sąsiadka Betki. – Ja pogoniłam mojego starego już po drugim. Powiedziałam mu, że jak mu się chce, to niech sobie drzwiami ściska. Ja się już narodziłam.

– Ale z tym chudym to człowiek chętnie by zgrzeszył – rozmarzyła się jej przedmówczyni. – Znałam takiego jednego, chudy był jak patyk, w okularach, pryszczaty, żadna nawet splunąć nie chciała,

a mnie się podobał.

– To dlaczego pani za niego nie wyszła? – oderwała się od gazety ta od troskliwego męża.

– Bo on mnie nie chciał. – Pacjentka spod okna westchnęła. – Nie chciał i nie chciał. Potem gdzieś wyjechał, słuch po nim zaginął. A niedawno widziałam go w kościele. Odprawiał mszę. Skubany, poszedł na księdza.

– Może to i lepiej? Narobiłby takich brzydkich dzieci... – wychrypiąła sąsiadka Betki. – Niektóre to takie brzydkie, że aż podziwiam matkę, że nie porzuciła.

– No co pani! Każde jest piękne i kochane! – zaprotestowała ta spod okna. – Ja bym każde pokochała! Nawet jakby było pokrzywione.

– Niech pani tak nie mówi, bo się spełni – przestraszyła się ta od troskliwego męża.

Na wszelki wypadek splunęła przez ramię. Akurat w czoło swojego męża. Ten otarł się bezwiednie, wciąż drzemiąc.

– Mnie jedna baba opowiadała, że jak na jej córkę szeptucha rzuciła klątwę, to dziecko tyłem raczkowało!

– Na mojego szwagra to nie trzeba było klątwy rzucać, żeby się rakiem wycofywał – zarechotała ta spod okna. – Zwłaszcza jak któregoś dziecko zrobił. To dawał wsteczny i już go nie było.

Miłą konwersację przerwało pojawienie się nowej osoby. Czyżby to była żona Roberta? Była to kobieta około czterdziestoletnia, krótko ostrzyżona, brunetka, bardzo szczupła. Towarzyszyły jej dwie pielęgniarzki, które ulokowały ją na jedynym wolnym łóżku, znajdującym się przy drzwiach, obok milczącej, stale zapłakanej dziewczyny. Kobieta zdjęła szlafrok, powiesiła go na poręczy łóżka i usiadła. Posiedziała przez chwilę w milczeniu, po czym zsunęła kapcie ze stóp i szybko umieściła się pod kołdrą.

– Mamy nową lokatorkę – zagaiła w jej stronę wesoło ta spod okna. Ale nowoprzybyła nie zareagowała. Zamknęła oczy i wyglądało na to, że śpi.

– Śpiąca królewna – mruknęła sąsiadka Betki.

Betki wciąż nie było. Po przybyciu do sali nowej pacjentki zrobiło się dziwnie cicho. Atmosfera nagle zgęstniała. Kobiety zamilkły,



wgłębiły się w pościele na swoich łóżkach, a ja poczułam się jak intruz. Wstałam więc, burknęłam coś na do widzenia i wyszłam. Wiadomość, że Betkę odwiedza jakiś przystojny chudzielec, bardzo mnie intrygowała, niestety musiałam poczekać na wieści od niej samej.

Dochodziła druga. Weszłam więc do najbliższej restauracji, żeby coś zjeść. Od dawna jadałam byle jak i byle co, zwykle nadrabiając wieczorem, razem z dziećmi. Zamówiłam więc zupę, drugie danie i deser i czekałam głodna. Ludzie, którzy siedzieli obok, zajadali ze smakiem kurczaka z ryżem. Mój apetyt wzrósł.

Gdy kelnerka postawiła przede mną talerz z zupą, złapałam za łyżkę i zaczęłam zachłannie jeść. Poczułam w żołądku przyjemne ciepło. Jadłam jeszcze szybciej. Zupa parzyła w język. Odczekałam chwilę i połknęłam kolejną porcję. Wtedy poczułam, że mam dość, że już się najadłam. Sześcioma łyżkami zupy.

– Nie smakuje pani mięso? – zatroskała się kelnerka, gdy poprosiłam o rachunek.

Przedemną stał talerz z parującym filetem z indyka, kartofelkami i szpinakiem. Wszystko pachniało wprost nieziemsko, a ja czułam, że jeśli przełknę bodaj kęs, to zwymiotuję.

– Nie, jest pyszne, ale muszę iść, pilna sprawa – skłamałam.

Na deser nawet nie spojrzałam. Coś się jednak ze mną działo. Pomimo całego wzorowego dystansu i zachowywanej równowagi po niedawnej śmierci ojca w środku odczuwałam piekący ból, jakby ktoś stale posypywał mi ranę solą. Zagłuszałam to uczucie wyczerpującą pracą. Wysiłkiem na tyle dużym, żeby nie mieć już siły na zastanawianie się, co i gdzie mnie boli. Pragnęłam zamienić się w nieczuły głaz, który wszystko zniesie i wszystko przetrzyma.

\*\*\*

Pojawiłam się w przedszkolu przed czasem. Dziewczynki właśnie jadły podwieczorek. Pani psycholog zaprosiła mnie do maleńkiego pokoiku wypełnionego zabawkami. Usiadłam na dziecięcym krzeselku. Przez chwilę mi się przyglądała, następnie zadała pytanie:

– Coś się z panią dzieje?

– Nie, dlaczego miałyby się coś ze mną dziać? – zdziwiłam się.

Kobieta odchyliła głowę, znów na mnie spojrzała, ponownie się pochyliła.

– Źle pani wygląda. Podkrążone oczy, blada cera. Pani jest bardzo zmęczona, to widać. Przepraszam, że się wtrącam, ale zdaje się, że prowadzi pani nieodpowiedni tryb życia.

– Samotnie wychowuję dwoje małych dzieci, pracuję, mój ojciec niedawno zmarł, a matka wpadła w depresję. To wszystko nie sprzyja pięknemu wyglądowi – wypaliłam trochę zbyt ostro.

Pani psycholog chyba spodziewała się wybuchu z mojej strony, bo pokiwała głową, jakby coś sobie właśnie potwierdziła.

– No właśnie – powiedziała tonem, którego ja używam wobec bardzo opornych klientów. – Pani praca. Uważa pani, że to jest właściwe zajęcie?

– To jest bardzo trudne i wyczerpujące zajęcie. Ale lubię swoją pracę i zarabiam dzięki niej pieniądze.

– Pieniądze to nie wszystko.

– Sugeruje pani, że powinnam robić coś innego? Dlaczego? I dlaczego rozmawiamy o mnie, a nie o dziewczynkach?

Pani psycholog oparła się o poręcz fotela, przyglądała się mnie. Szykowałam się na mocne uderzenie.

– Cały czas nasza rozmowa dotyczy dziewczynek – powiedziała bardzo spokojnie psycholożka. – Pani praca jest bardzo trudna. Mnie niełatwo o tym rozmawiać, ale gdy widzę, z jaką swobodą pani o tym mówi, to też nabieram odwagi. Uważam, że takie zajęcie nie jest właściwe...

– O czym pani mówi?! – zdenerwowałam się. – W jaki sposób moja praca wpływa na dzieci?! Co pani ma na myśli, mówiąc, że jest niewłaściwa?

– Proszę się nie unosić – uspokoiła mnie psycholog. – Jest pani

podenerwowana. Czy ta rozmowa wywołuje u pani stres?

– Owszem – odparłam. – Czuję stres, gdy pojawiając się tym miejscu. Czuję się stale oceniana, obserwowana, to nie jest przyjemne.

– Może jest pani przeczulona? – Psycholożka wciąż świdrowała mnie wzrokiem. – Towarzyszy pani ogromne napięcie. Czy to jest związane z pracą?

– Moja praca z założenia wiąże się ze stresem, napięciem i emocjami – roześmiałam się sztucznie.

Pod czaszką pulsowało niemiłosiernie, pragnęłam zamknąć oczy i odpocząć. Tymczasem kobieta przyglądała mi się z uwagą i jakby troską. Czulałam, że nie jest moim wrogiem, ale nie potrafiłam zniwelować dystansu, który nas dzielił.

– Uważa pani, że z tego powodu zaniedbuję dzieci?

– Nie uważam tak – zaprzeczyła pani psycholog. – Dzieci są zdrowiuteńkie, żeby to było jasne. Trochę rozrabiają i mają cięty język, ale to nie jest skaza, przeciwnie. Świadczy o tym, że są inteligentne i wrażliwe. W tej chwili to pani stan bardziej mnie niepokoi. Odnoszę wrażenie, że mierzy się pani z jakimś dużym zmartwieniem, coś panią dręczy. Może porozmawiamy o tym?

– Nie wiem, czy tego chcę – powiedziałam szczerze. – Odpycham różne myśli od siebie, nie mogę pozwolić sobie na chwilę słabości...

– Tak, wiem – przerwała mi psycholożka. – Bo dzieci nie powinny widzieć pani w takim stanie, bo obowiązki czekają. Wiem, znam to. Działanie pod presją otoczenia, nieustanne kontrolowanie siebie, bo każda chwila słabości może przynieść cios z najmniej spodziewanej strony.

Przytaknęłam skinieniem głowy.

– Nikt nie jest z żelaza, każdy ma prawo do słabszych dni, zachowań nieadekwatnych do sytuacji, gorszych decyzji. Nieustanne kontrolowanie siebie doprowadza ludzi do takiego stanu, w którym nie potrafią oni już otworzyć się na świat. A świat przyzwyczajony do ich doskonałości, nie akceptuje jakiegokolwiek pomyłki.

– W pracy nie mogę pozwalać sobie na chwile słabości, ponieważ moi klienci to ludzie z problemami. Oczekują ode mnie empatii, zrozumienia, cierpliwości, rady – stopniowo otwierałam się przed nią.

– Oni nie przychodzą po to, by słuchać o moich zmartwieniach, ale by wylewać własne żale.

– Rozumiem – przytaknęła pani psycholog. – Ale dlaczego tej pracy jest tak dużo? Czy istotnie tak bardzo potrzebne są pani pieniądze, czy też stanowi ona ucieczkę przed czymś? Taką zasłonę dymną?

Zawahałam się. Istotnie, praca przynosiła dochód, bez którego nie mogłabym się obyć, z drugiej strony ani Zbyszek, ani Ilona nie zapłacili mi złotówki, a poświęcałam im znacznie więcej czasu niż innym klientom.

– W pracy czuję się bezpieczna – odpowiedziałam zupełnie szczerze. – Problemy, z którymi się mierzę, należą do kogoś innego. Chyba o to chodzi. Przyglądam się z dystansu czyjemuś bólowi, odczuwam satysfakcję, gdy mogę pomóc, odnajduję w sobie siłę, gdy ktoś jest dla mnie przykry, ponieważ pomaga mi świadomość, że ten ktoś nie jest dla mnie ważny. W każdej chwili może zniknąć z mojego życia.

– Obawia się pani zaangażowania?

– Tak – przyznałam i nie mogłam już powstrzymać łez. – Bardzo.

– Co kryje się za tymi łzami? – psycholożka pochyliła się lekko w moją stronę, a ja odniosłam wrażenie, jakby przytuliła mnie do siebie.

– Gorycz – wyszeptałam. – Ludzie odnajdują we mnie spokój i wyciszenie, a ja wciąż szukam tego dla siebie.

– Co panią najbardziej dręczy?

– Nie wiem, kim jestem – wyznałam. – Nie umiem siebie określić. Każdy postrzega mnie inaczej, a zarazem wszyscy oczekują tego samego: wsparcia. Jestem więc silna. Lecz gdy muszę zmierzyć się z własną troską, nie potrafię opanować lęku, uciekam. W głębi serca pragnęłabym być niewidzialna i niesłyszalna. Często obserwuję, że ludzie oczekują ode mnie, że będę umiała dopasować się do ich nastroju, wyjaśnię im, co ich dręczy oraz dlaczego tak jest. W drugą stronę to nie działa. Odnoszę wrażenie, że nikt mnie nie rozumie, nie docenia, nie szanuje. Stałam się śmietnikiem dla ludzkich problemów.

– Sama pani wykreowała swój wizerunek w oczach innych – stwierdziła pani psycholog. – Praca z ludźmi wymaga ogromnej

odporności psychicznej, lecz nikt nie jest w stanie utwardzić się do tego stopnia, żeby pozostać nieczułym na to, z czym ma do czynienia. To nas zmienia. Czy tego chcemy, czy nie. Nawet nie musimy zdawać sobie z tego sprawy. Myślę, że to pani sama wykształciła w sobie oczekiwanie, że zawsze pani sobie poradzi, zapanuje nad wszystkim. Pani sama sobie podniosła poprzeczkę ekstremalnie wysoko, tworząc ogromną barierę między sobą a światem zewnętrznym, który – usiłując za panią nadążyć – dostaje zadyszki.

– Uciekam przed sobą – przyznałam – bo boję się konfrontacji. To, do czego nieustannie zachęcam moich klientów, dla mnie jest zbyt trudne.

– A może obawia się pani, że zbyt trudne okaże się to, co ujawniłoby się, gdyby pani pozwoliła się dogonić? – zauważyła psycholożka.

Zamyśliłam się. Ból w sercu, który pojawiał się czasem, był spowodowany tęsknotą za miłością, akceptacją, za kimś, kto widziałby we mnie przede wszystkim mnie samą. Psycholożka miała rację. Wygodniej było ukrywać się za wizerunkiem mediatorki, która nie może pozwolić sobie na okazywanie uczuć, bo to nieprofesjonalne. Stałam się więc nią w stu procentach, nie pozwalając, aby moje właściwe „ja” kiedykolwiek się ujawniło.

– Zdaję sobie sprawę z własnej wartości, lecz do tej pory nie spotkałam się z popytem na nią. Prowadziłam wewnętrzną walkę ze sobą, starając się zaserwować światu to, czego oczekuje, co prawie doprowadziło mnie do samozagłady i wpędziło w czarną melancholię. Czasem wydaje mi się, że moja dusza jest skamieniała, że to już się stało i nie znajdzie się nikt, kto zechce odkuć te kawałki betonu, którymi obrosłam po kolejnych doświadczeniach. Mój lęk powodowany jest tym, że sama nie wiem, kim jestem, ponieważ, by choć trochę zasłużyć na uwagę świata i ludzi, zatraciłam się w przywdziewaniu kolejnych masek – powiedziałam. – Stale odkrywam w sobie coś nowego, kolejne pokłady potencjału, z którymi nie wiem, co zrobić, bo nikt ich nie chce, a każdy z nas potrzebuje choć odrobinę akceptacji. Wciąż mam wiele niedokończonych spraw – przyznałam. – Nie umiem poradzić sobie z nadmiarem obowiązków.

Minął zaledwie miesiąc, odkąd wróciłam z urlopu, a w moim życiu wydarzyło się tak wiele spraw, jakby to był rok.

– Wszystko może poczekać – orzekła pani psycholog. – Słońce wschodzi i zachodzi bez oglądania się na cokolwiek. Ludzie sami sobie komplikują życie, zamiast prosto i spokojnie żyć zapędzają się na skraj przepaści.

– A z czego mogę zrezygnować? – Westchnęłam. Jakże często zadawałam sobie to pytanie i nigdy nie udzieliłam dobrej odpowiedzi.

– Wszystko było ważne, pilne, konieczne. Samo życie.

– Życie nie zsyła nikomu obowiązków ponad miarę. Ludzie sami je tworzą, są zachłanni zarówno w zagarnianiu bogactw, jak i w gromadzeniu kłopotów. – Psycholożka patrzyła mi w oczy, ale nie było to przykre. – Jest pani teraz tutaj. Nie odbiera pani telefonu, nie uruchamia komputera. Czy z tego powodu stało się coś złego? Ziemia kręci się nadal, ludzie rodzą się i umierają. Pewnie nawet niewielu zauważyło, że pani nie ma. Pokora potrzebna jest we wszystkim, w pomaganiu i braniu na siebie zobowiązań także, a może przede wszystkim. Gdy człowiek daje światu całego siebie, nie powinien oczekiwać, że świat to doceni. Świat zeżre go całego, przeżuje, przetrawi i wypluje resztki, nie zauważając nawet, kogo pożarł.

– Jak można wytyczyć granicę? Gdy czułam się zagubiona, nie stanął na mojej drodze nikt, kto mógłby i chciałby mi pomóc!

– A dlaczego miałyby to robić? – Kobieta roześmiała się. – Oczekiwała pani, że ktoś ot tak sobie przyjdzie i weźmie na siebie pani smutki? A po cóż miałyby to robić? Czyż ludzie nie posiadają własnych? A nawet, jeśli przykrości ich omijają, to dlaczego mieliby sami kłaść głowę pod topór? Słabość powinna kryć się w cieniu. Proszę przyjrzeć się zwierzętom. Gdy są chore, słabe, gorsze, to chowają się, przeczekują. Gdy ktoś jest słaby, przyciągnie drapieżnika, nie przyjaciela. Staje się wtedy łakomym kąskiem, bo to łatwa zdobycz.

Poczułam wstyd, bo ona miała rację. Z jednej strony maskowałam swoje słabości, widocznie bardzo skutecznie, skoro każdy prosił mnie o pomoc. Z drugiej, żyłam nadzieją, że zdarzy się cud i część spraw załatwi się sama, bez mojego udziału. W istocie rzeczy pragnęłam, by



to ktoś inny podjął za mnie decyzję, by rozporządził moim życiem, aplikując mi znieczulenie na żal, które ja nazwałabym świetnym lekarstwem.

– Modliłam się do Boga o wsparcie. Dopiero teraz mi go udzielił.

– Bóg nikogo nie wyręcza. Wyposażył nas we wszystko, co jest potrzebne do życia, czyli rozum i sumienie. Wielu z nas dostało jeszcze więcej, bo widocznie uznał On, że sobie nie poradzimy. Mamy więc ręce, nogi, ładny uśmiech, szerokie bary. Wystarczy. A jeśli komuś jeszcze mało, to niech sam się postara!

– To po co jest modlitwa? Po co chodzić do kościoła i wypraszać łaski, skoro nic z tego nie ma?!

– Modlitwa to nie deklamacja. Powinna wiązać się z wysiłkiem, rezygnacją z czegoś dla Niego. Wtedy dopiero ma sens. Doceniłaby pani, co przychodzi z łatwością i bez starań? Wzbudziłoby respekt i szacunek coś, co jest tandetne, byle jakie i niczym nie różniące się od innych podobnych rzeczy? Słuchałaby pani kogoś, kto mamrocze prośbę, leżąc do góry brzuchem, syty i wypoczęty? Wzbudziłby w pani współczucie i litość widok zadowolonych ludzi? Czy każdemu, kto poprosi, będzie dane? Pani pomagała każdemu i co z tego wynikło? Nie rzuca się pereł przed wieprze i nie zabiera dzieciom, by dać psom! Pamięta pani to?

– Chciałam zagłuszyć swój własny żal do świata.

– Przed sobą nigdzie nie uciekniemy, nawet na Księżyc. Lekarstwo na żal nosimy w sobie, w swoim sercu. Sama dla siebie jest pani zabójcą i uzdrowicielem, wybór, którego dokonujemy, też należy do nas.

– Chyba Bóg wybrał za mnie...

– Sama pani wybrała, On tylko wskazał chwilę. Czas zawsze wybiera odpowiedni moment, by się zatrzymać lub biec w pośpiechu. Wypełnia swoje zadanie, nie oglądając się na nasze potrzeby. Jak się pani teraz czuje? – zapytała pani psycholog.

Opadłam na oparcie krzesła i zamknęłam na chwilę oczy.

– Jestem bardzo zmęczona. To nie jest zmęczenie fizyczne, które można zniwelować odpowiednią dawką spokojnego snu. Ja boję się zasypiać, bo wiem, że gdy tylko się obudzę, powitam kolejny dzień

najeżony problemami. Sprawami, od których nie potrafię uciec. To mnie frustruje, a zarazem nie mogę okazać słabości, bo wszyscy oczekują ode mnie, że będę silna i wspierająca.

– Niech ich pani nauczy, że może być inaczej – poradziła psycholożka. – Jest pani doskonałą nauczycielką. I lekarką dusz. Na swój żal także odnajdzie pani lekarstwo, jestem tego pewna. W sobie.

Uśmiechnęłam się. Rozmowa z nią wiele mi dała. I choć czułam ogromne, fizyczne zmęczenie, moja dusza zrobiła się lżejsza, a ja sama się odprężyłam.

– Dziękuję – powiedziałam i podeszłam do niej.

Przytuliła mnie na chwilę. Rozstałyśmy się bez zbędnych słów.

\*\*\*

Po wyjściu z przedszkola porozumiałam się ze Zbyszkiem, który zaopiekował się później dziewczynkami. Pojechałam do domu rodziców, gdzie moja matka kolejny dzień zalegała w swoim pokoju. Zapukałam energicznie do drzwi. Nie odpowiedziała. Nacisnęłam klamkę, ale drzwi były zamknięte.

– Otwórz – zażądałam stanowczym tonem.

Nie odezwała się.

– Otwórz, bo nie będę rozmawiać z tobą przez drzwi!

– Jestem zmęczona, przyjdź później – usłyszałam słaby głos matki.

Zaczęłam walić w drzwi pięściami.

– Kłamiesz! Całe życie kłamiesz! – krzyczałam, wyładowując cały nagromadzony żal do niej. – Powiedz mi wreszcie prawdę!

– O co ci chodzi? – zawyła matka. – Jestem zdruzgotana, zmęczona. Nie krzycz na mnie...

– Okłamałaś mnie – wysyczałam ze złością. – Oszukałaś, że ta kobieta zrzekła się praw rodzicielskich. Co jeszcze jest kłamstwem?

– Jak możesz jej wierzyć?! – krzyknęła matka i podbiegła do drzwi.

Słyszałam jej kroki. Wkrótce przekręciła klucz w zamku. Zobaczyłam ją po raz pierwszy od dnia pogrzebu ojca. Jak na zamartwiająca się wdowę, wyglądała zaskakująco dobrze. Drakońska dieta również nie spowodowała u niej żadnych zmian.

– Był u mnie adwokat – powiedziałam nieco spokojniej. – Żaden prawnik nie podejmie się sprawy, jeśli nie ma ku temu podstaw. A on twierdzi, że moja biologiczna matka nigdy nie zrzekła się praw do mnie.

– Może nie zrobiła tego formalnie – zaczęła plątać się moja matka. Nie patrzyła na mnie. Wycofała się do pokoju i z udawanym wysiłkiem usiadła na łóżku. – Ale wycofała się, znikła...

– Napisałaś do mnie list, pamiętasz? – podeszłam blisko niej.

Siedziała z pochyloną głową i rękoma zaplecionymi na kolanach, a ja stałam nad nią, trzymając zaciśnięte pięści w kieszeniach płaszcza.

– Co z tego, co napisałaś, jest prawdą?

– Wszystko o moim synu – wyszeptwała prawie bezgłośnie.

– A to, co pisałaś o mnie?

– Zostaw mnie! – krzyknęła nagle i zaczęła okładać mnie pięściami.  
– Wszyscy mnie zostawcie! Wynoś się stąd! Precz!

Odepchnęłam ją i wyszłam.

Wróciłam do domu. Na klatce schodowej usłyszałam podniesione głosy, które niosły się echem przez kilka pięter.

Hałas się nasilał. Gdy stanęłam na naszym piętrze, ujrzałam Zbyszka szamoczącego się z Iloną i jakąś kobietą. Na dodatek znów interweniował sąsiad, któremu dzielnie sekundowała żona, bezpiecznie schowana za półprzymkniętymi drzwiami.

– Lafiryndy sobie sprowadzasz! Baby głupie, rozwydrzone! Dziwy jakieś! – wrzeszczała Ilona i okładała Zbyszka pięściami.

Ten usiłował złapać ją za nadgarstki, czemu skutecznie przeciwdziałał sąsiad. Gdyby całość rozgrywała się bezgłośnie, wyglądałoby to na zabawę w łapki.

– Pani jest nieuprzejma! – przekrzykiwała Ilonę obca kobieta, która stała dwa kroki od szamoczącej się trójki. Przeszła z nogi na nogę, jakby koniecznie chciała do nich dołączyć, ale zabrakło jej odwagi. – Pani jest agresywna!

– Kołtuny jakieś są lepsze ode mnie?! Makolągwy! Idiotki!

Sąsiadka przez szparę w drzwiach odgrażała się, że wezwie policję, ale nie wiedząc czemu, informowała o tym wyłącznie swojego męża, zwracając się do niego po imieniu. Oczywiście, poza deklaracją, nie zrobiła nic.

– Co tu się, do diabła, dzieje! – wrzasnęłam na cały głos. – Co to ma znaczyć?!

– Do cholery ciężkiej! – poparła mnie Basia, która wystawała między nogami Zbyszka.

Mój krzyk podziałał niczym stoper. Na ułamek sekundy wszyscy zastygli w bezruchu. Wystarczyło, żeby znaleźć się między Zbyszkiem i Iloną. W nich bowiem doszukiwałam się przyczyny tego konfliktu.

– Co wy tu robicie?! – warczałam jak wściekły wilczur. – O co znowu ta awantura?!

– Zbyszek mnie zdradza! – zaszlochała na to Ilona rozdzierająco. – Dom schadzek sobie urządził! Mam dowody! I jeszcze tu przyszedł mnie zdradzać!

– Z kim niby?! Czy pani już zupełnie oszalała?! Zbyszku, co to wszystko ma znaczyć?!

– Nikogo nie zdradzam – odezwał się wreszcie Zbyszek. – Mam już tego dość, wyprowadzam się.

– Bardzo proszę, droga wolna – rozpląkała się Ilona. – Nie będę żyła z potworem, który zmienia kobiety jak rękawiczki. Nawet taką mazepą nie wzgardziłeś. W czym ona jest lepsza ode mnie?!

Ilona spojrzała wymownie na stojącą z boku obcą kobietę. Ta zaczerwieniła się mocno, poprawiła apaszkę pod szyją i powiedziała godnie.

– Ja tu jestem służbowo, proszę pani, nie po to, żeby kogoś zdradzać. Ja to wszystko opiszę w sprawozdaniu. Sąd dowie się, w jakich warunkach przetrzymywane są dzieci.

– Proszę jeszcze dopisać, że ta pani ukradła mężowi but – wtrąciła się sąsiadka. – Bardzo solidny kapeć, prawie nowy.

– Jeden? – zdziwiła się kobieta.

Sąsiadka kiwnęła głową, a sąsiad w milczeniu zniknął w swoim mieszkaniu.

– Nikt niczego nie ukradł, kapeć jest do odebrania, bo w zamieszaniu znalazł się u mnie – powiedziała z irytacją. – Zapraszam państwa do mieszkania, tam sobie wszystko spokojnie wyjaśnimy.

Otworzyłam drzwi, w pierwszej kolejności sięgnęłam po sporny fant i wręczyłam go sąsiadce. Następnie wepchnęłam dzieci do środka z przykazaniem, żeby przez chwilę same się sobą zajęły. Ilona szlochała w kącie, Zbyszek stał oparty o ścianę, a nieznajoma wyraźnie wahała się, czy wejść.

– Zapraszam – powtórzyłam z naciskiem. – Będą państwo łaskawi wejść. Jeśli nie, to proszę załatwić swoje sprawy gdzie indziej.

Nieznajoma wkroczyła pewnym krokiem. Zbyszek wszedł z ociąganiem, Ilona zwlekała najdłużej. Skłóconą parę posadziłam w pokoju, kobieta natomiast zaczęła rozglądać się po mieszkaniu. Zajrzała do kuchni, gdzie piętrzył się stos niepozmywanych naczyń, do łazienki, w której nie zdążyłam zrobić prania i brudne ubrania tarasowały przejście, oraz do pokoju dziewczynek. Na szczęście tam

panienki nie zdążyły jeszcze pokazać, co potrafią.

– Pani czegoś szuka? – zapytałam ze złością. – Może pomożę?

– Chciałam skontrolować warunki mieszkaniowe, w których przebywają małe dzieci – odparła kobieta.

Nie zdjęła płaszcza, nie zareagowała na propozycję, by usiąść na chwilę.

– Pani mieszka tu sama z dziećmi?

– Tak. A kim pani jest, jeśli wolno spytać?

– Kuratorem, proszę pani. Sąd polecił mi zrobić wywiad środowiskowy.

Psia krew! Zamierzałam w sobotę wysprzątać mieszkanie na błysk, umyć okna, uprać firanki, żeby to babsko nie miało się do czego przychylić. Teraz stoję na przegranej pozycji, napisze, że w mieszkaniu zastała chlew. Na pewno tak napisze!

– Proszę wybaczyć nieporządek – zaczęłam nieco łagodniej. – Ale ostatnio wiele się dzieje i byłam zmuszona...

– Dziewczynki mają wspólny pokój? – przerwała mi kuratorka.

Kiwnęłam głową, że tak. Może to niedobrze? Zaraz, jak to było w innych sprawach? Chyba tylko chłopca i dziewczynkę należy separować?

– Pani wychowuje je sama?

– Tak. Czasem rodzice mi pomagają, teraz tylko mama, bo ojciec niedawno zmarł...

– Z czego się pani utrzymuje?

– Jestem mediatorem. Prowadzę mediacje.

– Na czym to polega?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo Ilona wydała z siebie przeciągły ryk. Spojrzałam niespokojnie w kierunku pokoju, kuratorka lustrowała właśnie plamy od brudnych palców na ścianie przedpokoju.

– Staram się pogodzić trudne pary. Między innymi. – Westchnęłam z rezygnacją.

Basia zostawiła wczoraj na szafce z butami ogryzek od jabłka. W ramach działalności wychowawczej nie usunęłam go i teraz wręcz krzyczał, wystawiając się bezczelnie na pokaz tej nieprzychylniej



babie.

– W domu też pani przyjmuje? – zainteresowała się kuratorka.

– Nie, Zbyszek to mój przyjaciel – wyjaśniłam. – On i jego partnerka przechodzą kryzys. Niestety, oboje wiedzą, gdzie mieszkam. Sprawili mi niemiłą niespodziankę.

– No tak – mruknęła kuratorka. – Gdy przyszedłam, ten pan kłócił się z tą panią pod pani drzwiami. Sąsiad poinformował mnie, że takie sytuacje często się pani przytrafiają.

Dlaczego ludzie nie mogą trzymać nosa we własnych sprawach! Gdy trzeba, żeby zareagowali, na przykład na płacz dziecka zza ściany, to siedzą cicho.

– Tak się akurat złożyło – powiedziałam szybko, bo Ilona znów zawyła. – Moja przyjaciółka rozstała się z partnerem, Zbyszek przechodzi kryzys z Iloną, mój ojciec zmarł. Wszystko naraz. Zwykle jestem w stanie to opanować i teraz też tak będzie. Potrzebuję trochę czasu. Przepraszam panią za to zamieszkanie, gdybym wiedziała, że pani przyjdzie starałabym się zadbać...

– Kurator nigdy się nie zapowiada – przerwała mi kobieta. – Chodzi o to, żeby zobaczyć prawdziwe życie, nieupozorowane. Dziękuję, to mi wystarczy. Pójdę już.

Kuratorka spojrzała jeszcze wymownie na Ilonę, która wybiegła z pokoju i zniknęła w łazience. Podałyśmy sobie ręce, wyszła. Będę musiała poinformować mecenasa Piwowara, że zawałam. Trudno. Nie zawsze człowiek jest w stanie wszystko przewidzieć.

Zbyszek przechadzał się po pokoju w tę i z powrotem. Usiadłam w fotelu i czekałam, aż sam zacznie. Czułam się ogromnie zmęczona, udęczona i w dużym stopniu wykorzystywana. Nie potrafiłam wycofać się z tej sytuacji, nie umiałam powiedzieć przyjacielowi wprost, że nie chcę dłużej uczestniczyć w jego konfliktach, słuchać o kolejnych podejrzeniach Ilony i jego własnych skarg. Bardzo pragnęłam, żeby zostawili mnie w spokoju.

– Myślę, że powinienem rozstać się z Iloną, co ty na to? – powiedział wreszcie Zbyszek. – Nie dam rady dłużej tak funkcjonować. Rozumiem, że twoim zadaniem i chyba nawet misją życiową jest ratować związki, ale ten nasz to porażka. Jestem u kresu

wytrzymałości. Musiałem tu przyjść, bo już nie wytrzymam. Ona znalazła mnie pod nowym adresem i urządziła tam karczemną awanturę! Muszę się wyprowadzić!

– Zbyszku, to ma być twoja decyzja, nie pytaj mnie, co ja na to – poderwałam się z fotela. – Nie wiem, co ja na to. Ja nic na to. Ty zdecydowałeś się związać z tą kobietą, więc i ty powinieneś postanowić, co dalej. Ja czuję się bezsilna, ponieważ żadne z was nie stosuje się do ustaleń, oczekujecie od siebie nawzajem nie wiadomo czego i liczycie na to, że samo się wszystko zadzieje. Masz rację, dłużej to trwać nie może. W każdym razie ja już nie jestem w stanie wam bardziej pomóc.

– Przecież wiesz, jaką mam sytuację – Zbyszek powiedział to z lekką pretensją w głosie.

Zupełnie tak, jakbym to ja była sprawczynią tych wszystkich zawirowań w jego życiu. Zdałam sobie sprawę, że – być może nieświadomie – czynił mnie odpowiedzialną za jego własne poczynania.

– Przykro mi, ale bardziej nie pomogę – powtórzyłam z naciskiem. – Musisz zdecydować i nie licz na mnie. To nie jest moja narzeczona, tylko twoja.

Zanim Zbyszek zdążył cokolwiek powiedzieć, do pokoju wróciła Ilona.

– Ja chciałabym coś wyjaśnić – oznajmiła łamiącym się głosem. Na jej twarzy widać jeszcze było ślady wycieranych łez. – Chciałabym wreszcie dowiedzieć się, dlaczego Zbyszek mnie okłamuje. Ja wiem, że nie był tam, gdzie miał być.

– Dość! – Poderwałam się z fotela tak gwałtownie, że ten się przesunął. – Dostyc tego! Wystarczy! Nie zniosę więcej rozmów na temat pani podejrzeń. Jeśli chcecie wałkować to w nieskończoność, to bardzo proszę, ale mnie w to już nie mieszajcie.

– Przecież pani prowadzi naszą sprawę i musi pani... – zaatakowała mnie Ilona.

– Ja nic nie muszę, proszę pani! – warknęłam. – To pani musi zastanowić się, czy jest pani normalna. Poświęca pani życie na śledzenie człowieka, którego podobno bardzo pani kocha. Czy to jest

miłość?! Ta obsesyjna zazdrość?!

– To nie jest zazdrość, tylko potrzeba, żeby Zbyszek był ze mną szczerzy – odparowała pani Ilona. – To jest złe, że nie chcę być oszukiwana?

– Pani żyje tymi podejrzeniami! Nawet anioła oskarżyłaby pani o zdradę! To jest chore, nienormalne. Nic innego nie zaprzęta pani myśli, tylko ciągle zastanawianie się, gdzie jest Zbyszek, co robi, z kim i czy mówi pani prawdę. Ale nawet jeśli spowiadałby się z każdej sekundy swojego życia, wciąż uważałaby pani, że kłamie. Pani powinna udać się do psychiatry!

– A on to co?! – zdenerwowała się Ilona. – Święty?! A może was też coś łączy?!

– Owszem, on też jest nienormalny, że wytrzymuje z taką babą – pojechałam po całości. Wszelkie blokady i wyćwiczone w pracy techniki hamowania emocji znikły jak kamfora. Mój żal do świata, tak mocno ostatnio tłumiony, znalazł swoje ujście właśnie teraz. Wykrzyczałam Ilonie i Zbyszkowi wszystkie pretensje, wyrzuciłam z siebie całą złość. Zdumiewające było to, że oboje stali nieruchomo i niczym zahipnotyzowani chłonęli każde moje słowo.

– I na koniec powiem wam jeszcze, że nienawidzę takich ludzi jak wy – dorzuciłam, zanim zabrakło mi tchu.

– Idźcie w cholere – postawiła kropkę Basia, która podsłuchiwała za drzwiami.

– Amen – dodała Laura.

Dziewczynki zachichotały i znikły w swoim pokoju.

Zbyszek wyszedł, nie oglądając się na mnie. Tego wieczora odreagowałam, płacząc w poduszkę. Sprawy musiały się dopełnić, a mnie brakowało już sił, by nad wszystkim zapanować. Moje dzieci położyły się tuż obok, głaszcząc mnie po policzku. Zasnęłam w ich objęciach.

\*\*\*

Następny dzień rozpoczęłam od wizyty u Betki w szpitalu. Poprzedniego dnia, wieczorem, wysłała mi SMS, że może wyjść ze szpitala już rano. Pojechałam do niej po odwiezieniu dzieci do przedszkola.

W sali rozgrywały się małżeńskie sceny. Mąż rozpieszczanej pacjentki kiwał się na krześle i chyba płakał, jego żona leżała, nic nie mówiła, a na jej twarzy malowała się zaciętość. Obok jej łóżka stał szpitalny wózek dziecięcy, spało w nim niemowlę. Pacjentka spod okna uśmiechała się po cichu, a ta, co stale płacze, przyglądała się parze, jakby pierwszy raz w życiu ujrzała białego człowieka.

– Co się stało? – zapytałam szeptem Betkę.

Przyjaciółka poleciała mi gestem, żebym usiadła bliżej.

– Ta krowa urodziła dziś w nocy. Czeka teraz na wolne łóżko na położniczym.

– No i co? To źle, że urodziła? – Nie rozumiałam. – Wreszcie się ten człowiek wyśpi porządnie, w domu.

– No właśnie źle – szepnęła z naciskiem Betka. – To znaczy, za szybko. To jest ich szóste dziecko. Ten facet bardzo pragnął być obecnym przy porodzie, chciał odcinać pępowinę i tak dalej. I przy wszystkich poprzednich dzieciach nie zdążył. Ta kłępa ganiała go po różne frykasy i gdy poszedł, to rodziła. Wrócił a tu już dziecko na świecie. Tym razem poprzysiągł sobie, że się uda. Zamieszkał w szpitalu, w pracy wziął urlop bezpłatny, najął niańkę do dzieci. Oni nie mogą już mieć więcej dzieci, bo się nie pomieszczą. To była jego ostatnia nadzieja. I wyobraź sobie wczoraj w ciągu dnia lekarz go solennie zapewniał, że to jeszcze nie czas, że spokojnie ze dwa dni poczekają. To on pojechał do domu, żeby ubranie zmienić, wziąć prysznic. Kiedy jeszcze był w domu, ta małpa posłała go po pasztet z królika. I wtedy się zaczęło. Rozumiesz, stęknęła, kwiknęła i już. Dziecko się urodziło w minutę. On przyjechał z tym pasztetem i omal nie dostał apopleksji. Lekarze doglądali jego, a nie położnicy. Nie wiem, czy to się nie skończy rozwodem.

– Zaproponuj im mediację – roześmiałam się. – Ale historia. Biedny facet, żal mi go.

– Ona leży nabzdyczona, bo on uważa, że zrobiła to złośliwie.

Znaczy się, urodziła. Oboje mają w nosie dziecko. Siedzą tacy obrażeni od rana. On co jakiś czas wydaje z siebie taki kwik i kiwa się, jakby miał chorobę sierocą. Za to ta, co tak stale beczy, uspokoiła się i gapi na nich, jak sroka w gnat. Dom wariatów.

– A żona Roberta jaka jest? – szepnęłam jej na ucho.

Betka tylko wzruszyła ramionami. Wiedziała, o kim mówię, bo wcześniej wysłałam jej informacyjny SMS.

– Drętwa – mruknęła przyjaciółka. – Skaczą wkoło niej, jak pajace. Pani doktor to, pani doktor tamto. Robert się nie pojawia. A ona tylko leży i coś czyta albo śpi. Nie rozmawia z nikim.

– Bacia, wychodzisz dziś? Co się w końcu okazało? Co ci jest? – zapytałam ją, bo zdałam sobie sprawę, że czas płynie, a ona wciąż siedzi na łóżku w koszuli nocnej – Przyjechałam po ciebie.

– Ja umówiłam się z kimś, że mnie odbierze – Betka była wyraźnie zmieszana. – Więc nie musisz czekać. Idź, skoro się śpieszysz...

– Nie śpieszę się – zaprotestowałam. – Kto to? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Bo poznałam go niedawno – bąknęła Betka jakoś niewyraźnie. – Przyszedł, zdaje się, w odwiedziny do kogoś i wpadliśmy na siebie na korytarzu, przy gabinecie zabiegowym. Bardzo miły.

– Bacia, ale ty go nie znasz – zwróciłam jej uwagę, lecz nie mogłam nie zauważyć tego blasku, który nagle rozpromienił jej twarz. – Dobrze, to ja pójde już... Kiedy pojawisz się w biurze? Przydałaby mi się pomoc, wiesz, mamy teraz dwoje stażystów...

– Mam jeszcze tydzień zwolnienia. Na wszelki wypadek mi dali. Bakterie zniknęły, jakby nigdy ich nie było. Nikt tego nie umie wytłumaczyć, więc co się będę przejmować – przerwała mi przyjaciółka.

Jej telefon zawibrował na szafce. Betka sięgnęła po aparat i po chwili rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– Przyjedzie po mnie. Nie martw się, idź już! Dam sobie radę!

Wysłałam ze szpitala z mieszanymi uczuciami. Było mi przykro, że przyjaciółka nie powiedziała mi nic więcej na temat nowego mężczyzny, z drugiej strony odczułam ulgę, że moje wizyty na oddziale położniczym się zakończyły. Na odchodnym zauważyłam, że

żona Roberta z nikim w sali się nie porozumiewała. Pozostała milcząca i zdystansowana.

Pojechałam prosto do biura. W drodze zatelefonowałam do mecenasa Piwowara. Ponieważ był niedostępny, zostawiłam mu krótką wiadomość na poczcie głosowej.

W biurze czekali już na mnie stażyści. Zrelacjonowali przebieg dyżuru. Pan Stanisław był wyraźnie zdegustowany. Spodziewał się tłumu chętnych, kolejek do mediatora, zainteresowania bez mała ogólnościowego. Tymczasem poza amatorką na darmową poradę prawną nie podszedł do nich nikt.

– To należy jakoś zareklamować, ogłosić – przekonywał podniesionym głosem. – Bez sensu takie siedzenie. Strata czasu. Do ludzi trzeba wyjść z informacją.

– To niech pan wychodzi – zgodziłam się. – Daję panu wolną rękę. Proszę przygotować plan rozpropagowania naszej działalności.

– Bardzo chętnie – ucieszył się pan Stanisław. – Jakim budżetem dysponujemy?

– Swoim własnym. – Roześmiałam się. – Zrzeszenie nie wspiera nas finansowo, na dotacje unijne nie ma co liczyć, pozostaje własna kieszeń i pomysłowość.

– Pani żartuje! – obraził się pan Stanisław. – Dlaczego miałbym płacić z własnej kieszeni?

– Bo mediatorzy są biedni jak myszy kościelne – wtrąciła się pani Klementyna. – Nie mówili o tym na kursie?

– Nie – warknął pan Stanisław. – Na kursie powiedzieli, że mediatorów brakuje, że są potrzebni. Teraz widzę, że to straszna lipa.

– Powiedzieli prawdę – stwierdziłam. – Mediatorzy są potrzebni i brakuje ich na rynku, ale dlatego, że to trudna praca i nie przynosi kokosów. Daje za to olbrzymią satysfakcję.

– Ja wierzę, że robimy coś dobrego i wartościowego – odezwała się Monika.

Do tej pory siedziała w milczeniu, delektując się naparem sporządzonym przez Klementynę. Pachniało tym czymś cudownie, trochę słodko, trochę egzotycznie. Później dowiedziałam się, że był to wywar z bambusa i *krachai*.



– Ta pani wczoraj tak mi dziękowała. Uważam, że powinniśmy dyżurować częściej i dłużej, bo ludzi nie stać na płatne porady.

– Bardzo proszę, może pani dyżurować tam nawet codziennie – przytaknęłam. – Proszę jednak pamiętać, że to jest zobowiązanie na dłużej niż tydzień lub dwa. Wytrwa pani przez co najmniej dwa miesiące?

– Przecież wszyscy będziemy dyżurować? – zdziwiła się dziewczyna.

Stażysta natychmiast pokręcił przecząco głową, a Klementyna roześmiała w głos.

– Ja to raczej niechętnie – sekretarka była dziś w doskonałym humorze. – Ja już wysiaduję godzinki w tym biurze. I wystarczy mi w zupełności kontakt z naszymi klientami. À propos, pani mecenas, dzwonił ten facet, co to kiedyś dzwonił, i chciał się z panią umówić, i znów był ten mecenas, co był wcześniej.

– A może to pani jakoś skonkretyzować?

Wiedziałam, że Klementyna nie zapisała żadnych nazwisk ani nawet haseł, dzięki którym mogłabym zidentyfikować sprawy. O numerach telefonów nie wspominając.

– Niechętnie – odpowiedziała sekretarka. – Ten, co dzwonił, to jeszcze będzie dzwonił, a mecenas pracuje przez ścianę, to najwyżej zapukam.

– Czy dziś nie prowadzi pani żadnych mediacji? – zainteresował się nagle pan Stanisław. – Chciałbym zaplanować sobie dzień.

– Dziś nie. Dziś pracuję nad projektami ugód dla klientów, z którymi już się spotkałam. Myślę, że możemy zrobić to wspólnie. Opowiem państwu w skrócie, o co chodzi, i przeczytacie sobie ugody.

– Ja mogę sama pisać ugody, jestem prawnikiem z wykształcenia! – przypomniała z naciskiem Monika.

– Wiem, ale zapozna się pani z moimi – odpowiedziałam stanowczym tonem. – Jest pani tu, żeby odbyć staż, czyli obserwować, uczyć się, zadawać pytania i wyciągać wnioski. Tylko tyle.

Stażyści usiedli przy stole w moim pokoju. Rozłożyłam przed nimi akta: rozwodników Kwiatkowskich, Bąkowskich – tych od darowizny

i moich tekstylnych klientów. Oboje rzucili się w pierwszej kolejności na odręczne notatki, spodziewając się pewnie, że znajdą w nich jakieś pikantne szczegóły dotyczące klientów. Rozczarowanie szybko odmalowało się na ich twarzach, bo zwykle zapisywałam sobie tylko istotne informacje, czyli kto i na co się zgodził, co pozostało do przemyślenia oraz jakie dane będą jeszcze potrzebne. Być może treść nie była sensacyjna, ale pozwalała zorientować się, o co w sprawie chodzi i jak powinna brzmieć ugoda.

Kątem oka obserwowałam Klementynę przez półotwarte drzwi. Sekretarka była tego dnia bardzo podekscytowana, często zerkała na telefon lub wstawiała i podchodziła do okna.

– Przejrzyjcie to sobie, zaraz wracam i będziemy pisać propozycje ugody dla tych ludzi – poinstruowałam stażystów.

Wysłałam do sekretariatu, zamykając za sobą drzwi.

– Co się dzieje? – zwróciłam się do sekretarki. – Czego się pani dowiedziała?

– Niechętnie to mówię – przyznała od razu Klementyna. – Ale ten człowiek z trzeciego piętra zginął, został zamordowany. To nie było żadne samobójstwo.

– Skąd pani to wie? – zainteresowałam się.

Kobieta tylko machnęła ręką. Przeszła się po sekretariacie w jedną i drugą stronę, zatrzymała się przy oknie, spojrzała przez nie i powiedziała.

– Porachunki mafijne. Niech pani o tym zapomni.

– Jak mogę zapomnieć, skoro jestem w to wmieszana? – zaprotestowałam. – Podobno zabił się przeze mnie, to już nieważne?

– Nie sądzę – odparła Klementyna i znów przeszła się po pomieszczeniu. – Chodzi o to, że to było upozorowane samobójstwo. I zastanawiam się, czy ten facet, co kiedyś o panią pytał, nie był w to zamieszany. Bo gdy tu przyszedł, to dziwnie się zachowywał. Ja takich wyczuwam na odległość. Lepiej tego nie ruszać, nie wnikać.

Przypomniałam sobie rezydenta, który wchodził do bramy. Czyżby to on miał zabić Cezarego? Nie wiedziałam przecież dokładnie, kiedy mój były mąż zginął. Policja do tej pory nie odezwała się do mnie.

– Ja w nic nie wnikać – oświadczyłam. – Ale wolałabym wiedzieć,

jaka była w tym moja rola. Tak dla porządku.

Klementyna westchnęła i rozłożyła ręce w geście rezygnacji.

– A mecenas czego chciał?

– Przypominał o spotkaniu.

– Aha.

Wycofałam się do pokoju, w którym pracowali stażyści.

– Moim zdaniem ci Kwiatkowsy powinni się rozwieść – powiadomił mnie pan Stanisław, gdy zajęłam miejsce przy stole.

– Popieram – dodała Monika. – On jest bezwzględny! Prawdziwy samiec alfa! Pracował, żona zajmowała się domem i dziećmi. Teraz, gdy role się odwróciły, to zaczęło mu to przeszkadzać, bo nie potrafi zarządzać domem, a ona doskonale odnalazła się w tej roli. Zazdrości jej umiejętności, inteligencji i tego, że jest od niego lepsza!

– Moim zdaniem – podjął znów Stanisław – ta kobieta to modliszka. Mąż na nią pracował, tyrał całymi tygodniami, a gdy osłabł, to pani szanowna uznała, że pora na zmianę miejsc. Ona to robi po to, by znaleźć sobie nowego żywiciela.

– Bzdura! – zdenerwowała się Monika. – Ta kobieta to symbol przewagi kobiet nad mężczyznami, którzy potrafią jedynie uzalać się nad sobą. Biedna, skrzywdzona istota, której nie pozwalano rozwinąć skrzydeł. Teraz nadarzyła się okazja, to mąż się przestraszył!

– On się przebudził! – uderzył pięścią w stół pan Stanisław. – W końcu zobaczył, jakiego potwora wyhodował na własnej piersi!

– Spokój – przerwałam. – Nie nakręcajcie się tak. Pomysł z zamianą ról wyszedł ode mnie. Przeczytaliście moje notatki i od razu wyrobiliście sobie pogląd na całą sprawę. To błąd. Taki sam popełnicie, gdy przeczytacie akta sądowe, nie widząc ludzi, nie rozmawiając z nimi. Nawet nie przypuszczałam, że jestem taka stronnicza w wydawałoby się suchych relacjach. Pamiętajcie, że nie do was należy osąd. To oni muszą zdecydować, co zrobią z własnym życiem, jak nim pokierują. Zaproponowałam im zamianę ról właśnie po to, by spojrzeli na siebie z innej perspektywy. I to się udało. Dalej muszą działać samodzielnie.

– Moim zdaniem – zaczął znów pan Stanisław – nie ma nad czym się rozwodzić. Na kursie mówiono, że mediator ma prawo, a nawet

obowiązek, tłumić w klientach chęć rozciągania sprawy na kilka wątków. To po co to wałkować? Niech się rozstaną i po krzyku!

– Zgadzam się – pokiwała energicznie głową Monika. – Tylko, że z jego winy.

– Takie rzeczy orzeka sąd – odpowiedziałam jej. – Dobrze. Nasi rozwodnicy pojawią się tu w czwartek, będziecie obecni podczas tej mediacji. Rozmawiałam już z nimi przez telefon, zgodzili się przyjść. Moim zdaniem należy zasugerować im terapię małżeńską. Następna sprawa.

– Ta darowizna to w ogóle jest głupia – zaczęła Monika. – Skoro już dostał ten dom, to po co to zmieniać? Starszej pani zaraz znów się odwidzi i tak będą się w kółko sądzić!

– Moim zdaniem, on powinien ten dom sprzedać, pieniądze podzielić na wszystkich po równo i będzie sprawiedliwie – stwierdził pan Stanisław.

Wiedziałam już, że z tą parą stażystów nie będzie łatwo. W przyływie egzaltacji wyobrażałam sobie, że w ramach stażu będę mentorem dla kilku zdolnych ludzi, których przenikliwy umysł zdoła odczytać moje intencje. Ludzie ci od razu pojmą, na czym polega praca mediatora, bez zbędnych tłumaczeń stanie się dla nich oczywiste wszystko to, co ja zrozumiałam w ciągu kilku lat. Pięknie jest pomarzyć.

– To nie takie proste, proszę państwa – odpowiedziałam spokojnie. – Starsza pani ma swój plan, który musimy uszanować. Ale ja dowiedziałam się tego w rozmowie poufnej, więc nie mogę ujawnić szczegółów. Podczas rozmowy z pozostałymi trzeba nakierować ich na ten trop. Trudność polega na tym, że każdy z nich ma swoją wizję rozwiązania tej sprawy i każdy uważa, że właśnie jego koncepcja jest najlepsza. Przygotowałam wstępną propozycję, ale zaprezentuję ją dopiero na spotkaniu, po tym, gdy wszyscy wypowiedzą się, co wymyślili.

– Przecież to niepotrzebnie wydłuża całą mediację! – skrzywił się pan Stanisław. – Takie gadki szmatki!

– Być może – zgodziłam się. – Ale jeśli pomysł wyjdzie od nich, a przynajmniej tak będzie się im wydawało, to zaczną go bronić

niczym chorągwi i wówczas sporządzenie ugody stanie się bardzo proste.

– Sprytne – pochwaliła Monika. – Jestem ciekawa, jaki to pomysł!

– Przecież zapisałam go w notatkach. – Zmarszczyłam brwi. – Nie piszę go jeszcze na komputerze, bo notatkami zawsze mogę się posłużyć, a tekst drukowany mógłby sugerować, że coś zostało z góry zaplanowane.

– Takie zabawy w podchody – skrzywił się znów pan Stanisław. – Jak w przedszkolu.

– Niestety, czasem trzeba trochę pomanipulować ludźmi, żeby wpadli oni na właściwy trop. – Uśmiechnęłam się. – Na tym polega nasza praca.

– A ta ostatnia sprawa? – przerwała mi Monika. – Poważnie chce pani doradzać im w sprawie kupowania bielizny?

– Tak – odpowiedziałam.

Pan Stanisław założył ramiona na piersi i odchrząknął z taką miną, że nie trzeba go było pytać o zdanie w tej kwestii. Od razu wiedziałam, że prezentowanie mu takich klientów uwłaczało jego godności.

– Nasi klienci przychodzą z różnymi problemami – zaczęłam ostrożnie. – W sądzie nie chcą się do tego przyznać, tymczasem, żeby wyleczyć chorobę, trzeba znać jej przyczynę. Dlatego podczas mediacji można poruszać wszystkie tematy, tabu nie istnieje. Później problem ma mediator, jak to ładnie opisać w ugodzie.

– Moim zdaniem takich ludzi należy wysyłać do specjalisty – orzekł pan Stanisław. – Będziemy się teraz bawić w pisanie o stanikach!

– Tekst ugody został już przez nich zaakceptowany – wyciągnęłam z pliku papierów kilka kartek. – Najważniejsze jest to, że mają racjonalniej wydawać pieniądze i sprawiedliwie przydzielać sobie fundusze na własne wydatki. Sąd nie musi wiedzieć, że chodzi o bieliznę. Spór toczył się przecież o pieniądze.

– I tak uważam, że to bzdura – utrzymywał pan Stanisław.

Na ugode nawet nie zerknął, za to Monika zaczęła na niej kreślić jakieś uwagi.

– Dlaczego tu jest napisane, że strony będą ustalać wspólnie próg

comiesięcznych wydatków na potrzeby własne? – skrzywiła się. – Nie lepiej byłoby napisać, kto ile może wydać? Znow zaczną się kłócić.

– No właśnie nie. – Westchnęłam. – W pierwszej kolejności powinni ustabilizować swoją sytuację materialną, co oznacza zakaz kupowania czegokolwiek ponad potrzeby podstawowe. Ale problem polega na tym, że ten facet nie może się powstrzymać. Dlatego bezpieczniej ustalać na bieżąco jakąś kwotę, którą on będzie mógł wydać, i taką samą wartość dla niej, żeby nie czuła się pokrzywdzona. Takie rozwiązanie może utrzymać równowagę. Z długów wyjdą z opóźnieniem, ale zniknie napięcie między nimi.

– To w ogóle jest bzdura – nie wytrzymał pan Stanisław. – Facet jest chory na głowę i powinien przeznaczyć pieniądze na leczenie, a nie kupować sukienki!

– Pewnie ma pan rację, ale skoro takie rozwiązanie im pasuje, nie należy ludzi zmuszać do innego.

Stanisław jednak pozostał nieprzekonany. Dokończyliśmy rozważania na temat zaprezentowanych przeze mnie spraw i stażyści na dziś zakończyli pracę. Spojrzałam na zegarek, dochodziła piętnasta trzydzieści.

– Pani Klementyno – zwróciłam się do sekretarki. – Dziś już mnie nie będzie.

– Rozumiem – przytaknęła sekretarka. – Jutro ta parka też zawita?

– Tak. – Roześmiałam się. – Też sądziłam, że będzie łatwiej, ale prezes Gruszka najwidoczniej nie mógł sobie odmówić tej drobnej złośliwości.

– Przypatrzą się kilku sprawom, to zejdą na ziemię. – Klementyna pokiwała głową. – Niechętnie to przyznaję, ale ma pani anielską cierpliwość do tych ludzi. Czasem zastanawiam się, czy to warto tak się przejmować. Przecież z pani już tylko cień pozostał, a ludzie są jak te pijawki. Jak się przyssa, to nie odpadną, aż się ich solą posypie. Żeby pani chociaż zdrowo jadła. Buraki, na przykład.

– Nie mam na to teraz czasu – westchnęłam. – Jak się wszystko wyklaruje, pomału to ogarnę.

– Pomału wejdzie pani do grobu – skwitowała mnie Klementyna. – Niech pani chociaż kaszę gryczaną sobie ugotuje. Starczy na cały



dzień, pełna energii i można jeść na zimno.

– Pomyślę nad tym, pani Klementyno. Dziękuję.

– Mogę pani szykować takie zestawy, jak pani chce. Robię dla siebie, zrobię i dla pani.

– Dobrze, chętnie. Do jutra!

Pożegnałam się serdecznie z Klementyną i wyszłam z biura. W samochodzie telefonicznie złapał mnie mecenas Piwowar.

– Dochodzenie w sprawie denata z trzeciego piętra prowadzi polska prokuratura we współpracy z włoską policją – zawiadomił mnie. – Podobno denat zdążył przed śmiercią wdać się w jakieś podejrzone międzynarodowe interesy. Pani rola jest tu znikoma, choć trochę się pani przysłużyła. Chodzi o to, że dzięki jakimś zdjęciom, które pani ujawniła, szybko zidentyfikowano sprawcę kilku zamachów na Sycylii. I być może w ten sposób pokrzyżowała pani niejedne plany. Policja sprawdza różne powiązania. Na razie ustalono, że na krótko przed śmiercią denat spotkał się z jakimś mężczyzną, którego od dawna obserwuje włoska policja. On zapewne był mordercą, ale to na razie tylko przypuszczenie. Pani nie zamierzają wzywać, może pani też swobodnie wyjeżdżać, dokąd chce. O sprawę kontaktów może pani być spokojna. To pani mąż ją założył, ale w obecnej sytuacji sąd umorzy postępowanie, już złożyłem stosowny wniosek. Czy bywa pani w firmie ojca? Warto sprawdzić, co się tam dzieje. Pani mama nie odbiera telefonu, chciałem uzyskać od niej więcej informacji, ale się nie udało.

– Rozumiem – potwierdziłam. – Moja matka zamyka się w pokoju i nie chce z nikim rozmawiać. Adwokat, niejaki Maciej Mikulski, zaproponował spotkanie z Anną Kołodziej, moją domniemaną biologiczną matką. Zastanawiam się, czy na nie iść. Wstępnie się zgodziłam, ale szczerze mówiąc, jest to ostatnia rzecz, na którą mam ochotę.

– Na kiedy? – zapytał Piwowar.

– Na jutro.

– Jutro mam kilka spraw w sądzie i nie będę mógł pani towarzyszyć – zasmucił się mecenas. – Musi pani uważać, ten adwokat to niezły cwaniak. Ale sądzę, że warto się spotkać. Choćby

po to, żeby dowiedzieć się, co szykują.

– Dobrze. Poradzę sobie – zapewniłam. – Do firmy ojca wybiorę się w przyszłym tygodniu. Muszę uporządkować kilka swoich spraw. Przynajmniej jedna się rozstrzygnęła. Z tym przedszkolem.

– Przykro mi, że nie mogę pani jutro pomóc – zmartwił się prawnik. – Proszę jak najszybciej dać mi znać, co wynikło z tego spotkania. A firmą trzeba się zainteresować, bo to pani scheda. Domem także. Szkoda, że nie mam dostępu do żadnych dokumentów!

Obiecałam, że zadzwonię niezwłocznie, po czym się rozłączyłam. Przekreśliłam kluczyk w stacyjce i ruszyłam do przedszkola.

W przedszkolu nauczycielka poinformowała mnie, że Laura stała dziś za karę w kącie. Podobno moja córka nazwała jednego z chłopców lebiegą z plazmą zamiast mózgu. Kobieta koniecznie chciała wiedzieć, czy w moim domu używa się takich sformułowań.

– Tak, proszę pani.

Mój wesoły ton sprawił, że przedszkolanka zamilkła zdziwiona.

– Tak właśnie się do siebie zwracamy i są to formy pieścizotliwe.

– To proszę to zmienić, bo inne dzieci czują się obrażane – oświadczyła bardzo cicho wychowawczyni i wycofała się do sali.

Powitałam moje córeczki, które – jedna przez drugą – relacjonowały mi przebieg dnia. Słuchałam tego radosnego szczebiotu i zastanawiałam się, jak to możliwe, że do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że to one są najważniejszym celem w moim życiu. Zamiast od nich uciekać, powinnam chłonać ich miłość, radość, bez troskę niczym najczystsze powietrze. Z przedszkola pojechałyśmy do kawiarni na lody i dopiero stamtąd do domu.

Spokojny wieczór przerwał dzwonek u drzwi. W progu stał Zbyszek.

– Mogę przenocować? Betka jest u siebie, z jakimś facetem. Nie mogłem tam zostać.

Zbyszek zmusił swoją twarz do grymasu, który miał imitować uśmiech. Otworzyłam szerzej drzwi i wpuściłam go do środka. Dziewczynki już spały, więc usiedliśmy przy szklance herbaty.

– Zbyszku – zaczęłam. – Ja nie chcę meblować ci życia, ale powinieneś coś postanowić. Nie można tak się tułać, z miejsca na

miejsce. Ilona wie, że jesteś u mnie?

– Dziś chyba ostatecznie nasze drogi się rozeszły, ten moment musiał nastąpić – oświadczył Zbyszek i napił się herbaty. – Nie mogę tak żyć, masz rację.

– Powinieneś się ożenić – orzekłam stanowczo. – Założyć własną rodzinę.

– Z kim? – zapytał.

Oboje unikaliśmy zasadniczych wątków, oboje udawaliśmy, że rozmawiamy. Zza ściany dochodził nas podniesiony głos sąsiadów, którzy o coś się kłócili.

– A co u ciebie?

– Objawiła się moja biologiczna matka – powiedziałam z uśmiechem na twarzy, usiłując nadać mojemu głosowi lekką frywolność. – Mój były mąż nie żyje, ktoś go zabił. Moja matka, ta z którą spędziłam całe życie, zamknęła się w domu i nie rozmawiamy. Okazało się, że mnie okłamywała. Betka ma nowego faceta, ale nic o nim nie wiem. Nie chciała nawet, żebym go poznała. W biurze uciążliwi stażyści. Istny cyrk, nie mogę narzekać na nudę!

– To pięknie – podsumował Zbyszek.

Odniosłam wrażenie, że myślami jest daleko.

– Wiesz, każdy ma prawo do wiedzy na własny temat, ale czasem zastanawiam się, czy rzeczywiście warto wiedzieć. Ja wiem tyle, że jestem sierotą. Nigdy nie szukałem moich rodziców, bo nie chciałem przekonać się, że na przykład byli mordercami. Z drugiej strony, często chciałem poczuć, jak to jest mieć mamę i tatę, rodzinę. Może dlatego wciąż jestem sam. Ilona jest bardzo opiekuńcza.

– Zbyszku! – oburzyłam się. – Ona jest chorobliwie zaborcza!

– Tak, ale na swój sposób to jest miłe – przyznał Zbyszek. – Nigdy nikt się o mnie nie troszczył, nie przejmował, dokąd idę i z kim. Ilona jest trudna, ale dzięki niej zaznałem tego, czego całe życie mi brakowało. Powiedz mi – zwrócił się do mnie. – Dlaczego nie może być tak, żeby było dobrze? Żeby człowiek nie musiał zastanawiać się ciągle, czym zawinił. Dlaczego ciągle musi się coś pieprzyć!

– Nie wiem, Zbyszku – odpowiedziałam szczerze. – Gdybym wiedziała, byłabym najbogatszą osobą na świecie!

Zbyszek przespał się w pokoju, na rozłożonym fotelu, a ja położyłam się u dzieci. Los szykował dla nas wszystkich nowe rozdanie. Przeznaczenie, niczym niepozorna kulka na kole ruletki, w ułamku sekundy wyznaczało, co na spotka.

\*\*\*

– Dziś spotkamy się z Kwiatkowskimi – oznajmiłam w czwartek rano na widok czekających stażystów. – Otrzymali projekt porozumienia, który przesłałam im drogą mejlową. Zobaczymy, co powiedzą. Tekstylni zaakceptowali ugode, też im wysłałam. Kobieta przyjedzie o dwunastej, a pan Paweł o pierwszej, żeby podpisać, więc ta sprawa już się zamyka. Jutro klienci od darowizny.

– Moim zdaniem należałoby to jeszcze zweryfikować – przerwał mi pan Stanisław. – Nie podoba mi się tekst tej ugody.

– Ale im się podoba i to wystarczy – warknęłam. – W końcu to nie pan będzie ją realizował.

– Mimo wszystko – upierał się mężczyzna. – To jest źle napisane z ekonomicznego punktu widzenia.

– Jest napisane dobrze z ich punktu widzenia – ucięłam. – Podoba im się, więc kończymy sprawę i kropka.

– Ciśnienie spada – wtrąciła się Klementyna, jakby to wytłumaczenie samo w sobie miało pomóc. – Zaparzę herbatę z lawendy i liści laurowych. Mogę dodać wierzby, jeśli nie jest pani uczulona?

– Na co? Na wierzbę? Raczej nie. – Wzruszyłam ramionami.

Klementyna popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Na salicylany – wyjaśniła. – W wyciągu z wierzby znajduje się ten sam składnik, który występuje w aspirynie. Nie jest pani uczulona na aspirynę? Państwo też się napiją?

– Ja dziękuję – odezwała się Monika. – Nie wierzę w zioła i tym podobne bzdury. To szamanizm.

– Moim zdaniem w tym pomieszczeniu jest za mało tlenu – orzekł pan Stanisław. – Należy częściej wietrzyć!

Zanim ktokolwiek coś powiedział, podszedł do okna i szeroko je otworzył. Natychmiast owionął nas lodowaty wiatr. Tegoroczna wiosna nie rozpieszczała. Temperatura utrzymywała się na poziomie bliskim zera, nad miastem zalegały ciężkie, sine chmury, przez które nie przedostawał się nawet jeden promień słońca. Na chodnikach wciąż gdzieś zalegały resztki śniegu, wiał lodowaty północny wiatr. Każdy z nas utrzymywał w sobie płomycek nadziei, że niedługo zrobi się jaśniej i cieplej. Przecież to ostatni tydzień marca,

kalendarzowa wiosna już przysła! Chuchaliśmy w tę nadzieję, jak w rozpalane z trudem ognisko, które przy najlżejszym podmuchu może zgasnąć. Wyczekiwaliśmy światła, które dosłownie i w przenośni rozjaśni nasze życie. Zwłaszcza moje.

– Pan chyba na mózg upadł! – zdenerwowała się Klementyna. – Chce pan nam zafundować zapalenie płuc! Można lekko uchylić, na chwilę. To nie lato, szanowny panie!

– Moim zdaniem trzeba wietrzyć – upierał się pan Stanisław.

Klementyna zgromiła go wzrokiem i ruszyła w stronę okna. Przez chwilę szamotali się, bo ona zamykała, a on otwierał. Bez słowa przeszłam do drugiego pokoju, a Monika udała się za mną.

– Jak to będzie wyglądało? – Usiadła przy stole. – Gdy ci klienci przyjdą. Kto będzie im zadawał pytania?

– To nie przesłuchanie – zwróciłam jej uwagę. – Przyjdą i wyrażą swoje zdanie na temat propozycji ugody, którą im przesłałam. Zobaczymy, co powiedzą. Ogólnie to oni mówią, my słuchamy. Państwo w zasadzie tylko słuchacie, przyglądacie się. Ewentualne uwagi proszę zapisywać na kartce i dyskretnie mi podać, a najlepiej – zostawić na później. Gdy wyjdą, porozmawiamy.

– To my nie będziemy w ogóle mediować? – zdziwiła się Monika. – Dlaczego tak?

– Dlatego, że jeszcze się uczycie – odparłam. – Uczycie się przez obserwację. Nie znam was, ja też obserwuję, co umiecie, jak pracujecie. Za jakiś czas każde z was poprowadzi mediację samodzielnie i wówczas ja będę się przyglądać. Ta sprawa już się kończy, więc bardzo proszę zachowywać się tak, jak powiedziałam.

Gdy dołączył do nas Stanisław, powtórzyłam mu to samo. Skinął głową i – ku mojemu zadowoleniu – nie protestował. Przeciąg zatrzasnął okno, gdy klienci otworzyli drzwi. Skrzydło uderzyło z taką siłą, że omal nie wypadło z framugą.

Kwiatkowsy wkroczyli do pokoju. Uprzedziłam ich mejlowo, że będą mi towarzyszyć stażyści. Pani Magda wyglądała jeszcze piękniej, w przeciwieństwie do swojego przyszłego byłego męża, który wyraźnie wychudł, zmizerniał, a wrazenie to potęgował kilkudniowy niechlujny zarost.



Kobieta usiadła z rozmachem z boku, on przy samym stole. Pan Stanisław zajął miejsce po mojej lewej stronie, lekko z tyłu, Monika przysiadła obok pana Norberta. Klementyna postawiła przede mną filiżankę z herbatą i wycofała się do sekretariatu, gdzie właśnie ktoś się pojawił.

– Czy zapoznali się państwo z projektem ugody? – powiedziałam, gdy wszelkich formalności związanych z przedstawieniem stażystów stało się zadość. – Jakież uwagi?

– Mnie ogólnie pasuje – zaczęła pani Magda. – Jedna drobniutka korekta. Rozliczenie finansowe proponuję omówić oddzielnie, bo uważam, że majątek powinniśmy podzielić inaczej.

– Przecież zgodziłaś się wcześniej na taki podział! – podniósł natychmiast pan Norbert. – Jak chcesz to inaczej dzielić?

– Postanowiłam – głos pani Magdy był słodki jak miód i trujący jak arsenik – postanowiłam, że nie oddam ci połowy domu i żądam więcej udziałów z firmy.

– Przecież dom jest wspólny, to sprawiedliwie jest podzielić go na pół! – zdenerwował się pan Norbert. – Ile udziałów chcesz?! Firma nie jest twoja!

– Teraz już jest – odparła pani Magda. – Możemy iść do sądu, jeśli chcesz.

– Chwileczkę – wtrąciłam się. – Zostawmy na razie sprawy finansowe, skoro należy je inaczej rozwiązać. Czy w pozostałych kwestiach są państwo zgodni? Możemy skonstruować dwie ugody.

– Ja się nie zgadzam, żeby miejsce zamieszkania dzieci było przy matce – odezwał się pan Norbert. – Chcę, żeby były przy mnie.

– Zgodziłaś się, że będą mieszkać ze mną! – krzyknęła pani Kwiatkowska. – Nie masz własnego mieszkania, to jak mogą być przy tobie?!

– Mam mieszkanie, bo połowa domu należy do mnie! – odpowiedział jej mąż. – Jestem ojcem i mam takie same prawa do dzieci jak ty!

– Ach tak! To w takim razie ja nie zgadzam się, żeby twoja matka zajmowała się dziećmi!

– Co masz do mojej matki?! Jakoś do tej pory ci nie przeszkadzała!

– Ale teraz mi przeszkadza!

Czekałam spokojnie, aż małżonkowie ochłoną. Nie pierwszy raz znalazłam się w sytuacji, gdy wydawało się, że mediacja zakończy się powodzeniem, a tymczasem klienci znów zaczynali się kłócić. To był oczywisty znak, że nie powiedzieli dotąd całej prawdy i zaproponowane porozumienie jedynie otarło się o zgodę. Musieli tego doświadczyć, aby zrozumieć, że bez ujawnienia wszystkiego, co miało związek z tą sprawą, każda ugoda będzie krótkotrwała.

– Moim zdaniem pani jest zbyt agresywna – wtrącił się nagle pan Stanisław.

Uwagę skierował do klientki. Było to tak nieoczekiwane, że zareagowałam z opóźnieniem. Niestety, drogo mnie to kosztowało.

– Ja jestem agresywna?! Co za bzdura! – obraziła się pani Magda. – Pan jest chamem!

– A pani idiotką! – odparował stażysta. – Czytałem notatki pani mediator. Przez ostatnie lata pasożytowała pani na swoim mężu i teraz chce go do reszty obedrzeć ze skóry. Od razu widać, jaka z pani modliszka!

– To bezczelność! – Pani Magda wstała z rozmachem. – Nie będę tego wysłuchiwać! To wszystko jest ustawione. Idę natychmiast do mojego adwokata i spotkamy się w sądzie! A panią zaskarżę! – zwróciła się do mnie.

– Proszę się nie unosić – wstałam i podeszłam do niej. – Pan Stanisław trochę się zagalopował, bardzo panią przepraszam. Panie Stanisławie, proszę panią przeprosić i zachować milczenie.

– Nie będę rozmawiać w obecności tego pana – oświadczyła klientka, wciąż stojąc. – Niech on wyjdzie.

– Nie będzie mi pani rozkazywać! – odburknął stażysta. – Musi mnie pani znosić, bo jestem tu na stażu!

– Panie Stanisławie, bardzo proszę na chwilę ze mną – zwróciłam się do niego ostro.

Mężczyzna wstał, przewracając krzesło, i ruszył w stronę wyjścia. Gestem poprosiłam panią Magdę, żeby usiadła i wyszłam za stażystą. Zatrzymał się przy biurku Klementyny, która w skupieniu układała spinacze w pudełku.

– Czy pan oszalał?! – zaczęłam bez wstępów. – Co pan wyprawia! Nie wolno tak się zachowywać! Kto pana upoważnił?!

– Pani się nie odzywała, więc uznałem, że straciła pani kontrolę nad sytuacją – oświadczył wyniośle pan Stanisław. – Moim zdaniem należy ucinać takie kłótnie, bo one nie prowadzą do niczego. Ta baba musi zrozumieć, że źle postępuje!

– Ta baba to nasza klientka, która oczekuje pomocy i wsparcia, a nie tresury! – zdenerwowałam się. – Nie nauczyli pana na kursie, że nie wolno nikogo oceniać? Poza tym jest pan stażystą. Nie upoważniłam pana do zabierania głosu i wtrącania się. Miał pan obserwować, ewentualnie notować, a przede wszystkim milczeć!

– Pani źle to prowadzi!

– Niech pan mnie teraz uważnie posłucha – syknęłam. – Powinnam pana od razu wywalić za coś takiego. Ale mam taki głupi zwyczaj, że każdemu daję drugą szansę. Wracam do pokoju, a pan zostaje tutaj i siedzi cicho. Jeśli jeszcze raz będę zmuszona zwrócić panu uwagę, to kończymy współpracę. Zrozumiano?!

– Ja będę zmuszony poinformować o pani zachowaniu prezesa Gruszkę – zagroził mi pan Stanisław. – Zachowam spokój, ale moim zdaniem ta mediacja się nie uda, bo pani nie potrafi z nimi rozmawiać.

Klementyna schowała spinacze do szuflady, zatrzasnąwszy ją z hukiem. Wróciłam do pokoju, w którym Monika tłumaczyła panu Norbertowi podstawy prawne zawiadomienia prokuratury o podejrzeniu popełnienia przestępstwa polegającego na porwaniu własnych dzieci.

– Proszę państwa – zwróciłam się do Kwiatkowskich. – Proponuję, żeby pochylić się nad projektem ugody i zastanowić się, która treść nie budzi kontrowersji i mamy to ustalone, a co jeszcze wymaga przemyślenia.

– To wszystko bzdura! – wybuchnął nagle pan Norbert. – Ja nie chcę żadnego rozwodu! Ja nie chcę dzielić firmy! Magda! Zróbmy coś. Przecież to jakaś paranoja!

Pani Magda wzruszyła w milczeniu ramionami. Wtedy Monika zaczęła przemowę.

– Może pan ubiegać się o przydzielenie opieki wyłącznej nad dziećmi z tego powodu, że matka źle się prowadzi. Później powinien pan złożyć wniosek o pozbawienie jej władzy rodzicielskiej z ustaleniem wysokości alimentów. A jeśli dom został kupiony po ślubie, to oczywiście jest wspólny i ona musi pana spłacić. Firmę też tak trzeba rozliczyć, z tym że skoro pan pracował w niej dłużej, to panu należy się więcej. Na następne spotkanie mogę panu napisać pozew.

Zamknęłam na chwilę oczy.

„To się nie dzieje naprawdę” – pomyślałam w rozpacz.

Głowa pękała mi w szwach. Mediacja, która dziś powinna się zakończyć, zbaczała w bliżej nieokreślonym kierunku za sprawą dwojga stażystów, nad którymi najzwyczajniej w świecie nie umiałam zapanować.

– Nie chcę tego robić – oświadczył cicho pan Norbert. – Kocham moją żonę i nie chcę się z nią sądzić!

– Kocha pan modliszkę – nie wytrzymał pan Stanisław, który stanął w uchylonych drzwiach.

– Dlaczego nie mówiłeś mi tego przez ostatni rok? – rozpląkała się nagle pani Magda. – Dlaczego traktowałeś mnie z taką obojętnością? Wiesz, co ja przeżywałam, gdy przyjąłeś do pracy tę młodą dziewczynę, a mnie mówiłeś, że jestem gruba jak świnia?!

– Nie mówiłem o tobie świnia! – zaprzeczył gwałtownie pan Norbert. – Nazwałem cię prosiaczką!

– To to samo! – rozkleiła się pani Magda. Łzy jak grochy kapały na drogi żakiet. – Przy tobie czułam się brzydka i niekochana. Chciałam ci zaimponować, a ty mnie spychałeś do garów! Dzieci, gary, pranie, gotowanie. A ta idiotka z tobą jeździła w delegacje!

– Ty nie chciałaś... – spokojniej powiedział pan Norbert.

Pani Magda lamentowała.

– Manipulantka – syknął ponownie pan Stanisław.

Zanim do niego dotarłam, dodał:

– Taki płacz na zawołanie. Aktorka.

– Ja nie chciałam?! – szlochała klientka. – Ja bardzo chciałam, ale kazałeś mi siedzieć z dziećmi!

– Bo najlepiej, jeśli dzieci siedzą z matką a nie z niańką – stwierdził pan Norbert. – A ten kochanek? To pies?!

– Jaki kochanek?!

– Ten, co ci kwiatki przysyłał. Myślisz, że nie wiem?!

– Mówiłem, że to podła...

Trzymając pana Stanisława za łokieć, wyprowadziłam go do wyjścia.

– Niech pan idzie na chwilę – zarządziłam.

– Dokąd? – zdziwił się stażysta.

– Na grzyby! – warknęłam i wyrzuciłam go za drzwi.

Szybko wróciłam do pokoju, w którym trwała mediacja. Spojrzałam przelotnie na Monikę. Też płakała.

– Co się pani stało? – podeszłam do stażystki.

Wytarła nos w rękaw i buchnęła płaczem.

– Bo to jest takie romantyczne!!!

– Dom wariatów – mruknęłam pod nosem.

Pani Magda i jej mąż, nie zwracając już na nikogo uwagi, przerzucali się wyjaśnieniami, z których wynikało, że przed rokiem ona starała się zwrócić na siebie uwagę męża i – aby wzbudzić w nim zazdrość – symulowała zaloty innego mężczyzny. Wysyłała do siebie kwiaty i drobne upominki, stała się dla małżonka bardzo chłodna, nieprzystępna i złośliwa. On z kolei uznał, że żona już go nie kocha, i z żalu bardziej zaangażował się w pracę. Udane małżeństwo, które skaziła nuda i rutyna, stanęło na krawędzi rozwodu.

– Myślę, że zostawimy państwa samych, żeby mogli sobie spokojnie wyjaśnić wiele spraw – powiedziałam głośno.

Monika nie zorientowała się, że mówiłam do niej, więc złapałam ją za łokieć – jak przed chwilą pana Stanisława – i wyszłyśmy.

Zamknęłam ostrożnie drzwi. W sekretariacie Klementyna siedziała na swoim miejscu nieruchomo jak posąg, a pan Stanisław stał pod ścianą i patrzył tępo przed siebie. Coś potężnego tu się wydarzyło, atmosfera zgęstniała do konsystencji śmietany.

– Zapraszam państwa stażystów do drugiego pokoju, musimy porozmawiać – oznajmiłam i ruszyłam pierwsza.

Monika, głośno wycierając nos, podążała za mną. Stanisław

przyszedł po chwili. Usiadłam i zaraz zaczęłam mówić:

– To, co zaprezentowali państwo przed chwilą, było niedopuszczalne. Pan się zachował skandalicznie, krytykując klientkę, a pani się rozpląkała jak mała dziewczynka. Mediacji zawsze towarzyszą emocje i należy nauczyć się nad nimi panować. Jeśli na kursie nie wpoili wam, że mediator w pracy nie posiada własnych przekonań, tylko podąża za swoimi klientami, to nie wiem, jak ułoży się dalej nasza współpraca. Bardzo proszę zastanowić się, czy to jest zajęcie dla was. Druga para przyjdzie podpisać ugodę i jeśli znów zaczniecie odgrywać taki cyrk jak przed chwilą, to się pożegnamy.

– Pani jest nieprofesjonalna – odparł pan Stanisław. – Nie wyobrażam sobie współpracy z panią i telefonowałem już w tej sprawie do prezesa Gruszki.

– Bardzo dobrze, zatem pan już jest wolny – odpowiedziałam mu chłodno. – Nie trzymam pana.

– Dziś i jutro jeszcze zostanę – oświadczył stażysta. – W poniedziałek mam dostać wiadomość od prezesa.

– Zostanie pan pod warunkiem, że będzie się pan zachowywał, jak należy – podniosłam nieco głos. – To znaczy, w milczeniu będzie pan obserwował przebieg spotkania. Nie życzę sobie komentarzy, pochrząkiwania, stękania, wzdychania oraz jakichkolwiek gestów.

– Pani jest nieprofesjonalna – powtórzył mężczyzna. – Dobrze. Zastosuję się do pani życzenia. W ostateczności wyjdę, jeśli uznam, że dzieje się coś, za co nie chcę ponosić odpowiedzialności.

– Bardzo dobrze. Pani Moniko, bardzo proszę opanować emocje następnym razem – zwróciłam się do dziewczyny, która już się uspokoila. – Jeśli nie może pani tego zrobić, proszę wyjść na chwilę.

– Ale oni tak na siebie popatrzyli – zakwiliła stażystka. – Pani jest bez serca, bo to było takie wzruszające!

– Czy może pani zrobić, o co prosiłam? – powtórzyłam z naciskiem. Stażystka potaknęła głową.

– Dobrze. Zaraz tam wracamy.

Wstałam. Pan Stanisław przeszedł przede mną i jako pierwszy wkroczył do pokoju, w którym Kwiatkowscy się jednali. Spojrzał na nich nieprzychylnie, a następnie odsunął swoje krzesło daleko od



stołu. Usiadł, założywszy ręce na piersiach.

– Co państwo postanowili? – zwróciłam się do klientów.

Pani Magda spojrzała na męża, a ten się lekko zarumienił.

– Damy sobie szansę – powiedział i spojrzał na żonę.

Ona kiwnęła potakująco głową.

– Magda złoży do sądu wnioski o zawieszenie postępowania, w firmie zrobimy spotkanie z pracownikami i ustalimy nowe zasady. Kiedy wrócę dziś wieczorem do domu, to też porozmawiamy, jak to wszystko ułożyć.

– Bardzo się cieszę. – Pochyliłam się lekko w jego stronę. – To jest najlepsze rozwiązanie.

– Moim zdaniem oni powinni to spisać, bo takie ustalanie na gębę nie ma sensu – nie wytrzymał pan Stanisław.

Zignorowałam go i gdy klienci wstali, podałam im rękę i odprowadziłam do drzwi.

– Dajcie znać za jakiś czas, jak wam idzie – rzuciłam na pożegnanie.

Pan Stanisław burczał coś, siedząc wciąż w pokoju. Monika znów wycierała nos w chusteczkę, a Klementyna stała oparta o biurko i wydymała usta.

– Pani coś się stało z tymi ustami? – zaatakowałam ją.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się do mnie tyłem.

– Nie miała baba kłopotu, to nabrała sobie stażystów – bąknęła sekretarka dość cicho, lecz na tyle głośno, żebym słyszała.

Zignorowałam to. Dochodziła druga.

– Muszę wyjść na chwilę, będę w kancelarii obok – rzuciłam, otwierając drzwi.

Wyszłam z biura, zostawiając za sobą nabzdyczoną Klementynę, zapłakaną Monikę i obrażonego pana Stanisława.

Kancelaria adwokacka, do której weszłam, wyglądała jak wszystkie lepiej prosperujące placówki tego typu. Luksusowe wnętrza, umeblowane antykami, książki w złoconych oprawkach, sekretarka na szpileczkach. Herbatę obowiązkowo podaje się tu w porcelanie, a wodę – w półlitrowej, kryształowej karafce. Kanapa w poczekalni zawsze jest tak przepastna, że człowiek zapada się w nią i leży

zamiast siedzieć. Z tego powodu większość klientów woli pozostać w pozycji stojącej lub siedzieć na brzeżku.

– Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas pomimo swojej trudnej sytuacji – mecenas Mikulski pojawił się nagle tuż przy mnie.

Dlaczego sekretarki zawsze wskazują miejsce naprzeciw niewłaściwych drzwi?

– Przejdźmy do mojego gabinetu, zapraszam.

– Czego się pani napije? – rzuciła za nami sekretarka.

Gdyby adwokat szybciej zamknął drzwi, jej pytanie odbiłoby się od szyby i potłukło na progu.

– Naparu z kardamonu – odkrzyknęłam.

Złapałam rozbawione spojrzenie mecenasa, który spojrzał na sekretarkę. Baba paliła mnie już na stosie.

– Naparu z kardamonu – powtórzył swoim miękkim głosem. – Ja też poproszę.

Usiadłam na brzegu krzesła, które przypominało tron królewski. Gabinet prawnika mógłby służyć jako obiekt do zwiedzania. Inkrustowane meble, figurki z porcelany za szkłem, mosiężne przyciski na dębowym biurku, kolekcja pięknych piór wiecznych w gablocie.

– Przykro mi z powodu pani ojca.

Mecenas prezentował się nie gorzej od swojego wnętrza. Ubrany był elegancko, choć z lekką nutą nonszalancji. Garnitur i niebieska koszula podkreślały jego pozycję, rozluźniony krawat w stokrotki nadawał całości żartobliwego charakteru.

– Przepraszam, że składam kondolencje z takim opóźnieniem.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się. – Panie mecenasie, czy mogę zapytać, gdzie jest pani Kołodziej?

– Spóźni się – poinformował mnie Mikulski i oparł się mocniej w swoim skórzanym fotelu za kilka tysięcy.

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach, wolałbym w przyjemniejszych – cedził prawnik. – Choć, można powiedzieć, znamy się już od dawna. Spotkaliśmy się przecież kilka razy na klatce schodowej. I nie tylko.

Ponownie się uśmiechnęłam, tymczasem Mikulski kontynuował.

– Otóż sprawa wygląda tak, że pani Kołodziej chciałaby nawiązać kontakt z panią i pani córkami. Bardzo jej na tym zależy. Z tego, co się orientuję, nie widziały się panie ponad trzydzieści lat.

– Nigdy się nie widziałyśmy – sprostowałam. – Nie znam tej pani i wydaje mi się dziwne, że teraz zamierza cokolwiek nawiązywać. Proszę mi wybaczyć, ale dla mnie brzmi to jak jakaś fikcja, żart. W dodatku niesmaczny.

– Rozumiem, ta sytuacja jest dość – Mikulski się zawahał – dość delikatna. Pani Kołodziej wprowadziła mnie w szczegóły tej historii i muszę przyznać, że nigdy się z czymś takim nie spotkałem.

– Będę wdzięczna, jeśli zaoszczędzą mi państwo łzawych scen – przerwałam mu. – Powiem szczerze, że nie jestem zainteresowana nawiązywaniem jakichkolwiek relacji z tą panią. Skoro zna pan szczegóły historii, to nie muszę tego tłumaczyć. Po prostu uważam, że nie mamy o czym rozmawiać, więc szkoda czasu.

Tymczasem drzwi do gabinetu otworzyły się i wkroczyła przez nie sekretarka, niosąc porcelanę na tacy. Za nią weszła kobieta.

Mecenas wstał, przywitał się z przybyłą i wskazał jej fotel ustawiony po mojej lewej stronie. Dopiero, gdy usiadła, spojrzałam na nią.

– Pani Marta Kołodziej, pani Anna Kołodziej – przedstawił nas Mikulski.

Pani Kołodziej skinęła mi nieznacznie głową. Była to niewysoka i dość szczupła kobieta, ubrana elegancko i drogo. Na jej twarzy można było doszukać się śladów dawnej urody. Spłowiałe, niegdyś blond włosy, zostały ułożone w piękne fale otaczające głowę. Oczy patrzyły na mnie z uwagą i przestrawieniem. Byłyśmy do siebie podobne jak dwie krople wody. Jedna trochę starsza, druga młodsza, ale podobieństwo rzucało się w oczy.

– Może zostawię panie same na chwilę – odezwał się mecenas.

Żadna z nas nie zareagowała. Gdy wyszedł z pokoju, Anna Kołodziej wysunęła się nieznacznie ze swojego fotela. Splotła palce na wysokości brzucha i przemówiła.

– Bardzo chciałam cię zobaczyć, Natalio – był to ten sam głos, który

już słyszałam w telefonie. – To jest trudne dla nas obu. Zwłaszcza teraz, gdy Paweł nie żyje...

Przerwała. Ja wciąż siedziałam nieruchomo niczym posąg.

– Nie wiem, co powiedzieć – zaczęła. – Tyle lat. To takie trudne.

– Nie rozumiem, po co ta cała szopka – odezwałam się wreszcie. Mój ton był ostry i szorstki. – Nie było pani tyle lat, po co teraz coś zmieniać? Po co mieszać ludziom w głowie? Jeśli chodzi o majątek, to proszę rozmawiać o tym z moją matką. Ani firma, ani dom mnie nie obchodzą! Podzielcie się same, a mnie zostawcie w spokoju! O ile oczywiście pani twierdzenia okażą się prawdziwe.

– Nie zależy mi na pieniądzach – odpowiedziała z żarem kobieta i poprawiła się w fotelu.

Dopiero wtedy zauważyłam, że trzyma coś pod pachą. Była to teczka lub książka, którą położyła na kolanach.

– Jestem bogata. Chodzi mi o ciebie.

– Chyba trochę za późno na kajanie się...

Po raz pierwszy spojrzałam jej prosto w oczy. Były to ciepłe ciemnoniebieskie oczy, teraz wypełnione łzami.

– Dlaczego nie zostawi mnie pani w spokoju?!

– Jakże miałabym to zrobić, skoro wiem, że jesteś, że żyjesz?!  
Zobacz!

Otworzyła teczkę, którą trzymała na kolanach i wyjęła z niej kilka kartek. Były to urzędowe dokumenty potwierdzające śmierć moją i ojca. Wśród nich znajdował się również list napisany ręką mojej matki. Wyjaśniała w nim, że oboje zginęliśmy w wyniku pożaru, który strawił również nasz dom. Prosiła, aby Anna Kołodziej nie starała się jej odnaleźć, ponieważ postanowiła wyjechać za granicę i zacząć nowe życie.

Nie wiem, ile czasu zajęła nam ta rozmowa. Nie pamiętam. Lecz tego dnia mój świat zawalił się i odbudował na nowo. Umarłam i powstałam z martwych. Poznałam prawdziwą historię mojego życia, która na zawsze przewartościowała we mnie wszystko.

Mecenas nam nie przeszkadzał. Pożegnał mnie skinieniem głowy, gdy zamyślona wychodziłam z jego gabinetu.

\*\*\*

– Czy w dwie godziny można odbudować relację i nawiązać więź? – pytałam dużo kilka miesięcy później panią psycholog z przedszkola. – Tylko dwie godziny. A ja odnoszę wrażenie, że tak się stało. Poczułam, że ta kobieta jest mi bliska. Przyniosła z sobą ukojenie dla mojej duszy, mimo wszystko. Z drugiej strony, nie umiem przełamać dystansu. Znam odpowiedzi na wiele pytań, czuję spokój, moje serce się raduje, a ja nie umiem się na to wszystko otworzyć.

– Dwa dni. Ma pani rację. Zdrowy rozsądek nakazuje wątpić w szczerść uniesień, ale przecież emocje nie znają czasu ani przestrzeni – odpowiedziała wówczas psycholożka. – Skoro obie przerabialiście wytrwale swoje lekcje po to, by dojść do tego miejsca, to może są to aż dwie godziny? Aż dwóch godzin potrzebowałyście, żeby się odnaleźć.

– Ten kosmiczny stan nie będzie trwał wiecznie – wyznałam. – I bardzo dobrze. Bo nie byłybyśmy w stanie normalnie funkcjonować. Ja teraz ledwo daję radę robić cokolwiek w swoich sprawach zawodowych, a zwykle skupiam na nich całą uwagę. Prawie nie śpię i nie jem, myślę o matce niemal bez przerwy. Przecież w ten sposób można się wykończyć. Chcę nadrobić stracony czas i zarazem nie chcę tego. Z dnia na dzień robi się spokojniej, ale nigdy nudno. Wiem to. Czuję, wreszcie czuję, że do kogoś przynależę, mam swoje korzenie. Prawdziwe. I nie chcę tego zgłębiać. Pragnęłabym położyć się spać i obudzić wtedy, gdy wszystko już się ułoży.

\*\*\*



Tamtego dnia, kiedy poznałam Annę Kołodziej, nie wróciłam już do pracy. Gdy weszłam do biura, sięgnęłam jedynie po płaszcz i torebkę i po prostu wyszłam. Wieczór spędziłam w towarzystwie moich dzieci oraz wielu dokumentów z przeszłości, z którymi musiałam się zapoznać, a które otrzymałam podczas spotkania z biologiczną matką.

Ta historia układała się teraz w logiczną całość. Byłam dzieckiem mojego ojca i Anny Kołodziej. Pobrali się i zamieszkali w domu, który obecnie zajmuje moja matka. Gdy kończyłam roczek, Anna pojechała w odwiedziny do swojej krewnej we Włoszech, ale już nie wróciła do Polski. W wyniku wypadku samochodowego doznała poważnej kontuzji kręgosłupa i zmuszona była spędzić kilka miesięcy w szpitalu. W tym czasie otrzymała smutną wiadomość o śmierci swoich bliskich i postanowiła pozostać za granicą. Nie wyszła ponownie za mąż, ale związała się kilka lat później z właścicielem sieci aptek. Nie mieli dzieci.

W styczniu tego roku ktoś zawiadomił ją anonimowo, że jej córka żyje. Z początku zlekceważyła wiadomość, uznając ją za niesmaczny żart. Ale ziarno wątpliwości zostało zasiane, bo anonim zawierał wiele prawdziwych informacji. Anna Kołodziej postanowiła wynająć prywatnego detektywa.

„Komu zależało na tym, żeby nas zetknąć ze sobą?” – zastanawiałam się, oglądając w świetle lampki kopię listu. – „Kto napisał ten anonim?”.

\*\*\*

– Moim zdaniem oni powinni iść do psychiatry – burczał pod nosem pan Stanisław.

W piątek pojawiłam się w biurze na czas. Dzieci odprowadziłam do przedszkola, porozumiałam się także z mecenasem Piwowarem. Należało wreszcie uporządkować wszystkie sprawy. Moja matka nie odbierała ode mnie telefonu. Poinformowałam prawnika o tym, czego się dowiedziałam, obiecał pomóc wszystko wyjaśnić.

Mediacyjna para, która pojawiła się za wcześnie, pogrążona była w lekturze ugody. Monika stukała palcem po klawiaturze swojego telefonu, zupełnie niezainteresowana całą sprawą. Po kilku minutach klienci zakończyli czytanie i zgodnie pokiwali głowami na znak, że aprobują tekst. Podsunęłam im długopisy.

– Istnieją poradnie dla takich osób – nie wytrzymał pan Stanisław.

– Jeśli wszystko się zgadza, to proszę podpisać. Jeden egzemplarz dla pani, jeden dla pana i jeden wyślę do sądu. To wszystko – powiedziałam to dość głośno, w nadziei, że odwrócę uwagę od niepoprawnego stażysty.

W myślach już widziałam, jak wyrzucam go z hukiem z biura i ze stażu u mnie.

– Bardzo pani dziękujemy. – Klient z uśmiechem uścisnął mi dłoń. – Teraz jedziemy na zakupy. W Tamarze pojawiła się nowa kolekcja szlafroczków. Przepiękne. Może kupić jeden dla pani? Mąż będzie zadowolony.

– Dziękuję, może innym razem.

Odwzajemniłam uśmiech. Kątem oka widziałam, że pan Stanisław patrzy na nas z obrzydzeniem.

– Trzymam kciuki, żeby nie musieli już państwo korzystać z usług mediatora ani sądu.

– Jeszcze raz dziękujemy, jest pani aniołem – powtórzył klient.

Jego żona tylko się uśmiechała. Gdy wyszli, wróciłam do stażystów. Monika wciąż zajęta była telefonem, Stanisław stał przy oknie, naburmuszony.

– Panie Stanisławie – zaczęłam bardzo oficjalnie. – Będziemy musieli się rozstać. Jakoś nie wychodzi nam ta współpraca, a ja nie mogę sobie pozwolić na taki dyskomfort w pracy. Bardzo mi przykro.

– To mi jest przykro, że muszę obcować z takimi osobami – powiedział z naciskiem na słowo „takimi”.

Nie miałam pewności, czy chodziło mu o klientów, czy o mnie i Klementynę. Może o wszystkich naraz.

– Niestety, prezes Gruszka nie ma dla mnie innej propozycji, więc będziemy musieli się jeszcze trochę pomęczyć.

– Nic nie będziemy musieli – odparłam chłodno. – Jutro proszę nie przychodzić. Dziękuję panu za współpracę. W zasadzie już może pan sobie iść.

– Jeszcze posiedzę – oświadczył Stanisław i podsunął sobie krzesło.

Już miałam na to zareagować, gdy weszła Klementyna i na ucho powiedziała mi, że w pokoju obok czeka mecenas Piwowar, a w sekretariacie nowy klient. Machnęłam ręką na Stanisława i poszłam za Klementyną, zabierając ze sobą teczkę, którą otrzymałam od Anny Kołodziej.

– Czy zechce pan chwilę poczekać, zaraz z panem porozmawiam – zwróciłam się do gościa, który stał przy drzwiach wejściowych.

Był przeciętnego wzrostu, ani gruby, ani chudy, o wyblakłej twarzy bez wyrazu, zupełnie nieprzykuwający uwagi. Ubrany w popielaty płaszcz, idealnie stapiał się z otoczeniem.

– Poczekał – zgodził się.

Jego głos też był bezbarwny.

– Pani Klementyno – rzuciłam szybko w stronę sekretarki – czy przypomina pani sobie, kto w poniedziałek zostawił list w kopercie bez znaczka?

– Nie sędzę – odpowiedziała po swojemu Klementyna, ale zastanowiła się przez chwilę. – Nie, wiem. Taki jeden facet. Był tu już kiedyś i pytał o panią.

Podziękowałam skinieniem głowy i położyłam rękę na klamce, kiedy sekretarka dopowiedziała:

– On chyba tu do kogoś przychodzi, bo widziałam go kilka razy, jak wychodził z budynku.

Przygryzłam wargę, bo nagle przed oczami stanął mi rezydent mordujący Cezarego.

Weszłam do pokoju Betki i przywitałam się z mecenasem

Piwowarem. Przekazałam teczkę z dokumentami i powiedziałam:

– Myślę, że sprawa jest zupełnie jasna. Moja matka prawdopodobnie posłużyła się sfałszowanymi dokumentami albo poświadczyła nieprawdę. Nie ma to dla mnie znaczenia. Chciałabym, żeby pozostała w swoim domu, nie zależy mi nim. Nie chcę też wyrządzać jej krzywdy. Zrobiła, co zrobiła. Ponieważ mój były mąż nie żyje, czuję się swobodna, jeśli chodzi o dzieci.

– Pani mąż nie żyje? Bardzo mi przykro, nie wiedziałem.

– Jak to? Przecież to ten z góry, ten który napisał, że zabił się przeze mnie!

– Hmm – mruknął Piwowar. – Prawdę mówiąc, nie sprawdzałem, jak się nazywa, ale sąd rodzinny otrzymałby powiadomienie, że pani były mąż nie żyje. Sprawdzę to.

– Nie wiem, co robi pani Kołodziej – kontynuowałam – ale sama zadeklarowała, że możemy się powoli poznawać. To są kopie dokumentów, które mi pokazała. Jedyne, co wydaje mi się pilne, to firma ojca.

– Rozumiem – odezwał się prawnik. – Musimy jednak poczekać na postanowienie sądu o nabyciu spadku. Na razie złożę wnioski o powstrzymanie zarządu przed podejmowaniem decyzji wykraczających poza zwykły zarząd. Przydałoby się też przeprowadzić audyt finansowy. Dokumenty sobie przeanalizuję.

– Znam bardzo dobrego biegłego rewidenta – powiedziałam z uśmiechem. – Niezwykle skrupulatny.

– Proszę podać mi kontakt do niego.

– Dobrze, ale najpierw skontaktuję się z nim sama – oświadczyłam.

Piwowar przytaknął skinieniem głowy. Zanim wstał, zastygł na chwilę, jakby zastanawiał się nad czymś.

– Gdyby to istotnie był pani były mąż, musiałby wyjść na przepustkę, tymczasem on nie otrzymał jeszcze takiego uprawnienia. Coś mi tu nie pasuje, ale sprawdzę to. Do widzenia.

Prawnika wyszedł, a ja zwróciłam się do stojącego w sekretariacie mężczyzny w płaszczu. Wskazałam mu pokój Betki.

– Czym mogę panu służyć?

Posadziłam klienta, który – mimo zachęty – nie zdjął płaszcza.

– Ja już od jakiegoś czasu staram się umówić na spotkanie z panią – zaczął mężczyzna.

Pomiędzy poszczególnymi zdaniami robił tak duże przerwy, że istniała obawa, że nie skończy przed wieczorem.

– Mam taki kłopot, że jestem chory – kontynuował klient. – Jestem chory psychicznie. Mam depresję albo schizofrenię, albo psychozę. Sam nie wiem. Coś mam.

– Ja nie jestem lekarzem – wtrąciłam się.

– Wiem, pani jest mediatorem – powiedział dość szybko facet, po czym znów zamilkł na chwilę.

– Ja straciłem sens życia – kontynuował. – Ono mnie przerosło. Dom, dzieci, teściowa, żona, obowiązki. To za dużo, ja tak nie mogę.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego zwraca się pan z tym do mnie?

Przyglądałam mu się z rosnącym zainteresowaniem. Mężczyzna mówił beznamiętnie o swoich problemach, ale ożywił się, gdy tylko ja coś powiedziałam.

– Bo sam nie wiem, co robić – przyznał facet. – Wyprowadziłem się z domu, mieszkam teraz u koleżanki z pracy, ale chciałbym kupić dom. O, niech pani zobaczy, czy nie jest ładny?

Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej najnowszy model smartfona i zaczął przesuwając na nim kolejne zdjęcia dość dużej posesji, otoczonej ogrodem.

– Piękny, pewnie bardzo drogi – przyznałam. – A gdzie to jest?

– We Francji – wyjaśnił mężczyzna. – Okolice Reims. Oczywiście dom z wyposażeniem.

– Stać pana na to? – zdziwiłam się.

Było to trochę niegrzeczne, bo w końcu facet w płaszczu mógł dysponować milionami.

– Nie, no właśnie nie – przyznał ze smutkiem klient. – Ale mógłbym wziąć kredyt. Tylko powiedzieli mi, że żona musi się zgodzić.

– To prawda – przyznałam. – I co pańska żona na to? Nie podoba jej się ten dom?

– Ona o niczym nie wie – westchnął mężczyzna. – Bo ja jej nie powiedziałem. Rozumie pani, życie z nią mnie przerosło i musiałem zerwać wszelki kontakt z żoną i z teściową.

– To dla kogo chce pan kupić ten dom? – zdziwiłam się.

– Dla siebie – odparł klient. – Ja lubię duże domy.

Przyjmuje się, że mediator nie powinien prowadzić mediacji z osobami, co do których istnieje podejrzenie, że są upośledzone umysłowo, chore psychicznie, działają pod wpływem alkoholu lub innych środków zaburzających świadomość oraz jeśli są skrajnie nieporadne i nie rozumieją, co się dzieje. Czy ten mężczyzna zaliczał się do którejś z tych kategorii, czy tylko udawał? Ale po co miałby udawać?

– Domyślam się, że chciałby pan, żebym przekonała pana żonę, żeby pozwoliła panu wziąć kredyt – zaczęłam ostrożnie.

Zanim dokończyłam zdanie, klient już kiwał energicznie głową na znak, że dokładnie o to mu chodziło.

– Oczywiście, możemy rozmawiać, ale we trójkę – kontynuowałam.

– Zaproszę pana żonę, usiądziemy razem i przedstawi pan swoją propozycję.

– Nie może tak być – zaprotestował z ogniem klient. – Ona mnie nie zrozumie. A pani posłucha.

– Nie będę nikogo namawiać, przykro mi – wyprostowałam się. – Mogę pomóc w rozmowie, ale nie zamierzam pana wyręczać.

– Jest pani w zмовie z moją teściową! – krzyknął nagle mężczyzna i uderzył pięścią w stół. – Ona panią zczarowała! Ja wiem, że wydzwania do różnych wrózek, żeby odprawiały nade mną czary! Pani jest jedną z nich! Pani chce mnie zniewolić! Ja to wszystko wiem! Precz, czarownico!

Zanim zdążyłam zareagować, mężczyzna zerwał się z krzesła i przewrócił je na podłogę. Następnie przystąpił do demolowania pokoju. Popchnął stół, zaczął rozpychać pozostałe krzesła. Na szczęście w pomieszczeniu nie znajdowało się wiele sprzętów ani przedmiotów. Mimo to zanim pan Stanisław go nie obezwładnił, udało mu się wybić szybę za pomocą doniczki z kwiatkiem. Klementyna dzwoniła na policję, a Monika darła się wniebogłosey.

Stanisław powalił agresywnego klienta na podłogę, wykręcił mu ręce i dodatkowo przyparł kolanem. Mężczyzna od razu się uspokoił, postanowiliśmy jednak poczekać na pojawienie się policji. Monika



miotłała się po całym biurze, wyjąc, jakby coś ją opętało.

Pan Mikulski wyszedł ze swojej kancelarii w towarzystwie mecenasa Piwowara dokładnie wtedy, gdy policja wyprowadzała awanturującego się klienta. Obaj patrzyli na tę scenę, mecenas Piwowar ze zdziwieniem, a Mikulski z rozbawieniem.

– U pani stale dzieje się coś ciekawego – zagadnął mnie młodszy z prawników. – Chyba poproszę, aby pozwoliła mi pani u siebie bywać.

– Zapraszam – wymamrotałam niewyraźnie.

Dlaczego ja ciągle wypadam w jego oczach tak głupio?! Mecenas Piwowar nic nie powiedział, za to zamyślił się głęboko.

– Wystarczy tych atrakcji – oświadczyłam w biurze, gdy sytuacja była już opanowana. – Zamykamy. Jutro pojawią się klienci od darowizny, ale po południu. Rano mnie nie będzie, jakoś sobie państwo poradzicie. Do widzenia!

Nie spojrzałam nawet na nikogo, po prostu wyszłam. Rześkie powietrze wytarło moją spoconą twarz. W samochodzie, zanim jeszcze uruchomiłam silnik, wybrałam numer telefonu do pana Konopki. Na szczęście wciąż miałam jego wizytówkę.

– Jak miło panią słyszeć! – ucieszył się pan Konstanty. – Szczerze mówiąc, to myślę, że zadziałała jakaś telepatia. Proszę sobie wyobrazić, że przestałem się bać jazdy autobusem i postanowiłem wybrać się na jakąś wycieczkę. Objazdową. Właśnie pomyślałem, że gdyby mogła mi pani towarzyszyć, to byłoby wspaniałe.

– Bardzo chętnie, a kiedy? – odpowiedziałam. – Bo jeśli teraz, to niestety nie mogę.

– Ależ skąd! Jak teraz! – zdziwił się rewident. – Latem. W lipcu!

– To dobrze, myślę, że możemy się nad tym zastanowić – potwierdziłam. – Mam jednak do pana pewną sprawę. Zawodową, jeśli można.

– Oczywiście, słucham – przytaknął pan Konstanty. – W czym mogę pomóc?

Wyjaśniłam mu, w jakiej znalazłam się sytuacji oraz czego od niego oczekuję. Pan Konopka wysłuchał mnie cierpliwie, po czym oświadczył, że w każdej chwili gotów jest przystąpić do pracy.

Ustaliłam więc, że skontaktuje się z nim mecenas Piwowar.

– A zna pani najnowsze wieści? – zagadnął mnie na pożegnanie rewident. – Pani wie, że ten cały rezydent to bandyta? A tak porządnie wyglądał! Ja czułem, że z nim jest coś nie tak, bo niby tak dobrze znał Sycylię, a jednak opowiadał tylko greckie legendy!

– Co pan wie? – zaciekałam się.

– W biurze podróży mi powiedzieli – zniżył głos pan Konopka. – Tak nieoficjalnie, bo zapytałam, czy on będzie prowadził wycieczkę. Okazało się, że szuka go Interpol. Moim zdaniem on był w zмовie z tą mafią, która tak nas ścigała. To jego chcieli dopaść, ale bali się otwarcie strzelać, bo krył się wśród turystów. Bardzo sprytny!

– Ależ on był nieszczęśliwie zakochany! – wyrwało mi się. – Ścigała go rodzina tej dziewczyny, która zaszła z nim w ciążę.

– Może jedno i drugie – zgodził się rewident. – Przecież łobuzy też płodzą dzieci. W biurze mi powiedzieli, że on spadł im jak z nieba. Rezydentka, która była tam wcześniej, nagle zrezygnowała, a on się zgłosił przed naszą wycieczką. Wykształcony, język znał, ładna prezencja, to go przyjęli. Teraz żałują, bo policja sprawdzała, czy biuro nie ma powiązań z sycylijską mafią.

– Nie boi się pan z nimi jechać? – zdziwiłam się. – Skoro nie sprawdzają swoich pracowników tak dokładnie?

– A nie! – zaskoczył mnie pan Konstanty. – Bo mnie się podobało! I autobusów się nie boję. Moja terapeutka powiedziała, że to była terapia szokowa, ale bardzo skuteczna. Zapisalem się na kurs prawa jazdy, żeby jeszcze i tę traumę zlikwidować.

– Proszę uważać na siebie – poprosiłam go. – Jest mi pan bardzo potrzebny!

Pożegnaliśmy się bardzo wylewnie. Sama nie wiem dlaczego, ale postanowiłam pojechać do domu Betki, rozmówić się także z nią. Nikogo nie zastałam. Zdziwiło mnie to. Przyjaciółka nie odbierała telefonu i właściwie od wyjścia ze szpitala nie kontaktowała się ze mną. Wróciłam do samochodu i stamtąd pojechałam do matki. Zastałam ją przed domem, jak wraz ze sporym bagażem wsiadała do taksówki.

– Dokąd jedziesz?

Złapałam ją za ramię, które mocno wyszarpnęła.

– Wyjeżdżam – warknęła na mnie.

Taksówkarz przyjrzał nam się z uwagą.

– Nie zamierzam czekać, aż mnie wyrzucisz.

– Nie mam zamiaru cię wyrzucać – krzyknęłam, bo wsiadła do samochodu i usiłowała zamknąć drzwi.

Kierowca także wsiadł.

– Przestań! Nic się nie dzieje. Dom będzie twój!

– Nie potrzebuję twojej łaski – usłyszałam jej głos zza szyby. – Nienawidzę cię!

Odwróciła głowę i powiedziała coś do kierowcy. Samochód ruszył szybko, ochlapując mi buty i dół płaszcza. Patrzyłam za nią przez chwilę, po czym weszłam do domu. Panowała tam cisza. W środku na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Meble, firanki, dywany, wszystko było na swoim miejscu. Weszłam do kuchni, usiadłam przy stole. Nagle mój wzrok padł na zmiętą kartkę, która leżała pod ścianą. Podniosłam ją. Rozpoznałam charakter pisma mojej matki. Wynotowała rozkłady lotów do kilku miast na świecie.

Schowałam kartkę do torebki. Zanim pojechałam po dzieci do przedszkola, spędziłam trochę czasu w domu. W końcu był to mój dom.

– Mamo, czy ksiądz może mieć w domu burdel? – przywitała mnie Basia.

Pani przedszkolanka tym razem udawała, że mnie nie widzi. Zawołałam dziewczynki i szybko wyszłyśmy do szatni.

– Oczywiście, że nie! – odparłam szorstko. – Skąd takie pytanie?!

– Bo dzisiaj pani powiedziała, że w teczce u tego księdza, co ma z nami religię, to wszystko jest jak w burdelu i że on w domu pewnie też tak ma – wyjaśniło dziecko.

– Pani się pomyliła – wyjaśniłam dziecku cierpliwie. – Prawdopodobnie chciała użyć słowa „bałagan”, ale się przejęczyła.

– A co to jest burdel? – natychmiast zainteresowała się moja córka.

W myśl zasady, że dzieciom należy wszystko cierpliwie tłumaczyć, poszukałam w myślach stosownego wyjaśnienia.

– Burdel to jest takie miejsce, gdzie kobiety i mężczyźni,

a zwłaszcza mężczyźni zażywają przyjemności, odpoczywają, relaksują się i wychodzą zadowoleni.

– A kto im daje te przyjemności? – chciało wiedzieć dziecko.

– Przeważnie kobiety.

– Ty też dajesz ludziom przyjemność – wtrąciła się Laura. – Bo od ciebie ludzie wychodzą zadowoleni. Wujek Zbyszek często powtarzał, że po rozmowie z tobą czuje się lepiej.

– To prawda, staram się ludziom pomagać – przyznałam.

– Mężczyznom też? – drążyła Basia.

– Tak, mężczyźni to też ludzie.

– To ty pracujesz w burdelu! – ucieszyła się moja kochana córeczka.

– Nie, skarbie – łagodnie zaprzeczyłam. – Ja nie pracuję w burdelu, bo jednak mimo wszystko oferuję trochę inne usługi, innego rodzaju przyjemność, że tak powiem.

– To jak nazywa się twoja praca? – dociekała Basia.

– Biuro – odpowiedziałam szybko. – Ja pracuję w biurze.

– Aha – zaspokoili swą ciekawość dziecko.

Tej nocy śniło mi się, że poznany na lotnisku blondyn o granatowych oczach wysłał do mnie list, ale wpadł on do krateru z lawą, zanim zdążyłam go przeczytać. Wylewałam nad nim krokodyle łzy. Obudziłam się na mokrej poduszce.

Niespełna dwie godziny później wkroczyłam do biura jak burza. Klementyna otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale gestem ją powstrzymałam. W przedpokoju siedziała na krześle pani Zdzisława Bąkowska, obok stali pan Jaromir z żoną, pan Ryszard oraz pani Marcelina. Zdziwiłam się, że sekretarka nie zaprosiła klientów do pokoju. Przywitałam się i wskazałam mój pokój.

– Lepiej będzie w tamtym. – Klementyna zagroziła mi drogę.

– A to dlaczego? – ofuknęłam ją. – Proszę się odsunąć.

– Niechętnie – odparła sekretarka i nie ruszyła się z miejsca.

Popatrzyłam na nią z rosnącą irytacją.

– Czy pani napiła się dziś jakichś środków odurzających? Proszę zejść mi z drogi!

– Powiedziałam, że niechętnie – powtórzyła Klementyna. – Pani się

zdenerwuje, gdy tam wejdzie.

– Już jestem zdenerwowana, pani Klementyno – syknęłam. – Co tam jest, do diabła?! Inwazja kosmitów?

– Nie, stażyści – wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby oczywistym było, że wszyscy stażyści świata pozostawieni sami sobie w pokoju czynią gorsze spustoszenie niż trąba powietrzna.

– Niech się pani przestanie wygłupiać! – podniosłam głos. – Nie są przecież trędowaci. Zapraszam.

Klementyna odsunęła się z ociąganiem, weszliśmy.

– Niech mi dziś nikt nie wchodzi w drogę, bo nie ręczę za siebie – syknęłam na powitanie.

Monika i Stanisław w milczeniu przypatrywali się, jak odsuwam krzesło i siadam na nim. Klienci rozlokowali się przy stole.

– Bo my się dogadaliśmy – zaczęła mówić pani Katarzyna. – Mamusia nam przekaże dom.

– Nic podobnego! – poderwał się pan Rysio. – Nie tak się umawialiśmy!

– No przecież ustaliliśmy, że mamusia pozwoli nam się wprowadzić na piętro, a ty będziesz mieszkał na parterze – doprecyzowała pani Kasia.

– Odwrotnie – wtrącił się pan Jaromir. – To my zamieszkamy na parterze, a Rysiek na piętrze.

– Ale na piętrze jest balkon, a ja chciałam pokój z balkonem! – miała pretensje jego żona. – Dlaczego Rysiek musi mieszkać na piętrze? Przecież to jest tak samo jego dom, jak twój!

– To jest dom pani Zdzisławy – dodałam.

– To jest dom Ryśka – poprawił mnie pan Jaromir.

– To powinien być nasz dom – uzupełniła pani Kasia.

– Przyszli państwo z jakąś koncepcją, nieprawdaż? – zapobiegłam kolejnej wymianie zdań. – Czy mogę usłyszeć, co państwo postanowiliście?

– No właśnie to, że mamusia udostępni nam dom – pani Kasia obejrzała się na swojego męża, szukając u niego potwierdzenia.

Pan Jaromir Bąkowski tak energicznie przytaknął, że aż coś chrupnęło.

– Piętro, znaczy się.

– Na piętrze mieszka Rysiek – przerwał jej mąż. – My na parterze.

– A gdzie będzie mieszkać pani Zdzisława?

Dom, o którym rozmawiali, składał się z dwóch kondygnacji. Na parterze zlokalizowany był jeden duży pokój, kuchnia, łazienka oraz niewielki schowek. Na piętrze mieściły się trzy sypialnie oraz łazienka. Pan Jaromir przesłał mi wcześniej plan domu, dzięki czemu byłam zorientowana w usytuowaniu pomieszczeń.

– Jak to gdzie? U sąsiadki. – Pani Kasia wzruszyła ramionami. – Panie dobrze się dogadują, a pani Marcelinka przecież mieszka sama, to się pomieszczą.

– Tak ma być? – zwróciłam się do pani Zdzisławy, dotąd bardzo milczącej i jakby smutnej.

Sąsiadka także nie odezwała się ani słowem.

– Nie – powiedziała cicho staruszka. – Nie tak, jak sobie wszyscy wyobrażają.

– Co mama znowu wymyśliła?! – zdenerwował się pan Jaromir. – Przecież było ustalone! My na górze, Rysiek na dole, a mama u sąsiadki!

– Rysiek na górze – poprawiła go pani Kasia. – Nie, my na górze. Racja, bo on jest sam, to mu wystarczy jeden pokój.

– Mama chce zostawić tak, jak jest? – ucieszył się pan Ryszard. – Że dom jest mój?

– Nie – powtórzyła cicho pani Zdzisława. – Cofam darowiznę. Nikt nic nie dostanie, bo jesteście pazernymi sępami. Hieny cmentarne, padlinożercy.

– Mama skończy z tą botaniką, bo musimy coś postanowić – przerwał jej Jaromir.

– Zoologią – nie wytrzymał Stanisław, który – podobnie jak Monika – stał pod ścianą i się nie odzywał. – Botanika dotyczy roślin.

– Wszystko jedno, zootechniką – machnął ręką Jaromir. – Jakie nic? Jakie nic? Komu matka znów przepisała dom, co?! No, komu?!

– Niech się pan uspokoi – zwróciłam uwagę Bąkowskiemu, który tak się zdenerwował, że aż wstał. – Proszę siadać.

– Bo ta stara jęzda znów coś chce nawywijać – stracił panowanie



nad sobą mężczyzna. Jego żona starała się go uspokoić, ciągnąc go za koniec swetra. – Po co te całe dyrdymały! Dom powinien być w całości nasz, bo nas jest więcej, Rysiek jest sam i Rysiek to świnia, i koniec gadki! Przestań mnie ciągnąć, do cholery! Na mózg upadłaś?!

– Bo tak sterczysz, jak debil! – pani Kasia nie była mu dłużna. – Siadaj!

– Sama se siadaj! – pieklił się Jaromir. – Do dupy z takim czymś! Załatwiamy, jak trzeba, albo idziemy do sądu i zobaczymy, kto się wtedy będzie śmiał!

– To idź! – odparował mu pan Ryszard. – Droga wolna, na co czekasz?

– Bardzo proszę o spokój! – starałam się ich przekrzyczeć.

Również wstałam, żeby podeprzeć własny komunikat mową ciała. Wówczas wstali pan Ryszard i pani Marcelina. Pani Kasia wciąż szarpała się ze swetrem swojego męża, co go chyba jeszcze bardziej rozsierdziło.

– Czy możemy wysłuchać, co pani Zdzisława ma do powiedzenia? W końcu to jest jej dom!

– To jest dom Ryśka! – podsumował Jaromir. – Ale tylko na razie!

– Idź do sądu, droga wolna – Rysiek dolewał oliwy do ognia.

Nie wytrzymałam i uderzyłam pięścią w stół.

– Cisza! Zamilknąć proszę! Pani Zdzisława mówi!

Na chwilę zapanował spokój. Pani Marcelina usiadła, ale obaj panowie nadal stali.

– Ja cofam darowiznę – powiedziała staruszka. – Dom wystawię na sprzedaż. Część z uzyskanych pieniędzy wpłacę na rachunek Marceliny, z którą zamierzam zamieszkać. A resztę możecie sobie rozdrapać. I nie pokazywać mi się więcej na oczy.

– No, mówiłam, że mama pójdzie do sąsiadki – ucieszyła się pani Kasia i zaprzestała demolować sweter męża.

– Zaraz, zaraz, na jaki rachunek? – zapytał podejrzliwie pan Jaromir. – A ile to będzie, jeśli łaska?

– Połowa wartości mieszkania Marceliny – wyjaśniła pani Zdzisława. – Tak będzie uczciwie, bo ona się mną zajmie.

– To bez pieniędzy się nie zajmie? – drażył wciąż pan Jaromir. –

Taka niby uczciwa, a jednak chodzi jej o pieniądze!

– Ja sobie wypraszam – wyszeptała pani Marcelina.

– Chwileczkę – znów się wtrąciłam. – Zatem propozycja jest następująca: pani Zdzisława wycofuje się z darowizny, wystawia dom na sprzedaż i zatrzymuje dla siebie określoną sumę pieniędzy. Ile dokładnie, ustalimy, wyceniając mieszkanie pani Marceliny. Reszta do podziału między pana Jaromira i pana Ryszarda.

– I mnie – podkreśliła pani Kasia.

– Nie – pokręciłam głową. – Pani mąż i pani jesteście jako jedna strona, a pan Ryszard jako druga.

– Ale nas jest dwoje! – nie ustępował pan Jaromir.

– Nieważne – upierałam się. – Mówimy o części, która przypadnie panu Jaromirowi jako synowi pani Zdzisławy. Pod uwagę bierzemy tylko dzieci, czyli pana Jaromira i pana Ryszarda.

– Synowa to przecież najbliższa rodzina – sprzeczała się pani Katarzyna. – Dlaczego pani mnie pomija? Jakim prawem?

– Takim, że stroną umowy będą rodzone dzieci pani Zdzisławy – powtórzyłam z naciskiem. – Pani jest tu w charakterze pomocnika i w każdej chwili można panią wyprosić, więc proszę się uspokoić!

– Nie zgadzaj się – mruknęła pani Kasia na ucho swojemu mężowi, ale na tyle głośno, że wszyscy ją dobrze usłyszeli. – Chcą nas wykantować.

– To ile mam brać? – zainteresował się pan Jaromir.

– Na nas dwoje – znów mruknęła jego żona.

Pan Jaromir usiadł bokiem do stołu i konspiracyjnie szeptał, strzelając oczami na boki. Wyglądało to groteskowo, bo minę miał poważną, bełkotał, ale robił to tak głośno, że wszyscy słyszeli.

– Przygotuję treść ugody i prześlę państwu – podsumowałam spotkanie. – Czy ktoś chce jeszcze coś dodać?

– Ja chcę zgłosić, że oni mieszkają w dwupokojowym mieszkaniu, a ja po sprzedaniu domu wyląduję na ulicy – wystrześlił pan Ryszard.

– Dlatego ja się domagam takiej kwoty, żeby starczyło mi na mieszkanie!

– Proszę wstępnie wycenić dom, może uda się zaspokoić pana potrzebę. – Uśmiechnęłam się. – Jak dużego mieszkania pan

potrzebuje?

– No, tak jak oni. Dwa pokoje z kuchnią, gdzieś w centrum.

– To z tego domu tyle nie wyjdzie – wtrącił się pan Jaromir. – To nie Zamek Królewski! Poza tym ty też masz mieszkanie!

– Wynająłem je, bo zamierzałem zamieszkać z matką – oznajmił pan Ryszard.

– Dziś i tak tego nie rozstrzygniemy – przerwałam rodzącą się dyskusję. – Prześlę państwu projekt ugody. Pani Zdzisławie przywiozę tekst w poniedziałek.

– To jak się w końcu dogadaliśmy? Jest to piętro nasze czy nie? – zapytała męża pani Kasia, gdy wszyscy przenieśli się już do przedpokoju i ubierali do wyjścia.

Pan Jaromir cmoknął wymownie, powiedział „do widzenia” i – trzymając żonę pod ramię – wyszedł, burcząc jej coś do ucha. Pan Ryszard opuścił biuro bez słowa. Pani Marcelina pomagała ubrać się pani Bąkowskiej.

– Popeliłam kiedyś zły uczynek i Bóg pokarał mnie chciwymi dziećmi – powiedziała mi staruszka, podając rękę na pożegnanie. – Ale odpokutowałam swoje i przebaczył mi. Wiem to.

Gdy patrzyłam, jak obie panie wychodzą, zastanowiłam się, ilu ludzi docenia dary zsyłane przez Boga w postaci prawdziwych i szczerych przyjaciół.

Wróciłam do pokoju. Stanisław wciąż stał pod ścianą, ja zatrzymałam się przy stole. Przez dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem niczym kowboje w dobrym westernie.

– Pan nie zrozumiał tego, co wczoraj powiedziałam – odezwałam się wreszcie. – Dlaczego pan przyszedł? Doceniam, że nie przeszkadzał mi pan w prowadzeniu spotkania.

– Pani nie rozumie, że prezes Gruszka nie ma dla mnie jeszcze żadnej propozycji! – ofuknął mnie Stanisław. Zmarszczył brwi i założył ręce na piersiach. – Nie po to wydałem pieniądze na kurs i na staż, żeby teraz czekać na praktykę nie wiadomo ile. Już się naczekałem.

– Doprawdy? – Mój głos zabarwiony cykuta musiał ciąć go do żywego. – A ile pan czekał?

– Prawie trzy miesiące – odparował Stanisław. – Prezes ciągle obiecywał i obiecywał. Obiecanki cacanki, a głupiemu radość. Wszyscy mediatorzy z zarządu niby tacy zajęci, a jak dopytywałem się o praktyki, to jeden drugiego polecał. Moim zdaniem, oni w ogóle nie prowadzą żadnych spraw. Jedno wielkie oszustwo! Dopiero tutaj mogłem przyjrzeć się prawdziwej mediacji, choć uważam, że źle pani rozmawia z klientami i w ogóle źle prowadzi mediację.

– A na jakiej podstawie pan tak uważa?

– Bo z ludźmi nie wolno się tak cackać! Głaskać ich po główkach. Trzeba ostro i zdecydowanie, bo inaczej to nie ma sensu. Kto to widział, żeby przejmować się tak cudzymi problemami! Pani biuro przypomina mi oczyszczalnię ścieków, bez urazy. Każdy może tu wejść i zrzucić, co mu leży na wątrobie, a pani wszystko wchłania i jeszcze prosi pokornie, żeby jeden gamoń z drugą gamonicą zechcieli spróbować skorzystać z pani rady! Absurd zupełny! Jak można się tak nie szanować!

– Mediacja nie polega na zdobywaniu laurów, drogi panie stażysto, lecz na uświadamianiu ludziom, gdzie popełnili błąd i jak mogą go naprawić. Czy to zrobią, czy nie, nie zależy ode mnie. Nie muszę więc być niegrzeczna, to nic nie da.

– Pani jest zbyt grzeczna! – wyparował Stanisław. – Zgadzam się, że to są trudne sytuacje, ale nie wolno tak się poniżać! Ten przygłup krzyczał na panią, ubliżał swojej matce, a pani grzecznie prosiła, żeby przestał! Należało wyrzucić go na ulicę i jeszcze wezwać policję!

– I co uzyskałby pan w ten sposób? – Usiadłam przy stole, nie odrywając wzroku od stażysty. – Nie przyszedłby więcej. Wróciliby do sądu, gdzie przy pomocy prawników sprawa trwałaby co najmniej kilka lat. Przez ten czas ta biedna staruszka przeżywałaby piekło. Moim zadaniem jest temu zapobiec, rozumie pan? Tu nie o mnie chodzi, lecz o nią. Jeśli zdecydują się na ugodę, ona zyska trochę życia w ciszy i spokoju, w towarzystwie dobrej przyjaciółki. Oni niech się pozabijają o resztę pieniędzy. Taki cel ma ta mediacja.

Stanisław skapitulował. Poznałam to po zwieszanej głowie i ramionach, które wreszcie opuścił. Nie łudziłam się, że zgodzi się ze mną, ale jakaś część mojej argumentacji na pewno do niego dotarła.

– Ma pani rację – przyznał po chwili. – Nie rozumiałem, że tu chodzi o tę staruszkę i jej spokój. Myślałem, że mediacja ma na celu dążyć do uzyskania sprawiedliwego rozstrzygnięcia, czyli zwrócenia jej domu. Podtrzymuję jednak, że jest pani zbyt łagodna i zbyt tolerancyjna. Nie zaszkodziłoby, gdyby okazała im pani więcej stanowczości.

– Być może – ja także ustąpiłam. – Ale łatwo przesadzić. Poza tym, stale się czegoś uczymy, więc i ja czegoś się pewnie nauczę od państwa.

– Czy ktoś dziś jeszcze przyjdzie? – Monika zabrała głos po raz pierwszy, odkąd przyszedłam.

Do tej pory stała cicho i przysłuchiwała się najpierw mediacji, później mojej wymianie zdań ze Stanisławem.

– Nie, na dziś to wszystko. – Sapnęłam, lekko wstając. – Zabiorę się zaraz do tej ugody, później muszę wyjść.

– Mogę pomóc przy ugodzie – zaofiarowała się Monika. – Jestem po prawie.

Już miałam odmówić, gdy jakiś wewnętrzny instynkt odpowiedział mi, że powinnam jej zaufać.

– Dobrze – powiedziałam pogodnie. – Zna pani sprawę, słyszała, co ustalili. Proszę przygotować tekst i przesłać mi mejlem. Wieczorem zerknę.

– Więc mogę wciąż odbywać tu praktykę? – zagadnął mnie jeszcze Stanisław.

Potaknęłam skinieniem głowy. Po raz pierwszy ujrzałam w nim potencjał na dobrego mediatora. W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążyłam do nich podejść, otworzyły się same z impetem i do środka wtargnął pan Norbert. Zmienił się nie do poznania. Zarośnięty, przygarbiony, zaniedbany, sprawiał wrażenie pijanego.

– Ach, więc jest pani wreszcie! – ryknął na całe gardło, gdy zobaczył mnie przez uchylone drzwi pokoju.

Wszedł szybko i ten wysiłek mocno go wyczerpał. Na tyle mocno, że zrobił krok do przodu, zachwiał się, znów postąpił krok i znów zachybotał. Na wszelki wypadek przysunęłam bliżej kubeczek

z herbatą. Stanisław podniósł głowę znad komputera, a Klementyna stanęła w drzwiach z czajnikiem w ręce.

– Witam, panie Norbercie – odezwałam się. – Co pana do mnie sprowadza? Może pan usiądzie?

– Niech się pani wypcha! – odpowiedział mi Norbert i znów się zachwiał. – To wszystko przez panią! Zrujnowała mi pani życie! Niech panią szlag trafi!

– No, no! – zareagowała Klementyna i lekko zamachnęła się czajnikiem. – Tylko bez takich! Bo będzie pan odpowiadał za groźby karalne!

– Ta wiedźma powinna odpowiadać za rozpad rodziny! – zaryczał Kwiatkowski i opadł na oparcie krzesła.

Gdyby nie ono, pewnie by się przewrócił. Doleciała nas przykra woń alkoholu.

– Pan jest pijany – oświadczył Stanisław. – Proszę stąd wyjść.

– Panie Norbercie, wydaje mi się, że to nie jest właściwy moment na rozmowę – dodałam. – Nie jest pan w dyspozycji...

– Milczeć!

Żeby zaakcentować swoją złość, Norbert usiłował w coś uderzyć, ale trafił w przestrzeń. Jego ramię ześlizgnęło się po poręcz krzesła i zmusiło całe ciało do dziwnej akrobacji. Mężczyzna stracił równowagę i przewrócił się na stół w taki sposób, że nogi zawisły w powietrzu, a brodą walnął o blat. Rozległo się głuchoe plaśnięcie i głowa pana Norberta znalazła się pod stołem. Gdyby ktoś w tej chwili wszedł do pokoju, zobaczyłby człowieka, który zajął miejsce na krześle do góry nogami.

– Cholera jasna! – zdenerwowała się Klementyna. – Przyłazi taki pijak jeden z drugim i rozrabia! Wynocha!

– Jest jeszcze drugi? – poderwał się Stanisław, ale Klementyna zamachała czajnikiem.

– Nie, tak mi się powiedziało z rozpędu. Co ta lebiega wyprawia?!

Lebiega, czyli pan Norbert, trwała na swojej pozycji i charczała. Dość szybko ustaliliśmy, że po prostu zasnął.

– I co teraz? – zatroskałam się. – Przecież nie może tak sterczeć. Musimy coś z nim zrobić!



– Za frak go i na schody! – zakomenderowała Klementyna. – Niech tam trzeźwieje.

– Nie, nie można tak – zlitował się Stanisław. – Może odwieźć go do domu?

– Czemu nie, tylko skąd mamy wiedzieć, gdzie on mieszka?

Po ostrożnym przeszukaniu udało nam się znaleźć telefon komórkowy w kieszeni spodni. Z treści jednego z SMS-ów wynikało, że pan Norbert mieszka niedaleko Betki.

– Ja go zawiozę – zaproponowałam. – Przy okazji sprawdzę, czy Betka wróciła do domu.

Betka wciąż była niedostępna telefonicznie, postanowiłam wykorzystać okazję. Pan Norbert, jak wynikało z SMS-a, wynajął sąsiednie mieszkanie.

– Pojadę z panią. – Stanisław się podniósł. – Ten typ jest raczej agresywny, jeszcze otrzeźwieje podczas jazdy i będzie nieszczęście.

Zgodziłam się chętnie. Wspólnymi siłami postawiliśmy pana Norberta na nogi, a następnie wyprowadzili na klatkę schodową. Gdy Klementyna zamykała drzwi od biura, na schodach pojawił się mecenas Mikulski. Tylko jego jeszcze tu brakowało!

– Dzień dobry! – zawołał wesoło. – A ten nieszczęśnik czym się pani naraził, że doprowadziła go pani do takiego stanu?

– Okazało się, że jest obłudny i cyniczny. – Sapnęłam, bo pan Norbert swoje ważył. – Zechce pan się odsunąć, z łaski swojej, bo musimy wynieść nieboraka na zewnątrz.

– Tak się pani pozbywa przeciwników, brawo – zarechotał mecenas. – Powinienem czuć się zaszczycony, że mam do czynienia z taką osobą. I obym nie musiał z panią kiedyś walczyć, choć z drugiej strony żałuję. Na pewno byłaby pani doskonałą przeciwniczką. Chciałbym się o tym przekonać.

– Powinien pan. – Znów sapnęłam. – Jestem pewna, że bardziej by mnie pan docenił.

– Już nie mogę się doczekać – powiedział mecenas, schodząc na półpiętro. – Niestety, ja nigdy nie przegrywam spraw, na których mi bardzo zależy. Taka słabostka.

– To będzie pan musiał nauczyć się walczyć ze słabościami –

warknęłam.

Przystanęliśmy na półpiętrze, z którego adwokat musiał się usunąć, bo pan Norbert zupełnie z nami nie współpracował i wleczenie go po schodach w pozycji pionowej było dość wyczerpujące.

– Bo ja z kolei mam takie dziwne upodobanie, że walczę do samego końca.

– Powodzenia życzę! – Mikulski pomachał mi drwiąco. – Mogę obiecać, że nie będę się bardzo nad panią znęcał podczas rozprawy, jakby co. Trochę panią polubiłem.

– Wzruszyłam się – odparłam. – Prawdziwy z pana dżentelmen. Zapamiętam to.

– Proponuję, aby ciąg dalszy tej fascynującej pogawędki przełożyć na nieco później – wtrącił się nagle Stanisław. – Ten koleś jest ciężki i nieporęczny. Moim zdaniem trzeba się go pozbyć.

– Brawo, brawo – rechotał mecenas oparty o poręcz schodów. – Rozwija się pani, od pobicia do zbrodni.

– Ja zaraz popełnię zbrodnię, jeśli pan się nie zamknie! – nie wytrzymała Klementyna, która wciąż trzymała w ręku czajnik. – Ja stoję dość blisko i nie odpowiadam za siebie!

Mecenas oderwał się od poręczy i stanął bezpiecznie przy drzwiach do swojego biura. Oboje ze Stanisławem znów dźwignęliśmy pana Norberta. Monika pozostała w biurze, a Klementyna dołączyła do nas po chwili.

– Po jaką cholere zabrałam ten czajnik?! – zapytała samą siebie. – To przez tego głupka, zdenerwował mnie!

– Który głupek? – zapytałam.

– Bury, wieźmy już tego gamonia, bo ręce mi mdleją!

Wpakowaliśmy pana Kwiatkowskiego do samochodu. Klementyna zdecydowała się także jechać z nami. Na parkingu, przed domem Betki, brakowało miejsca do zaparkowania. Objechałam budynek dwukrotnie, bez sukcesu.

– Dobra, weźcie go i posadźcie na ławce – zarządziłam. – Odjadę kawałek, zaparkuję i przyjdę do was, to go wniesiemy. Znam kod do drzwi wejściowych.

– I co potem? – zainteresował się Stanisław. – Zostawimy go pod

drzwiami? Nie ma przy sobie kluczy.

– Może drzwi od mieszkania będą otwarte. Trudno, jest dorosły, raz prześpi się na wycieracze, jakby co. Jadę. Zaraz wracam.

Klementyna i Stanisław wywlekli Norberta z samochodu i posadzili na ławce obok. Odjechałam za budynek w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Nagle, tuż przed moją maską, wyrósł mój znajomy ochroniarz z sądu.

– Pani tutaj? – ucieszył się na mój widok.

– No właśnie, szukam jakiegoś postoju – powiedziałam mu przez uchyloną szybę. – Pan tutaj mieszka?

– Nie, dorabiam sobie na boku – odpowiedział cicho i rozejrzał uważnie dookoła z taką miną, jakby zdradzał mi tajemnicę państwową. – Pilnuję drogich wózków. Płacą mi od godziny, bardzo dobrze płacą.

– To nie znajdę miejsca teraz, tak? – zmartwiłam się. – Widzi pan tych troje na ławce, tam? Tego w środku odwozimy do domu, denat.

– Znaczy się zapity? – fachowo podsumował ochroniarz. – To z pani taka uczynna osoba. Ja wiedziałem, że pani jest dobra. Ja pomogę go zaprowadzić, bo pijany to może zapaskudzić. Pani postawi auto na chwilę tu, obok tego merca, on dopiero przyjechał, wyjdzie za godzinę najwcześniej.

Ustawiłam się równolegle do czarnego mercedesa i wyszłam z samochodu. Istotnie, parking zastawiony był drogimi eleganckimi autami. Jakoś wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

Ochroniarz podszedł do Klementyny i Stanisława, przywitał się i pochylił nad śpiącym na boku Norbertem.

– Ja przecież go znam! – ucieszył się. – To jest najlepszy pacjent pani Amandy!

– A na co ona go leczy? – chciała wiedzieć Klementyna.

Ochroniarz potrząsnął śpiącym Kwiatkowskim energicznie. Pijany wybełkotał coś pod nosem i otworzył oczy.

– Zatlukę babę... – mamrotał. – Rodzinę mi odebrała... na paznokcie poszło... Magdy...

– Tak, tak panie Norbercie, pani Amanda zaraz się panem zajmie, hi, hi. – Ochroniarz dźwignął denata za ramię i zaczął prowadzić

w kierunku bloku. – Zaraz pan odpocznie.

– A ta kobieta nie będzie zła, że on pijany? – zatroskała się Klementyna.

Całą trójką podążaliśmy za nimi.

– I taki wstyd przed sąsiadami.

– Jakimi sąsiadami? – Ochroniarz odwrócił głowę. – On tu nie mieszka, tylko odwiedza panią Amandę.

– Tę lekarkę, tak?

– Ona to jest bardziej lekarka od czego innego. – Ochroniarz znów zachichotał. – Smutki leczy, można powiedzieć. I portfel odchudza.

Weszliśmy do klatki. Ochroniarz wszedł pierwszy do windy, ciągnąc za sobą pana Norberta. Podążaliśmy za nim. Wjechaliśmy na piętro i – ku mojemu zaskoczeniu – zatrzymaliśmy się przed drzwiami do mieszkania Betki.

– Nie pomylił się pan? – zapytałam z nadzieją, ale pan Kwiatkowski już dzwonił.

Drzwi otworzył nam sycylijski rudzielec we własnej osobie.

– Co jest? – warknął, bo w pierwszej kolejności dostrzegł ochroniarza. – Kazałem ci pilnować na dole! Amanda jeszcze nie skończyła! O kurwa!

– A tego tu przyprowadziłem, bo się szwenda po ludziach, jeszcze co mu się stanie – odpowiedział pokornie ochroniarz.

Przyjaciel Betki spojrzał mimowolnie na chwiejącego się pana Norberta, odwrócił głowę i krzyknął coś w głąb mieszkania. Po chwili pojawiło się dwóch mężczyzn. Chwycili pijanego pod pachy i wprowadzili do środka. Przyjaciel Betki wyciągnął z kieszeni sto złotych i wręczył ochroniarzowi. Dopiero, gdy ten się wycofał, facet Betki zauważył naszą trójkę. Zmieszał się mocno. Bąknął coś pod nosem, zamknął drzwi, potem je otworzył, zrobił krok do przodu, potem do tyłu, znów powachlował się drzwiami. Przyglądaliśmy się temu z rosnącym zainteresowaniem.

– Pan urządził tu sobie jakąś działalność, zdaje się – powiedziałam słodko. – Betka, znaczy moja przyjaciółka, o tym wie?

– Na pewno – dołączyła się Klementyna – na pewno jest zadowolona.

– To jest zupełnie legalne – odezwał się wreszcie rudy. – Nic mi nie udowodnicie. Ja was podam do sądu!

– Poza stręczycielstwem, rzeczywiście nic – przytaknął Stanisław. – Pani Amanda może spać spokojnie.

– Czego chcesz?! – Rudy ściszył głos i zamknął za sobą ostrożnie drzwi. – Właścicielkę wysłałem na wakacje, należało jej się. Czego chcesz?! Forsy? Dycha i morda w kubek! Więcej nie dostaniesz!

– W dupie mam twoją dychę! – Sypnęłam iskrami z oczu. – Obiecaj, że dasz spokój mnie i Betce. Raz na zawsze. Ten burdel na kółkach też ma zniknąć!

– Dobra, robimy tak – rudy nieco ochłonął. – Do końca lipca dziewczyna tu popracuje, potem i tak zmienia miasto.

– Do końca miesiąca! – warknęłam. – Rozumiesz?

Rudy kiwnął głową i zniknął za drzwiami. Cała się trzęsłam.

– Mogłam wziąć ten czajnik – powiedziała nagle Klementyna, gdy w milczeniu wychodziliśmy z budynku. – Przydzwoniłabym temu łobuzowi, to inaczej by z panią gadał.

– Już mu Zbyszek przydzwaniał i jak to się skończyło?! – odparłam niechętnie. – Ale teraz chyba da mi spokój. Co tej Betce strzelił odo głowy, żeby obcemu facetowi udostępniać mieszkanie! Gdzie ona jest?! Myślę, że powinniśmy iść na policję!

– To jest bandyta, lepiej poczekać – dołączył się Stanisław. – To miejsce i tak już ma spalone, więc chyba można mu wierzyć, że zaraz się zwinie. A pani przyjaciółka jest dorosła, może robić, co zechce.

Pojechaliśmy z powrotem do biura. Polecki udał się stamtąd na przystanek autobusowy, a ja weszłam razem z Klementyną do budynku. W sekretariacie siedziała blada jak ściana Monika. Sięgnęłam po zostawioną w pokoju torebkę i odruchowo spojrzałam na ekran telefonu. Ktoś telefonował do mnie z Włoch. Z biciem serca wybrałam numer. Po kilku sygnałach odezwała się Betka.

– Gdzie ty, na litość boską, jesteś?! – krzyknęłam do aparatu.

Po drugiej stronie zatrzeszczało, zachrobotowało.

– No jak to? – zdziwiła się Betka. – W Rzymie. A gdzie mam być?

– Może we własnym mieszkaniu – odparłam. – Dlaczego tam cię poniosło?! Co ty robisz w Rzymie?!

– No odpoczywam – Betka mówiła takim tonem, jakby było oczywiste, że każdy pacjent po hospitalizacji udaje się w podróż do Włoch. – Przecież wiesz. Co cię tak dziwi?

– A skąd ja mam wiedzieć, że jesteś w Rzymie, skoro nie dałaś znaku życia?! – powiedziałam z pretensją. – Becia, mów ze mną normalnie!

– No przecież mówię – obraziła się przyjaciółka. – Oktawian powiedział mi, że się znacie i że był w biurze, rozmawiał z tobą. On mi zafundował wczasy. Nie myśl sobie, że tylko ty dostajesz od losu darmowe wakacje! Mnie też się coś od życia należy!

– Jaki Oktawian? – zapytałam nieufnie. – Kto to?!

– Poznałam go w szpitalu – poinformowała mnie przyjaciółka. – Bardzo szarmancki i grzeczny facet. Wiem, że krótko się znamy, ale krzywdy mi nie wyrządził. Obiecał przyjechać w drugim tygodniu, ale coś mu w pracy wypadło i nie może. Jest architektem, jakiś pilny projekt. Ja wracam w poniedziałek. Coś się dzieje straszego? Jak ojciec?

– Jak wrócisz, to pogadamy. Dużo się dzieje i zapomniałam – skłamałam. – A zadowolona jesteś?

– Tak, fajna wycieczka – przyznała Betka. – Tylko jeden facet cały czas narzeka. Jakiś profesor filozofii, ale marudny jak dziecko. Poza tym jest super. Oprowadza nas bardzo przystojny przewodnik. Ty wiesz, jakie on SMS-y do mnie pisze? Jak z dziewiętnastowiecznego romansu! Pokażę ci, jak wrócę. Gdyby nie Oktawian...

– Muszę kończyć – przerwałam jej. – Do zobaczenia w poniedziałek!

Rozłączyłam się. Usiadłam na chwilę na krześle i pomyślałam. Dotarł do mnie bezsens moich oczekiwań wobec ludzi. W pełnej krasie ujrzałam swoje działania i popełniane wciąż te same błędy. Jak mogłam spodziewać się, że spotka mnie coś innego niż dotychczas?

Nigdy nie uwolnię się od swojej pracy. Dopadnie mnie wszędzie i przy każdej okazji Czy to w biurze, podczas przekładania papierów, czy na leżaku we Włoszech. Jestem dla wszystkich tylko przedmiotem użytkowym. Spluwaczką, śmietniczką, ręcznikiem do wycierania łez oraz sposobem na zrobienie sobie dobrze.



Świadomość, z którą mierzę się od dawna, przytłacza swoją prostotą. To jest nieuniknione. Nigdy nic nie ulegnie zmianie. Mogę działać, by życie innych wyglądało inaczej, lecz ja zawsze pozostanę tu, gdzie jestem. Tak długo, dopóki sama się nie zmienię.

\*\*\*

Kolejny tydzień przyniósł nie tylko Betkę we własnej osobie, ale też wieści od pani Zdzisławy. Uradowana staruszka donosiła, że złożyła do sądu wnioski o cofnięcie darowizny wobec syna Ryszarda. Ponieważ on się nie sprzeciwił, sąd przychylił się do żądania i pani Bąkowska znów weszła w posiadanie własnego domu. Gdy tylko formalnościom stało się zadość, zameldowała u siebie panią Marcelinę Zamojską i ustanowiła na jej rzecz prawo dożywotniego mieszkania w domu. Pani Marcelina sprzedała swoje mieszkanie, a uzyskane pieniądze przeznaczyła na remont budynku. Ugody, którą przygotowałam, nigdy nie podpisano.

– To było idealne posunięcie – cieszyła się staruszka. – Moje dzieci obraziły się na mnie i zerwały kontakt. Wreszcie mam święty spokój.

– Nie jestem pewna, czy na długo – wyraziłam wątpliwość. – Sądzi pani, że na zawsze zrezygnują z tego domu?

– Nie, tak dobrze to nie mam – przyznała pani Zdzisława. – Ale jakiś czas mamy darowany. Ile ja jeszcze będę żyła? Nawet jeśli pozostaną obrażeni przez rok, to dla mnie wieczność. A Marcelinka poradzi sobie z nimi, jestem o nią spokojna.

Później przyszedł pan Norbert. Gdy Klementyna zobaczyła go w drzwiach, odruchowo sięgnęła po czajnik.

– Przeszedłem przeprosić – bąknął Kwiatkowski i wydobyl z za pazuchy zmaltretowany bukietik frezji. – Byłem pijany. Nic mnie nie usprawiedliwia.

– Cieszę się, że widzę pana w dobrej formie. – Przyjęłam kwiaty i posadziłam gościa przy stole. – Wczoraj był pan w pożałowania godnym stanie.

– Wiem, wstyd mi – mężczyzna pochylił pokornie głowę. – Żona daje mi do wiwatu, znów się kłócimy. Z tego chyba nic jednak nie będzie. Amanda, a właściwie Kasia, ta dziewczyna, do której wczoraj mnie pani odwiozła, to bardzo dobra osoba. Ona tak pracuje, bo spłaca kredyt. Pomógłbym jej, ale żona oczyściła nasze konto, firmowe konto, nie mam nic. Na razie. Stanę jeszcze na nogi i pokażę tej zołzie. Wtedy zabiorę Kasię do siebie. Mam prośbę...

Pan Norbert spojrział na mnie błagalnie. Wstrzymałam oddech.

– Czy może pani nie ujawniać nigdzie tego incydentu? Magda

natychmiast to wykorzysta, a Kasia przestraszyłaby się sądu. Bardzo panią proszę.

– Panie Norbercie – oświadczyłam uroczyście. – To pana życie prywatne, mnie ono zupełnie nie interesuje. Również to, z kim się pan spotyka i dlaczego. Poza tym przypominam, mediatorów nie powołuje się na świadków w sprawach, które prowadzili.

– Kamień spadł mi z serca. – Mężczyzna wstał, podał mi rękę na pożegnanie i wycofał się do przedpokoju. – Nie pamiętam, co wczoraj mówiłem, ale to nie była prawda, jeśli powiedziałem coś niemiłego. Jest pani kochana.

– Wczoraj nazywał pan panią mecenas wiedźmą – przypomniała usłużnie Klementyna.

Uśmiechnęłam się do zmieszanego klienta i otworzyłam przed nim drzwi. Pan Norbert wyszedł, a ja kątem oka dostrzegłam Mikulskiego, który schodził po schodach. Lekko mi się uklonił.

– No, to wszystko pomалу się prostuje – powiedziałam do siebie. – Oby jeszcze ta sprawa z firmą się dobrze ułożyła, to naprawdę odetchnę.

– Co ma się nie ułożyć? – Sekretarka wzruszyła ramionami. – Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Raz zsyła ciężkie baty, a innym razem zwiędłe frezje.

– A gdzie podzieli się nasi stażyści?

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła dwunasta.

Klementyna zaparzyła mi herbaty z bambusa i rumianku, wyjątkowo dobrej.

– Monika poprosiła o wolny dzień, a Stanisław powiedział, że pojedzie na dyżur do sądu – poinformowała mnie Klementyna. – Świat jest bardziej skomplikowany, niż nam się wydaje, ale czy musi tak być? – Usiadła przy mnie i oparła brodę o zaplecione dłonie. – Gdyby przyjrzeć się większości sytuacji, okazałoby się, że wymagają one prostych rozwiązań, tymczasem ludzie wynajdują te najtrudniejsze.

– No właśnie – przytaknęłam. – Może kiedyś los ześle nam łatwą sprawę?

Jak na zawołanie, ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążyłyśmy się

poderwać z krzeseł, do biura wszedł mężczyzna, w którym rozpoznałam pana w niebieskiej koszulce. Tego samego, który poratował mnie sukienkami dla dziewczynek.

– Dzień dobry szanownym paniom – ukłonił się w progu. – Góra z górą! Jak ja się zapowiadam, to zawsze dotrzymuję słowa! Jakem prostownik! Zresztą, zostawiłem pani liścik, można powiedzieć, miłosny!

– Kto? – wyrwało się Klementynie.

Ja tymczasem podeszłam do gościa i serdecznie uścisnęłam mu dłonie. Wzbudzał moją sympatię.

– Prostownik – powtórzył mężczyzna. – Pani pozwoli, że się przedstawię: Maksymilian Prostownik. Do usług!

– Może kawki? – odpowiedziała na to Klementyna i nie czekając na odpowiedź, odwróciła się w stronę czajnika.

Pan Prostownik zlustrował ją wzrokiem, mrugnął do mnie porozumiewawczo i za plecami sekretarki cmoknął wymownie. Zaprosiłam go do pokoju.

– Czym mogę panu służyć? – zapytałam.

Gość usiadł wygodnie, rozejrzał się po pokoju i po chwili zaczął mówić:

– Ja już wspominałem na wyspie, że mam pewne plany. Właściwie wszystko już ustalone z mecenasem za ścianą. Bardzo dobry fachowiec. Mecenas Mikulski. Potrzeba tylko pani maleńkiej pomocy. A panią tak trudno zastać!

Siedziałam sztywno, wyczekując. Maksymilian Prostownik odchrząknął i pochylił się lekko w moją stronę.

– Chodzi o to, żeby pani łaskawie potwierdziła, że byłem z panią na Sycylii – wymamrotał. – Tylko tyle.

– Dobrze – zgodziłam się. – A mogę zapytać, o co chodzi?

– Kto mniej wie, ten dłużej żyje – roześmiał się prostownik. – A ja umiem się odwdzięczyć. Naprawdę umiem. Pani tylko zezna, że byłem i wystarczy.

– A żona nie może potwierdzić? – zapytałam zdziwiona.

Prostownik skrzywił się tak, jakbym go uszczypnęła w czułe miejsce.

– Szanowna pani mediator – zaczął oficjalnie.

W tej samej chwili wkroczyła Klementyna z tacą. Prostownik przerwał, spojrział na nią i gdy ustawiała filiżanki, znów cmoknął – tym razem w jej stronę. O dziwo, sekretarka nie zgorszyła się, lecz odpowiedziała uśmiechem i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Może to była żona, może nie... pani nie wie, bo pani była na urlopie, a na urlopie nikt nic nie ustala, prawda? Pani zezna, że byłem, i wystarczy, a wdzięczność pana Prostownika nie będzie miała granic. Rozumiemy się?

Przytaknęłam. Pan Maksymilian posiedział jeszcze chwilę, wypił herbatę, poflirtował z Klementyną i poszedł sobie.

Zauważyłam, że na sekretarce wywarł on wyjątkowo dobre wrażenie. Zdałam sobie sprawę, że oni zaskakująco pasują do siebie i że to wcale nie było ich pierwsze spotkanie. Nawet jeśli Klementyna bardzo sugestywnie udała, że nie widziała go nigdy w życiu.

Usiadłam w pokoju, położyłam nogi na drugim krześle i się zamyśliłam.

Czy ludzka natura wymaga tego, że aby poczuć się usatysfakcjonowanym swoją pracą, powinna ona trwać długo i wyczerpać w nadmiernym stopniu? Dlaczego uważamy za lenia kogoś, kto – usprawniwszy swoje działania – zyskał więcej czasu na odpoczynek? Dlaczego we własnych problemach zawsze doszukujemy się działania tajemniczych sił nieczystych, które złośliwie wszystko nam komplikują? Czy naprawdę jesteśmy tego warci, że cały wszechświat pracuje nad tym, jak obrzydzić i maksymalnie utrudnić nam życie na ziemi? A może jest to nasz własny wysiłek? I gdyby każdy z nas włożył tyle samo energii, zaangażowania i pomysłowości w kreowanie własnej rzeczywistości, zamiast skupiać się na cudzej, wszystko od razu stałoby się prostsze, łatwiejsze, piękniejsze! Może to właśnie jest niemożliwe w tym ludzkim świecie!

– Zje pani pulpecika?

Ciepły balsam rozlał się na moje serce. Parująca kolacja z pulpetami sojowymi w tle dopełniła reszty. Poczulałam w sercu, że mój żal został uleczony. Znalazłam swoje lekarstwo. Często nie zawiera ono skomplikowanych składników, nie trzeba szukać go na

końcu świata, wystarczy uważniej rozejrzeć się wokoło, wystarczy sięgnąć po nie ręką.

Czy musiałam przeżyć te ostatnie dwa miesiące w taki sposób, żeby przekonać się, że jestem nie tylko ciałem. Chodzę, czuję, oddycham, widzę, zostawiam niezatarty ślad o swoim istnieniu nawet wówczas, gdy sama nie zdaję sobie z tego sprawy. Na zawsze pozostawiam po sobie rysę na rysunku życia, bo taki jest cel mojego istnienia. Nie przestanę istnieć tylko dlatego, że nie wykonam jakiegoś ruchu. Nie przestanę istnieć, gdy umrę. Oddam wtedy jedynie ułamek siebie, oddam ciało. Żal, podobnie jak radość, smutek, nostalgia, współczucie i milion innych odczuć, buduje moje istnienie. Każde z nich mnie tworzy, brak któregokolwiek z nich – zubaża. Powinnam więc pragnąć ich wszystkich w równym stopniu, zażywać z umiarem, niczym drogocenne lekarstwo.

Betka objawiła się w biurze dopiero po południu. Opalona, wypoczęta i uśmiechnięta.

– Co macie takie pochmurne miny? – zaświergotała od progu. – Dzień taki piękny, słońce świeci. Trzeba cieszyć się życiem!

– My? – Uśmiechnęłam się krzywo. – Ależ cieszymy się! To jest radość na miarę naszych możliwości. Ale tobie wyjazd się udał, jak widać.

– Bardzo – rozmarzyła się przyjaciółka. – Zakochałam się!

– W Oktawianie? – zapytałam z przekąsem.

Zdawałam sobie sprawę, że będę musiała uświadomić Betkę, jakiego pokroju był to człowiek. Tymczasem, ku mojemu zdziwieniu, przyjaciółka pokręciła przecząco głową.

– Nie – odpowiedziała głosem z przydechu. – W Marcinie.

– A kim jest Marcin? – zapytałam.

Klementyna zawisała nad nami w oczekiwaniu. W ręce trzymała czajnik.

– Marcin jest rezydentem we Włoszech, ale akurat wtedy, gdy tam pojechałam, to prowadził naszą wycieczkę – powiedziała Betka rozmarzonym głosem. – Boże, jaki on jest przystojny i jaki romantyczny! Zaraz wam pokażę, jakie mi pisał liściki!

Klementyna zamachnęła się lekko czajnikiem, wylewając trochę



wody na podłogę. Ja zastygłam w oczekiwaniu. Betka przetrząsnęła przyniesioną ze sobą torbę, z której wyjmowała po kolei: portfel, kosmetyczkę, paczkę chusteczek higienicznych, plastikowy widelec, kłębek drutu, apaszkę, składaną parasolkę, notatnik i telefon. Wreszcie doszukała się koperty, z której wyjęła kilka kartek, niedbale wyrwanych z jakiegoś notesu.

– No! – zachęciła nas. – Przeczytajcie sobie!

Wzięłam pierwszą z brzegu kartkę i z bijącym sercem przeczytałam:

*Jesteś bardzo ładna, chciałbym porozmawiać z Tobą, jak wszyscy sobie pójdą.*

Na kolejnej widniało:

*Jak Ci mija dzień ze mną? Napijemy się później razem kawy?*

– Bardzo romantyczne – przyznałam i odłożyłam karteluszek na stół. – Jakie macie plany?

Betka szybko zgarnęła korespondencję z powrotem do torby, bo jeden z papierków wpadł do rozlanej wody i lekko nasiąkł. Klementyna parsknęła śmiechem i zgromiona przeze mnie wzrokiem, odeszła na bok, żeby zaparzyć herbatę.

– On teraz jest we Włoszech – wyjaśniła Betka, przyglądając się sekretarce nieżyczliwie. – Do końca października. Potem wróci do Warszawy i wtedy postanowimy. Co tak śmierdzi?!

– *Galangal!* – odpowiedziałyśmy zgodnym chórem z Klementyną.

Nasz radosny śmiech nieco oburzył Betkę. Obrażona, udała się do swojego pokoju. Przez uchylone drzwi słyszałam, że rozmawia z Marcinem.

– No to rudy poszedł w odstawkę – skwitowała Klementyna. – Niechętnie to przyznaję, ale się cieszę. Jednak co rudy to fałszywy, niestety.

– Pani Klementyno, mamy coś dzisiaj? – zagadnęłam ją wesoło. – Kogoś pani zapisała na wizytę do nas?

– Nie sądzę – odparła po swojemu sekretarka. – Szewski poniedziałek, niestety.

W tej samej chwili zadzwonił mój telefon. Odebrałam. Okazało się, że to Zbyszek.

– Poratuj mnie – poprosił błagalnie. – Zabrałem lampy od Ilony, ale wożę je w samochodzie służbowym. Teraz zaczął się sezon na czyszczenie kominów i chłopaki nie chcą już biec za autem. Mogę je u ciebie przez jakiś czas przetrzymać?

– Zbyszku – powiedziałam uroczyście. – Możesz przywieźć je do domu moich rodziców i tam zagospodarować całą piwnicę. Nawet na zawsze!

Klementyna uśmiechnęła się szeroko, a Betka patrzyła zdziwiona.

– O matko! – ucieszył się Zbyszek. – To ja zaraz bym mógł być. A klucze?

– Przyjedź do biura – poprosiłam. – Przy okazji zajrzysz do komina.

– Nie ma sprawy! – zadeklarował się Zbyszek. – Tak ci komin wyczyszczę, że będziesz mogła w nim sypiać.

Gdy tylko się rozłączył, zatelefonował mecenas Piwowar.

– Ten pani znajomy rewident to rzeczywiście doskonały fachowiec – zaczął bez wstępów. – Prześwietlił firmę na wylot i mamy już kilka zarzutów prokuratorskich. Chciałbym spotkać się z panią w tej sprawie.

– Mogę przyjechać, nawet zaraz – powiadomiłam go. – Nie mam dziś dużo pracy. – spojrzałam wymownie na przyjaciółkę.

– W takim razie zapraszam do kancelarii – ucieszył się prawnik. – Mam kilka ciekawostek dla pani.

Zostawiłam klucze dla Zbyszka i wyszłam z biura. Na klatce schodowej spotkałam mecenasa Mikulskiego.

– Dzień dobry – przywitał mnie. – Może przyjmie pani zaproszenie na kawę?

– Chętnie, ale jeśli można to później – powiedziałam. – Teraz muszę wyjść na chwilę.

– Będę czekał na panią z utęsknieniem. – Mikulski porozumiewawczo puścił do mnie oko. – Pan Prostownik powiadomił mnie, że pani mu pomoże. Dziękuję. Myślałem, że jest pani bardziej–

zawiesił na chwilę głos – zasadnicza.

– Życie jest wystarczająco skomplikowane, żeby jeszcze bardziej je komplikować – odpowiedziałam wesoło. – Raz się żyje!

Patrzył za mną zdziwiony, a ja zbiegałam po schodach z taką lekkością, jakby coś niosło mnie na skrzydłach. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do kancelarii mecenasa Piwowara. Zaczęło kropić. Kapryśny kwiecień raczył nas na przemian cudownym słońcem i rześkim deszczem. Padało już solidnie, gdy dotarłam na miejsce. Na szczęście przypomniałam sobie, że posiadam zapasową parasolkę, którą na wszelki wypadek zawsze wożę w bagażniku. Od parkingu do budynku, w którym znajdowała się kancelaria, dzieliło mnie ponad trzysta metrów.

Wysiadłam z samochodu i szybko otworzyłam bagażnik. Wtedy mój wzrok padł na plastikową torbę, która przeleżała tu kilka tygodni. Zawahałam się. Nie zaglądałam do niej wcześniej, choć wiedziałam, że w środku znajduje się marynarka ojca. I wtedy nagle przypomniałam sobie jego słowa.

Wyciągnęłam z torby ubranie i zaczęłam przeszukiwać kieszenie. W wewnętrznej znalazłam kopertę, a w niej pendrive'a. Schowałam znalezisko do torby i szybko poszłam do mecenasa.

\*\*\*

– Naprawdę nazywa się pan Fulvio Batista? – zapytałam rozbawiona dokładnie dwa tygodnie później, patrząc w piękne, granatowe oczy przystojnego blondyna. – Ładnie to brzmi!

– Moja siostra nosi imię Tranquilla – odpowiedział na to Fulvio, pokazując w uśmiechu piękne białe zęby. – Sycylijczycy uwielbiają tradycję.

– A jak zakończył się tamten ślub? – Siedzieliśmy w kameralnej, włoskiej restauracji nad porcją carpaccio z polędwicy wołowej, przy lampce dobrego wina. – Pobrali się?

– Tak. I kochają mocno – zapewnił mnie blondyn.

Patrzyłam na niego i nie mogłam uwierzyć, że jestem tu, gdzie jestem. Spotkaliśmy się u mecenasa Piwowara. Prawnik zarekomendował mi Fulvia jako doskonałego ekonomistę, który mógłby zająć się sprawami spółki. Nasza znajomość rozwinęła się jak flaga na wietrze. Jeszcze tego samego wieczora znalazłam w swojej torebce list, który Fulvio musiał wetknąć tam niepostrzeżenie.

*Marto!*

*Bardzo chciałbym spotkać się jeszcze raz, żeby porozmawiać, pobyć z Tobą. Uświadomiłaś mi, że błędzę. Uparłem się na coś, co nie miało szansy zaistnieć. I męczyłem się dalej – jak zwierzę w klatce. A teraz jesteś Ty. Czy to wariactwo, zakochać się w kimś od pierwszego wejrzenia? W kimś, z kim nie mam szansy być. Zastługujesz na wszystko, co najlepsze, bo jesteś fantastyczną kobietą i masz wielkie, choć poranione serce – czas najwyższy o nie zadbać. Nie pytaj, skąd wiem, po prostu wiem o Tobie dużo.*

*Bałem się wyobrażać sobie codzienne życie z Tobą w moim świecie, bo chyba mózg by mi eksplodował. Również z tego względu, żeby nie bolało – że to dzisiaj tylko fantazja.*

*Ale ta wizja zapuszcza coraz głębiej swoje korzenie. Gdy o Tobie myślę, wypełnia mnie nieznaną dotąd ciepło i promieniuje na całe ciało. Nagle jakimś kosmicznym zrzędzeniem losu okazało się, że moja osoba może okazać się dla kogoś bezpieczną przystanią. Że chaos nie musi być zły – wystarczy, że zostanie zaakceptowany. Jest niepowtarzalne piękno w tym szaleństwie.*

*Nie poznałaś tego, ale musisz wiedzieć też, że mam ciężkie poczucie humoru – czasem mówię coś, co w mojej ocenie jest po prostu zabawne, a ktoś z boku mógłby pomyśleć, że go obrażam, wyśmiewam, mieszam z błotem. Lubię ten rodzaj zabawy. A już uwielbiam szermierkę słowną – takie odbijanie piłeczki – bo tak potrafią tylko ludzie inteligentni. Cudownie jest fantazjować o tym wszystkim, co możemy zrobić w łóżku, ale ja fantazjuję również o innych rzeczach... i to jest dopiero hardcore, bo jak wyobrażam sobie spacer, kiedy trzymamy się za ręce, łączy stają mi w oczach...*

*Myślenie o najprostszych codziennych czynnościach, które byłyby naszym wspólnym udziałem, totalnie mnie rozpieprza, jakby to miało być więcej szczęścia, niż jestem w stanie znieść... Powstrzymuję się trochę przed takim myśleniem, bo... to trochę boli. Bo to są rzeczy, których w tej chwili nie mamy.*

*Spotkajmy się więc...*

*Proszę.*

Cieszyłam się chwilą. Ostatnie dwa tygodnie przyniosły, jak na zamówienie, wszystkie odpowiedzi i rozwiązania. Na znalezionym w marynarce ojca pendrivie zostały zarejestrowane skany wszystkich dokumentów, które sfałszowała moja matka. Był tam również rejestr nielegalnych transakcji przeprowadzonych przez zarząd spółki. Zdaniem mecenasa Piwowara wystarczający materiał, żeby wszystkich usunąć z firmy bezpowrotnie. Jeden dokument nie pasował do pozostałych. Była to kopia anonimu, który mój ojciec sporządził i wysłał do pani Kołodziej. Pewnie już nigdy się nie dowiem, w jaki sposób odkrył, że ona żyje.

Moja matka przepadła bez wieści. Betka nie otrzymała już żadnej wiadomości ani od Oktawiana, ani od Marcina. Z kolei Klementyna zaczęła spotykać się potajemnie z panem Prostownikiem, o czym plotkowała cała kamienica.

Zbyszek uszczęśliwiony, że może umieścić swój drogocenny zbiór w mojej piwnicy oraz siebie samego na piętrze, w dawnym pokoju mojej matki, rozstał się ostatecznie z Iloną. Kobieta nachodziła go jeszcze przez miesiąc, zanim sąd nie wydał nakazu zbliżania się.

Mikulski bardzo pomógł w tej sprawie.

Moja prawdziwa matka, czyli Anna Kołodziej, wróciła do Włoch, żeby zamknąć tam swoje sprawy. Za jakiś czas planuje na stałe powrócić do Polski, aby spróbować budować relację ze mną. Wciąż jestem do tego pomysłu sceptycznie nastawiona.

Stażyści podzielili się dyżurami w sądzie. A ja wciąż trwam na stanowisku. Gotowa, by sprzątać i leczyć ludzkie dusze. Bo takie jest moje powołanie. Moje lekarstwo na żal.



Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska

Redaktor prowadzący: Anna Salwa

Redakcja: Katarzyna Szymczuk

Korekta: Marta Stochmiałek, Anna Salwa

Projekt okładki: Magdalena Palej

Fotografie wykorzystane na okładce: © Jill Hyland/Arcangel Images; © Dalibor  
Kastratovic/EyeEm/Getty Images

Skład i łamanie: [www.pagegraph.pl](http://www.pagegraph.pl)

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel./faks 22 828 98 08, 22 395 75 78

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6103-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**